

Tanner Janet

Rajskie dziedzictwo

Guy de Savigny, dziedzic rodzinnej fortuny w okolicy Cognac we Francji, dowiaduje się od przyjaciela, że na małej karaibskiej wyspie przebywa zbrodniarz hitlerowski. Wszystko wskazuje na to, że chodzi o Niemca, który odcisnął tragiczne piętno na losach rodziny de Savigny.

Guy wybiera się na wyspę i zatrudnia się tam jako pilot, żeby rozwikłać tajemnicę, a raczej, żeby się zemścić. Trzeba tylko dostać się do posiadłości wroga. I tu nieoczekiwanie pojawia się okazja w postaci ślicznej córki Niemca, Lilli. Lilli może pomóc, ale może i wszystko skomplikować, bo piękna dziewczyna, piasek, woda i cudowna karaibska roślinność stanowią mieszankę, której nie sposób się oprzeć.

Prolog

Wyspy Zawietrzne, 1956

Lilii, Lillii, chodź tu do mnie! Chcę z tobą porozmawiać.

Dziewczynka, która próbowała właśnie przemknąć się niepostrzeżenie do willi, zatrzymała się raptownie, jak gazela w locie. Długie, ciemne włosy, odziedziczone po matce pochodzącej z Ameryki Południowej, rozwiewał silny, wiejący od Morza Karaibskiego popołudniowy wiatr, a z drobnej twarzy o oliwkowej cerze spoglądały wielkie ciemnobrązowe oczy. Wiatr niósł ze sobą zapachy uroczymi, ananasów, bugenwilli i gałki muszkatołowej, łącząc je w upajającą egzotyczną mieszankę. Do Lilii jednak zdawał się nie docierać ten aromatyczny koktajl. Traktowała go jako coś naturalnego, część świata, do którego przywykła. Nie знаła innego miejsca poza wyspą i choć w przyszłości te zapachy będą wywoływać gorzko-słodkie wspomnienia związane z dzieciństwem i okresem dorastania, to w tej chwili były dla niej czymś zupełnie zwyczajnym.

W dodatku umysł Lilii zaprzętały daleko ważniejsze sprawy. Przede wszystkim, jak wytłumaczy się ojcu z tego, że znowu bawiła się z Josie, kiedy wyraźnie tego zabronił. Josie, ośmioletnia dziewczynka o rok od niej starsza, była jej jedyną przyjaciółką. Matka Josie, Marta, pracowała w willi jako pokojówka i często zabierała córeczkę ze sobą, by dziewczynki mogły się razem pobawić. Lecz skończyło się to wraz ze śmiercią matki Lilii. Drobna twarzyczka zachmurzyła się na wspomnienie ukochanej osoby: mama miała długie ciemne włosy, takie jak ona, brzęczące bransolety na przegubach rąk i paznokcie polakierowane na kolor szkarłatny. Była zawsze taka wesoła i taka piękna. Natura obdarzyła ją tym nieuchwytnym urokiem, jakim mogą się poszczycić jedynie gwiazdy filmowe i księżniczki. Lilii ją uwielbiała, podobnie jak Jorgego, współnika ojca, który był wówczas częstym

Janet Tanner

gościem na wyspie, a którego mama darzyła wielkim przywiązaniem. Tatuś też uwielbiał mamę i spełniał wszystkie jej życzenia. Kiedy mama powiedziała, że Lili wolno bawić się z Josie, to tak się stało.

- Lili potrzebuje towarzyszk zabaw w swoim wieku - stwierdziła, a tatuś uśmiechnął się i nie protestował.

Lecz teraz wszystko się zmieniło. Jedna straszna splamiona czerwienią noc, która przyniosła ze sobą przerażenie i smutek, wyróciła bezpieczny mały świat Lili do góry nogami. Dziewczynka starała się wymazać to wspomnienie z pamięci, ale wciąż powracało w nocnych koszmarach.

Patsy, opiekunka Lili, powiedziała, że mama umarła, i Lili widziała matkę leżącą nieruchomo na podłodze, trudno jej było pogodzić się z myślą, że odeszła. Natknęła się raz na plaży na martwe ciało żółwia morskiego -

przerażająco nieruchome i wydzielające potworny odór. Odwróciła się od niego z obrzydzeniem. Przecież mama nie mogła być taka jak ten żółw.

Patsy niewiele jej wówczas wyjaśniła, a ojciec nie zamienił z nią nawet słowa. Zamknął się przed światem na wiele tygodni. Wrócił do życia, ale stał się jeszcze bardziej ponury, zamknięty w sobie, a w jego włosach przybyło siwizny.

Jorge również przestał się pokazywać - ojciec wyjaśnił, że wyjechał w interesach. Niechętnie jednak o nim wspominał, podobnie jak niechętnie mówił o mamie.

Lili doszła do wniosku, że tatuś zmienił się od tego czasu. Stał się typem surowego i srogiego samotnika, do którego trudno dotrzeć. Cechy te miał już przedtem, ale teraz nie było mamy, która potrafiła je łagodzić dzięki wrodzonemu ciepłu i pogodnej naturze.

- Nie powinnaś się bawić z tubylcami, Lili - poinformował ją pewnego dnia. - Jesteś za duża na takie bzdury.

- Ale tatusiu...

- Josie jest córką pokojówki. Nie życzę sobie, abyś z nią przestawała.

- Więc z kim mam się bawić?

- Masz swoje lalki, książki. Masz wszystko, czego ci potrzeba do zabawy. O wiele więcej niż Josie i inni mieszkańcy wyspy.

Tylko że niewiele mam z tego przyjemności, pomyślała, lecz nie ośmieliła się wypowiedzieć tego na głos.

- Wkrótce wyjedziesz do szkoły do Caracas. Tam poznasz dziewczynki w swoim wieku i znajdziesz sobie mnóstwo przyjaciółek... odpowiednich dla ciebie.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

4

Lilii nie należała do posłusznych dzieci. Pogodna z natury, miała w sobie jednak buntowniczą żyłkę i lubiła postawić na swoim. Kiedy tylko mogła się wymknąć niepostrzeżenie, czasami za milczącym przyzwoleniem Patsy, uciekała z ekskluzywnej willi na odległy koniec wyspy do dzielnicy blaszanych chat i baraków, gdzie mieszkała Josie i inni czarni służący - pokojówki, kucharze i robotnicy. Tam spędzała długie, gorące, letnie dni, uczestnicząc we wszystkich zabawach, w jakie nie mogłaby się bawić sama. Po deszczu, kiedy rzeka przybierała, płynąc wartko wąskim korytem, ganiały się przeskakując z kamienia na kamień. W czasie upałów chowały się w gęstych krzewach krotonowych, podglądając przechodzące osoby i chichocząc z własnych pomysłów. Ze starych zasłon, które Lilii po długich prośbach dostała od ochmistrzyni, zrobiły mały domek na drzewie. Poza- miatały podwórko, za co pozwolono im zabrać kawałki poduczonych naczyń, które posłużyły za talerze na przyjęciu urządzonym dla Rosity, ulubionej lalki Lilii, tej z porcelanową twarzyczką i zamykającymi się oczami, i dla Maisie, szmacianej laleczki Josie. Wyszukiwały jajka, które kury znosiły w krzakach okalających zagrodę, piły ciepłe kozie mleko i jadły świeże ananasy, mango i banany. Czasami Lilii znikała z domu na całe godziny, lecz ojciec zdawał się tego nie dostrzegać. Wciąż zajęty był interesami i obcymi ludźmi przychodzącymi do domu. Lilii nie wiedziała, czym się ojciec zajmuje i nie pytała go o to. Po prostu przyjęła, że jest bogaty i wiecznie zapracowany. Oznaki dobrobytu, podobnie jak uroki wyspy, przyjmowała za rzecz naturalną. Dzięki pracy ojca mogła robić to, co lubiła. Zwykle przemykała się do willi bocznymi drzwiami, a ojciec często nie zdawał sobie sprawy z tego, że w ogóle wychodziła. Dzisiaj jednak było inaczej. Kiedy przebiegała przez salon, postyszała, że ojciec ją woła. W jego głosie pobrzmiwały gardłowe niemieckie tony. Ojciec był Niemcem, ale nie widział kraju od ponad dziesięciu lat. Zatrzymała się zrezygnowana; wiedziała, że skoro ją spostrzegł, nie ma już dla niej odwrotu. Okna salonu, zajmującego cały parter willi, były otwarte na ogród i wychodziły na szeroką werandę ozdobioną kratą, po której pięła się bugenwilla, tworząc rodzaj naturalnego dachu chroniącego przed słońcem. Ubrana w cynobrowe szorty, cynobrowo-białą bluzkę i miękkie sandały Lilii zatrzymała się przed drewnianymi żaluzjami, chroniącymi wewnątrz willi przed zewnętrznym światem.

- Lilii, gdzie byłaś? Patsy wszędzie cię szukała.

Janet Tanner

Lilii zagryzła wargę. Patsy z pewnością tylko udawała, że jej szuka, bo doskonale wiedziała, gdzie jest

- Przepraszam, tatusiu...

Urwała, czekając na następne pytania, zastanawiając się jednocześnie, jak zataić prawdę. Lecz on tylko westchnął, wydając coś na kształt śmiechu, bo tak naprawdę nigdy się nie śmiał.

- Och, Lilii, Lilii, co ja mam z tobą zrobić?

Nie wyglądał jednak na zagniewanego, raczej na zmartwionego. Lilii czubkiem sandałka uderzyła o brzeg marmurowej płyty pokrywającej podłogę werandy.

- Nie wiem, tatusiu.

- Ja też nie wiem. Ale mniejsza z tym. Podejdź tu do mnie. Wyciągnął rękę w jej kierunku. Otto Brandt był wysokim mężczyzną o dumnej arystokratycznej postawie. Trzymał się prosto, pomimo lekkiego utykania na jedną nogę, widocznego tylko wówczas, kiedy chodził. Miał pięćdziesiąt sześć lat, lecz nie wyglądał na swój wiek. Dość wczesnie posiwiaty, o cerze opalanej na ciemny brąz przez karaibskie słońce i błękitnych oczach znamionujących czystej krwi Aryjczyka, ze swoją pięknie prezentującą się sylwetką mógłby uchodzić za mężczyznę o dwadzieścia lat młodszego, lecz oczy, w których odbijało się doświadczenie przeżytych lat, czyniły go dużo starszym.

Lilii naturalnie nie zwracała uwagi na wiek ojca. Dla niej był po prostu tatusiem, surowym, czasami nieprzystępnym, na ogół obdarzonym jednak niezwykłymi pokładami łagodności. Lilii wiedziała, że jeśli zechce, owinie go sobie wokół małego palca. Uznała jednak, że nie pora teraz na to, i posłusznie weszła do salonu.

- O co chodzi, tatusiu?

- Chcę z tobą porozmawiać.

W salonie panował półmrok. Oczy Lilii nie zdążyły się jeszcze przyzwyczać do cienia, nie mogła więc dostrzec wyrazu twarzy ojca. Zresztą i tak nie rozpoznałaby, w jakim jest nastroju. Twarz ojca nigdy nie wyrażała żadnych uczuć.

Otto Brandt otoczył córkę ramieniem i poprowadził do szeszlona obitego miękkim zielonym aksamitem. Mebel ten bardziej pasował do francuskiego lub angielskiego salonu niż do tego luksusowego letniego wnętrza.

- Muszę wyjechać na jakiś czas, Lilii.

- Och! - Zmartwiło ją to, lecz nie zdziwiło. Jak daleko sięgała pamięcią, ojciec dość regularnie wyjeżdżał w interesach. - Dokąd jedziesz?

RAJSKIE DZIEDZICTWO

6

Uśmiechnął się i dotknął jej małego prostego noska.

- Nie musisz tego wiedzieć. Powinno mi to zająć kilka tygodni, a może i dłużej. Tak czy inaczej, chciałbym, abyś mi obiecała, że będziesz grzeczna w czasie mojej nieobecności.

- Oczywiście, tatusiu! - Już się cieszyła na myśl o wspaniałych dniach, które spędzi z Josie. - Ale wrócisz przed moim wyjazdem do szkoły, prawda?

- Naturalnie, ja wrócę. Chciałem ci jeszcze powiedzieć, Lili, że... że tatuś bardzo cię kocha.

Sposób, w jaki to powiedział, wywołał panikę w jej sercu. Poczowała, jak wzdłuż kręgosłupa spływa lodowaty strumień.

- Wiem, tatusiu.

- Naturalnie, że wiesz. I jeszcze coś. Przypuśćmy, ale tylko przypuśćmy, że coś się ze mną stanie, to pamiętaj, że jesteś dobrze zabezpieczona.

Chłód wzdłuż kręgosłupa zmienił się w pałący lód.

- O czym ty mówisz, tatusiu? Czy coś ci się może stać? Wziął ją za rękę i długimi palcami otulił małą opaloną dłoń.

- Nie mam jeszcze zamiaru opuszczać cię na długo, ale nigdy nic nie wiadomo. Żyjemy w niepewnym świecie, lepiej więc być na wszystko przygotowanym.

Lili zadrżała. Mama odeszła. Jorge odszedł. Nie zniosłaby, gdyby i tatuś miał odejść. Och, przyrzekam, że nigdy więcej nie pomyślę sobie, że mogłabym bawić się z Josie, gdyby tatusia długo nie było, modliła się w duchu.

- Tatusiu...

Ojciec uśmiechnął się czule. Wyglądał znów młodo i przystojnie.

- Nie patrz na mnie z takim przerażeniem, maleńka. Nie chciałem cię przestraszyć. Pragnę tylko, byś zrozumiała, że pewnego dnia to wszystko będzie twoje. Nie będzie ci niczego brakowało.

Szerokim gestem powiódł po salonie i stojących w nim przedmiotach. Lili zmarszczyła czoło.

- Nie rozumiem.

- Tak też sądziłem. Traktowałaś te rzeczy jak coś najzwyklejszego, prawda? Nie wiesz nawet, jak cenne są te przedmioty. Spójrz na srebrne lichtarze, na statuetkę z brązu przedstawiającą Ceres, boginię urodzaju, i na ten piękny zegar w stylu Ludwika XVI. Są warte fortunę. Wiem, że nic dla ciebie nie znaczą, ale pewnego dnia pokochasz je tak samo jak ja. A gdyby nadeszły ciężkie czasy...

Głos mu się załamał. Teraz, kiedy oczy przyzwyczyły się do półmroku

Janet Tanner

panującego w salonie, Lili dostrzegła powagę malującą się na przystojnej twarzy ojca, której urodę mąciła jedynie długa srebrzysta szrama biegnąca od kącika oka wzdłuż policzka, nabrzmiała teraz i bardziej widoczna.

- Kiedy ja je lubię, tatusiu - powiedziała, chcąc zrobić mu przyjemność.

Rozejrzała się po salonie, próbując spojrzeć na skarby jego oczyma, ale zobaczyła jedynie przedmioty, wśród których się wychowała i których nie wolno jej było dotykać. Jednak po chwili jej wzrok się rozjaśnił. - Bardzo lubię ten obraz.

- Obraz? - Podążył za jej spojrzeniem. - Ach, masz na myśli tryptyk. Tak, jest piękny, prawda?

Wstał, wziął ją za rękę i poprowadził do miejsca, gdzie wisiał tryptyk o niezwykle bogatej kolorystyce. Trzy części zostały tak ustawione, by rozpraszające światło podkreślało głębię barw i ożywiało kolory. Tryptyk przedstawiał sceny z życia i śmierć na stosie Joanny d'Arc, Dziewicy Orleańskiej. Lili uniosła głowę. Bardzo lubiła ten obraz, czy tryptyk, jak nazywał go tatuś. Fascynował ją i jednocześnie trochę przerażał.

- Jeśli powiem, że od dziś jest twój, czy poczujesz się lepiej?

- Mój?!

- Tak. Naturalnie pozostanie na swoim miejscu, ale możemy go nazywać tryptykiem Lili. Niewiele dziewczynek w twoim wieku ma coś tak pięknego i cennego. Czy teraz nie czujesz się wspaniale?

Lili popatrzyła na tryptyk ze strachem i nagle strach minął. Nie dlatego, że wiedziała, jak jest cenny, bo o tym nie miała pojęcia, ale nagle coś jej powiedziało, że obraz odegra bardzo ważną rolę w jej życiu. W jakiś tajemniczy sposób przyszłość uchyliła kurtynę i przelała na nią całą chwałę i cierpienie przedstawione na obrazie. Ani teraz, ani później nie przyszło jej do głowy zastanawiać się, skąd pochodzą te skarby i jaką historię mogłyby opowiedzieć. Palce Lili zacisnęły się ufnie na dłoni ojca.

- Dziękuję, tatusiu - powiedziała.

Czesc pierwsza

Ofiara

Rozdział pierwszy

Bristol, 1971

Dwusilnikowy Piper Navajo miękko opadł na ziemię, a koła lekko dotknęły pasa startowego. Po chwili samolot zwolnił i pokołował na miejsce dla taksówek powietrznych.

Pilotujący maszynę Guy de Savigny puścił przyrządy sterownicze, posługując się jedynie pedałami, i szykował się do wyłączenia maszyny. Był środek nocy. Teraz, kiedy światła miasta znikły za wzgórzami otaczającymi lotnisko, aksamitną ciemność rozjaśniały jedynie lampy wyznaczające pas startowy, rozświetlony budynek wieży kontrolnej i lotniska. Guy pokołował na przedpole hangaru i ustawił maszynę w wolnej zatoce. Nagle poczuł się zmęczony. Pilotowanie wymagało pełnej koncentracji, a brak pierwszego oficera nie pozwalał nawet na chwilę przerwy. Tak potrafił skupić uwagę na prowadzeniu samolotu, że zapominał o męczących go okresowo bolesnych migrenach. Ale właśnie taki rodzaj pracy najbardziej mu odpowiadał. Dlatego pozostał niezależnym pilotem, zamiast - jak większość kolegów po fachu - przenieść się do wielkich towarzystw lotniczych. Oczywiście stanowisko kapitana czy pierwszego oficera w BO AC lub w British Caledonian wiązało się z pewnym prestiżem. Dzienniki pokładowe pilotów, którzy zdecydowali się latać w tych wielkich maszynach, roiły się od setek nazw geograficznych. Ale ile zobaczyli z tych egzotycznych miejsc, do których latali? Pokoje hotelowe, nawet najbardziej luksusowe, są wszędzie takie same. Guy myślał o nich z pewnym lekceważeniem, uważając, że grube pensje nie mają nic wspólnego z prawdziwym lataniem. . Oszalałby, gdyby musiał polegać na komputerze, który wykonywałby za niego całą robotę, a myśl o siedzeniu w kokpicie przez osiem godzin i zajmowaniu się czymś tak mało ekscytującym jak rozwiązywanie krzyżówki przyprawiała go o dreszcze. Pieniądze również

Janet Tanner

nie stanowiły dla niego problemu. Guy nie był bogaty, ale pewnego dnia będzie. Oszczędzanie i wysoka pensja były ostatnimi rzeczami, o jakich myślał przyszły dziedzic majątku de Savigny w departamencie Charente i wszystkiego, co się z tym wiąże.

Latanie z pocztą na trasie Aberdeen-Bristol pięć razy w tygodniu nie należało do jego wymarzonych zajęć. Lecz miało też swoje dobre strony. Guy lubił swój samolot, poza tym zdarzały się również inne kursy: do Oslo, Antwerpii, St Mało i Amsterdamu. Jednak ostatnio wszystko się zmieniło. Firma ustaliła grafik lotów, z którego wynikało, że do niego należy obsługa trasy Aberdeen-Bristol. Czuł, że zaczyna go to nużyć.

Co się, u diabła, ze mną dzieje? - zastanawiał się, kiedy po raz kolejny dawało o sobie znać uczucie niepokoju. Skąd to pragnienie odmiany? Dlaczego wciąż muszę odkrywać nowe miejsca albo zdobywać nowe szczyty? Dlaczego choć raz nie mogę być zadowolony i takim pozostać? Jednak to było silniejsze od niego. Miał trzydzieści jeden lat, mimo to z takim samym zapalem jak w wieku dziewiętnastu lat pragnął poznawać świat i ani myślał zapuścić gdzieś korzenie.

Może to z powodu tego rodzinnego dziedzictwa, które nad nim wisiało? Po śmierci dziadka to jemu przypadnie tytuł barona de Savigny. Nie bardzo mu się uśmiechała taka perspektywa, ale przed przeznaczeniem nie można uciec.

A może to dlatego, że był zlepkiem dwóch kultur, dwóch różnych krajów? W jego żyłach płynęła przecież krew francuska i angielska. Wychował się w Anglii, ale każde lato spędzał w Chateau de Savigny razem z dziadkami. Takie było życzenie Kathryn, jego matki. Odcisnęło to trwałe piętno na jego osobowości. Ani w Charente, ani w Anglii nie czuł się jak w domu i w rezultacie nie przywiązał się do żadnego z tych miejsc. I w Anglii, i we Francji traktowano go jak cudzoziemca. Angielskie wychowanie sprawiało, że pomimo całego szacunku, jaki należał się przyszłemu baronowi, odnoszono się do niego z rezerwą. W Anglii zaś francuskie dziedzictwo było przyczyną ciągłych przykrości. W szkole bezlitośnie mu dokuczano z powodu dziwnego imienia i w końcu musiał nauczyć się odpowiadać na drwiny. Guy wcześniej zaczął robić użytek z pięści. Wpędzało go to w kolejne kłopoty, ale rówieśnicy wreszcie zrozumieli, że żarty z Guya de Savigny kończą się zakrwawionym nosem i zaczęli odnosić się do niego z szacunkiem. Mimo to wciąż zdarzały się sytuacje, które nie pozwalały mu zapomnieć o swoim podwójnym pochodzeniu. Z tym dziwnym poczuciem braku przynależności wkroczył w dorosłe życie.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

10

Bycie półkrwi Francuzem pociągało też za sobą pewne korzyści. Jako biegle władający dwoma językami Guy uznał lekcje francuskiego za absolutnie zbędne i wykorzystywał je na czytanie pod ławką ulubionych powieści o kosmicznych podróżach. Poza tym dzięki znajomości języków mógł bez kłopotu porozumiewać się z ludźmi w czasie lotów za granicę.

Podwójne pochodzenie i francuskie imię czyniły go też atrakcyjnym dla kobiet, w każdym razie tym tłumaczył swoje powodzenie u płci pięknej. Zainteresowanie, jakie mu okazywały, niezmiennie wprawiało go w zdumienie. Nie przychodziło mu do głowy, że to jego wygląd - ciemne włosy, ciemna karnacja i szczupła wysportowana sylwetka - robi wrażenie na wyrafinowanych i doświadczonych dziewczynach. Oszłamiająco błękitne oczy spoglądające na niego z lustra podczas porannego golenia i mocno zarysowany podbródek nie należały według niego do atrybutów męskiej urody. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo mu do twarzy w białej koszuli i granatowej marynarce z kapitańskimi dystynkcjami, nie mówiąc już o pewnej nonszalancji cechującej każdy jego ruch.

Guy jednak rzadko wykorzystywał możliwości, jakie się z tym wiązały. Lubił towarzystwo kobiet i był dobrym i czułym kochankiem. Nie lubił natomiast, żeby dziewczyny się do niego przywiązywały. Bardzo cenił swoją niezależność. Kiedy się nad tym zastanawiał, co się zdarzało dość rzadko, dochodził do wniosku, że to szlachectwo, z którym wiązały się pewne obowiązki i ograniczenia, zniechęca go do trwałych więzów. Tak czy inaczej, kiedy kobieta zaczynała traktować go jak swoją własność, natychmiast się wycofywał.

Tej nocy jednak problemy z płcią piękną nie zaprzętały jego myśli. Marzył jedynie o powrocie do domu, na drugi koniec miasta, o dużej porcji whisky, kąpieli i łóżku.

Wysiadł z samolotu, dopilnował, aby pracownicy poczty zabrali przesyłkę, po czym zamknął maszynę.

O drugiej trzydzieści w nocy, w samym środku zimy, budynek lotniska świecił pustkami. Biura linii lotniczych drzemały za spuszczoneymi żaluzjami, mały sklep i kantor wymiany walut były nieczynne. Kroki Guya odbijały się głośnym echem od wyłożonej kamiennymi płytami podłogi. W drzwiach stał strażnik, palił papierosa i wpatrywał się w gwiazdy. Guy powiedział mu „dobranoc” i poszedł na parking dla pracowników, na którym stało kilka oszronionych samochodów.

Kiedy dochodził do swego samochodu, posłyszał gardłowy zgrzyt i zamie-

22

Janet Tanner

rający jęk silnika, świadczący o tym, że ktoś bez powodzenia próbuje uruchomić pojazd. Gość ma kłopoty, pomyślał.

Właśnie miał zamiar zaoferować pomoc, kiedy kierowca dał za wygraną i wysiadł zatrzasnąjąc z rozmachem drzwi.

- Jakież problemy? - zapytał Guy.

- Tak... Cholernik nie chce zapalić. Hej, Guy, czy to ty?

- Tak - odpowiedział lekko zdziwiony. - A kto pyta?

Parking był słabo oświetlony i zmęczone oczy nie przyzwyczyły się jeszcze do ciemności.

- Bill Walker, ty ślepak!

- Bill!

Wspólnie odbywali loty treningowe w czasie nauki pilotażu i współzawodniczyli ze sobą w zdobywaniu licencji zawodowego pilota. Później pracowali jako instruktorzy w tym samym klubie, zbierając godziny potrzebne do zdobycia wyższego stopnia, a potem jeszcze wyższego. Ich drogi się rozeszły, kiedy zaczęli latać zawodowo, ale od czasu do czasu wpadali na siebie na lotnisku, w pokoju odpraw czy w barze.

- Co ty tu robisz? - zdziwił się Guy. - Słyszałem, że latasz gdzieś w egzotycznych klimatach... nad Morzem Karaibskim zdaje się?

- Tak, Wyspy Zawietrzne.

- Anglia w styczniu nie należy do przyjemnych, co?

- Aha. Zwłaszcza ten cholerny parking o drugiej w nocy, kiedy samochód nie chce zapalić. Nie masz przypadkiem linki do rozrusznika?

- Niestety nie. Kiedyś miałem, ale musiałem zostawić nie zamknięty bagażnik, bo ktoś ją sobie pożyczył.

- No tak, jak ktoś jeździ takim samochodem jak twój, nie potrzebuje linek. Nie wszyscy mogą sobie na to pozwolić.

Guy pominął przytyk milczeniem.

- Więc w czym problem? Zdechł akumulator?

- Na to wygląda. Musiałem zostawić zapalone światła, kiedy poszedłem na spotkanie z kumplami. Podrzućli mnie tu i odjechali, zanim jeszcze zorientowałem się, w czym rzecz. Nie sądzę, by mi się udało uruchomić dziś tego grata. Nie podrzuciłbyś mnie do miasta?

- Właśnie miałem to zaproponować. Dokąd się wybierasz?

- Do Gloucester... Mam tam domek. Ale nie bój się, nie musisz mnie zapraszać do domu. Podrzucić mnie do miasta, a tam już znajdę sobie jakiś pokój na resztę nocy. Będziesz jechać przez miasto, prawda?

RAJSKIE DZIEDZICTWO

12

- Tak... właściwie to jeszcze dalej. Ale po co masz wynajmować pokój w hotelu? Możesz przenocować u mnie.

- Naprawdę?

Bill udawał zdziwionego. Guy uśmiechnął się w ciemności. Był pewny, że Billowi właśnie o to chodziło. Nie miał mu jednak tego za złe. Przyjemnie było spotkać starego kumpla. Bardzo lubił Billa.

- Zamknij tego grata, jak go nazywasz, i ruszajmy. Mam za sobą długi lot i jestem zmęczony.

- Pocziwy z ciebie chłop - odparł Bill wesoło.

No więc, co cię sprowadza do Anglii? - zapytał Guy, nalewając whisky do dwóch szklaneczek i podając jedną Billowi.

- Ślub. Za dwa tygodnie się żenię.

- Coś takiego! Wobec tego gratuluję. Czy to Dianę jest twoją wybranką?

- Tak. Najwyższy czas, bym uczynił z niej uczciwą kobietę.

- Ale po co było wracać? - Guy usiadł na niskiej kanapie i wyciągnął przed siebie nogi. - Przecież mogłeś zabrać Dianę na te karaibskie wyspy.

- Nie zgodziłaby się na to. Jej matka nie czuje się dobrze i nie chce, by jedyna córka wyjeżdżała na drugi koniec świata.

- Kłopoty z teściową, co? Strzeż się, Bill!

- Nie chodzi o nią. - Bill pociągnął łyk ze szklaneczki i na jego opalonej, dobrodusznej twarzy pojawił się wyraz powagi. - Te wyspy to cudowne miejsce, ale zarobki już nie są takie fantastyczne. Ciężko mi było utrzymać się na poziomie, do jakiego przywykłem. Z żoną nie dałbym sobie rady.

- Szkoda.

- Tak to już bywa. Dobre rzeczy szybko się kończą. Wkrótce się o tym przekonasz.

- Mam nadzieję, że nieprędko.

- Jak tam słodka Wendy?

Guy skrzywił się lekko na wzmiankę o przyjaciółce. Bardzo lubił Wendy, była atrakcyjną, inteligentną kobietą i dobrze się czuł w jej towarzystwie. Lecz ostatnio zaczęła napomykać o nadaniu ich związkowi bardziej trwałego charakteru, co prawdę powiedziawszy mocno go zaniepokoiło. W jego wieku powinno się już myśleć o założeniu rodziny, ale jakoś się do tego nie palił. Nie miał ochoty się żenić. Przynajmniej nie z Wendy. Sama myśl o tym wywoływała skurcze w żołądku.

Janet Tanner

- W porządku - odparł wymijająco. - Ciężko pracuje. Stanowisko sekretarki dyrektora tak energicznie rozwijającej się firmy jak Arden Electrical zrobiło z niej silną kobietę.

- Myślałem, że sekretarka to inaczej dobra maszynistka.

- Nie w wypadku tej firmy. Poza tym Wendy jest bardzo ambitna.

- Byle tylko swych ambicji nie skierowała na usidlenie ciebie, co, Guy? Zatwardziały z ciebie kawaler.

- Można tak powiedzieć. Lubię niezależność.

- A co teraz porabiasz? Myślę o pracy.

- Wożę pocztę pięć razy w tygodniu i zaczynam mieć tego dość.

- To weź moją robotę. Wyrwiesz się ze szponów Wendy. Mówię ci, nie pożałujesz. Słońca, ile dusza zapagnie, a pieniędzmi chyba nie musiałbyś się martwić. - Bill rozejrzył się z zazdrością po mieszkaniu i pomyślał, że choć nie lśni ono czystością i luksusem, to Guy żyje na poziomie, który trudno byłoby osiągnąć większości niezależnych pilotów. Pieniądze z przewożenia poczty na pewno by na to nie wystarczyły.

- Prawdę powiedziawszy, to myślałem o wyjeździe do Stanów albo do Australii.

- Karaiby są lepsze. St Lucia, St Vincent, Mustique, Union Island... czy muszę wymieniać dalej? Stacjonowałem na wyspie o nazwie Madrepora. Praca polega na lataniu z jednej wyspy na drugą i przewożeniu pasażerów. Taki rodzaj usług taksówkowych. Wyspa otoczona jest morzem tak błękitnym, że aż trudno uwierzyć. Czasami woziłbyś też sławnych ludzi. Lubią spędzać wakacje w swoich letnich domkach i grać role wspaniałych ludzi.

Guy opróżnił szklaneczkę i napełnił ją ponownie.

- Sławni ludzie mnie nudzą. A teraz, jeśli pozwolisz, pójdę się położyć. Alkohol wypity podczas spotkania z kolegami i whisky Guya wprawiły Billa w dobry humor. Zignorował aluzję kolegi.

- Cóż za oryginały można tam spotkać. Wielkich facetów i snobów, i gwiazdy pop. Wszyscy oni mają swoje ustronne gniazdko. Ale nie tylko tacy korzystają z ustronności tego miejsca. Znalazło tam również schronienie kilku międzynarodowych zbrodniarzy. Pławią się w luksusie, korzystając z nie*uczciwie zdobytych fortun. Niektórzy nadal działają. Takie miejsce to dla nich raj na ziemi.

- Może innym razem mi o tym opowiesz, co, Bill?

Wstał. Bolały go plecy i czuł tępy ból w skroniach. Miał nadzieję, że to wynik zmęczenia, a nie początek migreny.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

14

- Zwłaszcza jeden jest wyjątkowo dziwny - ciągnął Bill niezrażony. - Niemiecki stary przyk, zdaje się właściciel Madrepory. Prócz jego willi i hotelu na wyspie nic nie ma. Czasami przywoziłem na nią gości. Wszyscy byli Niemcami i to mocno podejrzanymi. W pewnym wieku, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Nie, nie rozumiem. - Guy zaczynał mieć dość gadatliwości Billa i pożałował, że zaproponował mu gościnę. - O czym ty mówisz?

Bill rozparł się wygodnie na kanapie.

- O zbrodniarzach wojennych, chłopie. W każdym razie tak podejrzewam. Wielu z nich uciekło do Ameryki Południowej i stamtąd prawdopodobnie przyjeżdżają na wyspę. Nawet ukrywający się zbrodniarze potrzebują czasami wypoczynku, a gdzie znajdują lepsze miejsce jak ta odludna wyspa, której właścicielem jest jeden z nich? Jeśli niektórzy nie byli wysokiej rangi oficerami, to ja się nie nazywam Bill Walker. Mają teraz nowe tożsamości, mimo to nie chcą rzucać się w oczy. Ostatnią rzeczą, o jakiej marzą, to zostać rozpoznanym i stanąć przed sądem. Dranie!

- Jeśli do moich obowiązków należałoby wożenie byłych hitlerowców, to dziękuję za taką pracę - rzucił krótko Guy. - Jestem przecież w połowie Francuzem, zapomniałeś? Wielu moich rodaków, nie mówiąc o rodzinie, sporo z ich rąk wycierpiało. Nigdy im tego nie wybaczę.

- O Chryste, zapomniałem. Oni zdaje się zabili ci ojca?

- Tak. Ojciec i wuj zostali rozstrzelani za udział w ruchu oporu. Mało tego, ci dranie wyrzucili moich dziadków z ich własnego domu i sami się tam wprowadzili. A kiedy się okazało, że przegrywają wojnę, ograbili ich. Bóg jeden wie, co się stało z tymi skarbami. Od wieków należały do rodziny. Prawdopodobnie wywieziono je z kraju.

- Zapewne do Ameryki Południowej lub na Karaiby. - Bill usadowił się wygodniej. - Byłem raz w willi tego Niemca. Zaprosił mnie na drinka. Na drinka, wyobraź sobie. Myślałem, że zaprosi mnie na kolację, dlatego nic przedtem nie zjadłem. Ale nie, o siódmej trzydzieści wyrzucono mnie głodnego z domu. Później dowiedziałem się, że taki tam panuje zwyczaj. Ale przynajmniej mogłem zobaczyć, jak żyją ci wybrańcy. Nigdy tej willi nie zapomnę. Piękne miejsce... i zastawione po sufit skarbami. Założyłbym się, że wyszabrowanymi z Francji. Zastawa stołowa, porcelana, statuetka z brązu, tryptyk...

- Tryptyk? - powtórzył Guy, zapominając nagle o zmęczeniu. - Jakiego rodzaju tryptyk?

26

Janet Tanner

- To są jakieś rodzaje? Ten był bardzo stary, miał wyrazistą kolorystykę i przedstawiał religijne sceny... no wiesz, tego rodzaju.

- Tak, wiem - odparł Guy. Poczuł, że krew zaczyna mu żywiej krążyć w żyłach. - Czy były to może sceny z życia Dziewicy Orleańskiej?

- Bardzo możliwe, nie przyglądałem mu się dokładnie. Jednak teraz wydaje mi się, że widziałem płonące ognisko.

Guy pominął milczeniem to niestosowne określenie stosu, na którym spalono świętą Joannę.

- Jak ten Niemiec się nazywa?

- Brandt Otto Brandt. Podejrzewam jednak, że to nie jest jego prawdziwe nazwisko.

- A jak wygląda?

- Wysoki, siwy, z blizną na lewym policzku, lekko utyka. Dlaczego pytasz?

- Nie masz przypadkiem jego fotografii?

- Skąd! Widziałem go wszystkiego dwa, trzy razy... Jego i jego żonę.

Słyszałem, że ma córkę, podobno bardzo piękną, ale nigdy jej nie spotkałem. Szkoda. Zdaje się, że mieszka w Stanach. Ciekawe, dlaczego nie przyjeżdża do domu na wakacje. Chodziły też plotki, że coś dziwnego dzieje się na wyspie.

- Dziwnego? Co przez to rozumiesz?

- Trudno powiedzieć. To są tylko przypuszczenia. Podobno odbywa się tam coś, co starają się ukryć, coś niezgodnego z prawem.

- Myślisz o tych niemieckich gościach?

- Nie, nie, to nie ma z nimi nic wspólnego.

- Mnie w każdym razie interesują tylko Niemcy - powiedział Guy. -1 **Hen** Otto Brandt, a w szczególności jego tryptyk.

- Do czego zmierzasz?

Guy jednym haustem opróżnił szklaneczkę.

- Prawdopodobnie to szaleństwo, ale przyszło mi do głowy, że ten Niemiec mógł być odpowiedzialny za śmierć mojego ojca.

Bill gwizdnął cicho.

- Trudna sprawa. Przecież takich ludzi są setki na całej kuli ziemskiej.

- To prawda. Ale z tego, co powiedziałeś, wynika, że twój nazista był prawdopodobnie wysokiej rangi oficerem, co trochę zawęży krąg poszukiwań. Ten, którego szukam, był odpowiedzialny za cały okręg, w którym mieszkała moja rodzina. A kiedy wspomniałeś o tryptyku, to rozdzwoniły mi się w głowie dzwonki alarmowe.

- Czy twoja rodzina straciła jakiś tryptyk?

RAJSKIE DZIEDZICTWO

16

- Tak. Bardzo stary i bardzo cenny. Przedstawiał sceny z życia Dziewicy Orleańskiej. Jeśli na tym, który widziałeś, było, jak powiedziałaś, ognisko, to równie dobrze mógł to być stos z płonąca na nim Joanną d'Are. Większość tryptyków przedstawia ukrzyżowanie lub zwiastowanie Najświętszej Marii Panny, nie stosy.

- Hmmm. Los niekiedy płata człowiekowi złośliwe figle. Jeśli coś ma być... Tak czy owak, nawet gdyby Brandt nie był twoim człowiekiem, to na wyspę przyjeżdża wielu jemu podobnych. Mógłby być wśród nich również twój.

- Albo i nie. - Guy opróżnił szklaneczkę i odstawił ją na stół. - Idę spać. Niektórzy muszą iść jutro do pracy. Chodź, pokażę ci twój pokój.

Tym razem Bill podniósł się z miejsca.

- Tak. Wybacz, że trzymałem cię tak długo, Guy. Obudź mnie rano, o której chcesz. Muszę coś zrobić z samochodem i Diane będzie się zastanawiać, co mnie tak długo zatrzymało. - Przeciągnął się niezdarne, jak ktoś, kto za dużo wypił. - Pamiętaj, jeśli zmienisz zdanie co do pracy, to dam ci list polecający. Lecz nie zwlekaj z tym długo. Na pewno znajdzie się mnóstwo chętnych na moje miejsce.

Guy kiwnął głową.

- Dzięki. Zastanowię się. Ale nie teraz. W tej chwili marzę jedynie o przyłożeniu głowy do poduszki i przespaniu się kilka godzin.

Sen jednak nie przychodził. Guy leżał wpatrując się w smugę światła na suficie, wpadającą do pokoju przez szczelinę w zasłonach, a myśli wirowały w głowie jak szalone. Nie dawała mu spokoju rozmowa z Billem.

Oczywiście to czyste szaleństwo. Prawdopodobieństwo, że Niemiec, którego odwiedził Bill na karaibskiej wyspie, jest winny śmierci członków jego rodziny, było tak nikłe, że prawie niemożliwe. Jednak taka ewentualność istniała. Jakaś głęboko ukryta część osobowości kazała Guyowi wierzyć w ślepy los. Ten drań musiał przecież gdzieś być. Nigdy go nie złapano. Dlaczego nie miałby mieszkać na tej odległej karaibskiej wyspie? Dlaczego nie na... jak Bill powiedział?... Madreporze?

Wcisnął poduszkę pod szyję i zamknął oczy. Otto von Rheinhardt, tak brzmiało prawdziwe nazwisko hitlerowca, który wydał na ojca wyrok śmierci. To nazwisko towarzyszyło Guyowi od dziecięcych lat, a dziadek wymawiał je zawsze z nienawiścią. Otto von Rheinhardt. Guy często myślał o tym, że

Janet Tanner

gdyby go znalazł, zapewne by go zabił. Ale ten człowiek zniknął, wrócił do mrocznych otchłani, z których się wyłonił, i Guy stracił nadzieję, że kiedykolwiek go spotka.

Czy to możliwe, by los podawał mu teraz von Rheinhardta na tacy? Wydało mu się, że w panującej wokół ciszy słyszy głęboki, dźwięczny głos dziadka, który piękną francuszczyzną opowiada o przerażeniu, okrucieństwach i cierpieniach, jakich doświadczyli współziomkowie z rak niemieckich oprawców.

- To były potwory, *mon petit* - mówił, a Guy siedzący u stóp dziadka słuchał z zapartym tchem, jednocześnie zafascynowany i przerażony. Nie lubił tych opowieści, bo wywoływały senne koszmary, ale jednocześnie przybliżały mu ojca, którego prawie nie pamiętał.

Ojciec zginął, kiedy Guy miał cztery lata, a Kathryn, jego matka, Angielka, nie chciała mu o nim opowiadać. Powiedziała jedynie, że Charles zginął jak bohater i że pozwoliła, aby Guillaume, ojciec Charlesa, zatrzymał przyznany mu pośmiertnie Krzyż Walecznych, bo zdawała sobie sprawę, ile to dla niego znaczy. Guy wyczuwał instynktownie, że te wspomnienia są dla matki bolesne, dlatego nie zmuszał jej do zwierzeń, choć czasami ciekawość i pragnienie poznania tajemnicy śmierci ojca były trudne do zniesienia. ' W małym domku na przedmieściach New Forest nie było ani jednego zdjęcia ojca, ani też żadnej pamiątki z lat spędzonych przez matkę we Francji przed urodzeniem się Guya i z okresu jego wczesnego dzieciństwa. Natomiast pełno było fotografii i pamiątek dokumentujących późniejsze lata pobytu w Anglii.

Guy uznał to za dziwne i pewnego razu zapytał o to matkę.

- Nie mogłam niczego ze sobą wziąć - odparła głosem, który nagle stał się bezbarwny. - Wyjeżdżałam z Francji w wielkim pośpiechu.

- Tak bardzo się spieszyłaś?

- Niestety tak. Była wojna, Guy. Nikt wówczas nie myślał o takich rzeczach. Dla mnie tylko ty się liczyłeś.

- A tatuś? Dlaczego z nami nie wyjechał?

- Bo nie mógł. Nie było dla niego miejsca w samolocie. Zresztą i tak nie zostawiłby Savigny.

- Wolał zostać niż być z nami?

- Twój ojciec bardzo cię kochał. Ale jego obowiązkiem było zostać w Savigny i doglądać majątku i ludzi. Ojciec uważał, że Savigny to... jego święty obowiązek. Pewnego dnia to zrozumiesz.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

18

- Czy będzie to także mój święty obowiązek? - Guy wiedział już, że w przyszłości zostanie baronem.

- Sam o tym zadecydujesz, Guy. Mam jednak nadzieję, że nie odbędzie się to kosztem twojego szczęścia.

Nie zrozumiał wówczas jej słów, a nawet teraz, jako dorosły mężczyzna, nie stał się mądrzejszy. Mógł się jedynie domyślać sensu.

- Skoro wtedy nie mogłaś nic ze sobą zabrać, to dlaczego nie wróciłaś po swoje rzeczy, kiedy Niemcy odeszli? - zapytał z logiką siedmiolatka.

- Miałbym wtedy... ąo, różne samochodziki, cysterny i jeszcze inne rzeczy, które tam zostawiłem.

Guy miał kolekcję blaszanych samochodzików, sygnalizacji świetlnej i znaków drogowych, którą stale powiększał, kiedy tylko pozwalało mu na to otrzymywane kieszonkowe.

Kathryn uśmiechnęła się lekko, po czym spoważniała.

- Tak naprawdę to niczego nie chciałam stamtąd zabierać - powiedziała.

- A jeśli nawet, to wątpię, czy cokolwiek zostało po tym, jak Niemcy obeszlili się z zamkiem.

Śniade czółko Guya zmarszczyło się.

- Ale fotografie zostały. Sam je tam widziałem.

- No więc o co chodzi? Możesz przecież je oglądać, kiedy tam jesteś. Myślę, że dziadek da ci którąś z nich, jeśli go o to poprosisz.

To musiało mu wystarczyć. Wciąż jednak nurtowało go pytanie, dlaczego Kathryn nie wróciła do Francji ani też nie chciała przyjeżdżać, choć każdego lata starannie pakowała mii walizkę i wysyłała go do dziadków na co najmniej sześć tygodni.

- Dlaczego nie pojedziesz ze mną, mamusiu? - zapytał ją pewnego razu.

Zawsze bardzo za nią tęsknił, choć pobyty w Charente były wspaniałe.

Francuscy dziadkowie, ciocia Celestine, wujek Henri, cała służba i robotnicy dogadzali mu i spełniali każde jego życzenie.

- Wiesz, Guy, nie byłabym tam mile widziana - wyjaśniła krótko, a on po raz kolejny miał wrażenie, że wali głową w mur.

Tak więc każdego lata pod opieką stewardesy leciał samolotem do Bordeaux, gdzie czekał na niego ktoś z rodziny i mały chłopiec prznosił się w odmienny świat.

Za każdym razem, kiedy przybywał do Savigny, zamek robił na nim wrażenie ogromnego, ze swoimi wielkimi sklepieniami komnatami i korytarzami, w których odbijało się echo. Kiedy zaś wracał do New Forest, rodzinny

Janet Tanner

dom wydawał mu się jeszcze mniejszy od tego, który przed dwoma miesiącami opuszczał. W Savigny wszystko było duże - zamek, tereny wokół mego, samochody, nawet stół w jadalni, przy którym zasiadała w czasie posiłków cała rodzina. Natomiast domek w Anglii z małą słoneczną kuchnią, niewielkim ciasnym salonem i pokojem Guya na poddaszu z oknem wychodzącym na ogród, w którym kwitły białe róże i ostróżki, otoczony krzewami wawrzynu, przypominał jeden z domków dla lalek kuzynki Lise. Z tą tylko różnicą, że domek Lise był większy i bardziej elegancki.

Organizacja życia w Savigny była również inna. Wszystkim zajmowała się służbą kucharki, pokojówki, ogrodnicy i szofer, nie mówiąc już o robotnikach rolnych. W Anglii domem zajmowała się matka. Tylko pranie robiła jej kobieta ze wsi. Jej syn zabierał je w każdy poniedziałek, a czyste i pięknie uprasowane odnosił w środę lub w czwartek w zależności od pogody. W Savigny były trzy samochody - wielkie pojazdy o zagranicznych nazwach, podczas gdy matka miała jedynie małego Austina. Ceremonialne posiłki, rzędy wyszukanych potraw ostro przyprawionych czosnkiem i gęstych od śmietany zastępowały bardziej znane kotlety, sznycle i mleczne puddingi. Dni były jakieś dłuższe, pełne słońca. Guy często zastanawiał się, czy to aby nie dlatego, że zawsze przyjeżdżał do Savigny na lipiec i sierpień i że w Anglii też na pewno w tym czasie było lato.

Zasadniczą jednak różnicę stanowił fakt, że mógł tu swobodnie rozmawiać o ojcu. Znikała powściągliwość i próby zmiany tematu. Zawsze dostawał pokój, który niegdyś należał do ojca i spoglądając przez okno na fontannę stojącą na podwórzu i obserwując gawrony wijące sobie gniazda w wysokich topolach kryjących zamek przed zewnętrznym światem wyobrażał sobie, że ojciec robił to samo.

- Opowiedz mi, jak ty i mój ojciec byliście dziećmi - prosił ciotkę Celestine, a ona opowiadała mu ulubione rodzinne historie o piknikach w lesie, o przyjęciach nad jeziorem, o przejażdżkach na kucykach, o *monsieur* Lacroix, zrzędlwym guwernerze i Anne-Marie, kucharce, która pozwalała im wylizywać miski, kiedy piekła wspaniałe ciasta. Te historie lubił najbardziej, malowały one bowiem obraz szczęśliwych czasów, zanim przyćmił je okres hitlerowskiej okupacji.

Gotów był słuchać nawet i o tych ponurych dniach, bo dzięki temu mógł się dowiedzieć czegoś o przyczynach śmierci ojca. Czuł, że nie mówią mu wszystkiego. Dziadek, podobnie jak matka, skrętnie omijał pewne sprawy, bo były dla niego zbyt bolesne. Mimo to, kiedy Guy dorósł, był w stanie

RAJSKIE DZIEDZICTWO

20

połączyć relację dziadka z opracowaniami historycznymi i nadać tajemnicy jakiś realny kształt. Ojciec i wujek Christian działali w ruchu oporu, za co zostali aresztowani, i rozstrzelani. Z trójki dzieci wojnę przeżyła tylko ciotka Celestine, dlatego Guy miał teraz odziedziczyć tytuł barona i majątek. Czuł się dumny, że ojciec był bohaterem ruchu oporu, nie mógł jednak zrozumieć, dlaczego matka tak niechętnie o nim mówi.

Z takim samym chłopięcym żalem, z jakim wielbił bohaterską postawę ojca, nienawidził hitlerowców. Nie dość, że zabrali mu ojca, pozostawiając jedynie mgliste wspomnienia i wyblakłe fotografie, to jeszcze pozbawili go znacznej części dziedzictwa, kradnąc skarby należące od pokoleń do rodziny.

- *Cochons!* Nie powinniśmy ufać ani jednemu ich słowu, nawet przez moment. Mało im było przelanej krwi naszych rodaków, musieli jeszcze nas okraść - mówił dziadek. - Tej świni von Rheinhardtowi zawsze podobał się zamek. Zwierzęca natura nie przeszkodziła mu dostrzec pięknych przedmiotów i przywłaszczyć ich sobie. Po aresztowaniu twojego taty i wujka wyrzucił nas z zamku i wprowadził się tam wraz ze swoimi ludźmi. A kiedy okazało się, że Niemcy przegrywają wojnę, wywiózł po cichu wszystkie cenne przedmioty. Jeden Bóg wie, jak on to zrobił i gdzie je wyekspediował. Musiał już wcześniej wszystko zaplanować. Może wywiózł je do Szwajcarii? Naturalnie nie powinien był tego robić. Gdyby Niemcy wygrały wojnę, wszystkie te przedmioty przeszłyby na własność Trzeciej Rzeszy. Ale von Rheinhardt nie miał skrupułów. Był arogancką świnią i w dodatku zwierzchnikiem. Z braku wyższych oficerów robił to, co chciał. A potem, kiedy się okazało, że nadchodzi kres panowania Hitlera nad światem, podążył tą samą drogą co wywiezione skarby. Kiedy zjawili się alianci, jego już dawno w zamku nie było. Nie miał zamiaru czekać, aż go aresztują i postawią przed sądem za te wszystkie straszne rzeczy, których się dopuścił. To nie on. Był na to zbyt sprytny. Pewnie żyje sobie gdzieś teraz, otoczony naszym dziedzictwem, które od wieków należało do de Savignych i które zgodnie z prawem powinno pewnego dnia przypaść tobie, *mon petit*.

- Co to jest dziedzictwo, dziadku? - zapytał Guy z powagą. Dowiedział się, że to zastawa stołowa, obrazy, które wycięto z ram,

porcelana, miniatury, brązowa statuetka przedstawiająca boginię Ceres i tryptyk.

- Co to jest tryptyk? - zapytał Guy. Nigdy przedtem tego słowa nie słyszał.

- To obraz składający się z trzech części - wyjaśnił dziadek. - Dlatego

21

Janet Tanner

nazywa się tryptykiem, z greckiego *iriptychos*, złożony we troje, rozumiesz? Każda z tych części umocowana jest na zawiasach, jak okiennice. Dawniej zastępował ołtarz, dlatego namalowane są na nim sceny religijne, ma żywą kolorystykę i złote tło. Nasz tryptyk był czymś wyjątkowym - przedstawiał sceny z życia Dziewicy Orleańskiej. A teraz cieszy oko von Rheinhardta. No cóż, mogę mieć tylko nadzieję, że przyniesie mu pecha i ściągnie na niego śmierć.

- Dlaczego, dziadku?

- Z tryptykiem związana jest historia, którą kiedyś opowiedział mi mój ojciec. Obraz poświęcił i pobłogosławił sam papież. Miał służyć rodzinie de Savigny, dlatego ustawiono go w kaplicy zamkowej. Dwa razy padł ofiarą kradzieży i dwa razy sprawców tego czynu spotkał gwałtowny koniec, a tryptyk powrócił do prawowitych właścicieli. Za pierwszym razem ukradł go włóczęga, któremu udzielono schronienia. Znalaziono go dwa dni później w lesie, uwięzionego we wnykach zastawionych na zwierzęta. Druga kradzież miała miejsce w czasach Rewolucji. Tryptyk ukradła banda wieśniaków, próbując zapewne naśladować w tym Paryż. Zostali jednak pokonani przez oddziały wierne baronowi. Wszyscy zginęli. Człowiekowi, który miał tryptyk, podcięto gardło i obraz ponownie wrócił do zamku. Można więc przypuszczać, że historia się powtórzy i tryptyk ściągnie przekleństwo na człowieka, który go ukradł. - Uśmiechnął się smutno. - Zdziwaczały stary człowiek, pewnie tak o mnie pomyślałeś, co, Guy?

- Nie, dziadku. - Guy potrząsnął głową, a grube ciemne włosy zatańczyły wokół śniadej twarzy. - Myślę... myślę...

- Tak?

- Ze to wspaniała historia.

1 była to prawda. Opowieść dziadka rozpałała jego wyobraźnię. Wieczorem, leżąc w łóżku, otulony miękką puchową kołdrą, wrócił do niej myślami. Tryptyk, którego miejsce było w prywatnej kaplicy de Savignych, a który mógł sprowadzić nieszczęście na każdego, kto wszedł nielegalnie w jego posiadanie. Cóż to za fascynująca historia!

Wkrótce jednak cały urok opowieści prysnął jak bańka mydlana. Tryptyk nie wrócił przecież na swoje miejsce, a dziadek nadal opowiadał straszne historie i oplakiwał stratę synów i rodzinnych skarbów - obie te straty były dla niego równie bolesne - nigdy jednak nie wspominał już o przekleństwie.

Guy przez długie lata nie zaprzętał sobie tym głowy. Von Rheinhardt zniknął, a wraz z nim rodzinne skarby, nie było więc nad czym się

RAJSKIE DZIEDZICTWO

33

zastanawiać. Czasami tylko, kiedy prasa doniosła, że odnaleziono kolejnego hitlerowca uznanego za zbrodniarza wojennego, przypominał sobie o von Rheinhardzie i zastanawiał się, czy i jego pewnego dnia spotka ten sam los. Z reguły jednak sprawy wojny, okupacji hitlerowskiej i krzywd, jakie wyrządziła ona jego rodzinie, odsuwał na dalszy plan.

Teraz, leżąc i patrząc na świetlną smugę na suficie, powrócił do nich myślami.

Czy to możliwe, by Niemiec, którego poznał Bill, był von Rheihardtem? Czy opisany przez niego tryptyk mógł być tym właśnie dziełem sztuki skradzionym wraz z innymi skarbami z zamku de Savigny?

Może powodem było zmęczenie, a może dwie duże whisky wypite na pusty żołądek, ale prawie uwierzył, że takie prawdopodobieństwo istnieje.

Rozdział drugi

Kathryn de Savigny patrzyła na syna siedzącego w jej ulubionym fotelu naprzeciwko kominka i po raz kolejny zastanawiała się, co go dziś do niej sprowadziło. Skłamałaby, gdyby powiedziała, że rzadko ją odwiedza - raczej nieregularnie, praca pilota wykluczała bowiem jakąkolwiek regularność. Przyjeżdżał do niej mniej więcej dziesięć razy w roku, czasami nawet nocował w swoim dawnym pokoju na poddaszu. Często też telefonował, aby uprzedzić ją, że będzie w pobliżu lub że ma kilka dni wolnego między lotami i mógłby do niej wpaść, jeśli nie ma innych planów. Bardzo ją to cieszyło, bo pozwalało sądzić, że Guy wciąż uważa Różany Domek za swój dom. Lubiła te gorączkowe przygotowania do jego wizyty, które wywracały do góry nogami ustalony porządek dnia. Szykowała wówczas ulubione potrawy Guya, sprawdzała, czy w kredensie stoi butelka jego ulubionej słodowej whisky i czy w pokoju na poddaszu jest czysta pościel. Nie przeszkadzało jej nawet to, że musiała wcześniej zamknąć sklepik z antykami, który prowadziła w miasteczku. Sklep nie ucieknie, a na następną wizytę Guya może długo czekać. Wciąż obawiała się, że syn wyjedzie gdzieś na drugi koniec świata, no i istniało jeszcze to unoszące się nad jej życiem widmo Savigny, od którego nie mogła się uwolnić. Baron, dziadek Guya, miał już osiemdziesiąt pięć lat i choć trzymał się znakomicie, jak na swój wiek, to przecież nie będzie żył wiecznie. Pewnego dnia umrze, a wtedy Guy odziedziczy po nim tytuł barona i majątek. Zrezygnuje z latania i wyjedzie do Francji, była tego pewna. Guy bowiem traktował swoje dziedzictwo jak święty obowiązek do spełnienia - tak jak jego ojciec. Ona zaś nie zniechęcała go do tego. Przeciwnie. Zawsze starała się, aby kontakty Guya z dziadkami ze strony ojca były jak najczęstsze i przygotowywała go do roli, którą miał pełnić, kiedy nadejdzie czas.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

24

Oddawanie syna teściom na tak długo nie przychodziło jej łatwo - w końcu był on wszystkim, co jej pozostało. Zdarzały się chwile, kiedy miała ochotę spalić za sobą mosty i zatrzymać go przy sobie. Wiedziała jednak, że nie może tego zrobić. Rodzina de Savigny dość już wycierpiała i byłoby nieludzkie pozbawiać ich widoku jedyne go wnuka. Poza tym winna była to Charlesowi. Dopilnuje, by tytuł i majątek, który jemu przypadłby w udziale, odziedziczył jego syn.

Boże, jakież on jest do niego podobny, pomyślała, patrząc na Guya. W każdym razie fizycznie. Zwłaszcza w tym łagodnym świetle, jakie dawała stołowa lampa i ogień płonący w kominku, wyglądał zupełnie jak Charles. Ciemne włosy, śniada karnacja, orli nos, odziedziczony bez wątplenia po de Savignych, nawet sylwetka, sprężysta i umięśniona pod luźną bluzą i drellichowymi spodniami, też była Charlesa. Zupełnie jakby ojciec odrodził się w osobie syna.

Natomiast charakterami zdecydowanie się od siebie różnili. Guy był silniejszy psychicznie, nie taki nerwowy i bardziej polegał na sobie. Choć skromność nie pozwalała jej tego przyznać, cechy te w przeważającej części odziedziczył właśnie po niej. To ona przekazała mu wiarę we własne siły i zdolność akceptowania siebie, a także upór i niechęć do godzenia się z porażkami. Nauczyła go również, przynajmniej taką miała nadzieję, dawać i brać miłość, choć jak dotąd żadna kobieta nie dała mu szczęścia, czego bardzo dla niego pragnęła.

Może właśnie to było powodem jego dzisiejszej wizyty, pomyślała z nadzieją w sercu. Może chce jej powiedzieć, że w końcu zdecydował się poprosić Wendy o rękę. Jednak mocno w to wątpiła. Wyczuwała w nim raczej ostrożność, jakby krył w duszy jakiś sekret, niż chęć przekazania dobrych wiadomości. Poza tym, gdyby w jego życiu był ktoś ważny, na pewno by się tego domyśliła.

W każdym razie musiało być to coś ważnego, nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Jedną z cech Guya, którą odziedziczył po ojcu, była nieumiejętność ukrywania swoich uczuć. Zawsze wiedziała, kiedy chciał coś przed nią ukryć i właśnie tak się w tej chwili zachowywał.

Wstała z fotela i podeszła do kosza z drewnem. Miała na sobie obcisły wełniany sweterek koloru orzechowego i długą tweedową spódnicę, która czyniła ją wyższą i podkreślała szczupłość sylwetki. Lubiła chodzić w domu w długich spódnicach, toteż cieszyło ją, że wciąż były modne. Wełna miękko owijała się wokół nóg, dając wrażenie przytulności i chroniąc przed chłodem, który pomimo jej wysiłków wkradał się zimą do domu.

36 Janet Tanner

Wyjęła z kosza polano i wrzuciła je w ogień, pomagając sobie pogrzebaczem, aż trysnęła fontanna iskier. Płomienie oświetliły jej twarz, na której pomimo pięćdziesięciu trzech lat prawie nie było zmarszczek, i rzuciły złote blaski na krótko ostrzyżone włosy. Po chwili wyprostowała się, oparła łokieć na gzymsie kominka i spojrzała na syna.

- Czy nie sądzisz, Guy, że nadszedł czas, byś wyjawiał, co cię do mnie sprowadza? - Dostrzegła lekkie zwężenie oczu, tak lekkie, że prawie niezauważalne dla kogoś, kto go mniej znał, i już wiedziała, że się nie pomyliła. - Czyżbyś wpadł w jakieś kłopoty? - zapytała.

- Och nie, nic w tym rodzaju. Po prostu chciałem z tobą porozmawiać i nie bardzo wiem, od czego zacząć.

- Przecież nie jestem jakimś potworem. I nie tak łatwo mnie zaszokować. Zbyt długo żyję i na wiele rzeczy zdążyłam się już w życiu napatrzeć.

Uśmiechnął się lekko. Życie, które wiodła w tym sennym miasteczku w Hampshire, sprowadzające się do prowadzenia sklepu i uprawiania ogrodu, trudno było nazwać burzliwym i nawet nie wyobrażał sobie, że mogło być inne. Właściwie to nigdy nie musiała borykać się z twardą rzeczywistością. Urodziła się i wychowała w domu zamożnych rodziców, którzy ją ubóstwiali. Potem przez małżeństwo weszła do bogatej i szanowanej rodziny o rodowodzie sięgającym w zamierzchłą przeszłość i przez krótki czas pławiła się w urokach życia na wsi. To prawda, że wychowała go bez niczyjej pomocy; nie było to łatwe, ale czy to można nazwać twardą szkołą życia? Doświadczenia, jeśli w ogóle jakieś były, nie pozostawiły na niej śladu i poza rzadkimi, krótkotrwałymi wybuchami gniewu nie pamiętał, aby traciła panowanie nad sobą. Z wyjątkiem jednego tematu.

- Dotyczy to sprawy, o której nigdy nie chciałaś ze mną rozmawiać - powiedział.

Natychmiast zeszywniała, a piękna wypielęgnowana dłoń zacisnęła się na gzymsie kominka.

- Chciałbym porozmawiać z tobą o wojnie - zaczął, nienawidząc siebie za to, ale wiedział, że nie ma odwrotu.

- Po co? - W jej głosie dało się słyszeć lekkie drżenie, lecz także dobrze mu znany upór. - Wojna skończyła się dawno temu. Dlaczego akurat teraz chcesz o niej mówić?

- Bo dla mnie wcale się nie skończyła. Miało miejsce pewne zdarzenie, które chciałbym wyjaśnić, lecz znając twój stosunek do sprawy, nie chciałbym tego robić bez rozmówienia się z tobą. Poza tym potrzebuję twojej pomocy.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

26

- O czym ty mówisz, Guy?

Zawahał się. Nie było mu łatwo o tym mówić.

- Wydaje mi się, że wiem, gdzie jest Otto von Rheinhardt. - Posłyszał, jak gwałtownie wciąga powietrze i zaczął mówić szybko: - Wiem, jak cię to denerwuje, ale powtarzam: wydaje mi się, że wiem, gdzie go mogę znaleźć. Nigdy go nie złapano, prawda? Nigdy nie odpowiedział za swoje zbrodnie. Jeśli nadal żyje, to najwyższy czas, by za nie odpokutował, nie uważasz? Jej ręka powędrowała ku szyi, a palce nerwowo bawiły się złotym łańcuszkiem zdobionym brązowy sweterek. Nie pamiętał, by kiedykolwiek widział ją tak wzburzoną.

- Dowiedziałem się o pewnym Niemcu żyjącym na wygnaniu - ciągnął. - Ma on dom pełen cennych przedmiotów, które dziwnie przypominają te ukradzione z zamku w Savigny. Dziadek mówi! mi o skarbach zrabowanych w czasie wojny, zwłaszcza o tryptyku...

- Na świecie jest mnóstwo tryptyków. Dlaczego więc przypuszczasz, że to jest właśnie ten?

- Nie mam co do tego pewności. Oczywiście mogę się mylić. - Nie miał ochoty na wdawanie się w szczegóły. - Masz rację, to mało prawdopodobne, ale tak czy inaczej ten Niemiec jest w odpowiednim wieku i żyje w luksusie na jednej z wysp Morza Karaibskiego, otoczony cennymi przedmiotami, które prawdopodobnie pochodzą z Francji... Chcę to sprawdzić. Ten człowiek może nie być von Rheinhardtem. Tryptyk i pozostałe rzeczy mogą okazać się nie tymi, które skradziono z Savigny. Ale głowę dam, że pochodzą z kradzieży. Jeśli ja nie odbiorę naszych rodzinnych pamiątek, to przynajmniej ktoś inny będzie mógł je odzyskać.

W pokoju zapanowała cisza. Słysząc było jedynie trzask ognia i tykanie starego zegara na kominku. Guy spuścił wzrok, po czym ponownie spojrzał na matkę. Wydawała się bardzo blada.

- Problem w tym, że potrzebuję kilku wskazówek - odezwał się. - Znałaś von Rheinhardta, a ja muszę wiedzieć, jak on wygląda.

- Mój drogi, minęło przecież trzydzieści lat od czasu, kiedy go ostatni raz widziałam. Jeśli nawet nie zrobił sobie operacji plastycznej, to i tak musiał się zmienić. Nie przyszło ci to do głowy?

- Ty się wcale nie zmieniłaś. Widziałem twoje ślubne fotografie i te z czasów, kiedy byłem dzieckiem, i nie uważam, żebyś wyglądała teraz inaczej.

Kathryn roześmiała się lekko.

- Bzdury! Oczywiście, że się zmieniłam.

Janet Tanner

- Jesteś starsza, to prawda. Ale nie można cię z nikim pomylić.

- Mówisz tak, bo regularnie mnie widzisz. Zmiany następują stopniowo, powoli i po prostu się do nich przyzwyczaiłeś. Twój francuski dziadkowie i ciotka Celestine na pewno uznałyby, że się zmieniłam. Podobnie jak każdy, kto nie widział mnie przez dłuższy czas. Tak samo będzie z von Rheinhardtem. Przypuszczam, że nie rozpoznałabym go na ulicy.

Lekkie drżenie w jej głosie powiedziało Guyowi, że to nieprawda. Arogancja tego człowieka i zimne spojrzenie oczu w przystojnej aryjskiej twarzy nigdy się nie zmieniają... Nie zapomni ich nawet za trzysta lat.

- Nie uważasz, że powinien stanąć przed sądem? - zapytał szorstko Guy, - Dlaczego ktoś, kto popełnił tyle zbrodni, miałby żyć bezkarnie i czerpać korzyści ze swojej nikczemności? Nie chciałabyś, aby został ukarany?

- Jestem pewna, że kara go nie minie - odparła Kathryn cicho. - Jeśli nie w tym życiu, to w następnym. I to mi wystarczy.

- Jak możesz tak mówić? - W głosie Guya brzmiało rozgoryczenie.

- Von Rheinhardt potrafił splugawić wszystko i wszystkich wokół siebie. I może zrobić to znowu.

- Nie będzie miał okazji, jeśli trafi do więziennej celi.

- Nie bądź tego taki pewny. Są ludzie, którzy potrafią rozsiewać wokół siebie zło bez względu na okoliczności. Nie mam tu na myśli żadnych namacalnych kłopotów. On potrafi wydobyć z ludzi ich najgorsze cechy. Nie, nie, uważam, że przeszłość najlepiej zostawić w spokoju. Mnie udało się zostawić ją za sobą. Dlaczego ty nie zrobisz tego samego?

- Bo w przeciwieństwie do ciebie chcę, by człowiek, który jest odpowiedzialny za śmierć ojca, stanął, jeśli to możliwe, przed sądem, i chcę, by rodzinne skarby wróciły na swoje miejsce. Nie chcę cię ranić, mamó. Nie chcę wywlekać wspomnień, które sprawiają ci ból. Ale jestem to winny ojcu, czy tego nie rozumiesz? Jestem to winny rodzinnej spuściznie.

- Spuściznie de Savignych - powiedziała ze znużeniem w głosie. Nagle wydała mu się bardzo stara, chociaż jeszcze niedawno wyglądała tak młodo. - Och, Guy, jaką straszną odpowiedzialność to za sobą pociąga.

- Co masz na myśli?

Chwilę milczała, po czym wzruszyła ramionami.

- Rodzinną dumę i obowiązek. Mówisz jak twój ojciec. Widzę w tym robotę twojego dziadka. Wiem, że spoczywa na tobie obowiązek kontynuowania linii de Savignych. Robiłam, co mogłam, by ci to ułatwić, choć

RAJSKIE DZIEDZICTWO

28

Bogiem a prawdą nie tego dla ciebie pragnęłam. Mieszkaliśmy w Anglii, ale robiłam wszystko, byś i we Francji czuł się równie dobrze jak tu, byś rozumiał tych ludzi i był godny tytułu i nazwiska. Pogodziłam się już z tym, że pewnego dnia cię stracę...

- Bzdury! - przerwał jej gwałtownie. - Wcale nie musisz mnie tracić!

- Pogodziłam się z tym, że tam będzie twoje miejsce. Gdyby twój ojciec żył, tak by się stało - ciągnęła ignorując jego uwagę. - Ale o jedno cię proszę, Guy. Nie pragnij zemsty w imię samej zemsty. Nie przyniesie to nikomu pożytku, a może uczynić wiele szkody.

- Więc mi nie pomożesz?

Przez dłuższą chwilę me spuszczała z niego twardego spojrzenia. Wydawało mu się, że dostrzega w jej oczach płomień dawnego ognia, jednak po chwili zacisnęła usta z wyrazem determinacji.

- Nie, nie pomogę. Posunę się nawet dalej, Dotąd rzadko cię o coś prosiłam. Chciałam, byś sam mógł decydować o własnym życiu. Lecz teraz proszę cię: jeśli szanujesz moje uczucia, zapomnij o całej sprawie. Błagam, zostaw przeszłość w spokoju.

Patrzył na nią zdając sobie sprawę z tego, jaki ból jej zadaje, ale wiedział, że nie może się cofnąć. Musi to zrobić, dla ojca, dla rodziny.

- Wybacz, mamó, że sprawiam ci ból. Ale muszę sprawdzić, czy ten człowiek jest von Rheinhardtem.

- Rozumiem - westchnęła. - No cóż, bardzo bym chciała, byś tego nie robił, Guy, ale rozumiem cię. - Zamilkła, odzyskując panowanie nad sobą. - Napijesz się? Mam butelkę Glenfiddich w kredensie.

- Tak, proszę.

- Wiesz co? Obojgu nam się to przyda - stwierdziła po chwili.

Po jego wyjściu usiadła i długo wpatrywała się w ogień.

Sądziła, że ten rozdział historii został już zakończony, ale najwidoczniej się myliła. Nie, właściwie wiedziała, że się nigdy nie skończy, lecz nauczyła się z tym żyć. A teraz wszystko zaczynało się od nowa. Minęło trzydzieści lat, miała teraz nowe życie, które zbudowała dla siebie i dla Guya w tym cichym miasteczku w Hampshire. Najpierw obracało się wokół syna, a potem wokół zajęć, które zupełnie jej wystarczały - wokół sklepu, domu i ogrodu. To życie zostało jej darowane. Nie tak je sobie wyobrażała, ale nie mogła narzekać. Pogodziła się z tym, tak jak godzą się ludzie, którzy przeszli przez

40 Janet Tanner

piekło i w ciągu kilku lat przeżyli więcej niż inni przez całe swoje życie. Pogodziła się, a nawet była wdzięczna. Miała przecież Guya. Przyglądała się, jak dorasta. Było to więcej, niż mogła oczekiwać. Poza tym była niezależna. To ceniła sobie ponad wszystko. Miała też wspomnienia, te drogie jej sercu i te niemiłe, które skryła w najgłębszych zakamarkach pamięci.

Teraz znowu czarna otchłań groziła rozstąpieniem, a szczelnie zamknięte drzwi do przeszłości skrzypiały w zardzewiałych zawiasach.

Ten Niemiec, o którym mówił Guy, wcale nie musiał być von Rheinhardtem. Przemawiało przeciw temu wiele argumentów. Czowała jednak podświadomie, że to może być on.

Potwór nie umarł, tylko zasnął. Jeśli Guy go odnajdzie i postawi przed sądem, prawda wyjdzie na jaw, wszystkie sekrety, które tak starała się ukryć. Lecz nie mogła już nic na to poradzić, jedynie modlić się i mieć nadzieję.

Żar w kominku powoli dogasał. Zadrzała wychodząc z ciepłego kręgu, zebrała puste szklaneczki i zaniósła do kuchni. Nie zmyje ich dziś wieczorem.

Kiedy mijala lustro wiszące w małym przedpokoju, oprawione w drewnianą, lekko popękaną ramę - kupiła je na jednej z jej ulubionych wyprzedaży - mimowolnie spojrzała na swoje odbicie i przez moment wydało się jej, że widzi w nim nie pięćdziesięcioletnią kobietę, ale dziewczynę, jaką niegdyś była. Tak jakby to, co powiedział Guy, było prawdą i jakby mimo upływu czasu nie zaszły w jej twarzy żadne zmiany. Nikłe światło w cudowny sposób zatuszowało wszystkie zmarszczki i przebłyski siwizny w jasnozłocistych włosach i zobaczyła siebie taką, jaką była wówczas, przed trzydziestu laty. To dziwne, pomyślała, jak niewiele bliźni mogą pokazać światu po tym, co przeszłam. Z drugiej jednak strony wyszłam z tego obronną ręką. Inni nie.

Och, Guy, Guy, dlaczego nie zostawisz tego w spokoju? - mruknęła do nowego wizerunku w lustrze. Jedyna odpowiedź, jaka brzmiała jej w uszach, to ta, którą usłyszała z ust syna.

Zrobi to, co musi - dla siebie, dla ojca i dla dynastii de Savigny. To, że nie zdawał sobie sprawy, iż może przy tym uwolnić demony przeszłości i wyrządzić wszystkim wiele zła, nie miało teraz znaczenia. Jedyne, co mogła zrobić, to wyjawić mu całą prawdę. Wzdrygnęła się na samą myśl o tym. W końcu ten Niemiec może być zupełnie kimś innym. Jeśli tak, to przerwanie milczenia może się okazać zupełnie niepotrzebne. Żarliwie starała się mieć nadzieję, że ten człowiek nie jest von Rheinhardtem.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

30

Guy wracał najpierw boczną potem główną drogą do Bristolu, a reflektory samochodu rozświetlały panującą wokół ciemność. Jechał wolniej niż zwykle, bo umysł miał zajęty myślami, a szybka jazda, nawet tak spokojną drogą jak ta, wymagała ogromnej koncentracji.

Reakcja matki nie zaskoczyła go. Spodziewał się, że tak będzie. Dlaczego miałyby nagle zmienić ustalone zasady i rozmawiać z nim o sprawach, o których dotąd nie chciała mówić? Z drugiej jednak strony czuł się rozczarowany. Znając jej nienawiść do hitlerowców, a w szczególności do tego jednego, spodziewał się, że na wieść o odnalezieniu von Rheinhardta matka wyzbędzie się dawnej powściągliwości. Przecież chciała, aby zatriumfowała sprawiedliwość. Czyż to nie uwolniłoby jej od duchów przeszłości? Lecz najwidoczniej nie tego pragnęła. Nawet możliwość zemstczenia się na wrogu nie była w stanie zmusić jej do wyjawienia sekretu.

W każdym razie poinformował ją o swoich zamiarach - o tym, że chce wziąć pracę Billa na Karaibach i osobiście sprawdzić tego Niemca. Nie mógł jej o tym nie powiadomić. Lubił stawiać sprawy jasno i uczciwie. Miał nadzieję, że mu pomoże, ale najwidoczniej nie była na tę pomoc przygotowana. No cóż, będzie musiał poszukać jej gdzie indziej. Dziadek na pewno nie będzie taki niechętny. Pojedzie do Francji i porozmawia z francuską rodziną.

I tak zamierzał tam pojechać. Odmowa Kathryn jedynie utwierdziła go w tym zamiarze.

Ale dlaczego ona tak się broni przed przeszłością? Nie mógł tego zrozumieć i chyba nigdy nie zrozumie. W większości spraw była równie otwarta i uczciwa jak on, nie unikała odpowiedzialności ani też nie próbowała kryć się przed rzeczywistością. Tylko tę jedną sprawę traktowała jak zamkniętą księgę i najwidoczniej nic nie było w stanie jej otworzyć.

Guy westchnął. Nie chciał denerwować matki, ale już powziął decyzję. Nie spocznie, póki nie sprawdzi, czy Niemiec, o którym mówił Bill, to Otto von Rheinhardt. Inne względy muszą zejść na dalszy plan.

Rozdział trzeci

Blade zimowe słońce przeświecało przez nagie gałęzie topoli otaczających zamek, przydając nieco ciepła kamiennym ścianom i czerwonemu spłowiątemu dachowi. Odbijało się w trzech kondygnacjach okien ozdobionych okiennicami i rzucało nikłe cienie na dwie wieżyczki, które jak strażnicy strzegły starego domostwa - rodowej siedziby de Savignych i centrum życia wsi o tej samej nazwie.

Siedzący za masywnym starym biurkiem w gabinecie na pierwszym piętrze baron Guillaume de Savigny uniósł głowę znad ksiąg, rozkoszując się przyjemnym ciepłem wpadających przez okno słonecznych promieni, które ogrzewały pergaminową skórę jego twarzy. Lekki uśmiech rozciągnął niegdyś kształtne, lecz teraz wąskie wargi. Cóż za rozkosz móc wystawić twarz do słońca; nie lubił marznąć, a tej zimy wyjątkowo często odczuwał chłód. Pomimo stale palących się kominków i centralnego ogrzewania, które założył kosztem ogromnych nakładów w swoich prywatnych apartamentach, zamek wciąż nie należał do najcieplejszych. Kiedyś nie zwracał na to uwagi. Traktował z pogardą tych, którzy narzekali na zimno, kiedy ciepłe letnie dni ustępowały miejsca chłodnym wiatrom i ostrym mrozom. Teraz, w wieku osiemdziesięciu pięciu lat, widział te sprawy inaczej. Chłód, który niegdyś kwitował wzruszeniem ramion, wciskał się teraz w kości i wzmagał w biodrze ból - pozostałość po upadku z konia w czasach młodości. Ze strachem spoglądał **na** zmieniające barwę liście na topolach okalających front zamku i orzechu włoskim rosnącym w kotlinie z tyłu budowli. Choć zdrowie wciąż mu dopisywało, nie mógł powstrzymać się przed zadaniem sobie pytania, czy aby dożyje następnej wiosny i zobaczy je znowu zielone.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

32

Były to jednak przelotne chwile; Guillaume de Savigny nie należał do chorowitych. Nadzwyczaj cenił sobie wygodę: nie tylko komfort fizyczny, jaki dawało ciepłe puchowe łóżko, dobre jedzenie i kieliszek koniaku z własnych winnic, ale również dobre samopoczucie. Zamartwianie się i smutek uważał za stratę czasu. Potrafił ignorować okoliczności lub wydarzenia, które mogły go zdenerwować i zniszczyć psychiczną równowagę. Kiedy sprawy szły niepomyślnie, pierwszą jego reakcją był gniew i oburzenie, że los może postępować z nim tak niehonorowo i niesprawiedliwie, lecz już po chwili godził się z nim i życie toczyło się dalej. Tę zdolność uważał Guillaume za swoją największą siłę, chociaż niektórzy uznawali ją za słabość. Tak czy owak pomogła mu ona przyjmować spokojnie ciosy, które słabszy człowiek uznałby za druzgocące, i prawdopodobnie zachować tak nadzwyczajny stan zdrowia, zarówno psychiczny jak i fizyczny. Odsunął krzesło z drzewa różanego wyściełane ciemnozieloną skórą, wstał wolno zza biurka i podszedł do okna. Był szczupłym mężczyzną średniego wzrostu, ubranym w tweedowy garnitur, który miał już za sobą dni świetności. Guillaume spokojnie mógł sobie pozwolić na kupienie nowego - pieniądze nigdy nie stanowiły dla de Savignych problemu - sęk w tym, że lubił rzeczy stare i znane i jak wielu zamożnych ludzi nie widział sensu w wydawaniu niepotrzebnie pieniędzy. Garnitur był przecież jeszcze dobry. Jego żona Louise, która wciąż dbała, aby ubierać się z paryskim szykiem, mogła mu suszyć głowę, ile chciała, by kupił sobie nowy, ale Guillaume potrafił okazać upór równy własnej łagodności. Lubiał ten garnitur, nie widział w nim nic złego, pasował do każdej koszuli - im była cieplejsza i bardziej wytarta, tym lepiej - a jeżeli Louise to się nie podoba, to jej sprawa.

Gabinet Guillaume'a mieścił się we frontowym skrzydle zamku. Jego okna wychodziły na szerokie brukowane podwórze, na którym latem tryskała fontanna. Teraz zimą była nieczynna, a wieńcząca ją kamienna nimfa spoglądała obojętnie w dół na pustą niszę. Za podwórzem rozciągały się trawniki - pas schludnie utrzymanej zieleni - a dalej szara wstęga alei dojazdowej wysadzana smukłymi cyprysami i pół mili parku oddzielającego zamek od głównej drogi prowadzącej do wioski. Był to widok, na który Guillaume mógł patrzeć bez końca i który w jego mniemaniu świadczył o wieczności Savigny. Przez ponad pięć wieków zamek był schronieniem dla rodziny i wsparciem dla miejscowej ludności. Przetrwał Rewolucję i dwie

Janet Tanner

wojny światowe. Guillaume święcie wierzył, że przetrwa następne pięć stuleci i nadal będą go zapelniać członkowie rodziny de Savigny, dbać o niego i zajmować się produkcją koniaku, wytwarzanego z miejscowych winogron i sprzedawanego pod nazwą Chateau de Savigny. Już sama nazwa napawała go dumą i z równą mocą jak sam trunek grzała stare kości, Ponownie zasiadł za biurkiem. Miał teraz mniej obowiązków niż kiedyś, gdy musiał doglądać uprawy winorośli i prac związanych z produkcją lekkiego wytwornego koniaku, z którego słynęło Savigny. Część obowiązków wziął na siebie Henri Bernard, jego zięć, mimo to nadal lubił trzymać rękę na sterach. Henri był dobrym biznesmenem, bystrym i odpowiedzialnym, ale Guillaume nie mógł się zdobyć na przekazanie władzy człowiekowi, który nie urodził się de Savignym.

Gdyby jego synowie żyli, prawdopodobnie usunąłby się i przekazał im pieczę nad majątkiem. A może i nie? Właściwie to żadnemu z nich nie poświęcał nigdy zbyt wiele czasu. Charlesa uważał za człowieka bez charakteru, a Christiana za nieudolnego, on sam zaś był dumny i uparty. Lecz obaj synowie zginęli. Widział, jak ich zabierano, i fakt, że przez całe życie irytowali go, stał się teraz czymś niestosownym. Obaj zostali pośmiertnie odznaczeni Krzyżem Walecznych, ale nie rekompensowało to ich straty. Jego największą nadzieją był teraz Guy, jedyny wnuk, który miał odziedziczyć po nim tytuł barona. Chłopak jednak miał cechy niespokojnego ducha, za co Guillaume winił Kathryn, jego matkę Angielkę. Zresztą miał jej wiele do zarzucenia, z wyjątkiem może śmierci Charlesa. Ale Guy miał silne wycucie historii i rodzinnej więzi, toteż Guillaume wierzył, że kiedy nadejdzie czas, majątek będzie bezpieczny w jego rękach. Zresztą musiał w to wierzyć, żeby nie sprzeniewierzyć się rodzinnej tradycji. Minęło już ponad dwieście lat, od kiedy dziadek Guillaume'a, baron de Savigny, zaczął produkować koniak i sprzedawać go najlepszym kupcom w Anglii i na kontynencie. To on zaprojektował charakterystyczne grawerowane butelki z wytłaczanymi etykietami i ustalił zasady, które zadecydowały o jakości trunku: ma być robiony tylko z winogron pochodzących z własnej pięćdziesięciohektarowej winnicy; żadnych innych, nawet gdyby przyszły chude lata. Przeznaczone do destylacji wino ma być robione z moszczu winogronowego, a powstały w ten sposób destylat ma dojrzewać przez dwadzieścia lat w wilgotnych piwnicach zamkowych. Teraz mieli do dyspozycji siedem destylatorów i choć ich wydajność nie mogła się równać

RAJSKIE DZIEDZICTWO

45

z wydajnością największych producentów okręgu, to wysoka jakość koniaku zapewniła równie wysoką pozycję.

Dzięki doskonałości trunku i trwałym podstawom finansowym interes przetrwał wszelkie burze dziejowe.

Po dziesięciu latach od wcielenia w życie śmiałego pomysłu winnice w Charente zaczęła niszczyć filoksera, szkodnik z rodziny mszyc, powodująca wysychanie i obumieranie winorośli. To niepowodzenie dosłownie złamało serce dziadkowi Guillaume'a. Pewnego dnia wyszedł z domu obejrzeć szkody i już nie wrócił. Pracownicy znaleźli go nieżywego w ukochanej winnicy. We wsi rozeszła się plotka, że koniak Chateau de Savigny zostanie sprzedany bogatemu kupcowi - skupował on zniszczone winnice od tych plantatorów, którzy nie byli w stanie się z nich utrzymać. Rodzina de Savignych miała dość pieniędzy, by przeczekać kryzys, ale panicz Louis był przecież bankierem i nigdy nie wykazywał zainteresowania produkcją koniaku, jedynie jego konsumpcją.

„Panicz Louis” jednakże miał inne plany. Wiedział, ile ten interes znaczył dla ojca, i nie miał zamiaru pozwolić mu umrzeć wraz z nim. Tak zorganizował sobie pracę w banku, by mógł spędzać więcej czasu w zamku i zająć się winnicami, które ojciec zmarnował. Początkowo, idąc śladem innych plantatorów, usiłował znaleźć odpowiedni środek, by uratować delikatną francuską winorośl. Kiedy wszelkie sposoby zawiodły, przyłączył się do wyprawy udającej się do Nowego Świata z zamiarem poszukania nowych odmian, które zastąpiłyby chore. Wyprawa opłaciła się, bo przywiózł ze sobą sadzonki, którym odpowiadały warunki glebowe Charente. Louis osobiście doglądał ich sadzenia w równych rzędach na łagodnie opadających zboczach. Guillaume był wówczas małym dzieckiem, ale wydawało mu się, że pamięta radość, jaka wybuchła, kiedy nowe rośliny zakwitły i dały owoce.

Koniak wydestylowany z pierwszego wytlóczenia leżał jeszcze w piwnicy, kiedy wybuchła pierwsza wojna światowa. Ominęła ona Savigny. A kiedy świat ogarnął wielki kryzys i w Ameryce wprowadzono prohibicję, dla Chateau de Savigny przyszły dobre czasy, bo sprzedawano go głównie na ekskluzywnym rynku angielskim i na kontynencie, a jego odbiorcami byli ludzie, których nie dotknęły wahania giełdowe.

Kiedy Louis dołączył do ojca i Guillaume przejął rodzinne dziedzictwo, spokojowi w Charente zagroziła kolejna wojna. Tym razem nie udało się jej uniknąć. Francja poddała się hitlerowskiemu okupantowi i została podzielona

Janet Tanner

linią demarkacyjną na dwie części, a ziemie Savigny znalazły się po obu jej stronach. Nie zaszkodziło to produkcji koniaku. Niemieccy najeźdźcy zbyt lubili delikatny złocistobrazowy płyn, by dopuścić do jego zniszczenia. Dopóki część produkcji była przeznaczona na ich własne potrzeby, nie mieli nic przeciwko temu, aby szła nieprzerwanie dalej. Wojna jednak znacznie ograniczyła liczbę robotników i trzeba było zaangażować do pracy starców i kobiety, by zdążyć zebrać owoce przed nadejściem mrozów.

W tych niespokojnych latach wielu producentów koniaku z zamiłowaniem oszukiwało Niemców, wlewając do butelek gorszy gatunek i naklejając fałszywe etykiety informujące o najwyższej jakości, ale Guillaume nigdy się na to nie zdobył. Był zbyt dumny z wysokiej jakości Chateau de Savigny. Nie mógł znieść myśli, aby ktokolwiek, nawet Niemiec, po spróbowaniu doznał rozczarowania.

Teraz nic takiego już nie groziło. Po upadku hitlerowskich Niemiec i wyzwoleniu Francji nastąpiły lata dobrej koniunktury i Chateau de Savigny zyskał na znaczeniu i stale rósł w siłę, a Guillaume, pomimo wszystkich ograniczeń, jakie niósł ze sobą podeszły wiek, wciąż lubił trzymać rękę na pulsie. Miał nadzieję, że kiedy go zabraknie, interes poprowadzi kolejny de Savigny. Henri robił, co mógł, lecz to nie było to samo. On nie należał do rodziny i nie on miał odziedziczyć rodzinny majątek.

Synowie Guillaume'a nie żyli i żadne pobożne życzenia nie przywrócą im życia. Celestine zaś miała tylko córki i były to panny o dość radykalnych poglądach. Pokręcił głową na myśl o dwudziestopięcioletniej, niezamężnej Lise, którą bardziej interesowali lewicowi pisarze i politycy niż rodzinne dziedzictwo. Druga wnuczka, Françoise, studiowała na Sorbonie i wyglądało na to, że pójdzie w ślady swojej siostry.

Wszystkie swoje nadzieje Guillaume pokładał więc w Guyu, który miał wkrótce przyjechać. Szczupłymi bladymi palcami chwycił za brzeg książki, wyciągnął spod niej list i położył go na biurku, by móc w każdej chwili przeczytać na nowo.

Przyjazd Guya o tej porze roku był czymś niezwykłym i Guillaume zachodził w głowę, co było tego przyczyną. Może w końcu postanowił zrezygnować z tych swoich małych dwusilnikowych samolotów i zamieszkać w Savigny na stałe? Byłoby to najlepsze z rozwiązań, najprostszy ze sposobów na przekazanie władzy następnemu z de Savignych. Przyjemnie byłoby mieć Guya pod ręką, kiedy śmierć stanie u węzłowia, co mogło się zdarzyć w każdej chwili,

RAJSKIE DZIEDZICTWO

36

Już i tak żyję o wiele dłużej niż mój ojciec i dziadek, pomyślał z wisielczym humorem. Zapewne to rychły przyjazd Guya sprawił, że tak lekko potraktował własną śmiertelność.

Dziadku, muszę z tobą porozmawiać na osobności - powiedział Guy.

Kolacja właśnie dobiegła końca. Był to jeden z tych ceremonialnych posiłków, które baron Guillaume de Savigny tak lubił i celebrował przez lata. Nawet kiedy byli- z Louise sami, jadali posiłki w jadalni, **przy** długim stole refektarzowym, który mógł swobodnie pomieścić dwanaście osób. Na obu końcach stały ciężkie masywne świeczniki oświetlając miękkim pelzającym światłem twarze ludzi i portrety przodków spoglądających na nich ze ścian. Guillaume lubował się w tej nieziennej od lat i dobrze znanej ceremonialności, która stanowiła dla niego jeszcze jeden dowód ciągłości dziejów.

Tego wieczoru przy stole siedziało sześć osób: on i Louise, jak zawsze elegancka, choć już trochę słaba, w paryskiej sukni z miękkiej czarnej wełny, następnie Henri i Celestine, jego córka i zięć, których apartamenty mieściły się na drugim piętrze zamku, a także Lise, która przyjechała z Paryża na weekend i, oczywiście, Guy. Guillaume popatrzył na wnuka z zadowoleniem. Na pierwszy rzut oka wyglądał zupełnie jak jego syn Charles w młodości. Guy miał jednak w sobie coś, czego ojcu zawsze brakowało - siłę charakteru. Stanowiła ona pewnego rodzaju rekompensatę za rozczarowanie i zawód, jaki Guillaume odczuwał w stosunku do syna. Może niesłusznie żywił urazę do Kathryn, bo przecież po niej Guy odziedziczył tę siłę. Nie mógł jej też zarzucić, że źle go wychowała. Miał natomiast ogromną pretensję o zabranie wnuka z Charente. Dawne nieporozumienia między nimi zakorzeniły się zbyt głęboko, by mogli sobie teraz wybaczyć i pojednać się.

- Chcesz więc ze mną porozmawiać - powiedział, mieszając resztkę koniaku w kieliszku. - Mogłem się domyślić, że masz jakiś powód, przyjeżdżając tu tek niespodziewanie. Chodźmy zatem do mojego gabinetu.

- Och, Guy, czy musisz być takim nudziarzem? - rzuciła szorstko Lise. Ta szorstkość była widoczna w całej jej postaci, poczynając od małej nieruchomej twarzy, a kończąc na zdecydowanie męskim sposobie ubierania. Gdzież się podziała ta dziewczynka w spódniczce, falbankach i wstążkach we włosach, której dźwięczny śmiech odbijał się echem w całym zamku? - zastanawiał się czasami Guillaume. Jej włosy były teraz długie i gładko

48 Janet Tanner

zaczesała, z grzywką niemal zasłaniającą jej oczy. Rzadko się też śmiała. Ton jej głosu oscylował zwykle między agresją a powagą i nie miał w sobie za grosz kobiecego ciepła. Doskonale wiedział, że ten agresywny ton pojawił się wtedy, gdy pozbawiano ją towarzystwa Guya. Od dzieciństwa darzyła kuzyna bezgranicznym wprost uwielbieniem graniczącym z obsesją. W dzieciństwie nie odstępowała go nawet na krok, chodząc za nim jak szczeniak. Upływ lat niewiele zmienił. Guillaume był przekonany, że przyjechała do domu tylko ze względu na obecność Guya. Większość czasu spędzała teraz w Paryżu ze swymi wyjątkowo nudnymi przyjaciółmi.

- Wybacz, Lise, ale to ważne - powiedział Guy wstając od stołu i kierując się w stronę drzwi. Przechodząc obok pociągnął ją za kosmyk włosów. - Później opowiesz mi wszystkie nowiny.
- Skąd wiesz, że chciałabym ci coś opowiedzieć? - odparowała, ale blade policzki lekko się zabarwiły.

Guy przepuścił dziadka przodem i dostosował do niego swój krok, kiedy szli korytarzem, a potem rzeźbionymi schodami na piętro. Gabinet tonął w ciemnościach; okna zasłaniały ciężkie kotary. Guillaume usadowił się w swoim ulubionym fotelu; w tym czasie Guy obszedł pokój, zapalając lampy, po czym przysiadł na brzegu biurka i spojrzał na dziadka.

- Pamiętasz, jak kiedyś opowiadałeś mi o Niemcu, który mieszkał tu w czasie wojny i spowodował śmierć ojca?

- Również wuja Christiana i wielu innych. - W głosie Guillaume'a brzmiała gorycz. - Jakże mógłbym o nim zapomnieć?

- Nie mam pewności, ale wydaje mi się, że można go odnaleźć.

Przez chwilę Guillaume siedział jak przymurowany, nie mogąc wydobyć z siebie głosu, po czym pokręcił głową.

- Po tylu latach? Niemożliwe!

- Dlaczego? O ile wiem, udało mu się uciec przed odpowiedzialnością za swoje czyny, ale to nie oznacza, że zdoła się ukrywać przez całe życie. Świat jest teraz mniejszy niż przed trzydziestu laty. Poza rym ci zbrodniarze wojenni stali się nieostrożni i pewni siebie, sądząc, podobnie jak ty, że po tak długim czasie nic już im nie grozi. Przecież znaleziono Klausego Barbiego, który mieszkał sobie spokojnie w Peru pod przybranym nazwiskiem. Takich jak on jest wielu.

Dlaczego więc von Rheinhardt nie miałby wypłynąć na powierzchnię kloaki, w której się ukrył?

- To brzmi rozsądnie. Nie wiem dlaczego, ale zawsze wyobrażałem sobie, że on nie żyje. W porównaniu ze mną był młodym człowiekiem, a ja wciąż

RAJSKIE DZIEDZICTWO

38

żyję i wierzę. - Na ustach Guillaume'a pojawił się blady uśmiech, lecz przez pergaminową skórę przeświecały napięte żyły, a dłonie zaciskały się na poręczach fotela. - Dlaczego zacząłeś go szukać? Pewnie sprowokowały cię do tego moje opowieści.

- Wcale go nie szukałem - wyjaśnił Guy. - Zawsze myślałem, że dobrze byłoby go odszukać, by mógł stanąć przed sądem, ale niczego w tym celu nie robiłem, jedynie tu i tam zapuściłem macki. O tym Niemcu, który przypuszczalnie jest von Rheinhardtem, dowiedziałem się przypadkowo. W dodatku dzięki przedziwnemu zbiegowi okoliczności, co bardziej mnie przekonało niż jakiegokolwiek fakty.

- Rozumiem. - Lekko załzawione oczy Guillaume'a zapatrzyły się gdzieś w dal. W rzeczywistości spoglądały w przeszłość. - I co zamierzasz teraz zrobić?

- Polecieć na Karaiby. Właśnie tam mieszka ten Niemiec. Spróbuję go odnaleźć i ustalić, czy faktycznie jest von Rheinhardtem.

- A jak się do tego zabierzesz?

- Zapoznam się najpierw z wszelkimi dostępnymi archiwaliami, takimi jak dokumenty czy fotografie. Przypuszczam jednak, że dobrze zatarł za sobą ślady i jest teraz kimś zupełnie innym. Pozostaje jeszcze jedno wyjście. Może niczego nie dowiesz, ale wystarczy, by upewnić mnie, że jestem na właściwym tropie.

- Jakże?

- Powiedziano mi, że ten Niemiec ma w domu mnóstwo cennych przedmiotów, dzieł sztuki i wszystko wskazuje na to, że pochodzą one z Francji, Von Rheinhardt przecież okradł nas z wielu cennych eksponatów, prawda?

- Tak. Te przedmioty były w rodzinie od pokoleń. On zajął zamek na kwaterę główną, dzięki czemu spokojnie mógł sobie wybrać eksponaty, które mu się najbardziej podobały i jednocześnie nadawały się do transportu.

- Czy masz opis tych skradzionych rzeczy na tyle dokładny, by móc je zidentyfikować?

- Oczywiście. Jak tylko odzyskaliśmy zamek, zrobiłem spis inwentarza.

- Również fotografie?

- Tak. Fotografie są doskonałym zabezpieczeniem na wypadek kradzieży dzieł sztuki. Nie dlatego, bym się kiedykolwiek spodziewał, że zostaną zrabowane przez hitlerowców, lecz dla ochrony przed zwykłymi złodziejami.

Janet Tanner

- Czy mógłbyś mi je dać? Gdybym miał pewność, że przedmioty, które ten człowiek ma w domu, są nasze, sądzę, że miałbym również pewność, że ich posiadacz jest von Rheinhardtem, A myślę, że jest, dziadku. Wskazują na to srebra stołowe, porcelana, statuetka z brązu i tryptyk.

- Tryptyk? - Starszy pan gwałtownie wyprostował się w fotelu.

- Tak. Z opisu mojego przyjaciela wynika, że może on przedstawiać sceny z życia Dziewicy Orleańskiej.

- *Mon dieu!* - Nie był to okrzyk, tylko szept.

- Czyż nie taka była tematyka naszego tryptyku? - zapytał Guy.

- Tak, tak. To może być nie ten tryptyk, ale...

- Takich jest niewiele, Oto dlaczego sądzę, że znalazłem von Rheinhardta.

- Tak. - Starszy pan zamilkł. Guy obserwował go sącząc brandy i czekając, aż oswoi się z tymi rewelacjami, Po długiej chwili Guillaume kiwnął głową. - Tak. Jeśli on ma taki tryptyk, to rzeczywiście możesz mieć rację. To mógłby być ten drań, von Rheinhardt. Po tylu latach! Trudno w to uwierzyć.

- Więc pomożesz mi? - zapytał Guy.

- Och, Guy, sam nie wiem...

- Przecież chciałbyś, aby wreszcie dosięgła go sprawiedliwość. Zawsze twierdziłeś, że powinien zapłacić za swoje czyny. Nie chciałbyś odzyskać naszych rodzinnych skarbów?

- Naturalnie, że chciałbym. Nic nie sprawiłoby mi większej radości. Móc znowu je zobaczyć, dotknąć... Ale jeśli chodzi o resztę... nie wiem. Cena mogłaby być zbyt duża.

- Nie rozumiem. Jaka cena? Guillaume wolno pokręcił głową.

- Jeśli sprowadzisz tu von Rheinhardta, odbędzie się proces. Bardzo głośny proces. Wiesz przecież, jak media rzucają się na takie sprawy. Nie byłoby to zbyt przyjemne.

- Dla von Rheinhardta na pewno nie. Ale czyż na to nie zasługuje?

- Nie chodzi tu tylko o niego. My również musielibyśmy stawić czoło sprawom, do których lepiej nie wracać.

Guy czuł, że zaczyna tracić cierpliwość. Najpierw matka, a teraz dziadek skłonny jest raczej puścić wolno tego hitlerowskiego potwora, niż stanąć twarzą w twarz z przeszłością. Nie mógł tego pojąć. Matka nigdy nie chciała o tym rozmawiać, ale dziadek płonął przecież nienawiścią i pragnieniem zemsty. A teraz i on wykazuje rezerwę.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

40

- Rozumiem, że wracanie do tych zbrodni nie należy do przyjemności
 - powiedział wolno. - Domyślam się, że tak jak i matka chciałbyś zostawić za sobą zmyry przeszłości. Lecz czy nie przyniosłaby ci ulgi świadomość, że von Rheinhardt w końcu doczekał się kary?
 - Nie wiem. Tu nie chodzi tylko o stawienie czoła przeszłości. Nie należy oczekiwać, że ten drań spokojnie przyzna się do wszystkiego. Doskonale wie, że gdyby to zrobił, do końca życia pozostałby w więzieniu. Na pewno zorganizuje obronę i wynajmie najlepszych prawników. Z tego, co mówisz, wynika, że jest bogaty i na pewno znajdzie mnóstwo sprytnych młodych adwokatów, którzy zrobią wszystko, by się tylko wybić, a taki proces przyniosłby im rozgłos. Jeden Bóg wie, co by wyciągnęli na jego obronę.
 - Oczywiście, takie ryzyko istnieje, ale nie macie się czego obawiać. Przecież nie zrobiliście nic złego. Nie zapominaj, że mój ojciec i wujowie zginęli bohaterską śmiercią właśnie przez von Rheinhardta i że to on będzie odpowiadał przed sądem.
 - Nie bądź naiwny, Guy - odparł starszy pan z westchnieniem. - My również będziemy zmuszeni stanąć przed sądem. A wówczas zostaną wyciągnięte na światło dzienne wszystkie nieprzyjemne sprawy.
- Oczy Guya zwężyły się.
- O czym ty mówisz?
 - Mówię tylko, że może to być dla nas bardzo nieprzyjemne. Guy, nie chcę, aby rodzinne nazwisko taplano w błocie.
- Guy poruszył się niespokojnie. Do serca zaczęły mu się wkradać podejrzenia.
- Niby dlaczego? Czy jest coś, o czym nie wiem? Coś, co przynosi ujmę rodzinie, a czego lepiej nie ujawniać?
 - Nie, nie, oczywiście że nie. Nie mamy się czego wstydzić. Nie zrobiliśmy nic złego. Twój ojciec, jak wiesz, został odznaczony Krzyżem Walecznych, a twoja matka... twoja matka to wyjątkowa kobieta. Przyznaję to, choć, jak zapewne zdążyłeś się zorientować, nigdy nie darzyliśmy się sympatią.
 - Nagle rzucił mu ostre spojrzenie. - Co ona ci o mnie opowiadała?
 - Nic - odparł Guy zgodnie z prawdą. - Nigdy się nie dowiedziałem, dlaczego nie zgadzacie się ze sobą, choć byłbym głupcem, gdybym sądził, że nic się za tym nie kryje.
 - Czy musi być jakiś powód? Niektórzy ludzie po prostu sobie nie odpowiadają. Tak właśnie jest z twoją matką i ze mną. Myślę jednak, że się szanujemy.

Janet Tanner

Guy nic na to nie odpowiedział. Nie był pewny uczuć matki w tym względzie.

- Czy ona wie, co zamierzasz? - zapytał Guillaume.

- Tak i nie pochwała tego. Ale nie chce też rozmawiać o wojnie. Chyba jest to dla niej bolesne.

- Tak sędzę. - Guillaume milczał przez chwilę, wpatrując się w przestrzeń. - O jednym musisz pamiętać, Guy, że wszyscy jesteśmy ludźmi i wszyscy mamy swoje słabości.

- Więc ty, podobnie jak matka, wolałbyś, abym zostawił tę sprawę w spokoju? I pozwolił von Rheinhardtowi żyć sobie na tej karaibskiej wyspie?

- Nie. - W głosie Guillaume'a brzmiała stanowczość. - Zaskoczyłeś mnie przychodząc tu i oświadczając, że chyba wiesz, gdzie ukrywa się ten *cockon*. Uważam, że powinienes dobrze to wszystko przemyśleć. Musisz ostrożnie postępować, by uniknąć czyhających na ciebie pułapek. Z drugiej jednak strony bardzo chciałbym odzyskać nasze skarby i chciałbym też, aby von Rheinhardt zapłacił za śmierć moich synów... i innych ludzi.

Wstał z fotela, podszedł do wysokiego sekretarzyka z drzewa różanego, połyskującego lekko w świetle stojącej na nim lampy, i wyjął duże pudło na dokumenty.

- Znajdziesz tu wszystko, czego ci trzeba: spis brakujących przedmiotów, fotografie, szczegółowe opisy, nawet rachunki za prace renowacyjne z lat dwudziestych, dotyczące obrazów, które podczas kradzieży wycięto z ram. Znajdziesz tam również moje dzienniki z czasów wojny. Nie są to szczegółowe zapiski, bo nigdy nie miałem do tego głowy, ale przynajmniej będziesz mógł sprawdzić daty. Rozejrzyj się w tym i weź wszystko, co uznasz za przydatne. Jednak lepiej byłoby, gdybyś zrobił kopie tych dokumentów. Wolałbym, aby oryginały pozostały w zamku. Umiesz się posługiwać fotokopiarką?

- Poradzę sobie. Dziękuję, dziadku.

- No cóż, nie będzie to miłe zadanie, a wiesz, jak nie lubię nieprzyjemności. Pod tym względem jestem tchórzem. Chciałbym jednak zobaczyć rodzinne skarby, zanim opuszczę ten padół.

Wspaniale byłoby móc je przekazać twoim dzieciom i dzieciom dzieci.

Guy uśmiechnął się lekko.

- Wobec tego mam mnóstwo czasu, bo jeszcze długo pożyczysz, dziadku.

- Mam taką nadzieję, ale nikt nie zna dnia ani godziny. Czasami czuję się bardzo stary, Guy.

Mężczyzna nie powinien żyć dłużej od swoich synów.

W tej chwili rzeczywiście wygląda bardzo staro, pomyślał Guy. Jakby

RAJSKIE DZIEDZICTWO

53

nagle spoczął na nim ciężar przeżytych lat. Czy aby dobrze robię? - zastanawiał się. Czy to nie będzie dla niego zbyt wielki wstrząs? Ale pragnienie zemsty na von Rheinhardzie zaszczerpione mu w dzieciństwie przez dziadka domagało się spełnienia i nienawiść do tego hitlerowca wciąż w Guyu płonęła. To starość sprawiała, że Guillaume wzdragał się przed powrotem do przeszłości. Gdybyż tylko Guy mógł odzyskać rodzinne skarby. Dziadek umarłby szczęśliwy, wiedząc, że znowu są na swoich miejscach.

- Masz zamiar zająć się tym teraz czy rano? - zapytał Guillaume.

- Nie mam zbyt wiele czasu, dziadku. Zacznę do rano.

- Doskonale. - Starszy pan wstał i ruszył w stronę drzwi. - Wobec tego, jeśli pozwolisz, dołączę do innych. Czuję się bardzo zmęczony.

- Czy chcesz, żebym odprowadził cię na dół?

- Nie, nie, sam zejść po schodach. Zostań tu i zajmij się swoją robotą.

- Wobec tego powiedz wszystkim „dobranoc” ode mnie.

- Powiem.

Wyszedł, a Guy rozejrzał się po pokoju, oddając się marzeniom o czekającej go przyszłości. Pewnego dnia ten gabinet będzie należał do niego. Z tego miejsca będzie kierował sprawami Savigny, tak jak czynił to jego dziadek, a przed nim jego ojciec. Świadomość ciągłości budziła respekt, jednocześnie dając poczucie satysfakcji. Przez chwilę Guy pozwalał się nieść wyobraźni, po czym wrzucił ramionami i skupił się na czekającym go zadaniu.

Guy, cóż się tu, u licha, dzieje?

Godzina była późna. Guy zatopiony w papierach dziadka nie zauważył, jak otworzyły się drzwi. Zaskoczony podniósł wzrok i zobaczył stojącą w drzwiach Lise. Wyprostował się i przetarł oczy palcami.

- Co tu robisz? Myślałem, że wszyscy już śpią.

- Przecież wiesz, że jestem nocnym markiem. Ale najpierw odpowiedz na moje pytanie.

Pierwsza je zadałam!

Weszła do środka i zamknęła drzwi. Była chorobliwie chudą dziewczyną średniego wzrostu, bez śladu makijażu, który przydałby kolorów jej bladej cerze. Tego wieczoru wyjątkowo miała na sobie prostą wełnianą sukienkę w kolorze kremowym i pantofelki na obcasach. Nie lubiła się stroić. Najlepiej czuła się w dżinsach, luźnych swetrach i kowbojskich butach, które nosiła zimą.

- No dalej, Guy, jesteś mi winien wyjaśnienie. Specjalnie przyjechałam z Paryża, by się z tobą zobaczyć, a ty tymczasem zamykasz się w gabinecie.

54 Janet Tanner

- Mam coś ważnego do zrobienia. Z tego właśnie powodu tu przyjechałem.

- To coś zdenerwowało dziadka. By! bardzo błąd, kiedy zszedł na dół. Nie powinieneś go denerwować, Guy. To stary człowiek. - Wyciągnęła z kieszeni sukienki paczkę Gauloisów i zapaliła. Gabinet wypełnił się ostrym zapachem, - Powiesz mi wreszcie, o co chodzi?

Guy odchylił się na oparcie fotela.

- Powiem. I tak miałem to zrobić. Jeśli moje przypuszczenia się potwierdzą, i tak się o tym dowiesz. Równie dobrze ci mogę to powiedzieć teraz. Przynajmniej będziesz przygotowana.

- Na co? Jesteś strasznie tajemniczy.

- Raczej ostrożny. Nie chcę, byś rozpapała to swoim lewicującym przyjaciółom.

- Jesteś wstrętny! - Zaciśnęła gniewnie wargi. - Mam takie samo prawo do własnych przyjaciół jak ty. A przy okazji, jak tam Wendy?

- Świetnie. - Wiedział, że Lise jest zazdrosna o każdą jego przyjaciółkę.

- Ożeniłeś się z nią?

- Nie.

- Dlaczego? Nie kochasz jej?

- Nie twój interes.

- Jestem przecież twoją kuzynką.

- Ale nie moim aniołem stróżem. Zdawało mi się, że chciałaś wiedzieć, po co tu przyjechałem, a nie jakie mam zamiary względem Wendy.

Zaczerwieniła się jak piwonia.

- *Touch*. A więc mów. - Pochyliła się nad biurkiem, by przyrzeć się rozłożonym na nim papierom i owionął go jej zapach. Domyślił się, że tak pachnie mydło przeznaczone dla gości, a nie perfumy. Lise nigdy ich nie używała. - Co to jest? - zapytała.

- Lista przedmiotów, które zostały wywiezione z zamku w czasie wojny. Dziadek na pewno ci o niej opowiadał.

- Tak. Ale dlaczego akurat teraz cię one interesują?

- Bo może mógłbym je odzyskać. Gwizdnęła cicho.

- Jak? Myślałam, że na zawsze przepadły.

- Podobnie jak my wszyscy,

Opowiedział jej o zdobytych informacjach, Słuchała uważnie kończąc jednego papierosa i zapalając drugiego.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

55

- A więc jedziesz na Karaiby - powiedziała, kiedy skończył.
 - Chyba tak. Kłopot w tym, że ani dziadek, ani moja matka nie bardzo palą się do tego pomysłu. Mama wręcz jest przeciwna. Spodziewałem się tego, ale dziadek również ma obiekcje.
 - Dlaczego? - W ciemnych oczach pojawił się wyraz zdziwienia.
 - Nie wiem. Chyba się boi, że może to pociągnąć za sobą różne nieprzyjemności. Szczerze mówiąc, trochę mnie dziwi jego postawa. Tak przecież nienawidził von Rheinhardta. Sądziłem, że ucieszy go możliwość zemsty.
 - Och, przecież znasz dziadka.,, wiesz, jaki on jest. Nie znosi, by cokolwiek burzyło mu spokój, a z wiekiem stał się jeszcze gorszy. Tak zazwyczaj z ludźmi bywa. Na starość robią się konserwatywni i uparci.
 - Chyba masz rację. Ale sama powiedziałaś, że to stary człowiek. Nie chciałbym go denerwować.
 - Prosił, abyś się tym nie zajmował?
 - Nie. Pozwolił mi przejrzeć te dokumenty.
 - A widzisz! Pewnie jest zadowolony, że zrobisz za niego to, czego on nie może, Guy, musisz się dowiedzieć, czy ten osobnik jest rzeczywiście von Rheinhardtem. Ten drań zasługuje na najgorsze.
- Powiedziała to z taką samą zawziętością jaka brzmiała w jej głosie podczas całonocnych dyskusji politycznych, które wiodła ze swymi lewicującymi przyjaciółmi, burząc stary porządek świata. Guy uśmiechnął się, słysząc ten ognisty zapach.
- Sądzisz więc, że dobrze robię?
 - Oczywiście. Bardzo bym chciała z tobą pojechać. Ale chyba nie mogę, co?
 - Nie, Lise, obawiam się, że nie.
 - W każdym razie informuj mnie na bieżąco. Chryste, jakbym chciała dostać w swoje ręce tę niemiecką świnię!
 - Dostaniesz. Ale jeśli to rzeczywiście on, to przekażę go władzom. Dzięki Bogu i aliantom żyjemy teraz w cywilizowanym świecie.
 - 1 dzięki naszym dzielnym rodakom i rodaczkom. Nie zapominaj, czego dokonali. Twój ojciec, twój wuj...
 - Wiem - mruknął. Lecz jednocześnie poczuł się dziwnie niepewny, przypominając sobie ostrzeżenie Guillaume'a. - No, na dzisiaj dosyć. Niczego więcej już nie zrobię. Mój mózg przestał pracować.
 - To pewnie moja wina. - Nachmurzyła się.

56 Janet Tanner

- Nie. I tak mam już mętlik w głowie. Mój umysł nie wchłonie już niczego więcej.

- Co to za fotografie?

Pochyliła się nad biurkiem i przyciągnęła do siebie pudło z papierami, częściowo przez ciekawość, a częściowo z zamiarem przedłużenia spotkania. Nie miała ochoty iść spać i nie chciała przepuścić okazji do rozmowy z Guyem. Jutro musi wracać do Paryża, a on wkrótce wyjedzie do Anglii, potem zaś na drugi koniec świata. Nie wiadomo, kiedy będzie mogła ponownie go zobaczyć. Jego wizyty były zbyt rzadkie jak na jej gust.

- To zdjęcia skradzionych przedmiotów. Nigdy ich nie widziałaś?

- Nie, chyba nie.

Zaczęła je przeglądać, pochylając się tak nisko, że włosami dotykała jego twarzy. Przejrzał jej zamiary i odsunął się lekko.

- Więc to jest ten słynny tryptyk - powiedziała, udając, że nie dostrzega jego ruchu.

- Tak. Ze scenami z życia Dziewicy Orleańskiej. Robią wrażenie, prawda?

- Zapewne, jeśli lubisz tego typu rzeczy. - Przerzucała dalej fotografie. - Srebrne świeczniki... muszą być warte fortunę.

- Pieniądze nie są tu najważniejsze. Liczy się wartość sentymentalna i historyczna.

- Mały zegar... styl Ludwika XIV, prawda?... statuetka bogini Ceres... a niech to! Zamek musiał wydawać się pusty, kiedy ten człowiek ograbił go z tych wszystkich rzeczy!

- Tak, dziadek musiał je zastąpić innymi. Jedynie tryptyku nie udało mu się kupić.

- Czekaj! Tu są jeszcze jakieś fotografie - powiedziała Lise z rzadko u niej spotykanym ożywieniem w głosie. - Co to za ludzie?

- Jacy ludzie?

- No ci na tym zdjęciu.

Podsunęła mu fotografię. Była na niej grupa osób stojących przed frontem zamku, obok fontanny.

- To chyba jest dziadek, a to pewnie mój ojciec i twoja matka. Nie wiem jednak, kim jest ten mężczyzna...

Przyglądał się nieznajomemu z uwagą. To nie mógł być wujek Christian; był za wysoki i miał zbyt jasne włosy jak na kogoś z rodziny de Savigny.

- Może to przyjaciel mojej matki - zasugerowała Lise. - Jest bardzo przystojny.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

46

- Może. - Guy jednak miał wątpliwości. Nagle tknęła go pewna myśl. - Czy to nie mógłby być... von Rheinhardt?

- Na pewno nie. Przecież nie zrobiliby sobie z nim zdjęcia. Poza tym nie jest w mundurze.

- To prawda, ale pamiętaj, że mieszkał w zamku i bywał tu częstym gościem, dopóki nie wyrzucił z niego rodziny i nie założył tu kwatery głównej. A mundur mógł zdejmować... na przykład kiedy miał dzień wolny.

- Mimo to nadal trudno mi w to uwierzyć. - Lise powróciła do przeglądania fotografii. - Patrz, znalazłam twoje zdjęcie. Czyż nie byłeś słodki? Musiałeś mieć chyba rok. Ach, jakie rozkoszne pulchniutkie kolanka!

- Dowcipnisia! - Jednak nie miał ochoty do żartów, a chwilę później usłyszał, jak Lise gwałtownie wciąga powietrze.

- Miałeś rację, Guy. Czy to nie ten sam mężczyzna? Tylko tym razem jest w mundurze. Podała mu fotografię i oto po raz pierwszy ujrzał człowieka, którego miał ścigać. Teraz miał już pewność, że to właśnie on.

Zdjęcie wykonano z bliższej odległości niż poprzednie: widać na nim było każdy szczegół twarzy, mimo że fotografia zmieniła kolor z czarno-białej na jasnobrązową. Guy przyglądał się jej i czuł, jak jakaś potężna dłoń chwyta go za serce i mocno ściska.

Von Rheinhardt, jeśli to rzeczywiście był on, prezentował się niezwykle okazale. Rysy twarzy pod krótko ostrzyżonymi blond włosami miały klasycznie aryjski charakter, a krój mundurki podkreślał szerokie ramiona i silną sylwetkę. Przystojny wygląd zakłócała jedynie szrama biegnąca wzdłuż lewego policzka do kącika kształtnych ust. Guy doszedł do wniosku, że nigdy nie widział równie zimnych oczu. Wpatrywały się w obiektyw z wyrazem arogancji i wydawały się szydzić z osoby, która robiła zdjęcie, a w tej chwili, jakby przenosząc się w czasie, z Guya.

- A więc to jest ten drań - powiedział wolno. - Zapytam jeszcze dziadka, ale jestem pewny, że to on.

- Jeśli tak, to ta fotografia bardzo ci się przyda - stwierdziła Lise. - On jest teraz starszy o trzydzieści lat, ale pewne rzeczy się nie zmieniają. Na przykład ta szrama.

- Z pewnością. - Guy schował zdjęcie do wewnętrznej kieszeni marynarki, po czym zebrał pozostałe dokumenty i fotografie i włożył je do pudełka. - Na tym koniec. Idę spać. Idziesz czy zostajesz?

- Skoro ty idziesz, to ja też - odpowiedziała niechętnie.

Janet Tanner

- Muszę, Lise. Jestem wykończony. Jeśli się nie położę, zasnę tu, gdzie stoję.

Pogasili światła, zamknęli gabinet i rozstali się w korytarzu. Lise poszła schodami na górę do apartamentów rodziców, a Guy do pokoju, który niegdyś należał do jego ojca.

Pomimo to, co powiedział Lise, jeszcze długo nie mógł zasnąć. Leżał wpatrując się w ciemność i rozmyślając o von Rheinhardzie i o tym, co zrobi, gdy go znajdzie. Kiedy wreszcie zmorzył go sen, przyśnił mu się przystojny hitlerowiec z blizną na policzku i tryptyk ze scenami z życia Dziewicy Orleańskiej.

Rozdział czwarty

Po powrocie z Francji Guy zatelefonował do Kathryn do sklepu.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że dziadek dostarczył mi kilku brakujących szczegółów. Wiem, że tego nie pochwalasz, ale chcę, byś była wciągnięta w sprawę. I mam coś jeszcze... fotografię von Rheinhardta.

Kathryn poczuła nagły skurcz w żołądku.

- Doprawdy? Zaskakujesz mnie.

- Przyznaję, że mnie to też zaskoczyło. Nie przypuszczałem, że dziadek mógł robić zdjęcia hitlerowcowi, nawet jeśli mieszkał w zamku. Ale to utwierdziło mnie w przekonaniu, że mężczyzna, którego Bill spotkał na Karaibach, jest von Rheinhardtem.

Kathryn przeniosła telefon na małe biurko i usiadła na krześle. Gardło miała ściśnięte.

- Skąd ta pewność?

- Ten mężczyzna na zdjęciu ma długą szramę na lewym policzku. Właśnie tak Bill opisał Niemca, którego poznał jako Otto Brandta.

- Rozumiem. - Z trudem przełknęła ślinę. - A co z pracą? Czy już ją dostałeś?

- Jeszcze nie wiem na pewno, ale wszystko jest na dobrej drodze. W tej robocie niczego nie można być pewnym, dopóki nie podpiszesz umowy. Myślę jednak, że wkrótce to nastąpi. Dzięki poręczeniu Billa mam większe szanse. Chyba że zapaprał tam sobie konto.

- Kiedy będziesz wiedzieć?

- Spodziewam się telefonu w każdej chwili.

- Ale nie wyjedziesz przed Bożym Narodzeniem?

- Nie, nie sądzę. W żadnym razie nie chciałbym stracić twojego pieczonego indyka.

Janet Tanner

Powiedział to lekkim tonem, chcąc ją udobruchać. Zawsze starał się spędzać **Święta** Bożego Narodzenia z matką, a ona zawsze straszliwie go psuła, przyrządzając potrawy, na myśl o których ślinka ciekła mu do ust.

- Mógłbym zostać u ciebie przez kilka dni. Kiedy dostanę tę pracę, nie zobaczymy się przez jakiś czas.

- A co z Wendy? Czy nie chciałaby spędzić trochę czasu z tobą?

- Wyjeżdża do swoich rodziców do Yorkshire. Chyba nie masz innych planów?

- Nie... Będę na ciebie czekać.

- Wobec tego przyjadę w Wigilię. Późnym popołudniem.

- Dobrze. Uważaj na siebie, Guy.

- Ty także.

Odłożyła słuchawkę na widełki i siedziała przez chwilę nie zdejmując z niej ręki. A więc ta straszna podróż w przeszłość nadal trwa. Modliła się, aby została przerwana, ale na próżno. Oczywiście istniała jeszcze szansa, że Guy nie dostanie tej pracy na Karaibach albo że ten człowiek nie okaże się von Rheinhardtem. Ale w głębi serca przeczuwała, że ją dostanie i bardzo się bała, że ów mężczyzna będzie jednak von Rheinhardtem. Jeśli tak, to nie ma wyboru. Będzie musiała wyjawić mu przynajmniej część z tego, co zdarzyło się we Francji. Nie można pozwolić, by błędził po omacku, nie da się też zamykać oczu na to, co Guy zamierza odkryć. Prawdę powiedziawszy perspektywa wyjawienia mu prawdy przerażała ją, wiedziała bowiem, że dla Guya będzie to szok. Może jednak uda jej się go powstrzymać. Niestety, przecucie mówiło jej, że tylko opowiadając mu o wszystkim, mogłaby tego dokonać, lecz właśnie na to nie była przygotowana.

Przeciągnęła nerwowo palcami po włosach. Duchy przeszłości już ją otaczały; krążyły po małym pokoju, który służył jej za biuro, łypały na nią z kartoteki i stosu katalogów, mrugały z naftowego grzejnika.

Nie chciała na nie patrzeć. Przypominały jej o sprawach, o których wołałaby zapomnieć, o strachu, zawiedzionych nadziejach, obrzydzeniu. Francja jęcząca pod butem najeźdźcy nie była zbyt przyjemna, ale nie to było najgorsze, przynajmniej dla niej. Najgorsze było rozczarowanie, jakiego doznała, gdy nagle z ludzi, których kochała i szanowała, spadły maski subtelności i wrażliwości. Kiedy zatriumfowały strach i rozpacz, wtedy ogłada i światowość okazały się krucho jak najcieńsza porcelana. Ujrzała ich wszystkich nagich, przerażonych, gotowych bronić się za wszelką cenę i ten widok jej nie zachwyił. Doświadczyła najskrajniejszych uczuć: poznała

RAJSKIE DZIEDZICTWO

61

zarówno perfidię zdrady, jak i nadzwyczajną głębię i sens prawdziwej, bezinteresownej miłości. Lecz kiedy to wszystko się skończyło, nie było już dla niej powrotu do przeszłości. Te przeżycia zbyt głęboko wryły się w jej psychikę, by mogła pozostać nie zmieniona. Naiwna, ufna dziewczyna, która poślubiła Charlesa de Savigny i przybyła do Charente jako panna młoda, odeszła bezpowrotnie, tak jak ci, którzy umarli.

Lecz oto znowu się pojawili, w tym małym biurze za sklepem, tacy sami jak przed laty. Charles i Christian, Otto von Rheinhardt i mężczyzna, którego знаła jako Paula Curtisa. Przede wszystkim on...

Na długą chwilę zatopiła się we wspomnieniach.

Myśle, Guy, że powinniśmy porozmawiać - powiedziała Kathryn.

Była Wigilia. Guy przyjechał samochodem pełnym prezentów. Zjedli wspaniałą kolację złożoną z zimnej szynki i ziemniaków w mundurkach. Razem z innymi prezentami otrzymała od niego wiadomość, że dostał pracę w Air Perpetua na Karaibach. Nie mogła więc dłużej odkładać wyjawienia mu przynajmniej części prawdy.

- O von Rheinhardzie? - Guy rozparł się wygodnie w fotelu stojącym przy kominku. - Czy nie moglibyśmy o nim zapomnieć przynajmniej dziś wieczorem? Przecież to cię denerwuje, w a dodatku jest Wigilia.

- Nie, Guy, obawiam się, że nie możemy o nim zapomnieć. To ostatnia szansa, żeby spokojnie porozmawiać, i powinniśmy z niej skorzystać.

Podniósł głowę, dostrzegł powagę w jej oczach i nagle ogarnął go strach.

- Domyślam się, że jest w tej sprawie coś, o czym nie wiem - powiedział.

- Powiedzmy raczej, że nie zostałeś w to wprowadzony.

Otuliła się szerszej kamizelką z brązowego zamszu, jakby chciała się ochronić przed światem, co wywołało w nim ponowne uczucie niepokoju.

- Może wobec tego opowiesz mi o wszystkim.

- To właśnie usiłuję zrobić - powiedziała cicho. - Do tej pory znałeś jedynie lepszą stronę wydarzeń. Ale była jeszcze druga strona, ta niezbyt przyjemna. Chcę ci opowiedzieć, co musieliśmy wtedy przeżywać i mam nadzieję, że to zrozumiesz i nie będziesz zaskoczony.

Proszę cię, byś zachował wielkoduszność i nie wyciągał zbyt pochopnych wniosków. To były okrutne czasy, nawet nie wiesz jak bardzo. Ludzie pod wpływem stresu dziwnie się zachowują, Guy, i nie zawsze godnie.

Janet Tanner

Jej słowa przypomniały to, co powiedział dziadek. Poczuł, jak rośnie w nim niepokój.

- Nie rozumiem.

- Usiłuję wyjaśnić ci, w jakiej sytuacji się wtedy znajdowaliśmy. Nie zapominaj, że byliśmy pod okupacją hitlerowską, a Niemcy z nikim się nie patyczkowali. Chociaż zamek znajdował się w strefie rządu Vichy, niczego to nie zmieniało. Oczywiście w porównaniu ze strefą okupowaną to był raj, w każdym razie na początku, Niemcy zachowywali się bardzo poprawnie, starali się zaimponować nam obywatelskimi cnotami i nienagannym zachowaniem. Lecz to nie trwało długo. Wkrótce pokazali swoje prawdziwe oblicze. Mimo że gestapowcy nosili cywilne ubrania, wykonywali swoją brudną robotę, a ponieważ Petain współpracował z hitlerowcami, policja Vichy również dla nich pracowała.

- Mamo, ja to wszystko wiem - wtrącił Guy. - Nie musisz mi o tym mówić.

- Muszę, Guy, W ten sposób próbuję ci wyjaśnić, dlaczego twój dziadek uznał, że lepiej żyć z Niemcami w zgodzie niż być przeciw nim.

Dostrzegła przerażenie w jego oczach i nienawidziła siebie za to, że musiała je wywołać.

- Co ty mówisz? - zapytał. - Chyba nie chcesz powiedzieć, że moja rodzina kolaborowała z Niemcami?

Kathryn westchnęła. Dałaby wszystko, by mu tego oszczędzić.

- Tak, kochanie. Niestety, właśnie to chciałam powiedzieć. Na początku tak to wyglądało.

- Nie wierzę w to! Ojciec został odznaczony za działalność w ruchu oporu. Tak samo wuj Christian. Jeśli chodzi o dziadka to...

- Dziadek robił to, co uważał za najsluszniejsze. A tak na marginesie, to był gorącym zwolennikiem Petaina, którego uważał za bohatera pierwszej wojny światowej. Petain kolaborował z Niemcami i dał wyraźne do zrozumienia, że obowiązkiem każdego rozsądnie myślącego Francuza jest robić to samo.

- Ależ to niedopuszczalne! Petain był zdrajcą a ty mi mówisz, że mój własny ojciec i dziadek postępowali tak jak on? Nie chcę tego słuchać!

Kathryn westchnęła. Wiedziała, że będzie źle, ale to przechodziło jej wyobrażenia. Jak mogła wytłumaczyć Guyowi coś, czego sama nie mogła zrozumieć? Nie mogła oczekiwać, że wybaczy coś, co sama uważała za niewybaczalne, w każdym razie wtedy. A teraz musiała ich bronić. Wtedy była równie wstrząśnięta i wściekła jak on teraz. Popatrzyła na Guya; jego

RAJSKIE DZIEDZICTWO

51

zacięty wyraz twarzy przypominał jej Charlesa. Jakież on jest podobny do ojca, przynajmniej z wyglądu,

- Guy... posłuchaj - zaczęła. - Kochanie, proszę cię, posłuchaj mnie.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza. Nagle wydało się jej, że to nie Guy, lecz Charles siedzi tuż obok w blasku płonącego ognia na kominku. Zniknął zaciszny pokój w New Forest z choinką na której wesoło mrugały światełka, a nad kominkiem wisały na szkarłatnej wstążce karty z życzeniami, i Kathryn ponownie znalazła się w zamku de Savigny. Była długa, ciężka zima 1941 roku.

Rozdział piaty

Nie, Charles - powiedziała. - Nie zrobię tego. Kategorycznie odmawiam. Już i tak źle, że musimy znosić obecność Niemców, którzy wszędzie się panoszą i dają nam niedwuznacznie do zrozumienia, że mamy robić to, co każą, bo inaczej za to zapłacimy. Jednak nie mam obowiązku jeść z jednym z nich kolacji.

Znajdowali się w salonie wchodzącym w skład ich prywatnych apartamentów w zamku de Savigny. Było szare listopadowe popołudnie. Zima wcześniej zawitała do Charente. Robotnicy, którzy nie zostali wywiezieni do pracy w fabrykach zbrojeniowych lub nie uciekli, by uniknąć tego losu, ciężko musieli się napracować przy zbiorach winogron, by zdążyć przed pierwszym przymrozkiem. Teraz winorośle i drzewa otaczające zamek stały nagie. Niebo było ciężkie i szare od chmur, a w dolinie hulał lodowaty wiatr, łomocząc w drzwi i okiennice.

W salonie było zimno, pomimo ognia płonącego na kominku, ale Kathryn wiedziała, że dreszcze, które nią wstrząsały, wywołał chłód panujący w jej wnętrzu, a nie niska temperatura w pokoju. Była młoda, zdrowa, miała też w szafie mnóstwo ciepłych ubrań, kupionych jeszcze zanim zniknęły ze sklepów, ale nic nie było w stanie powstrzymać wewnętrznego chłodu, który ogarnął całe ciało i mroził krew w żyłach. Nie opuszczał jej nawet w lecie i wciąż miała wrażenie, że idzie zaciemioną drogą, do której nigdy nie dociera słońce. Mijały tygodnie, a chłód wdzierał się coraz głębiej, zamykając ją w obcym, odizolowanym świecie.

W tym momencie najbardziej obcą osobą był jej mąż Charles. Z pozoru wydawało się, że jest to ten sam szczupły mężczyzna o oliwkowej cerze, którego poślubiła przed sześciu laty, ubrany w taki sam lub podobny

RAJSKIE DZIEDZICTWO

53

bretoński sweter, jaki miał na sobie, kiedy poznali się w Genewie. Jedynie twarz nabrała innego wyrazu. Włosy się przeredziły, czoło było wiecznie zachmurzone, a w spojrzeniu ciemnoniebieskich oczu pojawiał się niepokój, czasami zaś uraza granicząca prawie zawsze z grubiaństwem. Niewiele zostało z uprzejmego, dobrodusznego mężczyzny, którego pokochała. Czasami zastanawiała się, czy on w ogóle istniał i czy to wszystko nie było wytworem wyobraźni naiwnej panienki marzącej o romantycznej miłości.

Zadatki na taką miłość, przecież istniały: przystojny Francuz, dziedzic tytułu i majątku, dziesięć lat od niej starszy - trudno było się temu oprzeć. Uwodził ją na francuski sposób: kwiaty, prezenty, wyszukane komplementy, wszystko to sprawiało, że czuła się najbardziej pożądaną kobietą na świecie. Pochlebiało jej to i zachwycało. Jednocześnie bała się tej władzy, jaką nad nim miała, a także jego samego.

Teraz czar prysnął. Sześć lat małżeństwa odarło ją ze złudzeń i ujawniło słabości charakteru, o których nawet nie śniła. Patrząc na niego, widziała nie mężczyznę, który jest panem samego siebie, lecz niewolnika tradycji, obciążonego obowiązkami wynikającymi z dziedzictwa, kierującego się bardziej potrzebą zachowania *status quo* niż odkrywania nie zbadanych terytoriów i za wszelką cenę pragnącego zyskać uznanie w oczach ojca. W pierwszej chwili poczuła rozczarowanie i gniew, a potem zawód. A teraz zawód, wolno, lecz nieubłagane, zmieniał się w odrazę i..., w otwarty bunt. Przestała być dziewczyną która przybyła do Savigny jako panna młoda. Duszna atmosfera zamku, gdzie Guillaume dyktował prawą a naczelnym prawem była ochrona rodu, zaczęła zmieniać jej psychikę. Narodziny syna i wybuch wojny te zmiany jeszcze przyspieszyły, pojawienie się zaś niemieckich sił okupacyjnych i postawa de Savignych przypieczętowały ten proces.

- Nie rozumiem, jak możesz zachowywać się w stosunku do nich tak uprzejmie - powiedziała. Charles westchnął i przesunął ręką po rzednących włosach.

- Już to przedtem omawialiśmy, Katrine. - Wymawiał jej imię z francuska. - Nie mamy innego wyboru jak tylko z nimi współpracować.

- Mamy wszelki wybór! - Jej oczy z ciemnobrązowych stały się ciemnozłote. - Rozumiem, że łączy nas z von Rheinhardtem pewien rodzaj interesów. Jest nowym szefem dystryktu na miejsce Buhiera i twój ojciec z konieczności musi z nim pertraktować w imieniu mieszkańców wsi i w sprawach majątku. Ale nie musi utrzymywać z nim przyjacielskich stosunków. A już z pewnością zapraszać na kolację! To niewybaczalne!

66 Janet Tanner

- Ale również korzystne. Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, w jak ciężkiej sytuacji moglibyśmy się znaleźć, gdyby tylko kiwnął palcem. Trzeba go obłaskawić dla dobra nas wszystkich.

- To jest twój punkt widzenia, nie mój.

- Bądź rozsądna, Katrine, błagam cię. Czy nie widzisz, że w ten sposób narażasz się na kłopoty?

- Nie dbam o to. Nie będę jadła kolacji z tym draniem. Po prostu nie mogę. Jeśli chcesz, powiedz, że boli mnie głowa. Zresztą mów, co chcesz.

- On nie da się na to nabrać. Ty nigdy nie chorujesz. Będzie urażony, Katrine.

- Dopiero poczułby się urażony, gdybym powiedziała coś okropnego o Hitlerze, a nie gwarantuję, że tego nie zrobię.

Jej oczy ciskały teraz błyskawice i Charles bezradnie pokręcił głową.

- Och, Katrine, Katrine, co ja mam z tobą zrobić?

- Nic nie musisz robić. Po prostu przyjmij moje zasady.

- To bardzo pięknie, ale czy możemy sobie na to pozwolić?

- A co to ma do rzeczy? Niemcy są naszymi wrogami! Nie będę się z nimi bratała tylko po to, by zadowolić twojego ojca.

- Nie po to, by zadowolić ojca, lecz mnie.

- Czy to nie to samo? - odparowała.

Spostrzegła, że zbladł. Zrozumiała, że posunęła się za daleko.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic - wycofała się. Nie był to odpowiedni moment na poinformowanie go, że według niej zrobiłby wszystko, dosłownie wszystko, by zyskać aprobatę w oczach ojca. Poświęciłby zasady, małżeństwo, jej szacunek, by stać się takim synem, jakiego pragnął ojciec. Gdyby zaczęła, powiedziała by o wiele więcej, niż powinna: że słabością, którą gardził jego ojciec, była niezdolność do przeciwstawienia się mu w najprostszej nawet sprawie. Im bardziej Charles się starał, tym więcej ojciec nim pogardzał. Mogłaby też powiedzieć, że uważa go za nadętego bufona i że to jego płaszczenie się napawa ją wstrętem. Lecz takich słów nie da się już cofnąć. Mimo to pewnego dnia mu powie. Ale nie teraz.

- Katrine. - Próbował zmienić taktykę. - Musisz zrozumieć, dlaczego mój ojciec tak się zachowuje. Po prostu stara się uczynić życie znośnym, nie tylko nasze, naszej rodziny, ale również każdego, kto od nas zależy: wszystkich naszych pracowników, mieszkańców wsi, każdego. Niemcy są tu panami, czy nam się to podoba czy nie, i bez względu na bzdury, którymi raczy nas Petain

RAJSKIE DZIEDZICTWO

55

w rodzaju: „Francja odrodzi się dzięki naszemu cierpieniu”. Czy nie wiesz, co się dzieje z tymi, którzy stawiają opór? Aresztuje się ich, torturuje i skazuje na śmierć. A nam dzięki temu nic nie grozi. Wiele za tym przemawia.

- Doprawdy? A kiedy wojna się skończy i Niemcy wyjadą, jakie wówczas będzie wasze życie? Czy będziecie w stanie żyć z przeświadczeniem, że dogadzaliście wrogowi, współpracowaliście z nim?

- Ale przynajmniej będziemy żyć! - rzucił szorstko Charles. - Czy pomyślałaś, co się stanie, jeśli się sprzeciwimy? Nie tylko ty na tym ucierpisz. Również Guy. Jeśli nie myślisz o rodzinie, przynajmniej pomyśl o nim. Cóż z ciebie za matka, jeśli nie wzięłaś tego pod uwagę? Wzmianka o synu wywołała rumieńce na jej policzkach.

- Nie mieszaj do tego Guya!

- Czy nie widzisz, że on już jest w to wmieszany? Hitlerowcy nie darzą dzieci specjalnymi względami.

- Jak w takim razie możesz znosić obecność jednego z nich przy naszym stole?

- Generał von Rheinhardt jest żołnierzem, któremu akurat przyszło pełnić służbę w tym dystrykcie. Nie należy ani do gestapo, ani do SS. To oni są prawdziwymi potworami. Niestety, część naszej policji jest równie zła jak oni.

- Typowy Francuz - mruknęła pod nosem.

- Co powiedziałaś? - jego głos zdradzał zniecierpliwienie.

Nie odpowiedziała, ponownie zdając sobie sprawę z tego, że mówi rzeczy, których nie powinna mówić, i myśli o tym, o czym nie powinna, lecz uczucie rozczarowania było tak wielkie, że z trudem nad nim panowała. Kochała Francję równie mocno jak Charlesa, tymczasem oboje ją zawiedli. Nie mogła znieść, że ludzie, których darzyła uczuciem i szanowała, przypochlebiali się Niemcom.

Kolaborantów spotykała na każdym kroku: wiejskie dziewczyny chodzące na randki z niemieckimi żołnierzami, ludzie szybko bogacący się na handlu z nimi i członkowie rodziny de Savigny przyjmujący ich w swoim domu. Charles mógł sobie to nazywać instynktem przetrwania, ona uważała to za poniżające i wstrętne. Raczej umrze, niż będzie udawać, że godzi się z ich obecnością. Przynajmniej w ten sposób zachowa szacunek dla samej siebie. Charles mierzył ją przez chwilę chłodnym spojrzeniem. Popatrzyła na niego i zobaczyła obcego człowieka.

- Wstyd mi, Charles - powiedziała wreszcie cicho. - 1 tobie również powinno być wstyd.

Janet Tanner

W ciemnoniebieskich oczach błysnął gniew i pomyślała, że zaraz ją uderzy. Nigdy dotąd tego nie zrobił, choć czasami w trakcie ostrzejszej wymiany argumentów zaciskał dłonie w pięści. Zawsze jednak jest ten pierwszy raz. Tak często ją zaskakiwał, dlaczego więc nie w ten sposób? Prawdę powiedziawszy, wolałaby, gdyby ją uderzył. Przynajmniej byłaby to typowo męska reakcja, natomiast mięczakowate uspokajanie przywodziło na myśl przerażoną starą kobietę błagającą o litość.

Jednak Charles jej nie uderzył. Popatrzył tylko na nią ze znużeniem.

- Nic więcej nie powiem, Katrine. Widzę, że to do niczego nie prowadzi. Ale proszę cię, zastanów się, co robisz. Skoro masz ochotę narażać siebie i mnie na niebezpieczeństwo, przynajmniej nie narażaj Guya. A teraz idę się przebrać do kolacji. Jeśli kochasz swojego syna, zrobisz to samo.

Z tymi słowami wyszedł z salonu. Kathryn stała przez chwilę, walcząc z pragnieniem rzucenia w niego którymś z bezcennych antyków zdobiących pokój. Powoli gniew zaczął opadać, ustępując miejsca pustce, która zalała ją jak żółta piana przypiływu. W oczach poczuła wilgoć.

Nic nie może zrobić. Nic. Jest uwięziona w klatce ze swoim małym synkiem, a straż pełnią nie tylko Niemcy, ale także jej mąż i jego rodzina. Jakże może z nimi wszystkimi walczyć?

Katrine odmawia zejścia na kolację, papo - powiedział Charles. Guillaume uniósł wzrok znad biurka i ujrzał syna stojącego w drzwiach gabinetu. Jak zwykle na jego widok poczuł zniecierpliwienie.

- Co to znaczy - odmawia?

- Dokładnie to, co powiedziałem. Oświadczyła, że nie usiądzie przy jednym stole z von Rheinhardtem.

- Nie powiedziałaś jej, że on jest moim gościem i że jeśli chcemy zachować nasz dom, powinniśmy zaskarbić sobie jego życzliwość?

- Próbowałem przemówić jej do rozsądku, lecz nie chce słuchać. Pomyślałem, że może ty z nią porozmawiasz.

Zniecierpliwienie Guillaume'a wzrosło.

- Co z tobą Charles? Nie umiesz poradzić sobie z własną żoną?

Nic na to nie odpowiedział. Jedyną jego reakcją było zmarszczenie brwi, co przydało twarzy ponury wygląd. Guillaume pomyślał, że wygląda teraz jak mały chłopiec, który boi się, że zostanie odesłany za karę do swojego pokoju, a nie jak dorosły mężczyzna, przyszły dziedzic de Savigny.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

69

Zawsze tak było, odkąd sięgał pamięcią. To porównanie z małym chłopcem przyszło mu do głowy prawdopodobnie dlatego, że Charles w dzieciństwie, kiedy go karcono, miał takie samo spojrzenie. Doprowadzał tym Guillaume'a do furii. Czy ten chłopak nie ma charakteru? Dlaczego nie ucieknie, zamiast stać tu z tą żalną miną? Bardzo wcześnie Guillaume odkrył, że nie ma ochoty zajmować się synem. Nawet teraz, po tylu latach, pamiętał, kiedy po raz pierwszy zdał sobie z tego sprawę.

Charles miał wówczas jakieś trzy lata i Guillaume kupił mu kucyka. Sam zapalony jeździec uważał, że jego syn i dziedzic powinien jak najszybciej oswoić się z koniem. Zabrał Charlesa do stajni mieszczącej się na tyłach zamku, oczekując, że syn będzie zachwycony i podekscytowany faktem posiadania własnego kucyka. Ale Charles zachował się zupełnie inaczej. Kiedy Guillaume podniósł go, by posadzić w siodle, chłopczyk przywarł do ojca błady i drżący i nic nie było w stanie go skłonić, by puścił szyję Guillaume'a.

- Nie bądź głupi, chłopcze! Przecież nie pozwolę ci spaść! - powiedział szorstko, bo nie mógł zrozumieć, dlaczego Charles tak się zachowuje. Często zabierał go na przejażdżki, sadzając przed sobą na kasztanka i nakazując, by chwycił się szyi wierzchowca. Oczywiście nie widział przerażenia w oczach syna, kiedy cwałował z nim po zboczach i sądził, że łzy spływające po policzkach dziecka są rezultatem wiatru.

- *Non!* - wrzeszczał Charles, kopiąc piętami tak mocno, że Guillaume długo jeszcze miał siniaki na boku, pozostawione przez małe nóżki. - *Non... non! Papa... non!*

To samo powtórzyło się, kiedy Guillaume próbował go uczyć pływać. Malec zawisł na brzegu basenu, wrzesząc z przerażenia. W końcu Guillaume wyszedł z wody, wrzucił synka do basenu i skoczył za nim, by ratować krztuszącego się wodą chłopca. Potem odsunął się od niego i zmusił, by zaczął machać rękami i płynąć w jego stronę.

Charles w końcu nauczyłby się jeździć konno i pływać, bo bardzo pragnął zyskać uznanie w oczach ojca, ale Guillaume stracił dla niego cierpliwość. Z każdym rokiem niechęć do dziecka rosła. Skoro chłopak nie chciał tego robić, dlaczego nic nie powiedział? Brak charakteru był dla Guillaume'a czymś gorszym od strachu.

Kiedy Charles podrośł, ich wzajemny stosunek niewiele się zmienił. Guillaume czuł, że chłopak się go boi, dlatego gardził nim. W ten sposób powstało błędne koło: Charles dokładał wszelkich starań, by zyskać miłość

Janet Tanner

i szacunek ojca, a Guillaume stawał się coraz chłodniejszy, twardszy i okazywał coraz większą irytację. Nie mógł pojąć, czemu jego syn jest takim mięczakiem. Matka, wstawiając się za synem, mówiła, że jest delikatny, ma czułe serce i łagodny charakter. Guillaume zaś uważał, że chłopak jest po prostu niedołągą.

Sytuacji nie poprawił fakt, że młodszy brat Charlesa, Christian, miał wszystkie te cechy, których Charlesowi brakowało. Był gwałtowny, odważny aż do brawury i niezwykle wysportowany. Choć dwa lata młodszy od brata, potrafił szybciej od niego pływać, a w chłopięcych bójkach to on zawsze zwyciężał. Jeśli się czymś odznaczał, to brakiem rozwagi, gwałtownością i nieuznawaniem autorytetów. Guillaume zawsze myślał, że gdyby mógł przemieszać ze sobą charaktery obu chłopców, miałby doskonałego syna, To oczywiście było niemożliwe. Tak pożądana przez niego równowaga zmaterializowała się w tylko jednym jego dziecku - córce Celestine, która była wszystkim, o czym marzył.

Niestety Celestine nie dość, że urodziła się jako trzecia i wciąż pobierała nauki w college'u w Paryżu, to w dodatku była dziewczynką. Nie mogła więc dziedziczyć ani tytułu, ani majątku. Pozostało mu jedynie zrobić, co tylko się da, z Charlesem. Jednak walka wydawała się bezcelowa. Czy ten chłopak potrafił w ogóle do czegoś dojść? Skoro nie umiał poradzić sobie z żoną, to czy będzie potrafił zarządzać rodzinnym majątkiem?

Oczywiście, jeśli jeszcze będzie czym zarządzać. Guillaume pokręcił smutno głową. Minął już ponad rok od dnia, kiedy francuska armia złożyła broń, a kraj został podzielony na dwie strefy - okupowaną z Paryżem i pasem wybrzeża Oceanu Atlantyckiego oraz „wolną”, gdzie w Vichy zainstalował się rząd marszałka Petaina. Linia demarkacyjna przebiegała przez sam środek ziem de Savignych.

Bardzo utrudniało to życie. Zarządzanie majątkiem wymagało ciągłego przekraczania tej linii, a graniczne patrole, którym należało okazać przepustkę, były opryskliwe i podejrzliwe. Guillaume starał się traktować to jako zwykłą niedogodność, jak karę, którą trzeba było zapłacić za chwilowy opór stawiany niemieckiej inwazji. Taka sytuacja nie będzie przecież trwać wiecznie. Kiedy konflikt dobiegnie końca, sprawy się unormują. Zanim jednak to nastąpi, należy za wszelką cenę utrzymywać dobre stosunki z okupantem. W przeciwnym razie można mieć kłopoty. Wystarczy traktować Niemców przyjaźnie, a Savigny i inni ludzie będą bezpieczni. Wszelkie protesty mogły zrujnować majątek i zniszczyć wiele ludzkich istnień.

RAJSKJE DZIEDZICTWO

71

Po kapitulacji Francji Guillaume poinformował członków rodziny o swojej decyzji. Louisa, jego żona, nienawidziła każdej formy przemocy i zawsze akceptowała wszystkie jego decyzje. Istniała między nimi taka niepisana umowa: ona nie kwestionowała żadnych jego decyzji, uważając, że jako mężczyzna i zarządzający majątkiem z pewnością wie lepiej. Charles jak zwykle się z nim zgodził, przystając na argument, że choć sytuacja odbiega od ideału, nie ma sensu przelewać niepotrzebnie krwi. Mniej był pewny Christiana i Celestine. Z natury porywcyz Christian nienawidził Niemców, a Celestine we wszystkim go naśladowała. Ale Christian w czasie swojego krótkiego pobytu we francuskiej armii został poważnie ranny w nogę i przynajmniej przez jakiś czas nie będzie mógł zrobić nic głupiego. Tak więc Guillaume był pewny, że rodzinna tradycja stawiania ponad wszystkim dobra majątku i tytułu i tym razem zostanie uszanowana.

Jedynym zagrożeniem kruchego spokoju Savigny była Kathryn, angielska żona Charlesa, której rodacy wciąż prowadzili wojnę z Hitlerem, a która każdym słowem i gestem okazywała pogardę dla jego faworytów.

W Guillaume wzbiera! gniew na myśl o tym, że ta kobieta może tak łatwo narazić na szwank porozumienie, które zawarł z okupantem. Pomimo to czuł do niej szacunek. Kathryn miała charakter, czego nigdy nie mógł powiedzieć o Charlesie. Zauważył to, kiedy syn przywiózł ją do Savigny i przedstawił jako przyszłą żonę. Był zadowolony z wyboru Charlesa. Nie zawsze będą się zgadzać ze sobą ale jeśli ktoś taki jak ona przekaże swoje cechy zrodzonym z tego związku dzieciom, to można być spokojnym o kontynuację rodu. Jego przypuszczenia najwyraźniej się potwierdziły. W ich małym synku Guyu dostrzegał sporo cech Kathryn, choć z wyglądu był bardzo podobny do ojca. Jako czterolatek był odważniej szy od Charlesa w jego wieku i wykazywał oznaki pewności siebie, których ojcu brakowało. Guillaume wiedział, że zawdzięcza to Kathryn.

Nie oznaczało to jednak, że zaakceptuje jej obecną postawę. Powinna zrozumieć, jakie grozi im wszystkim niebezpieczeństwo, jeśli będzie się sprzeciwiać von Rheinhardtowi. Guillaume zauważył, że rozmyślnie go unika

1 nieuprzejmie reaguje na prezenty, które im przysyła!, takie jak żywność, papierosy i niezwykle cenne kartki na benzynę. W tej chwili von Rheinhardt odnosił się do nich przyjaźnie, zadowolony z faktu kierowania mało kłopotliwym dystryktem. Lecz rozgniewany mógł się zwrócić przeciwko nim. Należało to Kathryn uświadomić.

Jego synowa była oczywiście optymistką. W przeciwnym razie nie uległaby

72 Janet Tanner

tak łatwo powierzchownemu urokowi Charlesa. Teraz ten optymizm nie pozwalał jej pogodzić się z obecnością Niemców,

Guillaume nie był takim optymistą. Obawiał się, że stary porządek już nie wróci, a Niemcy pozostaną tu na zawsze. Dlatego powinien spróbować znaleźć dla siebie i dla rodziny miejsce w tym nowym porządku. Rodzina de Savigny od pięciuset lat troszczyła się o ziemię i ludzi, którzy dla niej pracowali, sprawując nad nimi pieczę na wzór panów feudalnych. Wspólnie przetrwali Rewolucję, przetrwają i niemiecką okupację. Muszą przetrwać i Guillaume zrobi wszystko, żeby tak się stało. Nie pozwoli, by upór i duma Kathryn naraziły ich na niebezpieczeństwo.

Guillaume popatrzył na syna z mieszaniną pogardy i litości. Skoro Charles nie potrafi przekonać żony, by poszła za głosem rozsądku, on musi zrobić to za niego.

- Dobrze, Charles - powiedział ze znużeniem w głosie. - Porozmawiam z Kathryn.

Na poszarzałej twarzy Charlesa pojawił się wyraz ulgi zmieszanej z urazą.

- To nic nie da. Nie będzie chciała ciebie słuchać. Usta Guillaume'a zacisnęły się w wąską linię,

- Myślę, że będzie chciała, Charles - odpowiedział.

Długi stół refektarzowy nakryto na sześć osób, ale jadalnia była jeszcze pusta. Rodzina jak zwykle przed kolacją zgromadziła się w salonie na kieliszek wina. Potrawy serwowane obecnie z powodu braków i racjonowania żywności trudno było porównać z tymi, do których przywykli. Mimo to nadal kultywowano stare zwyczaje.

Pierwsi zeszli na dół Guillaume i Louise, potem Christian i Charles z ponurą miną. Wszyscy przebrali **się** w wieczorowe stroje. Towarzyszył im generał von Rheinhardt w wyzywającym mundurze oficera Trzeciej Rzeszy. Brakowało jedynie Kathryn. Kiedy Guillaume nalewał wino pochodzące z jego własnych winnic i roznosił kieliszki, Charles złapał się na tym, że co chwila spogląda na drzwi, oczekując bez większej nadziei pojawienia się w nich Kathryn.

Wiedział, że ojciec z nią rozmawiał, ale nie wierzył, by zdołał ją przekonać. Kathryn przecież z nikim się nie liczyła. Nie mógł pojąć, co się stało z tą czarującą dziewczyną, którą poślubił. Była taka ufna i naiwna, sądził więc, że bez trudu zrobi z niej żonę, jakiej pragnął i potrzebował.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

61

Spoglądała na niego z podziwem i uwielbieniem godnym bohatera. Dzięki temu czuł się silny, elokwentny i dojrzały. Właśnie takim pragnął być przez całe życie, lecz krytyczne spojrzenie ojca niweczyło wszelkie próby.

Teraz wszystko się zmieniło. W ciągu sześciu lat małżeństwa wszystkie te cechy gdzieś się ulotniły. Już nie patrzyła na niego z podziwem; czasami nawet odnosił wrażenie, że go nie lubi. Podważała jego autorytet, a nawet otwarcie go krytykowała. Sprawiała, że czuł się przy niej równie niedoskonały, jak przy ojcu, a nawet bardziej, bo ojca zawsze się bał, tymczasem jeszcze nie tak dawno Kathryn była dzieckiem, które pragnął rozpieszczać i chronić. Ból i zamęt w głowie wywoływały skurcz w żołądku i gorycz w ustach, niszcząc smak dobrego ojcowskiego wina. Nagle zatęsknił za Reginę, kochanką i kobietą, z którą by się ożenił, gdyby nie była mężatką, w dodatku starszą od niego o sześć lat. Reginę nie zachowywałaby się w sposób tak irytujący, nie robiłaby z niego kompletnego głupca. Stałaby po jego stronie, wspierałaby zaufaniem, zapewniała, że postępuje właściwie, i że niczego już nie może zrobić, a przede wszystkim, że nic się nie liczy z wyjątkiem tego, że go kocha i że są razem. Widział ją teraz w myślach, kobietę z gęstymi blond włosami, które opadały na ramiona, kiedy wyciągał z nich szpilki, z pełnymi piersiami, w których mógł ukryć twarz i ssać je jak małe dziecko, i rozpaczliwie jej zapragnął. Zawsze tak było, od pierwszego ich spotkania, chciał tylko jednego: utonąć w jej bladym, uległym ciele i pozwolić, by odpędziła wszystkie ścigające go demony. Reginę była dla niego kimś więcej niż kochanką, była ojcem, matką i dzieckiem jednocześnie. Uwielbiał ją. Nauczyła go, co znaczy kochać się, a nie jedynie uprawiać seks, chwaliła jego wysiłki na równi z sukcesami, pocieszała i dodawała otuchy, kiedy sprawy szły źle, a nawet czasami sprawiała, że śmiał się jak szalony. Na jedno tylko nie chciała się zgodzić: porzucić męża.

- Nie mogę tego zrobić, *cheri*, nie prosz mnie o to - mówiła, gładząc go delikatnie po ręku.

- Dlaczego nie, Reginę? Dlaczego? Przecież to mnie kochasz! - wybuchnął, lecz w rzeczywistości pragnął z jej ust usłyszeć potwierdzenie swoich słów.

- Oczywiście, że cię kocham, ale to nie ma nic do rzeczy. Jestem żoną Claude'a. Nie mogłabym opuścić jego i dzieci. To nie byłoby właściwe. Wyrządziłabym im krzywdę.

- A co ze mną? Myślisz, że mnie nie krzywdzisz?

- Może trochę, ale tak to już bywa. Poza tym nie jest tak źle, prawda? Możemy być razem tak często, jak tylko zechcesz.

Janet Tanner

- Nie, nie możemy. Chciałbym być z tobą przez cały czas. Roześmiała się. Patrzył, jak jej wspaniałe piersi wznoszą się i opadają i zapragnął jej tak rozpaczliwie jak nigdy dotąd.

- Nieprawda, Charles - zaprotestowała. - Prędko byś się mną znudził.

- Nie znudziłbym się! Nigdy się tobą nie znudzę, kochana Reginę. Chciałbym być częścią ciebie. Wtedy byłbym tam, gdzie ty jesteś, o każdej porze dnia i nocy. I moglibyśmy się ciągle kochać, w wannie, przy stole, kiedy wyszywasz, wszędzie... gdziekolwiek!

- Bądź rozsądny, Charles, proszę cię - upominała go, ale widział, że sprawia jej to przyjemność.

- Nie mogę opuścić męża. Nie prosz mnie o to. Poza tym ty musisz się ożenić. Co innego mieć kochankę, która akurat jest mężatką, a co innego usankcjonować taki związek. Pomyśl o skandalu, jaki by wybuchł. Twój ojciec byłby bardzo niezadowolony.

- Nie dbam o to. - Tak bardzo jej potrzebował, że dodało mu to odwagi. - Gdybym miał ciebie, nie dbałbym o to, co sobie pomyśli.

- Właśnie że dbałbyś. Poza tym musisz zapewnić sobie dziedzica, a ja nie mogę mieć więcej dzieci. Kiedy urodziłam małego Gilberta, doktor bardzo wyraźnie mi to powiedział. Byłam bardzo chora i wówczas zapowiedział mi kategorycznie, że nie wolno mi mieć więcej dzieci. Nie, musisz znaleźć sobie odpowiednią dziewczynę, Charles, która da ci synów, a tym samym zapewni ciągłość rodu. Obiecuję jednak, że zawsze będę do twojej dyspozycji. Kiedy tylko zechcesz.

Błagał, prosił, nawet płakał, lecz pozostała nieugięta. W końcu jednak zrozumiał, o co jej chodziło. A może mógłby mieć i jedno, i drugie, pomyślał. Ród znaczył dla niego bardzo wiele; miał obowiązek zapewnić mu ciągłość. Ale Reginę była równie ważna. Pozostała więc sprawa znalezienia odpowiedniej kandydatki na żonę.

Kiedy spotkał Kathryn, uznał, że właśnie znalazł odpowiednią dziewczynę: wystarczająco silną, by dać mu synów, na tyle młodą by była skłonna zaakceptować jego sposób życia i nie sprawiać kłopotów, darzącą go uczuciem, dzięki któremu czuł się przy niej panem, i na tyle piękną by mógł być z niej dumny.

Reginę podzielała jego opinię i bardzo zachęcała do małżeństwa. Może to dlatego, że uważała Kathryn za zbyt naiwną i niedoświadczoną by mogła zagrozić jej pozycji, pomyślał w nagłym przypływie olśnienia. Może sądziła, że również czas spędzony z Kathryn w łóżku będzie przemawiał na jej niekorzyść? Na początku Reginę wypytała go, jak się między nimi układa,

RAJSKIE DZIEDZICTWO

63

dawała rady i zachęcała do zwierzeń, które zaszokowałyby Kathryn, gdyby o tym wiedziała. Ale nie wiedziała - przynajmniej tak sądził - toteż na początku ten układ zdawał egzamin. Potem wszystko zaczęło się psuc.

Mąż Reginę, który był zamożnym hurtownikiem win, postanowił przenieść siedzibę firmy do Paryża i zabrał ze sobą żonę wraz z dziećmi. Zatrzymał co prawda dom w Charente, by mogli w nim spędzać weekendy i wakacje, jednak dawne czasy bezpowrotnie minęły. A potem wybuchła wojna. Reginę była w Paryżu, kiedy Francja się poddała, i pozostała tam do dziś. Zarządzenia okupanta utrudniały podróżowanie, nawet z listami były kłopoty. Ostatni raz widział ją ponad rok temu i rozpaczliwie za nią tęsknił. Tygodnie zmieniały się w miesiące, a jego tęsknota wciąż rosła.

Gdyby ona mogła być tutaj, pomyślał ze smutkiem, gdyby mógł pójść do niej, położyć głowę na jej pulchnym ramieniu i zwierzyć się ze wszystkich kłopotów. Ale nie było jej. Musiał więc sam sobie radzić.

- Jeszcze winą Charles?

Z przerażeniem zdał sobie sprawę, że ojciec do niego kieruje to pytanie. Prawie nie tknął swojego kieliszka.

- Nie, dziękuję, tato.

- To bardzo dobre wino. Bez wątplenia wy, Francuzi, znacie się na tym. To był głos von Rheinhardta. Charles przyjrzał mu się uważnie, robiąc w myślach charakterystykę nowego komendanta.

Z wyglądu był pięknym okazem Aryczyka, robiącym wrażenie przedstawicielem Trzeciej Rzeszy, zdecydowanie bardziej reprezentacyjnym od swego poprzednika. Nazywał się Buhler i był mężczyzną średniego wzrostu o pospolitym wyglądzie, natomiast von Rheinhardt był wysoki i silnie zbudowany. Buhler miał rzadziej koloru, a jego następcę grube i jasne. Był zdecydowanie przystojniejszy od Buhlera. Ale było w nim coś, co się Charlesowi nie podobało. Ta niechęć nie wynikała jedynie z faktu, że reprezentował naród, który poniżył drugi naród. W zachowaniu Buhlera wyczuwało się coś przymilnego - co, musiał przyznać, irytowało - jakiś uniżony szacunek, z jakim odnosił się do przedstawicieli znamienitych rodów, jakąś chęć przypodobania się. Von Rheinhardt był zupełnie inny. Cechowała go arogancja widoczna w momentach pozornej nieuwagi. I kryło się za nią coś więcej niż tylko buta zwyczajcy.

Przypuszczał, że von Rheinhardt pochodzi ze szlacheckiej rodziny i francuska arystokracja w żadnym razie nie napawała go lękiem. Było w tym człowieku jeszcze coś, czego

Janet Tanner

Charles nie mógł sprecyzować. Przypuszczał, że chyba bezwzględność. Nie chodziło tu o szramę na policzku biegnącą od kącika oka do linii ust, nadającą twarzy groźny wygląd. Raczej o błękitne jak niebo oczy, w których czaiło się okrucieństwo.

Charles zarejestrował to wszystko i spróbował uciszyć narastający w nim strach. Ten człowiek nie był drugim Buhlerem. Będą musieli uważać, żeby z nim nie zadrzeć. Jego gniew mógłby być niebezpieczny.

Teraz jednak zachwalał wyborne wino grając rolę wdzięcznego za zaproszenie gościa.

- Miło mi, że panu smakuje - odpowiedział Guillaume. - Sądzę jednak, że nasz koniak jeszcze bardziej przypadnie panu do gustu. Mam nadzieję, że pozwoli pan go produkować, tak jak czyniliśmy, odkąd mój dziadek założył tu winnicę.

- Oczywiście. Dopóki będziecie się nim dzielić z nami, wszystko pozostanie, jak było.

Jego głos brzmiał uprzejmie, mimo to w tych słowach wyczuwało się ukrytą groźbę i Charles domyślił się, że nie chodzi mu o butelkę czy dwie z przeznaczeniem dla niego i panów oficerów z zamku François, gdzie mieściła się kwatera główna, lecz o hurtowe dostawy dla władz w Niemczech.

- Nie chcemy utrudniać ludziom życia bardziej, niż to jest konieczne - ciągnął von Rheinhardt gładko. - Na szczęście wszyscy możemy żyć obok siebie bez nienawiści. Nie chcę kłopotów i jestem pewien, że wy również.

- Nikt nie lubi kłopotów - odpowiedział Guillaume. - Mieszkający tu ludzie pragną jedynie, aby pozwolono im spokojnie żyć. Generał Buhler w to wierzył i mam nadzieję, że pan również. Błękitne jak niebo oczy zwęziły się.

- Naturalnie. Obawiam się jednak, że ten okręg nie całkiem jest pozbawiony problemów.

Zawsze znajdują się tacy, którzy będą się zachowywać nierozsądnie, którym upór nie pozwoli pogodzić się z obecną sytuacją. General Buhler był dobrym żołnierzem, ale nie dostrzegał pewnych spraw. Jeśli pojawią się tu jacyś podżegacze, mogą państwo być pewni, że ich znajdę i surowo za to ukarzę.

Charles poczuł, jak ciarki przechodzą mu po plecach. Doskonale wiedział, co von Rheinhardt ma na myśli, mówiąc o surowej karze. Kiedy Niemcy pojawili się tu po raz pierwszy, dwóch młodych chłopców z sąsiedniej wsi próbowało utrudnić im działania przecinając druty telefoniczne. Złapano ich i rozstrzelano. Po okolicy krążyły opowieści o rym, jak rozprawiano się z każdym, kto podstępnie starał się przeciwstawić okupantowi: najpierw poddawano go torturom, a następnie rozstrzeliwano lub wywożono w nie znanym kierunku,

RAJSKIE DZIEDZICTWO

65

Jak dotąd w Savigny nic takiego się nie zdarzyło, głównie dzięki temu, że miejscowi brali przykład z rodziny de Savigny i dobrze żyli z wrogiem, lecz zawsze mógł się znaleźć jakiś szaleniec, który zerwie układ. Jeśli znajdzie się ktoś taki, von Rheinhardt na pewno nie okaże litości. W przeciwieństwie do Buhlera ten człowiek był gorliwym patriotą, obdarzonym nieugiętą wolą spełniania swoich obowiązków, co zmuszało wszystkich jego podwładnych do bezwzględного posłuszeństwa. Co więcej, on najwyraźniej lubił to egzekwować.

- Dobrze jednak wiedzieć, że mam pana poparcie - ciągnął von Rheinhardt.

- Jestem pewny, iż pański wpływ będzie mi pomocny w utrzymaniu spokoju. To niezwykle uprzejmie z pana strony, że zaprosił mnie pan na kolację i dał sposobność do odwiedzenia pańskiego uroczego zamku i poznania członków pańskiej rodziny. - Przesunął wzrokiem po zgromadzonych z niemal królewskim uśmiechem, po czym jego oczy zwęziły się. - Nie mogę się również doczekać, by poznać nareszcie pańską synową. Jest Angielką, nieprawdaż?

- Kathryn urodziła się w Anglii, ale jest naturalizowaną Francuzką

- pospieszył Guillaume z wyjaśnieniem. - Jestem pewien, że wkrótce do nas dołączy, prawda Charles?

Charles poczuł, jak wzbiera w nim uczucie paniki.

- Nie czuła się dziś dobrze, tato. Cierpiała na migrenę. Nie jestem pewny, czy wydobrzeje na tyle, by zjeść z nami kolację.

- Doprawdy? - Głos von Rheinhardta był gładki jak jedwab, lecz brzmiały w nich znaczące tony.

- To wielka szkoda. Mam nadzieję, że nie ja jestem powodem tej niedyspozycji.

Zaległa pełna napięcia cisza. Nawet wiekowe ściany zamku wydawały się wstrzymywać oddech. Po chwili drzwi się otworzyły i do salonu weszła Kathryn, niczym aktorka czekająca jedynie na odpowiedni moment, by się pojawić.

Dzięki Bogu, że w końcu zdecydowałaś się zejść - powiedział Charles.

- On domyślił się, o co chodzi, i nie był z tego zadowolony.

- Doprawdy? - zapytała Kathryn chłodno.

Znajdowali się w sypialni. Wieczór przeszedł bez incydentu. Von Rheinhardt był w niemal wesołym nastroju, a gospodarze niezwykle uprzejmi. Christian był cichszy niż zwykle, Kathryn prawie się nie odzywała, Guillaume pełnił

78 Janet Tanner

rolę dyplomaty, Louise zaś była czarująca, choć bez nadmiernego entuzjazmu. Kolacja, mimo że daleko odbiegała od doskonałości pamiętającej lepsze czasy, była fantazyjna i elegancko podana. Kucharka, dokonała cudów z warzywami pochodzącymi z przyzaskowych ogrodów i z jednym z jej wspaniałych sosów, chociaż nie zawierał już tyle śmietany co dawniej. Von Rheinhardtowi, jak przewidywał Guillaume, bardzo smakował koniak Château de Savigny. Oczywiście zdarzyło się kilka strasznych momentów, kilka chwil ciszy, jakie nastąpiły w rozmowie po niefortunnych zwrotach, które mogły zostać opacznie zrozumiane, ale szybko zażegnano niebezpieczeństwo. Nastrój skrępowania podtrzymywały jedynie zawołane ostrzeżenia von Rheinhardta.

- Przed kilkoma dniami, jakieś trzydzieści mil na północ, spadł samolot wroga - oświadczył lekkim tonem. - Gdyby zjawił się tu pilot, spodziewam się, że nikt z mieszkańców nie będzie na tyle głupi, by mu pomagać.

- Więc on nie zginął? - zapytał uprzejmie Guillaume.

- Wygląda na to, że nie. W każdym razie nie znaleźliśmy we wraku samolotu żadnego ciała.

- Nie wytrzymałby długo na dworze. Jest wilgotno i bardzo zimno.

- Właśnie, Jeśli jednak ukrywa się gdzieś w pobliżu, wkrótce się o tym dowiemy. A ten, kto go ukrył, odpowie za to. Nie możemy i nie będziemy tolerować takiego postępowania.

- Biedny człowiek - mruknęła Louise. - Ranny, głodny i zmarznięty na obcym terenie.

Von Rheinhardt obrzucił ją niemal życzliwym spojrzeniem. Louise wolno było mówić takie rzeczy. Mimo to jego odpowiedź nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

- Nie może pani myśleć o tym człowieku jak o swoim synu, *madame*. To wróg. Mam nadzieję, że nie będzie pani próbowała mu pomagać?

- Oczywiście że nie - odpowiedziała z czarującym uśmiechem, a Charles spojrzał niespokojnie na Kathryn, obawiając się jej reakcji.

Kathryn jednak nie odezwała się słowem. Zauważył, jak napięła mięśnie policzków i kurczowo zacisnęła dłonie spoczywające na kolanach, starając się w ten sposób zapanować nad sobą. Był jej za to wdzięczny. Mimo to nadal się obawiał, że powie coś nieroztropnego i wieczór zmieni się dla niego w męczarnię.

Teraz, ubrany w jedwabną piżamę, oparty wygodnie o poduszki, obserwował, jak Kathryn szykuje się do snu.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

67

Siedziała przed toaletką w niebieskim kimonie, które kupił jej przed wojną na Wschodzie. Materiał skrywał szczupłą sylwetkę, lecz nie zdołał ukryć sztywności ramion i zbyt energicznego ruchu rąk przy rozczesywaniu włosów.

- Zrobiłaś, co należało, Kathryn - powiedział. - Podobnie jak my wszyscy. Nie mogliśmy postąpić inaczej.

Nie odpowiedziała, próbował więc dalej.

- Musimy być rozsądni, *ma chérie*. Wiem, że ci się to nie podoba, lecz co dobrego przysłoby z przelewania francuskiej krwi? Życie musi się toczyć dalej.

Uparcie milczała, a on poczuł, jak wzbiera w nim gniew. Jak ona śmie tak go lekceważyć?! Do diabła, jest przecież jego żoną! Chyba należy mu się jakiś szacunek. Próbował znaleźć odpowiednio dosadne słowa, lecz zamiast tego z ust wyrwało mu się gniewne pytanie.

- W jaki sposób papa przekonał cię, byś zeszła? Mnie nie chciałaś usłuchać. Kathryn cisnęła na toaletkę szczotkę oprawną w kość słoniową i obróciła się w jego stronę. Mięśnie szyi miała mocno naprężone.

- Nie przekonał mnie. To była moja własna decyzja.

- Ach tak? Wobec tego co wpłynęło na twoją decyzję?

- Po prostu doszłam do wniosku, że nie mam wyboru i że mogę narazić Guya na niebezpieczeństwo, jeśli nie wezmę udziału w tej obrzydliwej farsie, w której uczestniczy twoja rodzina. On jest moim synem, półkrwi Anglikiem, a Anglicy wciąż walczą. Prowadzimy wojnę z świniami pokroju von Rheinhardta, toteż jesteśmy pod tym względem przewrażliwieni. Nie chodzi mi o własną skórę, Charles. Wolałabym raczej umrzeć niż płaszczyć się w ten sposób przed Niemcami, jak wy to robicie. Ale Guy jest tylko dzieckiem, nie mogę więc narażać go na niebezpieczeństwo.

- To dobrze. Cieszę się, że to zrozumiałaś.

- Naprawdę? A ja nie. Boję się tego człowieka, przyznaję, i dlatego biorę udział w tej odrażającej grze. Ale nie będę udawać, że jestem z tego dumna. Czy ty, Charles, jesteś z tego dumny? Czy napawa cię dumą fakt, że Francja skapitulowała?

- Robię to, co muszę - odpowiedział dotknięty jej słowami. - Staram się ocalić życie nas wszystkich, ocalić moje dziedzictwo.

- No tak, twoje bezcenne dziedzictwo! I cóż ci z niego zostało, możesz mi powiedzieć?

Wszystkiemu biernie się przyglądasz i pozwalasz tym draniom wchodzić ci na głowę. A w dodatku zmuszasz mnie, bym i ja robiła to samo. Uważam, Charles, że to niedopuszczalne.

80 Janet Tanner

Popatrzył na nią i poczuł, jak wzbiera w nim pożądanie. Doprowadzała go do wściekłości, to prawda, zwłaszcza kiedy w ten sposób do niego mówiła. W takich chwilach tęsknił za podnoszącymi na duchu i uspokajającymi pieścizotami Reginę. Ale w Kathryn, kiedy się gniewała, było coś porażająco atrakcyjnego: brązowe oczy przybierały barwę rozpalonego złota, mięśnie się napinały, a piersi falowały. Cóż było w kobiecych piersiach, co go tak nieodparcie pociągało? Nie miał chyba kompleksu Edypa? Jego matka w najpiękniejszym swym okresie była drobna i płaska jak chłopiec. Nie, to zaczęło się wcześniej, jeszcze zanim poznał Reginę i zanim zdobył pierwsze doświadczenia w wysokiej klasy paryskich burdelach, ucząc się sztuki miłości.

- Poślubiając mnie wiedziałas, że wchodzisz do rodziny z tradycjami - rzucił gniewnie, zły na siebie, że tak na nią reaguje. - Sądziłem, że to ci odpowiada.

- Naprawdę? Wynikało to zapewne z mojej naiwności i skłonności do romantycznych uczuć. Byłam na tyle głupia, by sądzić, że do tych tradycji, jak je nazywasz, zalicza się dumę i honor. Nie przypuszczałam, że kryje się za nimi pragnienie ocalenia własnej skóry za wszelką cenę, nawet za cenę godności osobistej.

- To nie fair, Katrine. To nie nasze skóry chcemy ocalić, tylko sposób życia.

- Który jest z gruntu przegniły, więc nie ma co ocalać. Westchnął.

- Nasza dyskusja do niczego nie prowadzi. Dlaczego nie chcesz zrozumieć, że w ten sposób staramy się ocalić lokalną społeczność, za którą jesteśmy odpowiedzialni? Dziś wieczór byłaś skłonna poświęcić swoje zasady w imię dobra Guya. Czy nie widzisz, że my czujemy to samo w stosunku do ludzi, którzy dla nas pracują i mieszkają na terenie posiadłości? Ich dobro jest dla rodziny de Savigny świętym obowiązkiem, tak jak dla ciebie dobro Guya.

- Nie, nie widzę - odpowiedziała. - Wiem jedno, że czuję się zbrukana i wstydę się siebie.

Wstała, zsunęła z ramion kimono i odłożyła je na krzesło. Miała na sobie prostą koszulę na cienkich ramiączkach. Zadrżała, kiedy chłód nie ogrzewanej sypialni owionął nagie ramiona i szybko wskoczyła do łóżka pod grubą puchową kołdrę, naciągając ją nieco wyżej niż zazwyczaj.

- Katrine... zmarłaś. - Charles przysunął się do niej, dotykając ręką piersi. - Chodź, ogrzeję cię. Wzdrygnęła się na jego dotyk. Dawniej, kiedy byli tuż po ślubie, uwielbiała przytulać się do niego w tym wielkim łóżu, kochała ciepło emanujące

RAJSKIE DZIEDZICTWO

69

z dwóch splecionych ze sobą ciał, uwielbiała łączyć się w jedno z człowiekiem, który był dla niej ucieleśnieniem marzeń o romantycznym bohaterze. Świadomość, że kochał ją i pożądał, wprawiała ją w nieustanny zachwyty. Sprawiała, że czuła się słaba i bezbronna w jego ramionach, a jednocześnie silna siłą swej kobiecości. Zdarzały się między nimi nieporozumienia, ale wierzyła, że ich miłość zdoła pokonać wszelkie przeszkody wynikające z różnic narodowościowych, kulturowych i społecznych.

Teraz widziała to inaczej, a uczucie rozczarowania boleśnie raniło jej duszę. Niecierpliwie usunęła się przed pieszczotą jego ręki.

- Nie, Charles, proszę.

- Katrine...

- To nie jest sposób na rozwiązanie naszych problemów. Przynajmniej dla mnie.

- Proszę bardzo, skoro sobie tego życzysz.

Odwrócił się na drugi bok, dotknięty jej odmową bardziej, niż chciał to przyznać.

- To nie ja sobie tego życzę, to okoliczności tak się ułożyły - odparła z goryczą w głosie.

Charles postanowił nie odpowiadać. Naciągnął na siebie kołdrę i wkrótce zaczął cicho pochrapywać. Kathryn nie mogła zasnąć. Leżała zziębnięta, czując chłód pościeli, niezdolna do ułożenia się w wygodniejszej pozycji, i zastanawiała się nad tym, czy kiedykolwiek zdoła się z Charlesem porozumieć. Mocno w to wątpiła. Zbyt wielka wyrosła między nimi przepaść i zbyt wiele szkód poczyniło rozczarowanie. Jednak był przecież jej mężem i ojcem ich dziecka. A Guy, czy chciała tego czy nie, nosił nazwisko de Savigny.

Co ja mam robić? - myślała z rozpaczą w sercu. W tym momencie przestały się nawet liczyć codzienne kłopoty i strach przed życiem pod niemiecką okupacją.

Rozdział szósty

Londyn, 1941

Nad Londynem wcześniej zapadł wieczór. Przez cały dzień nad miastem wisiała gęsta warstwa chmur, zapowiadając opady śniegu i spowijając żółtawoszarą mgłą leje po bombach i szkielety zniszczonych budynków. Choć dochodziła dopiero siedemnasta trzydzieści, panowały zupełne ciemności. Przez okna hoteli przy Portman Street w większości zamienionych na mieszkania nie przeświecał najmniejszy nawet promyk światła. Skrzętnie przestrzegano tu rozporządzenia o zaciemnieniu. Przejeżdżające ulicą samochody miały częściowo przyciemnione reflektory i tylko nikłe błyski świadczyły o ich obecności.

Dojmujący chłód przesączał się przez chodniki i wnikał w ciało, kiedy Paul Sullivan szedł szybko ulicą. Podniósł kołnierz paltka i pochylił głowę tak, by broda znalazła się jak najgłębiej, a ręce w rękawiczkach wsunął do kieszeni.

Zapowiada się długa ciężka zima, pomyślał. We Francji, gdzie spędził ostatnie miesiące, też nadeszła wyjątkowo wcześniej. Choć była to dopiero połowa listopada, zdażył już doświadczyć chłodniejszych i ciemniejszych niż ta noc, a dreszcz strachu, który nieodmiennie mu towarzyszył w czasie misji, sprawiał, że zimno chwytające za palce rąk i nóg stawało się mniej dotkliwe. Silniejsza od niego była świadomość czyhających zewsząd niebezpieczeństw. Pogoda odgrywała wielką rolę w tej niebezpiecznej krainie cieni, która rozciągała się po obu stronach linii demarkacyjnej oddzielającej terytorium okupowane od części kierowanej przez rząd Vichy, gdzie mundur miejscowego policjanta bywał równie groźny jak mundur niemieckiego okupanta, a za każdym rogiem czyhało niebezpieczeństwo. Czyste niebo i jasno świecący księżyc oznaczał wolną drogę dla samolotów - przyjaznych angielskich samolotów, przywożących broń i zapasy, a niekiedy ludzi do pomocy.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

71

Ciemna noc stanowiła dodatkową osłonę dla tajnych operacji. Deszcz maskował szyby ochronne, mokre pola tłumiły kroki, natomiast zmarznięta ziemia i śnieg groziła wpadką, bo łatwo można było wytropić ślady. Paul Sullivan nauczył się rozpoznawać i wykorzystywać warunki pogodowe do swoich celów. Teraz, nie patrząc nawet w niebo, jego wyszkolony umysł podpowiadał, że dziś w nocy żaden samolot nie przeleci nad kanałem.

Stanęli mu przed oczami towarzysze, z którymi wspólnie obserwował niebo, a których już nie zobaczy, i poczuł skurcz żołądka. Stworzona przez niego w północno-wschodniej Francji komórka organizacyjna rozpadła się, a jej członków aresztowano lub zastrzelono w trakcie ucieczki w bezchmurną jasną noc. Nie było go wówczas z nimi. Czy gdyby był, zdołałby ich uratować, czy też skończyłby jak oni w płytkim grobie? To pytanie wciąż nie dawało mu spokoju. Wyrzucił je z myśli. Wiara w to, że mógł zapobiec ich śmierci, zakrawała na arogancję, a to w wojnie, którą prowadził, było czymś niebezpiecznym.

Na rogu ulicy, przed wejściem do schronu, stała grupka żołnierzy armii obronnej. Palili papierosy i przytupywali starając się rozgrzać. Ich widok i widok Mobile Mollies - małych działek przeciwlotniczych - przypomniał Paulowi, że bezgwiezdna ciemna noc ma dla ogarniętej wojną Anglii inne znaczenie: dziś na Londyn nie spadną bomby niosące śmierć i zniszczenie. W tym momencie uzmysłowił sobie, że tu przecież walka z wrogiem wygląda inaczej, że Anglia wciąż prowadzi regularne działania wojenne, podczas gdy Francja, przynajmniej oficjalnie, skapitulowała. Dla Paula działalność, jaką prowadził na terenie Francji, gdzie na każdym kroku groziło niebezpieczeństwo, stała się przez ostatnie miesiące sposobem na życie.

Dochodząc do miejsca przeznaczenia obejrzał się szybko przez ramię, instynktownie sprawdzając, czy nikt go nie śledzi. Tu, w Londynie, jak przypuszczał, była to zbędna ostrożność, ale we Francji stała się jego drugą naturą. Najwidoczniej żołnierze armii obronnej nie zauważyli niczego niepokojącego. Wszedł więc do środka i podał odźwiernemu swoje nazwisko.

Przed wojną w tej starej eleganckiej kamienicy mieszkali ludzie. Teraz część mieszkań została wynajęta przez nowo utworzoną francuską sekcję w Special Operations Executive. Tu agenci mogli się kontaktować z obsługą domu - było to zdecydowanie bezpieczniejsze niż składanie wizyt w dowództwie SOE przy Baker Street. W dodatku miejsce lokalizacji było otoczone ścisłą tajemnicą. Na początku, jeszcze jako świeżo upieczony agent, Paul odbywał spotkania w podziemiach Whitehallu, gdzie korytarzy strzegli

Janet Tanner

umundurowani żołnierze. Potem oddano je do dyspozycji wojska, a zarządowi pozostało wynajęcie anonimowych mieszkań. Paul był z tego zadowolony. Nigdy by się do tego nie przyznał, ale nienawidził jazdy w dół starą trzeszczącą windą sunącą w głąb ziemi. Od dzieciństwa cierpiał na lęki klaustrofobiczne i choć zdołał je pokonać, to w podziemiach na nowo odżywała panika i strach przed pogrzebaniem żywcem w tych lochach. Tłumaczył sobie, że były one doskonałym zabezpieczeniem przed atakami z powietrza, ale wolał raczej mieć do czynienia z bombą na parterze, gdzie przynajmniej docierało świeże powietrze, a w ucieczce przeszkadzały jedynie drzwi ministerstwa.

Ruszył schodami na górę do znanego mu mieszkania i zapukał do drzwi. Otworzyła mu młoda kobieta.

- Kapitan Sullivan! - Rumieńca, jaki zabarwił jej policzki, nie zdołał stłumić nawet profesjonalizm, z jakim wypełniała swe obowiązki, i przydał nieco ciepła sztywnemu mundurowi w kolorze khaki. Paul Sullivan działał w ten sposób na wszystkie kobiety - ożywiały się na widok szczupłej twarzy o lekko nieregularnych rysach, podziwiała szczupłą sylwetkę znamionującą nie słabość, lecz siłę, miękką na widok nieznacznego skrzywienia ust

i siateczki zmarszczek okalających piwne oczy, kiedy się uśmiechał. Fakt, że uśmiech rzadko gościł na jego twarzy, i absolutna nieświadomość własnej atrakcyjności, przydawały mu tylko uroku. Wszystkie, może z małymi wyjątkami, marzyły o tym, by zburzyć ten mur rezerwy, jakim się otaczał. Było w nim jeszcze jakieś dziwne rozedrganie, w którym wyczuwało się groźbę, ale na zewnątrz widać było jedynie niezmacony spokój. Wygląda, jakby właśnie wrócił z urlopu, a nie z niebezpiecznej misji, pomyślała dziewczyna.

- Witaj, Rita - odezwał się głębokim, z pozoru niedbałym tonem. - Jak widzę, wciąż tu pracujesz.

- Niechby spróbowali się mnie pozbyć! Powiedziałabym, że odpowiada mi ta wojna, gdyby nie pociągała za sobą tylu szkód! Czy pan wie, że zeszłej nocy bomba zniszczyła kościół, w którym moi rodzice brali ślub? Jeśli wkrótce nie powstrzymamy tych drani, nie będzie o co się bić.

Paul zacisnął gniewnie usta. Miał ochotę powiedzieć, że wówczas pozostaną jeszcze zasady. Czyż nie warto się bić o prawo każdego człowieka do życia w wolnym świecie? A ludzie, czy oni też nie są tego warci? Jednak żadnej z tych myśli nie wypowiedział na głos. Zbyt dobrze zdawał sobie sprawę z płonącej w nim żądzy zemsty i takie szlachetne sentymenty zakrawałyby na

RAJSKIE DZIEDZICTWO

73

hipokryzję. To pięknie mieć wzniosłe cele, ale on kierował się wyłącznie osobistymi pobudkami. Dwa lata temu, kiedy wybuchła ta przeklęta wojna, przypominająca eksplozję wulkanu, którą wywołały hitlerowskie Niemcy, miał tylko jeden cel w życiu: ukochaną żonę i córeczkę. Lecz obie zginęły. Były właśnie z wizytą u rodziców Gerie w Rotterdamie, kiedy Niemcy zaatakowali miasto i znalazły się na terenie objętym bombardowaniem, znanym pod nazwą *Blitzkrieg*. Paul pukał do wielu drzwi, by dowiedzieć się czegoś o ich losie po to tylko, by poznać przerażającą prawdę: ulica, przy której mieszkali rodzice Gerie, zmieniła się w kupę dymiących gruzów, a jego żona i córeczka Béatrice podzieliły los ośmiuset ludzi, którzy zginęli w czasie niemieckiej inwazji.

- Zdaje się, że major Fawcett mnie oczekuje - powiedział przybierając urzędowy ton.

W oczach dziewczyny przemknął cień rozczarowania na tę nagłą zmianę tematu, lecz mimo młodego wieku była zbyt wielką profesjonalistką, by pozwolić sobie na wyraźniejszą reakcję. Ritę Barlow wybrano właśnie za sprawność i odwagę przy pełnieniu trudnej i odpowiedzialnej pracy. Nigdy nie pozwoliłaby sobie na chwilę słabości w stosunku do agentów SOE.

- Tak, oczekuje pana. Powiem, że pan przyszedł. - Weszła do pokoju, który niegdyś był sypialnią, a teraz stał się gabinetem. - Przyszedł kapitan Sullivan, sir.

- Sullivan, wejdz, przyjacielu. - Major wstał zza biurka zarzuconego papierami, które przeglądał czekając na Paula. Nie należał do ludzi, którzy pozwalali sobie na chwilową stratę cennego czasu. W popielniczce dymiło zapomniane cygaro. - Proszę siadać. Rito, zrób nam kawę. Zimno dziś na dworze, prawda?

- Rzeczywiście. - Paul rozpiął palto i usiadł na wprost majora.

- Może napilibyśmy się czegoś mocniejszego na rozgrzewkę. - Wyciągnął z teczki do połowy opróżnioną butelkę brandy. - Chyba pan nie odmówi?

Paul uśmiechnął się krzywo.

- Ma pan rację, nie odmówię.

Major wyjął dwie szklaneczki z masywnego sekretarzyka, nalał do każdej z nich sporą porcję brandy i wręczył jedną Paulowi.

- Pańskie zdrowie. Chyba to odpowiedni toast w tych okolicznościach. Paul nie odpowiedział, a oczy majora zwięziły się w zadumie. Po chwili szef odstawił szklaneczkę, wyciągnął z aktówki teczkę z dokumentami i otworzył ją.

Janet Tanner

- Dobrze. Przejdźmy więc do rzeczy. Rozmawiałem z majorem Allenem, który przesłuchiwał pana po powrocie do Londynu. Zapoznałem się też z jego i pańskimi raportami. Spisał się pan dobrze, kapitanie.

Paul pociągnął spory łyk brandy.

- Nie określiłbym w ten sposób straty całej siatki.

- Hmm. No tak. Kiepska sprawa. Sądzi pan, że ktoś się wygadał?

- Nie mam na to dowodu, ale sądzę, że tak właśnie było. Pojawienie się Niemców w takiej liczbie, w dodatku w tym miejscu, w chwili, kiedy przenosiliśmy broń, nie może być kwestią przypadku. Niespodziewany patrol, tak. Jest ich mnóstwo. Ale cała armia pojazdów opancerzonych... nie, ktoś sypnął, jestem tego pewien.

- Domyśla się pan kto?

- Proszę sprawdzić tych z moich ludzi, którzy wciąż chodzą po ulicach - rzucił oschle Paul. - Nie, wcale tak nie myślałem. Nie przypuszczam, by ktoś nas zdradził. Znałem moich ludzi... W każdym razie tak mi się zdawało. Myślę, że był to skutek nieostrożnego słowa, które trafiło w niewłaściwe ucho. Żona, przyjaciółka, która zbyt dużo wiedziała, chęć zaimponowania... Ostrzegałem ich, ale niełatwo jest przekonać prostych, dobrodusznym wieśniaków, aby nie ufali ludziom, których znali przez całe życie. Istniejące tam podziały są niezwykle płynne: jedni chcą walczyć, inni wolą chować głowę w piasek, a jeszcze inni nawet nie rozumieją o co w tym wszystkim chodzi. Są komuniści, zwolennicy Petaina, de Gaulle'a nawet faszyci. Jestem przekonany, że takich, którzy chcą wypędzić hitlerowców, jest wielu, ale zwerbowanie ich to cholernie trudna robota, a wzięcie w ryzy - jeszcze gorsza. Oni wciąż się uczą żyć w okupowanym kraju,

- W nowej dla siebie sytuacji zawsze błądzimy po omacku. - Major dopił brandy i ponownie napełnił szklaneczkę. - Niestety, popełniamy wówczas błędy. My tu na miejscu również rozgrywamy nasze małe batalie. Stara gwardia uważa, że czynny opór pociąga za sobą tylko niepotrzebne kłopoty. Chcą sprowadzić nas do komórki informacyjnej. Ale pokonamy ich, nie ma obawy.

Wywód majora przerwało pukanie do drzwi i do pokoju weszła Rita niosąc kubki z kawą.

Gabinet wypełnił się jej aromatem, a Paul nie mógł się oprzeć myśli, że bez względu na ograniczenia kierownictwo SOE zapewniało sobie dostawy, które pozwalały funkcjonować i nie zasypiać w czasie długich godzin nocnych.

- Miał pan szczęście, że nie został złapany razem z innymi - powiedział major, kiedy zamknęły się drzwi za Ritą.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

75

- Przebiłem gumę w rowerze i spóźniłem się na spotkanie. Kiedy przybyłem na miejsce, usłyszałem strzały i zobaczyłem, jak Niemcy aresztują moich ludzi.

- Szczęśliwy defekt.

- Na to wygląda - skrzywił się Paul. - Najwyraźniej mam szczęście do niepojawiania się w miejscach katastrofy.

Major Fawcett domyślił się, że uwaga Paula odnosi się do tego, co stało się z żoną i córką.

- Nie mogę tam pana wysłać ponownie, Sullivan - oświadczył nagle. - Chyba to jasne. Jest pan tam spalony.

- Na to wygląda. Jeśli już wcześniej mnie nie rozszyfrowali, to teraz na pewno wiedzą kim byłem. Co najmniej dwóch moich ludzi wpadło w ich ręce i choć jestem przekonany, że będą starali się dochować tajemnicy, to gestapo też ma swoje metody.

- Tak więc cały ten obszar jest dla pana zamknięty. Poślemy tam kogoś innego, jak tylko upewnimy się, że teren jest bezpieczny.

Zapominając o dymiącym w popielniczce cygarze, major sięgnął do przedniej kieszeni bluzy, wyciągnął z niej nowe i zaczął szukać zapalek.

- Mimo to chciałbym tam wrócić - odezwał się Paul. - Wszystko wskazuje na to, że spieprzyłem robotę, ale wiele się nauczyłem.

- I nie zniechęca pana fakt, że ledwo uszedł pan z życiem? Usta Paula zacisnęły się gniewnie.

- Wiedziałem, na co się narażam, i byłem na to przygotowany. Nadal jestem. Poza tym, ilu ma pan ludzi znających Francję tak dobrze jak ja i mówiących po francusku jak rodowity Francuz? Major przytknął zapalną do cygara.

- Mój ojciec pracował w ambasadzie w Paryżu, a ja spędzałem wakacje jeżdżąc z przyjaciółmi po kraju. Po skończeniu szkoły włączyłem się po Francji przez jakieś dwa lata, mając się każdej pracy, jaką udało mi się znaleźć,

- Sądzi więc pan, że wszędzie może uchodzić za Francuza?

- Zawsze miałem dobre ucho do lokalnych dialektów. Oczywiście.

- To właśnie chciałem usłyszeć. - Cygaro wreszcie zaczęło się palić, więc major rzucił na bok zapalną i sięgnął po kolejną teczkę. - Miałbym coś dla pana. Czy zna pan rejon zachodni, Charente i Charente-sur-Mer?

- Krainę koniaku? Tak, byłem tam. Pracowałem przy winobranii.

- Ale czy jest pan tam znany?

- Nie. Pracowałem tam jako jeden z wielu eks-studentów za wikt

Janet Tanner

i opierunek. Zdaje się, że nosiłem wówczas brodę. - Potarł w zamyśleniu gładko wygolony policzek. - Poza tym od tego czasu minęło dziesięć lat. Nie przypuszczam, by mnie ktoś pamiętał.

- To dobrze. Chciałbym założyć tam siatkę.

- Czy mamy tam jakieś kontakty?

Paul wiedział, że w całej Francji zaczynają się tworzyć komórki ruchu oporu, i ich dowódcy liczyli na to, że Londyn zapewni im dostawy broni i amunicji, a nawet pomoc specjalistów, radiotelegrafistów czy „pianistów”, jak ich nazywano. Francuzi byli jednak dumnym narodem i niechętnie słuchali rozkazów obcych przybyszów, nie mówiąc już o oddawaniu się pod ich dowództwo, on zaś lubił robić wszystko po swojemu. Inna forma była niewspółmierna do ponoszonego ryzyka.

- W tym rejonie nie ma żadnej zorganizowanej grupy - poinformował go major. - Zdarzały się tam jedynie jakieś drobne akcje sabotażowe: kierowanie pociągów z dostawami w niewłaściwą stronę. Zaraz na początku, kiedy tylko weszli tam Niemcy, zastrzelono dwóch chłopaków za przecinanie drutów telefonicznych. Ale z moich informacji wynika, że potrzebują przywódcy. I na pewno chętnie skorzystają z pańskich doświadczeń.

Paul kiwnął głową w zamyśleniu. Budowanie siatki od podstaw to było to, czego szukał. Znaleźliby się w niej tylko ci, którym by zaufał. Lecz jak się upewnić, komu można zaufać? - to był jeden z największych problemów. Na słowach nie można polegać, toteż Paul wolał zawierzyć własnemu instynktowi. Uważał się za całkiem niezłego specjalistę od ludzkich charakterów i miał nadzieję, że i tym razem przeczucia go nie zawiodą. W końcu od tego zależało jego życie.

- Chcemy nie tylko założyć tam siatkę - ciągnął major Fawcett - ale zorganizować też trasę ucieczki. Jak pan wie, przez ten region przebiega linia demarkacyjna. Muszą być tam jakieś miejsca, gdzie będzie można przechodzić z okupowanej do wolnej Francji: jakieś pole czy strumień. Teraz granica biegnie miejscami wzdłuż drogi, ale zdaje się, że Niemcy zmieniają ją według własnego widzimisie. Potrzebne są nam też bezpieczne adresy, które moglibyśmy podać naszym pilotom na wypadek zestrzelenia i przewodnik lub dwóch, którzy przeprowadziliby ich przez granicę. Chciałbym, żeby pan się tym zajął na miejscu.

- Tak jest. Skoro nie mamy tam żadnego punktu zaczepienia, rozumiem, że zostanę zrzucony w ciemno?

- To się jeszcze okaże. Pracujemy nad tym. Myślę, że na początku

RAJSKIE DZIEDZICTWO

77

mogliby się panem zaopiekować ludzie z grupy działającej jakieś dwadzieścia mil od miejsca przeznaczenia. Stamtąd uda się pan do Charente.

- Gdzie będę zdany na własne siły?

- Na początku tak. Mam jednak nazwisko kogoś, kto ewentualnie mógłby panu pomóc. To jedynie przypuszczenie, ale z mojego rozeznania wynika, że mogłaby się nadać.

Oczy Paula zwęziły się.

- Ona?

- Niech pan się tak nie najeża, Sullivan. Uważam, że kobiety świetnie się do tego typu działalności nadają dzięki swojej przebiegłej naturze.

Zaśmiał się z własnego dowcipu, lecz Paul nie odwzajemnił się tym samym. Instykt podpowiadał mu, że szpiegostwo i temu podobne rzeczy są męską domeną. Kobiety nie powinny być narażane na aż tak oczywiste niebezpieczeństwo. Jeśli to możliwe, powinny zostać w domu... Serce skurczyło mu się boleśnie.

- Kim ona jest? - zapytał szorstko.

- Angielską dziewczyną, a także naturalizowaną Francuzką, dzięki małżeństwu. Oczywiście do tego czasu Niemcy mogli ją zamknąć w obozie. Nazywa się Kathryn de Savigny.

- De Savigny. - Jakiś odległy dzwonek odezwał mu się w pamięci.

- To bardzo stara francuska rodzina, można powiedzieć - arystokraci. Mieszkają w pałacu na terenie wolnej strefy, mają winnice i produkują własny koniak. Nie są to duże ilości, ale zdaje się, że jakość przewyższa ilość. Nieźle na tym wychodzą, w każdym razie tak było przed wojną.

- De Savigny! - Paul teraz sobie przypominał. Pewne lato w Charente, stary zamek na wzgórzu, pięćdziesiąt hektarów winogron, z których robiono doskonały koniak, i wyniosła rodzina szczycająca się swoim bogactwem i pozycją.

- A cóż robi tam angielska dziewczyna? - zapytał ze sceptycyzmem w głosie.

- Wyszła za męża za jednego z synów starego barona. Sześć lat temu.

- Rozumiem. - Niechęć Paula powiększyła się. Nie dość, że kobieta, to jeszcze zepsuta bogactwem. Jaki mógł być z niej pożytek?

Spostrzegawczy major dostrzegł wahanie Paula.

- Nie lekceważ jej, Sullivan. Raporty na jej temat są bardzo pochlebne.

- I któż jest ich autorem?

- Jej brat.

90 Janet Tanner

- Jej brat?
- Pracuje dla mnie - wyjaśnił major enigmatycznie.
- Więc dlaczego sam nie pojedzie do Charente?
- Bo rodzina go zna i nie jest pewny, czy można jej zaufać. Natychmiast by go rozpoznali i...
- Oczywiście! - W głosie Paula brzmiał wyraźny sarkazm. - Podejrzewa, że rodzina kolaboruje z Niemcami, starając się ocalić własną skórę, więc nie chce się narażać. A pan chce, żebym ja to zrobił?
- To nie siostrze boi się zaufać, tylko jej rodzinie. Pan będzie mógł nawiązać z nią kontakt bez ryzyka, że pana rozpoznają. Naturalnie niczego nie można wiedzieć na pewno, ale osobiście sędzę, że warto podjąć takie ryzyko. Dziewczyna ma charakter, wie, czego chce, i oczywiście jest probrytyjska.
- Tak pan sądzi? Równie dobrze może chcieć tego samego co rodzina.
- Oczywiście że tak. Ale nie sędzę, by mogła pana zdradzić, i równie dobrze może okazać się bardzo przydatna.
- Zastanowię się nad tym - uciął Paul. - W każdym razie proszę mi podać jakieś bliższe informacje na jej temat.
- Naturalnie. Kathryn de Savigny, dwadzieścia pięć lat, matka czteroletniego syna Guya.
- Dwadzieścia pięć lat? I od sześciu lat mieszka we Francji? Musiała więc młodo wyjść za mąż.
- Rzeczywiście. Tuż po ukończeniu szkoły w Szwajcarii.
- Tuż po szkole, Chryste!
- Sullivan, pańskie uprzedzenia są zbyt wyraźne. - Major uśmiechnął się kwaśno. - Mogła sobie być młoda, ale Edwin, jej brat, twierdzi, że zawsze była trzpiotem. Trzpiot z manierami mógł wyrosnąć na wspaniałą kobietę.
- Skoro pan tak twierdzi. - Według Paula dziewczyna z dobrego domu, która weszła do rodziny takiej jak de Savigny, mogła być tylko wrzodem na tyłku, lecz zachował te myśli dla siebie. Major złożył papiery i wstał,
- To wszystko, Sullivan. Oczywiście jeszcze przed wyjazdem otrzyma pan dokładne instrukcje. Tymczasem proszę odpoczywać, regenerować siły i zadbać o rozrywki. Zadowolony jest pan z mieszkania?
- Bardzo. - Mieszkanie, w którym się zatrzymał, należało do SOE. Po powrocie z Francji znalazł w lodówce solonego łososia i dobre wino, a w kredensie pełno puszek z owocami i mięsem. W nękaney wojną Anglii były to prawdziwe rarytasy. - Potraficie o nas dbać, sir.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

79

Major pozwolił sobie na jeszcze jeden uśmiech.

- Staramy się. Wykonujecie tak niebezpieczną pracę, że należą wam się wszystkie możliwe luksusy.
- Skazaniec ma prawo do solidnego posiłku - skomentował jego słowa Paul.
- Niech pan się rozerwie... umówi na randkę z damą. Ma pan w Londynie przyjaciół czy...
- Niepotrzebne mi do tego pańskie pośrednictwo - wypalił Paul. - Proszę nie zapominać, że nie tak dawno straciłem żonę i nie mam ochoty na żadne zastępstwo.
- Jak pan chce. Prywatne życie to wyłącznie pańska sprawa, Proszę tylko pamiętać, że trochę relaksu jeszcze nikomu nie zaszkodziło.
- Sam sobie wybiorę formę odpoczynku, dziękuję. Major podszedł do drzwi i otworzył je.
- Pan wie, czego chce, Sullivan, zawsze to powtarzam. To jeden z powodów, dla których wybrano pana do pracy w SOE. Ale proszę uważać, by nienawiść pana nie spaliła. Osobiste porachunki mogą być bardzo niebezpieczne.

Paul nie odpowiedział. Gdyby nie osobiste porachunki, nie byłoby mnie tu, pomyślał.

W sekretariacie Rita Barlow rozmawiała przez telefon. Może uzgadniała spotkanie z innym agentem? Uniosła głowę na jego widok i przykryła ręką słuchawkę.

- Kapitanie Sullivan?...
- Dobranoc, Rito. Uważaj na siebie.
- Pan również, kapitanie.

Zamknął drzwi i wyszedł w czarną noc. Kolejna misja, kolejne zadanie, które wypełni pustkę w sercu i może da okazję do zemsty za śmierć żony i córki. To wszystko, na co liczył i czego pragnął.

Rozdział siódmy

Charente, 1941

Autobus wypełniony wieśniakami o groźnych twarzach trząsł się i podskakiwał na wyboistej drodze biegnącej wśród rzadkich wzgórz i zbrązowiałych pól. Padał deszcz i lekko stęchła woń mokrych ubrań mieszała się z zapachami benzyny, czosnku, tanich papierosów i gnoju. Zajmujący jedną z twardych ławek w tyle autobusu Paul Sullivan wyprostował długą sylwetkę, usiłując znaleźć wygodniejszą pozycję, i pomyślał, że jazda autobusem nie należy do jego ulubionych form podróży. Siedzący obok krępy mężczyzna z protestującą wniebogłosy kurą wciśniętą między kolana obrzucił go gniewnym spojrzeniem, ale na szczęście nie było w nim cienia podejrzliwości.

I nie powinno być, pomyślał Paul, spoglądając na swój strój: workowate spodnie, porozciągana bluzę i serżową marynarkę z łatami na łokciach. Wiele uwagi poświęcił swemu wyglądowi, tak dobierając garderobę, by upodobnić się do pospolicie odzianego wieśniaka, na którego nikt drugi raz nie spojrzy. Byłabyś ze mnie dumna, Gerie, pomyślał. Dumna raczej z wysiłku, jaki włożyłem w mój wygląd, a nie z rezultatu. Ta myśl wywołała znajomy skurcz żołądka i Paul siłą woli odepchnął ją od siebie. Nie czas teraz użalać się nad sobą czy pogrążyć w rozpacz. Całą energię musi teraz skoncentrować na zadaniu, jakie ma do wypełnienia, i na utrzymaniu się przy życiu. Wkrótce autobus dojedzie do linii demarkacyjnej, gdzie będą czekały patrole graniczne, toteż powinien zrobić wszystko, by nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi. Myśl po francusku, nakazał sobie w duchu. Jesteś Pierre'em Rousseau, robotnikiem rolnym, który przez krótki czas walczył we francuskiej armii, ponurym, nie wykształconym facetem, pragnącym jedynie, by zostawiono go w spokoju. Dokument, który miał w kieszeni, był jednym z kilku, w jakie

RAJSKIE DZIEDZICTWO

81

zaopatrzyło go SOE w Londynie. Pozostałe ukrył starannie za ruchomą cegłą w kominku, w sypialni wiejskiego domu, gdzie się zatrzymał. Posiadanie przy sobie więcej niż jednego dokumentu było głupim i zbędnym ryzykiem, o czym Paul doskonale wiedział.

Autobus wtoczył się do wioski, mijając domy z szarego kamienia, bezbarwne i brzydkie przy tej pogodzie, i rząd małych sklepów. Zatrzymał się przy błoniach, które latem dawały przyjemny chłód, lecz dziś wyglądały smutno, targane wiatrem i upstrzone plamami gnijących liści. Dwóch policjantów Vichy weszło do autobusu i z pompatycznymi minami ruszyło przejściem sprawdzając dokumenty. Paul siedział z głową odwróconą w stronę okna, dopóki jeden z urzędników nie stanął przy nim; wtedy niedbałym gestem podał mu papiery. Policjant rzucił na nie okiem, po czym oddał je i poszedł dalej. Paul pomimo pozornego spokoju odetchnął z ulgą. Angielscy fałszerze wykonali świetną robotę. Mimo to podrabiane dokumenty niosły ze sobą element ryzyka. Zdarzało się, że Niemcy zmieniali nagle ich format i stary wzór natychmiast przykuwał uwagę.

Autobus ruszył w dalszą drogę, kierując się na północny zachód do Angouleme. Paul zerknął na zegarek. Jeśli nie będzie przerw w podróży, powinien być na miejscu o czasie. Według przekazanych mu informacji Kathryn de Savigny regularnie raz w tygodniu przyjeżdżała na targ podwożona przez miejscowego rolnika mającego tu swój stragan i szła z wizytą do starej kobiety, która przez wiele lat służyła w zamku, a teraz przeniosła się do syna prowadzącego w mieście kawiarnię. Lokal był świetnym miejscem do zaaranżowania spotkania. Na terenach należących do zamku obca twarz mogłaby wzbudzić zainteresowanie i sprowokować pytania, dlaczego to prosty wieśniak rozmawia z synową barona.

Poza tym Kathryn mogła być niebezpieczna. Wciąż miał wątpliwości, czy okaże się przydatna. Georges Ambert, posiadający niewielkie gospodarstwo rolnik, który zapewnił mu schronienie, zasięgnął informacji i dowiedział się, że rodzina de Savigny kolaboruje z Niemcami. Natomiast o niej samej raporty wyrażały się pochlebnie. Nienawidziła Niemców i choć nie działała aktywnie w ruchu oporu, to na pewno nie zdradziłaby swego rodaka.

Georges to dobry człowiek, pomyślał Paul. Brakuje mu tylko skrupulatności i wyobraźni. Serce w każdym razie miał na właściwym miejscu; gorąco nienawidził szkopów, mieszkał w bardzo dogodnym miejscu, trochę na uboczu, i miał szwagra, który też nienawidził Niemców, a w dodatku był policjantem. Dzięki temu mógł swobodnie poruszać się po całym terenie

Janet Tanner

i miał dostęp do wielu ważnych informacji. To właśnie Georges i jego szwagier Yves Javaux odebrali Paula, kiedy przed dwoma dniami przyleciał z Londynu. Dziękował za nich Bogu. W czasie swej pierwszej misji na terenie Francji nie miał tyle szczęścia i moment, gdy został sam po odlocie samolotu, uświadamiając sobie, że teraz może liczyć tylko na własne siły, należał do najtrudniejszych w jego życiu.

Tym razem było inaczej. Georges i Yves, jak wielu im podobnych we Francji, chcieli działać, lecz potrzebowali pomocy - dostaw broni z Londynu, wyszkolonych radiotelegrafistów, żeby utrzymywali łączność z Londynem, i takiego jak on organizatora. Powitali go więc z otwartymi ramionami. Podwójne zadanie sformowania komórki ruchu oporu i zorganizowania punktu przerzutowego dla sojusznicznych pilotów zestrzelonych nad Francją nie należało do łatwych i musiał zgromadzić jak najwięcej atutów w ręku. Kathryn de Savigny była jednym z nich. Jeśli zgodzi się na współpracę, ta długa męcząca podróż autobusem w pełni się opłaci.

Autobus sapiąc wspiał się na strome wzgórze i wjechał do miasta. Paul spojrzął ponownie na zegarek - francuski, tak jak wszystkie części garderoby, które miał na sobie, poczynając od kalesonów, a kończąc na starej serżowej marynarce - i stwierdził, że przybył na czas. Wyrzwał przez okno, starając się ustalić swoje położenie na podstawie górującej nad miastem katedry z piękną fasadą i porównując w myślach nazwy ulic z zapamiętanymi z planu miasta, który dostarczył mu Georges. Minionej nocy, przy świetle lampki oliwnej, przestudiował go dokładnie, starając się jak najwięcej zapamiętać. Kiedy autobus stanął, ruszył do wyjścia wraz z innymi pasażerami i po chwili owiało go chłodne powietrze wczesnego szarego popołudnia. Bez wahania poszedł w stronę, gdzie, jak sądził, powinna znajdować się Café d'Or, spoglądając co kilka kroków w szyby witryn sklepowych, by sprawdzić, czy nikt go nie śledzi.

Kawiarnia mieściła się na rogu małego placu, dokładnie w miejscu, które opisał mu Georges.

Paul wszedł do środka i usiadł przy oknie wychodzącym na plac i ulicę, którą przyszedł.

Zamówił kawę, a właściwie wstrętną mieszankę z żołądźmi i cykorii, i popijając ją nie spuszczał oka z ulicy na wypadek nadejścia Niemców lub Kathryn de Savigny, gdyby miała wyjść bocznym wyjściem zamiast przez kawiarnię. Jak na dzień targowy w mieście panuje wyjątkowy spokój, pomyślał, a przechodzący ludzie mają spuszczone głowy i postawy ściganych zwierząt. I tak się zapewne czuli - zziębnięci, głodni, pozbawieni swobody, odarci z dumy i wciąż drżący, że zrobią niewłaściwy krok i wpadną w kłopoty. Takie życie w ciągłym napięciu

RAJSKIE DZIEDZICTWO

83

oddziaływało na ludzi w dwojaki sposób: poddawali się strachowi i biernie przyjmowali spadające na nich ciosy lub bronili się lekceważąc niebezpieczeństwo. Niektórzy potrafili zdradzić rodzinę i przyjaciół, by ocalić własną skórę, inni odkrywali w sobie pokłady odwagi, których dotąd nawet nie podejrzewali. Co on by zrobił, gdyby znalazł się w takiej sytuacji? Wolał myśleć, że stawiałby czynny opór, spiskując przeciw okupantowi i tak jak Georges ukrywając brytyjskich agentów, lecz prawdę powiedziaławszy me był tego pewny. Co innego, kiedy człowiekiem kieruje nienawiść do Niemców i żądza zemsty, ale co by było, gdyby on, Gerie i mała Beatrice musieli żyć w okupowanym kraju? Czy naraziłby ich na ryzyko tylko po to, by ratować własny honor? Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie i bardzo go to gnębiło.

Dopił kawę, czując po niej gorycz w ustach, lecz nie miał innego wyboru jak zamówić następną. Dał znak kelnerce, młodej dziewczynie z cienkimi włosami związanymi na karku i w lekko przybrudzonym białym fartuchu na czarnej sukience; w tym momencie zobaczył Kathryn de Savigny wychodzącą tylnymi drzwiami. ,

Nie miał wątpliwości, że to ona. Domyśliłby się tego nawet bez fotografii, którą pokazał mu major Fawcett. Kobiety w paryskim palcie, pamiętającym przedwojenne czasy, mimo to nadal szykownym, nie odwiedzały tego typu kawiarni. Wyczuwał też w niej Angielkę, lecz nie potrafił powiedzieć dlaczego. Była szczupłą, średniego wzrostu młodą kobietą o gęstych kasztanowych włosach opadających luźno na kołnierz palta. W ręku trzymała kosztownie wyglądającą torebkę z krokodylej skóry. Poczł ucisk w gardle. Nadszedł czas działania.

- Dziękuję, ale muszę już iść - powiedział do kelnerki i podążył za Kathryn de Savigny. .

Skręciła w stronę targu, a on poszedł za nią utrzymując bezpieczną odległość. Miał około pięciu minut na to, by oddalić się od kawiarni oraz od kogoś, kogo mogło zdziwić jego pospieszne wyjście, i zaczepie Kathryn. Szła dość szybko, lecz dzięki długim krokom bez trudu za nią nadążał. Po drodze dwa razy przystanął: raz by zapalić papierosa, a drugi, by przyjrzeć się witrynie z książkami, po czym przyspieszył kroku.

Kiedy uznał, że odeszli już na bezpieczną odległość, wyciągnął z kieszeni chusteczkę, którą Georges dał mu specjalnie w tym celu. Był to mały kwadratowy kawałek białej bawełny - własność jego siostry i żony Yvesa. Wyciągnął go teraz w stronę Kathryn. - Przepraszam, *madame*, ale zdaje się, że pani to zgubiła - odezwał się po francusku.

Janet Tanner

Odwróciła się szybko. Spojrzały na niego wyrażające zdziwienie brązowe oczy ze złotymi plamkami na tęczówce.

- Nie sędzę.

Wiedział, co za chwilę usłyszy i przerwał jej mówiąc stłumionym głosem, choć w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby ich podsłuchać.

- *Je suis anglais*. Przysłała mnie pani brat Edwin. Muszę z panią porozmawiać.

Zobaczył na jej twarzy wyraz zaskoczenia i przestraszył się, że może zrobić lub powiedzieć coś, co zwróci uwagę na **fakt**, że nie jest tym, za kogo się podaje. Ku jego uldze wzięła od niego chusteczkę.

- Dziękuję, to uprzejme z pana strony. Nie wiedziałam...

- Nie mogę teraz rozmawiać - powiedział cicho. - Często wychodzi pani na spacer, prawda?

Spotkajmy się jutro na skrzyżowaniu dróg tuż za Savigny. O trzeciej. 1 na litość boską, proszę nikomu o tym nie mówić. Nawet mężowi. Zgoda?

Zawahała się przez moment, po czym odparła:

- Zgoda. A jeśli będzie padało?

- To w **najbliższy** pogodny dzień,

- Dobrze. Przyjdę.

- Świetnie. - Rozejrzał się na boki. Nikt ich nie podsłuchiwał i nikt nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi. Mimo to dotknął czoła skłaniając głowę i oddalił się szybko ulicą.

Następnego ranka wiatr rozwiął deszczowe chmury. Kiedy rozsunęła zasłony i zobaczyła po raz pierwszy od kilku dni jasny błękit nieba, poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła.

Podświadomie pragnęła, by nadal padało, **bo** wtedy nie musiałyby podejmować decyzji, czy pójść na spacer i spotkać się z tym Anglikiem.

Nie miała wątpliwości, że jest to jej rodak, choć wygląd temu przeczył. Nie wiedziała jednak, kim jest, czego od niej chce i co go łączy z Edwinem. Od wybuchu wojny nie miała z bratem żadnego kontaktu. Czy to możliwe, że był we Francji i chciał się z nią zobaczyć? Lecz jeśli tak, dlaczego nie skontaktował się z nią osobiście? Dlaczego przesłał wiadomość przez Anglika ubranego jak francuski wieśniak? Kiedy próbowała to sobie wytłumaczyć, przychodziła jej do głowy tylko jedna odpowiedź. Edwin współpracował z ruchem oporu i człowiek, który ją zagadnął, również.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

85

Kiedy tak nagle ją zostawił, przez chwilę zastanawiała się, czy to wszystko nie było jakimś sennym urojeniem, ale biały kwadrat grubej bawełny, zupełnie niepodobny do jej własnych obszytych koronką batystowych chusteczek, zadawał temu kłam. Wracając do domu rozklekotaną furgonetką Maurice'a Angelota po raz pierwszy była wdzięczna jej właścicielowi za natrętną paplaninę. Jak zawsze raczył ją opowieściami o tym, co i komu sprzedał na targu, prawie nie otwierając przy tym ust, bo między wyschniętymi wargami tkwił domowej roboty papieros. Na szczęście nie wymagał od niej żadnej odpowiedzi. Uważał Kathryn za typową zimnokrwistą Angielkę, nie zdając sobie sprawy z tego, że doprowadza ją do szaleństwa powtarzaniem wciąż tych samych anegdotek. Mogła więc spokojnie zająć się uporządkowaniem kłębiących się w głowie myśli. Nic jednak z tego nie wyszło.

Czego on może ode mnie chcieć? - pytała po raz setny i po raz setny wewnętrzny głos szeptał jej do ucha tę samą odpowiedź, wywołującą w niej dreszcz strachu. Skoro był agentem - a wszystko wskazywało na to, że tak - to zapewne poprosi ją o pomoc, a Kathryn nie wiedziała, czy znajdzie w sobie dość odwagi - lub szaleństwa - by jej udzielić.

Niemożliwe! - przekonywała siebie w duchu. Nie byłby na tyle głupi, by namawiać do współpracy żonę i synową znanych kolaborantów! Lecz ten argument nie na długo ją uspokoił. Przypuśćmy, że poprosi ją o pomoc. Cóż ona mogłaby takiego robić? Konspirowanie było bardzo niebezpieczną sprawą a współpraca z brytyjskim agentem zwiększała jeszcze ryzyko. A ona musi myśleć o Guyu. Nie może narażać go na niebezpieczeństwo... Jednak prawdę powiedziawszy to nie obawa o syna wywoływała nerwowe skurcze żołądka, lecz strach przed tym, co ją czeka jeśli zostanie złapana. Hitlerowcy nie traktowali kobiet ulgowo. Wiedzieli, jak sobie z nimi poradzić... Zadrżała zdjęta panicznym strachem, jednocześnie nienawidząc siebie za te chwile słabości i wahania, gdy zarysowała się przed nią możliwość działania na szkodę znieprawdopodobnych Niemców.

Jesteś hipokrytką Kathryn de Savigny, powiedziała sobie, spoglądając w niebo i modląc się o deszcz, bo wtedy nie musiałaby podejmować decyzji. Zarzucasz Charlesowi i jego rodzinie, że kolaborują z Niemcami, oskarżasz ich o tchórzostwo, a w rzeczywistości jesteś taka sama jak oni!

To stwierdzenie nie przynosiło chluby, lecz nie zmieniało faktu, że nie mogła nic zrobić. Naraziłaby się na zbyt wielkie ryzyko. Jeśli ten człowiek zwróci się do niej o pomoc, będzie musiała mu o tym powiedzieć.

Janet Tanner

O wpół do trzeciej niebo było nadal przeraźliwie czyste i wiedziała, że jeśli chce zdążyć na spotkanie, nie może dłużej zwlekać.

Zajrzała do Guya. Chociaż miał już prawie cztery lata, nadal potrzebował popołudniowej drzemki. Przypuszczała, że to wynik zużywania zbyt dużych pokładów energii. Włożyła tweedową spódnicę i wygodne buty, po czym poszła poszukać Bridget - odkąd wybuchła wojna, była ona jedną z trojga służących pracujących w pałacu. Niegdyś właściciele zatrudniali aż dwadzieścia osób.

- Wychodzę - oświadczyła pokojówce. - Uważaj na Guya, kiedy się obudzi, dobrze?

- Czy nie lepiej, żeby poszedł z panią? - Bridget w przeciwieństwie do starszych służących zachowywała się impertynencko.

Kathryn stłumiła w sobie chęć wywołania kłótni.

- Zrób, co powiedziałam, Bridget.

Włożyła płaszcz i kapelusz, czując, jak ze zdenerwowania ściska ją w żołądku.

Żeby go nie było, modliła się w duchu idąc aleją dojazdową biegnącą przez brązowy o tej porze roku park. Jeśli on się nie zjawi, będzie to koniec całej sprawy, a ona przynajmniej będzie mogła żyć z przeświadczeniem, że zrobiła wszystko, co mogła.

Chłodny wiatr przeniknął przez palto i Kathryn zadrżała. Przekonywanie siebie, że robi to, co nakazuje jej obowiązki, wcale jej nie uspokoiło.

O wpół do trzeciej Paul Sullivan pedałował pod górę stromego wzgórza do skrzyżowania dróg na skraju Savigny. Zamierzał przeznaczyć godzinę na znalezienie odpowiedniego miejsca na kryjówkę dla siebie i roweru w gęstym lesie porastającym okoliczne wzgórza i sprawdzenie, czy nie czyhają tu na niego jakieś zasadzki. Nadal nie ufał Kathryn. Jeśli powiedziała komuś o spotkaniu, mógł natknąć się na niemiecki patrol lub policjantów Vichy. Przejechanie dwudziestu kilometrów zajęło mu jednak więcej czasu, niż przewidywał. Teren był falisty i pomimo dobrej formy Paul nie był w stanie osiągnąć odpowiedniej szybkości. Poza tym, jeśli Niemcy już o nim wiedzieli, to zjawią się dopiero o trzeciej. Takie ryzyko zawsze istniało, toteż biorąc wszystko pod uwagę skłonny był zaufać Kathryn. Jej szybka reakcja wczoraj po południu zaimponowała mu, a intuicja podpowiadała, że nie byłaby zdolna go zdradzić. Paul zazwyczaj ufał swej intuicji, bo rzadko go zawodziła. To rozsądek częściej go zdradzał.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

99

Zsiadł z roweru, pokonując pieszo ostatni, najbardziej stromy odcinek wzgórza, po czym rozejrzał się w poszukiwaniu dogodnej kryjówki. Dostrzegł w zaroślach ścieżkę i furtkę, ale zrezygnował z nich - ziemia była jeszcze zbyt miękka po niedawnych deszczach. Rower i buty zostawiłyby na niej zbyt wyraźne ślady i dowód, że zboczył tu z głównej drogi. Nieco dalej zauważył przerwę w zaroślach, uniósł w górę rower i zniknął w gąszczu.

Z tego miejsca widział jak na dłoni całą dolinę i boczne kręte drogi. Była to najlepsza z możliwych kryjówek na tak ryzykowne spotkanie. Z lewej, równoległe do krawędzi wzgórza, wznosiły się wieże pałacu górujące nad wierzchołkami drzew, a poniżej miejsca, gdzie stał, ciągnęły się pola opadające do wioski będącej skupiskiem domów z szarego kamienia i kościołem ze strzelającą w niebo iglicą. Wszędzie panował spokój, nigdzie nie było widać wrogich patroli. Oparł się o pień drzewa i zapalił papierosa nie spuszczać wzroku z okolicy. Tuż przed trzecią od strony pałacu pojawiła się Kathryn de Savigny. Kiedy ją spostrzegł, zdał sobie sprawę, że aż do tej chwili nie był pewny, czy przyjdzie. Miała na sobie trencz i miękki filcowy kapelusz, który skrywał jej włosy. Szła zdecydowanym krokiem, z pochyloną głową. Ukryty w zaroślach obserwował ją ze wzrastającym napięciem. Na skrzyżowaniu dróg zatrzymała się i rozejrzała wokół niepewnie. Odczekał jeszcze pięć minut. W pewnym momencie wydało mu się, że słyszy warkot samochodu, i zeszywniał uważnie penetrując wzrokiem dolinę, ale była to tylko wiejska furgonetka. Odjechała posapując i ponownie zapadła cisza. Spostrzegł, że Kathryn patrzy na zegarek i zastanawiał się, jak długo postanowiła czekać. Decyzja, kiedy ma wyjść, była grą nerwów, podobnie jak problem, co zrobić z rowerem. Postanowił zostawić go tam, gdzie jest. Gdyby pojawił się patrol, i tak by przed nim nie uciekł, bez względu na to, czy miałby rower czy nie. Schowany w zaroślach przynajmniej nie zwracał nikzyjej uwagi.

Zobaczył, że Kathryn ponownie spogląda na zegarek. Stał na tyle blisko, by dostrzec wyraz zakłopotania na jej twarzy. Pomyślał, że ma typowo angielską urodę, której niewiele brakowało do miana pięknej. Miała też klasę. Przemierzała nerwowo drogę tam i z powrotem, po czym odwróciła się, jakby zamierzała wrócić do domu. Paul jeszcze raz zlustrował wzrokiem okolicę i zdecydował, że czas podjąć decyzję i mieć nadzieję, że nikomu nie powiedziała o spotkaniu. Wyszedł z zarośli i stanął na drodze. - Dzień dobry, *madame* de Savigny - odezwał się.

Janet Tanner

Kathryn odwróciła się zaskoczona.

- Myślałam, że pan już nie przyjdzie. Powiedział pan, że będzie o trzeciej. Uśmiechnął się tekko, przepraszająco.

- Środki ostrożności. Musiałem się upewnić, że jest pani sama.

- Och! Chyba nie myślał pan, że ja...

- Musiałem się upewnić. To niebezpieczna gra.

- O co właściwie chodzi? - zapytała nerwowo. - Mówił pan coś o Edwinie. Paul Sullivan rozejrzał się na boki. Czuł się niepewnie stojąc tak na środku drogi. Dotknął lekko jej łokcia.

- Wejdzmy między drzewa. Tu zbyt rzucamy się w oczy. Zawahała się.

- Wszystko w porządku. Nie mam zamiaru napaść na panią - rzucił oschle.

- Ani przez chwilę o tym nie pomyślałam. Bałam się jedynie, że pobrudzę palto.

- Ach, o to chodzi - powiedział z nutą sarkazmu w głosie i pomyślał, że się nie omylił. Była jednak zepsutą bogatą kobietką, dla której liczyły się tylko stroje.

Rzuciła mu krótkie spojrzenie.

- Jeśli wrócę do domu w poplamionym palcie, będę musiała jakoś to wyjaśnić - powiedziała dobitnie, a on zrozumiał, że przejrzała jego myśli. A więc była zepsutą kobietką należąca przecież do uprzywilejowanej klasy, lecz miała swój rozum. Ale o tym zdążył się już przekonać,

- Proszę się nie obawiać, postaramy się, aby nie było żadnych podejrzanych plam - powiedział.

- Ale naprawdę wolałbym zejść z drogi.

- Dobrze. - Poszła za nim w głąb lasu. Jej pantofle zagłębiały się z plaśnięciem w wilgotne spleśniałe liście. - Kim pan jest?

Odwrócił się do niej.

- Najpierw muszę zadać pani pytanie. Jaki jest pani stosunek do Niemców? - Zobaczył, że patrzy na niego badawczo i powiedział po angielsku: - Muszę wiedzieć, po której jest pani stronie.

Jej usta zacisnęły się w wąską linię.

- A pan myśli, że po której? Na pewno nie po stronie tych hitlerowskich rzeźników.

- Chciałaby pani, żeby wyrzucono ich z Francji?

- Chciałabym, aby zostali wytępieni. Czy taka odpowiedź panu wystarczy? Uśmiechnął się lekko.

- Chyba tak. Następne pytanie brzmi, czy zechce pani przyczynić się do tego?

RAJSKIE DZIEDZICTWO

89

Spodziewała się tego pytania, mimo to zaskoczyło ją.

- Co pan ma na myśli?

- Dokładnie to, co powiedziałem. Jestem tu po to, by zorganizować komórkę ruchu oporu i trasę przerzutową dla angielskich lotników. Potrzebni mi są ludzie, którym mógłbym zaufać. Pani osobę zasugerował mojemu szefowi pani brat.

- Edwin? Czy on w tym bierze udział?

- Nie wiem - skłamał Paul.

- Założę się, że tak. Gdzie on jest? Naprawdę pan nie wie?

Kathryn opanowała nagle gwałtowna tęsknota. Ona i Edwin pomimo częstych kłótni byli sobie kiedyś bardzo bliscy. Jakże za nim teraz tęskniła.

- Przykro mi, ale nie wiem - powiedział Paul. Ożywienie malujące się na jej twarzy przydało jej wrażenia kruchości, co kontrastowało z pełnym wyniosłej dumy zewnętrznym wyglądem. Przez chwilę żałował, że nie może jej pomóc. Zaraz jednak odepchnął od siebie te sentymentalne myśli. Na tego rodzaju uczucia nie było miejsca w jego pracy. - Nie będę owijał w bawełnę i zapytam wprost: czy pomoże mi pani?

Pokręciła głową.

- Nie mogę.

- Chyba zbyt się pani pospieszyła z odmową.

- Miałam całą noc, by się nad tym zastanowić. Domyślałam się, o co chodzi, kiedy zaczął mnie pan wczoraj w Angouleme. Nie jestem głupia. Przykro mi, ale nic nie mogę zrobić.

- Rozumiem.

- Nic pan nie rozumie. Rodzina mojego męża współpracuje z Niemcami. Nie jest to powód do dumy, ale trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Generał von Rheinhardt, który jest szefem dystryktu, jest częstym gościem w zamku. Mój teść zaprasza go na kolacje, a on w rewanżu pożycza nam swój służbowy samochód, kiedy chcemy gdzieś pojechać. Benzyna, jak zapewne pan wie, jest teraz na wagę złota. Von Rheinhardt lubi te wizyty i w tej sytuacji byłoby zbyt niebezpiecznie angażować się w wywrotową działalność.

- Tak, ryzyko rzeczywiście jest spore, ale obecność generała byłaby tu doskonałą przykrywką. Do głowy by mu nie przyszło, że ktoś mógłby spiskować tuż pod jego nosem.

- Ale nie zdołałabym oszukać męża i reszty rodziny. Żyjemy w bardzo ciasnym kręgu. Nigdy by się nie zgodzili na jakąkolwiek formę wywrotowej działalności. Wyznają zasadę, że najbezpieczniej dla każdego jest schować

102 Janet Tanner

głowę w piasek i udawać przyjaciół. W żadnym razie nie pozwoliliby na ukrywanie pilotów pod swoim dachem. To byłoby zbyt niebezpieczne. Za coś takiego grożą wielkie konsekwencje.

- Oczywiście nie mogłem nawet marzyć o takiej kryjówce jak zamek. No cóż, proszę mi wybaczyć, że niepotrzebnie panią fatygowałem, *madame*.

- Zawahał się. - Przypuszczam, że nie orientuje się pani, kto w okolicy mógłby być bardziej przychylny tej sprawie?

- Powiedziałabym, że wszyscy w mniejszym lub większym stopniu starają się unikać kłopotów.

- Biorą oczywiście przykład z rodziny pani męża. - Wiedział, że nie powinien tego mówić, ale nie mógł się powstrzymać. Poczł satysfakcję, widząc, jak oblewa się rumieńcem.

- To nie fair - zaprotestowała. - Pan nie ma do czynienia na co dzień z tymi draniami, nie czuje ich oddechu na karku, nie drży o bezpieczeństwo własnych dzieci. Gdyby to chodziło o pańskiego syna, którego mogliby panu zabrać w środku nocy, może zrozumiałby pan, co czujemy... co ja czuję.

Poczł, jak robi mu się gorąco.

- Rozumiem więcej, niż się pani wydaje - powiedział szorstko. - Ale jeśli nie chce pani pomóc, to nie. Nie mogę pani do tego zmusić... i nawet nie będę próbował. Praca w konspiracji wymaga specjalnych predyspozycji, lecz nie ślepego oddania. W przeciwnym razie groziłoby to katastrofą. - Odwrócił się i wyciągnął rower z gęstwiny. - Chyba mogę liczyć na pani dyskrecję na temat naszego spotkania?

- Naturalnie! Za kogo mnie pan uważa?

- Za kobietę, która mogłaby bardzo pomóc aliantom, gdyby tylko zechciała. Jest pani mądra i zaradna. Zapewne posiada pani jeszcze wiele pozytywnych cech. Ale skoro nie chce pani działać, to dalsza rozmowa nie ma sensu.

Odwrócił się i zlustrował wzrokiem okolicę. Wszędzie panował spokój. No cóż, przynajmniej miał rację ufając jej. Nie zdradziła go.

- Zegnam panią, *madame* de Savigny.

- Chwileczkę! - Właśnie miał zamiar wyprowadzić rower z zarośli. Zatrzymał się i odwrócił w jej stronę. Jedną ręką przytrzymała kapelusz, drugą wyciągała w przód gestem władczym i jednocześnie błagalnym.

- Proszę jeszcze nie odchodzić. Patrzył na nią bez słowa.

- Co chciałby pan, żebyśmy zrobiła? - zapytała.

- W tej chwili nic.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

91

- Nic?

- Najpierw muszę się po prostu zorientować, na kogo mogę liczyć.

- A później?

- Werbować ludzi. Jak już powiedziałem, miałem nadzieję, że poda mi pani nazwiska osób chętnych do współpracy, osób, które może już coś robiły. Potrzebujemy ludzi, którzy mogą przemieszczać się z miejsca na miejsce bez wzbudzania podejrzeń. Na przykład kolejarzy dysponujących biletami i solidną wiedzą na temat pociągów towarowych; policjantów, księży, wszystkich, którzy mogą bez przeszkód wychodzić po godzinie policyjnej i przebywać z dala od miejsca zamieszkania. Potrzebne nam są sprawdzone adresy, dla agentów i dla alianckich pilotów. Cała ich sieć, a jeśli to możliwe, dom dla podziemnej armii. Potrzebny mi spis ludzi na tyle odważnych, że zgodziliby się udostępnić swoje lokale do przekazywania meldunków do Londynu. Mój radiotelegrafista będzie musiał ciągle zmieniać miejsca nadawania, w przeciwnym razie mogłyby go wykryć niemieckie detektory. Mógłby to być właściciel strychu, rolnik, który przymknie oko na to, co dzieje się po zmroku w jego stodole. Potrzebny byłby mi również ktoś dobrze znający miejscowych ludzi i okolice. Myślę, że pani by się świetnie do tego nadawała.

- Znam dość dobrze ten okręg, oczywiście...

- Byłaby pani również idealnym kurierem. Nikogo nie zdziwi, jeśli ktoś z pani pozycją odwiedzi na przykład dawnych pracowników majątku.

- I tak staramy się o nich nie zapominać, zwłaszcza kiedy są w podeszłym wieku lub chorują.

- I ostatnia sprawa, ale bardzo ważna: chciałbym, żeby pani mi pomagała w sprawdzeniu tożsamości każdego alianckiego lotnika, którego będziemy przeprowadzać trasą przerzutową. Niemcy znani są z wtykania swoich ludzi do komórek konspiracyjnych. Jest pani Angielką, toteż dzięki umiejętnym pytaniom rozpozna pani bez trudu, czy jest to Anglik, czy też człowiek podstawiony przez Niemców. Ja również mogę to robić, ale może się zdarzyć, że będę zajęty innymi sprawami.

- Jeśli będzie to podstawiony człowiek, to sam fakt, że go przepytuję, dowiedzie, że pracuję dla ruchu oporu.

- To prawda. Ale zajmiemy się nim, zanim zdąży pani zaszkodzić. Ryzyko wpadki zawsze istnieje, obiecuję jednak, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby je zminimalizować.

- Czy mogę się jeszcze zastanowić?

- Oczywiście, ale proszę z tym nie zwlekać.

Janet Tanner

- Gdzie mogę pana znaleźć? Uśmiechnął się.

- Obawiam się, że nie mogę tego pani powiedzieć. Być może nigdy nie będę mógł, Im mniej ludzi wie o kryjówce, tym jest bezpieczniejsza. Tego, czego się nie wie, nie można zdradzić. Czy wybiera się pani do Angouleme w przyszłym tygodniu?

- Tak, jeżdżę tam regularnie.

- Więc tam się spotkamy.

- Kiedy? Gdzie?

- Proszę zostawić to mnie i zachowywać się zupełnie normalnie. Proszę mnie nie szukać ani nie robić niczego ponad to co zawsze. Tylko niech się pani nie zdziwi, jeśli nie będę w przebraniu wieśniaka. Trudno jest prostemu człowiekowi rozmawiać z tak piękną i elegancką damą bez zwracania na siebie uwagi. A teraz lepiej niech pani wraca do domu, zanim zorganizują ekspedycję poszukiwawczą.

Przytrzymał gałęzie, by Kathryn mogła wydostać się na drogę.

- Proszę mi wybaczyć moje niezdecydowanie - powiedziała. - To nie

● siebie się boję... Muszę myśleć o moim małym chłopcu.

- Wiem. W każdym razie przyszła pani...

Urwał, bo w ciszę zimowego popołudnia wdarł się nagle szum silnika. Po stromym zboczu piał się w górę samochód. Patrol policyjny!

- Na dół! - syknął do Kathryn.

Pochwyił jej zaskoczony wzrok i domyślił się, że zmartwiła ze strachu. Wrzucił rower w zarośla, złapał Kathryn, wepchnął ją z powrotem w gęstwinę i wcisnął się za nią. Kiedy próbowała wstać, chwycił ją za ramiona i przycisnął do miękkiej, usłanej liśćmi ziemi.

- Nie ruszaj się! - rozkazał.

Przeżona usłuchała. I tak nie mogłaby się ruszyć, bo trzymał ją w mocnym uścisku. Szum silnika stał się głośniejszy. Kathryn ledwie mogła oddychać, a serce waliło jej jak miotem.

Pojazd znalazł się na wysokości kryjówki, minął ich i na skrzyżowaniu skręcił w prawo. Kiedy szum silnika ucichł w oddali, Paul puścił Kathryn i usiadł na ziemi. Zrobiła to samo. Poczula, że cała się trzęsie.

- Przepraszam - powiedział szorstko Paul.

- Dlaczego pan to zrobił? - wyjąkała, choć naturalnie wiedziała dlaczego. - Niech pan spojrzy, jak ja wyglądam!

Oczyściła ręce z mokrych liści i sięgnęła po kapelusz, który spadł jej

RAJSKIE DZIEDZICTWO

93

z głowy i potoczył się w jeżyny. Uwolnione włosy rozsypały się w nieładzie wokół twarzy. Paula przeszył dobrze znany, lecz dawno zapomniany dreszcz, po czym równie nagle jak się pojawił, zniknął.

- Nie byłoby dobrze, gdyby zobaczono nas razem. To cena, którą pani płaci za znajomość z kimś takim jak ja. - Wstał, wyciągnął rękę i pomógł jej się podnieść. - Może to pozwoli się pani zdecydować.

- W każdym razie nie przywykłam, aby wciągano mnie w krzaki! - Przerazenie i jeszcze jakieś doznanie, którego nawet nie starała się sprecyzować, wywołały w jej głosie ostre tony.

- Wiem, jeszcze raz przepraszam, ale nie miałem wyboru. - Podniósł z ziemi rower. - Muszę stąd odjechać, zanim ten patrol wróci. Radzę pani zrobić to samo. Czy przyszły tydzień jest nadal aktualny?

Przyjrzała się tej z pozoru zwyczajnej twarzy, która nagle stała się groźna, gibkiemu wysportowanemu ciału skrytemu pod niechlujnym ubraniem wieśniaka - przed kilkoma minutami to ciało przyciskało ją do ziemi - i poddała się chwili szaleństwa,

- Tak, aktualny.

- W porządku.

Wsiadł na rower, zasalutował żartobliwie i pomknął w dół wzgórza. **Mamusi!** Skaleczyłaś się! Guy złapał Kathryn za rękę, kiedy ochlapowała go wodą uczestnicząc w jego ulubionej zabawie podczas kąpieli i odwrócił dłonią do góry ukazując sieć zadrapań.

Skrzywiła się i cofnęła rękę.

- To głupstwo - powiedziała uświadamiając sobie, że za plecami stoi Bridget z białym kąpielowym ręcznikiem w dłoniach. - Poślizgnęłam się na spacerze i obtarłam sobie dłoń.

- Wygląda okropnie - powiedziała Bridget. - Powinna pani posmarować jodyną.

- To głupstwo - powtórzyła Kathryn. Ręka ją bolała, ale nie zwracała na to uwagi. Miała ważniejsze sprawy na głowie niż przejmowanie się tak drobną niedogodnością.

Po co w ogóle dała się wciągnąć w to wszystko? Nie powinna iść na to spotkanie, a tym bardziej umawiać się na następne. Ten Anglik, którego imienia nawet nie zna, oznaczał niebezpieczeństwo - dla niej, dla Guya i dla

Janet Tanner

całej rodziny. Przypuśćmy, że ten patrol dostrzegłby ich ukrywających się wśród zarośli - jak by się z tego wytłumaczyli? A jeśli go złapali w drodze powrotnej do tej jego kryjówki, gdziekolwiek ona jest - czy powiedział, po co pojechał do Savigny i z kim się spotkał? Pot wystąpił jej na czoło i na chwilę zamknęła oczy, czując, jak ogarniają panika. Nie powinna była tego robić, nie powinna narażać Guya i innych na takie niebezpieczeństwo. Łatwo było oskarżać rodzinę Charlesa za to, że kolaboruje z Niemcami. Nagle aż nadto wyraźnie zrozumiała, dlaczego tak postępują.

Jednak pomimo strachu czuła, jak dojrzewa w niej decyzja. Z tego właśnie powodu powinni się bronić. To poniżające musieć znosić te wszystkie zakazy, które zabraniają jeździć tam, gdzie się chce, i rozmawiać, z kim się chce. Czasami trzeba ryzykować, aby zachować poczucie własnej godności. Dzisiaj stawiała opór najeźdźcy, postąpiła wbrew zakazom niemieckich panów. Ten Anglik, kimkolwiek jest, naraża przecież za nich życie i możliwe, że jej brat robi to samo. Wcale by jej to nie zdziwiło. Skoro tak, to przynajmniej mogłaby pomóc w miarę swoich możliwości. Ale musi być bardzo, bardzo ostrożna. Nie wolno jej nikomu ufać, ani Charlesowi, ani Bridget, ani nawet temu Anglikowi. Ma tydzień na podjęcie decyzji. Lecz w głębi serca wiedziała już, jak postąpi.

Rozdział ósmy

W następnym tygodniu Paul Sullivan pojechał do Angouîême pociągiem. Tym razem przebrał się za komiwojażera handlującego farmaceutykami. W autobusie garnitur i palto mogły wzbudzić podejrzenia. Poza tym pociąg był szybszy, nie groził niespodziewanymi przerwami w podróży, a czas naglił.

Przez tydzień, jaki minął od spotkania z Kathryn de Savigny, nie próżnował. Była pierwszą osobą, z którą nawiązał kontakt, ale nie bardzo mógł na niej polegać. Nie wiedział jeszcze, czy zdecyduje się mu pomóc, rozumiał jednak trudności, jakie niosło życie pod jednym dachem z kolaborantami, gdyby zdecydowała się na współpracę. Zależało to także od swobody, jaką dysponowała, a ileż można spacerować o tej porze roku? Latem byłoby łatwiej, ale do lata jeszcze daleko.

Powrócił więc do swojej kryjówki i zaczął tkąć sieć z pomocą Georges'a i Yves'a, poszerzając ją kawałek po kawałeczku. Działali poza terenem, który go interesował, ale palili się do roboty i potrzebowali instrukcji i pomocy. Wykorzystując nadajnik, który przywiózł ze sobą, przekazał do Londynu wiadomość z prośbą o dostarczenie broni na ich potrzeby. Nocą zaś nastawiał radio na BBC i czekał na zakodowaną informację o terminie zrzutu. Słuchanie BBC było zabronione, ale nie wiązało się z takim ryzykiem jak nadawanie meldunku. Paul nie należał do biegłych radiotelegrafistów i czekał z niecierpliwością, by Londyn przysłał mu wyszkolonego w tej sztuce człowieka.

Rozpoczął również prace nad zorganizowaniem trasy przerzutowej. Zwerbował do pomocy kilku ludzi: chłopca, przez którego pole przebiegała linia demarkacyjna, i miejscowego księdza, który zgodził się na wykorzystanie kościelnej krypty na kryjówkę dla angielskich lotników do czasu przerzucenia ich przez granicę. Oczywiście Paul nie był w stanie osobiście kontrolować

Janet Tanner

linii na całej jej długości, aż do granicy ze Szwajcarią czy Hiszpanią, musiał więc polegać na ludziach odpowiedzialnych za poszczególne odcinki. Za to mógł dopilnować, aby uciekinierzy, których wysyłał w drogę, nie byli ludźmi podstawionymi przez Niemców. Zdawał sobie sprawę z ciężającej na nim odpowiedzialności i modlił się, aby tym razem nic się nie stało. Choć powtarzał sobie, że to nie była jego wina, wciąż czuł wyrzuty sumienia z powodu utraty poprzedniej komórki konspiracyjnej. Postanowił, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by nie dopuścić do następnych aresztowań i egzekucji.

Jednak wszystkie te sprawy odgrywały drugorzędną rolę w świetle misji, jaką miał do spełnienia: stworzenie komórki konspiracyjnej na terenie Savigny. A do tego potrzebna mu była Kathryn. Przyjechał do miasta wcześniej, postanowił więc, że spotka się z Kathryn przed jej wizytą u starej służącej mieszkającej na tyłach kawiarni. Zdecydował, że nastąpi to w innym miejscu. Tak będzie bezpieczniej na wypadek, gdyby go zdradziła. Ruszył w kierunku głównej ulicy prowadzącej z rynku do kawiarni, przypuszczając, że tędy właśnie będzie szła, i wmieszał się w tłum przechodniów.

Po chwili zobaczył, że nadchodzi. Wiatr rozwiewał włosy wymykające się spod tego samego filcowego kapelusza, który miała na głowie w czasie ich ostatniego spotkania. Ruszył w jej stronę, po czym zatrzymał się i obejrzał, jakby dopiero ją zauważył.

- Katrine! Cóż za niespodzianka!

Jej zaskoczone spojrzenie powiedziało mu, że w tym nowym przebraniu nie od razu go rozpoznała, ale natychmiast się pozbierała.

- Ach... Witaj!

- Co za spotkanie! Chłodno dziś na dworze, nieprawdaż? Co byś powiedziała na Filiżankę gorącej kawy?

Rozejrzała się nerwowo. Muszę ostrzec ją by tego nie robiła, pomyślał. Lecz na szczęście nikt nie zwrócił na nich uwagi.

- Z przyjemnością - odpowiedziała.

Ujął ją pod łokieć i poprowadził do kawiarni, którą wcześniej wypatrzył. Weszli do środka i usiedli przy stoliku osłoniętym od reszty sali ogromną rośliną w doniczce.

- No więc? - zapytał, kiedy złożyli zamówienie - czy podjęła pani decyzję?

- Tak.

- I?

RAJSKIE DZIEDZICTWO

97

- I postanowiłam, że pomogę panu w miarę swoich możliwości. Na krótką chwilę jego dłoń spoczęła na jej dłoni.

- Dzielna dziewczyna.

- Nie wiem, na ile mogę być użyteczna,

Powiedziała to niezbyt pewnie, bo poczuła przeszywający ją dreszcz, kiedy jego palce dotknęły jej dłoni, zupełnie nie pojmując, dlaczego ogarnął ją smutek, kiedy cofnął rękę. Złapała się na tym, że wciąż patrzy na tę szeroką pokrytą rzadkim ciemnym włosiem męską dłoń, i zapragnęła nagle, by ponownie jej dotknął. Wzdrygnęła się lekko.

- Niełatwo będzie mi cokolwiek zrobić, ale jeśli ma pan coś konkretnego, to słucham.

- Mam. - Jego głos był stanowczy i głęboki. - Ponownie wstrząsnął nią dreszcz. - Muszę mieć bazę w Savigny. Czy mogłaby mnie pani wprowadzić do zamku?

Jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Co pan ma na myśli?

- Dokładnie to, co powiedziałem. Savigny znajduje się w samym centrum obszaru, który chcę ożywić. Zamek byłby do tego najlepszym miejscem.

- Pan oszalał! Przecież mówiłam, że rodzina mego męża to kolaboranci, a generał von Rheinhardt jest tam częstym gościem.

- Tym lepiej. Sądzą pewnie, że żadnemu agentowi o zdrowych zmysłach nie przyjdzie do głowy działać w tym gnieździe szerszeni.

- I słusznie, bo żadnemu agentowi nie przyszłoby to do głowy,

- Jestem zwolennikiem śmiałych posunięć - powiedział Paul. - Potrzebna jest tylko jakaś wiarygodna bajeczka. Chyba mam taką. Kończyła pani szkołę w Szwajcarii, prawda? I tam mnie pani poznała. Jestem z pochodzenia Szwajcarem, chociaż mój ojciec był Anglikiem. Nazywam się Paul Curtis i z zawodu jestem nauczycielem. Już od jakiegoś czasu myślała pani o znalezieniu guwernera dla synka. Przekona pani męża, że jestem odpowiednim kandydatem na to stanowisko.

Pokręciła głową zupełnie zaskoczona tym nieoczekiwanym zwrotem wydarzeń.

- Ale Guy ma dopiero trzy lata!

- Prawie cztery.

- Skąd pan to wie?

- Zdziwiłabyś się, ile o tobie wiem, Kathryn. - Przez chwilę zabłysły

Janet Tanner

w jego oczach wesołe ogniki. - Twoim zdaniem to świetny pomysł, żeby Guya uczył ktoś, kto zna nie tylko angielski i francuski, ale także niemiecki.

- A ty znasz?

- Tak. - Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. - Masz ochotę zapalić? Rzadko paliła, lecz teraz pomyślała, że chyba się skusi.

- Tak, dziękuję.

Wyjął zapalniczkę i pochylił się nad stołem. Kiedy podawał jej ogień, ponownie musnął palcami jej dłoń, lecz tym razem zbyt była zaabsorbowana, by cokolwiek poczuć.

- Ale jak wytłumaczyć twoją obecność we Francji?

- Uczyłem w małej prywatnej szkole pod Bordeaux. Z powodu wojny została jednak zamknięta. Och, zapewniam cię, że to wszystko prawda. Taka szkoła istnieje i jej dyrektor potwierdziłby, że pracowałem tam jako nauczyciel. Wszystko zostało dokładnie sprawdzone i zaplanowane przed moim wyjazdem do Francji.

- Trudno w to uwierzyć! - powiedziała. - Czy rzeczywiście wszystko to zostało zaplanowane?

- Na wypadek, gdybyś zgodziła się pomóc. SOE jest stosunkowo nową organizacją, ale szybko się rozwija. Niczego nie pozostawia przypadkowi.

Zaciągnęła się papierosem i rozkaszała.

- Nadal uważam, że to szaleństwo, lecz gdybym na nie przystała, jak wytłumaczę twoje nagłe pojawienie się?

- Wpadłaś dziś na mnie. Takie przypadki się zdarzają, wierz mi. Dasz sobie z tym radę?

Wszystko musi brzmieć bardzo przekonująco.

- Nie wiem... Nie jestem przyzwyczajona do kłamstw...

- Ale umiesz sobie radzić.

Popatrzył na nią z powagą. Był pewny, że jeśli zgodzi się na jego plan, da sobie radę. Aż do dzisiejszego spotkania powstrzymywał się przed ferowaniem jakichkolwiek wyroków. Taka praca wymagała specjalnych umiejętności, jeśli miała zakończyć się sukcesem. Teraz wszystkie jego wątpliwości zniknęły, Kathryn była właściwą osobą do takiej pracy. Pozostało mu jedynie przekonać ją. Jediną absolutnie niezbędną cechą, której jej brakowało, była pewność siebie. Jedyne, co mógł w tej sytuacji zrobić, to uświadomić jej, że gotów jest złożyć swój los w jej ręce. Reszta zależała od niej samej.

- Jak powiedziałaś, że się nazywasz?

- Paul Curtis. Przed wstąpieniem do college'u pracowałem przez jakieś sześć miesięcy jako barman w hotelu Belles Fieures w Genewie. Później

RAJSKIE DZIEDZICTWO

111

omówimy mój życiorys. Będziemy musieli ustalić każdy najdrobniejszy szczegół.

- Tak, naturalnie, to oczywiste... Ale teraz muszę już iść. Anne-Marie gotowa pomyśleć, że nie przyjdę.

- W porządku. Skontaktuję się z tobą ponownie.

- Niczego nie obiecuję, bo...

Zgasili papierosy i wyszli na ulicę. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Kathryn nagle zeszywniała.

- O, mój Boże!

- Co się stało?

- Tam... po drugiej stronie ulicy..., Brat Charlesa, Christian. Chyba nas zauważył. Tak... idzie tutaj! Co robić?

Przytrzymał ją za łokieć. Przez gruby kaszmirowy materiał wyczuwał, że drży.

- Musisz blefować.

- *Jak?*

- Zachowuj się naturalnie. Jestem przecież twoim starym znajomym. Christian już się zbliżał, więc dalsza rozmowa była niemożliwa.

- Christian! Co robisz w Angouleme? - zapytała usiłując ukryć zdenerwowanie.

- Musiałem zobaczyć się z kimś w interesach. Jeśli chcesz, mogę cię podwieźć do domu. Nie będziesz musiała wracać starym gruchotem Maurice'a Angelota.

Mówiąc to patrzył na Paula i Kathryn dostrzegła w jego spojrzeniu wyraz podejrzliwości.

- To mój dawny znajomy Paul Curtis - powiedziała gładko. - Znamy się jeszcze ze Szwajcarii. Paul, to mój szwagier, Christian de Savigny.

- Miło mi pana poznać. - Paul bez wahania wyciągnął rękę. - Wpadliśmy na siebie z Katrine na targu. Minęło chyba osiem lat od naszego ostatniego spotkania... w zupełnie innych okolicznościach. Świat jest mały, nieprawdaż?

- Tak - potwierdził Christian z odcieniem ironii w głosie. - Rzeczywiście. Kathryn czuła gwałtowne uderzenia serca i nagle się uspokoiła. Nie zostawiając sobie czasu na zastanowienie, powiedziała:

- To doprawdy szczęśliwy traf. Paul jest nauczycielem i akurat stracił pracę, bo w Bordeaux zamknięto szkołę, w której uczył. Właśnie mówiłam mu, że najwyższy czas, aby Guy miał guwernera. Mam zamiar poprosić Charlesa, żeby zaproponował mu to stanowisko.

Janet Tanner

Kącik ust Christiana uniósł się lekko w górę.

- Doprawdy? Ciekawe, co na to powie.

- Mam nadzieję, że się zgodzi - stwierdziła Kathryn oschle. - Paul będzie świetnym nauczycielem.

- Taak. - Na ustach Christiana wciąż błędził lekki, żartobliwy uśmiezek. - Tylko co potem, Katrine? A więc wracasz ze mną czy nie?

- Niestety nie. Muszę odwiedzić Anne-Marie, a poza tym Maurice poczułby się urażony, że z nim nie wracam.

- Dobrze. Wobec tego pojedę sam. Chciałbym znaleźć się w domu przed zmrokiem. Moje reflektory niezbyt dobrze świecą. - Wyciągnął rękę. - Miło mi było pana poznać. Pewnie niedługo się spotkamy.

I zniknął w tłumie przechodniów.

Kathryn spojrzała na Paula z wyrazem przerażenia na twarzy.

- O mój Boże, czy myślisz, że on...

- Nie tutaj! - ostrzegł Paul. - Świetnie sobie poradziłaś, Kathryn. Widzisz, mówiłem, że sobie poradzisz.

- Trzęsę się jak galareta - wyznała. - Ale chyba już się stało, prawda? Decyzja została podjęta. Nie miałam nawet czasu, żeby się zastanowić.

- Musisz już iść. Porozmawiaj ze swoim mężem... Teraz nie masz innego wyjścia. W przeciwnym razie zrobi to za ciebie szwagier. Zadzwoń za kilka dni.

- Kiedy?

- Zostaw to mnie.

On również odszedł. Wysoka postać w palcie i miękkim filcowym kapeluszu wtopiła się w targowy tłum.

Trzy dni później Paul zatelefonował zgodnie z obietnicą.

- No więc? - zapytał, kiedy Kathryn podniosła słuchawkę. - Rozmawiałaś o mnie z mężem?

- Tak.

- Ico?

- Chce się z tobą zobaczyć. Mam zorganizować spotkanie.

- Dzielna dziewczyna.

- Nie wiem czy... - Urwała gwałtownie, przypominając sobie, że musi grać teraz rolę, na którą się zgodziła. Ktoś mógłby ich podsłuchiwać. - Maż będzie jutro wolny przez cały dzień. Możesz przyjść? Powiedzmy o jedenastej?

RAJSKIE DZIEDZICTWO

101

- Wolałbym później. Nie jestem pewien, jak się tam dostanę. Druga byłaby lepsza.

- Dobrze, przekażę mu. Do zobaczenia, Paul.

Odłożyła słuchawkę. Ręka jej się trzęsała. Tkwiła teraz w tym po szyję, lecz nadal nie była pewna, czy dobrze robi. Gra, którą rozpoczynała, była bardzo niebezpieczna.

Za to rozmowa z Charlesem poszła gładko. Przedstawiła mu swoją propozycję jeszcze tego samego wieczoru, po uprzednim wielokrotnym powtórzeniu w myślach całej zmyślonej historii.

Robiła to tak długo, że poczuła się jak płyta gramofonowa, która nagle się zacięła. Ale przynajmniej nie miała żadnych wątpliwości, kiedy z nim o tym porozmawiać. Decyzję przyspieszył fakt, że Christian widział ją z Paulem.

- Według mnie nie możemy przegapić takiej okazji - powiedziała, a Charles zaabsorbowany czymś i odległy duchem przytaknął machinalnie.

- Pewnie masz rację. Nie będzie łatwo znaleźć w dzisiejszych czasach odpowiedniego nauczyciela dla Guya. Sądziś, że ten Paul Curtis się nada?

- Tak. Trudno mi powiedzieć, jakim jest nauczycielem, ale zawsze miał ku temu predyspozycje.

- Mówisz, że jest Szwajcarem?

- Tak. Chcesz z nim porozmawiać? - zapytała, uciekając od niebezpiecznych szczegółów. Nie знаła jeszcze całej wymyślonej historii Paula, bała się więc odpowiadać na tego typu pytania.

- Myślę, że tak będzie najlepiej, skoro mamy mu powierzyć edukację naszego syna - powiedział Charles. - Zajmij się tym, dobrze? Sprawdź w moim kalendarzu, kiedy jestem wolny.

A więc stało się. Wciąż jednak nie mogła zrozumieć, co ją do tego skłoniło. Zapewne potrzeba zrobienia czegoś pożytecznego na rzecz walki z hitlerowskim okupantem po miesiącach zmagania się z rozczarowaniem i wstydem, kiedy jej własny mąż pogodził się z obecnością Niemców. Nie chciała jednak przyznać się przed sobą, że na jej decyzję miała wpływ również chęć ponownego zobaczenia Paula Curtisa.

Czy ten guwerner to odpowiedni człowiek? - zapytał Guillaume. Kolacja dobiegła końca.

Siedzieli w salonie, delektując się filiżanką prawdziwej kawy przysłanej im przez von Rheinhardta.

114 Janet Tanner

- Myślę, że tak - odpowiedział Charles. - Zna trzy języki, poza tym ukończył matematykę. Zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie.

Kathryn siedziała sztywno, opierając mocno zaciśnięte dłonie na kolanach, Na niej również Paul zrobił wrażenie, kiedy przyszedł do zamku na rozmowę z Charielem, ale z zupełnie innych powodów. Zaimponował jej opanowaniem, pewnością siebie i absolutną wiarygodnością. Po tej rozmowie nie miałyby już żadnych wątpliwości, kim jest, gdyby wcześniej tego nie wiedziała.

- Ale czy Guy nie jest jeszcze za mały na naukę? - odezwała się Louise. - Przecież to jeszcze dziecko. Nie potrafi nawet dodawać prostych sum, a lata upłyną, zanim będzie mógł zgłębiać wyższą matematykę.

- Jest inteligentnym dzieckiem - powiedział Guillaume. - Im szybciej zacznie się uczyć, tym lepiej. Przynajmniej nie będzie psocił. Charles słusznie robi, starając się zapewnić mu najlepszemu nauczyciela. To, jak sobie później będzie radził, w dużej mierze zależy od wiedzy zdobytej w młodości.

- Masz rację. Nadal jednak uważam, że teraz najbardziej byłby mu potrzebny towarzysz zabaw.

- Louise spojrzała znacząco na Kathryn. Dawała jej w ten sposób do zrozumienia, że najwyższy czas, aby Guy miał brata lub siostrę.

Kathryn odwróciła wzrok. Szansa na to była nikła, skoro nie mogła znieść nawet dotyku Charlesa. Nie chciała jednak, aby teściowa dowiedziała się o tym. Oboje z Charielem nadal szli razem do swoich pokoi. Dopiero kiedy drzwi zamykały się za nimi, pozwalała sobie na okazanie prawdziwych uczuć.

- Czy on będzie mieszkał w zamku, ten guwerner? - zapytał Christian.

- Tak. Może zająć błękitny pokój na naszym piętrze - rzucił lakonicznie Charles. Sprawy domowe go nudziły. - A w tym obok urządzi się pokój do nauki. Tak będzie najwygodniej.

- W zupełności się z tobą zgadzam. - W głosie Christiana dźwięczało rozbawienie.

Kathryn rzuciła mu gniewne spojrzenie i napotkała jego badawczy wzrok. Dostrzegła w nim wesołość i coś jakby błysk zrozumienia.

No tak, widział ich razem przed kawiarnią i mimo że zadali sobie wiele trudu, aby to wyjaśnić, domyślił się, że kryje się za tym coś więcej niż przypadkowe spotkanie dwojga starych przyjaciół. Poczula, jak zalewają ją fale gorąca.

Będę musiała uważać na Christiana, pomyślała. Powinnam ostrzec też Paula. Ale jego chyba nie trzeba ostrzegać. Wybiegi i fortele to dla niego codzienność. Dowodem było dzisiejsze przedstawienie.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

103

Tydzień później Paul wprowadził się do zamku. Cały jego dobytek mieścił się w poobijanej brązowej walizce, Przywiózł również stos książek i sakwojaż, jak przypuszczała Kathryn, zawierający pomoce naukowe. W rzeczywistości była w nim radiostacja, co odkryła, kiedy poszła mu pokazać jego pokój i gdy zostali sami.

- Nie bój się, nie będę tego robił w zamku - uspokoił ją. - Gdyby w pobliżu był jakiś detektor, naraziłbym cię na niebezpieczeństwo.

- To gdzie? - zapytała.

- Mam kilka miejsc.

Nie wyjaśnił, że jednym z nich jest strych na siano u znajomego gospodarza, a także biuro zawiadowcy stacji. Im mniej będzie wiedziała, tym lepiej. Nie, żeby jej nie ufał, ale tego, o czym się nie wie, nie można wyjawiać.

- Trochę niepokoi mnie Christian - powiedziała. - Może się mylę, ale coś podejrzewa. Uważaj na niego.

- Dobrze. Ale nie przejmuj się mną. Martw się raczej o siebie. Nie wolno ci traktować mnie inaczej jak gubernera Guya. Kiedy się denerwujesz, natychmiast to po tobie widać.

- Naprawdę było coś widać? - zapytała z niepokojem w głosie.

- Nie. Zachowałaś się wspaniale. - Uśmiechnął się, a jego spojrzenie sprawiło, że zadrżała.

Przez krótką chwilę czuli, jakby złączyła ich sekretna nić porozumienia. Serce biło jej jak szalone. Nagle odwrócił się, jakby zdecydował, że należy położyć temu **kres**, i powiedział: - Lepiej zajmijmy się szczegółami naszej historyjki. Co **im** o mnie powiedziałaś?

- Tylko to, co ustaliliśmy.

- Nawet swojemu mężowi?

- Nie. Charles i ja... rzadko ze sobą rozmawiamy.

Jej głos ujawnił cały dramat ich wzajemnych stosunków.

- Ten człowiek jest głupcem - wypalił Paul bez ogródek.

- Nie... to nie tak... - Ku swemu zaskoczeniu spostrzegła, że usiłuje bronić męża. - On po prostu trzyma stronę rodziny. Robi to, co uważa za słuszne.

- Przepraszam, nie powinienem być tego mówić.

Nie wyjaśnił, że nie chodziło mu o to, że Charles jest kolaborantem, ale że dopuścił, aby taka kobieta jak Kathryn mu się wymknęła. To jeszcze jeden powód, dla którego nie powinien tego mówić ani nawet o tym myśleć. Naczelna zasada SOE głosiła, że nie wolno angażować się uczuciowo. Bez względu na to, czy mu się podobała czy nie - a musiał przyznać, że tak - nie powinien o niej myśleć jako o kobiecie.

116

Janet Tanner

- Zapoznam cię teraz ze szczegółami życia Paula Curtisa - powiedział szorstko. - Słuchaj uważnie. Nasze wersje muszą się zgadzać.

- Wiem. A więc mów, słucham.

W trakcie tego wykładu stała przy lekko uchylonych drzwiach nasłuchując, czy nikt nie nadchodzi korytarzem. Na koniec kiwnęła głową.

- W porządku, zapamiętałam... tak myślę.

- Mam nadzieję. A teraz lepiej już idź, zanim ktoś pomyśli, że zbyt długo tu jesteś. Gdzie jest Guy?

- Bridget zabrała go na spacer. Kiedy wrócę przedstawię ci go.

- Dobrze. Jeszcze jedna rzecz. Czy to radio działa? - Wskazał na radio kryształkowe stojące w rogu pokoju.

- W każdym razie powinno. Chyba że baterie się wyladowały. Dlaczego pytasz?

- Czasami będę musiał posłuchać wiadomości. Oczywiście słuchanie Londynu jest zabronione, dlatego byłbym wdzięczny, gdybyś dopilnowała, aby nikogo nie było w pobliżu koło siódmej wieczór. Czy możesz to dla mnie zrobić?

- Postaram się. - Otworzyła drzwi z zamiarem wyjścia, po czym znowu je zamknęła. - Wszystko będzie dobrze, prawda?

- Mam nadzieję.

W jego oczach malowała się powaga. Ogarnęła ją panika.

- Jak mam to rozumieć?

- Kathryn, wiesz równie dobrze jak ja, że w tych sprawach trudno o gwarancje. To niebezpieczny interes. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby nie stała ci się żadna krzywda, ale jestem tu po, by wykonać zadanie.

- Przecież obiecałeś! - rzuciła gniewnie.

- Obiecałem, że będę ostrożny. To wszystko, co mogę zrobić. Ale spróbuj potraktować to w ten sposób: jeśli nie pokonamy Niemców, nic, co było cenne w naszym świecie, nie będzie warte świeczki. Zastanów się nad tym.

- Właśnie się zastanawiam. Nagle spojrzałam na to z punktu widzenia Charlesa. Przynajmniej zostaniemy przy życiu!

- A co z tymi wszystkimi niewinnymi ludźmi, którzy już nie żyją?

- Nie znam nikogo, kto by umarł.

- Więc masz szczęście. - Stały mu nagle przed oczami Gertie i mała Beatrice, i to sprawiło, że w jego głosie zabrzmiała gorycz.

- A co z Guillaume'em, Louise, Celestine... Guyem? Przede wszystkim z Guyem.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

105

Chwycił ją za ramiona.

- Robisz to dla Guya pamiętaj.

Chciał ją uspokoić w ten sposób. Nie zdawał sobie sprawy, jaką burzę uczuć w niej rozpętał.

Poczuł, że zeszywniała.

- Będę musiała dać sobie z tym radę - wyszeptała przez zaciśnięte zęby. - W pewnym sensie przyparłeś mnie do muru. Nie mogę nagle zmienić zdania, bo wszystko bym zepsuła. Mogę jedynie powiedzieć, że lepiej, żeby wszystko było w porządku!

Uwolniła się z jego uścisku i wybiegła z pokoju.

Znalazszy się u siebie, próbowała się pozbierać. Cała się trzęsła i z trudem powstrzymywała łzy, Jak ten człowiek śmiał postawić ją w takim położeniu? Jak **śmiał** ich wszystkich narażać na takie niebezpieczeństwo? Nienawidziła go, nienawidziła tej jego pewności siebie i arogancji, która pozwalała sądzić, że nie ma takiego ryzyka, którego nie warto było podjąć dla wielkiej sprawy. To nie jego dziecko posłużyło za pionek w grze. To nie jego rodzina mogła stanąć przed oddziałem egzekucyjnym.

Zakryła twarz rękami, próbując rozproszyć straszną wizję i zastąpić ją przyjemną - wizją Francji powracającej do dawnej chwały, bezpiecznego, szczęśliwego domu, w którym mogłaby wychowywać syna, dziedzictwa, do którego by pretendował, a które znaczyłoby coś więcej niż miejsce egzystencji stanowiące własność obcego reżimu.

Nie mogła jednak pozbyć się nienawiści, jaką odczuwała do mężczyzny z sąsiedniego pokoju. Zdała sobie sprawę, że nienawidzi go nie tylko za to, do czego ją zmusił, ale również za uczucia, jakie w niej wzbudził.

Cóż u diabła się z nią dzieje? Krytykowała Charlesa i jego rodzinę za ich postawę wobec Niemców, tymczasem teraz sama desperacko pragnęła pójść za ich przykładem. Nienawidziła Charlesa za bierność, a Paula za to, że działał. Czego właściwie chciała?

Powoli gniew z niej wyparował i pozostała jedynie rozpacz. Zdaje się, że nie było wyjścia z tego całego zamieszania. Cokolwiek by zrobiła, nie było od tego ucieczki. Pozostało jedynie żyć z dnia na dzień i mieć nadzieję, że w końcu ujrzy jakieś światło w tym mrocznym tunelu.

Rozdział dziewiąty

Pierwsze tygodnie pobytu Paula w zamku minęły spokojnie i Kathryn zaczynała się uspokajać. Paul został przyjęty przez domowników, dostał do dyspozycji pokój sąsiadujący z pokojem Guya, gdyż Charles uznał to za najwygodniejsze, spożywał posiłki wspólnie z rodziną i zaczął realizować ustalony wcześniej plan zajęć. Odbywał z Guyem lekcje dwa razy dziennie, na tyle krótkie, by go nie znudzić. Przez resztę dnia chłopiec bawił się w swoim pokoju lub, jeśli pogoda dopisywała, na dworze w towarzystwie Kathryn i Bridget, dzięki czemu Paul miał wolny czas i mógł chodzić, gdzie mu się podoba.

Z powodu ograniczonej liczby pracowników Guillaume i Charles spędzali długie godziny w destylarni, mało interesując się tym, co dzieje się w pokoju gościnnym. Charles godząc się na przyjęcie do Guya nauczyciela, stronę praktyczną pozostawił Kathryn. Uznał, że do niej należy wychowywanie dziecka, a napięcie stale utrzymujące się między nimi, będące wynikiem oziębienia się ich wzajemnych stosunków sprawiało, że czuł się w towarzystwie Kathryn niezręcznie i wpadał w rozdrażnienie. W pracy mógł przynajmniej choć na chwilę zapomnieć, że żona czuje do niego pogardę. Kiedy byli razem, wciąż widział wrogość płonącą w jej oczach i przebijającą w każdym ruchu.

Kathryn natomiast starała się unikać Paula. Uznała, że im mniej będzie wiedzieć o jego działalności, tym lepiej, a on najwidoczniej podzielał jej opinię. Często wychodził, lecz nigdy nie mówił, dokąd i po co, i nigdy nie tłumaczył się po powrocie.

Przeżyła też kilka nieprzyjemnych chwil, na przykład dzień, w którym von Rheinhardt przyszedł do nich na lunch. Wstrzymała oddech, kiedy Paul został

RAJSKIE DZIEDZICTWO

107

mu przedstawiony, przekonana, że świdrujący wzrok von Rheinhardta przejrzy ich grę, lecz Paul odegrał swą rolę przekonująco, więc znowu mogła swobodniej odetchnąć.

Nadal jednak niepokoił ją Christian. Czasami, kiedy unosiła głowę, napotykała jego wiele mówiące spojrzenie, które wywoływało w niej dreszcz strachu.

Niekiedy cała ta sytuacja wydawała jej się nierealna jak zły sen, z którego wkrótce się obudzi.

Pewnego dnia, kiedy przyszła zabrać Guya po lekcjach, Paul odciągnął ją na bok.

- Chcę ci coś powiedzieć.

- Na temat Guya?

Wiedziała jednak, że nie dotyczy to Guya. Przeczył temu poważny ton w głosie Paula.

- Nie. Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła.

- Co?

- Czy mogłabyś pojechać do Perigueux i odebrać dla mnie wiadomość?

- Nie wiem...

- Mamusiu, mamusiu! - Guy odepchnął małe krzesło i podbiegł do nich z kartką papieru w rękę.

- Zobacz, co narysowałem!

Pochyliła się i uniosła go w górę, zadowolona z tej nagłej przerwy w rozmowie.

- Och, Guy, to bardzo ładne. Co to jest?

- To jest generał von Rheinhardt. - Nazwisko było zbyt trudne do wymówienia i zabrzmiało jak „Rajhet”. - A to słońce, a to drzewo...

- Muszę z tobą porozmawiać na osobności. Nie prosiłbym o to, gdyby sprawa nie była ważna - powiedział Paul.

Spojrzała na niego ponad ciemną główką Guya. Serce zaczęło jej bić jak szalone.

- Dobrze. Przyjdę do ciebie, jak tylko Bridget zabierze Guya.

Piętnaście minut później zapukała do jego drzwi. Otworzył natychmiast i cofnął się, by ją przepuścić. Pomimo zdenerwowania nie mogła nie zauważyć, jak bardzo zmienił się ten pokój, odkąd Paul w nim zamieszkał. Tych kilka osobistych drobiazgów nadało wnętrzu typowo męski charakter.

- Nie chciałem nic mówić przy Guyu - zaczął. - Mógłby **jeszcze** powtórzyć naszą rozmowę.

Janet Tanner

- Mam nadzieję, że nie wspomni o tym, że miałam przyjść do twojego pokoju - odparła. Zdenerwowanie i świadomość bliskości Guya nadały jej głosowi ostre tony.

- A może to zrobić?

- To ty jesteś nauczycielem. Jak sądzisz?

- Sądzę, że dobrze by było, gdybyś miała przygotowane jakieś wytłumaczenie. Zresztą to nie potrwa długo. Muszę przekazać wiadomość komuś z Perigueux, kto dla mnie pracuje. Jest ona na tyle pilna, że nie mogę tego zrobić normalną drogą.

Kathryn domyśliła się, że mówi o skrytkach w kamiennych ścianach i pniach drzew, w których członkowie ruchu oporu zostawiali informacje do przekazania. Zagryzła wargę, próbując wymyślić jakąś wymówkę.

- Co ja powiem Charlesowi?

- Czy musisz coś mówić? Przecież i tak ze sobą nie rozmawiacie. .

- Muszę wziąć samochód. Będzie chciał wiedzieć po co.

- W porządku. Zastosujemy plan B. Spreparuję jakąś wymówkę, a ty postarasz się o samochód. Powiesz, że muszę zabrać od przyjaciela, który tam mieszka, kilka książek potrzebnych mi do pracy. Zawiesz mnie samochodem, a ja już sam przekażę wiadomość.

- Masz gotowy plan na każdą okoliczność, co? - stwierdziła oschle.

- To moja praca... po to tu jestem. No więc jak? Zastanawiała się chwilę.

- Dobrze, spróbuję. Z kim masz się tam spotkać?

- Powiem ci, kiedy dojedziemy na miejsce. Powinniśmy jednak wcześniej wyruszyć. Muszę być w Perigueux najpóźniej o dziesiątej trzydzieści.

- Z tym nie powinno być problemu. Charles długo pracuje.

- Wobec tego organizację zostawiam tobie.

- Zrobię, co będę mogła.

Po jakiego diabła chcesz jechać do Perigueux? - wybuchnął Charles, kiedy poruszyła ten temat.

- Mówiłam ci... Paul chce odebrać tam jakieś materiały pomocnicze od przyjaciela. Dlaczego zawsze musisz kwestionować wszystko, co robię?

- Według mnie to niepotrzebna strata benzyny... darmowa przejażdżka.

- Nie bądź taki małostkowy, Charles. Czy wykształcenie Guya nie jest wystarczającym powodem? Zresztą zawsze możesz poprosić o benzynę twojego przyjaciela generała von Rheinhardta - dodała zgryźliwie.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

109

- Von Rheinhardt nie jest moim przyjacielem i nie mam ochoty wracać do tego tematu.

- Więc mogę wziąć samochód czy nie?

- Chyba tak - powiedział z westchnieniem Charles. Nienawidził tych ciągłych kłótni. - Jeśli taki jest właśnie powód tej podróży.

Poczuła, jak krew jej tężeje.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic. Tylko jak na mój gust zbyt się troszczysz o tego Paula.

W jego pociemniałych nagle oczach dostrzegła raczej zazdrość niż podejrzliwość. Christian! - pomyślała. Co on mu powiedział?

- Nie bądź śmieszny - rzuciła, - To nauczyciel Guya i mój stary przyjaciel. Nic więcej.

- Oby tak było - westchnął ciężko Charles.

Wyruszyli wcześniej rano. Kathryn prowadziła Hispana należącego do Charlesa. Wiosna zazieleniła już dolinę. Drzewa i krzewy zaczynały wypuszczać pączki, ale w nocy przyszedł mróz i teraz wszystko błyszczało w różowych promieniach porannego słońca.

Kathryn, która była zapaloną automobilistką, korzystała z rzadkiej ostatnimi czasy okazji do przejażdżki samochodem i mknęła gładko po szosie.

W Perigueux, podobnie jak w wielu starych francuskich miastach, centralnym punktem była katedra - olbrzymia biała bizantyjska budowla wzniesiona na wzgórzu. W dawnych szczęśliwszych czasach Kathryn lubiła tu przyjeżdżać. Zatrzymywała się przy wysadzonym drzewami bulwarze i spacerowała po mieście z brązowawoczerwonymi dachami, które wyglądały jak miniatutki na tle majestatycznej świątyni z tuzinem minaretów, pięcioma połyskującymi kopułami i czteropiętrową dzwonnica przypominającą latarnię z rozczłonkowanymi smukłymi pilastrami, zwieńczoną iglicą w kształcie stożka. Dziś jednak ledwie rzuciła na nią okiem, Jej myśli zajęte były czymś innym.

- Gdzie mam cię zawieźć? - zapytała Paula.

- Na Puy St Front. Wiesz, gdzie to jest? - Siedział obok niej swobodny i rozluźniony na miękkim skórzanym fotelu.

- Tak, ale musisz powiedzieć, którądy mam jechać.

- Powiem, nie obawiaj się.

Janet Tanner

Pomimo wojny ulice były zatłoczone. Kathryn musiała się skoncentrować na ruchu ulicznym i pieszych.

- Skręć w lewo i zatrzymaj się gdzieś w pobliżu. Muszę złożyć wizytę doktorowi.

Otworzył drzwi, wysiadł i ruszył wąską uliczką. Jego podniszczony brązowy garnitur i koszula zapięta pod szyją na francuską modłę doskonale harmonizowały z otoczeniem.

Kiedy została sama, złapała się na tym, że wciąż myśli o Paulu. Wkroczył w jej życie, wyrócił je do góry nogami, zmusił do postawienia pod znakiem zapytania wszystkich zasad i wkradł się pod jej dach, a mimo to niewiele o nim wiedziała. Być może tak było bezpieczniej, ale nie mogła się oprzeć ciekawości, podejrzewając, że bez względu na okoliczności musi mieć jakieś swoje życie prywatne. Otaczająca go aura tajemniczości czyniła go atrakcyjnym i jednocześnie niepokoiła.

Mijały minuty, a jego wciąż nie było. Zaczęła się denerwować. W uliczce pojawił się policyjny samochód i serce podskoczyło jej do gardła. A jeśli zatrzymają się i zapytają, co tutaj robi? Jak się wytłumaczy? Ku jej uldze samochód pojechał dalej.

Kiedy sądziła, że Paul nigdy już nie przyjdzie, wyszedł z odrapanych, pomalowanych na brązowo drzwi z zaśnieżoną mosiężną tabliczką.

- Gdzie byłeś? - syknęła, kiedy usiadł obok niej. - Myślałam, że coś się stało.

- Mówiłem ci... musiałem złożyć wizytę doktorowi, a tam trzeba poczekać na swoją kolej. Jego niezmacony spokój rozgniewał ją.

- Wszystko pięknie, tylko o mały włos nie zaczepiła mnie policja.

- Ale nie zaczepiła.

- Nie.

- A więc wszystko w porządku.

Zacisnęła gniewnie wargi. Nie sposób było się z nim kłócić, zresztą dość to nieroztropne na środku ruchliwej ulicy. Włączyła silnik.

- Chwileczkę - powiedział po angielsku. - Dokąd się wybierasz?

- Do domu, oczywiście.

- Nie sądzisz, że najpierw powinniśmy pojechać do księgarni i kupić parę książek? Trochę dziwnie by wyglądało, gdybyśmy wrócili do domu z pustymi rękami, skoro taki był powód naszego wyjazdu.

- Na pewno już je kupiłeś. Zawsze przecież myślisz o wszystkim - warknęła, wściekła na siebie, że o tym nie pomyślała.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

111

Nic nie powiedział, najwyraźniej zdecydowany nie dać się wciągnąć w kłótnię, czym jeszcze bardziej ją rozgniewał.

- A więc co proponujesz?

- Ruszaj - powiedział - tylko wolno. Zatrzymaj się przy pierwszej księgarni, jaką zobaczysz.

- Którędy mam jechać?

- Powiedziałas przecież, że znasz miasto. W porządku, skręć w lewo, teraz w prawo... zwolnij! Zatrzymaj się!

Słuchała jego poleceń, a w środku wrzała, starając się jednak tego po sobie nie okazywać. Jego sokoli wzrok dostrzegł antykwariat. Paul wysiadł i zniknął w jego wnętrzu. Po kilku minutach wrócił z naręczem podniszczonych tomów.

- To powinno wystarczyć. - Złożył je na tylnym siedzeniu. - W porządku, możemy wracać do domu.

- Może przestałbyś traktować mnie jak szofera - warknęła. Prowadziła w milczeniu, nie odzywając się nawet wówczas, kiedy wyjechali z miasta i zdążali w kierunku Savigny. Zaciskała kurczowo palce na kierownicy, aż kłykcie jej zbieleły, a mięśnie szyi i ramion miała napięte jak struny. Gdzieś między jedną wioską a drugą, w szczerym polu, dotknął lekko jej ramienia. ~ Zatrzymaj się na chwilę.

- Po co?

- Choć raz zrób, co mówię, bez zadawania pytań.

Płonąc gniewem, zjechała na pobocze drogi. Słońce stopiło szron na krzewach i odsłoniło zielone pączki.

- Czy chciałabyś, żebym wyprowadził się z zamku? - zapytał po chwili milczenia.

- Czasami chciałabym, żeby cię w ogóle me było.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie. - Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił. - Sądziłem, że będziesz w stanie współpracować ze mną, lecz teraz już nie wiem. Wydajesz się bardzo... spięta. To niebezpieczne w tej pracy.

Gorący płomień oblał jej twarz i policzki. Chciała, aby wyniósł się z zamku, ale nie chciała, aby wydawał nad nią sąd i odgadywał jej najskrytsze myśli.

- Jedyne, czego pragnę, to wiedzieć nieco więcej na temat tego, co robisz - powiedziała.

- Trzymałem cię w niewiedzy dla twego własnego dobra.

Janet Tanner

- Nie tak miało być na początku. Przedstawiłeś przecież całą listę moich zadań.

- To było, zanim poprosiłem cię, abys zainstalowała mnie w zaniku. Zrobiłaś coś, co jest chyba najważniejsze: dałaś mi schronienie. Ale im mniej będziesz wiedziała o mojej działalności, tym lepiej. To niebezpieczne mieć zbyt wielu agentów pod jednym dachem. Gdyby mnie złapano, nie musiałabyś niczego ukrywać, bo o niczym nie wiedziałaś. Wbrew temu, co myślisz, mój wymyślony życiorys ma mocne podstawy. Jeśli będziesz się go trzymać, nikt nie będzie miał powodu, by ci nie wierzyć.

- Chyba żebyś mnie zdradził.

- Nie zrobiłbym tego.

- Śmiałe słowa. Słyszałam jednak, jakich metod używa gestapo, by zmusić ludzi do mówienia. Wypalają oczy żywym płomieniem, obcinają genitalia. Jak mógłbyś znieść takie tortury?

- Nie dałbym się wziąć żywcem. Mam kapsułkę z cyjankiem w spince do mankietu.

Powiedział to tak spokojnie, jakby informował, że wybiera się na wycieczkę. Spojrzała na niego ostro.

- Kim ty jesteś?

- Po co pytasz?

- Och, nie chodzi mi o twoje prawdziwe nazwisko. Wiem, że mi go nie wyjawisz. Chcę wiedzieć, dlaczego to robisz. Dlaczego narażasz życie?

- Mam swoje powody.

- To znaczy jakie?

Otworzył okno i wyrzucił niedopałek papierosa.

- Powiedzmy, że rozumiem twój niepokój o rodzinę, a zwłaszcza o syna. Co byś czuła, gdyby Niemcy zrobili mu coś złego? Naturalnie nie mówię tu o rozpacz. Czy nie chciałabyś się zemścić? Czy w takiej sytuacji obchodziłoby cię własne życie? Czy nie myślałabyś tylko o jednym: by zepchnąć tych drani z powrotem do kanałów i pozabijać władzy tak mocno, by już nigdy nie mogli wydostać się na powierzchnię, aby siać terror i zniszczenie?

Zacisnął kurczowo palce, a w jego z pozoru spokojnym głosie było tyle bólu, że gniew w jednej chwili z niej wyparował, ustępując miejsca przerażeniu.

- Chcesz powiedzieć, że...

- Nie chcę o tym mówić - przerwał jej szorstko. - Ale rozumiem twoje uczucia.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

113

Nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Myślała tylko o jednym, że oto nagle zobaczyła go w zupełnie innym świetle.

- Boże, jak mi przykro - powiedziała. - Proszę, opowiedz mi o tym.

- Powtarzam, nie chcę o tym rozmawiać. Wystarczy powiedzieć, że kiedy wybuchła ta cholerna wojna, miałem żonę i córkę. Teraz... nie mam.

- Tak mi przykro - powtórzyła, wiedząc, że te słowa zupełnie nie pasują do sytuacji.

Położyła rękę na jego dłoni. Tylko w ten sposób mogła wyrazić uczucia, jakich doświadczała - żal, że go nie doceniła, wstyd za jej samolubne zachowanie i zrozumienie tak głębokie, jakby sama straciła najdroższe jej osoby. Przez chwilę siedzieli bez ruchu, zespoleni więzią, w której nie było nic fizycznego, pomimo kontaktu dłoni, a która była raczej spotkaniem dwóch dusz dających i otrzymujących pocieszenie.

Paul pierwszy przerwał tę chwilę. Odwrócił rękę, ścisnął lekko palcami jej dłoń, po czym przeniósł jej rękę na kierownicę.

- Myślę, że powinniśmy wracać do Savigny - powiedział.

Dwa dni później Paul zapukał do jej pokoju, kiedy szykowała się do zejścia na kolację.

- Nie ma Charlesa? - zapytał cicho, kiedy otworzyła drzwi.

- Nie... zszedł na dół porozmawiać z ojcem o interesach.

- Słyszałem, jak schodzi po schodach, a chciałem z tobą porozmawiać. Muszę wyjść dziś w nocy.

- Teraz?

- Nie... później. Po kolacji. Jeśli zbyt się przeciągnie, powiem, że mam jeszcze trochę pracy. Ale gdyby były jakieś pytania, postaraj się jakoś to wytłumaczyć.

- Tak, oczywiście.

Doskonale wiedziała, dlaczego wychodzi tej nocy. Późnym wieczorem wyjrzała przez okno. Noc była jasna, na aksamitnie czarnym niebie połyskiwały gwiazdy, a pokryte szronem krzewy iskrzyły się w świetle księżyca. Doskonała noc na tajną akcję i na spotkanie ze śmiercią.

Nie miała pojęcia, dlaczego taka myśl przyszła jej do głowy. Czuła jedynie, jak przeszywa ją dreszcz i strach ściska za gardło. Jednak tym razem nie o siebie się bała, nie o rodzinę ani nawet o Guya. Ten strach dotyczył mężczyzny, który przedstawił się jako Paul Curtis.

Janet Tanner

Kilka minut przed wpół do dwunastej Paul cicho zamknął drzwi do swego pokoju, minął korytarz i zszedł na dół. Zamek był ciemny i cichy, tylko od czasu do czasu skrzypnęła gdzieś deska. Wdzięczny był losowi za to, że wszyscy rozeszli się dziś wcześniej do swoich pokoi. Oczywiście nie była to tylko zasługa losu - wszyscy po prostu ciężko przez cały dzień pracowali - ale on pokładał w nim największe zaufanie. Sprawdził, czy okno jest uchylone - trzask ciężkiej zasuwki w taką mroźną noc zabrzmiałby jak wystrzał armatni - i sprawdził grube pnącze obrastające mur od zewnątrz. Przetestował je jako drogę ucieczki jeszcze pierwszej nocy po sprowadzeniu się do zamku. Nie uśmiechała mu się perspektywa schodzenia tamtędy, chyba że byłoby to naprawdę konieczne. Nie miał pewności, czy pnącze wytrzymałoby jego ciężar. Na szczęście tej nocy nie musi tego sprawdzać. Kiedy w zamku zaległa cisza, przebrał się w czarny golf, ciemne sztruksowe spodnie i wysmarował twarz węglem, po czym sprawdził, czy w kieszeniach marynarki ma latarkę, pistolet i piersiówkę z brandy. Wziął do ręki buty i wymknął się z zamku tylnymi drzwiami.

Nocne powietrze było rześkie. Ogród tonął w księżycowym świetle, dzięki czemu bez trudu przeszedł przez główny dziedziniec do wozowni, gdzie stał rower. To idealna noc na lot, pomyślał. Był niemal pewny, że dojdzie on do skutku, jeszcze zanim wysłuchał wiadomości BBC i odebrał zaszyfrowaną wiadomość. *Le bele s'appelle Jacques* - lalka nazywa się Jacques - mogło brzmieć bezsensownie, lecz dla niego było zrozumiałe. Dziś w nocy Lysander wystartuje z Anglii z radiotelegrafistą i ekspertem od ładunków wybuchowych na pokładzie. Trzeba ich odebrać.

Poczuł przyływ adrenaliny w ciele i zaczął szybciej pedałować, wypatrując na niebie łuny, która mogła oznaczać policyjny patrol i nasłuchując szumu silników. Wokół panowała cisza. Jeszcze raz prześledził w myśli całą akcję, którą zaplanował i wcielił w życie, odwiedzając przed dwoma dniami gabinet doktora w Périgueux. Jego ludzie czekali w pogotowiu - Albert, gospodarz, właściciel furgonetki, która miała przewieźć dwóch pasażerów w bezpieczne miejsce, Jean Lussac, zawiadowca stacji, który nie lubił stać z boku, i dwóch miejscowych chłopaków zwerbowanych przez Alberta, którzy mieli stać na czatach. Należało tylko słuchać radia i odebrać wiadomość o terminie przylotu. Oby rzeczywiście ją odebrali, pomyślał. Sam nie dałby rady zająć się tymi ludźmi bez odpowiedniego środka transportu. Przynajmniej będą mieli względnie wygodną podróż, bez konieczności skakania na spadochronie. On tą właśnie drogą przybył do Francji.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

115

Kiedy dojeżdżał do miejsca wyznaczonego na lądowanie, zobaczył czekającą już furgonetkę i odetchnął z ulgą. Przynajmniej Albert odebrał wiadomość i prawdopodobnie przekazał innym. Paul zsiadł z roweru, ukrył go w zaroślach i podszedł do samochodu.

- A więc jesteś.

- Tak, ale Jean nie przyjdzie. Złapał grypę.

- Nie szkodzi. Poradzimy sobie bez niego. Pogoda jest wspaniała. Pilot nie powinien mieć kłopotów z zauważeniem sygnałów świetlnych, jeśli dobrze odrobił pracę domową. Przybędą o czasie. Tak myślę.

- Jeśli tylko artyleria przeciwlotnicza ich nie namierzy.

Albert był upartym, lecz pewnym i solidnym człowiekiem, którego nienawiść do szkopów wyrwała z okowów przyziemnej egzystencji i pchnęła na drogę czynnego oporu. W tej chwili miał usta pełne chleba i kiełbasy, więc mówił nieco bełkotliwie. Paul zapalił latarkę i sprawdził godzinę na zegarku.

- Zaczniemy znakować miejsce lądowania, Później dokończysz kolację. Albert schował resztki chleba i kiełbasy do jednej kieszeni płaszcza,

a butelkę z kawą do drugiej. Wspólnie z dwoma chłopakami siedzącymi dotąd w furgonetce podążyli za Paulem na miejsce wybrane na lądowisko.[^] Otoczone z trzech stron krzakami, z pasem drzew na końcu, było w miarę równe i tak zamaskowane, że palące się światła można było dostrzec tylko z góry. Paul i Albert ustawili przywiezione furgonetką lampy w formie litery L, a chłopcy zajęli stanowiska obserwacyjne. Pozostało jedynie czekać.

Albert zabrał się do swoich zapasów, a Paul rozgrzał się kilkoma łykami brandy. Ponownie spojrzał na zegarek - kilka minut po północy. Oczekiwanie wzmagало napięcie. Wydawało się prawie niemożliwe, że samolot w ogóle przyleci. Jeśli nie, będzie musiał zaryzykować następny kontakt z Londynem. Wołał jednak nie używać radiostacji. Nie umiał szybko nadawać i w każdej chwili mógł zostać wykryty. Nie martwił się o siebie, ale o podległych mu ludzi, a w pierwszym rzędzie o bezpieczeństwo de Savignych i... Kathryn. Odepchnął od siebie te myśli. Nie ma sensu martwić się na zapas. Będzie na to czas jutro.

Kiedy już prawie stracił nadzieję, posłyszał znajomy szum silnika samolotowego.

Zesztywniałymi z zimna palcami wsunął piersiówkę do kieszeni. Dał znak Albertowi, zapalił jedną z lamp, złapał latarkę i zaczął sygnalizować alfabetem Morse'a umówione hasło.

Tymczasem jego towarzysz, poruszając się zwinnie pomimo swej tuszy, pobiegł zapalić pozostałe dwie.

Lysander znalazł się tuż nad lądowiskiem, muskając wierzchołki drzew.

Janet Tanner

Paul powtórzył sygnał, samolot w odpowiedzi mignął światłami i rozpoczął lądowanie. Zatoczył koło i zbliżył się do pierwszej z lamp. Wydawało się, że leci z wielką szybkością. Paul wstrzymał oddech, modląc się, aby lądowisko okazało się wystarczająco długie. Po chwili koła dotknęły ziemi, samolot odbił się raz od podłoża, po czym uspokoił się, zwolnił, okrążył najdalej stojącą lampę i pokołował po polu. Otworzyła się kłapa ukazując głowę pilota.

- Cześć, chłopaki. Niezłe lądowisko.

Tymczasem z samolotu wygramolił się pierwszy pasażer, trzymając w dłoni gotowy do strzału rewolwer, a drugi podał mu bagaż. Ledwie zdążyli wysiąść z samolotu, pilot rzucił słowa pożegnania, zamknął kłapę i wystartował. Kiedy oderwał się od ziemi, muskając zarośla, Paul podszedł do nowo przybyłych.

- Witajcie. Jestem Paul Curtis.

- Jacques, pański radiotelegrafista. A to jest Maurice.

- W porządku. A teraz pospieszmy się, bo ktoś mógł zauważyć samolot. Albert zawiezie was w bezpieczne miejsce. Będziemy w kontakcie.

Ruszyli przez pole do furgonetki i zniknęli w jej wnętrzu. Silnik obudził się do życia i Paul patrzył, jak samochód znika w oddali, po czym wyprowadził rower z zarośli. Dwaj chłopcy, pełniący rolę czujek, również zniknęli w ciemnościach.

Jak dotąd wszystko szło dobrze. Akcja przebiegła sprawniej, niż oczekiwał. Wsiadł na rower i ruszył w kierunku zamku. Nic nie mąciło nocnej ciszy i powoli zaczynał się odprężyć. Nie zdawał sobie sprawy, jak blisko czai się niebezpieczeństwo.

W tym momencie bowiem niemiecki samochód patrolowy z wyłączonym silnikiem i reflektorami zjeżdżał ze wzgórza. Zastanawiając się nad tym dużo później, doszedł do wniosku, że właśnie dlatego go nie zauważył. Wóz niespodziewanie wychynął zza zakrętu jak ciemny przysadzisty byk oświetlony jedynie księżycowym światłem. Paul instynktownie skręcił w zarośla, lecz z bezwzględną pewnością, przewyższającą przenikający trzewia strach, wiedział, że go zauważyli. Reflektory natychmiast się zapaliły, oślepiając go przeraźliwie jaskrawym światłem, w chwili gdy przedzierał się przez zarośla. Ostre gałązki wczepiały się w płaszcz i tamowały ruchy. Uwolnił się od nich szarpnięciem i dał nura w wysoką oszronioną trawę, posuwając się dalej na brzuchu. W tym momencie usłyszał, jak drzwi samochodu się otwierają i okrzyk w języku niemieckim: „Tam! Tam! Ucieka na rowerze!”

Serce waliło mu jak szalone, pot spływał po twarzy. Przeczłogał się do

RAJSKIE DZIEDZICTWO

129

granicy pola. Przed sobą miał kolejny pas zarośli, oddzielający jedno pole od drugiego. Gdyby tylko mógł tam dotrzeć. Jedyne dla niego ratunkiem był mały zagajnik na skraju pola. Tuż za nim płynęła rzeka i zaczynała się granica posiadłości de Savigny. Lecz żeby dostać się do zagajnika, musiał pokonać pas odkrytej przestrzeni. Nigdy mu się to nie uda. Gdyby jednak jakimś cudem tam dobiegł, poprowadziłby Niemców jak po sznurku prosto do zamku. Nie, jedyne, co może zrobić, to zatrzymać ich na miejscu. Nie wiedział, ilu ich jest i ilu uda mu się unieszkodliwić, zanim go dopadną, ale miał w pistolecie sześć kul.

Podczołgał się na skraj żywopłotu, przykucnął, wyciągnął z kieszeni broń i odciągnął bezpiecznik. W tym momencie wyłonił się z zarośli pierwszy Niemiec i Paul bez wahania wystrzelił. Nawet z takiej pozycji i z tej odległości kula trafiła w cel. Paul strzelał już jako mały chłopiec i miał do tego oko. Niemiec upadł z okrzykiem zaskoczenia, trzymając się za brzuch. Następny wychynął z gęstwiny i Paul jeszcze raz pociągnął za spust. Tym razem jednak nie trafił lub może tylko drasnął przeciwnika, bo mężczyzna wykonał gwałtowny obrót puszczając na oślep serię z karabinu maszynowego. Kule rozorały ziemię, a Paul poczuł ostry ból w ramieniu i ręka zwiśla mu bezwładnie. Zamarł w bezruchu. Niemiec powoli skradał się ku linii zarośli, z karabinem gotowym do strzału, ale nie wystrzelił po raz drugi. Myśli pewnie, że mnie trafił, przemknęło Paulowi przez głowę. Odczekał, aż Niemiec podejdzie na tyle blisko, by mógł go zobaczyć w świetle księżyca, i pociągnął za spust.

Żołnierz upadł prawie bezgłośnie, trafiony w serce. Paul nie ruszył się z miejsca. Ilu ich jeszcze zostało? - zastanawiał się, ale od strony drogi nie dochodziły żadne krzyki, jedynie jęki leżącego w trawie pierwszego Niemca. Wiedział, że nie może zostawić go przy życiu. Bez namysłu podszedł do mężczyzny i strzelił mu w głowę. Niemiec drgnął i znieruchomiał.

Paul rozejrzał się na boki. Serce tłukło mu się w piersi i z trudem łapał oddech, jakby właśnie przebiegł milę. Miał szczęście, że było ich tylko dwóch, ale powinien stąd zniknąć, zanim nadciągną posiłki.

Pierwszą jego myślą było rzucić się do ucieczki przez pola, wiedział jednak, że nie może zostawić roweru, bo ktoś mógłby go rozpoznać, choć wszyscy mieli podobne. Przeczłogał się przez zarośla i pobiegł do miejsca, gdzie stał samochód. Silnik wciąż pracował, a drzwi stały otworem. Wsunął się do środka i wyłączył zarówno silnik jak i światła. Prędzej czy później go znajdą, ale im później, tym lepiej.

Janet Tanner

Wyciągnął rower z zarośli i krzywiąc się wsiadł na niego. Chore ramię nieznośnie pulsowało, a palce miał lepkie od krwi. Zaciskając zęby ruszył niepewnie w stronę zamku.

Kathryn nie mogła zasnąć. Leżała wpatrując się w ciemność i myślała o Paulu. Raz nawet zdawało jej się, że słyszy warkot samolotu.

Leżący obok Charles pochrapywał z cicha, co zaczęło ją ostatnio napawać wstrętem. Odrzuciła koldrę, wstała i włożyła kimono. Wzdrygnęła się, kiedy dotknęła stopami zimnych desek podłogi. Odnalazła kaptcie, wsunęła je na stopy i podeszła do okna.

Jasne światło księżyca spowijało park. Uniosła wzrok ku niebu. Ani śladu samolotu, jedynie jasno świecące gwiazdy i rozrzucone drobne obłoczki. Stała tak przez dłuższą chwilę rozmyślając o Paulu. To, co jej powiedział - czy raczej nie powiedział - o losie żony i dziecka, mocno ją poruszyło. Trudno było sobie wyobrazić tego twardego, opanowanego człowieka jako kochającego męża i ojca, a przecież musiał je bardzo kochać, bo bolał nad ich utratą z intensywnością którą trudno jej było zrozumieć. Zdała sobie sprawę z tego, jak płytkie są jej własne doznania emocjonalne. Oczywiście kochała Guya pełną troski i dumy matczyną miłością ale to było wszystko, na co mogła się zdobyć. Sądziła, że kocha Charlesa, lecz miłość do niego umarła, i to nie w wielkim bólu, tylko zgasła jak wilgotny fajerwerk, pozostawiając po sobie żal i urazę, że nie jest on tym mężczyzną za jakiego go uważała i prawdopodobnie nigdy nie będzie. Wszystkie jej uczucia były w większości negatywne - samotność, tęsknota, a wraz z wybuchem wojny gniew i strach. W porównaniu z głębią odczuć Paula wydawały się płytkie i egoistyczne.

Przeszył ją dreszcz. Cienki jedwab kimona nie chronił przed chłodem nocy. Jeśli nie wróci do łóżka, złapie grypę. Nie miała jednak ochoty tam wracać. Myśl, że będzie leżeć i nasłuchiwać stłumionych kroków Paula, wydała się mało zachęcająca.

Nagle jej uwagę przykuł jakiś ruch na podjeździe. Oparła się o parapet i wyteżyła wzrok. To na pewno Paul! Poczula ulgę i zaraz potem do serca wkradł się strach. Szedł niepewnie, pchając rower tak, jakby to on go podtrzymywał, a nie odwrotnie. I jakoś dziwnie trzymał jedną rękę. Coś było nie tak. Wyczuła to instynktownie i postanowiła sprawdzić.

Charles przestał chrapać; oddychał głęboko i regularnie. Kathryn poszła do

RAJSKIE DZIEDZICTWO

119

garderoby, włożyła płaszcz, a kapcie zmieniła na płaskie półbuty, po czym wymknęła się z sypialni i zeszła po schodach na dół.

Tylne drzwi zamku były otwarte, co świadczyło o tym, że miał zamiar tędy wracać. Przeszła przez podwórze do wozowni. Drzwi były uchylone. Popchnęła je i w tym momencie usłyszała szcęk odbezpieczanej broni.

- To ja! - szepnęła nerwowo. - Czy to ty, Paul?

- Na litość boską! Omal cię nie zabiłem! - Jego głos brzmiał ochryple.

- Zwariowałeś? - wyszeptała zaskoczona.

Po oświetlonym księżycowym światłem podwórzu w wozowni panowały kompletne ciemności, lecz już po chwili dostrzegła postać ciężko opierającą się o ścianę i podtrzymującą ramię.

- Paul? Dobrze się czujesz? - zapytała.

- Nie, fatalnie. Niech to diabli, omal mnie nie złapali. Zabiłem dwóch Niemców. A jeden z nich trafił mnie w ramię.

- O mój Boże! - Poczula, że robi jej się gorąco, potem zimno, i pomyślała, że zaraz zemdleje. Nigdy w życiu tak się nie przestraszyła. - Zabiłeś dwóch Niemców? Paul... ściągniesz na nas nieszczęście!

- Mniejsza o nich. Teraz o siebie się boję. Zostawiłem wszędzie ślady krwi i chyba złamałem rękę.

- O mój Boże! - powtórzyła po raz drugi. Jej wzrok zdążył się już przyzwyczaić do ciemności. Podeszła do niego. - Która to?

Syknął z bólu, kiedy dotknęła chorego ramienia. Gruby materiał marynarki był wilgotny i lepki. Na podłodze rosła ciemna plama krwi.

- Nie ruszaj się stąd - poleciła. - Nie możesz wrócić do domu z tą krwawiącą ręką. Przyniosę coś...

Zostawiła go w wozowni i pobiegła do kuchni. Po kilku minutach wróciła z grubym ręcznikiem.

- Czy możesz zdjąć marynarkę?

Jęknął, starając się zsunąć marynarkę z ramienia. Pomogła mu wyciągnąć rękę z rękawa i owinęła krwawiące miejsce, starając się go nie urazić.

- To powinno wystarczyć na kilka minut. A teraz pomogę ci przejść do zamku. Objęła go ramieniem, a on oparł się na mej z wdzięcznością. Wszystkie

siły wykorzystał na dotarcie do zamku, i teraz poczuł, jak nogi odmawiają mu posłuszeństwa.

- Dasz radę dojść do swego pokoju? - zapytała kiedy znaleźli się w kuchni. - Muszę coś zrobić z tą krwią w wozowni.

Janet Tanner

- Dam - odpowiedział przez zaciśnięte zęby.

Nalała wody do wiadra, znalazła jakąś szczotkę do szorowania i zaniósła do wozowni. Nie była pewna, czy w ciemności uda jej się usunąć wszystkie ślady, ale musiała spróbować. Po kilku minutach podłoga wyglądała na względnie czystą. Posypała mokrą plamę trocinami, które znalazła w worku przy drzwiach, i poprzestawiała leżące w pobliżu worki, by jakoś przykryć to miejsce. Rower przeniosła w głąb wozowni i oparła o ścianę. Potem wylała wodę z wiadra do ścieku na podwórzu. Wróciła do zamku, zamknęła drzwi i na palcach poszła do pokoju Paula. Siedziała na łóżku przyciskając rękę, która nadal była zawinięta ręcznikiem. Twarz miał napiętą z bólu i bardzo bladą.

- Wyglądasz strasznie - powiedziała.

- Dziękuję ci bardzo!

- Daj sobie spokój z tą ironią. Co zrobimy z twoim ramieniem? - Usiadła obok niego na łóżku i spróbowała rozwinąć ręcznik.

Skrzywił się.

- Zostaw ją w spokoju, dobrze?

- Nie, nie zostawię. Pokaż rękę.

Pozwolił jej odwinąć ręcznik, podkładając go pod spód, by krew nie kapała na podłogę. Rana wyglądała okropnie, ale przynajmniej mogła stwierdzić, że ramię nie jest złamane.

- Spróbuję oczyścić ranę - powiedziała - ale będziesz musiał ją pokazać lekarzowi.

- Jak, u diabła, mam to zrobić? - Ból sprawił, że przestał panować nad nerwami. Utrata krwi i wyczerpanie mąciły mu mózg.

- Masz przecież znajomego doktora w Perigueux. Zawiozę cię tam jutro. Ale nie wolno ci się pokazywać. Dzięki Bogu, że oni przez cały dzień są w destylarni. I dzięki Bogu, że w porę cię zauważyłam.

Nie odpowiedział. Po raz pierwszy to nie on musiał podejmować decyzje i był wdzięczny Kathryn, że się nim zajęła.

Ponownie zeszła na dół po miskę z wodą i środek dezynfekujący. Bała się iść do łazienki w obawie, że ktoś ją usłyszy. Płynąca starymi rurami woda mogła w środku nocy wywołać potworny hałas. Obmyła ranę, najlepiej jak umiała, starając się nie słuchać bolesnych jęków Paula. Następnie owinęła ją czystym ręcznikiem i umocowała na temblaku z długiej jedwabnej szarfy. Potem pomogła mu położyć się w ubraniu na łóżku i przykryła go kołdrą.

- Nie sądzę, byś mógł zasnąć, ale przynajmniej spróbuj - powiedziała.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

121

- Muszę już wracać do siebie, bo jeszcze Charles zauważy, że mnie nie ma. Rano przyniosę ci śniadanie i zastanowimy się, co dalej. Kiwnął głową i wyciągnął rękę.

- Wiesz, Kathryn, świetna z ciebie dziewczyna.

- Tak - powiedziała sucho. - Czasami sama się sobie dziwię.

Lecz poczuła, jak robi jej się ciepło na sercu, i na chwilę zapomniała o dręczącym ją niepokojem.

Czuła to ciepło, kiedy szła do sypialni, odwieszała na miejsce płaszcz i zdejmowała kimono.

Wsunęła się do łóżka; w tym momencie Charles poruszył się we śnie i objął ją ramieniem.

Odsunęła się od niego i przez chwilę wyobraziła sobie, że to Paul leży obok niej. Zbyt była

zmęczona, by się zastanawiać nad swoimi uczuciami. Lecz sen nie przychodził. Gdy tylko

zamykała oczy, na nowo przeżywała wydarzenia z ostatniej godziny i wkrótce marzenia wyparł

niepokój - o Paula, o siebie, o to, co będzie musiała zrobić i jak sobie z tym poradzi. I nagle,

kiedy poddała się obezwładniającemu zmęczeniu, strach chwycił ją za serce.

Paul zabił dwóch Niemców! Jakie konsekwencje może ten czyn pociągnąć za sobą?

Różowo-srebrna jutrzienka pojawiła się na niebie i dopiero wówczas Kathryn udało się zasnąć.

Rozdział dziesiąty

Kiedy upewniła się, że teren jest wolny, poszła do pokoju Paula. Drzemał, ale skołtuniona kołdra i poduszki powiedziały jej, że nie była to dla niego lekka noc. Gdy tylko zorientował się, że nie jest sam, zerwał się gwałtownie, jęknął i spróbował usiąść.

- Jak się czujesz? - zapytała. Marnie.

- Właśnie widzę. Przyniosłam ci Filiżankę kawy. Musimy porozmawiać. Trzeba coś postanowić. Postawiła filiżankę na stoliku przy łóżku, tak by mógł sięgnąć po nią zdrową ręką, i spojrzała na ręcznik, którym owinęła ramię. Widoczna na nim ciemna plama krwi nie była tak duża, jak się obawiała.

- Krwawienie chyba ustało - stwierdziła - ale nadal uważam, że ktoś cię powinien obejrzeć. Mogło wdać się zakażenie. Kłopot w tym, że nie mogę wezwać tu doktora. Nikt nie może się dowiedzieć, że potrzebujesz pomocy, poza tym nie wiem, czy mogę zaufać doktorowi Artigaux. Będę musiała zawieźć cię do Perigueux. Mam nadzieję, że w samochodzie zostało dość benzyny.

- Nie - powiedział. - Dość już dla mnie zrobiłaś, Kathryn. Wszystko przemyślałem... Nie mogłem usnąć tej nocy. Najlepiej będzie, jeśli stąd odejdę. Gdyby pojawiło się tu gestapo, mogłoby odkryć, że ukrywasz tu obcego agenta.

- Ale dokąd pójdziesz? - Zamiast ulgi poczuła, że ścisną ją w żołądku.

- Mam parę adresów. Ukryją mnie i będę mógł zmienić swoją tożsamość. Po tym, co się stało, nie mogę cię więcej narażać. Nie powinienem był tu wracać, ale zostawiłem parę rzeczy. Są dobrze ukryte, lecz gdyby Niemcy

RAJSKIE DZIEDZICTWO

123

zrobili dokładną rewizję, mogliby je znaleźć. Poza tym bałem się o ten przeklęty rower... mógłby go ktoś rozpoznać.

- Och, Paul, nie wiem... Będzie podejrzanie wyglądać, jeśli tak nagle znikniesz. Jak to wytłumaczyć?

- Nie będziesz musiała. Udasz, że o niczym nie wiedziałaś, podobnie jak inni. Nawet gdyby rodzina coś podejrzewała, przecież cię nie zdradzi. A dla ludzi z zewnątrz fakt, że okazaliście się lojalnymi obywatelami nowej Francji, może okazać się bardzo pożyteczny.

- Nie wiem - powtórzyła. - Nie podoba mi się to.

- Mnie również, ale to najlepsze wyjście. Jeśli szkopy tu przyjdą, powiedz im o mnie tyle, ile możesz, nie wspominając nic o sobie. Chryste, cóż za gmatwanina. Przykro mi, Kathryn. Nie powinienem był cię w to wciągać.

- Za późno na wyrzuty sumienia - powiedziała. - Przecież nie obiecywałeś, że będzie łatwo. Ostrzegałeś mnie przed niebezpieczeństwem,

- Ale obiecałem, że zrobię wszystko, by cię chronić. Jak dotąd tylko namieszałem. Nie chcę cię już więcej narażać.

- W takim stanie natychmiast cię złapią.

Nagle zdała sobie sprawę, jak ważne jest dla niej, by go nie złapali. Nie dlatego, iż obawiała się, że może ją zdradzić. Wiedziała przecież, że nie dopuściłby do tego. Gdyby przesłuchanie i tortury stały się trudne do zniesienia, zażyłby cyjanek. I właśnie tej ewentualności nie mogła znieść.

- Pozwól mi zawieźć się do Perigueux. Nigdy bym sobie nie wybaczyła, że pozwoliłam ci odejść, kiedy potrzebowałeś pomocy.

- A ja nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby coś ci się stało przeze mnie. Znaczenie tych słów wstrząsnęło nim głęboko. Nie mógł już dłużej

ignorować tej prawdy, lecz niełatwo się z nią godził. Zależało mu na Kathryn. Przybył tu przekonany, że spotka rozpieszczoną bogatą kobietkę z rodzaju tych, którymi pogardzał, a zamiast tego zobaczył kobietę pełną temperamentu, wrażliwą śmiertelnie przerażoną mimo to gotową zrobić wszystko, by mu pomóc. Wykorzystał ją bezwzględnie, doskonale wiedząc, że naraża ją na wielkie niebezpieczeństwo, i godząc się na to w imię wyższych celów. Jeśli miało mu się powieść, me mógł sobie pozwolić na takie myśli. Przecież była tylko zwykłym pionkiem w tej grze. A dla niego i jemu podobnych stawką było życie wielu takich pionków. Kłopot w tym, że popełnił kardynalny błąd w tej rozgrywce. Potraktował Kathryn jak królową.

Przewracając się z boku na bok w czasie bezsennych godzin wciąż widział przed sobą jej twarz, słyszał jej głos, marzył, że leży obok niego, zamiast przy

Janet Tanner

mężu. A przecież jak większość rannych zwierząt powinien zaszyć się gdzieś w samotności ze swym bólem. Lecz dziwnym sposobem myślenie o niej łagodziło ból. Był to **dla** niego szok. Do tej pory to twarz Gerie ukazywała mu się przed oczami, to jej głos brzmiał w uszach. A teraz z przerażeniem stwierdził, że nie potrafi jej sobie wyobrazić. Wkładając w to całe serce usiłował odtworzyć w myślach wszystkie szczegóły, jak malarz pracujący nad portretem - jasne włosy, skośne niebieskie oczy, kremową skórę i delikatne rumieńce barwiące policzki. Często żartował, że ma twarz dziecka, jednak teraz, choć bardzo się starał, obraz wciąż rozpływał się, a szczegóły zacierały. Ze ściśniętym sercem, jakby właśnie popełnił zdradę, uświadomił sobie, że to obraz Kathryn ma teraz przed oczami.

Dlatego też postanowił opuścić zamek. Nie mógł sobie pozwolić na takie uczucia. To rozpraszało uwagę i zwiększało niebezpieczeństwo wpadki. Poza tym nie chciał, aby jakaś inna twarz zastąpiła twarz Gerie, aby jakaś inna kobieta zajęła jej miejsce w jego sercu. Było na to jeszcze za wcześnie, zdecydowanie za wcześnie. To obrażało pamięć po wspólnie przeżytych latach.

- Muszę odejść - powiedział. - Tak będzie lepiej dla **nas** wszystkich. Kathryn przeczesła włosy palcami. Czula się taka bezbronna, przerażona i bliska łez.

- Nie zgadzam się z tobą, lecz skoro tak postanowiłeś, nie mogę cię zatrzymywać. Ale przynajmniej zjedz coś przed wyjściem.

- Dobrze - powiedział. - A teraz idź już i zabierz ze sobą Guya. Kiedy wrócisz, nie będzie po mnie śladu. Natychmiast powiedz o tym komuś. Udaj zaskoczenie. A potem zapomnij o mnie. Kiwnęła głową, wiedząc, że to, o co prosi, jest niemożliwe. Nie jest to łatwe, ale chyba sobie poradzi. Jednego tylko **nie** będzie w stanie zrobić - wymazać go z pamięci.

Kiedy schodziła na dół po schodach, drzwi do gabinetu otworzyły się i stanął w nich Christian. Drgnęła nerwowo. Nie przypuszczała, że ktoś z rodziny jest w domu.

- Christian!... Sądziłam, że jesteś w destylarni.

- Założę się, że tak myślałaś. Znowu byłaś u nauczyciela, co? Zesztywniała, zaciskając dłoń **na** poręczy.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie domyślasz się?

RAJSKIE DZIEDZICTWO

125

- Nie. Rzeczywiście bytam u Paula, bo nie czuje się dziś dobrze i musiał odwołać lekcje z Guyem.

- Ach tak. W nocy też chyba nie czuł się dobrze? Głos uwiązał jej w gardle, a myśli wirowały jak szalone.

- Możesz sobie oszukiwać Charlesa, Kathryn, ale mnie nie nabierzesz. - W głosie Christiana dźwięczało rozbawienie, posłyszała jednak również twarde tony. - W tym człowieku jest coś dziwnego, Zawsze mnie to zastanawiało. Widziałem też, jak na ciebie patrzy. Czy jest twoim kochankiem?

- Nie! - Oblała się rumieńcem, po czym zbladła. - Nie... oczywiście, że nie!

- Czyżby? A więc w nocy omawiałaś z nim plan lekcji Guya? Nie mogłem spać i poszedłem napić się wody. Widziałem, jak wychodzisz z jego pokoju. Nie zaprzeczaj, Katrine. Nie wiem jeszcze halucynacji.

A więc słusznie obawiałam się Christiana, pomyślała. Miałam rację przypuszczając, że coś podejrzewa. Poczula, że robi jej się słabo, a jednocześnie ogarnął ją spokój. Zastanawiała się gorączkowo, co powinna mu powiedzieć. Czy ma udawać, że Paul rzeczywiście jest jej kochankiem, a po jego zniknięciu pozwolić Christianowi uważać, że odszedł z powodu ujawnienia ich romansu? Czy też wyjawić mu prawdę i poprosić o pomoc? Z całej rodziny tylko on mógłby okazać życzliwość. Nie podobało mu się to, co robili ojciec i Charles, i często dawał temu wyraz. Nienawidził Niemców, nienawidził von Rheinhard-ta. Wyczuwała, że drzemie w nim buntownicza dusza.

Nagle poczuła, że dłużej tego nie znieśie. Potrzebowała sprzymierzeńca. Powierzy swój sekret Christianowi i będzie się modlić, aby jej nie zawiódł.

- Chciałabym z tobą pomówić, Christian - powiedziała. Zmarszczył brwi.

- Teraz?

- Tak, teraz.

- Przypuszczam, że sprawa jest poufna?

- I to bardzo.

Weszli do gabinetu zamykając za sobą drzwi.

Mon dieu!- powiedział Christian, kiedy skończyła. - Podejrzewałem, że coś tu się dzieje, ale tego nigdy bym się nie domyślił!

- I chwała Bogu. Bo w przeciwnym razie inni też zaczęliby coś podejrzewać. Musimy się zastanowić. Paul chce odejść, ale w takim stanie nie da sobie rady. Natychmiast go złapią.

138 Janet Tanner

- Więc musi tu zostać. Skoro przyjechał do Francji, by nam pomagać, my musimy odwdzięczyć się tym samym.

Poczuła ulgę. Christian równie dobrze mógł wybrać najprostsze wyjście i nie zgodzić się na zrobienie czegoś, co naraziłoby rodzinę na niepotrzebne ryzyko w już i tak niepewnej sytuacji. Mógł oświadczyć, że Paul wiedział, na co się naraża, i sam sobie jest winien. Mógł, lecz nie zrobił tego. Od tej chwili stał się jej bliższy niż kiedykolwiek.

- Potrzebny mu jest lekarz - powiedziała. - Nie wiem jednak, czy możemy zaufać doktorowi Artigaux. Chciałam go zawieźć do jego znajomego do Perigueux, ale nie wiem, czy w Hiszpanii jest dość benzyny.

- W moim samochodzie jest dość - odparł Christian. - Ale skoro chce odejść, to najpierw trzeba mu to wyperswadować. Potem obmyślimy jakiś plan.

- Czy pomożesz mi go przekonać? Miałam zamiar przynieść mu coś do zjedzenia. Zaczekaj kilka minut, a potem wejdź na górę.

- Dobrze. Co prawda ojciec czeka na mnie w destylarni, ale zatelefonuję do niego i powiem, że przyjdę później.

Kathryn zostawiła go i poszła do kuchni, na szczęście pustej o tej porze dnia. Naczynia po śniadaniu zostały już zmyte i odstawione na miejsce, a Bridget była teraz z Guyem w jego pokoju. Zaparzyła kawę, pokroiła chleb i znalazła trochę domowej roboty konfitur, nie mogąc przestać myśleć o tym, że powinna była wcześniej powiedzieć o wszystkim Christianowi. Przecież komuś, kto walczył we francuskiej armii, można zaufać.

Kiedy szła w stronę schodów, niosąc tacę ze śniadaniem dla Paula, usłyszała, że Christian wciąż rozmawia z kimś przez telefon. Nie rozróżniała jednak słów. Idąc korytarzem do pokoju Paula, usłyszała śmiech Guya.

- Bridget... przestań! Łaskoczesz mnie!

Uśmiechnęła się lekko. Bridget uwielbiała Guya i bez końca mogła się z nim bawić. Boże, nie pozwól, aby ten śmiech zamienił się w łzy, pomyślała.

Drzwi do pokoju Paula były zamknięte. Przekreśliła gałkę i pchnęła je. Ani drgnęły. Spróbowała jeszcze raz. Bez rezultatu. Coś musiało je blokować.

- Paul! - zawołała cicho. Żadnej odpowiedzi.

Zaniepokojona, odstawiła tacę na podłogę i naparła na drzwi obiema rękami. Uchyliły się nieznacznie, ale to wystarczyło, by mogła zobaczyć, co je trzyma. Ciało Paula!

- O mój Boże! - wyszeptwała.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

127

Zostawiła tacę na podłodze, modląc się, żeby Guy i Bridget jej nie zauważyli, i zbiegła na dół. Christian skończył już rozmowę i właśnie wychodził z gabinetu.

- Co się stało? - zapytał, widząc przerażenie w jej oczach.

- Chodź prędko. Coś się stało Paulowi. Chyba zemdłał. Pobiegł przodem, przeskakując po dwa stopnie.

- Masz rację.

Ukląkł na podłodze, próbując pchnąć drzwi tak, by wsunąć między nie ramię. Bez rezultatu. Nie było sposobu, by przesunąć bezwładne ciało Paula.

- Paul! Słyszysz mnie?! - zawołał cicho Christian.

Na szczęście odpowiedział mu słaby jęk. Widocznie Paul odzyskiwał przytomność.

- Spróbuj odsunąć się od drzwi! - wyszeptał Christian.

Po krótkiej chwili Paulowi udało się to zrobić. Drzwi otworzyły się gwałtownie i Christian wpadł z impetem do pokoju, a Kathryn tuż za nim.

- Paul! - uklękła tuż przy nim na podłodze. Był blady jak ściana. - Na litość boską, Paul, nic ci się nie stało?

Nie odpowiedział, wpatrując się z przerażeniem w Christiana.

- Co pan tu robi?

- Wszystko w porządku, Paul, on wie. Powiedziałam mu.

Nagle przypomniała sobie o tacy stojącej na korytarzu i pobiegła ją zabrać.

Christian pomógł Paulowi się podnieść i podprowadził go do łóżka. Upadek spowodował, że rana znów zaczęła krwawić. Kathryn spostrzegła świeżą krew na ręczniku.

- Co się stało, Paul? - zapytała, zamykając za sobą drzwi.

- Usiłowałem wstać. Tak cholernie długo cię nie było. Doszedłem do drzwi, a potem... nie byłem w stanie iść dalej.

- Zemdlałeś - wyjaśniła. - Utraciłeś zbyt dużo krwi. Czy teraz uwierzysz mi, kiedy powiem, że nie możesz poruszać się o własnych siłach? Christian obiecał pomóc. Opowiedziałam mu o wszystkim i jest po naszej stronie.

Starła się mówić pewnie i spokojnie, choć w rzeczywistości w jej głosie brzmiała panika.

- Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedzieliście? - zapytał Christian. - Od dawna chciałem coś zrobić dla ruchu oporu, ale nie wiedziałem, komu mógłbym zaufać w tym gnieździe kolaborantów. Możecie na mnie polegać.

- Christian mówi, że w jego samochodzie jest benzyna. Zawieziemy cię do doktora.

Janet Tanner

- Ja cię zawiozę - zaproponował Christian.

W zamglonych oczach Paula błysnęła ulga, lecz po chwili pokręcił przecząco głową.

- To zbyt niebezpieczne. Gdyby nas zatrzymano...

- Na litość boską, człowieku, a jaki masz wybór? Musi cię obejrzeć lekarz. Gdyby nas zatrzymali, ja będę mówił. Powiem, że zbiłeś szybę. Wszystko będzie dobrze, przestań się martwić. Przecież mnie tu znają.

Paul roześmiał się szorstko.

- To ci nic nie pomoże. Tej nocy zabito dwóch Niemców. Czy Kathryn ci nie powiedziała? Wszędzie będą patrole.

- Czy oni wiedzą, że ten, kto ich zastrzelił, również został postrzelony?

- Nie. Chyba że znaleźli ślady krwi na drodze, ale starałem się je usunąć. Potem jechałem przez pola. Krwawiłem wtedy jak zarzynane prosię.

- Nie mają więc powodu, żeby łączyć ten incydent z zamkiem?

- Nie. W przeciwnym razie już by tu byli.

- To prawda - przyznał Christian z goryczą w głosie. - A więc postanowione. Wyprowadzam samochód i za pięć minut wracam po ciebie. - Paul chciał coś powiedzieć, ale Christian mu przerwał. - Nie ma sensu się upierać. Sam widzisz, że nie jesteś w stanie poruszać się o własnych siłach, a w naszym interesie leży, byś szybko wyzdrowiał. Ostatnią rzeczą jakiej byśmy tu chcieli, to martwe ciało z raną postrzałową. Ciekawe, jak byśmy to wytłumaczyli?

- On ma rację - powiedziała Kathryn po wyjściu Christiana. - Nie było to zbyt taktowne, ale rozsądne.

- Powiedziałas mu o doktorze - rzucił Paul gniewnie. - Nie powinnaś była tego robić.

- Musiałam mu zaufać, zrozum.

- Chyba masz rację. Przepraszam cię.

- Czy jest jeszcze coś, o czym powinniśmy wiedzieć? - zapytała, mając na myśli samolot, którego warkot słyszała.

- W tej chwili nic. Im mniej wiesz, tym lepiej. Jeśli wszystko dobrze pójdzie i jeśli moja rekonwalescencja potrwa dłużej, może wówczas poproszę cię o pomoc.

- O co tylko zechcesz - powiedziała. - Twoja twarz nabiera wreszcie rumieńców. Spróbuj wypić trochę kawy.

Napełniła filiżankę i usiadła obok niego na łóżku, podtrzymując mu rękę.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

129

Kiedy skończył, odstawiła filiżankę, lecz nie ruszyła się z miejsca i położyła rękę na jego dłoni. Przez chwilę byli tylko oni, tak bardzo sobie bliscy. Pomimo dręczącego ją niepokoju, pomimo strachu poczuła, jak ogarnia ją szalona radość.

Kiedy wrócił Christian i zastał ich siedzących obok siebie, uniósł lekko brwi, lecz nic nie powiedział. Ciągnęło ich ku sobie tak wyraźnie, że trudno było tego nie-zauważyć.

- Podjechałem samochodem pod drzwi - poinformował. Zorganizował wszystko tak sprawnie, że aż zdziwiło to Kathryn. Zawsze

uważała go za człowieka dbającego jedynie o własne wygody.

- Czy mam pojechać z wami? - zapytała, nie chcąc rozstawać się z Paulem.

- Lepiej nie. Nie ma sensu, abyś jeszcze ty się narażała. Zostań i w razie czego nas kryj. Po naszym odjeździe stłucz szybę w oknie na wypadek, gdybym musiał się tłumaczyć z rany Paula. Sam bym to zrobił, ale nie chcę, by się tu wszyscy zlecieli, zanim sprowadzę go bezpiecznie ze schodów i umieszczę w samochodzie.

- Ale czy to nie będzie dziwne, jeśli usłyszą brzęk szkła po waszym odjeździe?

- To prawda. Może lepiej nic nie rób. W końcu jeśli szkopy będą chcieli obejrzeć stłuczoną szybę, zechcą również rzucić okiem na ramię Paula, a ranę postrzałową trudno chyba pomylić z ciętą. Czy kula utkwiała w ramieniu?

- Nie wiem. Nie czułem się na siłach, by to sprawdzić.

- Dobra. Kathryn, zobacz, czy droga wolna i zostań na czatach na wypadek, gdyby Bridget wyszła z pokoju Guya. I głowa do góry!

Pomógł wstać Paulowi i podtrzymując go, poprowadził korytarzem i w dół po schodach. Kilka minut później Kathryn usłyszała warkot silnika. Wyrzała przez okno, odprowadzając wzrokiem odjeżdżający samochód. Mignęła jej jeszcze napięta twarz Christiana. Twarzy Paula nie widziała, bo siedział skulony, opierając głowę o szybę.

Głowa do góry, pomyślała z rozpaczą. Łatwo powiedzieć. Nie przestanie się martwić, dopóki nie wróca bezpiecznie do domu. A wtedy pojawią się następne problemy.

Ale najważniejsze, że Paul pojechał do lekarza, a ona zdobyła sojusznika. To powinno podtrzymać ją na duchu.

Kiedy samochód zniknął z pola widzenia, odczekała chwilę, aż puls się uspokoi, po czym ruszyła na poszukiwanie Guya i Bridget.

130 Janet Tanner

Nigdy nie przypuszczała, że czas może tak **wolno** płynąć. Podskakiwała nerwowo na każdy odgłos i wciąż spoglądała przez okno, choć wiedziała, że **jest** jeszcze zbyt wcześnie na ich powrót.

- Co się stało, mamusiu? - zapytał Guy, wyczuwając jej niepokój. - Taka jesteś śmieszna!

- Wcale nie jestem. Głuptasek z ciebie, Guy.

- Gdzie Paul? Czy nie będę miał dzisiaj lekcji?

Zawsze z niecierpliwością oczekiwał na lekcje z Paulem. Były one dla niego czymś zupełnie nowym, zupełnie odmiennym od zabaw z Bridget.

- Paul wyjechał z wujkiem Christianem - powiedziała wymijająco, modląc się w duchu, by zdążyli wrócić, zanim Charles z Guillaume'em wrócą z destylarni, Wówczas nie musiałyby odpowiadać na kolejne pytania. - Dzisiaj ja zastąpię Paula - dodała. - Weź książkę i poczytaj mi trochę.

Zobaczmy, jak sobie radzisz.

To go uspokoi, a mnie odciągnie od tego nieznośnego czekania, pomyślała. Kiedy jednak usiadła obok Guya, przyglądając się, jak sunie pulchnym paluszkiem po tekście, nie była już taka pewna, czy wpadła na dobry pomysł. Nie mogła się skupić i za każdym razem, kiedy musiała go poprawiać, miała ochotę krzyczeć.

- Dostyc na dzisiaj - stwierdziła, kiedy już dłużej nie mogła tego znieść. - Może włożysz płaszczyk i pójdziesz pobawić się na dworze?

- Ale nie **wiem** w co.

- Przecież możesz robić mnóstwo rzeczy. Na przykład pojeździć na rowerku. Zobacz, jak jest ładnie na dworze. Świeże powietrze dobrze ci robi.

Włożyła mu płaszczyk i wyciągnęła dziecinny rower na trzech kółkach, oddychając z ulgą na myśl, że nareszcie będzie się mogła martwić w samotności. Zaraz jednak pomyślała, że może powinna go zatrzymać w pokoju, by nie spotkał się z Paulem i Christianem, kiedy będą wracać. Lecz czy oni kiedykolwiek wrócą?

Podeszła do okna, spojrzała na zegarek, usiadła, wstała, zaczęła chodzić z pokoju do pokoju.

Na pewno coś się stało. O tej porze powinni już tu być.

Zbliżała się pora lunchu i Charles z Guillaume'em mogli wrócić lada chwila. **Jej** niepokój zmienił się w panikę.

I kiedy **już** niemal odchodziła od zmysłów, zobaczyła zbliżający się aleją samochód Christiana, Zapragnęła wybiec im na spotkanie, lecz wiedziała, że najpierw trzeba ściągnąć do domu Guya i Bridget. Wybiegła na podwórze, złapała Guya na ręce i przywołała gestem Bridget.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

143

- Czy możesz przyjść tu na moment? Zdaje się, że widziałam mysz za fortepianem. Chodź, pomożesz mi ją złapać.

- Lepiej nastawię pułapkę - powiedziała Bridget, której nie bardzo podobała się wizja myszy biegającej po podłodze. Kiedy jednak Kathryn upierała się przy swoim, poszła za nią niechętnie. Kathryn zatrzymała ją w pokoju, dopóki nie usłyszała kroków w korytarzu i na schodach. Po chwili drzwi się otworzyły i wszedł Christian.

- Co tu się dzieje? - Jowialny ton i ożywienie na twarzy powiedziały Kathryn, że wszystko poszło dobrze.

- Mysz - wyjaśniła. - Przynajmniej tak mi się zdawało. Chyba musiałam się pomylić. Na wszelki wypadek postaw pułapkę, Bridget, dobrze?

Wyszła z Christianem na korytarz. Bridget zadowolona mruknęła coś pod nosem i poszła do kuchni, pozostawiając na miejscu Guya, który wciąż szukał myszy.

- No więc? - Kathryn spojrzała pytająco na Christiana.

- Obyło się bez problemów. Paul poszedł odpocząć do swego pokoju. Idź do niego, jeśli chcesz. Ja muszę wracać do destylarni.

Lekko jak ptak pofrunęła na górę. Paul siedział na łóżku. Ramię miał owinięte grubym bandażem ukrytym pod obszernym swetrem. Nadal był blady, ale powitał ją uśmiechem. Poczowała tak ogromną ulgę, że zapomniała o wszelkich konwenansach, podbiegła do niego i otoczyła ramionami.

- Och, Paul, tak się bałam, że już cię nigdy nie zobaczę - szepnęła. W tej chwili tylko to liczyło się na świecie.

Kathryn jadła właśnie lunch z Guyem i Bridget, kiedy do domu wrócił Charles. Podniosła na niego wzrok i od razu wiedziała, że coś się stało. Na jego twarzy malował się wyraz zaszczutego zwierzęcia, który pojawiał się wówczas, kiedy czegoś się bał. 1 nie było z nim Guillaume'a.

- Muszę z tobą porozmawiać - oświadczył, spoglądając znacząco na Guya i dając tym do zrozumienia, że jego słowa nie są przeznaczone dla uszu syna.

Kathryn serce podeszło do gardła.

- Może być najpierw coś zjadł - zaproponowała.

- Nie jestem głodny. Będę w salonie.

- Nie miałem dziś lekcji, tatusiu! - odezwał się Guy. - *Monsieur* Curtis nie czuł się dziś dobrze.

- Nie szkodzi. Jutro też jest dzień.

Janet Tanner

Automatycznie pogładził syna po włosach. Kathryn odłożyła na bok łyżkę.

- Skończ jeść, Guy. Zaraz wracam.

- Już nie jesteś głodna, mamusiu?

- Nie, już nie. A teraz zrób, co ci powiedziałam. Zuch chłopak.

Poszła do salonu. Charles stał przy oknie z rękami w kieszeniach i wpatrywał się w ogród. Kiedy weszła, odwrócił głowę w jej stronę.

- Co się stało? - zapytała.

- Tej nocy zdarzył się... wypadek. Dwóch niemieckich żołnierzy zostało zastrzelonych na polu, niedaleko stąd. Von Rheinhardt zjawił się dziś w destylarni. Oczywiście prowadzone jest śledztwo. Von Rheinhardt dopytywał się, czy czegoś na ten temat nie wiemy.

- Powiedziałaś naturalnie, że nie wiemy. - Czująca ogarniający ją chłód. Zaciśnęła dłonie, żeby ukryć ich drżenie.

- Naturalnie. Ale on tego tak nie zostawi.

- Jak sądzisz, kto mógł to zrobić?

- Nie wiem. Według mnie nikt z tutejszych nie byłby na tyle głupi, by dać się w coś takiego wciągnąć. To właśnie powiedziałem von Rheinhardtowi, ale oczywiście to mu nie wystarczyło. Przyjdzie słono za to zapłacić, jeśli nie znajdzie się winowajca.

- Co masz na myśli?

- Och, Kathryn, czy muszę ci to wyjaśniać? Oczywiście wezmą zakładników. Właśnie tego typu kłopotów staraliśmy się uniknąć. Lecz to jeszcze nie wszystko. Tej nocy widziano lecący nisko samolot. Niemcy podejrzewają że kogoś przywiózł lub dokonał zrzutu.

- Samolot? Tak, chyba go słyszałam. - Spojrzał na nią zaskoczony, a ona poczuła, że się czerwieni. - Jakoś nie mogłam spać tej nocy... Czy oni myślą że mógł to być agent?

- Agent, amunicja albo broń dla kogoś, kto działa na tym terenie. Naturalnie nic jeszcze nie wiadomo. Nikt jak dotąd nie widział, jak samolot lądował, nie znaleziono również spadochronu czy czegoś w tym rodzaju. To mógł być tylko lot rozpoznawczy. Tak czy inaczej pozostaje faktem, że ktoś zastrzelił dwóch Niemców. I miejscowa ludność będzie musiała za to zapłacić.

- Czy nie możesz przekonać von Rheinhardtą że oni nie mają z tym nic wspólnego? - zapytała.

- Próbowałam, ale prawdę powiedziawszy nie był w nastroju do słuchania.

- No i proszę! Tyle masz z tej przyjaźni! - rzuciła z goryczą.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

133

Oczy Charlesa zwięzły się. Przez moment wyglądał tak, jakby dostał w twarz, i Kathryn poczuła nagle wyrzuty sumienia za swój niewyparzony język. On naprawdę bardzo się niepokoił.

- To nie jest mój przyjaciel - powiedział niskim, gniewnym tonem. - Nienawidzę Niemców tak samo jak ty. Przecież oni bezczeszczą moją ojczyznę.

- Tymczasem wy przyglądacie się temu obojętnie! - Wiedziała, że nie powinna tego mówić, ale to było od niej silniejsze. - Och, wiem, że za to zapłacimy, ale ktokolwiek zastrzelił tych Niemców, przynajmniej próbował walczyć.

Westchnął w odpowiedzi,

- Czy nie dostrzegasz bezcelowości takiego postępu? Zabicie dwóch Niemców, kiedy są ich tysiące, w niczym nie zmieni naszej sytuacji, a może się przyczynić do śmierci niewinnych ludzi. Ciekaw jestem, co powiesz, jeśli będziesz musiała patrzeć na dwóch biednych wieśniaków stojących przed oddziałem egzekucyjnym. Wracam teraz do destylarni. Przeszedłem jedynie cię ostrzec, na wypadek gdyby pojawił się tu von Rheinhardt.

- W porządku, ostrzegłeś mnie.

Ale przeraził ją tym gadaniem o rozstrzelaniu ludzi w odwecie za śmierć dwóch Niemców.

Poczuła, jak ściska ją coś w żołądku.

- Czy Christian był w destylarni, kiedy pojawił się tam von Rheinhardt? - zapytała, kiedy był już przy drzwiach.

- Tak. Dlaczego pytasz? - Utkwił w niej uważne spojrzenie.

- Wydawało mi się, że widziałam go dziś rano w zamku.

Wiedziała, że nie powinna kierować uwagi na Christiana, ale musiała się upewnić, iż on również został ostrzeżony.

- Zobaczymy się wieczorem. Możliwe, że von Rheinhardt będzie dziś na kolacji. Zaprosiliśmy go w nadziei, że uda nam się odwieść go od akcji odwetowych. Nie potwierdził zaproszenia. Może być zbyt zajęty z powodu tego, co się wydarzyło. Ale na wszelki wypadek uprzedź Bridget, że możemy mieć gościa.

- Uprzedzę ją.

Zadrżała na myśl o Paulu i von Rheinhardzie pod jednym dachem.

Wróciła do kuchni. Guy skończył już jeść zupę i pomagał Bridget przy sprzątanii, wycierając z wielką dokładnością talerze i sztućce. Serce jej się ścisnęło na ten widok. Jakiego cudownego ma synka, raz jest poważny, innym razem zaś promieniuje radością. Wygląda tak zdrowo i niewinnie w tym

Janet Tanner

swoim sweterku i spodenkach. Miała ochotę pochwycić go w ramiona i mocno przytulić do piersi, czerpiąc siłę z tego drobnego, lecz mocnego ciała. Mogłaby go jednak przestraszyć.

- Jeśli chcesz, zagramy w ludo.

- O tak, tak, proszę!

- No to idź i przynieś.

Natychmiast zapomniał o wycieraniu i wybiegł z kuchni. Kiedy zostały same z Bridget, Kathryn opowiedziała jej pokrótce o wszystkim i poinformowała, że von Rheinhardt może być na kolacji.

- Nie lubię tego człowieka! - wybuchnęła Bridget i natychmiast przykryła dłonią usta. - Och, przepraszam, nie powinnam tego mówić. To nie moja sprawa.

- Wszystko w porządku, Bridget, ja też go nie lubię. Ale pan baron i *monsieur* Charles uważają że lepiej tego nie okazywać.

- Ja się go boję - dodała Bridget. - To prawda, jest dla nas taki dobry, ale ma najzimniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałam. Kiedy patrzę, jak bawi się z Guyem, mam ochotę złapać dzieciaka i uciekać.

- Wiem. Czuję to samo. Ale musimy być dzielne. - Posłyszała zbliżające się kroki Guya. - Zajmij się małym przez chwilę, dobrze? Chcę zanieść trochę zupy *monsieur* Curtisowi. Nie najlepiej się dziś czuje,

Bridget utkwiała w niej uważne spojrzenie.

- Ja mogę zanieść, jeśli pani chce.

- Nie, nie trzeba. Rób, co miałaś robić - powiedziała szybko Kathryn. Guy wbiegł do kuchni, niosąc planszę i worek z kostkami do gry i żetonami. - Przygotuj wszystko, Guy. Za chwilę wracam - zwróciła się do syna.

Zapukała do drzwi Paula, lecz nie usłyszała odpowiedzi. Zaniepokojona przekręciła gałkę, obawiając się, czy nie powtórzy się to samo, co rano, lecz drzwi otworzyły się bez przeszkód. Paul leżał w łóżku i drzemał.

- Ach, lunch! - odezwał się, próbując się uśmiechnąć.

- Tak. Niestety, mam tylko zupę z pasternaku.

- Pachnie przyjemnie. Muszę przyznać, że jestem głodny. Postawiła mu tacę na kolanach.

- Znaleźli tych Niemców.

- No cóż, to było do przewidzenia. Dziwi mnie tylko, że nie natknęliśmy się po drodze na blokady i na Bóg wie co jeszcze.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

135

- Charles uważa, że mogą zastosować środki odwetowe. Zaprosił von Rheinhardta na kolację, by go ugłaskać. Lepiej więc, żebyś się dziś nie pokazywał.

Milczał przez chwilę, po czym pokręcił głową.

- Nie, nie mogę tego zrobić. Jeśli się nie pokażę, zaczną coś podejrzewać.

- A co z twoim ramieniem?

- Założymy temblak i powiemy, że zwichnąłem sobie rękę w nadgarstku. Z tego, co mówisz, wynika, że szukają kogoś, kto został tej nocy zrzucony. Jestem tu wystarczająco długo, więc nie będą mnie podejrzewać... oczywiście jeśli zachowamy ostrożność.

- To niesłychane ryzyko...

- Niestety tak. Ale nie ma innego wyjścia. Musimy zaryzykować. Charles chyba niczego nie podejrzewa?

- Chyba nie... - Urwała i przykryła usta dłonią. - Czyżby przyszedł do domu tylko po to, by mnie ostrzec? O mój Boże, czy myślisz, że...

- Tylko ty potrafisz to ocenić. Jakby się zachowywał, gdyby coś podejrzewał?

- Naprawdę nie wiem. Ale myślę, że mógłby cię oddać w ręce Niemców, aby zapobiec ewentualnym reperkusjom.

- Uważasz więc - powiedział wolno - że powinienem oddać się w ręce Niemców?

- Nie! - zaprotestowała ostro.

- Właśnie że tak. Widzę to w twoich oczach. Gdybym uważał, że to coś da, natychmiast bym tak postąpił. Nie jestem jednak pewien, w dodatku mogłoby to ściągnąć na ciebie podejrzenie. Co innego, gdyby Charles mnie zdradził. Mogłabyś udawać, że cię oszukałem, podobnie jak innych.

- Nie mogłabym! - Łzy trysnęły z jej oczu. Brak snu i napięcie ostatnich godzin nagle dały o sobie znać. - Naprawdę nie mogłabym tego zrobić!

- Mogłabyś, a nawet byś musiała. Och, kochanie, nie płacz...

To słowo wymknęło mu się całkiem bezwiednie. Wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie. Chciał ją tylko pocieszyć, lecz kiedy dotknął palcami jej dłoni, poczuł, że krew zaczyna mu się burzyć w żyłach. Chryste, jak on jej pragnął! Nie powinien, a jednak pragnął. To czysto fizyczne pożądanie łączyło się z pragnieniem, by chronić tę kobietę i uczynić szczęśliwą. Trzymał ją w ramionach, rozkoszując się miękkością jej włosów i wchłaniając subtelny zapach perfum.

Wiedział, że przekracza wszelkie możliwe granice, zastanawiając się równocześnie, czy ona o tym wie. Chyba tak, bo nagle odsunęła się od niego.

136 Janet Tanner

- Przepraszam... głupio się zachowałam. Taca... wylejesz zupę...
- Do diabła z zupą, to o ciebie się martwię. - Niedawne pożądanie sprawiło, że głos miał lekko schrypnięty. - Wiem, że to niełatwe i nie mogę ci obiecać, że będzie łatwiej. Po prostu musisz być dzielna.
- Staram się. Naprawdę się staram. Ale tak cholernie się boję. Do licha, zapomniałam chusteczki...
- Masz, weź moją. - Sięgnął do obszernego rękawa swetra, wyciągnął chustkę i delikatnie wytarł jej łzy z twarzy. - Lepiej ci?
- Tak. Wyglądam pewnie jak straszdyłło. Niemożliwe, pomyślał. A głośno powiedział:
- Nie, nie wyglądasz. A teraz już idź, bo ktoś zacznie się zastanawiać, gdzie jesteś.
- Już idę. Dasz sobie radę?
- Dam. Ale przyjdź przed kolacją to pomożesz mi umocować temblak.
- Oczywiście. Choć nadal nie jestem pewna, czy to dobry pomysł.
- Pamiętaj, nie daj się zbić z tropu. A teraz idź już.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi, oparł się o poduszkę i zamknął oczy, zastanawiając się, co powinien teraz zrobić. Powinien był odejść, kiedy tylko zdał sobie sprawę ze swoich uczuć do Kathryn, lecz tego nie zrobił. Okoliczności zwróciły się przeciwko niemu i teraz było już za późno. Zależało mu na niej bardziej, niż mógł sobie wyobrazić. Był to fakt, z którym należało się pogodzić. Musiał jedynie jakoś sobie z nim poradzić.

Rozdział jedenasty

Mamusi, mamusi, daj mi swój żeton! Zobacz, znowu wygrałem! Guy przeskoczył pionkiem na środek planszy, śmiejąc wesoło. Trzy partie i wszystkie on wygrał!

- Proszę, Guy, poddaję się. Jesteś mistrzem - oświadczyła Kathryn, uśmiechając się na widok radości syna, zdając sobie sprawę, że wygraną malec zawdzięcza nie tylko szczęściu, lecz również jej roztargnieniu. - Chyba dość już na dziś, nie sądzisz? Idź się teraz pobawić.

- Jeśli chcesz, mogę z tobą zagrać - odezwała się Bridget, która skończyła właśnie przygotowywać warzywa na kolację. - Zobaczymy, czy mnie też pokonasz.

Kathryn uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością i uciekła z kuchni. Nie zagrałaby następnej partii, nawet gdyby jej życie miało od tego zależeć. Zresztą może i zależało. Powinna się normalnie zachowywać i nie okazywać zdenerwowania. Teraz nie to było najtrudniejsze, lecz ta gra z Guyem. To prawda, że straszliwie bała się tego, co wkrótce miało nastąpić. Nie tylko dziś wieczorem, także w przyszłości. To prawdą trzęsła się ze strachu, że Charles może zacząć podejrzewać nauczyciela Guya. Tak, odchodziła od zmysłów na myśl o tym, co von Rheinhardt może zrobić w odwecie za zabicie dwóch swoich ludzi. Pomimo tych obaw, **na** przekór koszmarowi, który stał się rzeczywistością była bezgranicznie, niewyobrażalnie szczęśliwa. Gdzieś głęboko w jej wnętrzu potężniało szalone uczucie nadziei, trudne do wytłumaczenia nawet w normalnych warunkach, a w obecnej sytuacji wprost absurdalne. Nie mogła jednak zaprzeczyć jego istnieniu; wywołało **ją** to, co zdarzyło się między **nią** i Paulem.

Janet Tanner

Czuła, że rośnie w niej równie szalone co niebezpieczne uczucie do tego człowieka. Nie doświadczyła czegoś takiego od chwili, kiedy poznała Chartesa, i zdążyła już zapomnieć, jaki to może być potężny ładunek emocji. To tak jakby wypić zbyt szybko kieliszek wybornej brandy teścia. Kręciło jej się w głowie i znów czuła się młodą dziewczyną, a wszelkie niedostatki, gorycz i bezradność, których przez ten rok doświadczyła, strach o to, co przyniesie przyszłość, wszystko to bladło wobec tego uczucia. Była zakochana. Nie mogła temu zaprzeczyć. Ten człowiek na górze ponownie obudził ją do życia i tylko to się liczyło.

O piątej poszła do jego pokoju. Było jeszcze zbyt wcześnie, by szykować się do kolacji, ale wolała pomóc Paulowi umocować temblak, zanim Charles wróci z destyiarni. Nie chciała, aby zaczął coś podejrzewać i zastanawiać się, po co idzie do pokoju Paula, a przede wszystkim nie chciała czekać ani minuty dłużej, by go ponownie zobaczyć.

W zamku panowała cisza. Guy był w kuchni i pił herbatę pod okiem Bridget. Kathryn zapukała do drzwi pokoju Paula, nagle onieśmielona.

- Proszę.

Na dźwięk jego głosu serce zaczęło jej mocniej bić. Otworzyła drzwi.

Stał przy łóżku częściowo przebrany już do kolacji. Sweter i sztruksowe spodnie zmienił na parę czarnych spodni i białą koszulę, rozpiętą jeszcze pod szyją; rękaw opinał obandażowane ramię. Czynności te najwidoczniej sprawiły mu ból, bo twarz miał bladą. Mimo to uśmiechnął się, czym wprowadził ją w zachwyty.

- Witaj.

- Witaj. Jak się czujesz?

- Lepiej nie pytaj. Jestem pewny, że nie chciałabyś wiedzieć.

Ależ tak, pomyślała. Chcę wiedzieć o tobie wszystko. Głośno zaś powiedziała:

- Przyniosłam szalik. Mogę zrobić z niego temblak, jeśli nadal chcesz przez to przejść,

- Muszę. Wiesz już może, czy będziemy mieli przyjemność gościć von Rheinhardta?

- Nie wiem, ale to bardzo prawdopodobne. Zazwyczaj nie omija sposobności, by zjeść z nami kolację. To kulturalny człowiek, czego nie można

RAJSKIE DZIEDZICTWO

139

powiedzieć o większości jego współziomków. Myślę, że lubi nasze towarzystwo.

- Twoje na pewno - rzucił oschle Paul. - Widziałem, jak na ciebie patrzy,

- Nie bądź śmieszny! Nienawidzę tego człowieka i on o tym wie.

- Może to dodaje tylko pikanterii całej sprawie. Poza tym jesteś niezwykle atrakcyjną kobietą.

Poczuła, że się czerwieni, i szybko zmieniła temat.

- Co chcesz zrobić z tym ramieniem?

- Najpierw sprawdzę, czy mogę włożyć rękaw marynarki na bandaż. Marynarka wisiała na poręczy łóżka. Z trudem powstrzymała się, by nie zanurzyć w niej twarzy.

- Pozwól, że ci pomogę. Najpierw lewa ręka.

Wsunęła rękaw na chore ramię, starając się go nie urazić, lecz bandaż na to nie pozwolił. Paul zaklął pod nosem z rozczarowania i bólu.

- Trzeba będzie obciąć kawałek bandaża.

- A jak rana zacznie znowu krwawić?

- Nie zacznie, jeśli będę trzymał rękę na temblaku. Przecież nie mogę zejść na kolację w swetrze.

- Dobrze. Pójdę po nożyczki. Ale nie próbuj robić tego sam. Pozwól, że ja się tym zajmę.

Po kilku minutach wróciła z nożycami krawieckimi. Podwinęła rękaw koszuli, odpięła agrafki przytrzymujące bandaż i zaczęła go odwijać. Doktor bardzo starannie zrobił opatrunek. Po chwili bandaż był znacznie cieńszy.

- Spróbuj teraz włożyć rękaw.

Pochyliła się nieco, usiłując dobrze przypiąć agrafki i w tym momencie poczuła, że Paul obejmuje ją w talii. Znieruchomiała, serce zaczęło walić jak szalone; mimo to opanowała się i dokończyła pracę.

- Spróbuj teraz.

Uniosła głowę i napotkała jego wzrok. Patrzył na nią bez słowa i to spojrzenie powiedziało jej wszystko.

- Paul... - zaczęła, lecz zabrakło jej głosu.

Przyciągnął ją do siebie i wolno się ku niej pochylał. Poczuła, że coś ściska ją w gardle. Nie mogła złapać oddechu. Jego twarz była teraz tak blisko, że straciła ostrość. Mimo to widziała każdą zmarszczkę, każde zagłębienie. Wiedziała, że powinna się odsunąć, przerwać to, lecz nie była w stanie. Stała jak zahipnotyzowana, wciąż trzymając ostrożnie

140 Janet Tanner

zabandażowane ramię, i nagle poczuła pierwszy delikatny dotyk jego warg na swoich. Było to zaledwie muśnięcie, subtelna pieśczoła, lecz rozpałała w niej płomień. Stała nieruchomo, mając wrażenie, że oto znalazła się w jakiejś oazie spokoju, podczas gdy wokół szalała burza namiętności. Wydawało jej się, że zawisa gdzieś w przestrzeni, wszędzie świecą gwiazdy, a strach i napięcie towarzyszące jej przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny stały się nagle czarnym cieniem na odległej ziemi. W tym momencie Paul uniósł głowę, a ona miała ochotę krzyczeć z rozpacz, po czym przywarł do jej ust z siłą i namiętnością, a ona rozchyliła wargi, oddając mu pocałunek z równym żarem. Kiedy wreszcie oderwał się od niej, nie mogła oddychać i drżała jak w febrze, przez chwilę nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, gdzie jest.

- Miałem na to ochotę od dawna, a właściwie od kiedy cię poznałem.

- Naprawdę?

- Tak. Pragnę cię, Kathryn.

- Ja też cię pragnę. - Jej szept był jak muśnięcie wiatru.

- Lecz nie czas teraz na to. Mamy do wykonania zadanie.

Tak. Miał rację, mimo to wciąż nie mogła się uspokoić. Jej ciało płonęło z pożądania, każdy nerw, każdy mięsień wyrwał się do niego, jakby przyciągał go potężny magnes. Pragnęła, żeby znów ją pocałował, pragnęła poczuć jego wargi na swoich, jego ręce na piersiach i między udami, jego ciało na swoim cieple i w nim. Nagle uświadomiła sobie, że pragnie tego bardziej, niż do tej pory pragnęła czegokolwiek w życiu. Jednocześnie wiedziała, że on ma rację - to nie czas i miejsce po temu.

Jak gdyby rozumiejąc i odpowiadając na jej pragnienia, pizytrzymał ją za brodę i spojrział głęboko w oczy.

- Kiedy to wszystko się skończy, Kathryn. Jeśli wyjdziemy z tego żywi. Ponownie ją pocałował, tym razem lekko, opanowując pożądanie siłą swej stalowej woli, która była tak istotną częścią jego osobowości. Tym razem posunął się za daleko. Pozwolił, aby górę wzięły osobiste pragnienia. To nie może się powtórzyć. Stanowczym, a zarazem brutalnym ruchem zarzucił na ramiona marynarkę i wsunął chorą rękę w rękaw. Drżącymi palcami starała się umocować mu temblak na szyi, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi, jak ktoś, kogo nagle wyrwano ze snu. Palce niezdarnie chwytaly materiał, lecz każdy dotyk wracał jej świadomość i na nowo zapalał iskrę życia, stwarzając jedynie pozory normalności, cienką warstewkę, pod którą szalała burza uczuć.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

153

- Doskonale - uśmiechnął się, kiedy skończyła. - Do zobaczenia wieczorem.

Dotknął palcem warg, po czym musnął nim jej usta.

- Bądź dzielna, Kathryn - powiedział.

Zanim nadeszła pora kolacji, nerwy Kathryn były napięte do ostatnich granic, a ona zastanawiała się, jak też zdoła przeżyć ten wieczór. Charles wrócił do domu i poinformował ją, że von Rheinhardt nadal nie potwierdził swego uczestnictwa w kolacji.

- Czy to znaczy, że nie przyjedzie, jak myślisz? - zapytała z nadzieją w głosie.

- To znaczy, że nie wiem - warknął. Był bardzo zdenerwowany i niepokój źle wpływał na jego samopoczucie. - Sądzę, że nadal jest zajęty śledztwem w sprawie śmierci swoich ludzi, co wcale mnie nie dziwi. Na jego miejscu postąpiłbym tak samo. Wszystko przestałoby się liczyć z wyjątkiem tej jednej sprawy.

- Nieprawda! - odparowała Kathryn. - Gdyby to twoich ludzi zastrzelono, martwiłbyś się, bo o nich dbasz. Von Rheinhardt zaś nie dba. Traktuje ten wypadek jako zniewagę wyrządzoną jemu osobiście, jego ojczyźnie i ośmieszający skuteczność działania jego ludzi. I chyba to jest najważniejsze. Nieskuteczność to dla nich najhaniebniejsza ze zbrodni.

- Na litość boską, Katrine - powiedział Charles ze znużeniem. - Czy ty nigdy nie dajesz za wygraną? Nawet gdy stawką jest życie rodziny?

Przeniknął ją lodowaty dreszcz.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Czyżby uważał, że ktoś z nas jest odpowiedzialny za to, co się stało?

- Nie wiem. Ale to potężny człowiek i dobrze, byś o tym nie zapomniała. Jak mogłabym zapomnieć? - pomyślała z goryczą. Ale może właśnie obowiązki zatrzymają go z dala od zamku. Modliła się o to gorąco.

Kiedy rodzina zaczęła się zbierać w salonie, nadal nie otrzymali żadnej wiadomości. Pierwszy przyszedł Christian, a po nim Kathryn i Charles. Czuli się nieco pewniej, wiedząc, że ma jeszcze jednego sojusznika.

- Jak tam ręka monsieur Curtisa? - zapytał z absolutną swobodą Christian, rzucając jej spojrzenie, które tylko ona rozumiała.

- Pewnie boli - odparła ostrożnie.

Janet Tanner

- Co się stało *monsieur* Curtisowi w rękę? - zapytał Guillaume, który w tej chwili wszedł do salonu w towarzystwie Louise.

- Spadł z roweru i zwichnął sobie nadgarstek. - W jej głosie brzmiało napięcie, lecz na szczęście uszło to uwagi teścia.

- Fatalna sprawa - powiedział, nalewając sherry i podając kieliszek żonie.

- Aż boję się myśleć, jakie to może mieć konsekwencje.

- Któż mógł być na tyle głupi, by zabijać niemieckich żołnierzy?

- zastanawiała się głośno Louise, popijając sherry. - To takie niebezpieczne. Lecz jak zwykle nie bardzo się tym przejmowała. Ona chyba nie ma

rozumu, pomyślała gniewnie Kathryn. Martwi się jedynie tym, że nie może pojechać do Paryża i obstałować sobie nowej garderoby, jak czyniła to każdego roku,

- Założę się, że to nikt z naszego okręgu - powiedział gniewnie Guillaume.

- Nasi ludzie są na to zbyt mądrzy.

- Zwłaszcza że mają z kogo brać przykład - mruknęła Louise.

- Pokładam nadzieję w Bogu, że von Rheinhardt znajdzie winnego. Jeśli nie, zapłacą za to niewinni ludzie.

W tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł Paul. Serce Kathryn przestało bić, częściowo ze zdenerwowania, a częściowo dlatego, że na jego widok poczuła ucisk w żołądku,

- Dobry wieczór - powiedział uprzejmie, - Mam nadzieję, że się nie spóźniłem. Nieco dłużej się dziś ubierałem,

- Słyszałem, że spadł pan z roweru - odezwał się Guillaume. - Jak to się stało?

Paula uratował od odpowiedzi szum zbliżającego się samochodu. Wszyscy popatrzyli w stronę okna. Światła reflektorów przecięły ciemność i przed zamek zajechał czarny sztabowy samochód.

- To von Rheinhardt. Jednak przyjechał - w nagłej ciszy zabrzmiał głos Charlesa.

Utto von Rheinhardt wysiadł z samochodu i wyprostował swoją szczupłą, strzelistą sylwetkę.

Przez chwilę spoglądał na zamek, rozkoszując się historyczną atmosferą jaka unosiła się nad tymi wiekowymi murami.

Co takiego było w wielkich budowlach, że go tak nieodparcie przyciągało i pobudzało do działania? To, co pasjonowało innych, na nim nie robiło żadnego wrażenia. Podległych mu ludzi traktował jak bezosobowe roboty,

RAJSKIE DZIEDZICTWO

143

potrzebne do wykonywania pracy. Karał z całą surowością jeśli choć w najmniejszym stopniu uchybili swoim obowiązkom. Francuzów traktował jak wrogów i w przeważającej części uważał za ludzi głupich i słabych, zasługujących jedynie na pogardę, chyba że przekraczali ustalone reguły. Wówczas egzekwował swoje prawa z zimną furią. Nawet rodzina mieszkająca w Niemczech niewiele dla niego znaczyła. Matka zmarła przed kilku laty, a z ojcem miał niewiele wspólnego. Otto senior był importerem kawy. Gatunki, które sprowadzał, pito w najwyższych kręgach w całych Niemczech i Austrii. Wciąż zajmowały go interesy i mało miał czasu na nawiązanie bliższych stosunków z synem, którego uważał za zimnego i okrutnego. Nawet kobiety w życiu von Rheinhardta nie były w stanie wykrzesać z niego głębszych uczuć - najwyżej pożądanie i poczucie dumy i satysfakcji z obecności pięknej damy u jego boku. Doskonałym przykładem na to była jego narzeczona Ingrid, która darzyła go bezgranicznym uwielbieniem. Choć nosiła na palcu jego pierścionek i cierpliwie czekała w ogarniętych wojną Niemczech, wciąż żyła w niepewności. Jej wielka miłość w niczym nie zmieniła charakteru narzeczonego, choć nigdy by się do tego nie przyznała, jak również do faktu, że kiedy w grę wchodził ludzie, von Rheinhardt nie wykazywał nawet cienia troski czy współczucia. Całą energię skupił na robieniu kariery, co mu się w zadziwiający sposób udawało. Piął się w górę w armii Trzeciej Rzeszy dzięki bezwzględności i determinacji, które nawet jego zwierzchników przerażały. Był twardy, zimny i bezlitosny. Tych, którzy mu się sprzeciwili, traktował jak uprzykrzone muchy, rozgniatając bez cienia litości, nic sobie nie robiąc z tego, że jest powszechnie nie lubiany. Nie, ludzie dla Otto von Rheinhardta nie mieli żadnego znaczenia. Liczyła się jedynie dominacja rasy aryjskiej i jego osobiste miejsce w nowym porządku. Było jednak coś, co robiło wrażenie na tym bezdusznym człowieku. Cenił sobie piękno, kulturę i tradycję historyczną. Swój dom kochał nie za wspomnienia związane ze szczęśliwym dzieciństwem, lecz za jego wartości estetyczne. Zamek de Savigny poruszał go w ten sam sposób. Zachwycił go przyblakły majestat budowli - czworokątnej, z wieżyczkami na rogach, dziedzińcem, fontanną i fosą która miała odeprzeć wszystkich najeźdźców prócz niego. W jego wnętrzach stale znajdował jakieś nowe zachwycające elementy. Podczas swoich wizyt pożerał głodnymi oczyma zgromadzone w nim skarby, doznając wzniosłych uczuć na widok pięknych obrazów i dzieł sztuki: sreber stołowych połyskujących w miękkim świetle lamp, delikatnie

Janet Tanner

zdobionej porcelany, przysadzistych posążków z brązu. Patrzył na nie pożądliwie i obiecywał sobie, że kiedy skończy z wojaczką i będzie miał własny dom, wypełni go takimi właśnie skarbami.

Rzadko odmawiał zaproszeniom barona i wciąż szukał pretekstów, by odwiedzać tę oazę kultury na obcej ziemi. Obawiał się, że dziś jednak nie będzie mógł przyjąć zaproszenia na kolację. Minionej nocy ktoś zastrzelił dwóch jego ludzi, wskutek czego spędził pracowity dzień na poszukiwaniach sprawcy tej zniszczenia, którą potraktował raczej jako zagrożenie dla swojej władzy na tym terenie niż jako tragedię podległych mu ludzi. Na szczęście dzięki jego wysiłkom sprawy zmierzały do satysfakcjonującego końca, tak że mimo wszystko mógł skorzystać z zaproszenia.

Okrutny uśmiech przemknął przez usta von Rheinhardta. Obciągnął mundur i wszedł do zamku. **Kiedy** Guillaume wprowadził von Rheinhardta do salonu, Kathryn przysunęła się bliżej Paula. Niedostrzegalnie uściskał jej rękę. Odwagi, mówił. Stój spokojnie, a wszystko będzie dobrze. Oby miał rację.

- Napije się pan? - zapytał Guillaume nowo przybyłego.

- Chętnie, dziękuję.

Wysoka elegancka sylwetka von Rheinhardta dominowała w salonie. Wszyscy patrzyli na niego z niemym pytaniem w oczach.

- Nie byliśmy pewni, czy pan przyjedzie - odezwał się Guillaume. - Przypuszczam, że **był to dla** pana pracowity dzień.

- Rzeczywiście, pracowity. - Von Rheinhardt pociągnął spory łyk z kieliszka. - Ale mój trud się opłacił. Dzięki dobrej robocie kilku moich oficerów udało nam się aresztować wrogiego agenta, który został zrzucony dziś w nocy. Znalezione go w domu pewnego rolnika, jakieś dwadzieścia kilometrów stąd.

Kathryn spojrzała na Paula. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć, mogła więc tylko zgadywać, co myśli.

- Skąd pan wie, że jest wrogim agentem? - zapytał Guillaume.

Von Rheinhardt wybuchnął śmiechem. Nie był to przyjemny śmiech, raczej coś pomiędzy szyderczym parsknięciem a chichotem.

- Miał przy sobie nie jeden, lecz dwa komplety dokumentów, oczywiście fałszywych. Wśród jego rzeczy znaleźliśmy również radiostację. To chyba wystarczający dowód, nie sądzi pan?

RAJSKIE DZIEDZICTWO

145

- Co się z nim stało? - zapytał Christian.

- Został oczywiście aresztowany. I ten chłop, który był na tyle głupi, by go ukrywać, także. Zapłacą za swoją głupotę. Lecz zanim ich zlikwidujemy, będziemy starali się dowiedzieć, czy jeszcze ktoś jest zamieszany w ten kryminalny proceder. Musimy wiedzieć, czy działali sami, czy byli również inni.

- Na pewno nie - powiedział Guillaume. - Trudno mi uwierzyć, żeby znalazło się wielu postępujących w sposób tak nieodpowiedzialny.

Von Rheinhardt opróżnił kieliszek.

- Mam taką nadzieję. Jak dotąd traktowałem wszystkich dobrze. Ale jeżeli ludzie zaczną się zachowywać jak zbuntowane dzieciaki, obawiam się, że trzeba będzie zdjąć im te różowe okulary.

Rzucił to lekkim tonem, lecz pod gładką fasadą kryło się bezlitosne okrucieństwo. Kathryn zadrżała gwałtownie.

- Jednym słowem jest pan zadowolony, że znalazł mordercę - powiedział Guillaume. - Mogę więc przypuszczać, że nie będzie żadnych akcji odwetowych na niewinnych ludziach?

- W tej chwili nie. Jeśli jednak coś takiego zdarzy się w przyszłości, będę musiał zastanowić się, czy nie dać im nauczki. Ale chyba nie będziemy teraz o tym rozmawiali, prawda? Miejmy nadzieję, że wypadek z ostatniej nocy był incydentalny. Nie chcę tu żadnych kłopotów, Chyba pan o tym wie.

- Oczywiście - odpowiedział Guillaume z przymilnym uśmiechem. - Zapraszam więc na kolację. Poprowadził von Rheinhardta do stołu, a za nimi poszli inni. Pochód zamykali Kathryn i Paul.

- Lepiej zacznijmy się modlić - szepnął jej Paul do ucha. Rzuciła mu pytające spojrzenie.

- Żeby zdążyli się zabić, zanim ich zmuszą do mówienia - wyszeptał.

Dla Kathryn ten wieczór minął jak nierealny sen. W głowie wciąż brzmiało echo słów Paula, a żołądek ścisnął się ze strachu. A jeśli ten rolnik zacznie mówić? Co się wówczas stanie z nimi wszystkimi? Co się stanie z Guyem? Miała ochotę poderwać się od stołu, pobiec na górę i chwycić go w objęcia. Wiedziała jednak, że nie może tego zrobić. Dla jego dobra, dla dobra ich wszystkich musiała ukryć swój strach i zachowywać się normalnie.

Janet Tanner

Później, w nocy, kiedy leżała przy boku Charlesa, zaczęły jej się przesuwac przed oczami przerażająco wyraźne portrety osób uczestniczących w kolacji. Von Rheinhardt - przystojny, nawet dystyngowany, z wyrazem triumfu w błękitnych oczach. Krótko ostrzyżone włosy wydawały się w świetle świec niemal białe; Guillaume, idealny gospodarz, zachowujący się z żartobliwą swobodą, bo katastrofa w jego mniemaniu została zażegnana; Louise - flirtująca z von Rheinardtem w sposób dystyngowany, a zarazem przyprawiający o mdłości; Christian - jowialny i pełen animuszu, grający chyba swoją życiową rolę. I Paul - opanowany, unikający bezpośrednich odpowiedzi na pytania o rękę, skrywający uczucia głęboko w swym nieprzeniknionym wnętrzu. Mogła się jedynie domyślać, co czuł: przerażenie, bo stracił nowego radiotelegrafistę, zanim jeszcze zdążył nadać pierwszy meldunek; niepokój wynikający z braku bliższych informacji na temat losu tego człowieka; obawę o siebie i o to, jaki powinien być jego następny ruch. Wobec tych wszystkich problemów na pewno nie znalazło się już miejsce dla niej i dla tego, co między nimi zaszło. Niepodobna, aby spojrzął teraz na nią i pamiętał o pocałunku, kiedy ma tyle ważnych spraw na głowie. Szaleństwem w takiej sytuacji było pragnąć, żeby tak się stało.

Popatrzyła na niego przez szerokość stołu i poczuła, jak serce jej topnieje. Podała mu chleb, poczuła dotknięcie jego palców na swoich i odniosła wrażenie, jakby przebiegł przez nią prąd. Nie kochał jej oczywiście, przecież było na to zbyt wcześnie. To, co do siebie czuli, było czymś w rodzaju przyciągania zrodzonego ze wspólnie dzielonego niebezpieczeństwa. Serce podpowiadało jej jednak, że kryło się za tym coś więcej.

„Kiedy to wszystko się skończy, Kathryn” - powiedział i choć nie dokończył zdania, wiedziała, co miał na myśli i zachowała te słowa w sercu jak najdroższy skarb. „Kiedy to się skończy...”

Ta nie wypowiedziana obietnica była dla niej jak latarnia rozjaśniająca mroczny świat. I choć nie przyćmiła strachu przed tym, co mogło ją czekać, zanim ten czas nadejdzie, jak również przed tym, co mogło stanąć na drodze do realizacji pragnień, to i tak ogrzewała serce i dodawała odwagi.

Dopiero po kilku dniach dowiedzieli się czegoś o losie aresztowanych. Do tego czasu żyli w oczekiwaniu przesyconym niewyobrażalnym lękiem, że ci ludzie zaczną mówić. Jeśli tak, to komórka, a nawet cały obwód rozpadnie się jak domek z kart. Wpadnie również Paul i prawdopodobnie Kathryn. Nie

RAJSKIE DZIEDZICTWO

147

miała teraz żadnych złudzeń. Mogła udawać za radą Paula, że o niczym nie wiedziała, ale z pewnością nie skruszyłoby to zimnego serca von Rheinhardta. Wiedział, że nienawidzi Niemców. Nigdy nie strata się nawet tego ukryć, a w dodatku była z pochodzenia Angielką. Uniknęła do tej pory kłopotów tylko dlatego, że była żoną Charlesa i synową Guillaume'a, lecz na nic by się to nie zdało, gdyby Paul został zdemaskowany.

Czekała więc ze stale rosnącym napięciem. Odurzenie i radość wywołane tym, co zaszło między nią a Paulem, dawno minęły, a na ich miejsce wkradł się zimny paraliżujący strach. Rozsądek jednak podpowiadał, że gdyby aresztowani zaczęli mówić, Paula dawno by już zabrano, a przynajmniej niektórych jego ludzi.

Trzy dni później Christian zdecydował się zaryzykować i zawiózł Paula do Perigueux na kontrolę ramienia. Doktor przekazał im kilka informacji. Jeden z mieszkańców wioski przyznał się podczas przesłuchania, że widział przejeżdżającą obok jego domu furgonetkę gospodarza wkrótce po tym, jak słyszano nadlatujący samolot. Gestapo przeszukało zagrodę rolnika i zastało w niej agenta z fałszywymi dokumentami, a radiostacja potwierdziła wcześniejsze podejrzenia. Agent a rolnika zabrano. Od tej pory słuch o nich zaginął.

- Czy nie możemy czegoś dla nich zrobić? - zapytała Kathryn, kiedy Paul jej o tym opowiedział. Serce jej się krajało na myśl o torturach, jakim ci dwaj mężczyźni byli prawdopodobnie poddawani.

- Niczego nie możemy zrobić - odparł Paul. - Są poza naszym zasięgiem. Kwatera von Rheinhardta jest równie dobrze strzeżona jak Fort Knox. Możemy mieć tylko nadzieję, że zdążą odebrać sobie życie, zanim tortury staną się nie do zniesienia. Jeśli nie, to cały obwód znajdzie się w niebezpieczeństwie,

- A czy nie znajdzie się w niebezpieczeństwie, jeśli im nie pomożemy?

- Nic nie możemy zrobić - powtórzył Paul twardo. - Pozostało nam jedynie cierpliwie czekać.

Tak więc czekali. Wydawało się, że bez końca.

Osobą która wreszcie położyła kres temu wyniszczającemu czekaniu, był sam von Rheinhardt. Przyjechał do zamku w niedzielę rano swoim wielkim czarnym samochodem służbowym.

Rodzina wróciła właśnie z kościoła, a Kathryn, która nigdy nie należała do religijnych, choć przeszła na katolicyzm poślubiając Charlesa, modliła się dziś wyjątkowo żarliwie.

Von Rheinhardt wszedł do salonu, gdzie wszyscy się zgromadzili, złapał

148 Janet Tanner

Guya i okręcił go wokół siebie, aż chłopiec zaczął piszczeć z uciechy. Kathryn miała ochotę wyrwać go z rąk tego człowieka, którego uważała za potwora.

- *A propos* - odezwał się, puszcżając wreszcie Guya. - Myślę, że ten epizod z wrogim agentem możemy uznać za zakończony.

- Dlaczego? Co się stało? - zapytał Guillaume.

- Popęłnił samobójstwo tej samej nocy, kiedy go aresztowaliśmy. Musiał mieć przy sobie truciznę.

- A ten gospodarz? - zapytał Christian.

- Niestety strażnicy zbyt ostro się z nim obeszli. Zmarł, zanim zmusili go do mówienia.

- Więc nie dowiedział się pan, czy ktoś jeszcze był w to zamieszany?

- Nie. Wielka szkoda. Myślę jednak, że jeżeli był taki ktoś, to dostał dobrą nauczkę - stwierdził von Rheinhardt ze spokojem. - Nie sądzę, by podobne kłopoty powtórzyły się w przyszłości, prawda?

Ulęę, jakiej przed chwilą doznała, przyćmił dreszcz strachu. Wydało się jej, że kiedy von Rheinhardt wypowiadał te słowa, patrzył prosto na nią.

Rozdział dwunasty

Wiosna przyszła do Charente nagle. Z dnia na dzień małe zielone pędy wystrzeliły w górę, pola zazieleniły się, a drzewa okryły kwieciami pod czystym błękitem nieba. Rzeki otoczone gęstym sitowiem wezbrały po zimowych opadach, a powietrze stało się przejrzyste i cieplejsze, nawet po zachodzie słońca.

W miarę jak mijały tygodnie, do zamku wróciło spokojne życie. We wsi nie powtórzyły się kolejne incydenty, tylko raz ktoś wymalował nocą antyhitlerowskie hasła na ścianie piekarni. Guillaume zebrał całą młodzież i z pewną surowością zwrócił jej uwagę na niewłaściwość takich czynów, po czym hasła zamalowano. Jedyne pas świeżej białej farby świadczył o tym, że w ogóle tam były.

Paul dyskretnie kontynuował prace nad tworzeniem konspiracyjnego obwodu. Otrzymał on nazwę „Marynarz” i składał się z pięciu mniejszych komórek, których szefowie kontaktowali się z Paulem za pośrednictwem Christiana pełniącego rolę kuriera. Mógł on bowiem poruszać się po całym terenie bez wzbudzania podejrzeń.

Londyn przysłał nowego człowieka w miejsce tragicznie zmarłego poprzednika i choć Paul nadal obwinał siebie za to, co się stało, starał się o tym nie myśleć. W czasie wojny, w kraju okupowanym przez wroga, takie rzeczy się zdarzały. Zamartwianie się było niepotrzebną stratą czasu i energii. Należało jedynie wyciągnąć wnioski z popełnionych błędów i kontynuować pracę. Nowy agent okazał się szybkim, inteligentnym i sprytnym człowiekiem. Przed wojną był muzykiem i palce, które niegdyś zręcznie szarpały struny gitary, teraz z równą gracją wystukiwały meldunki do Londynu. Nosił pseudonim Alain. Paul niespecjalnie go lubił, lecz w tym wypadku wzajemne sympatie należało odsunąć na bok. Alain był dobry w tym, co robił i tylko to się liczyło.

Janet Tanner

Ramię ładnie się goiło, dzięki doktorowi z Perigueux i Kathryn, która zmieniała mu często opatrunki, obawiając się zakażenia.

Paul zdawał sobie sprawę, że wiele zawdzięcza losowi. Gdyby coś poszło nie tak, musiałby prosić Londyn o zabranie go z Francji, a w najgorszym wypadku straciłby życie. Szczęście zawsze miało znaczny wpływ na powodzenie lub na niepowodzenie misji każdego agenta. Jak dotąd mu sprzyjało. Miał tylko nadzieję, że nie wykorzystał jeszcze całej przeznaczonej mu puli, bo wkrótce będzie go bardzo potrzebował. Przygotowywał bowiem akcję, która, jeśli się powiedzie, narobi szkopom niemałych kłopotów, ale wiąże się z pewnymi trudnościami i ryzykiem.

Któregoś majowego popołudnia, kiedy Guy był na spacerze z Bridget, Paul poprosił, by Kathryn przyszła do jego pokoju.

- Mam robotę do wykonania i lepiej będzie, jeśli zniknę na jakiś czas - powiedział.

Nie zapytała dlaczego, wiedziała bowiem, że Paul rozmyślnie odsuwa działalność „Marynarza” jak najdalej od zamku. Gdyby coś poszło źle, nie chciał, aby była w to wmieszana. Wzruszała ją ta troska, lecz wcale nie ułatwiała sprawy. Już czuła, jak to będzie, kiedy on zniknie: zacznie żyć niepokojem i oczekiwaniem, zastanawiać się, co robi, niecierpliwie czekać na jego powrót, bojąc się, że go już nigdy nie zobaczy. Skoro zamierzał zniknąć na jakiś czas, znaczyło to, że będzie musiała czekać na niego o wiele dłużej niż zwykle i nie dowie się, czy akcja się powiodła, czy też wpadł w ręce Niemców. Wiedziała jednak, że jakiegokolwiek dyskusje na nic się tu nie zdadzą. Kathryn, która kwestionowała każdą decyzję Charlesa, nauczyła się, że postanowienia Paula są nieodwołalne.

- Dokąd tym razem wyjeżdżasz? - zapytała.

- Do Bordeaux, odwiedzić kolegę, z którym kiedyś wspólnie pracowałem. Wszystko obmyśliłem. Wsiądę do pociągu na wypadek, gdyby ktoś mnie obserwował, a potem, gdy upewnię się, że nikt mnie nie śledzi, wrócę. Nie obawiaj się. Nikt mnie nie zobaczy, a raczej nie rozpozna. Musisz tylko mnie kryć.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- W poniedziałek. Powinniśmy więc dziś wszystkich o tym poinformować. Nie chcę, aby wyglądało to na nagłą decyzję.

Kiwnęła głową. To znaczy, że zostały mu jeszcze cztery dni.

- Bądź ostrożny, dobrze?

- Naturalnie.

Stał przy oknie. Słońce przeświecające przez okiennice rzucało cienie na jego twarz i białą koszulę rozpiętą pod szyją i uwydatniało pokryte ciemnym

RAJSKIE DZIEDZICTWO

151

włosem ręce. Serce zaczęło jej bić mocniej, jak zawsze, kiedy na niego patrzyła, a teraz ze zdwojoną mocą, bowiem doszedł jeszcze lęk o niego.

- Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby coś ci się stało - powiedziała ochryłym z przejęcia głosem i była to szczerą prawdą.

Zobaczyła, jak jego twarz łagodnieje, maska samokontroli opada, odsłaniając ludzką istotę. W czasie minionych tygodni zdarzały się takie chwile jak ta, pełne czułości i wzajemnego zrozumienia, kiedy łącząca ich więź była niemal namacalna, kiedy ich dusze spotykały się, odsłaniając całą głębię ich uczucia. Takie chwile oddziaływały na nich silniej niż przypadkowe dotknięcia czy krótki uścisk ręki. Unikali jednak pocałunków, dotrzymując wzajemnej umowy i odkładając je na przyszłość, choć oboje wiedzieli, że może nigdy nie nadejść.

- Naprawdę tak myślę - dodała. - Nie zniosłabym tego, Paul.

- Zniosłabyś. - Powiedział to niskim, beznamiętnym głosem. Tylko oczy go zdradziły. - Gdyby coś mi się stało, powinnaś być szczególnie ostrożna, bo mogłabyś ściągnąć podejrzenie na innych członków rodziny.

Objęła się ramionami. Przez cienki materiał bawełnianej sukienki wyczuła sterczące żebra.

Ostatnio sporo straciła na wadze. Przyczyną były nie tylko ograniczone racje żywnościowe, lecz także ciągła walka nerwów.

- Nie wiem, czy byłabym w stanie to znieść. Czasami, nawet teraz, wydaje mi się, że już dłużej nie wytrzymam takiego życia. To ciągłe napięcie staje się nie do zniesienia. Powinnam do niego przywyknąć, tymczasem niepokój i strach za każdym razem przybierają na sile.

Zmarszczył lekko brwi.

- Kathryn... chyba nie masz zamiaru się załamać? Jeśli jest aż tak źle, może powinienem odejść.

- Nie! - zaprotestowała. - Nie możesz tego zrobić.

- W tej sytuacji byłoby to najlepsze wyjście. Wszystko zależy od tego, czy jesteś w stanie ciągnąć tę grę. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Jeśli nerwy ci nie wytrzymają, będzie to oznaczać koniec dla nas wszystkich.

Odetchnęła głęboko, starając się uspokoić. Oczywiście miał rację, jak zwykle zresztą. Ale myśli o tym, że wkrótce wyjedzie i może go więcej nie zobaczyć, była nawet gorsza od tego ciągłego niepokoju.

- Dam sobie radę - powiedziała. - Pewnie jestem twardsza, niż mi się wydaje. Po prostu strasznie się o ciebie boję.

- Chodź tutaj - powiedział.

Spojrzała na niego zaskoczona. Pomimo to, co do niego czuła, nie była w stanie pozbyć się naturalnej rezerwy.

Janet Tanner

- Chodź tutaj - powtórzył.

Pragnienie, by znaleźć się w jego ramionach, pokonało wreszcie narzucony sobie dystans. Podeszła do niego.

Przytulił ją i zaczął masować ramiona, dopóki nie poczuł, że się rozluźnia, a potem, kiedy krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach, wzmocnił uścisk. Jej włosy pachniały słodko. Ukrył w nich twarz, rozkoszując się ich miękkością. Dotyk miękkich piersi rozpałił w nim płomień. Przesunął dłońmi wzdłuż jej pleców ku talii tak wąskiej, że mógłby ją objąć dwiema rękami i dalej ku łagodnej, niezwykle kobiecej krągłości bioder. Jej ciało było takie delikatne, ciepłe i uległe, że utracił wszelką zdolność rozsądnego myślenia.

Poruszyła się lekko w jego ramionach, wygięła szyję i przylgnęła do niego mocniej. Zaczął całować jej czoło tuż u nasady włosów, potem nos i na końcu usta. Były wilgotne, lekko drżące od wstrzymywanej przez tygodnie i miesiące tęsknoty.

- Kathryn! - wyszeptał tuż przy jej wargach, po czym rozsunął je językiem i wniknął w głąb.

Przywarła teraz do niego całym ciałem. Jego dłoń dotknęła piersi, uciskała ją lekko i pieściła, po czym palce odnalazły guziki sukienki, rozpięły je i wsunęły się do środka. Ciało miała lekko wilgotne od popołudniowego upału, a sutki twarde i nabrzmięte pod jego dotykiem.

Pożądał jej teraz z gwałtownością, która stłumiła głos wewnętrznego rozsądku. Ogień, jaki w nim płonął, sprawił, że mógł jedynie myśleć o rym, jak bardzo jej pragnie. Gerie, żona, którą uwielbiał, mała córeczka Beatrice, nienawiść do hitlerowców, praca konspiracyjna, niebezpieczne zadanie, jakie go czekało, wszystko to odpłynęło gdzieś na krańce świadomości. Liczyła się jedynie Kathryn i rozpalająca go namiętność.

Jej popołudniowa suknia nie miała paska. Przesunął dłoń w dół, na miękki brzuch i wydatne kości miednicy. Pomimo panującego upału miała na sobie pończochy - obowiązkowy atrybut damy z zamku - i pas do podwiązek znaczący ciaśniejszą linię na brzuchu. Dotknął jej ud, po czym jego palce odnalazły jedwabistą kępkę włosów na wzgórku łonowym. W tym momencie Paul zaczął delikatnie przesuwając Kathryn w stronę łóżka. I nagle, z gwałtownością, która wywołała w nim szok, poczuł, że Kathryn sztywnieje.

- Nie!

Uniósł lekko głowę i spojrzał na nią. Jej twarz jakby zastygła i dostrzegł, że jest bliska łez.

- Przecież pragniemy się, Kathryn - wyszeptał.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

153

- Wiem, ale nie wolno nam. Zawarliśmy umowę, zapomniałeś? - Odsunęła się od niego. - Zawarliśmy umowę! - powtórzyła z uporem.

- W porządku, zawarliśmy umowę - powiedział nieco ochryplym głosem. Pożądanie domagające się spełnienia wywołało w nim irytację. Nie potrafił pojąć, jak mogła być taka chętna i oddana, a za chwilę zimna i odpychająca, tak jakby ktoś przekręcił wyłącznik i zgasił światło. - Jeszcze przed chwilą jakoś o niej nie pamiętałaś.

- Paul, nie bądź taki, proszę... -Niby jaki?

- Zły. Jesteś na mnie zły. Przepraszam, wybacz mi... Westchnął, przesunął ręką po włosach i odwrócił się od niej.

- Na litość boską to nie ty powinnaś przeproszać! To wszystko moja wina. To ja złamałem reguły.

Zapięła sukienkę i zrobiła krok w jego stronę. Czuł, że stoi za nim, czuł, że wyciąga rękę, mimo to z uporem wpatrywał się w okno. Nie dlatego, że nie chciał na nią spojrzeć czy jej dotknąć, ale dlatego, że zbyt mocno tego pragnął.

- Pójdę już - powiedziała cicho po chwili.

- Tak... oczywiście. Zobaczymy się na kolacji.

Posłyszał, jak drzwi się zamknęły i zaklął pod nosem. Co u diabła w niego wstąpiło? Miała rację. Przecież zawarli umowę. Ale tak bardzo jej pragnął, że wszelkie argumenty przestały mieć znaczenie. Sądził, że ona czuje to samo. Najwidoczniej się pomylił, Och, do diabła z tym. Najlepiej zrobi zapominając o całym zajściu i koncentrując się na pracy. Wiedział jednak, że nie będzie to łatwe. Trawiący go ogień jedynie przygasił i nie sposób go było ugasić. Pożądał Kathryn, pragnął jej tak gorąco, że żadne argumenty nie docierały do jego świadomości, i nic nie było w stanie tego zmienić.

Kathryn zamknęła drzwi i oparła się o nie na moment. Cała się trzęsła i z trudem powstrzymywała łzy. Dobry Boże, jak ona go kochała! Wystarczyło tylko pozwolić mu, a leżałaby w jego ramionach. Pragnęła go aż do bólu, już sam jego widok wywoływał w niej dreszcz pożądania. Tak bardzo go kochać, a móc to okazać jedynie spojrzeniem, czuć go tak blisko siebie i nie móc go dotknąć. Miała wrażenie, że oszaleje, że przepelniająca ją miłość i tęsknota stanie się nie do zniesienia. W ciągu tych cudownych minut, jakie przeżyła w jego pokoju, wszystko wydawało się możliwe.

A jednak nie było. Sądenie, że jest inaczej, równało się szaleństwu i nie

166 Janet Tanner

tylko dlatego, że kolidowało z pracą Paula. To była jedynie niewielka część wierzchołka góry lodowej. Obdarzona wrodzonym poczuciem lojalności i umiejętnością odróżniania, co jest dobre, a co złe, Kathryn traktowała instytucję małżeństwa bardzo poważnie. Bez względu na to, co czuła do Paula, jak desperacko go pragnęła, wciąż pozostawała żoną Charlesa. Możliwe, że ich małżeństwo stało się fikcją, a Charles nie był i nigdy już nie będzie człowiekiem, za którego go kiedyś uważała, lecz miała względem niego pewne obowiązki do spełnienia. Przysięgała mu wierność i ta przysięga obejmowała również Guya. Guy był jej synem, a Charles ojcem. Jego miejsce było tu, w Savtigny. Jako matka i żona miała obowiązek traktować rodzinę jak świętość. Tymczasem jej serce dopuściło się jawnej zdrady. Nie może pozwolić, by zrobiło to samo jej ciało.

Wyprostowała się, przyglądała włosy i sprawdziła, czy wszystkie guziki przy sukience są właściwie zapięte. Potem ruszyła korytarzem do swego pokoju.

- A więc zdecydowałaś się wreszcie przyjść - postyszała, kiedy otworzyła drzwi.

Skoczyła jak oparzona. W drzwiach do ubieralni stał Charles. Zdażył już zdjąć marynarkę od lekkiego tweedowego garnituru, który zwykle wkładał do pracy. Włosy miał rozwichrzony, jakby przeczesał je palcami, a na twarzy wyraz z trudem hamowanej wściekłości.

- Nie rozumiem - odpowiedziała. Znowu zaczęła drżeć na całym ciele.

- Nie graj tu przede mną niewiniątka, Katrine. Przecież byłaś u niego, u Paula Curtisa. Kochał się z tobą?

Fakt, że niewiele brakowało, by tak właśnie było, wywołał rumieniec na jej twarzy.

- Nie! - krzyknęła. - Nie kochał się ze mną!

- Kłamiesz! - Jego głos brzmiał ostro jak trzask bicia. - Masz to wypisane na twarzy. Jak długo już przyprawiasz mi rogi, Katrine? Jak długo, no powiedz?

- Już ci mówiłam, że to nieprawda!

- Nie wierzę ci. Możliwe, że był twoim kochankiem jeszcze w Szwajcarii, zanim się poznaliśmy. Właśnie dlatego go tu sprowadziłaś, co? Nie mogliście bez siebie wytrzymać.

- Nieprawda! - Chociaż to nowe, gwałtowne zachowanie Charlesa zaskoczyło ją i przeraziło, poczuła jednocześnie coś na kształt ulgi. Lepiej, żeby tak o niej myślał, niż żeby odkrył prawdę.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

155

- Nic dziwnego, że nie pozwalasz mi się tknąć - powiedział z goryczą w głosie. - Przez cały czas zachowujesz się jak jakaś cholerna dziewica, tymczasem twój kochanek czeka w pokoju obok. Cóż ze mnie za głupiec! Chodziłem do destylarni, zostawiając was samych... To ci właśnie odpowiada, co?

- Powtarzam po raz ostatni, Charles, on nie jest moim kochankiem!

- Akurat! - warknął wściekle.

- Skoro nie chcesz mi uwierzyć, to nie - powiedziała, próbując odzyskać kontrolę nad sytuacją. - Pewne teraz go wyrzucisz?

- I pozwolę, by rodzina dowiedziała się, na jakiego głupca wyszedłem? Nie ma mowy. Niech zostanie. Ale parę rzeczy się zmieni.

- Doprawdy? - Poczwała, jak budzi się w niej pogarda dla niego. Bardziej zależało mu na opinii ojca niż na upewnieniu się, czy rzeczywiście dopuściła się zdrady. Inny mężczyzna, podejrzewając, że jego żona ma romans, rzuciłby się na jej kochankę z pięściami i zrobiłby piekło każdemu, kto by coś na ten temat wiedział. Ale nie Charles. Dla niego liczyły się jedynie pozory i zachowanie twarzy. Inny na jego miejscu wyrzuciłby Paula z domu. Zaczęła wątpić, czy on w ogóle jest prawdziwym mężczyzną.

- A więc jakież to zmiany masz zamiar wprowadzić? - zapytała. Połyszał drwinę w jej głosie. A więc to tak. Jeszcze zobaczymy, kto będzie górą. Zmarszczył brwi i zacisnął usta.

- Dobrze, powiem ci. Przede wszystkim, *ma cherie*, zaczniesz znowu wypełniać swoje powinności małżeńskie. Chyba rozumiesz, co to znaczy?

Poczwała, jak wilgotnieją jej dłonie. Zacisnęła je w pięści tak mocno, że paznokcie wpiły się w skórę.

- A jeśli odmówię?

- Nie odmówisz, Katrine. Nie pozwolę ci na to.

- Wyjdiesz na głupca, kiedy zacznę krzyczeć.

- Przeciwnie, to ty wyjdiesz na idiotkę. Któż to słyszał, by żona odmawiała mężowi praw małżeńskich. Poza tym wystraszyłabyś Guya. Chyba tego nie chcesz?

- Nie odważysz się zmusić mnie do tego! - rzuciła zuchwale, choć czuła się niepewnie. Umyslnie unikała jego wzroku.

- Dlaczego nie, Katrine? - Uśmiechnął się, lecz nie był to miły uśmiech. Po prostu skrzywienie warg. - Długo byłem cierpliwy, zbyt długo. Ale koniec z tym. Najwyższy czas na małą praktykę.

Janet Tanner

- Teraz? Chyba nie mówisz poważnie? - Mimowolnie cofnęła się o krok. Zerwał z siebie koszulę. Zobaczyła, jak pierś mu faluje.

- Dlaczego nie? Och, ty zapewne masz na ten temat inne zdanie, bo przed chwilą rozstałaś się z kochankiem. Ale dla mnie to najlepszy moment. Jeśli chcesz wiedzieć, to fakt, że z nim byłaś, wpłynął na mnie pobudzająco.

Podszedł do niej i jednym ruchem rozerwał wszystkie guziki w sukience.

- Zostaw! - Próbowała naciągnąć ją na siebie, czując wzbierające mdłości na myśl, że Charles będzie jej dotykał w miejscach, które tak niedawno pieściły dłonie Paula. Bała się jednocześnie, że Charles to odkryje.

- Rozbieraj się!

- Nie!

- Skoro nie chcesz, to ja to zrobię. - Jednym szarpnięciem ściągnął w dół sukienkę, po czym pchnął Kathryn na łóżko.

- Charles, proszę... - Próbowała się podnieść, ale przytrzymał ją z siłą o którą nawet go nie posądzała. Jedną ręką złapał za gardło, a drugą zaczął zrywać z niej i z siebie ubranie.

- Jesteś moją żoną! - rzucił chrapliwie. - Nie zapominaj o tym. Wstrząsnął nią cichy szloch i choć miała ochotę krzyczeć, nie odważyła się.

Pamiętała, co mówił o Guyu, poza tym bała się, że krzyki może usłyszeć Paul i zechce przybiec na pomoc. Gdyby zobaczył, do czego zmusza ją Charles, mogłoby się to skończyć dla nich wszystkich katastrofą. Mimo to próbowała walczyć: drapała, kopała i szarpała głową na boki. Wszystko na próżno. Był od niej silniejszy. Unieruchomił jej ręce nad głową i kolanem rozsunał nogi. Szalejąca w nim furia spowodowała wyjątkowo silną erekcję. Wdarł się w nią z taką siłą że mimowolnie krzyknęła, choć obiecywała sobie, że będzie milczeć. Jego usta natychmiast stłumiły ten krzyk. Wpił się w jej wargi i poruszał się coraz szybciej. Miała wrażenie, że trwa to wieki, a w rzeczywistości trwało zaledwie parę minut. Kiedy było po wszystkim, zsunął się z niej ciężko dysząc.

Leżała nieruchomo, zbyt wzburzona, by płakać i wciąż nie mogąc uwierzyć, że to zrobił. Nie mogła jednak zaprzeczyć dowodom: bolało ją gardło w miejscu, gdzie ją trzymał, w kroczu czuła pulsujący ból, a na udach lepka wilgoć.

Sprawca tego wszystkiego usiadł teraz i spojrzał na nią z wyrazem triumfu zmieszanego z nienawiścią.

- Nieźle jak na pierwszy raz - stwierdził, zapinając spodnie.

Kathryn również się podniosła, próbując okryć się resztkami podartego ubrania.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

169

- Mam nadzieję, że jesteś zadowolony - rzuciła z goryczą w głosie.

- Chwilowo tak. I zawsze tak będzie, jeśli ośmielisz się odmawiać mi moich praw.

- O, nie - stwierdziła zdecydowanie. - Pierwszy i ostatni raz wykorzystałeś mnie w ten sposób. Właśnie zabiłeś resztki uczucia, jakie miałam dla ciebie. Byłam ci wierna, czy chcesz w to wierzyć czy nie. Fakt, że jestem twoją żoną wciąż dla mnie coś znaczył. Po tym, co zrobiłeś, już nie.

Wpatrywał się w nią zaskoczony powagą w jej głosie i mocą z jaką to powiedziała, po raz pierwszy czując przypływ strachu.

- O czym ty mówisz?

- Jeśli jeszcze raz mnie dotkniesz, odejdę i zabiorę ze sobą Guya. I nie myśl, że zrobię to po cichu. Powiem twojemu ojcu, kim naprawdę jesteś i dlaczego nie mogę z tobą żyć. Mówię poważnie, Charles..., spróbuj tylko mnie tknąć, a przekonasz się.

Nie miał wątpliwości, że to robi. Nagle opuściła go cała pewność siebie. Poczł, jak chwyta go za gardło strach tak potężny, że ledwo mógł oddychać, a ciało ogarnia płomień palącego wstydu. Znów był małym chłopcem, który staje przed ojcem z powodu jakiegoś przewinienia i widzi w jego oczach wyrzut, a co gorsza - rozczarowanie. Zawsze rozczarowywał ojca, przez co jego niepewność pogłębiała się. Gdyby Guillaume dowiedział się o wszystkim, poczułby nie rozczarowanie, lecz odrazę. I wszyscy dowiedzieliby się, że zawiódł jako mężczyzna i mąż, bo Kathryn na pewno nikomu nie skapiłaby szczegółów. Zaczęliby nim gardzić. A największą pogardę okazałby Guillaume.

- Na litość boską ubierz się, kobieto! - warknął gniewnie. Kiedy jednak odwrócił się i ruszył do swego pokoju, miał wrażenie, że to on jest nagi.

Co się stało, Kathryn? - zapytał cicho Paul.

Było to wieczorem drugiego dnia. Kathryn wzięła swoją filiżankę z kawą i wyszła na zewnątrz, czując, że nie zniesie dłużej tej dusznej rodzinnej atmosfery. Usiadła na ławeczce z kutego żelaza stojącej przy trawniku i tak intensywnie zapatrzyła się w połyskujący światłem księżycowym park, że nie usłyszała zbliżających się kroków.

Uniosła wzrok. W świetle księżycy jego twarz wyglądała jak wykuta z brązu. Jej dusza uleciała ku niemu.

- Nic takiego - odpowiedziała.

170 Janet Tanner

- Jesteś taka cicha. Przez cały dzień prawie się nie odzywałaś, poprzedniego wieczoru również. Czy to z powodu tego, co zaszło między nami?

- Nie, oczywiście że nie.

- Nie chciałem cię zdenerwować. Tylko tak bardzo cię pragnę, Kathryn.

- Wiem. Ja też cię pragnę jak niczego na świecie...

I właśnie w tym tkwił cały szkopuł. Leżąc w wannie i zmywając z siebie ślady brutalnej napaści Charlesa, zastanawiała się nad sensem lojalności, która nie pozwoliła jej oddać się Paulowi. Może nie była dobrą żoną dla Charlesa, ale Bóg świadkiem, że próbowała, a przynajmniej była mu wierna. I po co? Zeby mógł ją wykorzystać jak zwykłą dziwkę, domagając się swych praw i egzekwując je w sposób uwłaczający wszelkiej miłości i oddaniu?

Z każdą chwilą rosła w niej złość, która zachwiała postanowieniem, by dochować mu wierności. Dotąd starała się go przestrzegać, choć zniknęły miłość i szacunek, Teraz zastanawiała się, jaką wartość miało jej poświęcenie. Powiedziała mu, że zniszczył resztki uczucia, jakie miała dla niego, lecz było to coś więcej. Zniszczył również lojalność. Teraz już nic nie była mu winna, zabrał bowiem nawet to, czego nie była w stanie mu dać.

Skoro on sądzi, że Paul jest jej kochankiem, dlaczego nie miałyby tak być? - pomyślała gniewnie i ta myśl podnieciła ją i uspokoiła.

Dlaczego nie miałyby się kochać z Paulem? To jedyny sposób, by wymazać z duszy i ciała upokorzenie, jakiego doznała. Kochała Paula i pragnęła go. Za trzy dni miał wyjechać na spotkanie z Bóg wie jakim niebezpieczeństwem, z którego mógł nigdy nie powrócić. Fakt, że ten aspekt miłości na zawsze pozostałby dla niej nie znany, był czymś trudnym do zniesienia. Jednak pomimo zmian, jakie zaszły w jej sercu, wewnętrzne opory były wciąż silne. Przecież nie może tak po prostu pójść do niego i powiedzieć: „Paul, zmieniłam zdanie”. Wiedziała, że stoi nad brzegiem przepaści. Jeden krok i nie będzie już odwrotu.

Jednego tylko była pewna. Paul nie może się dowiedzieć, co Charles jej zrobił. To dotyczyło wyłącznie stosunków między mężem i żoną. Nie należało w nie wciągać osób trzecich, bez względu na to, jak głęboko się je kocha. Tu również miała wątpliwości. Czy zdoła ukryć przed Paulem dowody występku Charlesa? Czy ciało jej nie zdradzi?

Teraz jednak, kiedy siedziała obok niego w świetle księżycy, wszystkie dręczące ją rozterki wydały się mało ważne. Pragnęła go i on jej pragnął. Za dwa dni wyjeżdża, być może na zawsze. Dotknęła palcami jego uda, wyczuwając przez szorstki materiał twarde mięśnie.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

159

- Bardzo się o ciebie boję, Paul - powiedziała.
 - Nie powinnaś. Wykonuję przecież tylko swoje zadanie.
 - Wiem. Wszyscy powinni być ci za to wdzięczni. Może pewnego dnia będą. A właściwie jestem tego pewna. Myślałam jednak, że gdybyś nie wrócił...
 - Nie mów tak. Wrócę.
 - Ale gdybyś nie wrócił... ty i ja... my nigdy...
 - To prawda. Wielka z ciebie filozofka, Kathryn - stwierdził z wisielczym humorem.
 - Nie żartuj! - zaprotestowała gniewnie. - Usiłuję tylko powiedzieć, że... W tym momencie rozległy się kroki na żwirze. To Christian zbliżał się w ich stronę.
 - Czekaj na mnie dziś wieczorem - szepnęła. - Przyjdę do twojego pokoju. Dostrzegła zdziwienie na jego twarzy. Nie mogła jednak nic powiedzieć, bo Christian był już blisko,
- Kathryn** obawiała się, podobnie jak poprzedniej nocy, że Charles może domagać się swoich małżeńskich praw, lecz nic takiego nie nastąpiło. Zachowywał się wręcz przyjaźnie, trochę jak małe dziecko, które było niegrzeczne i chce się teraz przypocholebić, lecz ona potraktowała go z należytych chłodem. Wkrótce zachrapał rozgłośnię, jak ktoś, kto wypił zbyt dużo wina i brandy. Będzie mocno spał, pomyślała.
- Otworzyła cicho drzwi i obejrzała się. Nawet nie drgnął. Wymknęła się na korytarz. Noc była cicha i ciepła. Przez otwarte okna wpadały do środka wiosenne aromaty, łącząc się z nikłym zapachem czosnku, jaki pozostał po kolacji. Przemknęła bezszelestnie korytarzem do pokoju Paula. Drzwi były otwarte. Pchnęła je i weszła do środka.
- Przyszłaś więc.
- Stał przy oknie, wciąż ubrany; zdjął jedynie marynarkę.
- Tak - szepnęła.
- Przeszedł przez pokój i wziął ją w ramiona. Pokrywał pocałunkami jej włosy, twarz i usta. Ukryła twarz na jego piersi, czując, jak włosy łaskoczą jej policzki, i wchłaniając zapach męskiego ciała i mydła.
- Dlaczego zmieniłaś zdanie? - zapytał cicho. Opanowała chęć zwierzenia mu się ze wszystkiego.
 - Jakie to ma znaczenie? Po prostu jestem.
 - I tym razem nie powiesz nie?

Janet Tanner

- Nie.

- To znaczy nie powiesz nie?

- Tak... nie... Chcę się z tobą kochać, Paul,

- Chodźmy więc do łóżka.

Rozwiązał pasek kimona i zsunął je z ramion Kathryn. W świetle księżyca wpadającego przez okno jej ciało było białe i gładkie jak aksamit. Odsunął ją od siebie i patrzył długo, upajając się jej widokiem,

- Jesteś piękna, Kathryn,

Jego dłonie wolno przesunęły się po jej piersiach, talii, łagodnie zaokrąglonych biodrach i udach. Drżała lekko, opierając mu dłonie na ramionach, wyczuwając twarde mięśnie pod cienką bawełną. Milczała, nie chcąc zepsuć uroku chwili. Jej ręce powędrowały wolno ku guzikom koszuli, rozpięły je, po czym dotknęły nagiej piersi. Przytuliła się do niego rozkoszując się dotykiem jego skóry na swoim ciele, gorącym i wilgotnym. Niespiesznie rozpięła mu spodnie. Kiedy przylgnęli do siebie nadzy, a ona poczuła napierającą na nią męskość, wewnętrzne drżenie zmieniło się w palące pożądanie. Powstrzymali się jednak. Tak długo czekali na tę chwilę, że każdy gwałtowniejszy ruch naruszyłby cudowną harmonię. Możliwe, że to był ich pierwszy i ostatni raz. Niech więc trwa bez końca, bo i tak będzie zbyt krótki.

Kiedy oczekiwanie stało się trudne do zniesienia, wziął ją na ręce, zaniósł do łóżka i zaczął obsypywać pocałunkami. Wygięła się zmysłowo, czując, jak każdy cal jej ciała budzi się do życia pod dotknięciem jego warg, jak gdyby wszystkie sekretne miejsca były połączone jedwabistymi nićmi z najczulszym punktem jej wnętrza. W nabrzmiątych piersiach krążyły ożywcze prądy, a uda wydawały się pełne tysiąca nerwowych zakończeń, nastrojonych na odbieranie najwyższej rozkoszy. Kiedy usta Paula dotknęły wrażliwego wzgórka między udami, jęknęła cicho, poruszając się lekko w rytm ruchu warg.

Pożądała go teraz tak dziko, że namiętność zmieniła się w płonącą kulę. Przyciągnęła go do siebie, otoczyła ramionami jego szyję, wtulając się mocno w gorące silne ciało. Wsunął język w jej usta i wszedł w nią gwałtownie. Miała wrażenie, że świat się nagle zatrzymał, tak wielka przepelniała ją radość. Poruszali się jednym rytmem, najpierw wolno, jak fale rozpluwające się po piasku, potem coraz szybciej. Te fale porwały ją teraz ze sobą płynęła wraz z nimi, unosila się na ich grzbietach, wirowała coraz wyżej i wyżej, aż w końcu poczuła, że tonie w ich głębi. Dość, dość! - miała ochotę krzyknąć. To zbyt piękne! Za chwilę umrę w tym blasku!

Jednocześnie pragnęła, by ten stan trwał wiecznie, by fale przewalały się nad nią zmiatając po drodze

RAJSKIE DZIEDZICTWO

161

wszystko z wyjątkiem dwóch ciał splecionych ze sobą tak ściśle, jak potrafią to tylko ludzkie ciała, dwóch serc bijących jednym rytmem, dwóch dusz łączących się ze sobą w przeświadczeniu, że są sobie przeznaczone. 1 wreszcie przyszło spełnienie, upajające i słodkie, a z jej gardła wyrwał się krzyk i szloch jednocześnie, bo niewyobrażalne uniesienie powoli zaczęło odpływać, może już na zawsze.

Leżeli potem objęci ramionami, z głową przy głowie, i długo milczeli. W końcu Paul zapytał:

- Zadowolona jesteś, że do mnie przyszłaś? Zaśmiała się cicho,

- A jak myślisz?

- Myślę, że tak. Ja w każdym razie jestem.

- Mhm. - Zaczynała ją ogarniać senność. Miała ochotę zapomnieć o ostrożności i zasnąć przy jego boku. Wiedziała jednak, że jej nie wolno. - Chciałabym z tobą zostać - szepnęła - ale nie mogę. Muszę iść.

- Tak - powiedział. - Musisz. Lecz coś ci powiem, Kathryn de Savigny. Kiedy ta wojna się skończy, wrócę po ciebie. A wtedy nic i nikt nas nie rozłączy.

- Kocham cię - wyszeptwała.

- I ja cię kocham. Ale teraz musisz już wracać, bo twój mąż gotów się obudzić i odkryć, że cię nie ma.

- Wiem.

Pomógł jej wstać i przyglądał się, jak wkłada kimono i zawiązuje pasek w talii. Wtedy pocałował ją i delikatnie uwolnił się z jej objęć, kiedy nie chciała go puścić.

- Dobranoc, najdroższa. Śpij dobrze i pamiętaj: możesz być z nim, ale oboje wiemy, że należysz do mnie.

Kiwnęła głową zaróżowiona i nasycona przepelniającą ją miłością. W drzwiach ponownie się odwróciła, Stał w tym samym miejscu, wciąż nagi w świetle księżyca. Wyglądał jak grecki bóg, młody, silny i niezwyciężony. Posłała mu pocałunek i wyszła z pokoju.

Charles wciąż spał. Poruszył się lekko, kiedy wsuwała się do łóżka. Odwróciła się do niego plecami, otulając ramionami ciało, które Paul tak niedawno kochał, i odpłynęła w świat marzeń i snów.

Rozdział trzynasty

Następne dwa dni minęły jak sen. Starali się wykorzystać każdą daną im przez los minutę, byle tylko być razem. Wiedzieli, że taka okazja może się już nigdy nie powtórzyć.

Świadomość tego faktu dodawała ich miłości siły okraszonej goryczą, a strach, że ktoś ich nakryje - pikanterii. Po południu, kiedy Guy bawił się w ogrodzie pod okiem Bridget, Kathryn szła do pokoju Paula i kochali się przy zasłoniętych kotarach, zamknięci w swoim własnym świecie. Nocą, kiedy Charles już zasnął, znowu wykradała się do Paula. Drugiego dnia rano zabrali Guya na spacer po rozkwitającej okolicy, ciesząc się wraz z nim widokiem fruujących w słońcu motyli i maków połyskujących szkarłatem wśród młodego zboża. Szli, nie dotykając się, lecz więź między nimi była tak wyraźna, jakby łączyły ich niewidzialne nici. Kiedy ich oczy spotkały się, Kathryn miała wrażenie, że jej ciało topnieje, uwalniając duszę, która płynęła do niego. W pewnej chwili, kiedy Guy znalazł się daleko w przodzie, Paul pochwycił **ją** w ramiona i pocałował szybko i mocno, nie spuszczać wzroku z małej figurki przemykającej wśród sięgającej do pasa trawy. Roześmiała się, znajdując rozkosz w przebiegającym jej ciałem dreszczu, mającym swoje źródło w tym, że oto smakuje coś, co **jest** zakazane, jak również w radości, że kocha i jest kochana.

Czuję się znowu młoda, pomyślała. Po latach rozczarowań i niezadowolenia i po ostatnich długich i stresujących miesiącach hitlerowskiej okupacji było to cudowne uczucie.

Jednak im mocniej świeci słońce, tym dłuższe **są** cienie. Początkowo, zdecydowana nie dopuścić, by cokolwiek zniszczyło te cenne dni, starała się je ignorować, jakby szła przez oświetlony tunel, nie patrząc na boki w ciemny **las**. **Jednak** to wciąż w niej tkwiło, skryte gdzieś na granicy świadomości.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

175

I kiedy leżeli, nasyceni sobą, znalazła odwagę, by o tym mówić. Pragnęła bowiem poznać nie tylko jego ciało, lecz dowiedzieć się jak najwięcej o nim samym i o pobudkach jego działania.

Pod pewnymi względami te rozmowy bardziej ich do siebie zbliżyły niż fizyczne zespolenie.

Opowiedział jej o Gerie i córce, a ona dzieliła z nim ból.

- Musiałeś je bardzo kochać - powiedziała cicho, gładząc jego dłoń

i pragnąc, aby wiedział, że jest razem z nim i pozostanie, póki starczy jej tchu w piersi.

- I nadal je Kocham - odparł. - Nie mogłem ich przestać kochać tylko dlatego, że umarli.

- Oczywiście że nie.

- Nic nie jest w stanie wymazać z pamięci tego, co wspólnie przeżyliśmy. Poczula ukłucie zazdrości o tę część jego życia, której nie mogła z nim

dzielić, krótki zdradliwy ból, że ta nie znana jej kobieta była z Paulem tak jak ona teraz, a nawet bardziej, bo była jego żoną. Natychmiast ogarnął ją wstyd. To, że nie zaznała do tej pory takiej miłości, nie oznacza, że ma zachowywać się jak niedoświadczony emocjonalnie dziecko. To przecież miłość do Gerie uczyniła z niego człowieka, jakim jest teraz, a jej śmierć przywiodła go do Francji, i do Kathryn.

- To musi być dla ciebie straszne - powiedziała.

- Taki ból nigdy nie znika. Ale życie toczy się dalej. To, czego nie możemy zmienić, należy zaakceptować i z pożytkiem wykorzystać. Postanowiłem, że zrobię wszystko, by Niemcy zapłacili za to, co stało się z Gerie i Beatrice. Przynajmniej w ten sposób mogę być pewny, że nie zginęły na próżno.

- Jesteś bardzo odważny - powiedziała, splatając jego palce ze swoimi.

- Wcale nie jestem. Odwaga to pokonywanie własnego strachu, to robienie czegoś na przekór grożącym konsekwencjom. Ja natomiast przyjechałem do Francji, nie dbając o to, co się ze mną stanie, bo nie miałem nic do stracenia.

A teraz? - chciała zapytać. Czy teraz znalazłeś coś, co żał byłoby ci stracić? Lecz nie zapytała.

Pomimo łączącej ich więzi uznała, że nie ma do tego prawa. Ta myśl rzuciła kolejny cień na jej kruche szczęście, postanowiła więc odepchnąć ją od siebie. Chwile, które wspólnie przeżywali, były zbyt cenne, by psuć je negatywnymi odczuciami, żalem za tym, co było, i obawą o przyszłość. Trzeba się nimi cieszyć i być wdzięcznym losowi.

Niestety te cudowne dni uciekały z przerażającą szybkością i wkrótce zmieniły się w godziny, które mogła policzyć na palcach jednej ręki.

176 Janet Tanner

W noc przed jego wyjazdem starała się być z nim jak najdłużej, wiedząc, że są to ich ostatnie wspólne chwile, przynajmniej do czasu zakończenia akcji. Nadal nic o niej nie wiedziała ani też dokąd wyjeżdżał. Nie pytała, bo było to bezcelowe. I tak jej nie powie, ze względu na jej bezpieczeństwo i na bezpieczeństwo całej operacji. Mimo to czuła się taka bezradna i zamknięta w klatce nieświadomości, że odważyła się na jedno pytanie.

- Jak długo cię nie będzie?

- Dwa tygodnie... może trzy. Gdybym tu wrócił zaraz po zakończeniu akcji, mogłoby to wyglądać podejrzanie. Ktoś mógłby zestawić ze sobą te fakty i wyciągnąć wnioski. Poza tym muszę uporządkować pewne sprawy w... jednym z moich rozległych królestw. Nie mogę tam jeździć zbyt często, a to daje mi sposobność. Nie mogę powiedzieć ci nic więcej, Kathryn. Proszę, nie pytaj mnie.

- Nie będę. Doskonałą ze mnie kochanka gangstera, nie sądzisz? Dyskretna, lojalna i... chętna. Powiedziała to lekkim tonem, lecz wewnątrz czuła przygniatający ciężar. Przesunęła dłonią po jej brzuchu.

- Dobrze wiesz, co o tobie myślę.

- Nie, nie wiem.

- Kathryn... jesteś nienasycona. Dobrze więc. Myślę, że jesteś piękna, dzielna i oddana. Masz w sobie również żyłkę oszustki.

- Nie brzmi to zbyt miło - skrzywiła się.

- Pewnie nie. Jednak może ci ocalić życie.

- Och, Paul, tak się boję! O ciebie, o mnie, o nas wszystkich... Przyciągnął ją do siebie, nie oferując słów pocieszenia, lecz pieszcząc

dłońmi jej ciało tak, że wkrótce zapomniała o wszystkich kłopotach. Tym razem jednak pogłębił tylko jej niepokój. Pomyślała, że zachowuje się tak, jakby chciał zapamiętać każdą linię jej ciała, każde zagłębienie na wypadek, gdyby już nigdy nie mogli być razem w ten szczególny sposób.

- Lepiej już idź - powiedział nagle, - Nie chcę, aby Charles się obudził i zastał puste łóżko.

Mogłoby to być katastrofalne.

- Dla nas?

- Dla tego, co mam zrobić. No idź. Grzeczna dziewczynka. Zrozumiała, że przestał być kochankiem i na powrót stał się agentem SOE

myślącym wyłącznie o swoim zadaniu. Po to przecież tu był, a może tylko po to? Tak czy inaczej bardzo ją to zabolowało. Miała wrażenie, że już ją opuścił, a nie, jak zamierzał, jutro rano. Była to najbardziej samotna chwila w jej życiu.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

165

Sabotażyści przysparzają coraz więcej kłopotów - oświadczył von Rheinhardt, - Tej nocy miała miejsce eksplozja w składzie amunicji niedaleko stąd... w sąsiednim dystrykcie, jeśli chodzi o ścisłość. Jesteśmy przekonani, że to robota sabotażystów. Nie zdają sobie sprawy z tego, jak bezcelowa jest taka działalność.

Kathryn spojrzała na Christiana siedzącego na wprost niej, lecz szwagier z kamiennym wyrazem twarzy wpatrywał się w von Rheinhardta, za co była mu wdzięczna. Ktoś przecież mógłby zauważyć ich porozumiewawcze spojrzenie. Taka niedyskrecja była czymś głupim i niewybaczalnym, nie mogła jednak zapanować nad tą instynktowną reakcją. Miniony tydzień zmienił się w koszmar pełen strasliwego lęku o Paula, o to, gdzie jest i co robi, czy żyje, czy też umarł. Nie miała o nim żadnej wiadomości. Oczywiście mogła się tego spodziewać - Paul nigdy nie zaryzykowałby próby skontaktowania się z nią w czasie akcji - lecz nie bardzo ją to pocieszało. Teraz nareszcie dowiedziała się - a w każdym razie tak sądziła - jaki był cel akcji i że przebiegła pomyślnie.

- Czy złapaliście sprawców? - zapytała, starając się zachować obojętny ton. Von Rheinhardt rzucił jej ostre spojrzenie i przez krótką przerażającą chwilę miała wrażenie, że te lodowato niebieskie oczy przewiercają ją na wylot.

- Nie - odpowiedział. - Nie złapaliśmy. Nasi ludzie rzucili się za nimi w pościg, było trochę strzelaniny, ale udało im się uciec. Pospadają głowy za tak karygodny system zabezpieczeń. Został już aresztowany oficer odpowiedzialny za ten skład amunicji. Myślę jednak, że przyczyna leży w zbyt łagodnym traktowaniu waszych ludzi. Staraliśmy się być rozsądni i proszę, jak się nam dziękujecie. Nadszedł czas, by pokazać tym buntownikom, że popełnili błąd.

- A jak pan to robi, skoro nie złapał pan sprawców? - zapytał Christian. W jego głosie zabrzmiało wyzwanie i usta von Rheinhardta zacisnęły się gniewnie.

- Christianowi chodzi o to, że będziecie mieć problem z ukaraniem winnych, skoro sprawcy wam się wymknęli - powiedział szybko Guillaume.

- Jestem pewny, że Christian uważa, iż winowajcy zasługują na karę, prawda, synu?

- Oczywiście - przyznał Christian, lecz Kathryn wiedziała, ile ta uwaga go kosztuje.

- Jest tylko jeden sposób na to, by zmusić tych zdrajców do posłuszeństwa

- oświadczył von Rheinhardt tnąc energicznie nożem kawałek wieprzowiny.

178 Janet Tanner

- Trzeba pokazać im, że nie tolerujemy takiego postępowania, I zrobię to, jeśli ktoś w moim dystrykcie będzie na tyle głupi, by próbować czegoś w tym rodzaju.

- Ma pan na myśli...

- Akcje odwetowe, Za każdym razem, kiedy coś takiego się zdarzy, wezmę dwunastu zakładników z wioski najbliższej miejsca zdarzenia i rozstrzelam. To położy kres takim bzdurom.

Powiedział to beznamiętnym tonem, spokojnie krojąc wieprzowinę, Kathryn poczuła, że krew jej lodowacieje, a zgromadzeni przy stole zamarli z przerażenia.

- Ale ci ludzie mogą być zupełnie niewinni! - zaprotestował słabo Guillaume. - Może się okazać, że nie mieli z tym nic wspólnego.

- Bardzo możliwe. Przyznaję, że nie byłoby to dla nich zbyt szczęśliwe. Ale gwarantuję, że wobec takiej groźby ludzie nagle przypomną sobie różne podejrzone wydarzenia, o których chcieli zapomnieć, i zaczną mówić. Dostałbym swoich sabotażystów, a gdyby nie, to i tak wszyscy by wiedzieli, czego mogą się spodziewać na przyszłość. Byłaby to niezwykle skuteczna forma kontroli.

Kontrola przez zastraszenie, pomyślała Kathryn. Tak właśnie działa hitlerowski reżym.

- Może wytłumaczy pan to raz jeszcze swoim ludziom, drogi baronie. Naprawdę nie chciałbym zostać zmuszony do tak drastycznych metod jak deportacja czy egzekucja mężczyzn, kobiet i dzieci z Savigny. Nie należy to do przyjemności.

Ale i tak to zrobisz, pomyślała Kathryn, 1 nie wierzę, że nie sprawi ci to przyjemności. Wprost przeciwnie. Wystarczyło na ciebie spojrzeć, by dostrzec w tobie coś lubieżnego, kiedy wyjawiałeś swoje zamiary.

Jak Guillaume może utrzymywać znajomość z takim człowiekiem? Do tej pory mógł jeszcze się ludzić, że da to im jakąś korzyść, lecz z tego, co przed chwilą powiedział Niemiec, wynikało, że żadna przyjaźń nie przeszkodzi mu w wypełnieniu swoich gróźb. Będzie kierował dystryktem, jak uzna za stosowne i nie cofnie się przed odebraniem komuś życia czy mienia. Wtedy uda, że jest mu przykro, a w duchu będzie się tym delectował.

Nagle poczuła, że nie jest w stanie dłużej siedzieć z tym człowiekiem przy jednym stole. Żołądek podszedł do gardła, buntując się gwałtownie.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała, odsuwając krzesło i podnosząc się chwiejnie.

Pędem wbiegła do łazienki, wstrząsana torsjami.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

167

Po jej pospiesznym wyjściu Louise skierowała na Chariesa ostre spojrzenie, które zastąpiło jej zazwyczaj pusty wzrok.

- Czy Kathryn dobrze się czuje? Wyglądała bardzo blado i ledwie tknęła kolację.

- Nie wiem, *maman*. Ostatnio nie jest sobą.

- Nerwowa z niej dziewczyna - stwierdził Guillaume, nakładając sobie dodatkową porcję ziemniaków. - Według mnie zbyt dużo czasu spędza samotnie lub z dzieckiem.

- A co innego jej pozostało? - zapytał Christian.

- Mogłaby częściej dotrzymywać mi towarzystwa - powiedziała Louise ze skargą w głosie. -

Nigdy nie była żoną, jakiej bym dla ciebie pragnęła, Charles. Miałam nadzieję, że kiedy się ożenisz, zyskam jeszcze jedną córkę. Ale Kathryn,.. - Zawahała się, a oczy błysnęły złośliwie. - Dlaczego spędza więcej czasu z nauczycielem Guya niż z nami? Dziwię się, że na to pozwalasz, Charles.

Twarzą Chariesa przybrała wyraz zaszczutego zwierzęcia.

- Na litość boską, *maman*, co ty sugerujesz? - zapytał.

- Nic, zupełnie nic...

- Jak widzę, nauczyciel Guya nie uczestniczy dziś w kolacji - zauważył obojętnie von Rheinhardt, lecz ze spojrzenia wionęło chłodem.

- Pojechał odwiedzić przyjaciół w Bordeaux - wyjaśnił pospiesznie Christian,

- I prawdopodobnie już nie wróci - dodał Charles. Wszyscy zwrócili na niego pytający wzrok.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Guillaume.

- Nie jestem zadowolony z jego pracy. Nie wydaje mi się, aby był odpowiednim nauczycielem dla Guya. Miałem zamiar o tym z tobą porozmawiać, ojcze.

- Naprawdę? - wyraził lekkie zdziwienie Guillaume. - Myślałem, że świetnie sobie radzi z Guyem.

- Ma świetne kwalifikacje, to prawda, ale bardziej nadają się one dla starszych dzieci. Poważnie zastanawiam się nad zrezygnowaniem z jego usług, kiedy wróci... jeśli wróci, w co wątpię.

Myślę, że Guy go nudzi, a on Guya.

- Zaskakujesz mnie - wtrącił ostro Christian, zaalarmowany perspektywą utraty przez Paula mety w zamku. - Podobnie jak ojciec sądzę, że świetnie nadaje się dla Guya. A co na to Kathryn? Rozmawiałeś z nią na ten temat?

Janet Tanner

- Nie, nie rozmawiałem. - Głos Charlesa brzmiał teraz pompatycznie. - Punkt widzenia Kathryn jest stroniczy, bo Paul Curtis to jej stary przyjaciel. Jednak to ja powinienem decydować, co jest najlepsze dla mojego syna.

- Dajmy pokój tej dyskusji - zawyrokowała Louise, patrząc z niepokojem na von Rheinhardta. - Nie powinniśmy zanudzać generała domowymi problemami. Sądzę, Charles, że powinienes pójść sprawdzić, co z Kathryn. Nie wyglądała dobrze.

- Nie przesadzaj, *maman* - rzucił Charles z irytacją, po czym przerwał, bo za drzwiami na korytarzu dały się słyszeć okrzyki powitania i stuk wysokich obcasów na kamiennej podłodze. - Co tam się dzieje?

W tym momencie drzwi się otworzyły i stanęła w nich szczupła dziewczyna z długimi prostymi włosami. Miała zaczerwienione powieki i cienie pod oczami, a bawełniana bluzka i spódnica były wygniecione. Do piersi przyciskała płócienną torbę.

- Celestine! - wykrzyknęła Louise. - Nie wierzę własnym oczom! Powinnaś być w Paryżu!

- Wróciłam do domu - wyjaśniła. - Nie mogłam już tego znieść. Tam jest strasznie. Przyjechałam pociągiem, ale się spóźnił i... - Przerwała, bo nagle dostrzegła von Rheinhardta. Siedział tyłem do drzwi, lecz tak jak inni odwrócił głowę. Błada twarz Celestine stała jeszcze bielsza. - Kim jest ten człowiek? Co tu robi niemiecki oficer?

- Celestine! - rzuciła Louise ostrzegawczo, a Guillaume próbował ratować sytuację,

- Moja córka jest zmęczona. Nie wie, co mówi. Lecz nic i nikt nie mogło powstrzymać Celestine.

- Nie wierzę własnym oczom! - krzyknęła, a po jej twarzy zaczęły płynąć łzy. - Wszędzie was pełno, nawet w moim własnym domu! Och, nie zniosę tego! Szkop w moim własnym domu! Pierwszy raz ktoś w zamku ośmielił się głośno skrytykować Niemców. Słowa te zawisły w powietrzu jak zapowiedź tego, co wkrótce miało nastąpić.

Uleestine, chodź tu i usiądź, kochanie.

Zadziwiająca, ale to Louise pierwsza odzyskała mowę, być może dlatego, że w swej naiwności nie przypuszczała nawet, jakie konsekwencje może spowodować wybuch córki. Wstała od stołu

- drobna figurka w ekstrawagan-

RAJSKJE DZIEDZICTWO

181

ckiej, przedwojennej, paryskiej kreacji - podeszła do córki, objęła ją ramieniem i poprowadziła do krzesła, które do niedawna zajmowała Kathryn.

- Bridget przygotuje ci pokój. Musisz być głodna po tak długiej podróży.
- Nie, nie jestem głodna. - Celestine próbowała wymknąć się z jej objęć.
- Chcę jedynie pójść do swojego pokoju, wykapać się i położyć do łóżka.
- Celestine, zrób, co mówi matka i siadaj! - rozkazał Guillaume. Rzadko się zdarzało, by mówił tak autorytatywnie, toteż efekt był

natychmiastowy. Celestine spojrzała na niego spod lekko przymkniętych powiek i opadła na krzesło, nadal przyciskając torbę do piersi. Siedzący obok Christian uwolnił ją od niej. Pomyślał, że jest wyjątkowo lekka jak na to, że Celestine zdecydowała się wrócić na dłużej do domu, ale to było podobne do jego siostry. Nigdy nie zaprzętała sobie głowy rzeczami. Kiedy usiadła, von Rheinhardt podniósł się od stołu.

- Myślę, że powinienem podziękować za wyborną kolację i pożegnać się
- powiedział. - Zapewne woleliby państwo zostać teraz sami.
- Otto, nie! - zaprotestował Guillaume, również wstając. - Proszę zostać przynajmniej do końca posiłku. Przyznaję, że sytuacja jest trochę niezręczna, ale...
- Wcale nie - przerwał mu von Rheinhardt, aż do przesady uprzejmy, lecz spojrzenie jego oczu było zimne i twarde. - Nie chciałbym niepokoić lub zmartwić młodej damy. Poza tym mam jeszcze dużo pracy. Jak już mówiłem, sabotażyści stają się coraz bardziej kłopotliwi. Muszę dopilnować, by nic podobnego nie zdarzyło się w moim dystrykcie. Życzę państwu dobrej nocy.
- Jego oczy zwięziły się lekko. - Mam nadzieję, że *madame* Kathryn wkrótce poczuje się lepiej.

Guillaume odprowadził go do drzwi.

- Tak mi przykro... Mam nadzieję, że niedługo znów pan nas odwiedzi...
- Ja również mam taką nadzieję.

Kiedy wielki czarny samochód ruszył w dół podjazdem, Guillaume wrócił do jadalni. Jego oczy ciskały błyskawice.

- Co ty sobie wyobrażasz, Celestine? Powinnaś mieć więcej rozumu w głowie i nie zwracać się w ten sposób do niemieckiego oficera. A właściwie, jak się tu dostałaś? Jest już po godzinie policyjnej.

- Podwiózł mnie zawiadowca stacji. Był bardzo miły - odpowiedziała Celestine, moszcząc się na krześle. - Wiem, że nie powinnam była tego mówić, ale mam już dość kłaniania się w pas Szwabom. W Paryżu jest ich pełno. Przeżyłam szok, widząc jednego z nich w moim domu. Co on robił przy naszym stole?

182 Janet Tanner

- Musimy go mieć po naszej stronie - wyjaśnił Charles. - Jest szefem tego dystryktu. Jeden Bóg wie, jakich szkód narobiłaś, odzywając się do niego w ten sposób.
- Wiem... przepraszam... - W jej oczach pojawiły się łzy, - Tylko nie mogę zrozumieć, jak możecie to znosić. - Rozejrzała się po pokoju. - A gdzie Kathryn?
- Złe się poczuła - odpowiedziała cicho Louise. - Proszę, powiedz nam, dlaczego wróciłaś do domu? Cudownie, że jesteś, ale zaskoczyłaś nas tym nagłym przyjazdem. Co z twoimi studiami?
- Jakie znaczenie mają teraz moje studia, *maman*? - zapytała z goryczą w głosie. - Czy w ogóle cokolwiek ma jakiś sens?
- Nie mów tak, kochanie - upomniała ją łagodnie Louise. - Wiem, że w tej chwili możesz tak to odczuwać, ale przed tobą jeszcze całe życie. Nie możesz się załamywać tylko dlatego, że warunki nie są takie jak kiedyś.
- Czyżby? - Celestine zaśmiała się chrapliwie. - Przepraszam, mamo, ale chyba nie wiesz, co mówisz. Żyjesz tu sobie wygodnie jak w cieplarni i nie masz o niczym pojęcia.
- Doprawdy, Celestine, my przecież też odczuwamy niedostatki - zaprotestowała Louise. TM Ona ma rację, *maman* - poparł siostrę Christian i ścisnął ją za ramię.
- Żyjemy tu jak w cieplarni. Niemcy zbyt nas nie niepokoją. Starają się być dobrymi strażnikami. Przypuszczam, że w miastach jest inna sytuacja.
- Oczywiście. Paryż zmienił się nie do poznania. Wszędzie swastyki, wojskowe parady, zamknięte dzielnice i straszni mężczyźni w filcowych kapeluszach i płaszczach przeciwdeszczowych, którzy śledzą każdy twój krok.
- W filcowych kapeluszach i płaszczach przeciwdeszczowych? - powtórzyła Louise bezmyślnie.
- Co masz na myśli?
- Ma na myśli tajną policję - wyjaśnił Christian. - Widzisz więc, *maman*, że ona ma rację. Żyjemy tu jak pod kloszem.
- Na Avenue Foch jest teraz kwatera główna gestapo - ciągnęła Celestine.
- Ci, którzy są tam zabierani, nigdy nie wracają. Och, jak ja ich nienawidzę! Gdybyście wiedzieli, jacy są naprawdę, nie zaprosilibyście żadnego z nich pod swój dach!
- Otto von Rheinhardt jest żołnierzem, nie gestapowcem - zauważył Guillaume,
- Ale jest Niemcem - rzuciła gniewnie Celestine. -i to mi wystarczy.
- Jesteś zdenerwowana, Celestine. Postaraj się opanować - powiedział

RAJSKIE DZIEDZICTWO

171

Guillaume łagodnym głosem, w którym pobrzmiewały jednak zdecydowane tony. - Czy ci się to podoba czy nie, musimy myśleć o naszym bezpieczeństwie i ratowaniu naszego dziedzictwa.

Jeśli się nad tym zastanowisz, zrozumiesz sens takiego postępowania.

- Chodzi ci o to, że powinnam zrobić wszystko, by zachować zamek de Savigny dla swoich dzieci? - zapytała gniewnie Celestine. - A więc powiem ci. Jeśli z tego powodu mam się bratać z tymi świniami i zapraszać ich do siebie, to nie.

Guillaume pokręcił głową ze znużeniem.

- Jesteś młoda i zapalczywa, *ma petite*. Kiedy będziesz miała własne dzieci, inaczej na to spojrzysz.

- Tak sądzisz? - Celestine wyprostowała się, zaciskając dłonie na poręczach krzesła tak mocno, że aż palce jej zbieleły.

- Ja to wiem. Kiedy nadejdzie czas...

- Nawet się nie domyślasz, jak bliski jest ten czas, ojczu. I nadal myślę tak samo. Nie chcę, żeby w pobliżu mojego dziecka kręcił się jakiś szkop. Dlatego właśnie wróciłam, Nie domyślacie się?

- Urwała. Wszyscy spoglądali na nią z niedowierzaniem. Roześmiała się lekko. - Wybaczcie, nie chciałam wam o tym mówić. W każdym razie nie teraz. Lecz stało się. Jestem w ciąży. Będę miała dziecko.

Cisza, jaka zapadła po jej słowach, wydawała się trwać wiecznie, przerywana jedynie stłumionym płaczem Louise. Matka przyciskała chusteczkę do ust, a policzki miała równie białe jak trzymany w ręku kawałek adamaszku. Pierwszy oprzytomniał Guillaume.

- Czy to jakiś żart, Celestine? Zemsta za to, że gościliśmy von Rheinhardta na kolacji? Jeśli tak, to ci powiem...

- Zapewniam cię, że mówiłam poważnie, ojczu. Przykro mi, ale to prawda.

- Nie mogę w to uwierzyć! Co za wstyd! - wyszeptała Louise. Wyglądała, jakby miała za chwilę zemdleć. - Kim jest ten mężczyzna? Gdzie on jest?

- Na litość boską, *maman!* - Christian podniósł się z krzesła, stanął za Celestine i położył jej ręce na ramionach. - Celestine, maleńka, jeśli nie chcesz, nie musisz mówić.

Celestine podziękowała mu bladym uśmiechem.

- W porządku, powiem wam. Nazywał się Julien Didier. Był studentem. Kochaliśmy się. Niestety, nie żyje... w każdym razie tak przypuszczam.

184 Janet Tanner

Widzicie, on był Żydem. Któregoś dnia do naszego mieszkania przyszli Niemcy i zabrali go. Pobili go na moich oczach... - Głos jej zaczął się łamać. Christian mocniej ją objął. - Bili go kolbami karabinów - ciągnęła, jakby recytowała litanię. - Jego twarz zmieniła się w miazgę. Tak długo go kopali, aż w końcu nie mógł się podnieść. Wtedy zrzucili go ze schodów. Wszystko na moich oczach. Całe mieszkanie obryzgane było krwią. Potem wrzucili go na jeden z samochodów i odjechali. Nie dowiedziałam się, gdzie go zabrali, ale mogę się domyślić. Od tej pory go nie widziałam. I nie zobaczę. To, co zaczęli w mieszkaniu, zapewne już dokończyli. On nie żyje, wiem to. A wy dziwicie się, że nienawidzę Niemców?! W tej chwili cały spokój ją opuścił i zaczęła spazmatycznie szlochać.

- Dranie! - wybuchnął Christian. Podszedł do barku, nalał do kieliszka koniaku i wcisnął go Celestine w dłoń. - Wypij to, maleńka. Dobrze ci zrobi.

- Moje biedactwo! - wykrzyknęła Louise. Cały gniew na córkę ulotnił się nagle i dał o sobie znać opiekuńczy instynkt macierzyński. - To potworne!

- Mamo, może zaprowadziłabyś Celestine do jej pokoju. - Christian przejął kontrolę nad sytuacją. - Porozmawiamy o tym jutro rano, kiedy wszyscy będziemy spokojniejsi.

- Tak. Chodź, kochanie, musisz wypocząć.

Kiedy Celestine i Louise wyszły z jadalni, Guillaume ukrył twarz w dłoniach. Wyglądał teraz jak złamany stary człowiek. Cały autorytet ulotnił się nagle, jak zamek z piasku zmyty przez przypływ.

- I co teraz? - zapytał, zwracając się bardziej do siebie niż do pozostałych. - Co jeszcze przyjdzie nam znieść?

- Może zaczniesz wreszcie dostrzegać, jacy naprawdę są Niemcy. To banda rzeźników.

- Ale Paryż to Paryż... Tu, w Savigny, jest inaczej.

- Czyżby? Ciekawe na jak długo. Oni wszyscy są już pijani władzą, mimo to wciąż im mało. Nie rozumiesz, ojczu, że oni nie spoczną póki nie rozetrą nas na miazgę?

- Nie wiem, Christian, już niczego nie wiem - wymamrotał Guillaume. Charles nie odezwał się słowem.

Uharles, co miałeś na myśli mówiąc ojcu, że nie jesteś zadowolony z pracy Paula? - zapytała Kathryn z furią w głosie. Miało to miejsce następnego wieczoru i Charles właśnie przebierał się do

RAJSKIE DZIEDZICTWO

173

kolacji, kiedy Kathryn wparowała do pokoju. Spojrzał na nią zaskoczony, trzymając w ręku złotą spinkę do mankietu.

- Christian właśnie mi o tym powiedział - dodała. - Jak śmiesz robić coś takiego za moimi plecami?

Przez twarz Charlesa przemknął cień wstydu, lecz po chwili odzyskał rezon.

- Nie mówiłbym tego za twoimi plecami, gdybyś tak nagle nie wyszła z jadalni.

- Dostałam mdłości! - odparowała Kathryn. - Nie mówię tego, żebyś mi współczuł. Zresztą nie w tym rzecz. Jeśli nie jesteś zadowolony z nauczyciela Guya, to ze mną powinieneś najpierw porozmawiać, nie z ojcem i resztą rodziny, nie mówiąc już o von Rheinhardzie.

- Porozmawiałbym z tobą o tym, gdybym wiedział, że będziesz obiektywna. Lodowaty ton jego głosu wzbudził w niej niepokój.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Roześmiał się lekko.

- Naprawdę myślisz, że nie wiem, co się między wami dzieje? Przysięgałaś, że on nie jest twoim kochankiem, lecz kłamałaś. Nie jestem takim głupcem, za jakiego mnie bierzesz, Karrine. Wiem, że zanim wyjechał, odwiedzałaś go nocami w jego pokoju i nie mam zamiaru dłużej tego tolerować.

Kathryn była tak zaskoczona, że nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów. Charles mówił dalej:

- Powinienem z miejsca go wyrzucić, lecz nie chciałem wywoływać sceny i pozwolić, by ojciec dowiedział się, jaką kobietę poślubiłem. Pomyślałem więc, że zrobię to okreśną drogą.

- Ty cholerny hipokryto! - rzuciła Kathryn przez zaciśnięte zęby. - Guzik cię obchodzi, co oni o mnie pomyślą. To o siebie się martwisz. Nie chcesz wyjść na głupca przed ojcem. Paul jest świetnym nauczycielem i dobrze o tym wiesz. Nie masz prawa podważać jego umiejętności jako nauczyciela. Charles skrzywił się pogardliwie.

- Sądząc z przyjęcia, z jakim spotkała się moja propozycja, inni podzielają twoją opinię. Nie upierałem się przy swoim zdaniu, ale przynajmniej zasiałem ziarno niepewności. Jeśli twój *monsieur* Paul wróci, a jak będzie miał rozum, to nie wróci, a ty nie zaprzestaniesz swoich nocnych wizyt w jego pokoju, to zapewniam cię, że zrobię wszystko, by moje życzenie zostało spełnione. Wyrzucę go bez dwóch zdań. Czy wyraziłem się jasno?

Kathryn spojrzała na niego buntowniczo, lecz wewnątrz czuła się pokonana

1 bezradna. Był to odpowiedni moment, by raz na zawsze skończyć

Janet Tanner

z Charlesem, powiedzieć mu, że kocha Paula i kiedy to wszystko się skończy, zamierza z nim odejść. Nie ośmieliła się jednak. Zbyt wiele zależało od tego, by Paul pozostał w zamku, nie tylko jej własny spokój i możliwość widywania go, choćby przelotnie. Zamek stał się bazą Paula, miejscem, z którego mógł kierować swoimi operacjami, jak również przykrywką dla pracy konspiracyjnej. Nie mogła więc ryzykować. Popatrzyła na Charlesa, człowieka, którego niegdyś kochała, a teraz nienawidziła, i pomyślała, że tym razem wygrał.

- Wyraziłeś się dostatecznie jasno - odpowiedziała cicho.

Następne dni i tygodnie udało się Kathryn przeżyć dzięki Celestine, która wniosła w jej życie jakieś urozmaicenie. Zawsze były dobrymi przyjaciółkami, a teraz Kathryn przekonała się, że rozmowy ze szwagierką i pomoc w dojściu do siebie po tym, przez co przeszła, pozwalają zapomnieć, przynajmniej na chwilę, o ciągłym lęku o Paula i obawach o przyszłość.

Nastroje Celestine oscylowały między żarliwym buntem a czarną rozpaczą. Prócz szoku, jaki przeżyła, i rozpaczy po stracie ukochanego cierpiała również na typową w jej stanie huśtawkę nastrojów i była to nieszczęśliwa, to buntowniczo nastawiona do świata.

- Nie rozumiem, jak oni mogą godzić się z obecnością Niemców w naszym domu - powtarzała raz po raz. - Przecież to potwory! Rodziców można jeszcze zrozumieć. Mama zawsze widzi tylko to, co chce widzieć, a dla ojca nie ma nic ważniejszego od Savigny. Ale Charles i Christian... Nigdy nie spodziewałam się, że pozostaną bierni. Po prostu stoczyli się. Cóż z nich za mężczyźni?

Kathryn miała ochotę powiedzieć jej, że Christian pracuje dla ruchu oporu, ale zrezygnowała. Chociaż wiedziała, że może zaufać Celestine, uznała, że lepiej jej nie wtajemniczać.

- Nie osądzaj ich zbyt surowo - powiedziała.

- Nie mówiłabyś tak, gdybyś zobaczyła, co te dranie zrobiły Julienowi! - Oczy Celestine wypełniły się łzami i dziewczyna odwróciła się, na nowo przeżywając piekło tamtych chwil.

Kathryn otoczyła ją ramionami, wiedząc, że żadne słowa tu nie pomogą, pocieszając ją w ten jedyny znany jej sposób.

- Tak bardzo go kochałam - powiedziała Celestine przez łzy. - Nie wyobrażasz sobie, jakie to straszne patrzeć, co oni z nim robią i nie móc interweniować. Musiałam patrzeć, jak go biją i wloką... Nie byłam nawet przy

RAJSKIE DZIEDZICTWO

175

nim, kiedy umierał. O Boże, jakie to straszne! Był taki piękny, taki mądry... Byłam z niego taka dumna. Nie wiem, co on widział w kimś takim jak ja.

- Ty również jesteś piękna i mądra, Celestine.

- Wcale nie. Jestem nieładna, a już na pewno nie mądra. Pomagał mi w studiach, żeby nauczyciele nie dowiedzieli się, jaka jestem głupia. I był taki odważny. Wiedział, jakie niebezpieczeństwa mu grożą. Powinien uciekać, próbować wydostać się z kraju, ale nie wierzył, że mogą tak po prostu przyjść i go zabrać. „Ci głupi, przemądrzali, mali ludzie nie przestraszą mnie” - zwykł mawiać. Był dumny ze swego pochodzenia. Bałam się o niego, ale nie chciał mnie słuchać.

- Przynajmniej będziesz miała jego dziecko - powiedziała Kathryn. - Jego nie mogą ci zabrać.

- To prawda. - Celestine uniosła podbródek, wydymając wargi, a na jej szczupłej twarzy pojawił się wyraz buntu. - Mama i ojciec wstydzą się mnie. Uważają, że ich poniżyłam. Ale pewnego dnia będą dumni. I ja też. Mój syn będzie taki jak jego ojciec.

- Na pewno - powiedziała Kathryn. Nagle poczuła, że robi jej się zimno. Przecież dziecko, które Celestine nosi, będzie półkrwi Żydem. Nie przyszło jej to wcześniej do głowy, podobnie jak reszcie rodziny. Zresztą nie miało to znaczenia. Ważny był jedynie spokój Celestine. Teraz, z rosnącym niepokojem, zdała sobie sprawę, jak groźne mogą być tego następstwa.

- Czy ktoś w Paryżu wie, że jesteś w ciąży? - zapytała, starając się ukryć zdenerwowanie.

- Moje przyjaciółki, Agnes i Françoise. I oczywiście doktor. Raczej się tym **nie** chwaliłam i nic jeszcze po mnie nie widać, ale wiadomości się rozchodzą. Czemu pytasz? Czyżbyś i ty obawiała się skandalu, Katrine? Nigdy bym nie przypuszczała.

- Oczywiście że nie. Tylko chodzi o to... Lepiej nie mów nikomu, że Julien był Żydem.

- O mój Boże, nie pomyślałam o tym! - Celestine przykryła usta dłonią, a w jej oczach pojawił się strach. - Sądzisz, że gdyby się dowiedzieli, moje dziecko byłoby w niebezpieczeństwie? Ależ tak! W Paryżu ci, którzy mieli w rodzinach żydowskich przodków, stralił się to ukryć. A jak ci dranie, którzy zabrali Julię, dowiedzą się, że jestem w ciąży? Mogliby mnie tu znaleźć. Mogliby... Jeden Bóg wie, co mogliby zrobić.

- Na pewno nic się nie stanie - powiedziała Kathryn z przekonaniem, choć nie była tego pewna.

- Uważam jednak, że powinnaś być teraz ostrożniejsza.

Janet Tanner

Możesz opowiadać o Julienne, tylko bez wdawania się w szczegóły. Jutien to chyba nie jest żydowskie imię?

- Nie, ale... wszyscy wiedzieli. Musiał nosić gwiazdę Dawida. Och, Katrine, co ja zrobię, jeśli Niemcy dowiedzą się, że on jest ojcem mojego dziecka?

- Nie denerwuj się - uspokajała ją Kathryn. - To nic nie da, a tylko ci zaszkodzi. Zachowuj się normalnie i staraj się nie denerwować. Wymyślę coś.

Chociaż starała się ją uspokoić, doskonale wiedziała, że jeśli Niemcy dowiedzą się, że dziecko Celestine jest półkwi Żydem, nic nie będzie w stanie jej uratować. Fakt ten potęgował jeszcze uczucie zagrożenia, które powoli, lecz nieubłaganie zakradało się do ich dusz.

Rozdział czternasty

Paul siedział w małej poczekalni przed gabinetem lekarskim w Perigueux i czekał na swoją kolej. W grubych spodniach i koszuli bez kołnierzyka wyglądał jak miejscowy wieśniak i nie różnił się niczym od innych pacjentów - mężczyzny w średnim wieku z obandażowaną ręką, drobnej trzęsącej się staruszki ubranej na czarno, dziewczyny w zaawansowanej ciąży, podtrzymującej wydatny brzuch i usiłującej bez powodzenia uspokoić dwoje małych dzieci, szalejących po poczekalni. Paul od czasu do czasu zanosił się ostrym kaszlem, starając się, by te ataki brzmiały dostatecznie groźnie i trzymały pozostałych pacjentów na odległość, Nikt nie chciał dołożyć do swoich problemów zdrowotnych ciężkiej infekcji dróg oddechowych.

W końcu przyszła jego kolej. Doktor Ventura pisał coś przy biurku, mocno pochylając się nad pulpitem. Dawno już powinien zmienić szkła na silniejsze, lecz zbyt był zajęty innymi sprawami, by zawracać sobie głowę czymś, co uważał jedynie za drobną niedogodność. Poza tym nie miał pewności, czy udałoby mu się zdobyć nowe okulary. W tych czasach były one niezwykle rarytasem. Kiedy Paul wszedł do gabinetu, doktor uniósł głowę. Był to potężny mężczyzna, z natury prostoduszny, nie pierwszej młodości, ubrany w znoszony tweedowy garnitur.

- Paul... a więc wróciłeś.

- Tak. Co się działo pod moją nieobecność?

- Wysłaliśmy trzy przesyłki za granicę.

Paul kiwnął głową. Wiedział, że doktor mówi o pilotach przeprowadzonych przez granicę trasą przerzutową.

- Były z tym jakieś problemy?

- Chyba nie. To raczej oni nam przysporzyli problemów. Ulokowaliśmy

190 Janet Tanner

ich w hotelu Madame Poire. Zdobyli gdzieś butelkę Pinot i upili się. Jeden z nich zaczął nawet śpiewać po angielsku. Drugi zaś postanowił przejść się po mieście i zabłądził. Dobry Boże, aż strach pomyśleć, że tacy idioci pilotują samoloty!

- Ale dotarli do celu?

- W każdym razie stąd się wydostali, z porządną reprimendą za swoje zachowanie. Nigdy w życiu tak się nie cieszyłem z czyjś pożegnania. Mam nadzieję, że solidnie im zmyłem głowy, w przeciwnym razie gotowi jeszcze narazić na niebezpieczeństwo następnym razem po drodze.

Nieodpowiedzialni głupcy.

- Większość z nich to młodzi chłopcy i pewnie bardzo się boją - usiłował tłumaczyć ich Paul, czując jednocześnie wstyd za swoich współziomków.

- To ich nie tłumaczy. Powinni zdawać sobie sprawę, że swoim brakiem odpowiedzialności narażają na niebezpieczeństwo tych, którzy im pomagają.

- Wiem. Coś jeszcze?

- Zwerbowałem do pracy kilku miejscowych chłopaków. Trzeba będzie ich obserwować. To trochę narwańcy, ale pełni zapału i silni. Mają młodość po swojej stronie. Nawiązałem również kontakt z proboszczem z Bouley. To twardy człowiek i może się przydać. Jest jednak coś jeszcze, o czym powinieneś wiedzieć. Pewien major SS, nazwiskiem Heydrich, z Paryża, przywłaszczył sobie willę w St Vincent, by móc w niej spędzać weekendy. To osobisty przyjaciel von Rheinhardta. Przyjechał go odwiedzić, zobaczył ten dom i zapragnął go mieć. Przez jakiś czas willa była zamknięta i zabita deskami, lecz otwarto ją i zwożą teraz do niej różne rzeczy. Takich luksusów większość z nas nie widziała od dawna. Słyszałem, że zamierza ulokować w niej swoją lafiryndę i przyjeżdżać tu tak często, jak tylko się da. Wiadomo, że SS nie liczy się z nikim, można więc przypuszczać, że będzie tu często bywał.

Paul zaklął cicho. Niepotrzebny był im tuż pod bokiem major SS.

- Ale to nie wszystko - ciągnął doktor odchylając się na oparcie fotela. - Komuniści zwąchali pismo nosem i zamierzają go zlikwidować.

- Chyba żartujesz!

- Chciałbym, żeby tak było.

- Skąd o tym wiesz?

- Od *madame* Yvette. Jedna z jej dziewcząt dowiedziała się o tym od klienta. A wiesz, że na tych dziewczynach można polegać.

Paul kiwnął głową potakująco. *Madame* Yvette prowadziła burdel, ale

RAJSKIE DZIEDZICTWO

191

pracujące w nim dziewczęta były najdzielniejszymi i najgorętszymi patriotkami. Dzięki kontaktom z mężczyznami różnych zawodów i przekonań politycznych zdobywały niezwykle cenne informacje i to nie tylko od Francuzów, lecz również od Niemców. Wiele razy dziewczęta *madame* Yvette bardzo mu pomogły i swoje życie prędzej powierzyłby któreś z nich niż komuś z tak zwanych szanowanych obywateli.

Z tego samego powodu nie miał zaufania do komunistów. Byli pstrokatą zbieraniną, która z nikim się nie liczyła. Na początku sympatyzowali nawet z Niemcami, widząc w nich siłę, która zniszczy stary porządek, ale kiedy ci podbili Rosję, komuniści odwrócili się od nich. Nadal jednak odmawiali współpracy z ruchem oporu, preferując własne metody działania, choć oczekiwali wsparcia w postaci dostaw broni i amunicji, by móc przeprowadzać swoje akcje. Według opinii Paula w najlepszym razie jedynie przeszkadzali, a w najgorszym zagrażali, bo pozwalali ponosić się wzniosłym uczuciom, co graniczyło z brawurą i brakiem rozważli. Pomysł zlikwidowania majora SS był właśnie niczym więcej jak brakiem rozważli.

- Trzeba ich powstrzymać - stwierdził Paul. - Czyż oni nie zdają sobie sprawy z kłopotów, jakie mogą wywołać? Reperkusje będą straszne. Już von Rheinhardt się o to postara, zwłaszcza że będzie tu chodziło o jego przyjaciela. 1 na tym się nie skończy. Ściągnie nam na głowę siły gestapo. Ustawią ludzi w szeregi i będą rozstrzeliwać.

- Ja to wszystko wiem - powiedział doktor. - Ale jak, u diabła, możemy ich powstrzymać? Rozmawiałem z Gaultierem, ich przywódcą lecz nie chciał mnie słuchać. Powiedział, żebym pilnował własnego nosa. Spróbuj z nim porozmawiać, jeśli chcesz. Może ciebie posłucha, chociaż wątpię. To buntownicy, a takich usatysfakcjonuje jedynie widok majora SS błagającego o darowanie mu życia.

- Wiem, co ich usatysfakcjonuje - powiedział Paul. - Ale to przecież niczego nie zmieni. Jeśli zlikwidują tego majora, na jego miejsce przyjdzie drugi, równie zły. To szaleństwo. Równie dobrze mogliby skierować broń przeciw swoim ludziom. To tak, jakby wydali na nich wyrok śmierci.

- No cóż, mam nadzieję, że uda ci się ich powstrzymać. Mnie się nie udało. A teraz idź już. Pacjenci czekają. Zaczną się zastanawiać, co tam tak długo robisz.

- W porządku, *mon ami*. Będziemy w kontakcie.

Paul wstał i poklepał starszego mężczyznę po ramieniu. Wiedział, że jeżeli

Janet Tanner

komuniści zrealizują swój szalony plan, mogą się już nigdy nie zobaczyć. Tacy ludzie jak burmistrz, lekarz, ksiądz jako pierwsi padają ofiarą odwetu. A jeśli na Paula padnie choć cień podejrzenia, również pożegna się z życiem. Przy drzwiach zatrzymał się i odwrócił.

- Tak na marginesie, gdyby coś mi się stało, mianuję Christiana de Savigny na moje miejsce. To dobry człowiek, szybki i pomysłowy, i ma papużki w papierach.

Papużki był to stempel w dokumentach uprawniający właściciela do swobodnego poruszania się po terenie Francji, nawet na obszarze zakazanym, takim jak strefa przybrzeżna.

Doktor kiwnął głową.

- Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

- Nigdy nic nie wiadomo. - Paul otworzył drzwi, dotknął czoła i powiedział głośno i chrapliwie: - Dziękuję, doktorze. Jeśli się nie polepszy, wrócę za kilka dni. *Au revoir*. - Po czym głośno kaszając wyszedł z gabinetu.

Pedałując w stronę swojej kryjówki - stojącej na uboczu wiejskiej chałupy - poczuł, że koszula klei mu się do pleców. Wiedział, że nie jest to skutek uciążliwej jazdy w upale. Postanowił, że jak najszybciej rozmówi się z przywódcą komunistów, lecz nie miał wielkiej nadziei na to, że uda mu się go przekonać. Gaultier potraktuje jego prośbę jako ingerencję w swoje sprawy rywalizującej organizacji, w dodatku kierowanej przez cudzoziemca. Skoro zapragnął dostać tego majora SS, to nic na ziemi go nie powstrzyma. A reperkusje mogą być straszliwe. Setki francuskich istnień za życie jednego niemieckiego oficera, taka była zdaje się cena i kto wie, na czyją szyję spadnie topór. Ten los może spotkać równie dobrze Kathryn. Nosiła nazwisko de Savigny, była synową i żoną znanych kolaborantów, lecz czy to zdoła ją ocalić? Była znaną osobą z pochodzenia Angielką. Należało brać pod uwagę i taką ewentualność, że von Rheinhardt zechce ukarać ją dla przykładu. A jeśli nie on, to z pewnością zrobią to sprowadzone tu szwadrony śmierci. Poza tym była podwójnie zagrożona **ze** względu na znajomość z nim.

Kiedy pomyślał, co może jej grozić, tak mocno zacisnął patce na rączkach roweru, że guma, popękana ze starości i od upału, przykleiła się do spoconych dłoni,

Kochał Kathryn. Nie powinien był do tego dopuścić, lecz stało się i tygodnie spędzone z dala od niej niczego nie zmieniły. Towarzyszyła mu

RAJSKIE DZIEDZICTWO

181

nawet wtedy, kiedy zajęty był pracą konspiracyjną. Jej słodki obraz, wywołujący w nim bolesną tęsknotę w czasie długich nocy, wciąż miał przed oczami. Kochał ją i nie mógł znieść myśli, że może stać się jej jakaś krzywda i że to on będzie za to odpowiedzialny.

Ponownie pomyślał o akcjach odwetowych, gdyby komuniści zrealizowali swój szalony plan, i lęk o Kathryn przeniknął go do głębi. Pot wystąpił mu na czoło, kiedy nacisnął mocniej na pedały. Zanim dotarł do chaty, wiedział już, co zrobi.

Kathryn obserwowała, jak Guy biegnie w ogrodzie za motylami, usiłując złapać je w siatkę umocowaną na patyku, którą zrobiła mu Bridget. Gorące, jasno świecące słońce spijało wonne soki z rosnących wokół kwiatów, które choć pielęgnowane ludzką ręką rozrosły się i wybujały. Doszła do wniosku, że bardzo odpowiada jej ten widok. Zbytni porządek był niezgodny z naturą. Lubiła, kiedy ogród sprawiał wrażenie dzikiego.

- Mamusiu, złapałem jednego! - zawołał Guy. - Zobacz, jaki śliczny. Kathryn uśmiechnęła się na widok podekscytowanej twarzyczki syna.

- Rzeczywiście, prześliczny. Jest jednak zbyt piękny, by trzymać go w zamknięciu. Napatrzyłeś się już na niego, więc może go wypuścisz.

Twarz Guya zachmurzyła się.

- Ale ja nie chcę!

- Nie możesz myśleć wyłącznie o tym, czego ty chcesz - powiedziała. - Chciałbyś, żeby cię zamknięto w klatce?

- Nie bardzo - przyznał.

- A więc wypuść go.

Po namyśle Guy uwolnił motyla. Wzleciał w powietrze jak delikatny jaskrawoniebieski płatek i Kathryn zapragnęła tak jak on uciec od wszystkich dręczących ją problemów. Patrzyła na motyla radośnie fruującego w powietrzu i poczuła się nagle lekka jak piórko. Przez jedną krótką chwilę miała wrażenie, że unosi się wraz z nim. Przepelniała ją czysta radość, która pojawiła się nie wiadomo skąd. Usiadła wygodniej na starej drewnianej ławce, zrzuciła buty i wsunęła stopy w suchą trawę, delektując się przepelniającym ją szczęściem.

Czyżby Paul miał wrócić? - pomyślała. Skąd jej to przyszło do głowy, skoro nie miała od niego żadnych wiadomości? Takie niespodziewane uczucie szczęścia o niczym nie świadczyło.

Przeżywała już wcześniej takie

Janet Tanner

momenty, zarówno radosne jak i smutne, **ale** teraz miała wrażenie, jakby jej dusza dotknęła nieskończoności i dane jej było na ułamek sekundy zajrzeć w przyszłość.

A może jednak, pomyślała i uśmiechnęła się do siebie z niedowierzaniem. Kiedy wróciła z Guyem do pałacu, wewnętrzne ciepło wciąż jej towarzyszyło i nie zgasło nawet w nocy, rozświetlając płomieniem jej duszę.

Nie rozumiem cię, Christianie - powiedziała Celestine. - Doprawdy nie rozumiem, jak możesz być taki miły dla tego szkopa.

Postanowili wybrać się na spacer po kolacji. Był chłodny wieczór. Wspięli się na wzgórze, skąd rozciągał się widok na całą okolicę. Wszędzie panował absolutny spokój. Rozległa jak okiem sięgnąć dolina, pocętkowana plamami cienia, czysta zieleń pól, niezmiennie piękno zamku przycupniętego wśród drzew, zwierzęta gromadzące się pod drzewami - wszystkie te elementy krajobrazu przywoływały na myśl dawne szczęśliwe dni i trudno było wprost uwierzyć, że życie nagle się zmieniło. To był świat jej dzieciństwa i na jedną krótką chwilę dręczące ją kłopoty zmieniły się w nocny koszmar, który zniknie wraz z nadejściem świtu. I nagle w tę bajkową scenerię wkradł się niemiecki patrol, przysadziste szare pojazdy zniszczyły harmonię piękna, jak pryszcze na twarzy kobiety. Natychmiast powrócił lęk, niszcząc brutalnie marzenia i zmieniając koszmar w twardą, nieuchronną rzeczywistość.

- Ojciec wyjaśnił ci to przecież - powiedział Christian, wyciągając źdźbło trawy i rozgniatając je między palcami, - Robi to, co uważa za słuszne.

- Nieprawda! - zaprotestowała schrypniętym od łez głosem. - To wcale nie jest słuszne. To poniżające, potworne. Wiem, co mówię. Widziałam, jak wlekli Julienu. Ale on przynajmniej umarł z honorem. Nie musiał żyć ze świadomością że każą mu bić pokłony przed tymi potworami.

- Nie wolno ci tak mówić, Celestine - powiedział Christian. - To bardzo niebezpieczne. Musisz panować nad sobą.

- Muszę? Dlaczego? Bo to mój ojciec? Przecież wiesz, jaki on jest i co dla niego ważne. Poza tym starzeje się. Jeśli płonął w nim jakiś ogień, to dawno wygasł. Ale ty i Charles... Nie rozumiem, jak możecie być tacy bierni, tacy służalczy. Moi rodzeni bracia! To wstyd nosić nazwisko de Savigny.

Christian spojrzał na jej drobną zaciętą twarzyczkę i płonące nienawiścią zmęczone oczy i zrozumiał, co ona może czuć. Czyż on nie czuł się tak samo, dopóki nie zjawił się Paul i nie dał mu szansy, by temu zaradzić? Wiedział,

RAJSKIE DZIEDZICTWO

183

dłaczego właśnie jemu ma to za złe. Zawsze był jej bohaterem, wielkim bratem, którego nie odstępowała na krok, tak że czasami miał ochotę wrzasnąć, by odeszła i zostawiła go w spokoju, Lecz nigdy tego nie zrobił. Gorąco ją kochał i rósł wraz z jej ślepyim uwielbieniem. Lata nie zmieniły jego uczuć - nadal cenił sobie podziw, jakim go darzyła, i bardzo go zabolalo, kiedy nazwała go mięczakiem.

- Nigdy nie myślałam, że będę się ciebie wstydzić, Christianie - powiedziała i nagle poczuł, że jego duma dłużej tego nie zniesie. Przecież może jej zaufać. W końcu to jego siostra.

- Celestine, nie wszystko jest tak, jak ci się wydaje - powiedział wolno.

- Nie wszyscy jesteśmy kolaborantami. Zatrzymała się w miejscu.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Wroga można niszczyć na wiele sposobów. Czasami po cichu, ukradkiem, można zrobić więcej niż głośnym krzykiem. Zapewne słyszałaś, że we Francji działają komórki ruchu oporu? A więc powiem ci, że jedna z nich działa również tutaj.

Zobaczył, że jej ściągnięta twarz zaczyna się wygładzać.

- Chcesz powiedzieć, że ty...

- W zamku mieszka człowiek, który nie jest tym, za kogo się podaje. Nie ma go w tej chwili, ale...

- Masz na myśli nauczyciela Guya? - W jej głosie zabrzmiało ożywienie.

- Nauczyciel Guya jest...

- Nie pytaj o to - przerwał Christian. - Lepiej, żebyś o niczym nie wiedziała. Mogę ci tylko powiedzieć, że pracuję dla niego.

- Och, Christianie! - W jej głosie znowu brzmiał dawny podziw, który ogrzał mu serce. - Wiedziałam, że tego tak nie zostawisz! Wiedziałam!

- Musisz to zachować dla siebie, Celestine. Pamiętaj, nikomu ani słowa. Ojciec nic o tym nie wie. Jeśli coś ci się wymknie, wszyscy możemy zginąć. Obiecuj, że o wszystkim zapomnisz i nigdy nie poruszysz tego tematu.

- Oczywiście, Christianie! Obiecuję!

- Pamiętaj, że obiecałaś - powiedział. - A teraz chyba czas już wracać do domu.

Mamusi, mamusi! - Guy wbiegł po schodach do sypialni, gdzie Kathryn składała czystą bieliznę. - Mamusi, *monsieur* Paul wrócił! Serce zabiło jej radośnie.

Janet Tanner

- *Monsieur Paul?* - powtórzyła bez tchu.

- Jest w kuchni z Bridget. Idę teraz do niego.

Popędził w dół schodami, omal nie przewracając się z pośpiechu.

Włożyła bieliznę do szuflady i wolno ją zamknęła. Ręce jej się trzęsły, a serce biło jak szalone. Zatem przecucie jej nie myliło. Wrócił, a ona jakimś niepojętym sposobem domyśliła się tego. Spojrzała w lustro, przyglądała włosy palcami i dostrzegła rumieniec radości na policzkach i blask w oczach. Dobry Boże, musi uważać, bo ktoś jeszcze to zauważy. Odetchnęła głęboko kilka razy, starając się opanować, i zeszła po schodach, trzymając się mocno poręczy, bo nogi jej się trzęsły.

Paul stał oparty niedbale o stół i rozmawiał z Bridget, a Guy wtrącał swoje nowiny, kiedy tylko się dało. Na widok Paula serce w niej zatrzepotało i zapragnęła podbiec do niego, rzucić mu się w ramiona, ukryć twarz na jego piersi, poczuć jego ciało przy swoim i jego usta na swoich włosach. Wiedziała jednak, że nie może tego zrobić. Uśmiechnęła się jedynie. Ich oczy się spotkały i zapłonęły blaskiem, jakby przebiegł przez nie prąd.

- A więc wróciłeś - powiedziała. - Jak było w Bordeaux?

- Tak jak wszędzie, pełno w nim Niemców.

- Tęskniliśmy tu wszyscy za tobą.

- To dobrze. Miło, kiedy ktoś tęskni.

- Bridget zrobiła mi siatkę na motyle. - Guy podskakiwał jak szalony.

- I jest bardzo dobra.

- To może poszlibyśmy łapać motyle? - Spojrzał na nią ponad głową Guya. „Chcę być z tobą sam na sam - mówiły jego oczy. - Na tyle, na ile to możliwe”.

- Mamusia mi nie pozwoli.

- Nie powiedziałam, że nie możesz ich łapać, Guy. Tylko musisz je wypuszczać - powiedziała Kathryn, śmiejąc się cicho, bo tylko w ten sposób mogła dać ujście rozsadzającej ją płomiennej radości, która burzyła się w niej jak dobry szampan.

- Ale nie wypuszczaj ich, dopóki mi nie pokażesz - powiedział Paul.

- Zaniosę tylko walizkę do pokoju i przyjdę do ogrodu.

Ponownie ich oczy się spotkały i ponownie zabłyśły w nich gwiazdy. „Pójdę z tobą” - chciała powiedzieć, ale wiedziała, że nie może.

- Chodź, Guy - powiedziała. - Zobaczymy, co uda nam się złapać dla *monsieur* Paula.

Słońce mocno już grzało. Znalazła ławkę stojącą w cieniu i udawała, że

RAJSKIE DZIEDZICTWO

197

obserwuje dzikie biegi Guya za motylami, które przefruwały z kwiatka na kwiatek. W rzeczywistości wciąż spoglądała na ścieżkę i czekała na Paula. Kiedy wyszedł z zamku, miał na sobie koszulę z krótkimi rękawami. Podszedł do ławki i usiadł obok Kathryn. Choć się nie dotykali, każdym nerwem, każdym porem wyczuwała ciepło jego ramienia.

- Bałam się, że możesz nie wrócić - powiedziała, kiedy Guy znalazł się w bezpiecznej odległości.

- O mały włos tak się nie stało. - W jego głosie brzmiała powaga. - Muszę z tobą porozmawiać, Kathryn.

- A więc mów - odparła wesoło. Była zbyt szczęśliwa, by cokolwiek mogło ją zdenerwować. - Gdzie właściwie byłeś? Czy miałeś coś wspólnego z wysadzeniem w powietrze składu amunicji?

- Powinnaś mieć dość rozumu, by o to nie pytać. - Rozejrzał się na boki. - To, o czym chcę z tobą porozmawiać, dotyczy przyszłości, a nie przeszłości.

Poczuła pierwsze ukłucie niepokoju.

- Postaram się streszczać na wypadek, gdyby Guy wrócił - ciągnął.

- Niepokoję się o twoje bezpieczeństwo, Kathryn.

Odsunęła dłonią włosy z twarzy. Pokryte złotym meshkiem ramię błysnęło w słońcu.

- Nie rozumiem.

- Zaraz ci to wytłumaczę.

Powtórzył jej to, czego dowiedział się od doktora Ventury i patrzył, jak w jej oczach pojawia się strach.

- Ależ to byłoby szaleństwo! Trudno sobie nawet wyobrazić, co Niemcy mogliby zrobić, gdyby jeden z wyższych rangą oficerów został zamordowany tu, w Savigny.

- Właśnie. Ale spróbuj przekonać o tym komunistów. A co gorsza ten Heydrich jest przyjacielem von Rheinhardta. Generał nie cofnie się przed niczym, żeby znaleźć sprawców, a jeśli mu się nie uda, odpowiedzą za to niewinni ludzie.

- Mój Boże! - Zbladła, bo przypomniały jej się groźby von Rheinhardta.

- Trzeba ich powstrzymać!

- Nie sądzę, by to było możliwe.

- Może Charles by z nimi porozmawiał... albo Guillaume?

- Wątpię, czy ich posłuchają. Uznają to za ingerencję znanych kolaborantów. To fanatycy; tacy ludzie są przekonani o słuszności swojej sprawy, a kto myśli inaczej - myli się.

Janet Tanner

Podbiegł do nich Guy, ściskając w rękach siatkę.

- Proszę popatrzeć, *monsieur* Paul, złapałem jednego! Prawda, że ładny? Przez ciągnące się w nieskończoność minuty oglądali zdobycz Guya.

Kathryn podziwiała Paula za to, że potrafił zachowywać się tak naturalnie. Ona sama miała w głowie zamęt i cała się trzęsła. Kiedy w końcu Guy odbiegł od nich, Paul wrócił do tematu.

- Posłuchaj, Kathryn, musisz się stąd wydostać. Chcę przeprowadzić ciebie i Guya trasą przerzutową do Hiszpanii. Stamtąd będziesz mogła bezpiecznie wrócić do Anglii,

Przykryła dłonią usta i wpiła w nie paznokcie. Potem wolno pokręciła głową.

- Nie mogłabym tego zrobić. Nie mogłabym tak po prostu ich zostawić. Czuję się jak zdrajca.

- To bardzo pięknie, ale to są dorośli ludzie i francuscy obywatele. Nie sądzisz, że powinnaś przede wszystkim pomyśleć o synu?

- Oni nie zrobiliby krzywdy Guyowi.

- Nie byłbym tego taki pewny. Mogą zachować się jak dranie bez sumienia. Jeśli będą chcieli dać komuś nauczkę, nie cofną się przed niczym. A jeśli nawet nie tkną Guya, co się z nim stanie, kiedy ciebie zabiorą?

Wpiła nerwowo paznokcie w wargi i spojrzała na Guya, który zajęty był łapaniem następnego motyla. Gdyby cokolwiek mu się stało... Czy to możliwe? Nie mogła sobie wyobrazić, żeby niemiecki oficer, który bawił się z Guyem, mógł zrobić mu krzywdę.

- Jestem pewna, że nic mu się nie stanie - powiedziała z uporem w głosie. - Bez względu na to, co o tym myślisz, jestem winna lojalność rodzinie mego męża. Sprawy już i tak stoją źle. Nie mogę ich pogarszać.

- O czym ty mówisz? Opowiedziała mu o Celestine.

- Ona mnie potrzebuje - zakończyła. - Jest w strasznym stanie po tym, co przeszła w Paryżu, i boi się panicznie, że Niemcy odkryją pochodzenie jej dziecka. Oto kogo należy przeprowadzić tą trasą jeśli to możliwe. Ale prawdę powiedziawszy nie wiem, czy pozwala na to jej stan zdrowia. Ona nie nadaje się do takich eskapad: nocowania po stodołach i lasach i forsownego marszu. Nigdy tego nie robiła. Kiedy ją poznasz, zrozumiesz moje słowa. O... właśnie idzie.

Celestine wyszła z zamku i zmierzała w ich stronę. W niebieskiej bawełnianej sukience wydawała się krucha i delikatna. Brzuch, w którym rosło jej dziecko, zaczynał się powoli zaokrąglać.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

187

Paul dotknął ramienia Kathryn.

- Obiecuj, że przynajmniej zastanowisz się nad tym, co powiedziałem.

- Obiecuję.

- Tylko nie myśl zbyt długo. Nie wiem, ile mamy czasu do chwili, kiedy bomba wybuchnie. Kiedy to się stanie, będzie za późno, by coś przedsięwziąć.

Kiwnęła głową i pomachała ręką do szwagierki.

- Celestine! - zawołała. - Chodź, poznasz nauczyciela Guya! Czas na poufną rozmowę się skończył.

A więc jednak wrócił - powiedział Charles. Na jego twarzy pojawił się dobrze znany wyraz zaszczutego zwierzęcia. - Spodziewam się, że nie zapomniłaś o naszej rozmowie, Katrine.

Jej usta zacisnęły się w wąską linię.

- Jak mogłabym zapomnieć?

- To dobrze. Pamiętaj, jeśli dasz mi choć drobny powód do przypuszczenia, że kontynuujesz wasz związek, wyrzucę go z domu tak szybko, że nie zdąży nawet dotknąć nogami ziemi.

- Nie obawiaj się, Charles, nie dam ci powodu. Przynajmniej ja mam na względzie dobro mojego syna.

- Mam nadzieję, że przy tym pozostaniesz.

Odwrócił się od niej, a ona miała wrażenie, że znalazła się w pułapce bez wyjścia. Czy ten koszmar nigdy się nie skończy? Przypomniała sobie rozmowę z Paulem, jego obawy o bezpieczeństwo Guya i propozycję ucieczki. Wiadomość o szalonym pomysle komunistów i ewentualnych akcjach odwetowych wstrząsnęła nią głęboko, ale jednocześnie pomyślała, że on przecież nie może jej odesłać, jeśli pragnie być z nią tak bardzo jak ona z nim. Tymczasem Charles przypomniał jej, że nie może pozwolić sobie na najmniejszy nawet kontakt, jeśli nie chce narażać Paula na niebezpieczeństwo.

Ukryła twarz w dłoniach i pomyślała, zresztą nie po raz pierwszy, ile jeszcze będzie w stanie znieść i czym to wszystko się skończy.

Rozdział piętnasty

Był piękny niedzielny ranek i cała rodzina wracała właśnie z kościoła, kiedy wielki czarny samochód von Rheinhardta wyprzedził ich na podjeździe.

- Co on tu robi? - zapytała Celestine, a na jej szczupłej twarzy pojawiło się napięcie.

- Celestine, proszę - powiedział ostrzegawczo Guillaume. - Dość już narobiłaś kłopotów. Jeden Bóg wie, co z tego może wyniknąć.

Usta Celestine zacisnęły się buntowniczo, ale w oczach błysnął strach. Od jej wybuchu von Rheinhardt rzadziej przyjeżdżał do zamku i nie był już tak serdeczny jak dawniej. Guillaume przypuszczał, że córka głęboko go uraziła i choć starał się wytłumaczyć jej zachowanie zmęczeniem i odmiennym stanem, nie był do końca przekonany, czy von Rheinhardt przyjął jego wytłumaczenie. W ich wzajemne stosunki wkrađło się skrępowanie, które przyjmował ze zdziwieniem. Sądził bowiem, że von Rheinhardt jest twardszy, lecz nie mógł oprzeć się podejrzeniu, że Niemiec zdał sobie sprawę, iż Celestine wyraziła głośno opinię całej rodziny, a okazywana mu przyjaźń jest jedynie pozorna. Obawiał się również, że poszedł na marne cały jego wysiłek zmierzający do ukształtowania przyjaznych stosunków.

- Nie denerwuj się, Celestine. - Kathryn wzięła szwagierkę pod rękę, lecz wewnątrz cała się trzęsła. Dwa tygodnie minęły od czasu, kiedy Paul powiedział jej o planowanym przez komunistów zamachu na Heydricha; jak dotąd nic się nie stało. Nie wiedziała, czy ktoś ich od tego odwiódł, czy też nie nadarzyła się odpowiednia okazja. Teraz obawiała się, że za chwilę usłyszy jakieś informacje na ten temat. Był przecież weekend, a więc

RAJSKIE DZIEDZICTWO

189

Heydrich przebywał prawdopodobnie w swojej willi. Czyżby ci narwańcy zrealizowali swój plan i nieoczekiwana wizyta von Rheinhardta jest tego wynikiem?

Niemiec wysiadł z samochodu i czekał na nich. Wygląda! imponująco w eleganckim mundurze, surowy, bez cienia uśmiechu na twarzy.

- Otto! Co pana tu sprowadza? - powitał go Guillaume. - Piękny ranek, nieprawdaż? Nic dziwnego, że skorzystał pan z okazji, by trochę odpocząć.

- Niestety, komendant dystryktu ma mało czasu na odpoczynek - zauważył oschle von Rheinhardt. - Poza tym nie przyjechałem tu w celach towarzyskich. Chcę z panem porozmawiać o pewnych sprawach, które mnie niepokoją.

- Ojej, to brzmi bardzo poważnie - stwierdził Guillaume lekko, ale Kathryn nie dała się temu zwieść.

- Bo jest poważne - przyznał von Rheinhardt. - Chciałbym porozmawiać z panem i Charlesem na osobności.

Kathryn poczuła, że coś ściska ją za gardło. Wzięła Guya za rękę, minęła samochód, na który zawsze spoglądał z zachwytem, i weszła po schodach do zamku.

- Chodź, kochanie, powinieneś się przebrać, zanim pójdziesz się bawić do ogrodu.

Ręce jej się trzęsły, kiedy rozpięła mu koszulę, wkładała czyste szorty i lekką bluzkę.

- Chcę się pobawić w gospodarstwo - oświadczył.

Wyjęła mu zabawki, po czym zostawiła go zajętego ustawianiem małych zwierzątek i poszła do pokoju Paula. Zapukała, lecz nie doczekała się odpowiedzi. Otworzyła więc drzwi i weszła do środka. Pokój był pusty. Dokąd on mógł pójść? - zastanawiała się z rosnącym niepokojem.

Na schodach spotkała Christiana.

- Ojciec zaprowadził von Rheinhardta do gabinetu - oznajmił. Kiwnęła głową blada i spięta.

Postali przez chwilę pod drzwiami, starając

się coś usłyszeć, ale dochodzące stamtąd głosy były zbyt niewyraźne.

Gdzieś tu w okolicy działa agent - oświadczył von Rheinhardt. Guillaume i Charles wymienili spojrzenia.

- Na pewno nie - powiedział w końcu Guillaume. - Nie wierzę w to.

190 Janet Tanner

- Obawiam się, że to prawda. - Von Rheinhardt stał na wprost okna i padające ukośnie słoneczne promienie odbijały się od guzików munduru. - Przechwyciliśmy radiowe meldunki nadawane do Londynu w regularnych odstępach czasowych.

- I stąd je nadawano?

- Jeszcze nie wiemy skąd. Oczywiście miejsce nadawania jest za każdym razem inne. Nasze detektory kilka razy wykryły już radiostację, ale zanim zdążyły ją namierzyć, transmisja się kończyła. Znalezienie jej to tylko kwestia czasu. A kiedy to się stanie, radiotelegrafista surowo za to odpowie.

- Zasługuje na to! - rzucił szorstko Charles. Obaj mężczyźni zwrócili na niego wzrok, a on odchrząknął i dodał: - Takie postępowanie niszczy wszystko, nad czym tak długo pracowaliśmy. Na co oni liczą?

- Przypuszczam, że na drobny sukces. - Głos von Rheinhardta brzmiał ponuro. - To oczywiście nic nie da. Trzeciej Rzeszy nie może zagrozić taka drobnostka. Ale trzeba im dać nauczkę. Nie możemy tolerować takiej niesubordynacji.

Guillaume rozłożył ręce.

- Przykro mi, ale nie mogę panu pomóc. Nie mam pojęcia, kto mógłby coś takiego robić.

- Jak już mówiłem, nasze detektory wkrótce ich znajdą. Ale pomyślałem, że nie od rzeczy będzie was ostrzec.

Mówiąc to, wziął do ręki porcelanową figurkę stojącą na obramowaniu kominka. Grube palce przesuwają się po kruchym przedmiocie niemalże z pieśczością. Po chwili jednak odstawił ją na miejsce i spojrzał na nich ostro.

- Jeśli na tym terenie działa komórka ruchu oporu, to przekazywanie radiowych meldunków jest tylko niewielką częścią ich działalności - ciągnął dalej. - Jak już mówiłem, ci buntownicy stają się kłopotliwi i nie mam zamiaru tego tolerować. Niech pan ostrzeże swoich ludzi i powie, żeby przekazali innym. Jeśli zdarzy się coś niewłaściwego, dopilnuję, aby sprawcy słono za to zapłacili.

- A jeśli nie znajdzie pan sprawców?

- Wówczas zdecyduję, kto za to odpowie. 1 postaram się, by miecz trafił w najbardziej bolesne miejsce.

Mówiąc to, patrzył Guillaume'owi prosto w oczy, a w jego zimnym spojrzeniu czaiła się zawołowana groźba.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

203

Celestine obserwowała z okna swojej sypialni, jak von Rheinhardt wychodzi z zamku. Drząc ze strachu i nienawiści, obejmując rękoma zaokrąglony brzuch, patrzyła, jak wielki czarny samochód znika w alei dojazdowej wysadzonej smukłymi cyprysami. Kiedy napięcie powoli ustąpiło, z oczu popłynęły łzy. Płakała najpierw cicho, potem coraz rozpaczliwiej, przypominając sobie chwile grozy przeżyte w Paryżu. Szczupłe ramiona drżały, a całe ciało kulilo się pod wpływem bolesnej rozpacz.

Boże, czy ten koszmar nigdy się nie skończy? Sądziła, że wracając do domu, ucieknie od niego, a Savigny, miejsce jej szczęśliwego dzieciństwa, będzie takie, jakie je zapamiętała: oazą spokoju w ogarniętym wojną świecie. Biegła do niego na oślep, spodziewając się, że znajdzie tu ukojenie dla starganych nerwów i złamanego serca, tymczasem ku jej przerażeniu okazało się, że i tu wdarli się Niemcy.

Widok von Rheinhardta siedzącego przy rodzinnym stole był dla niej szokiem. Poczuli się tak, jakby ją zgwałcono. Jej azyl został zbezczeszczone. Do tego dochodził jeszcze paniczny strach o nie narodzone dziecko. Leżąc **bezsennie**, zastanawiała się, czy **aby** nie postradała rozumu. Jedno wiedziała na pewno - roześmiana, beztroska dziewczyna, którą niegdyś była, odeszła bezpowrotnie.

Potok łez ustał i w tym momencie usłyszała, że ktoś wchodzi po schodach. Wyrzała przez drzwi i zobaczyła Charlesa. Wygląda na zmęczonego, pomyślała, i ponad wiek starego.

Przerzedzone włosy, twarz bez uśmiechu i przygarbione plecy, sprawiające wrażenie, jakby dźwigały niewidzialny ciężar. To też jest sprawa Niemców, pomyślała. Naznaczyli swoim piętnem całą rodzinę. Żadne z nich nie było już tą osobą którą znała i kochała.

- Nareszcie poszła ta świnia - powiedziała, lecz nie mogła oderwać oczu od schodów, jakby oczekiwała, że von Rheinhardt zaraz się na nich pojawi.

- Tak, już poszedł. Celestine, *chérie*, nie bój się. On nie zrobi ci krzywdy.

- Skąd to możesz wiedzieć?

Znowu zaczęła płakać. Objął ją ramieniem, starając się jakoś pocieszyć.

- To nie jest zły człowiek. Ufa nam... na swój sposób.

- Ale ty nie możesz mu ufać - zatkała. - Nie możesz, Charles, nie wolno ci! Gdyby się dowiedział, co robisz...

Charles zeszywniał.

- Niby co robię?

- Och... - Celestine uniosła głowę. W jej mokrych od łez oczach pojawiło

Janet Tanner

się błaganie. - Przepraszam, Charles. Wiem, że nie powinnam, ale Christian mi o wszystkim powiedział. Zaciśnął palce na jej ramieniu.

- Co ci powiedział Christian?

- Ze nauczyciel Guya jest brytyjskim agentem, że wy go tu ukrywacie i pracujecie dla niego. Bardzo się cieszę. Nie mogłam znieść myśli, że nic nie robicie, a nawet przyjmujecie Niemców pod naszym dachem. Nawet nie wiesz, jaka to ulga dowiedzieć się, że to tylko dla kamuflażu. Lecz mimo to się boję. Jeśli von Rheinhardt odkryje, czym naprawdę się zajmujecie i to tuż pod jego nosem...

- Rozumiem - powiedział Charles. Jego wzrok stwardniał nagle.

- Nie mów Christianowi, że ci powiedziałam, dobrze? - poprosiła. - Obiecałam mu, że nikomu nie powiem. Będzie zły, jeśli się dowie, że rozmawiałam o tym z tobą. Myślę, że on uważa, że chcesz mnie trzymać z dala od tego na wypadek, gdyby... coś się stało.

- Tak sądzę - powiedział Charles.

Celestine była zbyt zdenerwowana, by zauważyć dziwny ton w jego głosie. Wyjęła chusteczkę z kieszeni i wydmuchała nos.

- Chcę, byś wiedział, że jestem z ciebie dumna, Charles - powiedziała już pewniej. - Musimy wyrzucić tych drani z naszego kraju. Mam tylko nadzieję, że wszyscy przy tym nie zginiemy.

- Możesz być pewna, *chene*, że wszyscy mamy taką nadzieję. - Poglądził ją łagodnie po włosach. - Lepiej się czujesz?

Kiwnęła głową.

- Chyba tak. Na tyle dobrze, na ile mogę w tej sytuacji.

- W takim razie pójdę się przebrać. Zobaczymy się podczas lunchu. Zostawił ją na schodach i poszedł na górę do swojego pokoju.

Przechodząc obok pokoju syna, posłyszał głosy Kathryn i Guya. Zatrzymał się, chwycił za gałkę u drzwi, lecz zmienił zdanie i poszedł do siebie.

Promienie słoneczne wpadały przez okno, przydając starym brokatowym zasłonom złotego blasku i oświetlając tysiącem lśnień ciemne drewno. Charles zdjął marynarkę, odwiesił ją wolno na miejsce i zaczął rozpinać koszulę. Poczul się nagle przygnieciony wiadomościami, które przed chwilą niechcący wyjawiała mu Celestine.

A więc Paul Curtis jest agentem. W głębi duszy zawsze to podejrzewał,

RAJSKIE DZIEDZICTWO

193

lecz zbyt go pochłaniała zdrada Kathryn, by mógł myśleć o czym innym. Nawet teraz myśl o ich związku wprawiała go w takie rozdrażnienie, że groziła usunięciem w cień innych spraw. Bezwiednie zaczął rozcierać dłonią bolący kark, starając się zagłuszyć nękające go wyrzuty sumienia.

Zbyt długo nie dopuszczał do siebie faktu, że on również ponosi winę za rozpad małżeństwa. Do tej pory obwinał za wszystko Kathryn, przekonując siebie, że powinna być mu wdzięczną za to, co jej ofiarował: wygodne życie, bezpieczną przyszłość z tytułem szlacheckim i syna, którego uwielbiała. Niecierpliwiły go nadzieje, jakie w nim pokładała, traktując jej tęsknotę za fizyczną miłością jako niedojrzałość, odpowiadając na jej prośby o więcej uczucia z wyrafinowaną obojętnością. Kiedy w końcu zaczęła się od niego odwracać, zareagował jeszcze większym zniecierpliwieniem, tłumacząc sobie jej reakcję brakiem zrozumienia męskiej psychiki oraz dziecięcą urazą i żalując, że nie ma przy nim Reginę. Dopiero kiedy zauważył, jak rozkwita w obecności Paula, i pochwyił ich gorące spojrzenia, dostrzegł w niej kobietę i odkrył ku swej rozpacz, że jest zazdrosny. Przecież jest jego żoną! Nie powinna robić oczu do innego mężczyzny! Wciąż jednak nie chciał się pogodzić z myślą, że on również ponosi odpowiedzialność za to, co się stało.

Dziś po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że traktował Kathryn niesprawiedliwie. To nie jej wina, że nie jest Reginę. Skoro się z nią ożenił, powinien spróbować wyrzucić z myśli dawną kochankę, zamiast wciąż za nią tęsknić i bez przerwy czynić porównania. Nie zrobił tego jednak. Był święcie przekonany, że Kathryn wciąż będzie czołgać się u jego stóp, błagając o miłość i dziękując za ochłapy uczucia, które jej rzucał. Nawet nie dostrzegł momentu, kiedy role się odwróciły.

No cóż, w porządku, odwróciły się, lecz wcale nie był z tego zadowolony. To źle, kiedy żona, którą uważał za swoją prywatną własność, szuka pocieszenia w ramionach innego mężczyzny. Ale to, czego przypadkiem dowiedział się od Celestine, jest tysiąc razy gorsze. Ten człowiek nie tylko zagrażał jego małżeństwu, ale jako brytyjski agent mógł na nich wszystkich ściągnąć nieszczęście. Zrobił z niego podwójnego głupca. Jak on śmiał?! Jak ten drań śmiał?!

Krew zakipiła w nim z wściekłości. Co powinien teraz zrobić? Mógł zrealizować swój pierwotny plan i wyrzucić go z zamku za brak kompetencji. Mógł pójść do ojca i opowiedzieć mu o wszystkim. Ale nie był pewny, czy Guillaume nie weźmie strony Paula. Jego stosunek do kolaboracji wydawał

Janet Tanner

się zmieniać, **od** kiedy Celestine opowiedziała swoją historię. Przy okazji wyszedłby na jaw romans Kathryn z Paulem. Poza tym samo wyrzucenie Paula Curtisa z zamku już mu nie wystarczało. Owładnęło nim silne pragnienie zemsty. Nie, lepiej będzie, jeśli się spokojnie zastanowi i opracuje jakiś plan.

Twarz płonęła mu teraz nienawiścią. Jego czas nadejdzie, a wówczas Paul Curtis pożałuje, że znał kogoś z rodziny de Savigny. Pozostało mu jedynie uzbroić się w cierpliwość i dalej grać swoją rolę. Robił to już tak długo, że stała się jego drugą naturą.

Było późne popołudnie, kiedy Paul wrócił do zamku. Christian zauważył, jak nadjeżdża i zdążył go złapać, zanim wszedł do środka.

- Muszę z tobą porozmawiać. Spotkamy się w stajni. O tej porze nikogo tam nie ma. Przyjdę do ciebie za chwilę.

Paulowi oczy się zwęziły, wiedział jednak, że prowadzenie rozmowy przed zamkiem byłoby lekkomyślnością. Posłuchał więc Christiana i ruszył w stronę stajni. Wybrukowane podwórze połyskiwało w słońcu. W środku panował przyjemny chłód. Paul wytarł chustką spoconą twarz i szyję. Wolałby dziś nie wychodzić - miał nadzieję, że nikt nie zauważył jego zniknięcia - lecz pilne sprawy wymagały jego obecności. Londyn przekazał wiadomość, że wysłała broń i amunicję, o którą prosił, a sądząc po czystym niebie, nastąpi to wkrótce. Koniecznie więc musiał zorganizować odbiór, a do tego potrzebny był Pierre, chłopak, który służył mu za posłańca. Niestety, Pierre poszedł odwiedzić dziewczynę do sąsiedniej wsi, a jego rodzice uparli się, by Paul zjadł z nimi popołudniowy posiłek składający się z chleba i sera. Wszystko to zajęło mu więcej czasu, niż przewidywał.

Zza rogu wyszedł Christian. Poważny wyraz malujący się na jego twarzy zaalarmował Paula.

- Czy coś się stało? - zapytał.

- Był tu von Rheinhardt - wyjaśnił Christian bez ogródek. - Rozmawiał z ojcem i Charlesem.

Wygląda na to, że przechwycili meldunki radiowe i mają zamiar wyśledzić ich źródło.

Paul zaklął.

- To było do przewidzenia. Są na te sprawy wyjątkowo wyczuleni. Ale mogę się bez tego obejść, skoro otrzymaliśmy już wiadomość o zrzucie. Muszę jednak ostrzec mojego radiotelegrafistę, by był teraz szczególnie

RAJSKIE DZIEDZICTWO

195

ostrożny i stale zmieniał miejsce nadawania. Czy mógłbyś to dla mnie zrobić, Christian? Christian skinął głową.

- Co mam zrobić? Zostawić wiadomość w skrytce?

Paul zastanawiał się przez chwilę. Poleciał Pierre'owi, by ten sprawdzał skrytki dwa razy dziennie, bo w każdej chwili mógł nastąpić zrzut. Jeśli zostawią wiadomość teraz, Pierre odbierze ją wieczorem. Tak chyba będzie bezpieczniej dla Christiana. Nie powinien chodzić do ludzi w niedzielne popołudnie, kiedy rodzina de Savignych zażywa odpoczynku i raczej nie odwiedza nikogo we wsi.

- Tak - powiedział. - Włóż ją do tej koło zamku.

- Nie ma sprawy. - Christian potarł brodę palcami. - Mam straszne przeczucie, że zaczyna się robić coraz goręcej.

- Masz rację. Gdyby Niemcy odkryli prawdę, Kathryn i Celestine znalazłyby się w niebezpieczeństwie. Kathryn jest Angielką, a Celestine nosi w sobie żydowskie dziecko. Chciałbym je stąd zabrać, lecz Celestine nie można przeprowadzić przez granicę normalną trasą a Kathryn nie chce iść bez niej. - Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. - Może poleciałyby samolotem? Ma wylądować niedaleko stąd, na skraju doliny. Mógłby je zabrać, gdyby się zdecydowały.

- Myślę, że Celestine się zgodzi - powiedział Christian. - Bardzo boi się o dziecko. Co do Kathryn nie mam pewności.

- Powinna myśleć o Guyu - stwierdził Paul ostro. - Jeśli komuniści spełnią swoją groźbę i zamordują Heydricha, nie wiem, co się tu będzie działo.

- Czy są jakieś wieści o nim?

- Jeszcze się nie pokazał w swojej willi. Domyślam się, że praca zatrzymuje go w Paryżu. Kiedy jednak tu się zjawi, komuniści przystąpią do dzieła. To banda szaleńców.

- Niech ich piekło pochłonie! - Christian wyjął paczkę papierosów

i poczęstował Paula. - Może ja bym porozmawiał z Kathryn i spróbował ją przekonać?

- Dobra myśl. - Twarz Paula ściągnęła się. Od powrotu tak rzadko mieli okazję być sam na sam. Najwyraźniej go unikała. - Powiedz jej, że Guyowi może grozić wielkie niebezpieczeństwo. Powiedz jej też, że Celestine będzie potrzebować kogoś, kto się nią zaopiekuje. Może to zadziała.

- Dobrze. Teraz lepiej już pójdę, bo ktoś nas może zobaczyć. Paul kiwnął głową.

Janet Tanner

- Masz rację. Ale zostawisz wiadomość w skrytce?
- Tak. I porozmawiam z Kathryn i Celestine. Paul położył rękę na ramieniu Christiana.
- Porządny z ciebie facet.
- Muszę coś zrobić, by uratować dobre imię rodziny - powiedział kwaśno Christian.

Christian nie był jedyną osobą, która wybrała się na spacer tego popołudnia.

Charles wciąż nie mógł się uspokoić po tym, co usłyszał od Celestine, i wyszedł z zamku drzemiącego w upale letniego popołudnia. Idąc na przełaj przez pola, zmierzał do miejsca, które od wczesnego dzieciństwa było jego kryjówką. To tu przynosił szkolne podręczniki, by w cieniu drzew spokojnie przygotowywać się do lekcji. Później przychodził tu ze swoją pierwszą przyjaciółką, kuzynką Isabelle, która przyjeżdżała na wakacje, kiedy miał szesnaście lat. Tu poznał smak pierwszego pocałunku i odkrywał tajniki kobiecego ciała. Leżał w słońcu, z rozpiętą do pępka koszulą, rozkoszując się przyjemnym ciepłem na skórze, słodkim zapachem świeżej trawy i ciała Isabelle. Z tego miejsca widać było jak na dłoni zamek i przylegające doń ziemie. Pewnego dnia to wszystko będzie moje, myślał. Fakt ten napawał go dumą i lękiem. Przeszłość i przyszłość wydawały się tu takie bliskie. Wystarczyło wyciągnąć ręce i objąć je. Savigny - dziedzictwo pokoleń, dom jego przodków, który kiedyś będzie domem jego dzieci i ich dzieci. Savigny - obowiązek, jego sukcesja i święty depozyt.

Tego jednak popołudnia, kiedy wspinał się na górę, czuł jedynie rozpacz i nienawiść do samego siebie. Był nieudacznikiem, zawiódł we wszystkim. Ojciec miał rację, że nim pogardzał. Zresztą wszyscy nim gardzili: Kathryn, Christian, a nawet Celestine. Oni wszyscy wiedzieli o tym, o czym on nie wiedział - kim był Paul Curtis. Pewnie wiedzieli też o romansie Kathryn z tym przeklętym człowiekiem i śmiali się z Charlesa za jego plecami. Na myśl o tym pot wystąpił mu na czoło i ogarnęło go palące uczucie wstydu.

Zanim dotarł do kryjówki, nogi odmówiły mu posłuszeństwa, lecz zmusił je do wysiłku, zdecydowany nie zwalniać kroku, dopóki nie dojdzie do kępy drzew. Wtedy dopiero stanął, ciężko dysząc i odchylając głowę do tyłu, by ulżyć napiętym mięśniom ramion. Nieco dalej od miejsca, w którym stał, leżało zwalone drzewo. Usadowił się wygodnie na jednym z konarów i oparł o sękaty pień.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

197

Wokół panował spokój, Słysząc było jedynie ciche kłaskanie świerszczy, bzyczenie pszczoł i much gromadzących się w gałęziach. Trzeba było czegoś więcej niż niemieckiej inwazji, by przerwać ten ciągły ruch, pomyślał uśmiechając się gorzko. Bez względu na to, co działo się na świecie, natura wciąż się odnawiała. Czy jednak jego dzieci będą mogły to zobaczyć? A jeśli Kathryn zechce go opuścić dla Paula Curtisa i zabrać Guya ze sobą? Oczywiście będzie z nią walczył wszelkimi dostępnymi mu środkami. Guy nosił przecież nazwisko de Savigny i nic tego nie mogło zmienić. Lecz kto wie, jak się to wszystko potoczy? Niczego nie można być dziś pewnym. Miał wrażenie, że nagle ugrzązł w ruchomym piasku i nie wie, gdzie postawić nogę, by przestać się zapadać.

Przez dłuższą chwilę siedział wpatrując się w dolinę. Nagle jego uwagę przykuł jakiś ruch na podjeździe przy zamku. To Paul Curtis wracał z jakiejś tajemniczej wyprawy. Zalała go tak silna fala gniewu, że przyćmiła blask słońca. Parszywy drań! Uduśliłby go gołymi rękami. Po chwili znenawidzona postać zniknęła z pola widzenia, lecz on nie ruszał się z miejsca, czekając, aż dojdzie do siebie i nałoży na powrót maskę spokoju.

W pewnym momencie jego oczom ukazała się kolejna postać. Tym razem był to Christian. Poczuł, jak ogarnia go kolejna fala złości. Christian też go oszukiwał, jego i ojca. Tak dobrze mu znane osoby zaczęły nagle odsłaniać swoje sekrety.

Christian najwyraźniej zmierzał w określonym celu. Nie było w tym nic dziwnego, zawsze chodził energicznym krokiem. Ogarnięty manią prześladowczą Charles zaczął obserwować go z rosnącą podejrzliwością. Dokąd on idzie? Przysłonił oczy ręką, by lepiej widzieć. Na kilka minut Christian zniknął za niewielkim wzniesieniem terenu, a kiedy ponownie się ukazał, był już przy alejce graniczącej z parkiem. Tu zatrzymał się i przykucnął przy niskim murze. Charles wytężył wzrok. Cóż on u diabła robi? Zawiazuje sznurowadło? Nie, zdaje się, że robi coś przy murze. Po chwili Christian wyprostował się i ruszył dalej ścieżką. W jego szybkim chodzie Charles wyczuł jednak subtelną zmianę. Zaintrygowało go to i kiedy brat zniknął mu z oczu, wstał z pnia, przeciął na skos wzgórze, kierując się do miejsca, przy którym zatrzymał się Christian.

Na czole wystąpiły mu kropelki potu. Wyciągnął chusteczkę, by wytrzeć twarz i ku swojemu zaskoczeniu spostrzegł, że drżą mu ręce. Gdzieś głęboko poruszył się w nim jakiś nerw, który dotychczas drzemał w ukryciu.

Na pierwszy rzut oka nie dostrzegł nic szczególnego. Rozejrzał się na boki,

Janet Tanner

czy nikt go nie widzi i przykucnął przy murze. Kamienie były stare, porośnięte pnączami i drobnymi chwastami. Zauważył, że jeden z nich różni się nieco od pozostałych. Rośliny w tym miejscu pognieciono, odsłaniając pokruszony tynk. Chwycił kamień palcami i poczuł, że się rusza. Przykucnął niżej i mocniej pociągnął. Wewnątrz, w zagłębieniu, znajdował się zwitek papieru. A więc to jest skrytka, pomyślał podekscytowany. Ci głupcy wykorzystują to miejsce do przekazywania wiadomości. Rozwinął kartkę trzęsącymi się z niecierpliwości palcami. Wiadomość nie była nawet zaszyfrowana. Pewnie ten, kto miał ją otrzymać, nie potrafił posługiwać się szyfrem.

Ostrzeż pianistą, by grał tylko w razie konieczności. Detektory węszą.

Przynajmniej mieli na tyle rozumu, by zachować ostrożność. Może ograniczą swoją działalność, skoro dowiedzieli się, że Niemcy są na ich tropie. Włożył ostrożnie zwitek na miejsce i wsunął kamień. Tym razem zostawił go temu, kto go miał odebrać. Nie chciał, by Christian dowiedział się, że odkrył jego tajemnicę. Ale miał już w głowie gotowy plan. Będzie pilnował tej skrytki. Dzięki temu zawsze będzie o wszystkim wiedział.

Cathryn posłyszała, że Paul idzie korytarzem, i pobiegła do jego pokoju.

- Paul... dzięki Bogu, że jesteś! Tak się o ciebie bałam. Von Rheinhardt był tutaj i...
- Wiem - przerwał jej. - Christian mi powiedział. Nie bój się, wszystko jest pod kontrolą.
- Nie bój się! Łatwo ci mówić. Myślałam, że umrę ze strachu! Wyciągnął rękę,
- Chodź tutaj.

Obejrzała się nerwowo za siebie, choć wiedziała, że Charles wyszedł z zamku.

- Co się stało? - zapytał. - Ostatnio mnie unikasz.
 - Charles wie - szepnęła. - Nie zdążył jeszcze zasnąć, kiedy poszłam do ciebie. Już chciał wyrzucić cię z zamku. Boję się, że jeśli zrobię coś, co go zdenerwuje, spełni swoją groźbę.
- Paul prychnął gniewnie. Nie miał najlepszej opinii o Charlesie.
- Nie przejmuj się tym. Prawdę powiedziałem i tak chciałem odejść. Zrobiło się tu zbyt gorąco.
 - Och me, Paul! Proszę, nie odchodź...

RAJSKIE DZIEDZICTWO

199

- Muszę z tobą porozmawiać, Kathryn. Ale najpierw zrób, co powiedziałem, i podejdź tu. Już tak dawno cię nie całowałem.

Jeszcze raz obejrzała się za siebie, lecz tęsknota pokonała strach. Zamknęła za sobą drzwi i podeszła do niego. Wziął ją w ramiona, przyciągnął do siebie, przesuwając dłońmi po linii pleców i nóg, jak gdyby odkrywał na nowo każde zagłębienie. Położyła mu twarz na ramieniu, po czym uniosła głowę i dotknęła ustami szyi. Ich usta zwały się w głębokim, namiętym pocałunku. Nie zmniejszyło to jednak trawiącego jej niepokoju i zmaćło słodycz tej chwili.

- Posłuchaj, Kathryn. - Odsunął ją lekko od siebie tak, by móc patrzeć jej w oczy. - Wkrótce przyleci tu samolot z bronią. Mogę załatwić, by zabrał na pokład ciebie, Guya i Celestine. Nie musisz odpowiadać już teraz. Wiem, że chcesz odmówić, ale powinnaś pomyśleć o Guyu. I dla Celestine byłoby tak bezpieczniej. Nie musiałyby pokonywać tak ciężkiej trasy. Ale nie może polecieć bez ciebie. Zostałaby sama w obcym kraju, w dodatku z dzieckiem.

Kathryn zawahała się.

- Nie obawiasz się, że Niemcy zwrócą się przeciw rodzinie, jeśli znikniemy?

- Nie wiem. Można powiedzieć, że pojechałaś odwiedzić krewnych czy coś w tym rodzaju.

Rozmawiałem już o tym z Christianem i zgadza się ze mną. Teraz najważniejszy jest Guy i dziecko Celestine. Jeśli innym choć trochę na was zależy, rozumieją.

- Tak. Myślę, że Guillaume i Louise rozumieją. Nie jestem pewna opinii Charlesa, ale... -

Urwała, niezdolna wypowiedzieć tego, co kryła w sercu: że nie obchodzi ją, co Charles pomyśli i co się z nim stanie. Przez chwilę milczała, pogrążona w myślach, po czym skinęła twierdząco głową. - Zgadzam się.

Spojrzał na nią zaskoczony. Spodziewał się kolejnych sprzeciwów. Roześmiała się.

- Nie patrz tak na mnie. Przecież chciałeś, żebym wróciła do Anglii.

- Byłem przekonany, że odmówisz. Dlaczego nagle zmieniłaś zdanie? Wzruszyła ramionami.

- Sama nie wtem... Może dlatego, że miałam czas na zastanowienie. - Nie była to cała prawda.

Istniały sprawy, o których nie chciała jeszcze z nikim mówić. Nawet z Paulem. - A jeśli ktoś

usłyszy samolot? - zapytała. - Czy Niemcy mogą coś podejrzewać?

- To ryzyko, które musimy podjąć.

Janet Tanner

- A jeśli skojarzą to z twoją osobą?

- Jak już mówię, nadszedł czas, aby Paul Curtis odszedł. Kiedy zabierzesz Guya ze sobą, będę miał świetną wymówkę. Nie będę już tu potrzebny, a Guillaume z pewnością przekona władze, że jestem czysty.

- Czy wiesz już, kiedy przyleci samolot?

- **Jeszcze** nie. Ale już wkrótce. Uprzedź Celestine i miej przygotowaną torbę podróżną. Natychmiast dam ci znać, jak tylko będę coś wiedział. Może to nastąpić w ciągu kilku godzin.

- Rozumiem.

- Kocham cię - powiedział. - Kiedy ta wojna się skończy, będziemy razem, obiecuję.

- Mam nadzieję - wyszeptała. - **Ja** też cię kocham, Paul.

Tak bardzo go teraz pragnęła, wiedziała jednak, że w tej chwili to niemożliwe. Ich czas dopiero nadejdzie, jeśli Bóg im pomoże. Przytulił ją, delikatnie masując napięte mięśnie ramion, pocałował, a potem odsunął od siebie łagodnie, lecz stanowczo.

- Bądź dzielna.

Łzy ścisnęły ją za gardło.

- Staram się. Ale to nie takie proste.

- Dasz sobie radę - powiedział. - Wiem o tym. Jesteś wyjątkową kobietą, Kathryn. Nigdy nie przypuszczałem, że mogę kogoś kochać tak jak ciebie. Ale stało się.

- A ja nie wiedziałam, że w ogóle możliwe jest takie uczucie.

- Teraz już wiesz. Reszta to tylko dodatki.

- Chyba tak. Dziwny moment na takie odkrycia.

- To się często zdarza. Kiedy boimy się, że drugiej takiej okazji nie będzie.

- Och Paul...

- Idź już - powiedział cicho. - Idź i porozmawiaj z Celestine. Wyszła. Kiedy został sam, pomyślał: Bogu niech będą dzięki! Przestanę się wreszcie o nią martwić i zajmę się robotą. Jednak nie złagodziło to bólu serca, wiedział bowiem, że za kilka dni już jej tu nie będzie.

Kathryn znalazła Celestine w otoczonym murem ogrodzie. Siedziała na starej kamiennej ławce i wpatrywała się w przestrzeń. Przysiadła obok niej.

- Chyba znalazłam sposób na wyrwanie ciebie i dziecka z łap hitlerowców. Zabiorę cię do Anglii.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

201

Oczy Celestine rozszerzyły się ze zdziwienia i wyglądały teraz jak dwie ciemnoniebieskie kule w bladym owalu twarzy.

- Do Anglii? Ale jak? Oni nigdy na to nie pozwolą.

- Posłuchaj mnie teraz uważnie. Pamiętaj jednak, że nie wolno ci o tym nikomu mówić, ani matce, ani ojcu, nikomu. Przyleci tu angielski samolot z dostawami broni dla ruchu oporu. I właśnie my, ty, Guy i ja, polecimy tym samolotem.

- Och! - Celestine rozważała przez chwilę w myślach tę informację, lecz zamiast zarzucić Kathryn pytaniami, uśmiechnęła się chytrze. - To robota Paula, prawda?

Tym razem Kathryn przyszło się zdziwić.

- Skąd wiesz o Paulu? - zapytała ostro.

- Christian mi powiedział. On jest brytyjskim agentem, prawda?

- Tak. Christian nie powinien być tego mówić.

- Nie bój się. - zaśmiała się trochę nerwowo Celestine. - Możesz mi zaufać. Przecież wiesz, jak nienawidzę szkopów.

- Wiem, jednak... - Urwała. Dalsza dyskusja na ten temat nie miała sensu. Zbyt wiele spraw trzeba było jeszcze omówić. - A więc zgadzasz się?

- Naturalnie, że się zgadzam. Och, Kathryn, nawet sobie nie wyobrażasz, jaka to ulga nie musieć się martwić, że Niemcy odkryją pochodzenie dziecka. Pomyśleć, że może urodzić się w wolnym kraju... Nie wyobrażasz sobie, ile to dla mnie znaczy.

Kathryn miała już na końcu języka, że doskonale ją rozumie i że myśli dokładnie tak samo.

Odkryła bowiem niedawno, że jest w ciąży.

Minęło sporo czasu, zanim rozpoznała objawy. Początkowo ciągle mdłości tłumaczyła napięciem, w jakim żyje, chociaż powinna się od razu domyślić, bo właśnie tak się czuła, kiedy miała urodzić Guya. Nawet nie zauważyła, że nie pojawiła się miesiączka. Nigdy nie zwracała sobie głowy liczeniem dni. Pewnego dnia obudziła się i zaczęła się zastanawiać, kiedyż to miała ostatni okres. Usiłowała skojarzyć go sobie z jakimś wydarzeniem i w końcu doszła do wniosku, że musiało to być prawie dwa miesiące temu. Ogarnięta paniką, zaczęła oglądać ciało w poszukiwaniu charakterystycznych oznak i zauważyła, że piersi zmieniły kształt, brodawki stwardniały i ściemniały, a same piersi stały się pełniejsze i bardziej wrażliwe. Teraz nie miała już wątpliwości.

Przyglądała się sobie w lustrze, zbyt zaskoczona, by spokojnie się nad tym zastanowić.

Pierwsza ciąża była dla niej spełnieniem marzeń, okresem radosnego oczekiwania. Teraz czuła jedynie lęk. Obecny świat zdominowany

Janet Tanner

przez strach i przemoc nie nadawał się do rodzenia dzieci. A co gorsza, nie miała pewności, kto jest ojcem poczętej w niej istotki. Chciała wierzyć, że Paul. Wyjeżdżając, zabrałaby ze sobą jego cząstkę. Nie mogła jednak stwierdzić tego z całą pewnością. Zbyt dobrze pamiętała chwilę, kiedy Charles wziął ją siłą. Guy urodził się w pierwszym roku ich małżeństwa. Bardzo prawdopodobne, że to Charles jest ojcem dziecka.

Nękana wątpliwościami i niepewnością postanowiła zachować wszystko w tajemnicy. Co by to dało, gdyby komuś o tym powiedziała? Czy rozproszyłoby to jej wątpliwości? Bardzo chciała powiedzieć o tym Paulowi, ale czyż mogła w tej sytuacji? On i tak miał dość spraw na głowie. Poza tym, gdyby mu powiedziała, musiałaby też wyjawiać ten odrażający epizod z Charlesem. Jeśli zaś chodzi o niego, to nie miała ochoty niczego mu wyjawiać. Czuła do niego zbyt wielki wstręt i niechęć, by dzielić się z nim jakąkolwiek wiadomością tym bardziej taką.

Oczywiście nie na długo zda się ukrywanie swojego stanu. Wkrótce wszyscy to zauważą. Cóż więc ma robić? I wtedy, jakby odpowiadając na jej pytanie, Paul zaproponował lot do Anglii. Nagle wszystko stało się proste. Kiedy wyjedzie z Savigny, będzie mogła spokojniej odetchnąć, a dziecko, bez względu na to, kto jest jego ojcem, urodzi się w wolnym kraju. Anglia nadal była w stanie wojny, lecz grożące tam niebezpieczeństwa były jasno określone i daleko znośniejsze od niedostatków i niepewności okupowanej Francji. Poza tym, gdyby została, dziecko mogłoby w ogóle nie przyjść na świat. W końcu współpracowała przecież z ruchem oporu. Gdyby to wyszło na jaw, jej szanse na przeżycie były znikome.

Nie wyjawiała jednak na głos żadnej z tych myśli.

- Weź ze sobą jedynie niezbędne rzeczy - przykazała dziewczynie. - Nie za wiele, bo nie można obciążać samolotu.

- I tak większość moich rzeczy została w Paryżu. - Głos Celestine brzmiał prawie wesoło. - Liczy się dla mnie jedynie to, co noszę tutaj.

Poklepała się po brzuchu z radością i dumą. Jakże prosta jest jej skala ważności, pomyślała z zazdrością Kathryn.

- Oczywiście to może być niebezpieczne - ostrzegła ją - Samolot może zestrzelić artyleria przeciwlotnicza.

- Nic się nie stanie - powiedziała Celestine. - Jestem tego pewna. Och, Kathryn, to najlepsza wiadomość, jaką otrzymałam od czasu tego koszmaru w Paryżu. - Przez jej twarz przebiegł cień. Machinalnie powiodła ręką po

RAJSKIE DZIEDZICTWO

203

prostych ciemnych włosach. - Ale co z ojcem i matką? Nie będę mogła nawet się z nimi pożegnać.

- Na pewno cię zrozumieją. Przy odrobinie szczęścia wojna wkrótce się skończy i znowu będziemy razem.

Celestine kiwnęła głową.

- Co zrobimy, kiedy znajdziemy się w Anglii?

- Pojedziemy do moich rodziców i zostaniemy u nich jakiś czas. Mieszkają na wsi, z dala od spadających bomb. Przynajmniej mam taką nadzieję. - Uścisnęła Celestine, - Bądź gotowa, jak tylko ci powiem. I pamiętaj, nikomu ani słowa, nawet Christianowi.

Celestine oddała jej uścisk.

- Przrzekam. Nie zawiodę cię, Kathryn. Wiesz co? Charles nawet nie wie, jaką ma wspaniałą żonę.

Kathryn uśmiechnęła się kwaśno.

- Nie jestem pewna, czy zgodziłby się z tobą - odpowiedziała. Ta uwaga kryła w sobie wiele znaczeń.

Codziennie idąc do destylarni Charles sprawdzał skrytkę w murze. Co wieczór w drodze do domu ponownie do niej zaglądał. Za każdym razem jednak musiał wymyślać jakąś wymówkę, bo chciał iść sam. Christian nie miał nic przeciwko temu, bo miał podobne zamiary, co bardzo się Charlesowi **nie** podobało, natomiast z ojcem było trochę trudniej. Ale jakoś sobie radził. Sprawdzanie skrytki stało się jego obsesją.

Przez kilka kolejnych dni otwór za kamieniem pozostał pusty i Charles zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie zmienili skrytki. Byłoby to mądre posunięcie, a dolina między zamkiem a wsią dawała ku temu wiele możliwości.

W końcu pewnego wieczoru jego palce wyczuły zwitek papieru. Drżąc z podniecenia wyciągnął go i rozwinął. Wiadomość okazała się prosta i nie zaszyfrowana.

Nasłuchiwać wiadomości: Le bébé s'appelle Beau. Akcja tej samej nocy.

Oczy mu się zwięziły. Tak więc, pomimo jego ostrzeżeń, zaplanowano jakąś akcję i to wkrótce. Jeśli do niej dojdzie, von Rheinhardt wpadnie we wściekłość. Charles nie miał wątpliwości, że jego zemsta będzie straszna. Chyba że złapano by winowajców. Włożył kartkę z powrotem na miejsce, przykrył kamieniem i ruszył do domu, pogrążony w myślach. Już wcześniej

Janet Tanner

postanowił, że bez żadnych skrupułów wyda Pauta Niemcom. Ocali w ten sposób życie niewinnych ludzi i zadowoli żądzę zemsty. Ten drań zrobił z niego głupca i zapłaci mu za to. Najlepiej by było przyłapać go na gorącym uczynku. A więc trzeba samemu nasłuchiwać teraz informacji: *Le bébé s'appelle Beau*, a potem ostrzec von Rheinhardta, że coś się szykuje. Tego wieczoru o siódmej poszedł do małego pokoju, który służył mu za gabinet, i nastawił radio na stację BBC. Wiedział, że jest to czas nadawania takich wiadomości. Słuchał już ich przedtem; brzmiały jak zaszyfrowana składanka, a w ostatnich miesiącach ich liczba dramatycznie wzrosła. Najwidoczniej połowa Francji działała już w ruchu oporu, włączając w to jego brata, który stanowił poważny problem. Charles nie chciał, aby aresztowano Christiana. Musi dopilnować, aby nie brał w tym udziału. Jeśli chodzi o innych... no cóż, dostaną to, na co sobie zasłużyli.

Z zimną krwią, bez cienia skrupułów, zaczął opracowywać swój plan.

Guy biegał po ogrodzie z szeroko rozłożonymi ramionami i głośno buczał, naśladując warkot samolotu.

Obserwując go, Kathryn z trudem powstrzymywała się, by nie krzyknąć, żeby przestał. Nerwy miała napięte do ostatnich granic przedłużającym się oczekiwaniem i wydawało się jej, że za chwilę wszyscy się dowiedzą, co ma zamiar zrobić.

Oczywiście jej obawy były bezpodstawne, bo przecież Guy o niczym nie wiedział. Po prostu bawił się w samolot, a za chwilę pewnie będzie się bawił w gospodarstwo. Jednak nie uspokoiło to jej nerwów.

- Kathryn.

Uniosła głowę zaskoczona i zobaczyła stojącego obok Paula. Musiał przyjść tu ścieżką ocienioną gęstymi krzewami, a trawa stłumiła jego kroki.

- Przestraszyłeś mnie.

- Przepraszam. Posłuchaj, przed chwilą odebrałem przez radio wiadomość. Jeśli zostanie powtórzona wieczorem, będzie to znaczyć, że zrzut nastąpi dziś w nocy.

- Rozumiem.

- Poleciałem Albertowi, by czekał z furgonetką przy bramie o dwudziestej trzeciej trzydzieści. Nie ma sensu, abyś szła z Guyem przez pola. Przekażesz Celestine wiadomość?

RAJSKIE DZIEDZICTWO

217

- Dwudziesta trzecia trzydzieści, to znaczy wpół do dwunastej?

- Tak. Musicie być punktualnie, nie możemy czekać.

- Będziemy. - Serce zaczęło jej walić jak oszalałe. Po tak długim czekaniu trudno było uwierzyć, że w końcu nadszedł ten czas. Jak ona zniesie rozstanie z nim? Spojrzała na tę twarz, którą kochała tak głęboko, że aż trudno było w to uwierzyć i poczuła, że serce wyrywa się jej z piersi. Gdyby mogła powiedzieć mu o dziecku. Gdyby tylko mogła być pewna, że zabiera ze sobą jego część.

Aż do tej chwili myślał jedynie o sprawach organizacyjnych. Teraz, widząc jej wzrok, poczuł, jak serce mu się ściska.

- Kathryn, proszę cię - powiedział. - Pewnego dnia będziemy razem, obiecuję.

Delikatnie odsunął jej włosy z twarzy, pozwalając palcom zatrzymać się w zagłębieniu szyi.

Przykryła ręką jego dłoń, a on po chwili odwrócił ją i splótł jej palce ze swoimi. W tym drobnym geście zawierała się cała głębia ich uczucia, jak gdyby tam właśnie, w miejscu, gdzie stykały się palce, skupiło się całe ciepło, wrażliwość i obopólne zrozumienie. Przytuliła się do niego, zapominając o otaczającej ją rzeczywistości i przenosząc się w świat, gdzie istnieli tylko oni. Ich usta odnalazły się i przywarły do siebie z pełną żaru rozpaczą. Wiedzieli, że ich czas się kończy i wkrótce nie będą mogli dzielić nawet sekretnie rzucanych spojrzeń czy przelotnego uścisku.

- Kocham cię - wyszeptała, a jej oddech brzmiał jak westchnienie. - Będziesz na siebie uważał? Obiecujesz?

- Nic mi się nie stanie. - Oboje wiedzieli jednak, że tej obietnicy może nie móc dotrzymać.

- Mamusiu!

Głos Guya przerwał chwilę zapomnienia. Odwróciła się i zobaczyła, że stoi z ramionami rozłożonymi jak skrzydła samolotu i twarzą na której malowało się zakłopotanie. Poczła gwałtowny przyptyw winy. Co zdążył zobaczyć?

- Guy... przestraszyłeś mnie!

Przyglądał im się z poważną miną przenosząc wzrok z jednego na drugie. Nie mógł pojąć, dlaczego siedzą tak blisko siebie. Nigdy nie widział, żeby mama była tak blisko kogoś. Do tej pory tylko jego tuliła. Poczł coś w rodzaju zazdrości, lecz nie trwało to długo. Zniknęło równie szybko, jak się pojawiło, podobnie jak ciekawość wywołana tym niecodziennym dla niego widokiem.

218

Janet Tanner

- Proszę popatrzeć, *monsieur* Paul! - wykrzyknął. - Jestem samolotem!

- Naprawdę? - Głos Paula brzmiał równie spokojnie jak zawsze. Tylko Kathryn była w stanie usłyszeć szorstką nutę zdradzającą jego uczucia.

- Tak... Proszę popatrzeć!

I pobiegł w głąb ogrodu, zataczając wielkie koło.

- Widział nas - powiedziała Kathryn.

- Nie szkodzi. Pewnego dnia będzie musiał się do tego przyzwyczaić. Roześmiała się nerwowo.

- Chyba tak.

Te słowa podniosły ją na duchu. Na chwilę zatopiła się w marzeniach o przyszłości, gdzie nie będzie strachu, udawania i rozstań. Chwyliła się tej iluzji, bo bardzo potrzebowała odwagi, by znieść to, co ją wkrótce czekało.

Rozdział szesnasty

Gdy Paul zszedł tego wieczoru na dół na posiłek, jego oczy odnalazły Kathryn i dały jej lekki, prawie niedostrzegalny znak. Żołądek podszedł jej do gardła. A więc dziś w nocy.

Siadając do stołu, nerwowo przebiegła w myślach wszystko, co przygotowała do zabrania: torbę z niezbędnymi rzeczami, czyste spodenki dla Guya i ciepły sweter, w który go ubierze, gdy nadejdzie czas, by go zbudzić i wyprowadzić z domu. Całe szczęście, że Charles spał teraz w swoim pokoju. Gdyby nadal dzielili małżeńską sypialnię, miałyby kłopoty z wymknięciem się. Spojrzała na Celestine i spostrzegła, że jej również udzieliło się zdenerwowanie. Na bladej twarzy malowało się wyraźne podniecenie.

- Dziś w nocy - szepnęła jej do ucha, pochylając się, by wziąć sól; posłyszała, jak szwagierka wstrzymuje oddech.

Czy Celestine pomyślała o tym, że jest to ich ostatnia wspólna kolacja? Chyba nie. Dla niej była to jedynie czasowa ucieczka. Kiedy alianci wyrzucą hitlerowców z jej ukochanej Francji, wróci do domu i wszystko będzie jak dawniej. Ona zaś, bez względu na rezultat wojny, nie wróci już do Savigny. Ten etap życia uznała za zakończony i przyjęła to bez żalu. Nigdy zresztą nie uważała Savigny za swój dom, nawet wówczas, kiedy była zakochana w Charlesie. Teraz czuła jedynie ulgę, że gra wreszcie dobiega końca. Mimo to dziwnie było siedzieć razem z nimi, wiedząc, że rytuał, do którego zdążyła przywyknąć, wkrótce przejdzie do przeszłości.

W trakcie posiłku rzuciła Paulowi ukradkowe spojrzenia, ale on unikał jej wzroku. Za to Charles za każdym razem, kiedy unosiła głowę, intensywnie się w nią wpatrywał, a wyraz jego twarzy sprawił ją w lekkie zdenerwowanie.

220 Janet Tanner

Wyglądał, jakby pożerał ją oczyma - to znaczące spojrzenie, to skrzywienie warg, które można było wziąć za uśmiech, jeśli się nie dostrzegło wyrazu oczu. Czyżby Guy powiedział mu o tym, że zastał ją w objęciach Paula? Z pewnością był zbyt mały, aby wyciągnąć z tego odpowiednie wnioski. „Widziałem, jak mamusia całuje *monsieur* Paula” - tak najwyżej mógł powiedzieć. Ale wobec tego Charles powinien wyglądać na rozgniewanego, a nie na... triumfującego. Odepchnęła od siebie tę myśl. Nie ma sensu teraz się tym martwić. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za kilka godzin opuści na zawsze Savigny i Charlesa.

Posiłek przebiegał jak zwykle wolno i spokojnie. Od lat rodzina de Savignych znajdowała przyjemność w dobrym jedzeniu i winach, które pojawiały się na stole. Mimo że teraz serwowane dania były niezwykle skromne, zwyczaj celebrowania kolacji nie zmienił się. Kathryn co chwila spoglądała na piękny zegar stojący na kominku i doszła do wniosku, że robi jej kawały. Czasami wskazówki ledwo posuwały się do przodu, a czasami pokonywały następne pół godziny z przerażającą szybkością. Gardło miała ściśnięte ze zdenerwowania, a usta tak suche, że z trudem mogła przełykać. Popijała małymi łykami wino i żałowała, że nie może wypić więcej. Wiedziała, że powinna mieć umysł jasny, a nie zamroczony alkoholem, bez względu na to, jak uspokajająco działał na nerwy. Zamiast tego napełniła kieliszek wodą z karafki, świeżą i lodowato zimną, pomimo panującego na dworze upału. Jednocześnie spostrzegła, że Charles znowu się jej przygląda.

- Pijesz wodę? - zdziwił się, przeciągając zgłoski. - To do ciebie niepodobne.

Oblała się rumieńcem.

- Czemu nie miałabym się napić wody?

- Nie ma w tym nic zdrożnego, tyle że zwykle wolałaś wino.

- Dziś wieczór mam ochotę na wodę. Ktoś mógłby wywnioskować z twoich słów, że jestem alkohol iczką.

- Nic podobnego, moja droga. Musisz jednak przyznać, że francuskie zwyczaje bardzo przypadły ci do gustu.

Wszyscy zdawali sobie sprawę z istniejącego między nimi napięcia. Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy, po czym Charles zwrócił się do brata.

- Co byś powiedział na partię szachów, Christianie? Dawno już ze sobą nie graliśmy. Może zagralibyśmy po kolacji?

Kathryn poczuła ponowny ucisk w gardle. Odkąd Paul poinformował ją

RAJSKIE DZIEDZICTWO

209

o nocnej akcji, nie miała okazji porozmawiać o tym z Christianem i zapytać, czy bierze w niej udział. Jeśli tak, to gra w szachy utrudni mu sprawę. To prawda, że ostatnio rzadko ze sobą grywali, a jeśli już zasiadali do stolika, to gra przeciągała się do późnych godzin nocnych. Ku jej zdziwieniu Christian twierdząco skinął głową, po czym wziął w palce kawałek chleba i zaczął toczyć z niego kulkę.

- W porządku, zgadzam się. O ile pamiętam, kiedy ostatni raz graliśmy ze sobą pokonałeś mnie. Dziś moja kolej.

Postawa Christiana uspokoiła nieco Kathryn, a kiedy parę chwil później ich spojrzenia się spotkały i mrugnął do niej znacząco, zrozumiała, że jego uczestnictwo w akcji nie jest konieczne. Skorzysta z nadarzającej się okazji

1 dopilnuje, aby Charles był odpowiednio długo zajęty.

Kiedy kolacja dobiegła końca, a dzbanek z kawą został opróżniony, Kathryn wstała od stołu.

- Jeśli pozwolicie, pójdę już się położyć. Celestine również odsunęła krzesło.

- Ja też. Jestem bardzo zmęczona.

Głos jej lekko drżał i Kathryn zauważyła, że trzęsą się jej ręce, kiedy oparła je o błyszczącą powierzchnię stołu. Miała nadzieję, że nikt tego nie spostrzegł, a jeśli nawet, to wytłumaczą to sobie stanem psychicznym Celestine. Od powrotu do domu bardzo się zmieniła i trudno było uwierzyć, że jest tą samą dziewczyną która przed dwoma laty wyjechała do Paryża pełna radości życia i nadziei na przyszłość.

Kathryn podeszła do Charlesa i pocałowała go lekko w policzek, jak to czyniła od czasu ochłodzenia się ich stosunków. Ten dowód przywiązania nie oszuka! nikogo, może z wyjątkiem Louise.

- Dobranoc. Pewnie będę już spała, jak skończycie grać.

- Na pewno - odpowiedział oschle. - Położę się spać w garderobie, żeby cię nie budzić.

Cóż za szczęśliwy traf! Kathryn podziękowała opatrności za to, że wybrał właśnie ten wieczór na grę z Christianem. Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, Celestine chwyciła ją za ramię.

- A więc dziś w nocy?

- Tak. Bądź przy bramie o wpół do dwunastej i na litość boską nie spóźnij się. Albert nie będzie czekać. 1 tak już sporo ryzykuje przyjeżdżając po nas.

- Wiem. To ze względu na mnie, prawda?

Janet Tanner

- Ze względu na ciebie i na Guya.

- Nie martw się, będę na pewno. Jestem gotowa pójść tam już teraz.

- Nie możesz tego zrobić. Jeszcze zwrócisz na siebie uwagę. Gdyby przejeżdżał tamtędy patrol i zobaczył cię po godzinie policyjnej... - Zadrżała na myśl o konsekwencjach,

- Wiem - powtórzyła Celestine. - Nie jestem głupia.

Jej głos zabrzmiał ostro, lecz Kathryn nie poczuła się urażona. Napięcie, w jakim żyły, u każdego mogło wywołać równie gwałtowną reakcję.

Zostawiła Celestine przy drzwiach do jej pokoju i poszła korytarzem d i swojego skrzydła, zaglądając po drodze do pokoju Guya. Spał głęboko z jedną ręką schowaną pod kołdrą, a drugą na wierzchu i z kciukiem w buzi. Guy zawsze ssał kciuk, kiedy był zmęczony lub senny i chociaż próbowała wszystkiego, od gorzkich liści aloesu po owijanie palca, by odzwyczaić go od tego, nic nie skutkowało.

- Lubię ssać palec - odpowiadał z bezsporną logiką.

Serce jej topniało, kiedy patrzyła, jak śpi. Boże, spraw, aby wszystko poszło dobrze, modliła się w duchu. Wiedziała, że podjęła słuszną decyzję. Francja jęcząca pod niemieckim butem nie była odpowiednim miejscem dla małego dziecka, a zwłaszcza dla półkrwi Anglika. Gdyby sytuacja przybrała zły obrót, Guy znalazłby się w takim samym niebezpieczeństwie, jak nie narodzone dziecko Celestine. Nie chciała nawet myśleć o tym, co mogłoby się stać.

Kiedy znalazła się w swoim pokoju, sprawdziła jeszcze raz przygotowaną uprzednio torbę, zawierającą jedynie niezbędne rzeczy, a także kilka osobistych drobiazgów, które chciała ze sobą zabrać: rysunki Guya, swoje świadectwo urodzenia, dokumenty i kolczyki, które dostała od matki na dwudzieste pierwsze urodziny. Pierścionek zaręczynowy i biżuterię podarowaną jej przez Charlesa włożyła do szkatułki i zostawiła w widocznym miejscu na toaletce. Chciała, by Charles zobaczył, że je zostawiła. Potem wyjęła czarną jedwabną bluzkę, spodnie i żakiet, rozebrała się do bielizny i położyła do łóżka, przykrywając się prześcieradłem. Pozostało już tylko czekać.

Piętnaście po jedenastej wstała, ubrała się i wymknęła z pokoju, zaglądając po drodze do garderoby Charlesa. Jego łóżko wciąż było puste. Pół godziny temu słyszała kroki Paula na korytarzu. Stare drewniane deski zaskrzypiały

RAJSKIE DZIEDZICTWO

211

cicho pod jego ciężarem, ale od strony garderoby Charlesa nie dobiegł żaden dźwięk.

Widocznie razem z Christianem nadal rozgrywał partię szachów.

Dom pogrążony był w ciszy i ciemnościach, jedynie czasami skrzypnęła gdzieś deska. Pod drzwiami Paula zatrzymała się, trawiona pragnieniem, by wejść do środka pod pretekstem zapytania, czy wszystko w porządku, a tak naprawdę pragnąc ostatni raz znaleźć się w jego ramionach. Powstrzymała się jednak. Jakiegokolwiek odchylenia od planu mogły wywołać kłopoty. Guy pogrążony był we śnie. Uklękła przy jego łóżku i potrząsnęła nim lekko.

- Guy, kochanie, obudź się.

Poruszył się. Odrzuciła kołdrę i uniosła go do pozycji siedzącej, cały czas przemawiając do niego cicho i łagodnie.

- Wyruszamy na przygodę, kochanie. Tylko musisz być bardzo cicho. Ubiorę cię, a potem pójdziemy zobaczyć samolot. Chciałbyś go zobaczyć?

- Mamusiu... chce mi się spać. - Głos miał schrypnięty od snu.

- Ciii! Ani słowa, pamiętaj! Podnieś rączki... zdejmujemy piżamkę... o tak, greczny chłopiec.

Wciągnęła mu sweter przez głowę, zapięła spodenki i wsunęła stopy w sandaalki. Stał jak wypchana lalka, zgadzając się na wszystko, trąc małymi piąstkami zaspane oczy.

Spojrzała na zegarek. Dobudzenie go i ubranie zajęło jej więcej czasu, niż planowała.

Wskazówki, które jeszcze przed chwilą wydawały się stać w miejscu, dostały nagle skrzydeł.

- Chodź, kochanie, idziemy...

Otworzyła ostrożnie drzwi i wyjrzała. Wszędzie panowała cisza. W jedną rękę wzięła torbę, w drugą chwyciła Guya i poprowadziła go w dół korytarzem. Szedł potykając się, jeszcze niezupełnie rozbudzony. Miała ochotę wziąć go na ręce, ale nie dałaby rady znieść i jego, i torby tylnymi krętymi schodami. Był duży jak na swój wiek, a stopnie nierówne, wołała więc nie ryzykować. Nerwy miała napięte jak struny. A gdyby Charles skończył grać z Christianem i wrócił do pokoju? Nie natknęłaby się na niego, bo wracałby głównymi schodami, ale zawsze mógł zajrzeć do pokoju jej lub Guya i zobaczyć, że ich nie ma.

Rygiel przy drzwiach kuchennych był odsunięty, co oznaczało, że Paul albo Celestine musieli już tędy przejść. Otworzyła drzwi najciszej jak mogła i wyprowadziła Guya na wąskie podwórko. Księżyc świecił jasno, lecz tu grube mury zamku rzucały wielkie cienie i w powietrzu unosił się ciężki zapach kapryfolium. Zamknęła za sobą drzwi i ponownie wzięła Guya za rękę.

212 Janet Tanner

- No chodź, kochanie. Czyż to nie wspaniała zabawa? - kusił synka. Jakaś postać wyszła z cienia i serce Kathryn podskoczyło do gardła. Z ulgą rozpoznała Paula. Musiał na nią czekać przy jednej z bram.

- Paul! Ale mnie przestraszyłeś!

- Przepraszam. Pomyślałem, że możesz potrzebować pomocy.

- *Monsieur* Paul? - zapytał Guy ze zdziwieniem.

- Ciii! Musisz być cicho, Guy!

- Przejdziemy przez park - powiedział półgłosem Paul. - Księżyc jasno świeci i z domu podjazd byłby zbyt widoczny. Chodź, Guy, wezmę cię na barana.

Bez trudu uniósł chłopca w górę i posadził go sobie na ramionach. Ruszyli przez gęstą trawę, niewiele się odzywając, starając się nie wychodzić z cienia do momentu, kiedy drzewa zasłoniły okna zamku. Paul nadawał szybkie tempo. Zanim doszli do głównej alei, Kathryn z trudem łapała oddech.

- Mam nadzieję, że Celestine się nie spóźni - wydyszała.

- Jeśli się spóźni, będziemy musieli ją zostawić. - W głosie Paula zabrzmiał twardy ton.

Paul-mężczyzna i Paul-agent to byli dwaj różni ludzie. Jednak kochała ich obu. Mimo to modliła się gorąco, by Celestine przyszła na czas, bo nie miała wątpliwości, że Paul zrealizuje swoją groźbę.

Kiedy skręcili w aleję, Celestine czekała już na nich, ukryta w cieniu.

- Dzięki Bogu! Myślałam, że już nigdy nie przyjdziecie! - przywitała ich drżącym z emocji głosem.

- Stoję tu całe wieki.

- Nikogo nie widziałas? - zapytał Paul ostro.

- Nie, jest cicho jak w grobie... - Urwała, uświadamiając sobie dziwaczność porównania.

Paul zdjął Guya z ramion i posadził go na torbie Kathryn tuż pod niskim murem. Chłopczyk przytulił się dla pewności do nogi Kathryn.

- Wiecie obie, co macie robić? Kiedy Lysander przyleci, trzymajcie się od niego z dala, dopóki wszystkiego nie wyładujemy. Bądźcie jednak w pogotowiu, bo zaraz po tym spuszczą drabinę i wówczas wsiądziecie tak szybko, jak to możliwe. Pilot nie będzie czekał ani minuty dłużej, niż to konieczne. - Spojrzał na zegarek. - Albert powinien tu być lada moment.

Ledwie skończył, usłyszeli szum samochodu głośno brzmiący w panującej wokół ciszy.

- To może być on. Ale ukryjcie się na wszelki wypadek.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

225

Wycofały się do cienia. Kathryn objęła mocno Guya. Furgonetka zatrzymała się przy bramie. Był to Albert. Paul podskoczył i otworzył tylne drzwi.

- Wsiadajcie szybko. Połóżcie się **na** podłodze, na wypadek gdyby pojawił się patrol.

Zrobiły, co powiedział, gramoląc się do ciemnego wnętrza pachnącego tanim smarem i zgniłymi warzywami. Paul usiadł na miejscu obok kierowcy i ruszyli trzęsąc się na nierównej drodze.

- A więc jedziemy - odezwała się Kathryn niepewnym głosem.

Ani Celestine, ani Guy, teraz już całkowicie rozbudzony, z szeroko otwartymi oczyma i przerażony napięciem, które wyczuwał u dorosłych, nie odezwali się słowem.

Na szczycie wzgórza stał z wygaszonymi światłami niemiecki samochód patrolowy. Siedzący w nim żandarmi obserwowali podskakującą na wybojach furgonetkę, która skręciła na wschód, kierując się ku polom leżącym na terenie nie okupowanej części kraju.

- Ruszamy? - zapytał jeden z Niemców.

- Nie. Mamy za nimi jechać i pozwolić, by spotkali się z innymi. Jedna szprotka może nas doprowadzić do całej ławicy makreli.

Zaśmiali się, po czym jeden z nich sięgnął po radiotelefon. Zapowiadała się ciekawa noc.

Zazwyczaj godziny od zmroku do świtu ciągnęły się w nieskończoność, wszędzie panował spokój i nic się nie działo.

- Kierują się w waszą stronę - powiedział do słuchawki. - Za minutę powinniście ich zobaczyć.

Przepuście ich i jedźcie za nimi w bezpiecznej odległości. Chcemy wiedzieć, dokąd jadą.

- Tak jest - **rozległa się odpowiedź**. - Tak... już ich widzę.

Nie zdając sobie sprawy z tego, że jest obserwowany i śledzony, Albert kierował się w stronę pola, na którym miał wylądować Lysander.

Miejsce lądowania znajdowało się tam, gdzie kiedyś Paul został postrzelony. Albert wjechał w prześwit między zaroślami, wyłączył silnik i światła. Gdy Paul ujrzał czekających na niego ludzi zbitych w gromadkę, palących papierosy i posilających się chlebem i kiełbasą, doznał wrażenia, że już raz to widział. Na twarzach mężczyzn pojawił się wyraz zaskoczenia na widok Celestine, lecz powstrzymali się od komentarzy.

Janet Tanner

- No to jesteśmy spokojni, skoro jest pan z nami, przyjacielu - zwrócił się jeden z nich do Paula. Po kilku niefortunnych doświadczeniach angielska eskadra lotnicza zastrzegła sobie, żeby akcją kierował wyszkolony agent.

Pomimo zdenerwowania Kathryn poczuła dumę, przyglądając się, jak Paul obejmuje dowództwo, sprawdza kierunek wiatru i wyznacza pozycje lamp, które pozwolą samolotowi wylądować i dokonać zwrotu. Teraz pozostało jedynie czekać.

- On przyleci, prawda? - zapytała szeptem Paula.

- Oczywiście, że tak!

Oboje jednak wiedzieli, że niczego nie można być pewnym. Zły kurs, zmiana kierunku wiatru, niemiecka artyleria przeciwlotnicza strzegąca francuskich wybrzeży - na samolot czyhały w drodze te i inne niebezpieczeństwa. Jeśli nie przyleci, to co wtedy? Nie pozostanie jej nic innego, jak wrócić do zamku, do Charlesa, który pewnie już się zorientował, że ich nie ma, jakoś namówić Guya, by nie pisał słówkiem na temat ich nocnej przygody, zaplanować wszystko od nowa i jeszcze raz przez to przejść. Nie zniosłaby tego.

Nagle w ciszę wdarł się warkot silnika samolotowego. Kathryn odwróciła się w stronę, z której dochodził dźwięk, i zobaczyła, jak nadlatuje, pikując niczym wielki ptak ponad wierzchołkami drzew.

Spojrzała na Paula trawiona sprzecznymi uczuciami: ulgą, że samolot jednak przyleciał, i rozpaczą że oto nieubłagane zbliża się moment rozstania. Zapragnęła nagle po raz ostatni znaleźć się w jego ramionach, ale Paul już odszedł, wcielając się w rolę agenta, która czyniła go dla niej obcym.

Dal pilotowi umówiony znak latarką a kiedy ten powtórzył sygnał, zapaliły się trzy lampy.

Samolot przeleciał nad polem, sprawdzając teren, po czym ustawił się zgodnie z kierunkiem wiatru. Kathryn wydawało się, że leci już bardzo nisko i objęła mocno Guya, który skakał w górę podekscytowany.

- Widzisz... mówiłam, że zobaczymy samolot - powiedziała, lecz jej głos utonął w warkocie silnika. Lysander wykonał obrót i leciał teraz w ich stronę, opadając szybko w dół. W końcu dotknął ziemi, zatrząsł się lekko na nierównym terenie i rozpoczął hamowanie, najpierw łagodnie, potem coraz gwałtowniej, kiedy druga lampa przeszła mu pod lewym skrzydłem i rósł szybko pas drzew. Następnie maszyna obróciła się i ustawiła tyłem do punktu lądowania. Pole zaroilo się teraz od ludzi. Wszyscy podbiegli do samolotu, by pomóc przy wylądunku. Kathryn zobaczyła, że Paul wspina się do kabiny pilota,

RAJSKIE DZIEDZICTWO

215

a chwilę później, kiedy wszystkie pudła znalazły się na ziemi, machnął ręką w jej kierunku.

- Czas na nas.

Ruszyły biegiem przez pole. Kathryn mocno ścisnęła w dłoni rączkę Guya. Paul zeskoczył na ziemię, a ona, nie zważając na to, że wszyscy patrzą rzuciła się w jego ramiona. Przytulił ją mocno i pocałował. W tym momencie czas jakby się dla nich zatrzymał.

- Uważaj na siebie, najdroższy.

- Ty również. Kocham cię, Kathryn.

- I ja cię kocham...

Zajęci sobą nie zauważyli zbliżających się świateł na drodze, a ryk samolotowych silników zagłuszył skutecznie szum samochodów. Dopiero krzyk Alberta przywrócił ich rzeczywistości. Odskoczyli od siebie. W tej samej chwili rozpętało się piekło.

Na zawsze pozostanie jej w pamięci scena totalnego chaosu, koszmar, który nagle się urzeczywistnił, a który wciąż będzie do niej wracać: samochody wjeżdżające na pole, uciekający ludzie, krzyki, wrzaski i strzelanina. Niektórzy z uczestników akcji rzucili się w stronę drzew. Wiedzieli, że nie mają żadnych szans przy tak dużej liczbie Niemców. Ale Paul pozostał na miejscu. Chwyił Guya i wepchnął go do samolotu wprost w ramiona Celestine.

- Wsiadaj! - krzyknął do niej, wpychając ją na drabinę.

- Jedź ze mną...

- Nie bądź głupia... wsiadaj! Zamykaj właz!

- Paul! - krzyknęła histerycznie. - Na litość boską Paul!

To Celestine ją powstrzymała wciągnęła do samolotu, a za nią drabinę. Właz został zamknięty, silniki ryknęły pełną mocą i maszyna zaczęła się toczyć po nierównym gruncie.

- Paul! O Boże... Paul!

Posłyszała serię pocisków uderzających w kadłub Lysandera, lecz nie przejęła się tym.

Wszystkie jej myśli zajęte były teraz Paulem, który został tam, na tym polu zalany księżycowym światłem...

Jak przez mgłę usłyszała płacz Guya. Objęła go bez wahania i mocno przytuliła, trzęsąc się jak w febrze i histerycznie szlochając. Jakimś cudem maszyna uniosła się w górę. Z przeraźliwą jasnością zdała sobie sprawę, że teraz Niemcy skierują broń na Paula. Jeśli już tego nie zrobili. A jeśli nie, to...

Gdzieś z głębi jej skamieniałego z bólu wnętrza dobiegł ją głos, który nie należał już do tego świata.

216

Janet Tanner

- Nigdy nie dostaną mnie żywego.

Te słowa przebiły się przez historię i zmroziły łyzy, zamieniając całe ciało w lodowy blok, tamujący oddech i krążenie krwi. Nie była w stanie się ruszyć, nie była w stanie myśleć. Zresztą nie musiała myśleć. Wystarczyło, że wiedziała z przerażającą pewnością że właśnie tak to się skończyło. Może w tej właśnie chwili Paul umierał lub już nie żył. Nigdy więcej nie zobaczy tego, którego kochała ponad życie. Skończyło się.

Wiedziona impulsem mocniej przytuliła Guya do siebie, kryjąc twarz w pachnących delikatnym mydłem włosach chłopca. Jej mały synek... jakoś musi znaleźć siły dla niego i dla nie narodzonego dziecka. Tylko oni jej pozostali.

Rozdział siedemnasty

Bristol, 1911

Teraz już wiesz - powiedziała Kathryn, spokojnie patrząc na Guya. - W pierwszych latach wojny twój ojciec i dziadek byli kolaborantami. Starali się utrzymywać z von Rheinhardtem jak najlepsze stosunki i nazywali go przyjacielem. Wszystko to wyjdzie na jaw, jeśli ów człowiek mieszkający na Karaibach okaże się von Rheinhardtem i jeśli postawisz go przed sądem.

Stała przy kominku, opierając się plecami o kamienną krawędź łączącą gzyms ze ścianą. W trakcie swej opowieści chodziła nerwowo po małym wygodnie umeblowanym salonie, jakby nie mogła ustać w miejscu. Teraz jedynie nieustanny ruch palców bawiących się bransoletkami na ręku był dowodem silnego zdenerwowania, do jakiego przywiodły ją wspomnienia wydarzeń sprzed ponad ćwierć wieku, wydarzeń, które wyróciły jej świat do góry nogami.

Guy długo milczał, siedząc w fotelu przy kominku, z łokciem opartym na kolanie i brodą ukrytą w dłoni. Kathryn nie mogła dostrzec wyrazu jego twarzy, tak nisko spuścił głowę. Domyśliła się, że przeżył szok. Nic dziwnego, skoro wychował się na opowieściach o rodzinnym bohaterstwie. W dodatku wyznała mu tylko część prawdy. Nie powiedziała o zdradzie, jakiej dopuścił się jego ojciec. Sama dowiedziała się o niej dopiero po wojnie, kiedy zrozpaczony po stracie synów Guillaume nie był w stanie dłużej nosić brzemienia winy, jakim obarczył go Charles. „To ja zrobiłem, ojciec - wyznał mu pewnego dnia, - Nie wiedziałem, że będzie tam Kathryn i Guy, ale to mnie nie tłumaczy. Oszalałem z zazdrości i jestem odpowiedzialny za śmierć i tortury ludzi, którzy mieli na względzie jedynie dobro Francji.” Oczywiście zrobił wszystko, by za to odpokutować. Kiedy komuniści przeprowadzili

Janet Tanner

nieudaną próbę zamachu na Heydricha, oficera SS, i Niemcy ukarali ludność biorąc zakładników, Charles zaofiarował swoje życie za życie jednego z nich. Był to bohaterski gest, lecz Kathryn nie chciała, by Guy dowiedział się, że ojciec zrobił to, bo nie mógł już dłużej żyć ze świadomością winy. Miała nadzieję, że to, co opowiedziała, wystarczy, by Guy zrezygnował ze swych planów. Wówczas nie będzie mu potrzebna prawda o ojcu.

Patrzyła, jak siedzi w fotelu, przyswajając sobie jej opowieść, i poczuła przyływ matczynej miłości, tak jak owej pamiętnej nocy, kiedy weszła do sypialni i przyglądała się drobnej figurce śpiącej z kciukiem w buzi. Guy był teraz dorosłym mężczyzną, lecz to nie oznaczało, że wygasł w niej macierzyński instynkt. Nadal wyczuwała wrażliwość kryjącą się pod twardym męskim ciałem, tym bardziej wzruszającą, i nadal pragnęła go chronić. Oczywiście teraz było inaczej. Czowała się nawet bardziej bezradna niż przed laty, kiedy jedynym jej pragnieniem było chronić go przed niebezpieczeństwem. Wielu spraw nie mogła wówczas przewidzieć, ale przynajmniej była w stanie tak pokierować dzieckiem, by nie doznało żadnej krzywdy. Jednak kiedy dorosło, musiało już samo sobie radzić. Każde z nich wybiera w końcu własną drogę. Tak powinno być i trzeba się z tym pogodzić. Poczynając od jego pierwszych wypadów w świat dorosłych - pierwszego motoroweru, pierwszych dni spędzonych poza domem, pierwszego złamanego serca - uczyła się, jak stać z boku. Gotowa w każdej chwili doradzić, nigdy nie próbowała narzucać mu swojej woli. Uznała bowiem, że jej rola powinna ograniczać się do kochania, wspierania, doradzania, stania na uboczu i jeśli to konieczne, pocieszania i opatrywania ran. Nie ułatwiała jej to sytuacji, lecz nie oznaczało, że przez to go mniej kocha. Matka zawsze chce, by jej dzieciom było jak najlepiej, bez względu na to, w jakim są wieku. Podejrzewała, że czułaby tak samo, nawet gdyby miała sto lat.

W końcu Guy uniósł głowę, nie przestając jednak masować brody smukłymi palcami, identycznymi jak u ojca.

- No więc dobrze, kolaborowali z Niemcami - powiedział. - Przyznaję, że nie ma w tym powodu do dumy, nie sądzę jednak, żeby to był aż tak wielki problem. Uważali, że postępują słusznie. Oczywiście mylili się, ale wiedząc, ile dla nich znaczy Savigny, jestem w stanie to zrozumieć. Poza tym ojciec wkrótce potem zmarł bohaterską śmiercią. Kiedy przyszło do rozgrywki, kiedy Niemcy wzięli zakładników, żeby rozstrzelać ich w odwecie za zamach na życie Heydricha, mój ojciec zaofiarował swoje życie za życie jednego z nich. Nie można zrobić czegoś bardziej bohaterskiego.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

219

- Nie - przyznała. - Nie można.

- Dlaczego więc miałbym się wstydzić tego, co było przedtem? Niezbyt przyjemnie jest wiedzieć, że gościli hitlerowców pod rodzinnym dachem, ale już wcześniej się tego domyśliłem, przeglądając fotografie, które znalazłem u dziadka. Poza tym sądzę, że mój ojciec odkupił z nawiązką swoją winę, oddając życie za życie jednego z zakładników.

Kathryn przesunęła ręką po włosach. Bransolety zadzwoniły zimno przy gorącej twarzy, Tego właśnie się obawiała. Nie przekonała go jej opowieść. Póki nie opowie mu wszystkiego, nie zmieni zdania. A to przekraczało jej siły. Obawiała się jednak, że kiedy von Rheinhardt stanie przed sądem, prawda wyjdzie na jaw.

- Wuj Christian również był bohaterem - ciągnął Guy. - Pracował dla ruchu oporu i za to został rozstrzelany. Najbardziej jednak wstrząsnęło mną to, że zdradziłaś ojca z brytyjskim agentem, Paulem Curtisem, czy jak on się naprawdę nazywał. Jak mogłaś to zrobić, mamó? Nigdy bym się tego po tobie nie spodziewał.

Niebieskie oczy spojrzały na nią zimno i poczuła, że ogarnia ją panika. On nie patrzył na to z jej punktu widzenia, lecz z punktu widzenia ojca. Powinna była się tego domyślić. Zbyt długo traktował ojca jak bohatera, idealizując jego męczeńską śmierć. Nie przeszkadzała mu w tym, czując, że tego potrzebuje, i choć nie chciała się do tego przyznać, również z poczucia winy. Kochała Paula i nigdy nie uważała tej miłości za złą czy niewłaściwą - w każdym razie tak jej się zdawało. Lecz Guy patrzył na to inaczej. Dla niego była to zwykła zdrada, Być może w głębi duszy czuła podobnie: że postąpiła względem niego niełojalnie i na swój sposób była równie odpowiedzialna za to, co się stało, jak Charles.

- A więc nigdy go już później nie widziałaś? - zapytał. Jego głos był zimny jak lód. Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek zwracał się do niej tym tonem.

- Nigdy - odpowiedziała. - Zginął tej samej nocy, kiedy uciekłyśmy do Anglii. - Zawahała się. - Powinieneś być mu za to wdzięczny, Guy. Gdyby uciekł z innymi, miałby jakąś szansę na przeżycie. Został jednak przy samolocie i strzelał do Niemców, odciągając ich uwagę do chwili, kiedy mogliśmy wystartować.

- W ogóle nie powinno nas tam być - odpowiedział ostro. - Nie powinniśmy zostawiać taty. Nasze miejsce było przy nim, w zamku.

Janet Tanner

- Byłeś maleńki, Guy. Bałam się o ciebie. Poza tym Celestine była w rozpaczliwej sytuacji. Niemcy mogliby ją aresztować, a na pewno odebraliby jej dziecko. Twoja kuzynka Lise jest półkwi Żydówką. Gdyby Niemcy się o tyra dowiedzieli, zamknęliby je w obozie śmierci.

- A co się stało z twoim dzieckiem? - zapytał tym samym zimnym, twardym tonem. - Czy mam jakiegoś brata lub siostrę, o których nie wiem?

- Oczywiście że nie! - wybuchnęła. - Straciłam je jeszcze tej samej nocy. Przymknęła na chwilę oczy i cofnęła się myślami do tamtego dnia. Była

tak oszołomiona przeżytym szokiem, że nie bardzo zdawała sobie sprawę z tego, co się wokół niej dzieje. Ani że znaleźli się pod ostrzałem artylerii przeciwlotniczej, ani że pilot nurkuje, kluczy i leci bardzo nisko, starając się umknąć przed pociskami. Nie poczuła ciepłej strużki krwi, która zapowiadała poronienie. Dopiero później Celestine opowiedziała jej, na jakie niebezpieczeństwa były narażone w czasie lotu. Siedziała skulona w Lysanderze, trzymając Guya w ramionach, biorąc tępy ból w dole brzucha za ból rozpaczy, nie czując wilgoci między nogami. Dopiero kiedy samolot wylądował, spostrzegły, że na podłodze jest pełno krwi. Natychmiast zabrano ją do szpitala w Tangmere, lecz było już za późno. Choć straciła dziecko, nie bardzo po nim rozpaczała. Wszystkie łyż przeznaczyła dla Paula, nie mogąc się pogodzić z tym, że go już nigdy nie zobaczy. Dopiero później przyszedł smutek po nie narodzonym dziecku. Lecz nawet wówczas nie potrafiła określić swoich uczuć. Gdyby miała pewność, że było to dziecko Paula, czekałaby na nie i kochała jako jego część, która po nim została. Nie miała jednak takiej pewności i nie byłaby w stanie żyć ze wspomnieniem wieczoru, kiedy Charles ją zgwałcił.

- To już jest coś - stwierdził Guy wstając, - Muszę się napić. Czy mogę się obsłużyć?

- Oczywiście że możesz. Przecież to twój dom! - odpowiedziała ze smutkiem.

Popatrzył na nią uważnie. Czyżby? - zadawały się pytać jego oczy. - Nie jestem już niczego pewny. Nie odezwał się jednak słowem. Podszedł do kredensu, wyjął z niego butelkę whisky i nalał do szklaneczki solidną porcję.

- Może i mnie byś nalał? - poprosiła.

Wlał trochę do drugiej szklaneczki i podał jej. Wypiła mały łyk, czując, jak alkohol pali ją w gardło i żołądek i stopniowo rozgrzewa. Ponownie napełnił swoją szklaneczkę.

- Nie pij zbyt dużo, Guy.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

221

Nic na to nie odpowiedział. Podeszedł do okna i zapatrzył się w nagi zimowy ogród.

- Co masz zamiar teraz zrobić? - zapytała po chwili przerwy.

- Co mam zamiar zrobić? - powtórzył, jakby się nad tym zastanawiał. - Pojechać na Karaiby, oczywiście, Wciąż zamierzam odnaleźć człowieka, który zabił mego ojca, i wciąż pragnę odzyskać rodzinne pamiątki, które on ukradł. Zdaje się, że wprowadził się do zamku niedługo po tych wszystkich wydarzeniach?

- Tak. Ale przecież wiesz. Kazał rodzinie przenieść się do willi, w której usiłowano zabić Heydricha, a sam przeprowadził się ze swoimi ludźmi do zamku. Zawsze patrzył na rezydencję z zawiścią. Myślę, że czerpał dodatkową przyjemność z faktu, że rodzina de Savigny mieszka w domu będącym świadkiem wydarzenia, które kosztowało twego ojca życie. Heydrich naturalnie nie chciał w nim mieszkać, a von Rheinhardta cieszyło, że za każdym razem, kiedy spojrzą na dziury po kulach, będą sobie uświadamiać, jaką głupotą była próba pozbawienia życia niemieckiego generała,

- Okrutny drań. - Guy ze stukiem odstawił szklaneczkę na stół. - To tylko utwierdza mnie w mojej decyzji.

- To, co zrobił, jest niewybaczalne - powiedziała Kathryn. - Nadal jednak uważam, że powinieneś zostawić przeszłość w spokoju.

- Nie wątpię w to - powiedział znacząco. Kiedy spojrzała na niego ze zdziwieniem, zapytał: - Czy na pewno byłaś w stosunku do mnie uczciwa, mamu? Czy dlatego nie chcesz odgrzebywać przeszłości, bo wyszedłby na jaw twój romans?

-Guy! - Na jej twarzy malowało się zaskoczenie. - Jak możesz tak myśleć?

- Przepraszam, ale tak to widzę. W każdym razie twoja opowieść nie zmieniła mojego stosunku do tej sprawy. Nienawidzę hitlerowców, a von Rheinhardta w szczególności. Gdybym mógł, postawiłbym ich wszystkich przed sądem. Nie mogę tego zrobić, ale przynajmniej spróbuję odszukać jednego z nich.

- Ja też ich nienawidzę, Guy - powiedziała. -1 mam więcej powodów do nienawiści, niż myślisz. Oczy mu się zwięziły.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Pokręciła głową. Było jeszcze coś, co postanowiła zachować dla siebie. Była to jej najszybsza tajemnica. Miała swoje powody i choć mściły się na niej teraz, nie zmieniła zdania.

Janet Tanner

- Po prostu uważam, że czasami lepiej jest zostawić przeszłość w spokoju
- powiedziała wymijająco.
- I tu się różnimy - stwierdził Guy. - Mamo, proponuję, abyśmy o tym wszystkim zapomnieli i cieszyli się świętami. Przecież mamy Wigilię.
- Naprawdę? - Kathryn spojrzała na zegarek. Było dziesięć minut po północy. Nawet nie zauważyła, jak nadeszła Wigilia. Rozwarła ramiona.
- Wesołych Świąt, kochanie.
- Wesołych Świąt.

W jego uścisku nie było tym razem ciepła i serce Kathryn ścisnęło się z żalu. Zrobiła, co mogła, i przegrała. Powstał między nimi mur, który może nigdy nie zostanie zburzony.

Straciłam go, pomyślała z rozpaczą. Straciłam go, tak jak straciłam Paula. W dodatku nadaremnie.

Miała ochotę się rozplakać.

Guy wyjechał w drugi dzień świąt po południu. Urlop nie należał do przyjemnych i teraz, kiedy wracał do Bristolu, myśli wirowały mu w głowie jak szalone.

Oczywiście zdawał sobie sprawę z tego, że stosunki między matką a jego francuską rodziną nie układają się dobrze, lecz nigdy by się nie domyślił, co jest tego powodem. Nic dziwnego, że nie chciała z nim rozmawiać o wojnie i starała się go powstrzymać przed grzebaniem w przeszłości. Powinien się domyślić. W pamięci pozostały mu jakieś niewyraźne wspomnienia z dzieciństwa, wrażenia, zamazane obrazy; były na tyle znaczące, że zaczął o nich myśleć.

Czy matka była całkowicie szczerą, kiedy powiedziała, że nigdy więcej nie widziała mężczyzny, którego znał jako *monsieur* Paula? Wszystko wskazuje na to, że rzeczywiście został zabity, jeśli taki właśnie był przebieg wypadków. Jednak...

Pamiętał, że często jej nie było. Przez kilka lat mieszkał razem z angielskimi dziadkami, podczas gdy ona pracowała dla ministerstwa obrony gdzieś na peryferiach Szkocji. Teraz zaczął w to wątpić. Skoro mogła przez tyle lat ukrywać przed nim swój romans, to równie dobrze mogła ukryć jeszcze coś. Wyraźnie czuł, że coś przed nim zataiła. Czyżby Paul wówczas nie zginął i uciekł razem z nimi? Jeszcze dwa dni temu taka myśl nawet nie przyszłaby i

RAJSKIE DZIEDZICTWO

223

mu do głowy, teraz jednak niczego już nie był pewny. Nagle matka stała się dla niego zagadką. Doszedł do wniosku, że choć przez tyle lat żyli razem, w ogóle jej nie zna.

Było jeszcze coś, co kołatało się gdzieś na granicy świadomości, lecz w tej chwili umknęło.

Nie warto jednak zaprzętać sobie tym głowy, pomyślał. Całą swoją uwagę powinien teraz skupić na upewnieniu się raz na zawsze, czy ów Niemiec mieszkający na karaibskiej wyspie jest von Rheinhardtem. Jeśli tak, to musi zrobić wszystko, by stanął przed sądem, i odzyskać rodzinne skarby. Był to winny ojcu. Kathryn mogła sobie zdradzać Charlesa, ale on go nie opuści.

Mocniej wcisnął pedał gazu i podążył do Bristolu.

Część druga
Zemsta

Rozdział osiemnasty

Nowy Jork, 1971

Przeglądając pocztę Lilli Brandt natychmiast zauważyła list z egzotycznym znaczkiem z wysp karaibskich i poczuła, jak ogarnia ją bolesna tęsknota za domem.

Mieszkała w Nowym Jorku już prawie cztery lata, lecz na myśl o rajskiej wyspie, gdzie się urodziła i wychowała, zawsze budziła się w niej nostalgia, zwłaszcza w takie dni jak ten, kiedy na ulicach Manhattanu było zimno i wietrznie, a gruba powłoka szarych chmur spowijająca wierzchołki strzelistych wieżowców zapowiadała śnieg. Wystarczyło, że wzięła kopertę do ręki, a już miała przed oczami obraz plaż otoczonych palmami i morza Mękitnego jak szafiry, czuła na skórze balsamiczne ciepło słońca, zapach gałki muskatołowej i uroczymi. Bezbrzeżnej tęsknoty za wyspą nie łagodził nawet fakt, że wyjeżdżała stamtąd boleśnie zraniona i z postanowieniem, że nigdy tam nie wróci. Na ten ból nakładały się jeszcze wspomnienia z cudownego dzieciństwa, co czyniło tęsknotę za straconymi latami niewinności jeszcze ostrzejszą i trudniejszą do zniesienia.

Madrepora, moja rajska wyspa, myślała Lilli, drżąc z przejmującego chłodu w opanowanym przez zimę Nowym Jorku. Tam okiennice ochraniały przed oślepiającym słońcem, a nie przed lodowatym wiatrem. Tam leżałabym na plaży, a przybrzeżne fale chłodziłyby rozgrzane słońcem nogi, tam nurkowałabym w wodzie tak przejrzystej, że widziałabym kamienne koralowce, od których wyspa wzięła swą nazwę. Tam był ojciec, którego uważałam za bohatera, niezłomny heros i pan na włościach, i matka, cudowne wspomnienie z dzieciństwa, która łączyła w sobie cechy świętej i gwiazdy filmowej; piękna, śniadoskóra księżniczka o szkarłatnych wargach i paznokciach, otoczona chmurą drażniących perfum, równie egzotycznych jak wyspa,

Janet Tanner

a która odeszła z tego świata niczym prawdziwa heroina. Czas nie zdążył pozbawić jej piękna i zmienić w starą pospolitą kobietę. Tam też przeżyłam lata błogosławionego dzieciństwa, wierząc, że będą trwałe wiecznie. Potem ojciec ożenił się z Ingrid, a ja zostałam brutalnie zmuszona do szybkiego wejścia w świat dorosłych. A potem pojawił się Jorge.

Wspomnienie o nim raniło boleśniej niż tęsknota za domem, toteż niecierpliwie je od siebie odepchnęła. Nie będzie o nim myślała. Okłamał ją oszukał, złamał jej serce. Co gorsza zbrukał każdą cząstkę tego, co kochała. Nie, to nie było tak. Pewne niedoskonałości w tym idyllicznym wizerunku zawsze istniały, on tylko sprawił, że je ujrzała. Spełnił rolę katalizatora. Tego nie mogła mu wybaczyć, nie mogła wybaczyć im wszystkim. Mimo to wciąż ich kochała. To był jej krzyż, który musiała dźwigać na swych wątych ramionach, i to właśnie najtrudniej było znieść. Zdjęła grube wełniane palto w kolorze brunatnobrązowym i starannie odwiesiła je do szafy. Odbicie w drzwiach z lustrem ukazało jej obraz wysokiej szczupłej dziewczyny o gęstych czarnych włosach, opadających na rozpinany pod szyją czarny kaszmirowy sweter i oczach o tak ciemnym odcieniu brązu, że niemal czarnych. Swój wygląd Lilti odziedziczyła po wenezuelskiej matce. Nie było w niej nic z aryjskiego ojca. Miała długie nogi i szczupłą prawie chłopięcą figurę; przypominała konie czystej krwi, hodowane przez rodzinę jej matki w rozległych dobrach w Andach. Miała ich grację, ich siłę i tę trudno uchwytną aurę tajemniczości, której nie sposób się oprzeć. Nawet w tak kosmopolitycznym mieście jak Nowy Jork jej egzotyczna uroda rzucała się w oczy, a była na tyle inteligentna, by umieć wykorzystać ten atut pracując w dziale reklamy w jednym z małych wydawnictw. Niełatwo było ją zapomnieć, toteż jej uroda i wdzięk otwierały drzwi, które dla innych pozostawały zamknięte.

Przeszła do małej kuchni, włączyła centralne ogrzewanie i naląła sobie kieliszek wina. Byłoby rozsądniej zrobić sobie filiżankę gorącej kawy, ale Lilit lubiła wypić kieliszek Chablis po powrocie z pracy. Przełknęła pierwszy łyk, dołąła do kieliszka, postawiła go na barku, po czym wspięła się na wysoki stółek z oparciem.

List z karaibskim stemplem leżał na ladzie, tam gdzie go położyła. Natychmiast rozpoznała okrągły dziecięcy charakter pisma na kopercie. Jego autorką była Josie, długoletnia - choć w oczach ojca całkowicie nieodpowiednia - przyjaciółka. Josie, której matka pracowała jako pokojówka w domu jej

RAJSKIE DZIEDZICTWO

227

ojca, stała się dla Lillii siostrą której nigdy nie miała. Nie zważając na to, że ojciec zabraniał im się razem bawić, zawsze znajdowały jakiś sposób, by ten zakaz ominąć. Nie przeszkadzało im to, że Lillii była rozpieszczona i opływała w dostatki, podczas gdy rodzina Josie była bardzo biedna. Zrodzona w dzieciństwie więź nigdy nie została zerwana. Lillii wyjechała na naukę do Wenezueli, natomiast Josie chodziła do małej szkoły na wyspie dla miejscowych dzieci, lecz dziewczynki odnawiały swą przyjaźń za każdym razem, kiedy Lillii przyjeżdżała do domu. Josie była już teraz mężatką żoną jednego z ogrodników pracujących dla ojca, i miała synka, który jednak nie urodził się na Madreporce, lecz na wyspie St Vincent, ponieważ wszystkie miejscowe kobiety odsyłano z Mad-repory, kiedy zachodziły w ciążę. Ojciec Lillii nie chciał mieć komplikacji z miejscową ludnością która mogłaby rościć sobie prawa do miejsca ich narodzin. Choć Josie nie mieszkała już na wyspie, poprosiła Lillii, by została matką chrzestną jej dziecka. Lillii wiedziała, że naraża się tym na gniew ojca, jednak z radością się zgodziła, składając przyrzeczenie *per procura*.

Dziewczęta korespondowały ze sobą regularnie, chociaż niezbyt często. Josie pisała jej o swojej rodzinie, o postępach małego Winstona, a ostatni list sprzed kilku miesięcy przyniósł wiadomość, że znowu spodziewa się dziecka. Rzadko jednak pisała o ojcu Lillii czy o Ingrid, wiedziała bowiem, że przyjaciółka nie lubi swojej macochy. I nigdy nie wspominała o Jorge. Lillii rozerwała kopertę i wyjęła z niej dwie kartki papieru zapisanego starannym dziecięcym pismem. Popijając wino, czytała o szczegółach dotyczących ostatniej psoty Winstona, zaawansowanej ciąży Josie i wiadomości, że Abel, jej mąż, awansował na szefa robotników robiących wykopy wokół jedyne go na wyspie hotelu i na terenie całej posiadłości. Ponownie ogarnęła ją tęsknota za domem, a przed oczami stanął obraz wypielegnowanych trawników, kwitnących krzewów, elegancko przyciętych, za to bajecznie kolorowych, i kortów tenisowych tak gładkich, że ich szmaragdowy aksamit przypominał trawnik do gry w kule.

Szelmowski uśmiezek uniósł kąciki jej warg, kiedy przypomniła sobie, jak popołudniami wkradały się z Josie do hotelu i ukryte wśród krzewów otaczających wielki basen na wolnym powietrzu podglądały gości, którzy rozłożeni na leżankach wystawiali do słońca blade zwiotczałe ciała lub z głuchym plaśnięciem wskakiwali do lazurowej wody - wtedy naśmiewały się z ich niezdarności. Goście zawsze byli dla nich źródłem rozrywki.

Janet Tanner

Reprezentowali grupę statecznych przedstawicieli średniego pokolenia rozmawiali ze sobą po niemiecku, w języku, którego Lili nie znała, choć był to rodzimy język jej ojca, i wręcz obsesyjnie strzegli swej prywatności. Lili wiedziała, że ojciec byłby wściekły, gdyby się dowiedział, że ona i Josie ich podglądają, choć nie wzbraniał jej wstępu do hotelu w przeciwieństwie do pewnych części wyspy. Miałby jej jedynie za złe to, że bawi się ich kosztem i zachęca do tego Josie, miejscową dziewczynę, która powinna znać swoje miejsce.

Teraz Abel, mąż Josie, pielęgnował te krzewy, nadzorował sprzątanie basenu, gdy ci sami lub podobni goście wystawiali blade ciała na gorące słońce Mandrepory, które barwiło im skórę na kolor łososioworóżowy, przez co wyglądali jak prosięta pieczone na ruszcie. Tkwiąca w tym ironia ponownie wywołała uśmiech na twarzy Lili. Z niecierpliwością powróciła do dalszej lektury, ciekawa kolejnych nowin.

Dalej jednak ton listu uległ zmianie. Wyczuła to już wcześniej, odnosząc wrażenie, jakby przyjaciółka chciała jej coś powiedzieć, lecz nie wiedziała, jak to zrobić. Jej proste słowa zabarwione były jakimś dziwnym, trudno uchwytnym niepokojem.

Jest coś, o czym powinnaś wiedzieć, Lili. Twój ojciec nie czuje się dobrze. Bardzo schudł i zmizerniał. Pokojówki mówią, że potrzebuje dużo odpoczynku. Nie wspominałam o tym, bo nie chciałam cię martwić, ale jakiś tydzień temu poleciał na kontynent i Abel słyszał, że poszedł do szpitala na badania. Po powrocie wyglądał jeszcze gorzej. Próbowałam się czegoś dowiedzieć. Nie było to łatwe, bo Twój ojciec, jak wiesz, jest bardzo skrytym człowiekiem. Ale brat Aba, Noah, który pracuje w willi, mówi, że lekarz, do którego Twój ojciec pojechał, to specjalista od raka. Może o tym wiesz, ale jak znam życie, to pewnie nie. Twój ojciec przecież tak nie lubi chorować. Uznałam jednak, że powinnaś o tym wiedzieć.

W tym miejscu ton jej listu znowu się zmienił i Josie z wyraźną ulgą przeszła do dalszych tematów, na które Lili zaledwie rzuciła okiem. Poczwała, jak chłód wczesnego wieczoru przenika jej wnętrze; zimny dreszcz przebiegł jej po plecach, wprawiając w drżenie całe ciało i tłumiając pierwszą reakcję niedowierzania.

Ojciec chory? W dodatku poważnie? To niemożliwe, wprost nie wyobrażanie! Odkąd sięgała pamięcią, nie przypominała sobie, żeby cierpiał na coś więcej niż ból głowy. Dla niej był uosobieniem mocy i siły. Jako dziecko

RAJSKIE DZIEDZICTWO

229

trochę się go bała i traktowała z szacunkiem nagle zmiany nastroju i wybuchy gniewu, kiedy źle się zachowała lub coś przeszkobiła. Jego władczy autorytet budził w niej lęk. Nawet później, kiedy przekonała się, że jego władza nie jest tak wielka, jak sądziła, nadal uważała go za wyniosłą osobowość, nie pozbawioną wad, lecz na tyle silną, by się z nią liczyć. Obserwowała, jak się starzeje, jak jasne włosy zmieniają kolor na biały, jak pogłębiają się bruzdy na twarzy, a żyły na rękach stają się bardziej widoczne, lecz nigdy nie przyszło jej do głowy, że będzie musiał tak jak inni zapłacić za przeżyte lata. Wydawało jej się, że czas jakby go omija, Nadal trzymał się prosto, głos miał silny, a wolę wciąż nieugiętą. Takie nieszczęścia jak choroby i śmierć spadały na zwykłych śmiertelników. Jego to nie dotyczyło. Potrafił się im przeciwstawić i sądziła, że tak będzie zawsze. Teraz nagle zdała sobie sprawę z tego, że on wcale nie jest nieśmiertelny. Z rosnącym niepokojem ponownie przeczytała list od Josie. Bez względu na to, jak bliska była ich przyjaźń, Josie miała dość rozumu w głowie, by nie wtrącać się w sprawy rodzinne. Nigdy nie zdecydowałyby się przekazać takich informacji, gdyby nie były sprawdzone i gdyby nie uznała, że to absolutnie konieczne. Uświadomienie sobie tego było dla Lili wystarczającym dowodem.

Dlaczego mnie nie zawiadomił? - myślała i ogarniało ją poczucie samotności. - A jeśli on tego nie zrobił, to z powodów, o których wspomniała Josie, powinna to zrobić Ingrid. Dlaczego mi nie powiedzieli? Na litość boską, przecież jestem jego córką! Mam prawo wiedzieć!

Siedziała przez chwilę, obracając kieliszek w palcach i zbierając siły do tego, co powinna teraz zrobić: porozmawiać z nimi osobiście i dowiedzieć się prawdy. Potem wstała, podeszła do telefonu i połączyła się z telefonistką.

- Chcę zamówić międzynarodową rozmowę... na Mandrepore, to są Wyspy Zawietrzne. - Poczula, jak coś ściska ją za gardło, kiedy podawała numer, kiedyś taki znajomy, a teraz brzmiący jakoś dziwnie, zapomniany wśród innych, częściej teraz używanych numerów nowojorskich przyjaciół i interesantów.

- Wszystkie linie są teraz zajęte. Oddzwonię do pani.

Zimna obojętność telefonistki spotęgowała jeszcze uczucie bezradości. Jak długo będzie musiała czekać na połączenie? Nie mogła nic na to poradzić. Odłożyła słuchawkę i wstała z zamiarem nalania sobie kolejnego kieliszka wina, lecz zmieniła zdanie. Napije się czegoś mocniejszego. Było jeszcze na

Janet Tanner

to zbyt wcześnie, ale doda jej sił. Otworzyła butelkę z dzinem, wlała do szklaneczki sporą porcję i dopełniła tonikiem. Następnie pociągnęła potężny łyk, jak zbłąkany podróżny, którego ratuje łyk brandy z beczułki zawieszanej na szyi bernardyna.

W tej chwili zadzwonił telefon. Może to nie Mandrepóra, tylko któryś z jej przyjaciół z propozycją pójścia do kina lub na drinka? Jednak to była Mandrepóra.

- Proszę mówić - powiedziała telefonistka. W słuchawce rozległy się gwizdy i jakieś dalekie odgłosy, które przypomniały jej szum przybrzeżnych fal, a potem, gdzieś z bardzo daleka doszedł ją sygnał dzwoniącego telefonu.

Musiała go odebrać jedna z pokojówek. Lili poznana to po śpiewnej gwarze.

- Chciałabym mówić z *Herr* Brandtem - powiedziała.

- A kto przy aparacie?

- Jego córka.

- Lili! Panienska Lili, czy to naprawdę ty?

- Patsy?

- Tak, panienko, to ja. Jak to miło znów panienkę słyszeć!

- I ciebie również, Patsy.

Wróciły wspomnienia. Uśmiechnięta czarna twarz, obfity biust, na którym Lili kryła twarz - Patsy, jej piastunka, pod wieloma względami bliższa od własnej matki. Po śmierci Magdalenę to Patsy podnosiła ją z ziemi i obmywała obtarte kolana, to ona otulała ją na noc, nucąc kołysankę niskim niemelodyjnym głosem. Kiedy żyła matka, nie do niej, lecz właśnie do Patsy Lili biegła się wyplakać, wiedząc, że nie usłyszy połajanek na temat pogniecionej sukienki czy protestów z powodu lepkich pocałunków wyciskanych na policzku. Droga, droga Patsy. Lili wiedziała jednak, że może marnować czasu na próżną pogawędkę, choć bardzo tego pragnęła.

Połączenie z Mandreporą nie należało do najlepszych. W każdej chwili mogło zostać przerwane, a ona musiała porozmawiać z ojcem.

- Czy jest może tatuś?

- Jest, panienko, ale nie wiem, czy... Był bardzo chory. Chyba teraz odpoczywa.

- To może *Frau* Brandt? - zasugerowała Lili.

- O tak, proszę porozmawiać z *Frau* Brandt. - W głosie Patsy słyhać było wyraźną ulgę. - Zaraz ją poproszę. Och, jak się cieszę...

Lili tymczasem pociągnęła kolejny łyk ze szklaneczki. Poczula się nieco spokojniejsza. To zasługa Patsy,

RAJSKIE DZIEDZICTWO

245

Usłyszała najpierw jakieś głosy, niezbyt wyraźne, by można je było zrozumieć, a następnie coś, co brzmiało jak kroki na wyłożonej kafelkami podłodze, po czym niezwykle wyraźny, jakby dochodził z pokoju obok, a nie z drugiego kontynentu, głos Ingrid.

- Lili?

Postać macochy stanęła jej przed oczami jak żywa. Wyobraziła sobie, jak ozdobione pierścionkami palce z paznokciami pokrytymi perłową bladą emalią obejmują słuchawkę. Ingrid miała pięćdziesiąt sześć lat, ale wyglądała na czterdzieści sześć. Miłość do jedzenia i pulchne kształty nie pozwalały pogłębiać się zmarszczkom i uczynić z niej posagowej damy. Nigdy nie wystawiała swej jasnej skóry na działanie ostrego karaibskiego słońca, a mimo to jaśniała zdrowiem i pogodą ducha. Nosła kwieciste stroje, co było dość niezwykle, lecz nie robiło ordynarnego wrażenia. Była czarująca i dobrze wychowana. Lili nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek podniosła głos. Podejrzewała jednak, że Ingrid jest intrygantką i ten powierzchowny urok, który rozstaczała z taką serdecznością, krył samolubną naturę. Tolerowała Ingrid, bo uznała, że dobrze działa na ojca - tyle lat przeżył w bólu i samotności. Mimo to jej nie lubiła.

- Ingrid - powiedziała. - Dostałam list od Josie.

Nastąpiła chwila ciszy - przerwa na łączach czy też Ingrid usiłowała się pozbierać? - po czym usłyszała:

- Rozumiem.

Nie ma zamiaru ułatwiać mi zadania, pomyślała Lili.

- Pisze, że tatuś jest chory. Czy to prawda? Znowu pauza.

- Tak, to prawda.

- Jak on się czuje?

- Źle. Prawdopodobnie pozostało mu tylko kilka miesięcy życia.

Lili poczuła, jak krew krzepnie jej w żyłach. Od chwili kiedy przeczytała list Josie, obawiała się najgorszego, lecz te słowa były dla niej szokiem.

- Czemu nie daliście mi znać? - zapytała. - Jeśli jest tak bardzo chory... umierający...

Powinniście mi powiedzieć!

- On nie chciał, abyś się o tym dowiedziała - wyjaśniła Ingrid. - Znasz swojego ojca, nie toleruje żadnych słabości. Woli wierzyć, że jego stan się poprawi.

- Ale się nie poprawi?

Janet Tanner

- Cuda się zdarzają, lecz jeśli mam być szczerą, to wątpię.
- Ale co mu jest? - zapytała Lili, usilnie walcząc ze łzami. - Lili pisze coś o onkologu.
- Niczego nie można utrzymać w sekrecie - stwierdziła Ingrid z odcieniem goryczy w głosie. - Tak, niestety, to rak.
- I niczego nie można zrobić? Może należałoby operować?
- Lekarz byłby skłonny przeprowadzić operację, ale uważa, że jest na to zbyt późno. Poza tym twój ojciec nawet nie chce o tym słyszeć.
- Ale jeśli jest jakaś szansa...
- Wiesz, co sądzi o szpitalach. Nienawidzi ich. Uparł się, że będzie sam z tym walczył.
- A co to da? - wybuchnęła Lili. - Och, wiem, tatuś uważa, że może wszystko, ale...
- Staralam się go przekonać, Lili, ale nie chciał mnie słuchać. Nie dał się również przekonać, kiedy chciałam zawiadomić ciebie. Po prostu trzeba pogodzić się z faktem, że twemu ojcu pozostało najwyżej sześć miesięcy życia.
- Dobry Boże! - wyszeptała Lili. Połączenie zaczynało się rwać i należało podjąć decyzję. Jorge, niewierność, zdrada, sekrety przeszłości, wszystko to bladło wobec strasznego faktu, że ojciec jest umierający. Nic innego się nie liczyło, - Ingrid - powiedziała zdecydowanym głosem. - Ingrid... przyjeżdżam do domu.

Ingrid Brandt odłożyła słuchawkę i przez chwilę nie zdejmowała z niej ręki. Jasnoniebieskie oczy zwęziły się lekko - co było oznaką zdenerwowania - a serce zaczęło szybciej bić. Kiedy Patsy poinformowała ją, że dzwoni Lili, poczuła gwałtowny skurcz żołądka.

Zawsze w ten sposób reagowała na pasierbicę. Na nic zdało się przekonywanie, że Lili to młoda dziewczyna - przynajmniej taka była, kiedy opuszczała Mandreporę - i jako córka Otta ma prawo zajmować ważne miejsce w jego życiu. Ale Lili była również córką Magdaleny, jej żywym wizerunkiem, i przypominała o sprawach, o których Ingrid wołała zapomnieć. W obecności Lili odnawiały się stare rany, niszcząc z takim trudem osiągnięty spokój, czyniąc z niej nieszczęśliwą, zrozpaczoną młodą kobietę, jaką niegdyś była. Siedem lat małżeństwa z Ottem, siedem lat przeżytych w dostatku i luksusie, niczego tu nie zmieniły. A teraz miała go stracić na zawsze.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

233

Zdjęła rękę ze słuchawki i przyglądała gęste jasne włosy, upięte w węzeł na karku. Żaden włos się nie wymknął, z wyjątkiem specjalnie pozostawionych pasemek wokół twarzy. Był to instynktowny gest, który upewnił ją, że wszystko jest jak zawsze bez zarzutu. Ruszyła w głąb willi, przecinając delikatne plamy światła i cienia, jakie dawały do połowy przymknięte okiennice. Otto siedział na werandzie podparty wysoko na leżance. Obok na wiklinowym stole stała szklanka z zimnym napojem i leżało kilka codziennych gazet. Pomimo złego stanu zdrowia nie chciał się zgodzić na leżenie w łóżku. Każdego dnia Basil, służący pracujący w tym domu wiernie od dwudziestu lat, kapał go i ubierał, a potem sadzał na werandzie, skąd mógł spoglądać na ogrody, i gdzie pnące się po kracie krzewy hibiskusa dawały przyjemny cień. Każdego wieczoru Basil kładł swego pana do łóżka i myślał ze smutkiem, ale i z pełną pokorą rezygnacją, która cechowała wszystkich mieszkańców Karaibów, że dzisiejszy wieczór może być już ostatni.

Na odgłos kroków Ingrid Otto odwrócił głowę, a ona spostrzegła, że nawet tak drobny ruch wymaga od niego wielkiego wysiłku, i serce ścisnęło jej się z żalu nad nim i nad sobą, uświadamiając jej, że wkrótce go straci.

- Kto dzwonił? - zapytał. Głos miał nadal silny i dźwięczny, jakby właśnie w nim skupił szczupłe rezerwy energii, uważając, że skoro ciało go zdradziło, to niech przynajmniej głos pozostanie zdrowy i młody.

Usiadła w wiklinowym fotelu obok niego i wlała do szklanki schłodzony napój cytrynowy, doprawiając go koniakiem. Lili.

- Lili! - W niebieskich oczach pojawił się blask, osłabiony długimi godzinami walki z bólem. - Powinnaś była mnie zawołać!

- Połączenie zostało przerwane. Nie zdążyłbyś podejść do telefonu.

- Boże na niebiesiech, przecież jeszcze me umarłem! Mógłbym spróbować!

- Nie denerwuj się, Otto. - Pochyliła się i dotknęła jego ramienia, przekonując siebie, że chce go w ten sposób uspokoić, ale doskonale wiedziała, że był to zaborczy gest, którym przekonywała siebie, że Otto należy teraz do niej. - Będiesz jeszcze mógł z nią porozmawiać, bo wraca do domu.

Poczuła pod palcami, jak napięły mu się mięśnie ręki, i wykonał ruch, jakby chciał wstać.

- Ona nie może tu wrócić. Dlaczego jej nie powstrzymałaś?

- W jaki sposób? Jest przecież o setki mil stąd. Powiedziała, że przyjeżdża

Janet Tanner

do domu, i połączenie zostało przerwane. Dowiedziała się, że jesteś chory, Otto. Chce cię zobaczyć. To naturalne.

- Jak się o tym dowiedziała? Chyba jej nie powiedziałaś? Przecież ci zabroniłem!
- Dostała list od tej swojej przyjaciółki, tej miejscowej dziewczyny. Jak ona ma na imię?
- Josie. Niech to diabli... A więc nadal są w kontakcie?
- Na to wygląda. Nie denerwuj się, kochanie. Wszystko będzie dobrze. Lili ma teraz nowe życie. Ta sprawa z Jorge to już przeszłość.

Dłonie Otto spoczywające na kolanach zacisnęły się w pięści.

- Jorge nigdy się nie poddaje. Nigdy. Jeśli uzna, że coś należy do niego, nie wypuści tego z rąk, bez względu na to, czy mu to potrzebne czy nie.

Na jego twarzy pojawił się wyraz bezsilności i gniewu, wypierając na chwilę oznaki cierpienia fizycznego, Poczula gwałtowny skurcz żołądka i załała ją fala niepokoju.

- No cóż, i tak jej nie powstrzymamy - stwierdziła, przybierając swą zwykłą postawę kobiety pełnej życia i pogody ducha. - Przyjeżdża do domu i nic na to nie możemy poradzić.

Nie odzywał się przez chwilę, walcząc ze sprzecznymi uczuciami. Tak naprawdę to bardzo chciał zobaczyć Lili. Była jego córką, jego małą dziewczynką, i czasami przychodziła do niego, kiedy nie mógł spać, ponieważ odmawiał przyjmowania leków przeciwbólowych. Urodziła się, kiedy był już w wieku, w którym nie oczekuje się dzieci, toteż pokochał ją gorącą zaborczą miłością, która nauczyła go wrażliwości. Lili, tak bardzo podobna do matki, że mogłaby uchodzić za nią samą, nie zdająca sobie sprawy z konsekwencji tego dziedzictwa, jego córeczka, za którą tęsknił bardziej, niż kiedykolwiek mógł to sobie wyobrazić. Otto był twardym, bezwzględny, pozbawionym sumienia i skrupułów człowiekiem, jednak dwie kobiety potrafiły uczynić wyrwę w tym stalowym pancerzu. Jedną była Magdalenę, a drugą Lili. Lecz choć tak bardzo pragnął znowu ujrzeć jej uśmiech, usłyszeć ten niski, zaraźliwy śmiech, poczuć jej drobną ciemną rączkę w swojej dłoni, wolałby umrzeć niż narazić na niebezpieczeństwa, które stały się przyczyną śmierci jej matki. Powinienem umrzeć! - pomyślał gniewnie. Gdyby choroba robiła szybsze postępy lub gdyby przyłożył sobie pistolet do skroni, kiedy tylko się o niej dowiedział, Lili nie przyjechałaby teraz do domu. A może by przyjechała? Przecież tu był jej dom. Właśnie te powody skłoniłyby ją do powrotu. A on nie mógłby jej ostrzec i chronić przed niebezpieczeństwem.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

235

- Kiedy przyjeżdża? - zapytał. - W jego głosie brzmiały teraz zmęczenie i rezygnacja. Cała energia ulotniła się wraz z gniewem.

- Nie powiedziała. Nie było na to czasu.

Rozprostował dłonie i przesunął palcami po drobnym wzorze na płóciennych spodniach.

- Zadzwoń do niej, Ingrid. Dowiedz się, jakie ma plany, i wyślij po nią taksówkę powietrzną.

- Jutro do niej zadzwonię. Nie zdążyła pewnie jeszcze zarezerwować biletu na samolot.

- Ale zrób to! - W jego głosie zabrzmiało echo dawnej żelaznej woli. - Upewnij się, czy nasz pilot będzie na nią czekał. Nie chcę...

- Urwał, bo chwycił go gwałtowny atak bólu, a ręka zacisnęła się kurczowo na brzuchu.

Ingrid udała, że tego nie widzi. Otto nienawidził współczucia, Ale domyśliła się, co chciał

powiedzieć. Wiedziała, dlaczego zależało mu, by taksówka powietrzna czekała na Lilię na

międzynarodowym lotnisku na Barbadosie. Nie chciał, by spotkała tam Jorgego, a w każdym

razie nie tak prędko i z pewnością nie przed rozmową z nim. Skoro jego dni były policzone, Lilię musiała dowiedzieć się o pewnych sprawach. Od tego zależało bezpieczeństwo jej samej i ich wszystkich.

- Nie martw się, Otto, zrobię to na pewno - obiecała. Przynajmniej tyle mogła dla niej zrobić.

Guy de Savigny uzupełnił wpis w dzienniku pokładowym: Madrepora

- Caracas, Caracas - Madrepora, zaczekał, aż wyschnie atrament, po czym zamknął dziennik z trzaskiem i wrzucił go do skórzanej lotniczej torby wraz z mapą i telesłuchawkami. Następnie ułożył papiery na swoim biurku, ścisnął je spinaczem i odwiesił na stosowny haczyk nad tablicą informacyjną, po czym z ulgą skierował się w stronę drzwi.

W popołudniowym upale mały domek stojący na skraju pasa startowego, a służący za biuro Air Perpetuy, przypominał rozgrzany piec. Nawet przy otwartych na oścież oknach i drzwiach i włączonym wentylatorze temperatura musiała przewyższać sto stopni w skali Fahrenheita.

Koszulka z krótkimi rękawami kleiła mu się do pleców i marzył jedynie o butelce zimnego piwa i kąpieli w basenie w małym domu, który oddano mu do dyspozycji. Jednak dopiero za godzinę mógł spełnić te marzenia. W drodze powrotnej z Caracas

Janet Tanner

zauważył! spadek iskry na iskrowniku. Zgłosił to ekipie naprawczej, lecz chciał jeszcze sprawdzić z technikiem, czy wszystko jest w porządku. Przed domkiem, na białym plastikowym krześle, z nogami opartymi o niski płotek, siedział drugi pilot, Manuel Santander, i wystawiał do słońca śniadą twarz. Guy opadł na krzesło obok niego, cofając je nieco, by skryć się w cieniu. - Hej!

Miało to oznaczać powitanie, które zazwyczaj kończyło się na tym jednym słowie. Chociaż Guy pracował z Manuelem już od trzech tygodni, zamienili ze sobą zaledwie parę zdań, co doprowadzało Guya do rozpacz. Mieszkał tu i pracował, startował i lądował na małym pasie położonym nad brzegiem oceanu, a mimo to wyspa wciąż była dla niego zamkniętą księgą. Poznał Fabia Sancheza, którego rodzina była właścicielem Air Perpetuy, a także prowadziła jakieś interesy w Ameryce Południowej i na Karaibach, lecz szef przedstawił mu jedynie zakres obowiązków, wynikający z krótkoterminowej umowy. Guy odwiedził też bar na drugim krańcu wyspy, prowadzony przez człowieka znanego jako Johnny Rekin, bo jak głosiła plotka, miał kiedyś spotkanie z rekinem, wskutek czego stracił pół stopy. Jednakże goście baru znajdowali się zazwyczaj w stanie zamroczenia alkoholowego lub narkotykowego i nie kwapili się do rozmowy. Nie udało mu się też zbliżyć do willi na odległość mniejszą niż osiemset stóp, kiedy podchodził do lądowania od północnej strony wyspy. Patrzył z góry na elegancki dwupiętrowy dom z obrośniętą hibiskusem werandą i rozległymi starannie utrzymanymi ogrodami, i marzył o okazji, która pozwoliłaby mu wejść do środka i zobaczyć te opisane przez Billa skarby i ich gospodarza. Nie nadarzyła mu się dotąd taka sposobność, a zadawane Manuelowi pytania natrafiały na twardy mur niechęci,

W czasie swojej wieloletniej pracy jako pilot Guy nigdy nie spotkał kogoś tak wrogo usposobionego jak Manuel i przeklinał w duchu los, który akurat teraz musiał mu podstawić kogoś takiego, kiedy chciał się dowiedzieć jak najwięcej o wyspie i jej mieszkańcach. Piloci w przeważającej części są ludźmi towarzyskimi, lubią dużo i głośno mówić. Manuel zaś był tym wyjątkiem i robił wszystko, by zrazić Guya do siebie. Miał chudą szczurzą twarz, cienkie wąsiki i wąskie wargi. Długie paznokcie były starannie wymanikiurowane, jak u kobiety, lecz osobista higiena nie obejmowała już dezodorantu, który był na wyspie produktem droгим i trudno dostępnym. Kiedy więc zdarzało się, że odbywali wspólny lot, kokpit wypełniał się

RAJSKIE DZIEDZICTWO

237

zapachem świeżego i zastarzałego potu, toteż Guy musiał otwierać boczne okienko dla zaczerpnięcia kilku haustów świeżego powietrza.

Choć Manuel latał z Guyem jako pilot pomocniczy, kiedy przewozili pasażerów, to nigdy nie zdarzyło się, by Guy latał z Manuelem, co było dość dziwne. To Manuel jako starszy pilot powinien wozić ludzi, a jemu pozostawić transport towarów. Nie to jednak było najdziwniejsze. Mimo że Guy odbył jeden czy dwa loty na kontynent po towary, przeważnie to samolot Manuela wyładowywano kartonami i skrzyniami, natomiast Twin Otter Guya służył głównie jako powietrzna taksówka.

- Cóż, u diabła, oni robią z tymi wszystkimi zapasami? - zapytał pewnego dnia Manuela, obserwując, jak miejscowi robotnicy rozładowują jego samolot, przenosząc wszystko na ciężarówkę. - Nie dalej jak wczoraj przywoziłem zapas żywności dla hotelu, a tubylcy korzystają przecież z lokalnych wyrobów.

Manuel wzruszył ramionami.

- To są interesy.

- Jakie interesy, na Boga?

- Różne.

Guy dostrzegł jego nieprzeniknione spojrzenie i wiedział, że niczego więcej nie wyciągnie. Do samolotu Manuela zaczęto teraz ładować jakieś paczki.

- To batik - wyjaśnił Manuel, kiedy Guy zwrócił się do niego z pytaniem. - Tu się go wyrabia.

Stary nim handluje... tym i starymi znaczkami.

- Cholernie dużo potrzeba takich starych znaczków, żeby wypełnić nimi samolot.

Manuel rzucił mu dziwne spojrzenie. Jego małe czarne oczka niemal zniknęły w śniadej twarzy.

- A kim jest ten stary? - zapytał Guy, korzystając z nadarzającej się okazji do zadania kilku pytań na temat interesującego go człowieka.

- *Herr* Brandt? To Niemiec. Ma spółkę z braćmi Sanchez i ich ojcem Fernando.

- Czy korzysta z naszych usług?

- Rzadko. Kiedy opuszcza wyspę, zabiera go Jorge Sanchez. To jego samolot, ten biały Beechcraft Baron.

Była to prawdopodobnie najdłuższa przemowa, jaką uraczył go Manuel.

- Więc czasami można tu zobaczyć starego? - sądził dalej Guy.

- Można było, bo teraz jest chory. Przez jakiś czas nigdzie nie będzie wyjeżdżał.

Janet Tanner

- Chory? - zapytał ostro Guy. - A co mu jest?

- Nie wiem. Nie mój interes.

Aluzja była wyraźna. Nie mój interes i nie twój. Niechęć Guya do Manuela wzrosła, spotęgowana jeszcze przez doznany zawód. Być tak blisko mężczyzny, który prawdopodobnie odpowiadał za kradzież rodzinnych skarbów i śmierć jego rodaków - włączając w to ojca i wuja - i nic nie móc zrobić. Równie dobrze mógł pozostać w Anglii i rozwozić pocztę. Z trudem opanował rosnące w nim rozdrażnienie.

- No cóż, chyba całkiem niezłe można żyć z batiku i starych znaczków - stwierdził lakonicznie. - Warte są niezły grosz, co?

Manuel pominął jego uwagę milczeniem i ostentacyjnie wsadził nos w tanią powieść przygodową którymi się zaczytywał, kiedy nie miał nic lepszego do roboty. Leżała na ziemi, tuż przy jego krześle, i kiedy Guy usiadł obok niego, podniósł ją z ziemi, dając do zrozumienia, że nie ma ochoty na rozmowę.

Guy wzruszył w myślach ramionami. Nie ma sensu dłużej próbować wyciągnąć coś z Manuela. Ale co mu w takim razie pozostało?

Z biura dobiegi nagle dźwięk dzwoniącego telefonu. Manuel nie oderwał nawet oczu od książki. Guy spojrzał na niego, zirytowany jego zachowaniem, po czym wstał, wbiegł do biura i chwycił za słuchawkę.

- Air Perpetua. - Czarny bakelit parzył go w palce.

- Kto przy telefonie? - zapytał głęboki, wystudiowany kobiecy głos, z lekkim niemieckim akcentem. Guy poczuł, jak włosy stają mu dęba na karku.

- Kapitan de Savigny. - Skrzywił się na dźwięk swego nazwiska. Szkoda, że go nie zmienił. Jeszcze von Rheinhardt zacznie coś podejrzewać. Zmuszony był jednak okazać licencję pilota przy podpisywaniu umowy o pracę, więc nie wchodziło to w rachubę.

- W porządku. Tu *Frau* Brandt. Chciałabym, aby odebrał pan jutro pasażera, który przyleci na Barbados z Nowego Jorku o czternastej czterdzieści. Proszę tę osobę przywieźć prosto na wyspę. Wyślemy po nią samochód. Czy będzie pan mógł to zrobić, czy też jest pan już zajęty?

- Nie, nie jestem zajęty. - Guy nie przyznał się, że miał zamiar wziąć na jutro wolny dzień. - Jak nazwisko pasażera?

- *Fräulein* Lili Brandt. To moja pasierbica. Proszę się nią dobrze zaopiekować.

- Zawsze do usług - odpowiedział Guy, starając się stłumić brzmieniem

RAJSKIE DZIEDZICTWO

239

w głosie radość. On tu się zastanawia, jak nawiązać kontakt z rodziną Brandtów, tymczasem los podsuwa mu taką okazję!

Fräulein Lillii Brandt... moja pasierbica", powiedziała ta kobieta. To mogło znaczyć tylko jedno. *Fräulein* Lillii Brandt musi być córką starego. Dzięki Bogu, że ta rozmowa odbyła się dzisiaj. Gdyby telefon zadzwonił jutro, nie byłoby go tu i okazja przeszłaby mu koło nosa. Wielkie dzięki za ten wadliwy iskrownik; w przeciwnym razie nie byłoby go na lotnisku. Również Manuelowi należą się podziękowania za jego chamskie zachowanie. Przynajmniej raz na coś się przydało. Pozna wreszcie kogoś z rodziny Brandtów. Jutro zabierze na pokład córkę starego.

Zarezerwowałam powietrzną taksówkę dla Lillii - powiedziała Ingrid.

Otto kiwnął głową spoczywającą na oparciu leżanki. Dzisiaj kazał Basilowi posadzić się w salonie zamiast na werandzie. Ostre słońce wyjątkowo go dziś raziło, nawet w cieniu hibiskusa. **Źle** spał tej nocy. Wciąż myślał o Lillii przyjeżdżającej do domu. Jego umysł pracował aktywnie nawet w czasie coraz częstszych ataków bólu. Czuł się słaby i wyczerpany. Niewiele zostało z dawnego silnego mężczyzny. Miał wrażenie, jakby choroba wysysała z niego nie tylko siły, ale również osobowość, zmieniając go w żalony wrak człowieka, nad którym trzeba się litować i pobłażać, zamiast szanować i bać się. Tego właśnie nie mógł znieść.

- Z kim rozmawiałaś? - zapytał, z trudem zbierając siły. - Mam nadzieję, że nie z Manuelem?

- Nie. Ale on i tak by nie poleciał. Zdaje się, że pracuje głównie dla Jorgego. Rozmawiałam z tym nowym pilotem. Czy wiesz coś o nim?

- Nie. Fabio zatrudnił go, kiedy byłem... chory. Dlaczego pytasz?

- Po prostu jestem ciekawa. Ma bardzo angielski akcent, ale francusko brzmiące nazwisko. Nie dosłyszałam go wyraźnie.

Oczy mu się zwężyły. Myśli, lekko zamroczone z powodu narkotyków, które zmuszony był wziąć tego ranka, cofnęły się w przeszłość. Francja w czasie wojny, pałac w Charente, winnice, koniak i arystokratyczna rodzina. Wspomnienia jakby z innego świata. Wtedy jeszcze nie ponizono *Führera*, ojczyzna nie skapitulowała, a on nie musiał salwować się ucieczką do Ameryki Południowej, w której pomógł mu stary przyjaciel Vicente Córdoba.

254

Janet Tanner

Było to na długo przed kupieniem Madrepory, na długo przed Magdaleną, przed Lilią...

Jego wzrok powędrował do skarbów zgromadzonych w salonie - srebrnych lichtarzy, brązowej statuetki bogini Ceres, małego zegara z czasów Ludwika XIV i pięknego tryptyku, który nazywał „tryptykiem Lilią”. Już tak długo z nim były, że zdążył zapomnieć, że kiedyś należały do kogoś innego. To dziwne, że właśnie teraz o tym pomyślał.

Z wysiłkiem odepchnął te wspomnienia od siebie i powrócił do terażniejszości, czerpiąc pociechę z faktu, że Lilią przywiezie na wyspę nie Jorge czy jeden z jego kumpli, lecz nowy pilot, jakkolwiek się nazywa. Zbyt krótko jeszcze przebywał na Madreporze, by Jorge zdążył go wciągnąć w swoje niebezpieczne zabawy. W każdym razie taką miał nadzieję. To znaczyło, że Lilią przynajmniej na razie jest bezpieczna. A tylko to się liczyło.

Rozdział dziewiętnasty

Kiedy samolot wystartował z lotniska Kennedy'ego, wzniósł się na odpowiednią wysokość i poszybował na południe ku karaibskim wyspom, Lili wypita kieliszek szampana i spróbowała się odprężyć. Nie było to łatwe. Od rozmowy z Ingrid niewiele spała. Mimo że czuła się rozbita i wyczerpana, adrenalina wciąż napływała falami, przyprawiając ją o dreszcze i gęsią skórkę za każdym razem, kiedy przypominała sobie, co ją czeka. Wiedziała, że pomimo komfortowego miejsca w pierwszej klasie nie zdoła zasnąć.

Chciała przylecieć na Barbados świeża i wypoczęta, dlatego zarezerwowała bilet pierwszej klasy, pokonując naturalną niechęć do zbędnych ekstrawagancji. Wychowano ją w zbytku i luksusie, a to oznaczało między innymi wygodne podróżowanie. Jednak dobrobyt jej nie zepsuł. Raczej zaszczepił w niej pragnienie do decydowania o własnym losie i obywatela się bez luksusów, jeśli nie pozwalała na to własna pensja. Nie chciała brać jałmużny od ojca. W tym jednak wypadku, po głębokim zastanowieniu, uznała, że taka ekstrawagancja jest usprawiedliwiona. Po prostu inaczej nie byłaby w stanie znieść tej podróży.

Podano posiłek - *haute cuisine* na porcelanowych talerzach - ale Lili zdołała przełknąć zaledwie kilka kęsów. Przez ostatnie dwa dni prawie nic nie jadła i teraz wędzony łosoś i kurczak *d la king* smakowały jak karton i stawały jej kołkiem w gardle. Odchyliła się na wygodne oparcie, zamknęła oczy i spróbowała uporządkować myśli, które wirowały jak szalone po zmęczonym mózgu.

Na pierwszy plan wysuwała się oczywiście troska o ojca. Myśl o tym, że jest ciężko chory, usuwała na bok wszelkie inne. Od rozmowy z Ingrid budziła się z nią i zasypiała. Szykując się do wyjazdu myślała tylko o jednym:

256 Janet Tanner

że powinna znaleźć się przy ojcu najszybciej, jak to możliwe. Może uda jej się nakłonić go do operacji, skoro Ingrid i lekarze zawiedli. Jeśli tak, to każda minuta jest droga. Ale przede wszystkim bardzo pragnęła go zobaczyć. Dzielała ich odległość stała się nagle trudna do zniesienia, a ona miotła się między irracjonalną nadzieją, że już sama jej obecność powstrzyma chorobę, a obezwładniającym lękiem, że jeśli się nie pośpieszy, przybędzie za późno. Gdyby nie list od Josie, mógł umrzeć, a ona nawet by nie wiedziała, że był chory. Kiedy uświadomiła sobie, od jak dawna się nie widzieli, ogarnęła ją tak gwałtowna tęsknota, że zapomniała o powodach, dla których opuściła wyspę.

Teraz jednak duchy przeszłości powróciły niepostrzeżenie, drażniąc już i tak napięte nerwy. Czy Jorge będzie na wyspie? Zwykle dzielił swój czas między Madrepore, Wenezuelę i Florydę. Skoro jednak ojciec był chory, bardzo prawdopodobne, że go tam zastanie, musiał bowiem w zastępstwie zająć się interesami. Zadrżała na myśl, że znowu go zobaczy.

Boże, przecież ja go wciąż Kocham! - pomyślała. - Nadal pragnę go aż do bólu, bez względu na to, kim jest i co o nim wiem. Mogę nim pogardzać, nawet się bać, lecz niczego to nie zmienia. Wystarczy, że o nim pomyślę, a zamieniam się w płonąca kulę pożądania.

Tak było zawsze i zaczęła się obawiać, że tak pozostanie. Sądziła, że wyjazd pozwoli wyrzucić z serca tę miłość, lecz tak się nie stało. Oczywiście zdołała wyrzucić go z myśli, tak jak wyrzuciła z życia, ale pamięć o nim nie umarła, trwała jedynie w uśpieniu i Liii czuła, że kiedy go zobaczy, ponownie ulegnie jego urokowi.

Jak stawię temu czoło? - myślała gorączkowo. - Co pocznę, jeśli on nadal mnie pragnie? A jeśli nie, to jak zdołam to znieść?

Miała zaledwie pięć lat, kiedy postanowiła, że zostanie jego żoną. Byłoby to zabawne, gdyby nie niosło zapowiedzi tego, co stało się później. Przypomniała sobie, jak wyglądał, kiedy go pierwszy raz zobaczyła: rozmawiał z matką na werandzie ich domu na Madrepore. Słońce przeświecało przez pnące się po kracie krzewy hibiskusa, rzucając cętkowane cienie na wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyznę w białej koszuli i jasnych bryczesach. Wydało jej się teraz, że w ogóle się nie zmienił przez te wszystkie lata, wiedziała jednak, że nałożyła jego wizerunek z przeszłości na obraz czterdziestoczteroletniego mężczyzny, jakim jest teraz. A może rzeczywiście się nie zmienił? Może należał do ludzi, dla których czas się zatrzymał pomiędzy wiekiem dojrzałym a starością. Zawsze jednak miał te głębokie

RAJSKIE DZIEDZICTWO

243

bruzdy między nosem a ustami, karnację w odcieniu mahoni, gładką skórę i worki pod oczami, świadczące o zbyt intensywnym życiu, które o dziwo dodawały mu jeszcze uroku.

Patrzyła na niego owego dnia i czuła, jak ogarnia ją podniecenie. Oczywiście była zbyt młoda, by je rozpoznać. Wiedziała jedynie, że coś ją do niego ciągnie i że bardzo pragnie znaleźć się na werandzie. Minęła łukowo sklepione wejście, stukając obutymi w sandałki stopami po kamiennej podłodze, i nagle zatrzymała się zawstydzona.

- Lili! - powiedziała matka. - Myślałam, że jesteś z Patsy na plaży.

W jej niskim melodyjnym głosie dźwięczało zaskoczenie. Siedziała na wiklinowym krześle ubrana w sarong. Jej długie, czarne, proste włosy spływały falami na nagie opalone ramiona, a smukłe nogi widoczne spod kolorowego jedwabiu miała skrzyżowane tak, że widać było złote klapki na wysokich obcasach okrywające pięknie sklepione stopy. Skórzane paski odsłaniały jaskrawoczerwony lakier na paznokciach. Lili uważała matkę za najpiękniejszą kobietę na świecie i całym swym pięcioletnim serduszkim pragnęła być taka jak ona. Czasami zakradała się do jej pokoju, malowała sobie paznokcie szkarłatną emalią i stroiła się w brzęczące bransolety, wyobrażając sobie, że jest dorosła i równie piękna jak matka. Jednak w tej chwili widziała jedynie tego mężczyznę i odpowiadając matce nie spuszczała z niego wzroku.

- Wróciłyśmy, bo Patsy bolała głowa.

- Czyżby? Będę musiała z nią porozmawiać.

W głosie Magdaleny dźwięczał gniew, więc Lili wzięła piastunkę w obronę.

- Naprawdę. Nie gniewaj się na nią, mamusiu.

- Nie gniewaj się, Magdaleno. Nie do twarzy ci z tym.

W przeciągającym wyrazu głosu zabrzmiała nuta sarkazmu, ale Lili była zbyt młoda i zbyt nim zafascynowana, by ją dostrzec.

- Idź się pobawić do ogrodu, Lili - poleciła Magdaleno. . Twarz Lili posmutniała.

- Dlaczego?

- Pozwól jej zostać. Przecież nie robi nic złego.

Mężczyzna wyciągnął szczupłą brązową rękę i zmierzwił jej włosy.

Podbiegła i usiadła na schodkach werandy, podciągnęła kolana pod brodę, wygładziła sukienkę i wpatrzyła się w niego z zachwytem, kiedy rozmawiał z matką, szczęśliwa, że może być przy nim.

Ta fascynacja jego osobą przetrwała aż do dziś, równie silna jak przed laty.

Janet Tanner

- Kawy, proszę pani? - zapytała stewardesa.

Lilii otworzyła oczy, zaskoczona widokiem pochylającej się nad nią oficjalnie uśmiechniętej postaci. Widziana przed chwilą matka, która nie żyła od piętnastu lat, wydała jej się bardziej rzeczywista niż ta obca kobieta. Matka i oczywiście Jorge. Zawsze i wszędzie on. Pokręciła przecząco głową.

- Nie, dziękuję.

Po czym zamknęła oczy i podjęła podróż ku odległej przeszłości.

Jorge pozostał na Madreporce przez większą część lata i zimy. Lilii nie bardzo wiedziała, dlaczego tak nagle wkroczył w ich życie, lecz domyślała się, że ma to związek z interesami ojca. Często znikali razem w jego gabinecie, czasami też jechali samochodem ojca - zresztą jedynym na całej wyspie - w stronę południowo-wschodniego krańca, gdzie w chatkach z blachy falistej mieszkała miejscowa ludność. Pewnego dnia, kiedy ze szczytu wzgórza stanowiącego granicę ich posiadłości śledziła jadący samochód, zauważyła, że kieruje się nie na południe, lecz na północ, po czym znika za gęstym pasem bujnej zieleni. Nie miała pojęcia, dokąd mogli jechać i co znajduje się w tej części wyspy, bo choć Madrepora liczyła zaledwie pięć mil kwadratowych, Lilii nigdy nie zapuszczała się w tamte strony.

Jorge przylatywał na wyspę własnym samolotem i lądował na małym lotnisku zbudowanym na płaskiej nadbrzeżnej równinie. To czyniło go w oczach Lilii jeszcze wspanialszym. W czasie swego pobytu na Madreporce nie mieszkał razem z nimi ani w hotelu, lecz w jednej z prywatnych willi stojącej na zalesionym wzgórzu. Był to różowy domek kryty gontem, do którego prowadziły kamienne stopnie, obrosnięty słodko pachnącym hibiskusem i oleandrem. Ten dom zawsze przywodził jej na myśl bajkę o Jasiu i Małgosi, nie tylko ze względu na ściany sprawiające wrażenie, jakby zrobiono je z cukru i marcepanu, ale również z powodu jego właściciela, Fernando Sancheza, którego miała nazywać wujkiem, a który był dla niej kimś w rodzaju męskiego odpowiednika czarownicy. Fernando był wysokim i szczupłym mężczyzną, przypominającym charta z dużym obwisłym brzuchem. Miał haczykowaty nos, grzywę wcześniej posiwiałych włosów i cerę przypominającą polukrowany włoski orzech. Lecz jej wzrok przyciągała sina blizna na szyi, wyglądająca jak pomarszczona bezbarwna dziura, która jednocześnie fascynowała ją i budziła wstręt. Jego głos przypominał ochryply szept o zgrzytliwym brzmieniu.

Ojciec wyjaśnił jej, że Fernando został postrzelony w szyję i o mało nie umarł. Kula uszkodziła struny głosowe, poszła w dół pod kątem i utkwiała w ramieniu.

RAJSKJE DZIEDZICTWO

259

Lilii zadrżała.

- Czy to było w czasie wojny, tatusiu? - zapytała. Wiedziała bowiem, że ojciec brał udział w wojnie.

- Chyba tak - odpowiedział Otto wymijająco i dopiero po wielu latach Lilii doszła do wniosku, że nie powiedział jej prawdy.

Jednak choć współczuła Fernando, nie była w stanie go polubić i cieszyła się, gdy „piernikowy domek” zamykano, a jego właściciel wracał do Ameryki Południowej.

- Dlaczego Jorge tam mieszka? - zapytała pewnego dnia matkę. - Czy nie mógłby mieszkać z nami? Tak byłoby praktyczniej.

Szkarłatne wargi Magdaleny rozciągnęły się w uśmiechu.

- Co to znaczy praktyczniej?

- Nie musiałby tak daleko chodzić, by spotykać się z tatusiem. Mógłby mieszkać w pokoju obok mojego, a kucharka szykowałaby mu śniadanie.

Magdaleny uśmiechnęła się, że się nad tym zastanawia.

- Tak, ale Jorge ma własną kucharkę. Byłoby jej przykro, gdyby nie chciał jeść jej śniadań.

- Ona nie jest kucharką Jorgego - zaprotestowała Lilii. - Tylko wujka Fernando.

- Przecież to na jedno wychodzi. - Kiedy Lilii spojrzała na nią ze zdziwieniem, Magdaleny dodała: - Wujek Fernando jest ojcem Jorgego. Nie wiedziałaś o tym?

- Nie - odparła Lilii zaskoczona. Trudno było jej uwierzyć, by taki potwór jak wujek Fernando mógł być czyimś ojcem, a już najmniej Jorgego.

- Wujek Fernando prowadzi razem z twoim tatą interesy - wyjaśniła Magdaleny. - Wiesz przecież. A Jorge pracuje dla niego. Czasami wujek nie czuje się dobrze i nie może pracować, i wtedy Jorge mu pomaga.

Serce Lilii zabiło mocniej. To znaczy, że Jorge będzie więcej czasu spędzał na wyspie.

Zastanawiała się, co by Magdaleny powiedziała, gdyby oznajmiła, że chce zostać żoną Jorgego, ale postanowiła zatrzymać na razie ten sekret dla siebie. Zamiast tego poprosiła o coś, o co prosiła już wiele razy. Uwielbiała, jak matka o tym opowiada, a teraz nabrało to dla niej szczególnego znaczenia.

- Opowiedz, jak poznałaś tatusia.

Magdaleny niecierpliwym gestem odrzuciła do tyłu czarne włosy.

- Lilii, już tyle razy opowiadałam ci tę historię, że musisz ją znać na pamięć.

Janet Tanner

- Opowiedz jeszcze raz, proszę!

- Rodzina twojego ojca w Niemczech sprowadzała kawę do kraju. Tę kawę pito w najlepszych kawiarniach w całej Europie, od Berlina po Wiedeń. Ale wojna wszystko zniszczyła. Rodzinny dom został zbombardowany, a interes się rozpadł. Wtedy twój ojciec przyjechał do Ameryki Południowej, by zacząć wszystko od nowa. Pomógł mu mój ojciec, a twój dziadek. Znali się, ponieważ wspólnie handlowali kawą. Ponieważ dziadek Vicente zajmował się polityką pomógł załatwić twojemu ojcu niezbędne papiery. Kiedy przyjechał do Wenezueli, poznaliśmy się i pokochali. Był dużo starszy ode mnie, miał prawie czterdzieści lat, a ja zaledwie siedemnaście. Lecz to nam nie przeszkadzało i mój ojciec był bardzo szczęśliwy, że poślubił starego przyjaciela.

Lekki uśmiech rozjaśnił twarz Lili. To była najlepsza część opowieści, ta, że tatuś był dużo starszy od mamy i że dziadek Vicente cieszył się, bo Otto był jego starym przyjacielem.

Podobnie będzie ze mną i z Jorge, pomyślała.

- Opowiedz mi, jak przyjechałaś na Madrepore - poprosiła.

- Nie ma tu nic do opowiadania. Dziadek Vicente najpierw wydzierżawił od rządu tę wyspę w imieniu taty, a później ją kupiliśmy. Przyjechaliśmy tu i otworzyliśmy hotel, a tatuś wszedł w spółkę z dziadkiem Vicente i wujkiem Fernando.

Lili nie pytała, co to była za spółka, bo uważała tę sprawę za nudną.

- A Jorge? Czy znałaś go już wtedy? Błady rumieniec zabarwił policzki Magdalene.

- Znałam go od zawsze, jeszcze kiedy byliśmy dziećmi.

Powinłam się tego domyślić, pomyślała Lili, wspominając wyraz twarzy matki, kiedy to mówiła. Ale była wówczas małą dziewczynką. Dla niej mama i tata stanowili zespół, nierozdzielny związek. Ani wtedy, ani później nie przyszło jej do głowy, że Magdalene i Jorge mogą być kimś więcej niż tylko przyjaciółmi, którzy bawili się razem jako dzieci, bo ich rodziny utrzymywały ze sobą bliskie kontakty.

To był naprawdę sielankowy okres, pomyślała, kiedy miłość i szczęście przyjmowała za coś naturalnego. Niestety skończył się wraz ze śmiercią matki.

To zdarzyło się chyba w rok po tym, kiedy po raz pierwszy zobaczyła Jorgego - ta straszna noc, która na zawsze utkwiała jej w pamięci.

Obudziło ją jakieś zamieszanie - podniesione głosy, nie rozgniewane, lecz poruszone, i czyjś rozpaczliwy płacz. Serce zaczęło jej walić ze strachu i szoku wywołanego gwałtownym wyrwaniem ze snu. Czowała instynktownie,

RAJSKIE DZIEDZICTWO

247

że stało się coś strasznego. Zebrała całą odwagę, wyplątała się z zagrządzającej jej drogę moskitiery i podbiegła do drzwi. Głosy dochodziły z dołu. Wyszła na korytarz, przytrzymała się drewnianej poręczy i spojrzała w dół. Zobaczyła ojca stojącego w salonie, ale twarz miał ukrytą w dłoniach, więc jej nie dostrzegł.

- Tatusiu! - zawołała przestraszona. - Tatusiu... co się stało?

Zdawał się jej nie słyszeć, ale w drzwiach pojawiła się Patsy. Miała na sobie szlafrok i z wyrazu jej twarzy Lili domyśliła się, że to ona tak płakała.

- Patsy! - krzyknęła. - Patsy... co się stało? Zbiegła ze schodów, ale Patsy zastąpiła jej drogę.

- Nie, panienko, nie trzeba tam iść.

- Ale ja chcę do mamy...

- Chodźmy, panienko. To nie jest miejsce dla panienki. Zaprowadzę panienkę do łóżka.

Po raz pierwszy w życiu Lili nie posłuchała piastunki. Ominęła wyciągnięte ramię Patsy i wbiegła do salonu.

- Tatusiu...

W drzwiach zatrzymała się gwałtownie. Magdalenę leżała na podłodze, do połowy zasłonięta wiklinową sofą. Jedną rękę miała odrzuconą w bok, a szkarłatna jedwabna suknia wyglądała jak martwy motyl. Po wyłożonej kafelkami podłodze płynęła szkarłatna strużka.

- Mamusiu! - chciała krzyknąć Lili, lecz słowa uwięzły jej w gardle. W tym momencie podbiegła do niej Patsy i skryła jej twarz w obszernych fałdach szlafroka, łkając przy tym rozpaczliwie.

- Mówiłam, żeby panienka tu nie wchodziła. Mówiłam, prawda? Chwyła Lili na rękę i wniosła na górę do pokoju. Rozsunęła moskitierę

i usiadła na łóżku, nie wypuszczając Lili z objęć. Kołysała się w przód i w tył, i zawodziła głośno.

Lili pozwalała jej na to. Była w całkowitym szoku. Świat ogarnęła ciemność. Ciemność i szkarłat. Pozostały jedynie obejmujące ją ramiona Patsy i przeraźliwe zawodzenie, które dźwięczało jej w uszach.

Następnego ranka przyszedł do mej ojciec. Wyglądał bardzo staro. Usiadł na łóżku, wziął jej dłonie w swoje i powiedział niskim, pozbawionym emocji głosem.

- Lili, musisz być dzielna. Wszyscy musimy być dzielni. Mam dla ciebie straszną nowinę.

Nie odezwała się słowem. Miała ochotę zatkać sobie uszy, żeby nie słyszeć

262 Janet Tanner

tego, co ma do powiedzenia. Domyślała się, co teraz nastąpi, i nie chciała, by słowa nadały temu realny kształt i pozbawiły ją resztek złudzeń, że to, co zdarzyło się w nocy, było tylko sennym koszmarem. Lecz siedziała tylko i wpatrywała się w ojca, czując, jak jej świat się rozpada.

- Lili, mama nie żyje - powiedział i w tym momencie straciła resztki nadziei.

Zwłoki Magdalenę zostały przewiezione do Wenezueli, gdzie odbył się pogrzeb i powoli, bardzo powoli życie na wyspie zaczęło się normować. Patsy zastąpiła Lili matkę i choć dziewczynka nadal płakała wieczorami za matką, jej młody organizm pokonał w końcu smutek. Ojciec jednak już nie był taki jak dawniej. Łatwo wpadał w gniew i częściej okazywał tę surową stronę swego charakteru. Jednak Lili umiała sobie z nim radzić. Wypróbowała na nim wszystkie kobiece sztuczki, a on się im poddawał.

Wkrótce po śmierci Magdalenę Jorge zniknął z wyspy, a jego miejsce zajął brat Fabio, który zamieszkał w piernikowym domku. Lili zapytała ojca o powód tej zmiany, lecz on odpowiedział krótko: „Jorge jest zajęty gdzie indziej”. Lili szybko pogodziła się ze zmianą i choć nigdy nie zapomniała Jorgego, jednak przestał odgrywać ważną rolę w jej życiu. Dopiero wiele lat później, kiedy miała szesnaście lat, ponownie wkroczył w jej życie i wszystko zaczęło się od nowa.

Wracając teraz do domu, Lili zastanawiała się, czy ta przerwa będzie miała jakieś znaczenie.

Wyjeżdżając przed czterema laty była zdecydowana nigdy tu nie wrócić i choć serce miała złamane, postanowiła, że nie dopuści, aby znowu zawładnął jej życiem i manipulował

uczuciami. Nie miała jednak pewności, czy to się uda i czy może sobie zaufać. Jorge zawsze był jej słabością i obawiała się, że zawsze tak będzie.

Jeśli jest na wyspie i nadal jej pragnie, czy potrafi mu się oprzeć? Miała jednak nadzieję, że go nie będzie.

Rozdział dwudziesty

Guy de Savigny stał w sali tranzytowej międzynarodowego lotniska na Barbadosie i obserwował przepływający tłum pasażerów, którzy właśnie przylecieli z Nowego Jorku. Większość z nich wyglądała na turystów; ubrani w dresy lub niedbałe stroje, nieśli ciepłe kurtki - bo tam, skąd przylecieli, panowała zima - walizki, torby i aparaty fotograficzne. Tylko nieliczni mieli kolorowe koszule z krótkimi rękawami, odpowiednie na karaibskie słońce. Guy domyślił się, że są to tuziemcy, wracający z zagranicznej podróży. Nikt jednak, choćby w niewielkim stopniu, nie odpowiadał wyglądem osobie, na którą czekał. Miała to być kobieta, jak przypuszczał mniej więcej w jego wieku, o typowo aryjskich cechach: z jasnymi włosami i niebieskimi oczyma.

Tłum powoli się przersedził. Guy bawił się okularami słonecznymi i zaczynał się zastanawiać, czy córka Otta w ogóle przyleciała tym samolotem, i do duszy zakradły mu się wątpliwości. Taka okazja była chyba zbyt doskonała, by mogła być prawdziwa. Poza tym rzadko przydarzały mu się w życiu takie szczęśliwe trafy. Może *Fräulein* Lili Brandt spóźniła się na samolot lub zmieniła plany i nie zdążono go o tym zawiadomić. Ale samolot wystartował przecież z Nowego Jorku, kiedy on był jeszcze na Madreporce, więc *Frau* Brandt na pewno zadzwoniłaby na lotnisko i odwołała kurs. A może to zrobiła i Manuel odebrał telefon, lecz zapomniał mu przekazać?

Manuel zajęty był dziś rano przygotowaniami do jednego z lotów dla Jorgego Sancheza. Może wyleciało mu to z głowy, a może zażartował sobie z niego złośliwie, specjalnie wysyłając na Barbados. Wydawał się rozgniewany tym, że to Guy przyjął zlecenie od *Frau* Brandt, chociaż powinien winić za to tylko siebie. Guy odnosił wrażenie, że za wszystkie sprawy związane z rodziną Brandtów czy Jorgem Sanchezem czuje się osobiście odpowiedzialny

Janet Tanner

- i tak zwykle było - toteż dziwiło go, dlaczego *Frau* Brandt poprosiła właśnie jego o przywiezienie pasierbicy. Skoro Jorge zwykle woził rodzinę swoim prywatnym samolotem lub zlecał to Manuelowi, to i teraz powinien to zrobić.

Guy westchnął i już miał odejść, kiedy jego uwagę przykuła młoda kobieta, lecz z zupełnie innego powodu. Szczupła, ciemna, pochodząca prawdopodobnie z Południowej Ameryki, ubrana prosto, lecz szykownie w cytrynowożółty żakiet i spodnie, niosła w ręku torebkę od Yvesa St Laurenta i kosztownie wyglądającą włoską torbę podróżną. Tuż za nią szedł bagażowy niosąc walizkę, również z inicjałami YSL. Choć wyglądał na zadowolonego, lecz jakimś dziwnym sposobem przypominał Guyowi tragarza epedycji naukowej. Nie zdziwiłby się, gdyby nagle umieścił sobie walizkę na głowie.

Ale piękność! - pomyślał Guy. Dopiero kiedy kobieta podeszła do niego i uśmiechnęła się lekko, zdał sobie sprawę, z kim ma do czynienia.

- Czy pan jest z Perpetuy? - zapytała niskim, melodyjnym głosem.

- Jestem Lili Brandt. Zdaje się, że to pan ma mnie zawieźć na Madrepore.

Kiedy tylko wysiadła z samolotu, natychmiast poczuła zapach Karaibów, Nie, nawet jeszcze wcześniej. Gorące powietrze wpadło do wnętrza samolotu, gdy tylko otwarto drzwi, i w jednej chwili porwała ją fala emocji, wyczarowując wspomnienia nie ostatnich bolesnych miesięcy, lecz dawnych szczęśliwych dni. Wciągnęła w płuca zapach wysp i natychmiast zapomniała o chorobie ojca, o Jorgem, o wszystkim z wyjątkiem tego, że jest w domu. A właściwie jeszcze niezupełnie. Tu było jej miejsce i tylko to się liczyło.

Szczęśliwa jak nigdy odebrała bagaż, odnalazła pilota, który na nią czekał, i poszła z nim na przedpole hangaru, gdzie stał Twin Otter z niebiesko-złotymi emblematami Air Perpetuy. Towarzyszący jej pilot był chyba kimś nowym

- ciemnowłosy i wyjątkowo przystojny, w czarnych spodniach i białej bluzie z kapitańskimi dystynkcjami połyskującymi na epoletach. Od razu poczuła do niego sympatię, która odzwierciedlała jej radosny nastrój. Usadził ją na siedzeniu znajdującym się tuż za jego fotelem, po czym załadował bagaż, gdy tymczasem ona płonęła z niecierpliwości. „Najdłuższa mila to ostatnia mila”, przypomniała sobie słowa starej piosenki. Przygotowania do startu wydawały się trwać wiecznie. W końcu znaleźli się w powietrzu i poszybowali nad połyskującym srebrem błękitnym morzem, płynąc w powietrzu z lekkością, której brakowało odrzutowcowi z Nowego Jorku. Samolot wznosił się

RAJSKIE DZIEDZICTWO

251

i opadał tak łagodnie, że miała wrażenie, jakby unosiła się na skrzydłach morskiego ptaka, a nie siedziała we wnętrzu stworzonej przez człowieka maszyny.

- Czy długo pan tu pracuje? - zapytała.

Lekko odwrócił głowę i rzucił jej kąpiące spojrzenie. Lili roześmiała ze swojej głupoty.

Oczywiście, nie słyszał jej, bo miał na uszach telesłuchawki, które odbierały jedynie głosy przez radio. Zamahała ręką przeproszająco, dając znać, że rozumie, i cofnęła się na siedzenie.

Chwilę później zauważyła, że pilot robi coś przy pulpicie kontrolnym. Wcisnął jakieś przewody do gniazdka, po czym podał jej z uśmiechem podobne do swoich słuchawki.

- Dziękuję - poruszyła ustami w odpowiedzi.

Miała już kiedyś podobne słuchawki, kiedy latała z Jorgem, ale to było dawno temu. Założenie ich zajęło jej więc chwilę. Odsunęła za uszy długie ciemne włosy, tak aby słuchawki dobrze przylegały do głowy, i ustawiła mikrofon przy ustach.

- Dziękuję - powtórzyła. - Zapomniałam, że pan mnie nie słyszy. Pytałam, czy długo pan tu pracuje?

- Nie... jestem tu nowy. Niecałe trzy tygodnie. - Mikrofon przydawał dźwięczności głębokiemu głosowi.

- Tak przypuszczałam, bo nie widziałam pana przedtem. Jak się tu panu podoba?

- Słońce, morze i puste plaże? Jak mogłoby mi się nie podobać? Domyślam się, że pani tu mieszka?

- Tu się urodziłam, lecz mieszkam teraz w Nowym Jorku.

- Spora różnica.

- Żeby pan wiedział. Tam jest prawdziwa zima.

- Przed trzema tygodniami byłem w Anglii. Tam też nieźle mrozi. Nie dziwi mnie, że wraca pani do domu, by złapać trochę słońca.

- Och, to nie dlatego - powiedziała Lili i urwała, bo rzeczywistość zmaćla nagle radosny nastrój.

- Co pani robi w Nowym Jorku? - zapytał, nie zdając sobie sprawy z jej nagłego skrepowania.

- Pracuję w wydawnictwie. W dziale reklamy. Ciekawa praca, ale dość męcząca. Te wszystkie obiady i przyjęcia.

- Okropność! - rzucił ze śmiechem.

- Tak, wiem. W głowie mi się przewraca - przyznała ze skrucą.

- Na pewno nie. Tak to już jest z takimi pracami jak pani czy moja.

252 Janet Tanner

Wszystkim wydają się fascynujące, tymczasem rzeczywistość okazuje się zupełnie inna.

- Trafił pan w sedno - powiedziała. - Ludzie nie rozumieją że mogę być śmiertelnie zmęczona i marzyć o cichym wieczorze przed telewizorem i z filiżanką gorącego kakao.

- Ale jakoś to znosimy.

- Tak - przyznała ze śmiechem. - Jakoś to znosimy.

Trzask w słuchawkach przerwał ich rozmowę i Lili zrozumiała że pilot przygotowuje się do lądowania. Wyjrzała przez okno i tuż pod nimi zobaczyła Madrepore, mały pasek lądu na tle błękitnego morza, który nabierał kształtu, w miarę jak samolot wytracał wysokość. Za każdym razem ten widok wywoływał w niej dreszcz zachwytu - zalesione wzgórza, białe plaże, hotel i nabrzeże z zacumowanymi jachtami, blaszane dachy chat osiedla slumsów, gdzie mieszkała Josie i miejscowa ludność, wille porzucane wśród drzew, i wreszcie jej rodzinny dom z wypiełgnowanymi trawnikami i basenem. Ten widok wywołał w niej gwałtowny skurcz żołądka. Samolot leciał teraz bardzo nisko i mogła dostrzec już tylko wąski pas startowy i drzewa okalające wschodnią krawędź lotniska. Skuliła się instynktownie, jak zwykle przy lądowaniu, ale samolot dotknął lekko ziemi, niemal pieszczotliwie muskając płytę lotniska kołami, po czym zaczął hamować.

- Brawo! - powiedziała Lili. - Mówiono mi, że bardzo trudno tu wylądować.

- Tego mnie właśnie uczono - odpowiedział po prostu.

Zdjęła słuchawki, odpięła pas bezpieczeństwa i wygładziła spodnie na kolanach.

Nareszcie w domu! Bez względu na wszystko było to cudowne uczucie.

I wtedy go zobaczyła. Radosny nastrój natychmiast się ulotnił. Po drugiej stronie lądowiska połyskiwała w słońcu mała biała awionetka. Samolot Jorgego. Był więc na wyspie. Poczula, jak serce zaczyna jej bić niespokojnie.

Pilot z wprawą przeprowadził końcowe czynności kontrolne, po czym otworzył drzwi do kabiny, wysiadł i pomógł jej wyjść. Strach ścisnął ją za gardło i nagle zapragnęła przytulić się do tego miłego, atrakcyjnego, biegłego w swej sztuce mężczyzny, który wydał jej się ostatnim bastionem spokoju przed czekającymi ją problemami.

- Dziękuję - powiedziała. - To było wspaniałe. Musi pan któregoś dnia wpaść na drinka.

- Z przyjemnością - odparł, ale wydawał się zaskoczony. Córka właściciela zaprasza taksówkarza na drinka - niesłychane!

RAJSKIE DZIEDZICTWO

267

- Mówiłam poważnie. To nie był jedynie zwrot grzecznościowy. Tylko nie wiem, jak się pan nazywa.

- Guy de Savigny.

- Czy mam zwracać się do pana per kapitanie de Savigny czy po prostu Guy?

- Guy byłoby miło.

Dzięki tej krótkiej prezentacji poczuła się lepiej. Miała wrażenie, że zyskała sprzymierzeńca. Była już zupełnie spokojna, kiedy wyładował jej bagaż i dopilnował, by kierowca ojca włożył go do Mercedesa czekającego na skraju lądowiska.

- Jeszcze raz dziękuję - powiedziała i odwróciła się w stronę morza. Słońce zaczęło już zachodzić; niebo i woda, jeszcze przed kilkoma minutami czyste i błękitne, pokryły się smugami szkarłatu, na widok którego serce Lili znowu zaczęło mocniej bić. Szkarłat. Nienawidziła szkarłatnego koloru. Wywoływał wspomnienia, o których chciała zapomnieć. Wspomnienia sprzed historii z Jorgem, a jednak jakoś z nim związane. Nawet w Nowym Jorku ten kolor sprawiał, że zimny pot spływał jej wzdłuż kręgosłupa. Tu, na Madreporce, nabierał szczególnego znaczenia, zabarwiając wszystkie uczucia strachem przed zbliżającym się nieszczęściem.

Odwróciła głowę; zobaczyła, że Guy oddalił się już w stronę małego domku służącego pilotom za biuro, i poczuła się nagle straszliwie samotna.

W małym domku z białym dachem stojącym na skraju lądowiska, jakieś dwieście, trzysta jardów od baraku pełniącego rolę biura Air Perpetuy, Jorge Sánchez gościł Enrique Garcię, policjanta, któremu podlegała Madrepóra. Domek ten nie był większy od swego brata-bliźniaka ale za to lepiej wyposażony. Chociaż Jorge większość interesów załatwiał w swojej willi ukrytej wśród drzew, potrzebna mu była również baza w pobliżu lądowiska i nabrzeża. Od kiedy zaś zaczął spędzać coraz więcej czasu na wyspie, uznał za konieczne wyposażenie biura we wszystkie potrzebne mu wygody. Jorge przywykł do luksusu. Wychowany w rodzinie zamożnych właścicieli ziemskich miał zawsze wszystko w najlepszym gatunku i traktował z pogardą to, co nie odpowiadało tym standardom. Dużo pił - o czym świadczył pożółkły odcień śniadej zazwyczaj twarzy - ale jedynie najlepsze wina i napoje spirytusowe. Palił tylko ręcznie robione cygarą czarne i cienkie. Nosił szyte na miarę

Janet Tanner

koszule i garnitury oraz ulubione jasne bawełniane bryczesy, które zamawiał zawsze u najlepszych krawców w Caracas. Cokolwiek poniżej tego poziomu obrażało jego wrodzoną arogancję, bo zmniejszało różnicę dzielącą jego sferę - wenezuelską klasę rządzącą - od mas, robotników, służących i bezrobotnych, zamieszkujących slumsy i żebrzących na ulicach. Ważną sprawą było również, zdaniem Jorgego, robienie odpowiedniego wrażenia na partnerach w interesach. Jednym z nich był właśnie Enrique García, oficer reprezentujący prawo. Pozyskanie jego życzliwości było pierwszorzędną sprawą dla prowadzonych przez Jorgego interesów. Kiedy tylko Garcia telefonował na Madrepore, Jorge zapraszał go z wylewną serdecznością traktując jak starego przyjaciela i robiąc wszystko dla stworzenia miłej atmosfery i uczynienia z wręczania gościowi prezentu czegoś w rodzaju przyjacielskiego spotkania, a nie tego, czym naprawdę było - daniem łapówki, która miała sprawić, że w raportach wysyłanych przez policjanta do przełożonych nie będzie wzmianki o przedsięwzięciach Jorgego.

Jorge nie lubił Garcii - zresztą niewiele z opłacanych przez niego osób dostąpiło tego zaszczytu - ale starał się ukryć swą niechęć. Już od godziny wysłuchiwał niestworzonych historii policjanta, poił go ponczem i jednym okiem zerkał na to, co się dzieje na lotnisku, udając, że pochłania go zawiła relacja Garcii o tym, jak to złapał właściciela siedemdziesięciopięciostopowego jachtu na naruszaniu przepisów na nabrzeżu jednej z wysp pozostających pod jego kontrolą Jorge miał nadzieję, że nikt na Madreporze nie będzie na tyle głupi, by zrobić coś, co zwróciłoby uwagę na różnorodne formy działalności firmy, w czasie kiedy Garcia przebywał na wyspie. Policjant mógłby się zorientować, że niektóre z tych form są nielegalne. Nie należało afiszować się z nimi pod jego nosem, - Kosztowało go to sporo pieniędzy - mówił Garcia wyraźnie z siebie zadowolony. - Ale na biednego nie trafiło. Ten jacht był najnowszym modelem, miał całkowitą stabilność i wszelkie możliwe udogodnienia.

Jorge kiwnął głową skrzętnie ukrywając niechęć. Garcia wzbogacił się na hojności tych, których działalność powinien kontrolować, lecz to nie przeszkadzało mu być grubym, głupim i nieokrzesanym. Jorge miał nadzieję, że uda mu się wlać w niego tyle ponczu, by wylądował w morzu, kiedy będzie wsiadał na swoją łódź. Na nic więcej nie zasługiwał. Oczywiście utopienie go nie leżało w planach Jorgego. Nowy policjant mógłby okazać się bardziej skrupulatny i mniej wrażliwy na jego urok osobisty.

- Jeszcze szklaneczkę? - zapytał uprzejmie.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

255

Garcia czknał głośno, klepnął się w pierś pulchną dłonią i odchylił w tył na krześle.

- Nie pogardzę.

Jorge podszedł do barku. Jego wysoka, dobrze zbudowana sylwetka prezentowała się elegancko w odcieniach czerwieni. Napełniając szklaneczkę Garcii postyszał zbliżający się szum silnika samolotowego. Podszedł do okna, otworzył je na oścież, wpuszczając do środka chłodną bryzę wiejącą od morza, i obserwował, jak maszyna podchodzi do lądowania. Był to Twin Otter należący do Perpetuy, za którego sterami siedział nowy pilot. Jorge zmrzążył oczy, obserwując, jak samolot dotyka ziemi. Ten nowy pilot był niewątpliwym mistrzem. Trzeba niezłych umieć ętości, by z taką wprawą wylądować na wąskim pasie startowym, mimo to Jorge zaczynał mieć co do niego poważne wątpliwości.

- Zadaje zbyt dużo pytań - powiedział Manuel, starszy pilot, któremu ufał bez zastrzeżeń. - Myślę, że powinienes mieć na niego oko.

Jorge podzielał jego zdanie. Nie lubił ludzi, którzy zadawali zbyt dużo pytań, zwłaszcza przed okazaniem listów uwierzytelniających. W najlepszym razie pachniało to kłopotami, a w najgorszym węszeniem - może nawet profesjonalnym. Ostatnia rzecz, jakiej pragnął, to mieć na karku tajnego agenta. Nie on zatrudniał nowego pilota, był wtedy zbyt zajęty innymi sprawami i pozostawił to bratu Fabiowi. A ten głupiec jak zwykle wszystko schrzanił. Wygląda na to, że zatrudnił kogoś, kto może im przysporzyć kłopotów. Jeśli tak, to źle skończy, jak każdy, kto próbuje się wtrącać lub ich przechytrzyć.

Twin Otter zatrzymał się, otwarto drzwi i z wnętrza wyłonił się nowy pilot. Jorge przyglądał mu się spod zmrużonych powiek, zastanawiając się, kogo tym razem przywiózł. Pewnie kolejnego gościa. Przybywali tu z Ameryki Południowej jak stado dzikich gęsi. Byli to przeważnie podstarzali Niemcy z wojenną przeszłością dla których Ameryka stała się równie skutecznym więzieniem jak to, na jakie skazałby ich sąd w Norymberdze. Nie zaprzętał sobie nimi głowy. Hotel był jedynie uboczną działalnością. Kierowanie nim leżało w gestii Otta; mógł sobie w nim dbać o rodaków. Teraz jednak, kiedy nie był już w stanie podołać swoim obowiązkom, zastąpił go Fabio. Chyba że przekona ojca, by zamknął hotel. Istniały między nimi różnice zdań w tej sprawie - Jorge uważał hotel za zbędne ryzyko, natomiast Fernando, jego ojciec, twierdził, że jest on świetną przykrywką. Jako szef firmy miał tu decydujące zdanie. Choroba Otta przypomniała Jorgemu, że jego ojciec też

270 Janet Tanner

nie będzie żył wiecznie. Pewnego dnia, w niedalekiej przyszłości, on przejmie cały interes i wówczas zrobi to, co mu będzie odpowiadało.

Okrutny uśmiech wykrzywił zmysłowe wargi, po czym natychmiast zgasł. Z samolotu wyszła młoda kobieta ubrana w cytrynowy kostium. Ciemne długie włosy rozwiewał silny wiatr wiejący od morza.

Lilii.

Natychmiast ją poznał, chociaż minęły już cztery lata od ich ostatniego spotkania.

Lilii - żywy obraz matki, kiedy była w jej wieku, szczupła, pełna wdzięku, piękna jak marzenie, świeża w swej młodości, którą Magdalenę utraciła w miarę upływu lat.

Lilii. Po tym, co się stało, nie spodziewał się, że zobaczy ją ponownie na Madreporze. Tylko choroba ojca mogła ją tu sprowadzić. Lilii uwielbiała swego tatusia. Żadne rozczarowanie, żadne złamane serce nie mogło tego zmienić. Musiała się dowiedzieć, że Otto jest umierający. Przyjechała, by się z nim pojednać, zanim będzie za późno.

Uśmiechnął się szeroko. Gdzieś jakby z oddali dochodziło do niego gadanie Garcii, któremu wypity alkohol rozwiązał język, ale przestało go to denerwować. Było jak ukłucie szpilki czy bzyczenie muchy na szybie okiennej.

A więc gra zaczyna się od nowa. Magdalenę była jego i Lilii była jego, i znowu będzie. Poczuł, jak rośnie w nim pożądanie, krew zaczyna szybciej krążyć w żyłach, a kark staje się nagle wilgotny. Zwilżył wargi wysuszone alkoholem i obserwował, jak Lilii przecina płytę lotniska zmierzając do czekającego samochodu, nie zdając sobie sprawy z tego, że jest obserwowana. Pragnął jej teraz bardziej niż kiedyś, pragnął równie mocno jak wszystkich dobrych rzeczy, a nawet mocniej, bo Lilii nie mógł kupić, musiał ją zdobyć, co jeszcze podwyższało cenę. Lecz to go nie odstraszało. Wręcz przeciwnie - dopingowało do działania. Pragnął Lilii, jak niczego dotąd. A Jorge zawsze dostawał to, czego chciał.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Willa drzemała w sennym upale późnego popołudnia. Płonąca kula zachodzącego słońca tonęła w morzu, lecz biała kamienna ścieżka prowadząca do domu wciąż promieniowała ciepłem, zatrzymując zapach bugenwilli i uroczymi rosnących po obu jej stronach. Lili czuła, jak pali ją w stopy, i marzyła, by zmienić pantofle na miękkie obuwie, a wełniane spodnie na luźną bawełnianą sukienkę. Lecz niewygodny strój był niczym w porównaniu z uciskiem w gardle i walącym jak młot sercem. Za chwilę spotka się z ojcem. Tego pragnęła, po to tu przyjechała, teraz jednak miała ochotę się cofnąć. Okoliczności ich rozstania na nowo odżyły jej w pamięci, a lata oddalenia potęgowały uczucie skrępowania. Lecz nie tylko to ją wstrzymywało. Za chwilę miała stanąć twarzą w twarz z jego chorobą, a nie z wyobrażeniem o niej. Potem nie będzie już miejsca na nadzieję. Pozostanie jedynie pogodzić się z nieodwracalnością sytuacji i ze świadomością, że wkrótce utraci go na zawsze.

Dwa kroki za nią służący niósł jej walizkę. Odwróciła głowę i zobaczyła uśmiechniętą ciemnoskórą twarz, która poważniała w miarę zbliżania się do willi, jakby dom wysyłał obraz zbliżającej się śmierci, rzucając niewidzialny cień na ścieżkę. Zebrała siły i odetchnęła głęboko. Nie wolno jej okazywać strachu. Jest przecież córką dawnego oficera niemieckiej armii, wnuczką Vicente Cordoby, polityka i właściciela ziemskiego. W jej żyłach płynie mieszkanka szlacheckiej krwi dwóch cywilizacji. Dlatego nie wolno jej okazać słabości. Weszła na górę po wąskich stopniach i pchnęła drzwi, które rozwarły się szeroko.

- Halo! - zawołała. - Już jestem!

Jej mocny i spokojny głos zadźwięczał w pustym korytarzu. I wtedy

Janet Tanner

zasłona z koralików osłaniająca wejście do kuchni rozsunęła się i ukazała się Patsy. Na widok Lilii rozwarła ramiona i powitała ją uśmiechem i łzami, które pojawiły się na wyrazistej ciemnej twarzy,

- Panienska Lilii! Och, panienko! Jak to dobrze, że panienska przyjechała!

- Patsy! - Lilii objęła ją czując, jak bujne piersi niczym przejrzałe melony poddają się naciskowi jej ciała; wchłaniała nieokreślony zapach ciemnej skóry, który przypominał jej lata dzieciństwa. - Jak dobrze cię znowu widzieć.

- I panienkę również. Och, tak się cieszę.

Patsy obejmowała Lilii mocno, a po policzkach spływały jej łzy.

- Lilii. - W energicznym głosie z lekkim niemieckim akcentem brzmiała dezaprobata. - A więc dotarłaś szczęśliwie.

Lilii przytuliła Patsy po raz ostatni i odwróciła się w stronę Ingrid.

- Witaj, Ingrid. - Ucałowała ją w oba policzki, lecz bez tej serdeczności, z którą powitała Patsy. Jej dawna piastunka ocierała teraz łzy brzegiem fartucha.

- Dziękuję, Patsy, to wszystko - powiedziała Ingrid. - Cammy, zanieś walizkę panny Lilii na górę. Wiesz, do którego pokoju - poleciła chłopcu stojącemu w drzwiach z niepewną miną.

- Do mojego dawnego pokoju? - Lilii nagle przeraziła się, że Ingrid mogła wprowadzić zmiany podczas jej nieobecności. Nie darowałyby jej tego.

- Oczywiście - odparła Ingrid wesoło. - Domyślam się, że marzysz o prysznicu i przebraniu się w coś lżejszego.

- Tak... ale najpierw muszę zobaczyć się z tatusiem. Gdzie on jest?

- W salonie. - Ingrid uniosła rękę, bo Lilii szła już we wskazanym kierunku. - Najpierw muszę cię ostrzec... On jest naprawdę bardzo chory. Proszę, nie zrób lub nie powiedz czegoś, co mogłoby go zdenerwować.

- Oczywiście! - odparła Lilii ostro. - Jakżeby mogła!

- Byłby to...

Lilii zignorowała ją i pospieszyła do salonu. Sądziła, że jest przygotowana na wszystko, lecz nie sądziła, że zmiany w jego wyglądzie mogą być tak szokujące.

Otto siedział podparty na leżance, ubrany w jedwabną szaroniebieską koszulę i jasne płócienne spodnie, lecz ubranie wisiało na nim i Lilii miała wrażenie, że widzi zaledwie cień dawnego ojca. Niegdyś silna i przystojna twarz była mizerna i skurczona bólem, a wypukła blizna na tle bladej skóry przybrała siny odcień.

Lilii spoglądała na niego z przerażeniem, po czym górę wzięły miłość

RAJSKIE DZIEDZICTWO

259

i troska. Podbiegła, otoczyła go ramionami i ucałowała w policzek, który wydał się zimny pod jej wargami.

- Tatusiu... och, tatusiu!

- Lili... *Liebchen!* - Głos mu się załamał.

Przez chwilę poddawali się wzruszeniu, po czym Lili przysiadła na podłodze tuż przy nim i pochwyciła jego dłonie w swoje.

- Jesteś wspaniały, tatusiu.

- Wiem - odparł ponuro. - Okropny ze mnie pacjent. Zapytaj Ingrid. Wyciągnął rękę w stronę żony, która stanęła z boku, nie chcąc przeszkadzać w powitaniu ojca z córką.

- Widzę, że nadal lubisz sobie popijać - powiedziała Lili, wskazując na szklankę stojącą na stole, i starając się, by jej głos brzmiał swobodnie.

- Na szczęście mogę sobie na to pozwolić. - Westchnął. - Och, Lili, do czego to doszło. Zawsze myślałem, że umrę w pełni sił. Nie przypuszczałem, że spotka mnie coś takiego.

- Nie mów tak, tatusiu. Przecież nie umierasz.

- Umieram, Lili.

Powiedział to z takim spokojem, że nie czuła się na siłach, by zaprotestować. Wszystkie argumenty, którymi chciała go przekonać o konieczności podjęcia jakichś kroków, rozwiały się w jednej chwili. Wystarczyło spojrzeć, by wiedzieć, że jest już za późno na cokolwiek.

- A więc... dobrą miałaś podróż? - zapytał.

- Tak. - Te słowa, choć tak straszliwie błahe, przynajmniej pokrywały skrępowanie.

- Jak ci się udało dostać tak szybko urlop?

- Miałam parę wolnych dni i po prostu powiedziałam im, że chcę je wykorzystać. To żaden problem, bo ktoś mnie zastąpi.

- To dobrze. Czekala na ciebie powietrzna taksówka?

- Tak. Z nowym pilotem. Jest bardzo miły.

- To dobrze. Nie chciałem, żeby... - Urwał. Tyle miał jej do powiedzenia, lecz musiał jeszcze poczekać. Poza tym czuł się bardzo zmęczony.

- Tatusiu - powiedziała, jakby czytała w jego myślach. - Jeśli niepokoisz się o Jorgego, to nie trzeba, To już przeszłość. Jestem teraz starsza i mądrzejsza.

Cienie pod jego oczami się pogłębiły.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Tak - odparła zdecydowanie. - Byłam wówczas dzieckiem. Nie wiedziałam... tego, co wiem teraz.

Janet Tanner

- Lili. - Jego palce przypominające teraz szpony zacisnęły się na jej ręce.

- Nadal nie wiesz wszystkiego. Musimy porozmawiać...

Napięcie w jego głosie zaniepokoiło ją. Ingrid uznała, że należy interweniować.

- Ale nie teraz, Otto - oświadczyła zdecydowanie. - Lili musi się odświeżyć po podróży i przebrać w coś lżejszego. Tobie również potrzebny jest odpoczynek.

- Na litość boską, kobieto, przecież nie robię nic innego! I co to daje?

- Już i tak miałeś dziś wystarczająco dużo wrażeń - powiedziała Ingrid, nie dając się wciągnąć w dyskusję. - Cały czas zamartwiałeś się o Lili. Nie zaprzeczaj, bo wiem, że tak było. No więc jest już, cała i zdrowa. Nie było żadnej kraksy, żadnych porwań, żadnych spóźnień ani Jorgego. Zrób sobie drinka i odpocznij. Jutro będziecie mieli mnóstwo czasu na rozmowy.

- Ingrid ma rację, tatusiu. - Lili ucałowała jego dłonie i wstała.

- Przyjechałam tu na dwa tygodnie, a jeśli trzeba, zostanę dłużej. Będziemy mieli mnóstwo czasu.

Kiedy to powiedziała, zdała sobie sprawę, że tak nie jest. Ich czas mógł się okazać bardzo ograniczony. Lecz jeden dzień niczego tu nie zmieni.

- Zobaczymy się na kolacji, a może przed, jeśli będę gotowa, a ty nie będziesz odpoczywał. Kolacja jest nadal o ósmej?

- Naturalnie. Nic się tu nie zmieniło.

Lili domyśliła się, że nie tylko kolację miał na myśli. Uśmiechnęła się, starając się ukryć dręczące ją uczucia.

- Uważaj na siebie. Żadnych szaleństw za moimi plecami.

Otto uśmiechnął się z wysiłkiem. Nawet najmniejszy ruch sprawiał mu ból.

- Daję ci na to moje słowo, *Liebchen*.

Po wyjściu Garcii Jorge przeszedł przez płytę lotniska do domku, w którym mieściło się biuro Air Perpetuy. Miał nadzieję, że zastanie tam nowego pilota, lecz spotkał tylko Manuela przeglądającego papiery. Starszy pilot uśmiechnął się na jego widok.

- Wszystko poszło gładko? - zapytał Jorge oschle.

- Tak, bez problemów.

- Świetnie. - Jorge wziął do ręki leżący na stole formularz, lecz po chwili odłożył go na miejsce. - Ten nowy pilot, zdaje się, latał dziś po kogoś?

- Tak - uśmiechnął się szerzej Manuel. Wiedział, kim był ten ktoś i co to

RAJSKIE DZIEDZICTWO

261

oznacza dla Jorgego, lecz powstrzymał się od komentarzy. Nie obchodziły go stosunki Jorgego z córką Brandta, choć czasami sprawiało mu perwersyjną przyjemność obserwowanie, jak jego szef zdobywa kobiety. Podziwiał go i zazdrościł licznych podbojów. Jorge wciąż działał na kobiety w sposób, w jaki Manuel nigdy by nie potrafił, chociaż był od niego młodszy o dziesięć lat. Jorge polował na nie jak myśliwy na zwierzynę, a one nie miały przy nim większych szans jak kulawy lew wzięty na muszkę sztucera. No cóż, niech mu szczęście sprzyja.

- Jak tam ten nowy pilot? - zapytał Jorge. - Znowu zadawał jakieś pytania?

- Nie. Ale dzisiaj nie miał okazji. Poleciał po córkę starego, a ja...

- Tak - przerwał mu Jorge. - Wiem, co robisz. Miej go na oku, dobrze? Daj mi natychmiast znać, kiedy tylko uznasz, że należy mnie o tym powiadomić.

- Jasne.

- Wychodzę, Zmarnowałem już dość czasu z tym głupcem Garcia. Wracam do domu.

Nie miał jednak zamiaru tam iść, a jeśli już, to nie na długo. Zamierzał bowiem odwiedzić Otta i odnowić znajomość z Lilią, Zarówno on, jak i Manuel, którego uwagi mało co uchodziło, doskonale o tym wiedzieli.

Otto, czy koniecznie musisz mówić jej o Sanchezach i waszych interesach? - zapytała Ingrid.

Lilią była na górze i dochodził stamtąd szum wskazujący na to, że bierze prysznic lub napuszcza wody do wanny.

Otto spojrzał na nią zmęczonym wzrokiem, a jej serce ścisnęło się na widok jego twarzy.

- Tak, myślę, że tak. Nie chcę, aby się dowiedziała, kiedy mnie już nie będzie. Poza tym lepiej, żeby wiedziała. Lilią jest uparta, a wiesz, jacy są Jorge i inni, kiedy się zorientują, że ktoś im zagraża. Musi zdawać sobie sprawę, że nie cofną się przed niczym.

Kiwnęła głową z rezygnacją. Może to i lepiej, Kiedy tym razem Lilią będzie wyjeżdżać z Madrepory, to już na zawsze. Pragnęła tego z całego serca. Tak jak przypuszczała, spotkanie z Lilią było dla niej bardzo bolesne. Pasierbica - tak straszliwie podobna do Magdaleny - przypominała jej o kobiecie, która ukradła jej najlepsze lata z życia Otta i swoją obecnością burzyła z trudem osiągnięty wewnętrzny spokój. Powróciło nagle dawne

Janet Tanner

uczucie goryczy i zawodu. Przez całą wojnę czekała na niego i modliła się, żeby nie zginął. Zarówno jej dom, jak i jego legł w gruzach, mimo to nie załamała się i postanowiła być dzielna. Dom to tylko cegły i zaprawa murarska. Najważniejsze, by Otto był cały i zdrowy. Co noc kładła pod poduszkę swój pierścionek zaręczynowy i marzyła o dniu, kiedy wojna się skończy, a on wróci do domu i wsunie jej na palec ślubną obrączkę, której już nigdy nie będzie musiała zdejmować.

Lecz wszystko poszło nie tak. Niemcy przegrały wojnę, a Otto uciekł do Ameryki Południowej. Jednak i wtedy nie poddała się zwątpieniu i czekała cierpliwie, by po nią posłał. Lecz to nigdy nie nastąpiło. Pewnego dnia dotarły do niej nieoczekiwane wiadomości. Otto poznał w Ameryce wenezuelską dziewczynę, córkę człowieka, który pomógł mu w ucieczce, i zakochał się w niej. Ingrid poczuła, że ziemia usuwa jej się spod nóg. Nie mogła uwierzyć, że Otto tak z nią postąpił. Przecież tyle dla siebie znaczyli. Kiedy dowiedziała się, że się ożenił, miała ochotę umrzeć. Wtedy jednak przyszedł uzdrawiający gniew i dzika nienawiść do kobiety, która zabrała jej ukochanego mężczyznę. Mogła być młoda i piękna, mogła oczarować samotnego mężczyznę w obcym kraju, ale na pewno nie da mu szczęścia. Któregoś dnia znudzi mu się i wtedy Otto zatęskni za Ingrid. A ona będzie na niego czekała.

Niestety, jej przewidywania się nie sprawdziły. Kiedy miesiące zmieniły się w lata, Ingrid powoli zaczynała mieć dość czekania. Spotkała młodego lekarza i choć daleko mu było do Otta, zdecydowała się przyjąć jego propozycję małżeństwa. Kiedy dowiedziała się o śmierci Magdaleny, poczuła jedynie żal za tym, jak mogło się potoczyć jej życie. Była szczęśliwa w małżeństwie, a jeśli Otto został sam, no to co? Sam jest sobie winien.

Dopiero jakieś dziesięć lat temu ponownie o nim pomyślała. Jej mąż zginął w wypadku samochodowym i postanowiła przeprowadzić się do mniejszego domu. W czasie porządkowania rzeczy natknęła się na stary pierścionek zaręczynowy i nagle zatęskniła za dawnymi marzeniami i rozpaczliwie zapragnęła ponownie zobaczyć Otta. Każdy dzień bez niego wydał się teraz stratą czasu. Napisała do niego, a on odpowiedział na list, zapraszając ją na Madrepore, Pojechała z duszą tak przepelnioną nadziejami i marzeniami jak młoda dziewczyna. Kiedy go zobaczyła, wiedziała, że nigdy nie przestała go kochać. Pobrali się i Ingrid nie wróciła już do Niemiec. W końcu to, czego zawsze pragnęła, wreszcie się ziściło. Był jednak ktoś, kto zakłócał jej szczęście i jak cień tkwił jej w duszy. Tym kimś była Lilii - wierna kopia matki - i Ingrid była przekonana, że kiedy Otto spogląda na nią, widzi

RAJSKIE DZIEDZICTWO

277

Magdalenę. Patrzyła z nienawiścią, jak dogadza córce, okazując w ten sposób miłość, której nie mógł okazać Magdalenę. Była szaleńczo zazdrosna nie tylko o ich niezwykle bliski wzajemny kontakt, ale również o młodość Lili, która wydawała się szydzić z jej własnej utraconej młodości i stale przypominała o kobiecie, która skradła jej najlepsze lata życia.

Odetchnęła z ulgą, kiedy Lili wyjechała do Nowego Jorku, choć miała z tego powodu wyrzuty sumienia, widząc, jak martwi to Otta. Nareszcie miała go tylko dla siebie, bez duchów przeszłości. Lecz okres błęgiego spokoju trwał krótko. Znow dał o sobie znać okrutny los. Znow miała stracić Otta, tym razem już na zawsze, Na dodatek wróciła Lili, rzucając swój piękny cień na wspólne chwile, które im jeszcze pozostały.

Ingrid podeszła do męża, stanęła za leżanką i położyła mu władczy gestem dłonie na ramionach, wyczuwając pod palcami sterczące kości.

- Da sobie radę - powiedziała uspokajająco, żałując, że nie może dzielić z mm gorącej miłości do jego córki. - Jest młoda i silna. Tamta historia się nie powtórzy.

- Obyś miała rację - powiedział Otto, lecz oboje wiedzieli, że mówią nie tylko o związku Lili z Jorgem, ale także o innych sprawach, trudniejszych do zniesienia, które powinny pozostać w przeszłości, lecz były zbyt straszne, by dało się o nich zapomnieć.

Guy de Savigny zjadł samotnie prostą kolację złożoną z ryby i owoców mango, przygotowaną przez gospodynię, po czym zmył naczynia, otworzył kolejną puszkę piwa i wyszedł z nią na werandę.

Nad palmami świecił księżyc tak wielki i jasny, że noc była prawie tak widna jak dzień, a gorące powietrze wypełniało bzyczenie miliona moskitów i cykanie świerszczy w trawie przed werandą. Wyniósł krzesło na dwór i oparł stopy o balustradę werandy. Powinien napisać kilka listów do domu, ale nie mógł się skupić. Jego myśli wciąż krążyły wokół wydarzeń minionego dnia. Wciąż nie mógł uwierzyć, że udało mu się poznać córkę Otta i nawiązać z nią tak przyjazny kontakt. Oczywiście to zaproszenie na drinka do willi mogło być jedynie nic nie znaczącą grzecznościową formułką. Tak czy owak zrobiła to, a on nie miał zamiaru wypuścić takiej okazji z ręki. Dzięki temu otworzyła się przed nim szansa wejścia do willi i upewnienia się, czy są tam owe skarby, o których opowiadał Bill. Wówczas będzie miał dowód na to, że Otto Brandt to w rzeczywistości Otto von Rheinhardt.

278 Janet Tanner

Taka okazja to dar niebios, a dziewczyna była nie lada kaskiem, nieoczekiwanym dodatkiem. Nigdy by nie przypuszczał, że starzejący się hitlerowski zbrodniarz może mieć taką córkę. Doznał nagle nieoczekiwanego uczucia żalu. W innych okolicznościach byłby zainteresowany znajomością z nią. Ponownie stanęła mu przed oczami jej egzotyczna uroda, postłyszał jej głos i wyobraził sobie, że trzyma ją w ramionach. Wielka szkoda, pomyślał. Rzadko która dziewczyna tak na niego działała. Nie wolno mu było jednak zapominać, kim ona jest, i jeśli okaże się, że córką von Rheinhardta, będzie to koniec znajomości. Nie będzie chciała mieć nic z wspólnego z kimś, kto odda jej ojca w ręce władz, a on nie będzie chciał mieć nic wspólnego z córką potwora, który zamordował członków jego rodziny i ograbił z ich własności. Przez moment zapragnął, by ów Niemiec nie okazał się von Rheinhardtem, lecz natychmiast przywołał się do porządku. Ma odnaleźć von Rheinhardta i odzyskać rodzinne skarby. Nie pozwoli, by ładna buzia i para długich nóg mu w tym przeszkodziły.

Kolacja w willi dobiegła końca. Patsy sprzątnęła ze stołu, a Lili, Ingrid i Otto siedzieli w salonie rozmawiając o błahych sprawach. Otto niewiele jadł; dłużył widelcem w talerzu stojącym przed nim na tacy, a Lili przyglądała się temu z rozpaczą. Wcześniej wyobrażała go sobie jako chorego, lecz rzeczywistość okazała się znacznie gorsza. Gdyby nie był zawsze takim silnym człowiekiem, może łatwiej by to zniosła. Tymczasem obecny jego wygląd był dla niej szokiem, bo stalowa wola wciąż tkwiła w umierającym ciele. Poczła pod powiekami palące łzy. Odwróciła głowę i spostrzegła wysoką postać stojącą w drzwiach balkonowych. Wstrzymała oddech zaskoczona, lecz w tym momencie odezwała się Ingrid. W jej głosie brzmiało lekkie oburzenie.

- Jorge? Co za niespodzianka!

- Czyżby? - zapytał z rozbawieniem, w sposób charakterystyczny przeciągając sylaby. Ten głos wciąż słyszała w swoich snach.

Jorge wszedł do salonu, poruszając się z leniwym wdziękiem wielkiego kota. Światło padające z kandelabra żłobiło ostre linie na jego twarzy, przez co wyglądał starzej i bardziej niebezpiecznie niż zwykle. Nadal jednak potrafił rozbudzić jej zmysły.

- Słyszałem, że Lili przyjechała - powiedział. - Wpadłem, by ją zobaczyć.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

265

- Nie powinienes. - Otto siedział wyprostowany na leżance. Gniew i konsternacja dodały mu sił.
- Lili nie chce cię widzieć. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?
- W porządku, tatusiu. Dam sobie radę. - Stała z tyłu za jego fotelem i oparła mu ręce na ramionach. - Pochlebia mi, że przyszedłeś się ze mną zobaczyć, Jorge, lecz niepotrzebnie. Ojciec miał rację, twierdząc, że nie chcę cię widzieć.
- Jorge wzruszył ramionami nie spieszone.
- Przykro mi to słyszeć - powiedział, przeciągając zgłoski. - Sądziłem, że ty i ja coś dla siebie znaczymy. Poza tym w obecnej sytuacji może to być nieuniknione.
- Co chcesz przez to powiedzieć? Spojrzał na Otta.
- Wkrótce zajdą tu pewne zmiany i konieczne będą nowe ustalenia. Brutalność tej uwagi odebrała Lili mowę, za to Ingrid zerwała się z fotela, rzucając mu wściekłe spojrzenie.
- Jak śmiesz! - wykrzyknęła. - Jak śmiesz przychodzić tutaj bez zaproszenia i denerwować Otta!
- Jorge uśmiechnął się lekko, lecz w przedziwny sposób jego twarz pozostała bez wyrazu.
- Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, czy chcesz tego czy nie.
- Ale nie w tej chwili i nie tutaj. Chyba lepiej będzie, jeśli sobie pójdziesz, Jorge.
- Wzruszył z wdziękiem ramionami.
- Jak sobie życzysz. To twój dom... na razie. Żałuję tylko, że jesteś taka niegościnna dla starego przyjaciela i partnera w interesach. Ale niech tak będzie. Wkrótce rozmówię się z tobą na osobności, Lili.
- Czy nie rozumiesz, że nie mam ci nic do powiedzenia? - Lili rozwścieczyła jego arogancja i absolutny brak szacunku dla ojca. Była również wściekła na siebie za to, że pozwoliła, by miał taką władzę nad jej emocjami i życiem. - Ingrid mówiła również w moim imieniu. Wróciłam na Madrepore ze względu na ojca. 1 to jest jedyny powód. Byłabym wdzięczna, gdybyś zostawił jego i mnie w spokoju.
- Jorge zaśmiał się chrapliwie. Ten gardłowy śmiech był wynikiem palenia zbyt wielu cygar i nie przespanych nocy.
- Jesteś jeszcze piękniejsza, kiedy się gniewasz. Ten ogień jest porywający! Z niecierpliwością będę oczekiwał na współpracę z tobą.

266 Janet Tanner

Odwrócił się i wyszedł z kręgu światła rzucanego przez kandelabr, jak aktor, który wie, kiedy zejść ze sceny, i który nie chce zepsuć efektu dalszym dialogiem. Zanim Lili zdażyła zareagować, zniknął w ciemnościach.

- A to świnia... kim on sobie wyobraża, że jest?! - wybuchnęła Ingrid. - Lili zaskoczyła jej gwałtowna reakcja, bo dotąd uważała macochę za osobę zimną i aż do przesady opanowaną. - Nikogo ani niczego nie potrafi uszanować, Pewnego dnia ktoś postąpi z nim tak, jak postąpili z jego ojcem: przestrzeli go na wylot, bo na nic innego nie zasługuje.

- Ingrid... proszę. - W głosie Otta brzmiało napięcie. Lili wyczuwała je również w mięśniach ramion. - Uspokój się, dobrze? Nie psuj Lili pierwszego wieczoru w domu.

- Jorge już to zrobił.

- Nieprawda. - Po wyjściu Jorgego Lili poczuła, że cała się trzęsie, lecz postanowiła nie okazywać, jak bardzo ją to zdenerwowało. - Nie powinien mówić takich rzeczy, ale dobrze, że go zobaczyłam. Bardzo się bałam tego spotkania. Teraz na szczęście jest już po wszystkim. Najgorsze mam już za sobą.

- Lili. - Otto wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie. - Nie sądzę, żeby tak było. Słyszałaś, co powiedział. Chce z tobą porozmawiać na osobności.

- Nie dopuszczę do tego.

- *Liebchen*, to nie takie proste, jak myślisz. Znasz Jorgego. On tak łatwo nie rezygnuje. To nie w jego stylu. Poza tym... słyszałaś, co powiedział.

Zamilkł. Lili uklękła przy nim.

- Tatusiu, co on miał na myśli?

- Nie teraz, Lili! - powiedziała ostro Ingrid. - Twój ojciec jest bardzo zmęczony. Dość już emocji na dzisiaj.

- Nic mi nie jest - uspokoił ją Otto. - Musimy przez to przejść, Ingrid. Lili powinna dowiedzieć się prawdy o Madreporce, o Jorgem i o innych.

- Ale nie dzisiaj. Nie wolno ci się tak przemęczać, Otto. Jutro sobie porozmawiacie. A teraz pójdę po Basila. Najwyższy czas na odpoczynek.

Powiedziała to energicznym tonem, jak nauczycielka wydająca polecenie. Kiedy wyszła z salonu, Otto wznosił ręce w bezradnym geście i pokiwał głową z udanym smutkiem.

- Widzisz, do czego to doszło? Otto von Rheinhardt zmuszony słuchać poleceń kobiety.

Zmęczenie i narkotyki sprawiły, że jego słowa brzmiały niewyraźnie, toteż Lili spojrzała na niego zaskoczona.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

281

- Co powiedziałaś?

- Powiedziałem, że Ingrid bezwstydnie mną dyryguje.

- Nie, nie to. Powiedziałeś Otto von coś tam... w każdym razie nie Brandt.

- Naprawdę? - Wściekły na siebie za brak rozwagi, pomyślał, że choć raz narkotyki na coś się przydadzą, bo może wykorzystać je jako wymówkę.

- Ach, to stare rodzinne nazwisko. Używałem go, kiedy byłem chłopcem. Tak mi się jakoś wymknęło.

- Och, tatusiu! - Twarz Lili złagodniała pod wpływem miłości i bólu.

- Korzystając z nieobecności Ingrid miałam cię zapytać, co tu się właściwie dzieje, ale widzę, że ona miała rację. Nie nadajesz się do rozmowy. A więc przełożymy ją na jutro. Wtedy powiesz mi o wszystkim.

- Dobrze, Lili, Muszę przyznać, że nie czuję się na siłach...

Drzwi się otworzyły i do pokoju wpłynęła Ingrid, a za nią wiemy Basil.

- Oto i on. Teraz połóżysz się spać, a ja zaopiekuję się Lili - oświadczyła.

- Dobrze już, dobrze. Dobranoc, *Liebchen*. I... cieszę się, że jesteś w domu. Dotknął jej policzka i Lili odsunęła się, patrząc, jak Basil pomaga wstać mu z fotela i wyprowadza z pokoju.

- Nie miałam pojęcia, że jest aż tak chory - powiedziała, kiedy już nie mógł jej usłyszeć. - To straszne! Dlaczego nie daliście mi znać?

- Mówiłam ci już, nie życzyl sobie. - Ingrid nałała sobie filiżankę kawy.

- Jej twarz była teraz dziwnie spokojna. - Po tym zamieszaniu z Jorgem rozumiesz chyba dlaczego.

Poczuła nagle wyrzuty sumienia. To ona ponosi częściowo odpowiedzialność za to, co się stało.

- O czym tatuś chciał mi powiedzieć? - zapytała.

Ingrid milczała przez chwilę, zastanawiając się, jaką podjąć decyzję, po czym pokręciła głową przecząco.

- Nie, Lili, to musi wyjść od niego. Ta sprawa mnie nie dotyczy.

- Jesteś przecież jego żoną. Musisz wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

- Wiem, ale to nie ma nic do rzeczy. To są wyłącznie wasze sprawy i nie mogę w nie ingerować.

- A jeśli jutro czy pojutrze nie będzie miał dość sił, by mi o tym powiedzieć? Może w ogóle nie będzie w stanie mi tego powiedzieć.

- Wtedy ja to zrobię. Ale on musi mieć pierwszeństwo.

Jej stanowczy ton przekonał Lili, że nie ma sensu się upierać.

- Ingrid, czy nie masz nic przeciwko temu, bym i ja poszła spać?

- zapytała. - Czuję się bardzo zmęczona. To był długi dzień.

Janet Tanner

Nie dodała, że nie ma ochoty rozmawiać o niczym ze swoją macochą, że nie czuje się swobodnie w jej obecności i pragnie jedynie zostać sama ze swoimi myślami.

- Oczywiście że nie - odpowiedziała Ingrid. - Zaczynam się przyzwyczajać do samotnych wieczorów, bo zdaje się, że tylko to mi pozostało.

Lilii nie potrafiła znaleźć właściwej odpowiedzi. Zamiast tego podeszła do macochy i pocałowała ją w policzek z większą niż zazwyczaj serdecznością. Ingrid dała przecież ojcu trochę szczęścia i dotrzymywała mu towarzystwa przez ostatnie lata. Już za to samo należała jej się dozgonna wdzięczność.

Jej dawny pokój pozostał taki jak przed laty. Rozebrała się przy świetle księżyca, wpadającym do wnętrza przez nie zasłonięte okno, i położyła do łóżka z baldachimem wspartym na czterech słupach, zaciągając moskitierę, która zapewniała chłodne białe schronienie.

Jako dziecko uwielbiała to łóżko, które przypominało jej baśniowe posłanie i zmieniało się zależnie od wyobraźni w zaczarowany zamek, samotną wyspę lub piracki statek. To tu skupiał się cały świat samotnego dziecka. Tu mogła marzyć i tworzyć wymyślone przez siebie historie, tu również wylewała gorzkie łzy za matką i wiele lat później z powodu Jorgego, który wykorzystał ją i oszukał. Teraz te wszystkie smutne wspomnienia odżyły na nowo w jej myślach. Podciągnęła wyżej batystowe prześcieradło, wysunęła na wierzch ręce i zamknęła oczy. Lecz sen nie nadchodził. Od chwili otrzymania listu od Josie miała kłopoty z zaśnięciem. Teraz stanęła jej przed oczami scena, która rozegrała się tego wieczoru w salonie. Dlaczego Jorge musiał się zjawić akurat dzisiaj? - pomyślała z gniewem, zupełnie wytrącając się ze snu. Dlaczego nie zaczekał z tym choć trochę? Ale to me byłoby w jego stylu. Robił wszystko, by osiągnąć to, co chciał, stosując w tym celu swoją ulubioną taktykę kija i marchewki. Brutalnie atakował ofiarę, by za chwilę omamić ją upajającym pochlebstwem. W ten sposób zmieniała się w jego rękach w marionetkę wprawianą w ruch przez wytrawnego lalkarza. Jeśli czegoś pragnął, to pragnął tego z całych sił. A w tej chwili zapragnął jej, a właściwie nie jej samej, lecz wyobrażenia, jakie sobie stworzył. Chciał ją posiąść, a potem rzucić, kiedy mu się znudzi, a wszystko po to, by zaspokoić żądzę i miłość własną. Wiedziała o tym, nienawidziła go za to, a mimo to nie mogła mu się oprzeć.

Wiedziała, że postępuje źle, lecz to było od niej silniejsze. Wówczas

RAJSKIE DZIEDZICTWO

269

jednak nie wiedziała tego, co wie teraz. Była młoda, uczuciowa, romantyczna. Nie mogła siebie za to winić. Najbardziej jednak przerażało ją to, że choć teraz starsza i mądrzejsza, nie byłaby w stanie mu się oprzeć i wszystko zaczęłoby się od nowa.

Jorge był jej przeznaczeniem. To właśnie powiedziała sobie, kiedy miała szesnaście lat. Nie myślała o przyszłości, nie zastanawiała się, co będzie później. A gdyby pomyślała, czy coś by to zmieniło? Nie potrafiła na to odpowiedzieć. Leżąc w swoim dawnym łóżku z myślami przepelnionymi Jorgem, który choć zasługiwał na pogardę, wciąż był nieodparcie pociągający, zdała sobie sprawę, że nadal jest niczym więcej jak zabawką w jego rękach.

Rozdział dwudziesty drugi

Wszystko się zaczęło, kiedy miała szesnaście lat i od prawie ośmiu była uczennicą przyklasztornej szkoły pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny.

Na początku nienawidziła nowego miejsca, tęskniąc za domem i buntując się przeciw szkolnym rygorom. Potem, stopniowo, przywykła do szkoły. Przekonała się, że siostry gotowe są wybaczyć prawie wszystko mądrej i bystrej dziewczynce, jaką była, a cięty język i poczucie humoru zyskały jej popularność wśród koleżanek. Lili, która często bywała samotna, poznała, co znaczy przyjaźń, i odkryła nie znany jej dotąd rodzaj miłości.

Miała na imię Rosina i była poważną i wiecznie ślęczącą nad książkami dziewczynką, czym zdecydowanie różniła się od Lili. Przez dwa semestry prawie się nie rozstawały, spacerując objęte w wolnym od nauki czasie po terenach należących do szkoły i zwierając się sobie z sekretów. Raz czy dwa pocałowały się nawet i dotykały nawzajem, lecz ten cielesny kontakt nie sprawił Lili przyjemności. Uznała, że zniszczył on czystość ich przyjaźni i wzbudził w niej nie tylko poczucie winy, ale i rozczarowania, czego nie mogła pojąć. Zaczęła unikać Rosiny, która chodziła za nią jak wiemy pies odrzucony przez pana. Wkrótce Lili znalazła inne koleżanki, z którymi mogła się pośmiać i porozrabiać, toteż szybko zapomniała o tęsknocie za domem i znów stała się dawną beztroską dziewczyną.

Bardziej jednak niż pobyt w szkole i biła wracać na wakacje na Madrepore i owego lata było podobnie. Zadowolona i szczęśliwa patrzyła, jak samolot, który ojciec po nią przysłał, sunie nad błękitnym morzem upstrzonym plamkami małych wysp. Dziwne, ale wówczas w ogóle nie myślała o Jorgem. W ciągu ostatnich dziesięciu lat rzadko go widywała. W piernikowym domku przebywali najczęściej wujek Fernando i Fabio, brat Jorgego, i to oni

załatwiali z ojcem interesy. Kiedyś zapytała ojca o powód tej zmiany, lecz on tylko wzruszył ramionami i powiedział: „Jorge jest zajęty gdzie indziej”. I nawet jeżeli oczy mu pociemniały, Lilli tego nie zauważyła, Szybko zresztą przestało ją to interesować, jednak nigdy nie zapomniała o Jorgem.

W pierwszej chwili, kiedy wysiadła z małej taksówki powietrznej na zalany słońcem pas startowy i spostrzegła wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę ubranego na biało, stojącego przy lekkiej awionetce zaparkowanej na trawie, nie poznała go. Wówczas uniósł głowę, zobaczył ją i pomachał ręką na powitanie, a jej serce przestało bić. Jorge!

Natychmiast powróciły wszystkie na wpół zapomniane marzenia. Tylko teraz zdała sobie sprawę, jak wówczas była dziecinna i naiwna. Ogarnął ją wstyd za tę dawną pięcioletnią dziewczynkę i jednocześnie poczuła się zażenowana swoją obecną reakcją na jego widok. Pomachała mu w odpowiedzi, a on skierował się w jej stronę.

- Lilli! Czy to naprawdę ty? Nigdy bym cię nie poznał, gdyby twój ojciec nie powiedział mi, że przyjeżdżasz. Jak ty wydorosłaś.

Ciemne oczy przesunęły się taksująco po jej ciele, nie starając się nawet ukryć, że podoba im się to, co zobaczyły.

- No pewnie, że wydorosłaś. Kiedy ostatni raz cię widziałam, miałam pięć lat - odpowiedziała ze śmiechem.

- Już wtedy byłaś piękna - powiedział. - Lecz teraz jesteś jeszcze piękniejsza.

Zaczerwieniła się z zadowolenia. Odsunęła włosy z twarzy, zakładając je za uszy. Promienie słońca zabłyśły w złotych bransoletach, które niegdyś należały do jej matki, a które wkładała, kiedy zdejmowała szkolny mundurek.

- To twój samolot? - zapytała.

- Beech? Tak.

- Beech?

- To skrót od Beechcraft Baron. To mój najnowszy nabytek. Podoba ci się?

- Jest wspaniały.

Rzeczywiście był piękny. Lśniący biały ptak na tle błękitnego nieba i szmaragdowej trawy.

- Lecę teraz na Florydę, ale za kilka dni wrócę i wtedy zabiorę cię na przejażdżkę. Chciałabyś polatać?

- Och tak!

- Świetnie. - Ujął jej dłoń i podniósł do ust, dotykając palców wargami w czysto południowoamerykańskim stylu. Nie spuszczał przy tym głębokiego

Janet Tanner

i pełnego wyrazu spojrzenia z jej twarzy. Po chwili puścił jej rękę, uśmiechnął się i ruszył przez trawę do stojącego tam samolotu.

Lilii odprowadziła go wzrokiem, drżąc z podniecenia. Nikt nigdy nie rozmawiał z nią w ten sposób, nie całował w rękę i nie patrzył na nią tak przenikliwym i wymownym wzrokiem. Rozkoszne, upajające przeczucie, że oto stoi na progu czegoś nowego i wspaniałego, wciąż w niej trwało, kiedy jechała samochodem do willi, czyniąc z jej powrotu do domu coś wyjątkowego i osładzając fakt, że nie będzie już miała ojca tylko dla siebie.

Zeszłego roku Otto ponownie się ożenił i niepożądana obecność nowej żony Ingrid, dawnej znajomej ojca z Niemiec, tłumiła nieco radość powrotu na Madrepore. Ze względu na ojca starała się polubić Ingrid. Był bardzo samotny od czasu śmierci matki i powinna się cieszyć, że nie będzie już sam, kiedy ona wyjedzie do szkoły. Nie mogła jednak pozbyć się wrogości w stosunku do Ingrid, obwiniając ją za to, że zajęła miejsce matki. Kiedy zauważyła, że Ingrid nosi broszkę należącą kiedyś do Magdaleny, ta wrogość jeszcze się pogłębiła. Od tego dnia zaczęła wkładać bransolety matki. Tym buntowniczym gestem starała się wskrzesić ducha matki, którą ledwie pamiętała. Teraz jednak była zbyt szczęśliwa, by dopuścić, aby cokolwiek lub ktokolwiek zepsuł jej powrót do domu.

- Spotkałam Jorgego na lotnisku - powiedziała tego dnia wieczorem, kiedy siedzieli w salonie, popijając zimne drinki, a kręcące się nad głową wiatraki zapewniały przyjemny chłód.

Zapadający zmrok ukrył lekkie napięcie mięśni twarzy Otta.

- Ach tak?

- Myślałam, że Fabio prowadzi teraz wszystkie sprawy.

- Fabio jest słaby - odpowiedział Otto. - Poza tym za dużo pije. Niestety, to rodzinna słabość.

Wszyscy Sanchezowie nadużywają alkoholu, ale Fabio nie daje sobie z tym rady.

- A Jorge oczywiście tak - dodała Ingrid. Jej głos był jedwabiście miękki, Lilii jednak wyczuła ukryty sarkazm i ogarnęła ją fala niechęci do macochy,

- W każdym razie miło było go ponownie zobaczyć. Przypomnił mi czasy, kiedy mama żyła - powiedziała, spoglądając chytrze na Ingrid i patrząc z satysfakcją, jak krwisty rumieniec zabarwia jej policzki.

- Te czasy dawno minęły, Lilii - powiedział z naciskiem Otto.

Tym razem to Lilii oblała się rumieńcem, wstydząc się swego dzieciennego zachowania.

- Ale były to dobre czasy - rzuciła wyzywająco.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

273

- Które już minęły - powtórzył twardo Otto. - A teraz powiedz mi, czego nauczyłaś się w szkole. Rozmowa potoczyła się dalej, ale miły nastrój prysł i Lili nie bardzo wiedziała, jak i dlaczego tak się stało.

Jorge wrócił na Madrepore kilka dni później. Lili spotkała go, jak wychodził z ojcem z pokoju służącego za biuro.

- Oto nasza mała księżniczka - powiedział, patrząc na nią w sposób, który wywoływał w niej przyspieszone bicie serca. - Jesteś wielkim szczęściarzem, Otto, mając taką piękną córkę.

- Wiem - powiedział Otto, lecz w jego głosie zabrzmiała twarda nuta.

- Obiecałem, że zabiorę ją na przejażdżkę samolotem - rzekł Jorge, patrząc jej w oczy. - Powiedzmy jutro o czwartej, dobrze?

Twarz Otta się zachmurzyła.

- Nie byłbym tego taki pewny.

- Och, proszę, tatusiu! - powiedziała błagalnie. - Jorge się mną zaopiekuje. Prawda, Jorge?

- Oczywiście.

W końcu Otto ustąpił.

- Dobrze, Lili, skoro tak bardzo chcesz - powiedział z westchnieniem, - Tylko ma wrócić przed zmrokiem, Jorge.

Jorge uśmiechnął się i nic nie odpowiedział.

Lili sądziła, że będzie to krótka przejażdżka, lecz ku jej zaskoczeniu Jorge zabrał ją na St Vincent, sunąc nad mieniącym się błękitnym oceanem z wprawą, która wywołała w niej podziw. Uwielbiała latać, a szczególnie małymi powietrznymi taksówkami, lecz ta wspólna przejażdżka z Jorgem jego samolotem była zupełnie nowym doświadczeniem. Siedzieli blisko siebie; jego ramię muskało od czasu do czasu jej rękę, a zapach płynu po goleniu drażnił jej zmysły.

- Mam nadzieję, że jesteś głodna - powiedział, kiedy wylądowali na St Vincent. -

Zarezerwowałem stolik w restauracji. Ale jeszcze nie teraz. Najpierw pojeździmy sobie po okolicy.

- Masz na myśli kolację? - zapytała Lili z nutą niepokoju w głosie. - Ale obiecałam tatusiowi, że wrócę...

Janet Tanner

- Wróćsz. Tylko trochę później. Nie martw się.

Lilii nie protestowała. Owładnęło ją jakieś szaleństwo. Wiedziała, że ojciec będzie wściekły, ale nie dbała o to. Liczył się tylko Jorge. Na lotnisku czekał na nich wynajęty samochód.

- Czy byłaś już kiedyś na St Vincent? - zapytał Jorge, skręcając na autostradę Leeward, biegnącą na północ ku zachodniemu brzegowi wyspy, która oddzielała piaszczyste zatoczki od wyżynnego interioru i tropikalnego lasu.

Pokręciła przecząco głową.

- Tatuś ciągle był zbyt zajęty, by mnie tu zabrać.

- Czy wiesz, dlaczego lubię St Vincent? - zapytał Jorge. - Z powodu wulkanu. Minęło już sześćdziesiąt lat od ostatniego wybuchu, lecz pewnego dnia znowu da o sobie znać. - Czarne oczy mężczyzny rozbliły.

- Lubisz niebezpieczeństwo, prawda? - zapytała.

- Dzięki niebezpieczeństwu wiem, że żyję - odpowiedział. - Tak, lubię je. I ty również, moja mała księżniczko, czuję to.

Nie odpowiedziała. Nigdy nic takiego nie przyszło jej do głowy, lecz teraz nie mogła oprzeć się wrażeniu, że obudził w niej jakąś głęboko skrytą cząstkę duszy, czego nikt w jej miłym, bezpiecznym otoczeniu dotąd nie zrobił.

Kilka mil na północ od Chateaubelair droga się skończyła. Jorge zatrzymał samochód w miejscu, z którego roztaczał się widok na zatokę Petit Bordel.

- Przywiozę cię tu któregoś dnia, kiedy będziemy mieli więcej czasu - powiedział. - Wtedy popłyniemy łodzią do wodospadów Baleimo. Spływają z góry wulkanicznej. Ogień i woda... to też jest ekscytujące.

Położył dłoń na jej ręce i oplótł ją palcami, dotykając jednocześnie wewnętrznej części jej uda. Lilii wstrzymała oddech. Przejazdźka samolotem i bliskość Jorgego rozпалиły w niej płomień, a dotyk palców podziałał na nią jak prąd elektryczny o wysokim napięciu, wywołując dreszcze w całym ciele. Nie spuszczał z niej oczu, kiedy poruszał lekko palcami i doznania stały się ostrzejsze. Nie przypuszczała, że tyle przyjemności może dać tak delikatna pieśczoła.

Siedziała bez ruchu, bojąc się nawet oddechać.

Pocałował ją, po czym się odsunął i spojrzał jej w oczy.

- Jesteś taka piękna, Lilii. Tak długo na ciebie czekałem.

Szczęście spłynęło na nią wielką falą. Miała wrażenie, że wszystkie marzenia nagle się spełniły. Jorge zarezerwował stolik tuż nad oceanem. W blasku zachodzącego na czerwono słońca, ginącego w błękicie oceanu jedli małże, kurczaka po

RAJSKIE DZIEDZICTWO

275

karaibsku i pili szampana. Lili smakował jak ambrozja. Jorge niewiele pił. „Muszę cię bezpiecznie odwieźć do domu - powiedział. - Zresztą po co mi wino. Ty mnie upajasz, Lili”. Lecieli wśród aksamitnej czerni nocy, a migotliwe światło gwiazd odbijało się w ciemnej wodzie. Dopiero kiedy wylądowali na wąskim pasie startowym, Lili poczuła wyrzuty sumienia. Ojciec będzie wściekły.

Otto był wściekły.

- Gdzie byłaś, Lili? - zapytał. - Mówiłem chyba, żebyś wróciła przed zmrokiem.

- Byliśmy na St Vincent. Jak możesz mi kazać wracać przed zmrokiem? Nie jestem już dzieckiem,

- Nie, ale jesteś za młoda, by jeździć nie wiadomo gdzie z Jorgem. Nie jest dla ciebie odpowiednim towarzystwem.

- Przepraszam, tatusiu - powiedziała, nie chcąc, by dzieliła ich kłótnia i wzajemne wyrzuty. - Nie gniewaj się, proszę. Przecież wróciłam.

Pokręcił głową ze smutkiem i pomyślał, że na swoje nieszczęście Lili jest zbyt podobna do matki. Magdalenę zawsze potrafiła owinać go sobie wokół maiego palca.

- No dobrze, dajmy temu spokój. Ale nie życzę sobie, byś się z nim spotykała - powiedział. - Zresztą odlatuje jutro na Florydę i wątpię, czy wróci przed twoim wyjazdem do szkoły.

Lili zaniemówiła. Jorge nic o tym nie wspominał. Magiczny nastrój gdzieś się ulotnił i Lili miała wrażenie, że za chwilę pęknie jej serce.

Lili, telefonował twój kuzyn - poinformowała ją siostra Concepta. - Zabierze cię jutro na herbatę. Lili spoglądała na siostrę w zdumieniu. Przecież nie miała żadnego kuzyna, a tym bardziej takiego, który chciałby przyjechać do szkoły i zabrać ją na herbatę.

- Mój kuzyn? - powtórzyła bezmyślnie.

- Twój kuzyn Jorge Sanchez. Co z tobą, dziecko? Czemu tak patrzysz? Nie chcesz iść?

Tym razem siostra Concepta okazała zdziwienie. Dziewczęta cieszyły się jak szalone, kiedy krewni uwalniali je, choć na jakiś czas, od rygorów klasztornej szkoły.

- Och... Jorge! - wykrzyknęła Lili, zdumiona i zachwycona. - Och tak,

Janet Tanner

siostrę. Oczywiście, że chcę iść - powiedziała szybko i nawet myślała, że ojciec byłby wściekły, gdyby się o tym dowiedział, nie była w stanie zepsuć jej dobrego nastroju.

się następnego dnia, wjeżdżając na biały dziedziniec klasztoru szkarłatnym Porche. Lili dostrzegła go z okna sypialni.

- Przyjechał! - wykrzyknęła, zeskakując z parapetu i związując włosy wstążką.

- Twój kuzyn? - Angel Gomez, jej aktualna przyjaciółka, podbiegła do okna i przyjrzała się z ciekawością wysokiemu mężczyźnie o matowej cerze, ubranemu na biało, który wysiadał z Porche.

Lili uśmiechnęła się podekscytowana. Miała ochotę wyznać wszystko Angel, ale instynkt podpowiedział jej, by tego nie robiła. Angel była jej najlepszą przyjaciółką, lecz również straszną plotkarą i Lili bała się, że jeśli wyzna jej prawdę, wkrótce cała szkoła się o tym dowie i jej randka może być zagrożona. Mimo to nie mogła się powstrzymać i powiedziała:

- On nie jest moim kuzynem.

- Tak myślałam - prychnęła Angel. - Jest za stary. To raczej twój wujek. Lili rzuciła jej nienawistne spojrzenie. Angel potrafi być czasami strasznie tępą. Jak może nie rozumieć, że wiek nie ma tu żadnego znaczenia?

- Jesteś po prostu zazdrosna, że wychodzę, a ty nie i... twój ojciec ma tylko starego Mercedesa. Złapała torebkę i zbiegła w dół po schodach z takim pośpiechem, że omal się nie przewróciła. Natychmiast jednak opanowała się i ruszyła dalej krokiem, który bardziej pasował do wyrafinowanej młodej damy, za jaką Jorge ją uważał.

Jorge siedział w gabinecie siostry Concepty i jeśli nie zrobił wrażenia na Angel, to najwyraźniej podbił serce zakonnicy. Jej drobną okrągłą twarz barwił rumieniec zadowolenia, a nieustanny ruch rąk zdradzał zdenerwowanie.

- A... Lili... twój kuzyn już jest - zaświergotała, kiedy Lili zapukała w na wpół otwarte drzwi, a Jorge mrugnął do niej porozumiewawczo.

- Pamiętaj, aby twoje zachowanie nie przyniosło wstydu szkole.

- Tak, siostrę.

- I nie zapomnij, że masz wrócić o szóstej na nieszpory.

- Proszę się nie martwić, siostrę, zaopiekuję się nią - powiedział Jorge. Policzki siostry Concepty stały się krwistoczerwone.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

277

- Och, jestem pewna, że tak, *sēnox*. Niczego nie implikuję... ale zasady są zasadami. Musimy ich przestrzegać dla dobra dziewcząt.

- Bardzo rozsądnie - stwierdził z powagą Jorge.

Kiedy wsiedli wreszcie do samochodu, Lili wybuchnęła długo powstrzymanym śmiechem.

- Jorge... jesteś paskudny! Ona ma hopla na punkcie zasad i regulaminu. Gdyby знаła prawdę, dostałaby zawału serca.

- Nie dowie się, jeśli będziesz dyskretna.

Uśmiechnął się, ukazując białe zęby pod ciemnym zarostem. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi.

- Dokąd jedziemy?

- Czy to ważne? Dla mnie liczy się tylko to, że jestem z moją księżniczką.

- Tatusz byłby wściekły, gdyby się dowiedział. Zabronił mi widywać się z tobą po tym, jak zabrałeś mnie na St Vincent. Dlaczego zniknąłeś tak nagle?

Wzruszył ramionami.

- Miałem interes do załatwienia na Florydzie.

- Jaki interes?

- Och, taki jeden. Chyba nie będziemy tracić cennego czasu na rozmowę o czymś tak nudnym, prawda?

Jego twarz pociemniała lekko, jakby się zachmurzyła, a Lili ogarnął strach. Czyżby zepsuła popołudnie swym dziecinnym zachowaniem? Kilka chwil później jego ręka uniosła się z drążka biegów i spoczęła na jej dłoni. Podniecenie zapłonęło w niej jak pochodnia, zalewając ją oślepiającym blaskiem, który płonął w niej nawet wówczas, kiedy wygasł pierwszy żar.

Zostawili za sobą klasztor i pojechali na wzgórze, z którego roztaczał się widok na leżące w dole miasto. Rozmawiali, siedząc w wyschniętej trawie na poboczu drogi. Lili trajkotała, a Jorge słuchał jej uśmiechając się z rozbawieniem. Trzymał ją za rękę i Lili bała się poruszyć, by nie zepsuć nastroju, choć palce jej zdrętwiały.

W pobliżu rosła dzika orchidea. Jorge zerwał ją i wsunął jej we włosy. Lili czuła się tak, jakby znalazła się w krainie szczęśliwości, jakby niebo, o którym mówiły siostry, zstąpiło nagle na ziemię.

- Moja mała Lili - powiedział. Pocałował ją delikatnie, ssąc jej wargi, jakby spijał z nich słodcz niczym nektar z kwiatów.

Pragnęła, by objął ją mocniej, pragnęła otoczyć ramionami jego szyję

i poczuć pod palcami grube ciemne włosy, pragnęła przywrzeć do niego całym ciałem, lecz nie miała odwagi. Siedziała spokojnie, delektując się

278 Janet Tanner

chwilą i chłonąc ją wszystkimi zmysłami, by móc ją później rozpamiętywać, kiedy w sypialni zgasną światła, a dziewczęta usną.

Kiedy nadeszła pora powrotu, z przerażeniem zdała sobie sprawę, jak czas ucieka nieubłaganie.

- Odwiedzisz mnie znowu, prawda? - zapytała.

- Naturalnie. Nie mogę jednak tego robić zbyt często. Siostry zaczęłyby coś podejrzewać.

- Tak. One są takie nudne!

Nagle zrobiło jej się żal tych biednych, ubogich dusz, którym śluby nie pozwalały doświadczyć tego co ona.

Wjechali na dziedziniec, w momencie kiedy rozległ się dzwonek wzywający na nieszpory.

Patrzyła, jak szkarłatny Porche znika w chmurze białego kurzu, po czym pobiegła na wieczorną modlitwę. Klęcząc w kaplicy Matki Boskiej, oświetlonej łagodnym światłem świec, zaniósła do Najświętszej Panienki dwie modlitwy. Jedną dziękczynną: „Nigdy nie zapominaj podziękować Maryi za okazane ci dobrodziejstwa” - powtarzały siostry. Druga zaś była z serca płynącą prośbą.

- Spraw, aby Jorge znowu przyjechał. I spraw, aby kochał mnie tak jak ja jego.

Jorge odwiedził ją jeszcze dwa razy przed świętami Bożego Narodzenia, na które pojechała do domu. Za każdym razem było tak samo. Szeptał czułe słówka, całował ją lecz nigdy nie posunął się dalej. To dlatego, że mnie szanuje, myślała Lili, rozdarta między pożądaniem a obawą przed tym, co ją czeka. Bała się również reakcji ojca, kiedy zobaczy ich razem, lecz ku jej rozczarowaniu Jorge nie pojawił się na święta na Madrepорze i całe wakacje spędziła pogrążona w smutku i rozpacz.

- Gdzie byłeś, Jorge? - zapytała, kiedy następnym razem przyjechał po nią do szkoły.

- Na Florydzie.

- Znowu na Florydzie? Myślałam, że będziesz na Madrepорze.

- Cóż to ma być, przesłuchanie? - zapytał cierpko.

Nie odwiedzał jej od ponad sześciu tygodni i Lili przeżywała męki. Może to dlatego, że wciąż uważają za dziecko. Może on również pragnie czegoś więcej, lecz nie chce jej zmuszać, bo sądzi, że niejest jeszcze gotowa. Następnym razem kiedy ją pocałuje-jeśli w ogóle jajeszcze pocałuje - próbuje coś z tym zrobić.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

293

Kiedy nadszedł ów moment, gardło miała wyschnięte ze zdenerwowania. Zatrzymali się na wzgórzu, skąd rozciągał się widok na Caracas. Światła w dole połyskiwały jak gwiazdy w ciemności, która zapadła z charakterystyczną dla tropiku szybkością. Jorge obejmował Lili ramieniem, a jej głowa spoczywała na szerokiej piersi mężczyzny. Kiedy poczuła dotyk jego warg na włosach, zadrżała i zbierając całą odwagę, wzięła go za rękę i położyła na swojej piersi. Wrażenie było tak cudowne, że zapomniała o strachu, czując, jak jego palce zaciskają się delikatnie na miękkim wzgórku. Jednak szybko i zdecydowanie się cofnęły.

- Nie, Lili - powiedział.

Poczuła, jakby ziemia się pod nią rozstąpiła. Miała ochotę rozplakać się ze wstydu i rozczarowania.

- Nie, księżniczko - powtórzył. - To nie czas ani miejsce. Nie chcę zaczynać czegoś, czego nie mogę skończyć.

- Ale... - Możesz skończyć, chciała powiedzieć, lecz nie śmiała.

- Mówiłem już, że mogę na ciebie poczekać. Nasz pierwszy raz musi być wspólny. Za bardzo cię kocham, by to zepsuć.

Jej serce wezbrało radością. W tej chwili niczego więcej nie pragnęła.

Kiedy nadeszło lato, znowu ogarnął ją niepokój. Czy Jorge będzie na Madreporze w czasie wakacji, czy znowu poleci na Florydę? Odważyła się go o to zapytać.

- Będę - odpowiedział po prostu.

- A więc... będziemy się widywać?

- Musimy być ostrożni. Twój ojciec jest temu przeciwny. Ale znajdziemy jakiś sposób. Zachowaj milczenie i zostaw to mnie. - Uśmiechnął się tym swoim oślepiającym uśmiechem, który tak kochała.

Całe wakacje Jorge spędził na Madreporze, a Lili po raz pierwszy w życiu zapomniała o swoich ulubionych miejscach i o Josie, spędzając każdą chwilę w ustronnej grocie, gdzie się spotykali, kiedy tylko Jorge miał na to czas. Stał się dla niej życiodajnym oddechem. Jej świat skurczył się do jednej osoby i kiedy nie byli razem, miała wrażenie, jakby żyła tylko w połowie. Nie była w stanie myśleć o niczym i o nikim innym. Rozwinęła w sobie spryt i umiejętność lawirowania, o jaką nigdy by siebie nie posądzała, ukrywając skrętnie przed ojcem, jak spędza czas, i przekonując się, że nie jest to gorsze od wymykania się niegdyś do Josie.

Było im wprost cudownie. Pływali w przejrzystym morzu, leżeli obok siebie na gorącym piasku, ledwie się dotykając. Lili podziwiała piękne ciało

Janet Tanner

Jorgego, wciąż sprężyste i gibkie - wzniecało w niej głód, jakiego dotąd nie zaznała, Zabierał ją do baru Johnny'ego Rekina na południowym krańcu wyspy, do którego wstęp był jej dotąd zabroniony, zamawiał nie znane jej drinki, takie jak poncz i dżin, i szeptał czułe słówka. W końcu pewnego dnia zaproponował, by przyszła do niego do domu.

Natychmiast zrozumiała, co się za tym kryje. Serce zaczęło jej walić jak szalone.

- Teraz?

- Za kitka minut, tak. Nie chcesz?

- Och tak... tak...

Tak długo czekała na tę chwilę, kiedy jednak nadeszła, ogarnął ją strach.

- Nie patrz na mnie takim przerażonym wzrokiem, maleńka. Przecież nie ma się czego bać.

Chyba nie myślisz, że chcę cię skrzywdzić?

- Nie, nie... oczywiście że nie.

- W takim razie idę teraz do domu i będę tam na ciebie czekał. Posiedź tu chwilkę, żeby nie widziano nas razem, a potem przyjdź. - Ujął jej dłoń, dotknął wargami palców i strach zmienił się w drżące oczekiwanie. - Dzisiaj będziesz moja, a ja twój na zawsze.

Po jego odejściu siedziała na plaży z kolanami pod brodą, kontemplując dobrze znany widok i nagle przemknęło jej przez głowę, że ostatni raz patrzy na niego jako dziecko.

Po kilku minutach wstała, okryła się pelerynką, by zasłonić wilgotny kostium kąpielowy, i oparła na chwilę ręce na biodrach; wyczuwając lekkie zaokrąglenia, gorąco pragnęła, by udało jej się zadowolić Jorgego. Potem odwróciła się wolno i przeszła pod palmami do piernikowego domku. Przeświecające przez liście słoneczne promienie rozpały jej skórę, ale było to nic w porównaniu z gorącą wilgocią między udami, gdzie płonął już ogień pożądania. Wspięła się po schodach, jakby poruszała się we śnie.

- Czy to ty, księżniczko? - posłyszała głos Jorgego, kiedy pchnęła drzwi i weszła do środka.

- Tak.

- Chodź na górę.

Bose stopy nie czyniły najmniejszego szmeru, kiedy szła po starych schodach w stylu kolonialnym. Jorge czekał na nią w drzwiach sypialni. Zdażył się przebrać w czarny jedwabny szlafrok, który sięgał do kolan, eksponując grube opalone łydki.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

281

- Zaczekaj, księżniczko, przeniosę cię przez próg jak w najpiękniejszym filmie.

Wziął ją na ręce, a ona otoczyła go ramionami, wyczuwając pod palcami gęste włosy i gładki materiał szlafroka. Rozsunął moskitierę osłaniającą łóżko i odrzucił narzutę przykrywającą czarną jedwabną pościel. Wówczas postawił ją na ziemi, ucałował czoło wilgotne od potu, częściowo ze zdenerwowania, a częściowo z powodu panującego na zewnątrz upału, i delikatnie zsunął jej z ramion pelerynkę. Znowu ją pocałował, tym razem w czubek nosa, po czym sięgnął do zapięcia stanika i rozpiął je. Kiedy mały kawałek materiału opadł na podłogę, chwycił obiema rękami piersi i powiódł gorącymi ustami wzdłuż szyi ku brodawkom, obrysowując jednocześnie wokół nich małe kółka palcem wskazującym i kciukiem. Ciało Lillii zbudziło się do życia, wstrząsane dreszczami rozkoszy. Po chwili dłonie Jorgego powędrowały niżej ku biodrom, zsuwając majteczki i uwalniając z nich najpierw jedną, potem drugą nogę. Wówczas jego wargi spoczęły na wzgórku łonowym, rozsunęły miękkie futerko i odnalazły najdelikatniejsze miejsca, najpierw pieścąc je ustami, potem językiem i w końcu ssąc delikatnie, aż każdy nerw w dole brzucha zaczął pulsować dziwnie słodkim bólem. Kiedy uznał, że jest już całkowicie gotowa, wyprostował się i z leniwą gracją zrzucił z siebie szlafrok. Wstrzymała oddech na widok jego nagiego ciała z dumnie prężącym się członkiem. Ponownie wziął ją na ręce i delikatnie ułożył na jedwabnej pościeli. Jęczała i przetaczała głową na boki, pragnąc go teraz tak bardzo, że wszystkie inne pragnienia bladły w swej znikomości. Jego pieścizoty doprowadziły ją na brzeg orgazmu, a widok nagiego męskiego ciała i podniecający dotyk prześcieradła pod plecami rozpałały ją do granic możliwości. Wszedł w nią łagodnie, lecz zdecydowanie. Poczowała ostry ból i gorące pulsowanie w miejscu wilgotnej rozkoszy i z ust wydarł się głęboki jęk. Wtedy zaczął się wolno poruszać, wnikając w nią głęboko, a ona poddała się fali gwałtownej rozkoszy, dziwiąc się, że może być coraz lepiej i lepiej, doznając uczuć tak gwałtownych, że zaczęła tracić świadomość, pragnąc jednocześnie, aby trwały bez końca. Spełnienie przyszło nagle, wciągając ją w wir szalonej, spazmatycznej rozkoszy i powoli zaczęło odpływać, jak wielka fala uciekająca śmiałkowi sunącemu na desce. Miała ochotę krzyknąć: „Nie, to nie może być koniec!”, lecz chociaż Jorge wciąż się poruszał, chociaż jego chrapliwy oddech zapowiadał, że i on zbliża się do ekstazy, czuła instynktownie, że cudowne doznanie opuszcza jej ciało. Tak desperacko

296 Janet Tanner

starła się je zatrzymać, że ledwie spostrzegła, jak Jorge gwałtownie zaciska palce na jej ramionach, osiągając zaspokojenie. Dopiero później uświadomiła sobie, że i dla niego wszystko się skończyło, bo zaraz zsunął się z niej, ciężko dysząc. Leżał potem nieruchomo z ręką na jej ciele.

Przez długą chwilę żadne z nich się nie odzywało. Potem Jorge uniósł się lekko, objął dłonią jej pierś i ukrył twarz w zagłębieniu szyi.

- Teraz, moja mała księżniczko, należysz do mnie. Czy nie warto było poczekać?

- Tak. - Nie potrafiła wykrzesać z siebie niczego więcej. Była wyczerpana, ale szczęśliwa.

Po chwili znów sięgnął po nią. Poczuła przy udzie prężący się członek i ponownie zalała ją fala rozkoszy, tym razem delikatniejsza, mniej gwałtowna, lecz równie zachwycająca. I wtedy do jej świadomości dotarł jakiś obcy dźwięk, niszcząc nastrój i przywracając ją rzeczywistości.

Posłyszała głośne walenie do drzwi na dole i wołający ją gniewny głos. Głos ojca.

- To tatuś! - wyszeptała przerażona.

Jorge w jednej chwili wyskoczył z łóżka; poruszając się z wdziękiem wielkiego kota złapał spodnie wiszące na oparciu trzcinowego krzesła.

- Zostań tutaj. Dowiem się, czego on chce.

Wsunął stopy w mokasyny z jaszczurczej skóry i wyszedł z pokoju. Lili sięgnęła po części kostiumu, wkładając je na siebie trzęsącymi się z pośpiechu rękami. Przestraszyła się, że ojciec może wpaść i znaleźć ją nagą w łóżku Jorgego. Jednocześnie zdusiła w sobie chęć wymyślenia kolejnego wykrętu.

Zejdę na dół i powiem mu, pomyślała impulsywnie. Przecież się kochamy, nie mamy więc nic do ukrycia. Prędzej czy później i tak się o tym dowie. Równie dobrze może teraz. Wybiegła z sypialni.

Obaj mężczyźni byli w salonie usytuowanym tuż przy schodach. Schodząc po nich, usłyszała głos ojca.

- Gdzie jest Lili?

- Skąd mogę wiedzieć?

- Cammy widział was razem na plaży... i to nie pierwszy raz. Zabraniam ci, rozumiesz?

Lili zatrzymała się, przestraszona gwałtownością brzmiącą w głosie ojca. Wiele razy słyszała go rozgniewanego, lecz to było coś więcej niż gniew. Jorge natomiast zaśmiał się lekko.

- Naprawdę? I co zamierzasz zrobić w tej sprawie, przyjacielu?

RAJSKIE DZIEDZICTWO

283

- Nie zostawiasz mi wyboru. Powiem jej wszystko o tobie i Magdalenę. Czy sądzisz, że potem będzie chciała się z tobą spotykać?

Lilii zamarła, przywierając do drewnianego słupka poręczy schodów.

- Lilii jest we mnie ślepo zadurzona - posłyszała odpowiedź Jorgego i to stwierdzenie wywołało w niej szok, - Cokolwiek powiesz, niczego to nie zmieni. Powinieneś jednak pamiętać, przyjacielu, w jakiej sytuacji się znajdujesz. Zrobisz sobie ze mnie wroga i możesz stracić wszystko, nawet wolność.

- Ty przeklęty draniu!

W głosie Otta brzmiała niemal zwierzęca wściekłość. Lilii wyobraziła sobie nagle, jak ojciec chwyta Jorgego za gardło i obaj mężczyźni, których kochała, walczą ze sobą niczym zwierzęta. Ta wizja popchnęła ją do działania.

- Przestańcie! - krzyknęła, wbiegając do salonu.

Odwrócili się w jej stronę zaskoczeni. Rumieniec gniewu zabarwił przystojną twarz Jorgego, a rysy Otta wykrzywiła furia.

- A więc jednak jesteś tutaj, głupi dzieciaku!

Lilii stanęła między nimi, wzięła Jorgego za rękę i spojrzała na ojca buntowniczo.

- Tatusiu, posłuchaj. Przykro mi, że tego nie apróbujesz, ale będziesz musiał się do tego przyzwyczaić. Kocham Jorgego i on mnie kocha.

Z gardła Otta wyrwało się chrapliwe przekleństwo.

- Nie kochasz go, Lilii. Jedynie myślisz, że tak jest. A już na pewno on nie kocha ciebie. Gdybyś wiedziała...

Jego słowa przypomniały jej o tym, co wcześniej słyszała i wzbudziły nagły niepokój.

- O czym ty mówisz? Zresztą niczego to nie zmieni...

- Lilii... - Urwał, machnął bezradnie ręką i w tym momencie Jorge zaśmiał się nieprzyjemnie.

- No dalej, powiedz jej, Otto.

Otto otworzył usta, po czym je zamknął. Lilii nigdy nie widziała go tak zdenerwowanego... z wyjątkiem może dnia, kiedy umarła mama. Nagle przybyło mu lat i cała krew odpłynęła mu z twarzy, która teraz była równie biała jak włosy. Spostrzegła też, że drżą mu ręce.

- O co chodzi, tatusiu? - zapytała cicho. - Teraz już nie możesz milczeć.

- Oczywiście, że nie możesz. - W głosie Jorgego brzmiała drwina. Odsunął się od Lilii i sięgnął po długie cienkie cygaro i zapalniczkę z onyksu leżące na stoliku. - W porządku, skoro nie chcesz jej powiedzieć, ja to zrobię.

Janet Tanner

Zapalił cygaro i zaciągnął się nim leniwie.

- Twoja matka i ja byliśmy kochankami. Mieliśmy wówczas jeszcze mniej lat niż ty teraz. Czy to takie straszne?

Lilii spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Ty... i moja matka? - Poczowała, jak gdzieś w jej wnętrzu eksplodują dzikie emocje i wyrzuciła z siebie: - Nie wierzę!

- To prawda, Lecz to dawna historia. A więc teraz już wiesz. Patrzyła na niego w niemym przerażeniu. Wciąż nie mogła w to uwierzyć.

Wiedziała jedynie, że wszystko nagle się zmieniło, a Jorge przede wszystkim. Mężczyzna, którego kochała, zniknął. Jego miejsce zajęło zimne, wyrachowane indywiduum, odrażający potwór ukrywający się za przystojną maską.

Nagle, pomimo pracujących wiatraków, upał stał się wprost trudny do zniesienia i Lilii poczuła, że chwytają ją mdłości. Musi stąd wyjść, uciec od nich obu. Zakrywając usta dłonią, odwróciła się i wybiegła, ignorując pełną bólu prośbę ojca, by się zatrzymała.

Nie patrząc pod nogi, zbiegła po kamiennych schodach otoczonych pachnącymi krzewami uroczynu i popędziła przed siebie, jakby chciała zostawić za sobą cały zamęt w głowie, szok i ból, chociaż wiedziała, że to niemożliwe. Ciepła bryza zdmuchnęła jej włosy na twarz.

Przytrzymała je ręką i biegła dalej, w stronę plaży, dopóki sypki piasek nie zmusił jej do zwolnienia, wsypując się do sandałów i ciągnąc ją w dół. W uszach brzmiał jej jednostajny huk, tłumiąc cichy chlupot fal.

Jorge i mama. To nie może być prawda! Wiedziała jednak, że tak. Dlaczego się tego nie domyśliła? Dlaczego nie przyszło jej to do głowy dawno temu?

Nagle przed oczami stanęły jej obrazy z odległej przeszłości, tak wyraźne, jakby widziała je po raz pierwszy. Jorge i jej matka na werandzie i głos Magdaleny mówiący: „Lilii, dlaczego nie pójdziesz się pobawić?” Jorge patrzy na jej matkę z równą intensywnością, z jaką patrzył na nią. Matka tryskająca radością życia, kiedy Jorge jest przy niej, i osowiła, kiedy go nie ma. I jeszcze jeden obraz, tym razem boleśnniejszy: matka leży na podłodze w plamie szkarlatu. Po dłuższej chwili dotarło do niej, że śmierć Magdaleny mogła nie być naturalna, że tak naprawdę popełniła samobójstwo. Teraz, przypominając sobie, jak Jorge zniknął wkrótce po jej śmierci, przyszło jej do głowy, że on mógł mieć z tym coś wspólnego. Nie chciała jednak dłużej się nad tym zastanawiać.

- Och, Boże, Boże! - Ciałem Lilii wstrząsnął szloch. Osunęła się na piasek w cieniu drzewa palmowego, podciągnęła kolana pod brodę i ukryła w nich twarz. - Och Jorge... och, mamusiu... Nie, nie, nie!

RAJSKIE DZIEDZICTWO

299

Wróciła do domu, kiedy słońce podobne do ognistej kuli zaczęło tonąć w morzu. Na werandzie siedziała Ingrid, popijając różowy dzin z wysokiej szklanki. Jej okrągła gładka twarz była jak zwykle dobroniuszna, lecz w błękitnych oczach płonął gniew.

- Gdzie byłaś, Lili? Ojciec bardzo się o ciebie niepokoił. Nigdy nie widziałam go tak zdenerwowanego.

- Może nie on jeden - odparła ponuro. Nie była w nastroju do wysłuchiwania krytyki ze strony macochy.

- Lili. - W drzwiach stanął Otto. Twarz miał ściągniętą, a blizna na policzku wyglądała jak żywa płaskorzeźba. - Dzięki Bogu. Nie wiedziałem, gdzie jesteś. Myślałem...

- Że zrobię to, co mama? - W zazwyczaj dźwięcznym, melodyjnym głosie Lili brzmiało napięcie. Dostrzegła zaskoczenie w jego wzroku. - Właśnie to się stało, prawda, tatusiu? Mama popełniła samobójstwo. Ona i Jorge mieli romans, coś się między nimi popsło i dlatego się zabiła.

- Lili... powinniśmy porozmawiać.

Rzucił Ingrid znaczące spojrzenie. Nie ruszyła się z miejsca, z kamienną twarzą sącząc swojego drinka.

- Nie mam ochoty rozmawiać! - oświadczyła gniewnie Lili. W głębi duszy jednak pragnęła tego. Nie chciała znać całej prawdy, ale o pewnych sprawach musiała się dowiedzieć. Lecz nie miała zamiaru ułatwiać tego ojcu.

Rzucił kolejne spojrzenie Ingrid. W końcu powiedział:

- Chodźmy do mojego gabinetu, Lili.

- Za chwilę będzie kolacja - zaprotestowała gniewnie Ingrid.

- Do diabła z kolacją! Poza tym nie jestem głodny i... przypuszczam, że Lili również nie.

Chcąc raczej dokuczyć Ingrid niż zrobić przyjemność ojcu, podążyła za nim do gabinetu. Nie mogła zrozumieć, dlaczego jest na niego zła. Przecież to nie jego wina, że matka miała romans z Jorgem. Pewnie cierpiał wtedy równie mocno jak teraz. Jednak jakaś część winy spadała i na niego. Gdyby dał matce szczęście, nie potrzebowałyby Jorgego... Poza tym zniszczył jej marzenia. W tej chwili nienawidziła go za to, nienawidziła całego świata...

W gabinecie Otto wskazał jej krzesło.

- Usiądź, Lili.

- Nie chcę siadać. - Podeszła do okna i spojrzała na dobrze jej znany ogród, który jakby zamarł w oczekiwaniu, podobnie jak wszystko wokół niej.

Bóg zasadził drzewo w Edenie. I wszystko było piękne, a mężczyzna

Janet Tanner

I kobieta miłowali się nawzajem. I wtedy pojawił się wąż, i otwały się ich oczy, i zobaczyli brzydotę i cierpienie, zazdrość i wstyd...

- Wobec tego ja usiądę. - Otto trzymał w ręku kieliszek ze sporą porcją koniaku. Opróżnił go jednym haustem, po czym odstawił na biurko i usiadł.

- Przykro mi, że musiałaś się o tym dowiedzieć w ten sposób - powiedział.

- Powinienem ci o tym powiedzieć już dawno, ale miałem nadzieję, że nie będę musiał.

Próbowałem cię ostrzec przed Jorgem...

- Nie! - rzuciła. - Nieprawda! Powiedziałaś tylko, że nie jest dla mnie odpowiedni!

- I tak jest w istocie, z wielu powodów, o których nie ma potrzeby teraz mówić. Najważniejsze, byś uświadomiła sobie, że kiedy w grę wchodzi kobiety, Jorge nie ma żadnych skrupułów. Złamał więcej serc, niż mógłbym zliczyć, a twojej matce nawet dwa razy.

- Dwa razy? - Nagle wbrew swej woli Lili zaczęła słuchać uważniej. Ponownie napełnił kieliszek złocistym płynem z kryształowej karafki stojącej na biurku.

- Opowiadałem ci już kiedyś o tym, jak przyjechałem do Ameryki Południowej, kiedy Niemcy przegrały wojnę. Jak wszedłem w spółkę z twoim dziadkiem i jego starym przyjacielem Fernando Sanchezem. I jak poznałem twoją matkę. Zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia. Była najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałem. - Jego głos stał się miękki, rozmarzony. Pomimo przepełniającego ją bólu, Lili uświadomiła sobie, że ojciec przeniósł się myślami do czasów, kiedy jej nie było na świecie.

- 1 była bardzo nieszczęśliwa - ciągnął, popijając koniak. - Uwikłała się w związek z Jorgem, który trwał od bardzo dawna, jeszcze od czasów, kiedy byli dziećmi. Niestety, Jorge potraktował ją bardzo okrutnie. Taki właśnie jest: lubi otaczać się pięknymi kobietami, lubi, żeby za nim szalały, lecz nic nie daje w zamian. Co chce, to bierze. Jest bezwzględny kobieciarzem i bardzo niebezpiecznym człowiekiem.

- Co masz na myśli mówiąc „niebezpieczny”? - zapytała Lili, bawiąc się złotymi bransoletami. - Wiem, że kiedyś był kierowcą wyścigowym. Jeździ samochodami, lata samolotem, ale to nie znaczy, że jest niebezpieczny.

- Umilkła i zagryzła wargę, zastanawiając się, dlaczego wciąż broni Jorgego.

- Nie mówię o jego hobby, lecz o czymś zupełnie innym. Możesz uważać, że znasz Jorgego, Lili, ale to nieprawda. Nic o nim nie wiesz.

- Wiem, że go kocham. I to była cała prawda.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

301

Otto westchnął.

- Nie kochasz go, Lili. Jesteś za młoda, by wiedzieć, co to miłość. On cię fascynuje, to jego taktyka. Wabi cię do swojej sieci jak pajak muchę. Lecz to nie jest miłość. W każdym razie mam taką nadzieję, bo jeśli naprawdę się w nim zakochałaś, skrzywdzi cię tak samo jak twoją matkę, a ja nie dopuszczę, by to się stało.

Lilii podciągnęła wyżej bransolety. Po chwili opadły z brzękiem.

- Mówiłeś o Jorgem i o mamie.

- Tak. - Otto przesunął dłonią po twarzy i kontynuował opowieść.

- Wiedziałem, co twoja matka czuje do Jorgego. Wiedziałem, że ją skrzywdził. Sądziłem jednak, że przy mnie zapomni o nim. Poprosiłem ją

o rękę, a ona się zgodziła. Przyjechaliśmy tu, na Madrepore, i przynajmniej przez jakiś czas myślałem, że mi się udało. Wiedziałem, że nie darzy mnie takim uczuciem jak Jorgego, ale pogodziłem się z tym. Starłem się być cierpliwy. Dawałem jej wszystko, o co poprosiła, a ona wydawała się zadowolona. W końcu ty się urodziłaś i przez jakiś czas była wzorową żoną i matką. Nie zdawałem sobie jednak sprawy z tego, jaką on ma nad nią władzę. Kiedy Fernando zapadł na zdrowiu, Jorge przejął po nim obowiązki. I wtedy wszystko zaczęło się od nowa. Jorge nie mógł się pogodzić z tym, że ona jest żoną innego. Musiał udowodnić sobie, że nadal może ją mieć, kiedy tylko zechce. I tak się stało.

- Chcesz powiedzieć, że ponownie zostali kochankami?

- Tak, tuż pod moim nosem. A ja głupi do tego dopuściłem.

- Dlaczego, tatusiu? Dlaczego na to pozwoliłeś? Wzruszył niecierpliwie ramionami.

- Co to ma za znaczenie? Faktem jest, że znowu owinał ją sobie wokół małego palca. Tak naprawdę to wcale jej nie pragnął. Pragnął jedynie satysfakcji. Kiedy jej oznajmił, że to koniec, wpadła w rozpacz. Nie była w stanie znieść ponownego rozstania. W dodatku... - głos mu się załamał

- spodziewała się jego dziecka. Gdy mu o tym powiedziała, pstryknął palcami i kazał jej się go pozbyć.

Lilii zaczęła nerwowo kręcić bransoletami. Wiedziała, że jest źle, ale nie przypuszczała, że do tego stopnia.

- Dlatego popełniła samobójstwo - powiedziała cicho. Otto z trudem przełknął ślinę.

- Twoja matka zastrzeliła się tu, w tym pokoju. Rozumiesz więc, Lili, że nie mogłem stać z boku i przyglądać się, jak Jorge wykorzystuje cię, tak

302 Janet Tanner

jak wykorzystał matkę. Przykro mi, *Liebling*, ale tak to wygląda. Lepiej, żebyś wiedziała, jaki z niego drań, niż skończyła jak twoja matka.

Kiwnęła głową. Jakaś jej częśćka pragnęła podbiec do niego, otoczyć go ramionami i powiedzieć, jak jej przykro, że zmusiła go do tych bolesnych wspomnień, ale zbyt mocno była zraniona i zbyt wielki zamęt panował w jej głowie.

Otworzyły się drzwi i stanęła w nich Ingrid z kamienną twarzą, jednak kiedy się odezwała, w jej głosie brzmiała irytacja.

- Czy skończyliście wasze *tele-d-tete*? Kolacja już dawno czeka. Czy Jorge musi nam zepsuć również posiłek?

Lilii spojrzała na Ingrid ze wstrętem. Czy ojciec jest z nią szczęśliwy? Miała taką nadzieję, lecz trudno jej było to sobie wyobrazić.

- Przepraszam, Ingrid, ale nie jestem głodna - powiedziała, wymijając ją. Wbiegła po schodach do swego pokoju, po czym rzuciła się na łóżko i płakała, dopóki starczyło jej łez.

Następnego dnia Jorge wyjechał na Florydę, a kiedy wakacje dobiegły końca, Lilii wróciła do szkoły. Myśląc o tym, co powiedział jej ojciec, obawiała się, że ona również może być w ciąży, lecz jej obawy na szczęście się nie sprawdziły.

Cały czas poświęciła teraz nauce i po ukończeniu szkoły zdała sobie sprawę, że nie zniesie powrotu na Madrepore. Znajoma znajomej pracowała w małym wydawnictwie w Nowym Jorku i Lilii udało się załatwić tam pracę asystentki w dziale reklamy. Wróciła na Madrepore jedynie po to, by zabrać swoje rzeczy i pożegnać się z ojcem. Stosunki między nimi stały się napięte. Wiedziała, że nic już nie będzie jak dawniej. Wyjeżdżała z postanowieniem, że nigdy tu nie wróci.

Oczywiście okłamywała samą siebie. Wróciła, ponownie spotkała Jorgego i teraz obawiała się, by cały przerażający cykl się nie powtórzył. Czy znajdzie w sobie więcej sił od matki, by mu się oprzeć? Pragnęła tego z całego serca, ale tak naprawdę nie miała pewności.

Rozdział dwudziesty trzeci

Guy de Savigny siedział na werandzie swojego domu i przyglądał się palmom poruszonym łagodnie podmuchami ciepłego karaibskiego wiatru. Myślał o Lili Brandt.

Wciąż nie mógł uwierzyć szczęściu, które ofiarowało mu sposobność poznania kogoś z rodziny nieuchwytnego Niemca, który, jak wszystko wskazywało, był Ottem von Rheinhardtem. Gdyby zaproszenie Lili doszło do skutku, mógłby wejść do willi i na własne oczy zobaczyć skarby, o których opowiadał mu Bill. Jednak nie tylko z tego powodu myślał o Lili. Prawdę powiedziawszy, to odkąd wczoraj po południu przywiózł ją na wyspę, nie potrafił myśleć o niczym innym.

Nie mógł zrozumieć, dlaczego wciąż tkwi w jego myślach, mimo że usilnie starał się o niej zapomnieć. Uważał to za wysoce kłopotliwe. Była bardzo piękną dziewczyną, to prawda, ale znał przecież wiele pięknych dziewcząt, a ich wizerunki nie prześladowały go tak jak ona teraz, nie pozwalając skoncentrować się na sprawie, która przez ostatnie tygodnie stała się niemal jego obsesją.

Przyjechał na Madrepore z bardzo szczególnego powodu - by odnaleźć i wypłoszyć z kryjówki hitlerowca, który zamordował jego ojca i ukradł jego dziedzictwo. Będzie jeszcze wiele pięknych dziewcząt, ale Otto von Rheinhardt jest jeden i Guy bardziej pragnął go dopaść, niż zbliżyć się do pięknej dziewczyny o łagodnym głosie i rozbrajającym uśmiechu. Winny to **był** ojcu, dziadkowi, wujowi i wszystkim tym, którzy ucierpieli z jego powodu. Jeśli ten Niemiec jest rzeczywiście von Rheinhardtem, to należało się pospieszyć. Plotka głosiła, że Otto Brandt jest umierający i ten fakt dodawał Guyowi energii. Być może natura zamierzała pozbyć się potwora ze świata, lecz on

Janet Tanner

nie zamierzał mu tego ułatwiać. Ten człowiek też przecież nie ułatwiał tego ludziom, których skazywał na śmierć. Na pewno daliby wiele, by móc umrzeć we własnych łóżkach. Nie przejmował się również ich rodzinami i przyjaciółmi. Dlaczego więc sam miałby oczekiwać miłosierdzia?

Pomimo usilnych prób, by zahartować własne serce, Guy nie mógł przestać myśleć o Lilii i o bólu, który jej zada. Poczuł coś na kształt litości dla dziewczyny.

Dzieci zwykle ponoszą winę za grzechy ojców, pomyślał, wpadając w filozoficzny nastrój, co było dla niego czymś zaskakująco nowym. Uśmiechnął się krzywo i poprawił na krześle, opierając stopę na balustradzie werandy.

W tym momencie jego uwagę przykuł jakiś ruch tuż poniżej werandy, skąd widać było drogę wijącą się wokół doliny. Jechała nią ciężarówka, która przewoziła produkty z lotniska do willi i do hotelu. Po chwili zniknęła za gęstym pasem dzakarandy i magnolii, pojawiając się znowu nieco dalej. Guy zmrużył oczy, śledząc jej nierówny kurs. Nigdy przedtem nie widział na tej drodze samochodu. Co prawda na wyspie samochody mieli tylko Otto i Jorge. Poza tym było kilka motorowerów, które terkotały jak stare maszyny do szycia. Zaciekało go, dokąd ta ciężarówka jedzie. Do dzielnicy biedoty na południowo-wschodnim krańcu? Być może, ale jakoś nie mógł w to uwierzyć. Zanim pojazd zniknął mu z oczu, Guy był niemal pewny, że jedzie na północ. Jego ciekawość wzrosła. Przecież tam nic nie ma, pomyślał. Według mapy był to dziki teren z wąskim pasem plaży, otoczony urwistymi skałami. Przelatując tamtędy nigdy nic ciekawego tam nie zauważył. Dlatego też nigdy tam się nie zapuszczał. Skoro jednak miał dziś dzień wolny za to, że wczoraj pracował, mógłby go wykorzystać na zwiedzanie wyspy.

Wszedł do domu, płócienne spodnie zmienił na bermudy i wyprowadził rower, którym zwykle jeździł na lotnisko. Był to stary model, prawdopodobnie z lat pięćdziesiątych, z dużym wiklinowym koszem z przodu. Przez trzy tygodnie pobytu na wyspie bardzo się do niego przywiązał. Od lat nie jeździł na rowerze, a jego dumą i radością był teraz jasnozielony sportowy samochód. Jednak w podróżowaniu tym starym gratem było coś dziwnie uspokajającego, zwłaszcza o tej porze dnia, kiedy słońce nie sięgnęło jeszcze zenitu, a wiatr od morza chłodził gęste od zapachów powietrze.

Guy zjechał w dół ze wzniesienia, na którym stał dom, po czym ruszył na północny wschód śladem ciężarówki. Przez chwilę widok na morze zasłoniły

RAJSKIE DZIEDZICTWO

291

mu wysokie krotony o szkarłatnych liściach i słodko pachnące uroczyny rosnące wzdłuż drogi, lecz wkrótce znowu je zobaczył, zielononiebieskie, a dalej, na horyzoncie, ciemnoszare z białymi plamami w miejscach występowania głazów lub raf. Droga, którą jechał, zaczęła opadać w dół, omijając łagodnym łukiem wzniesienie, po czym zbiegała ku morzu.

Po raz kolejny Guy zadał sobie pytanie, po co ciężarówka zapuszcza się w to odludne miejsce. Nie minęła go w drodze powrotnej, był więc pewny, że musiała się gdzieś zatrzymać po dotarciu do morza. Kiedy minął zakręt, jego przewidywania się sprawdziły. Dostrzegł ją zaparkowaną na wąskim pasku plaży, kamienistej i nierównej w porównaniu z białymi plażami w południowej i zachodniej części wyspy. Obok niej stał kierowca, sądząc po ciemnym kolorze skóry, kolorowym podkoszulku i szortach - tubylec, i ku zaskoczeniu Guya wyładowywał coś na wózek obsługiwany przez innego krajowca.

Guy zatrzymał się, przechylił nieco rower, zdejmując stopy z pedałów, lecz nie zsiadając z siodełka, i osłonił oczy przed słońcem, które odbijało się od wody, rzucając jasne refleksy na okulary przeciwsłoneczne. Paczki były duże, kwadratowe i białe. Trzy, ustawione jedna na drugiej, bez trudu zmieściły się na wózku, po czym obsługujący go człowiek zrobił zwrot i zniknął Guyowi z pola widzenia za zwieszającymi się krotonami. Po chwili pojawił się następny wózek, ciągnięty przez jeszcze jednego tubylca. Załadowano go i pojechał za pierwszym.

Guy przyglądał się temu zafascynowany. Te paczki musiały być z pewnością składowane w czymś w rodzaju grotu pod wystającą skałą. Miał wielką ochotę zjechać niżej, by sprawdzić, czy ma rację. Instynkt jednak podpowiadał mu, żeby tego nie robić. Cała operacja wyglądała na tajną i nawet ze swą znikomą wiedzą na temat Karaibów Guy bez trudu się domyślił, co te paczki zawierają. Jeśli się nie mylił, wchodziły tu w grę ogromne sumy i ci, którzy je zarabiali, nie potraktowaliby uprzejmie intruza odkrywającego ich poczynania. Postanowił, że wróci tu, kiedy nikogo nie będzie, i bliżej się wszystkiemu przyjrzy. Teraz lepiej zachować dyskrecję.

Przechylił rower jeszcze niżej i przełożył nogę przez siodełko. Będzie musiał kawałek pójść pieszo, bo nie da rady jechać pod górę w takim upale. Stał jeszcze przez chwilę, opierając dłonie na kierownicy i przyglądał się poczynaniom na dole.

Sądził, że miejscowi będą zbyt zajęci pracą i nie zauważą jego obecności. Nagle gdzieś w górze rozległ się warkot samolotu i jeden z mężczyzn na

Janet Tanner

plaży uniósł głowę, przeszukując wzrokiem niebo. Zahaczył również spojrzeniem o wznoszącą się nad nim skałę. Guy zaklął cicho, bo nie miał wątpliwości, że krajowiec musiał go zauważyć.

Lilii jadła śniadanie, kiedy do salonu weszła Ingrid.

- Wcześniej wstałaś, Lilii. Myślałam, że będziesz chciała dłużej pospać po podróży.

- Od dawna już nie śpię. - Lilii przełknęła kawałek świeżego mango, delektując się jego smakiem i dochodząc do wniosku, że nigdzie na świecie nie ma takiego smaku jak tu, na wyspie.

Tej nocy, po raz pierwszy od czasu otrzymania listu od Josie, spała kamiennym snem.

Zmęczenie wreszcie wzięło górę nad rozpaczą. Za to wcześniej się obudziła i nie mogła już zasnąć. Ubrała się więc i wyszła do ogrodu, gdzie właśnie wschodziło słońce, rzucając pierwsze

ciepłe promienie na krzewy hibiskusa i uroczymi, rozgrzewając się z szybkością równą tropikalnym zachodom. Kiedy wróciła do willi, jedna z pokojówek przygotowała jej śniadanie.

Siedząc pośród dobrze znanych sprzętów, poczuła, jak odzyskuje siły, a wraz z nimi nabiera

mocy postanowienie, by nie dopuścić, aby Jorge znowu ją zdenerwował. Jego wczorajsza

nieoczekiwana wizyta przeraziła ją, lecz na szczęście miała ją już za sobą, a także

oświadczenie, że nie chce mieć z nim nic wspólnego. Może ten jeden raz wystarczy. Wątpiła w to, lecz skoro potrafiła zbić go z tropu raz, równie dobrze może to powtórzyć, kiedy zajdzie

potrzeba. Natchnęło ją to nadzieją na przyszłość.

- Jak się dziś czuje tatuś? - zapytała.

Ingrid zajęta była nakładaniem na talerz sałatki owocowej z miski stojącej na kredensie.

- Miał ciężką noc - powiedziała w końcu, podchodząc do stołu i siadając naprzeciw Lilii. -

Najgorsze jest to, że choroba tak szybko postępuje.

Lilii poczuła gwałtowny ucisk w gardle. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę, lecz tak śmiałe stwierdzenie pozbawiało ją resztek złudzeń.

- Jak możesz tak spokojnie o tym mówić, Ingrid?

- Nie ma powodu traktować tego inaczej. Wpadanie w histerię niczego tu nie zmieni. Poza tym taka już jestem. - Uśmiechnęła się niemal przepraszająco. - Czasami myślę, że ułatwiłoby to wiele spraw, gdybym była inna. Może wówczas lepiej byśmy się rozumiały.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

307

- Niby dlaczego? Ja też nie jestem histeryczką.

- Oczywiście, że nie, ale twoje uczucia są widoczne jak na dłoni. Dlatego mi nie ufasz, bo ja ukrywam swoje uczucia. Czasami odnoszę wrażenie, jakbyś podejrzewała mnie o zupełny ich brak.

Lilii zaczerwieniła się lekko. Słowa Ingird niewiele odbiegały od prawdy.

- To, że nie ujawniam swoich uczuć, nie znaczy, że ich nie mam - ciągnęła Ingrid, bawiąc się kawałkiem mango. - Domyślam się, że nie było ci łatwo, kiedy nagle wkroczyłam w twój świat. Próbowałam ci powiedzieć, że rozumiem, jak się możesz czuć, lecz ty nigdy nie chciałaś mnie słuchać. Może i teraz tak jest, ale ze względu na stan ojca myślę, że przynajmniej powinnaś spróbować.

Usta Lilii zacisnęły się w wąską linię. Z jakiegoś irracjonalnego powodu nie miała ochoty na tę rozmowę, bo Ingrid traktowała ojca, jakby już nie żył.

- Jakie to ma znaczenie, co o tobie myślę? - zapytała.

Ingird pochyliła się w przód. Brzęknęła łyżeczka odłożona na talerz. Macocha oparła łokcie na stole i spojrzała Lilii w oczy.

- Bo kocham twojego ojca i on mnie kocha. Kochaliśmy się od dawna, jeszcze zanim poznał twoją matkę i zanim ty się urodziłaś. Odszyliśmy długą drogę i ten rodzaj więzi, jaki nas łączy, jest czymś wyjątkowym. Pomogłam mu znowu stać się szczęśliwym.

W powietrzu zawisło nie wypowiedziane zdanie: „Pomogłam mu uwolnić się od twojej matki, która zdradziła go z Jorgem.” Lilii poczuła, jak narasta w niej gniew. Cała ta rozmowa była zupełnie niepotrzebna. Przyjechała tu, by zobaczyć się z ojcem, pewnie po raz ostatni, a nie po to, by wieść szczere rozmowy z kobietą, której nigdy nie udało jej się polubić, niezależnie od wszystkich przemawiających za tym powodów. Nigdy im się nie uda. Ludzkie emocje bywają bardzo kapryśne i nie poddają się rozsądkowi. Poza tym, świadomie czy nieświadomie Ingrid rozdrapywała rany, które wciąż były jeszcze zbyt świeże.

- Jesteśmy teraz przy nim obie - powiedziała. - Myślę, że to jest dla niego najważniejsze.

Ingird zrobiła ruch, jakby chciała coś powiedzieć, lecz tylko uśmiechnęła się i westchnęła z rezygnacją

- W porządku, Lilii, jeśli właśnie tego sobie życzysz. Chciałam, żeby było inaczej, bo wkrótce tylko my tu zostaniemy.

Lilii wstała od stołu i podeszła do kredensu po kolejną porcję mango

308 Janet Tanner

i ananasa, chociaż nie była już głodna. Inaczej nie byłaby w stanie ukryć gwałtownego przyływu goryczy,

- Czy tatuś dziś wstanie? - zapytała po chwili już spokojniej.
- Taki ma zamiar. - Ingrid również starała się opanować. Równie dobrze niedawna rozmowa mogła w ogóle nie mieć miejsca. - Nie jestem jednak pewna, czy będzie mógł. Czasami odzyskuje nieco sił dopiero wieczorem.
- Czy już się obudził?
- O tak. - Ingrid nie dodała, że prawdopodobnie niewiele spał tej nocy.
- Wobec tego pójdę do niego.

Odsunęła od siebie nie tknięty talerz i wyszła z salonu.

Otto leżał podparty na poduszkach. Basil odsłonił i podwiązał moskitierę, Lili mogła więc go zobaczyć, gdy tylko weszła do pokoju. Powitał ją bladym uśmiechem. Podeszła do łóżka i pocałowała ojca.

- Jak się dziś czujesz?
- Tak samo jak zawsze będę się teraz czuł.
- Nie mów tak! Nie pozwalam na to!
- Moje drogie dziecko, musimy spojrzeć prawdzie w oczy. - Uniósł rękę jakby na potwierdzenie tego faktu. - Och Lili, Lili, chciałem ci tego oszczędzić. Nie powinnaś była przyjeżdżać.
- Przyjechałam, bo chciałam tego. Jestem przy tobie i tak powinno być. - Uścisnęła mu dłoń. - Nie mówmy już o tym, dobrze?

Westchnął.

- Dobrze. Jestem już starym człowiekiem, który nawet nie może dyskutować z własną córką. Ale skoro tu jesteś, powinniśmy wyjaśnić sobie parę spraw. Spraw, których dłużej nie mogę przed tobą ukrywać.

Na jego twarzy pojawił się wyraz powagi. Dostrzegła go pomimo bólu, który wykrzywił niegdyś przystojne rysy, i poczuła niepokój. Mówił już coś podobnego wczoraj wieczorem i teraz też była to pierwsza jego myśl.

- Jakich spraw, tatusiu? O czym ty mówisz?
 - Dotyczących mnie, Fernanda i Jorgego. A także Madrepery,
 - Madrepery?
 - Tak. - Jego palce zacisnęły się na jej dłoni. - Chciałbym, żebyś stąd wyjechała, Lili, i wróciła do Nowego Jorku. Nie sądzę jednak, byś mnie posłuchała. Dlatego muszę ci o wszystkim powiedzieć. Musisz stąd wyjechać zaraz po mojej śmierci i nigdy tu nie wracać.
- Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.
- Dlaczego? Przecież tu jest mój dom!

RAJSKIE DZIEDZICTWO

295

- Nie, *Liebling*, to był twój dom, dopóki mogłem nad wszystkim panować. Już i tak Jorge ma tu wystarczającą władzę. Kiedy odejdę, i odejdzie Fernando, Jorge stanie się wszechmocny. Nie chcę, abyś została splugawiona lub wystawiona na niebezpieczeństwo.

- Tatusiu, słyszałeś, co powiedziałam Jorgemu. Musisz uwierzyć, że naprawdę tak myślałam.

- Obawiam się, kochanie, że to nie takie proste. Jak Jorge zdążył zauważyć, kiedy odejdę, trzeba będzie wprowadzić pewne zmiany odnośnie do interesów. Obawiam się, że może cię w to wciągnąć, a to ostatnia rzecz, jakiej bym pragnął.

Zmarszczyła czoło z niedowierzaniem. Czyżby ojcu pomieszało się w głowie z powodu choroby? Lub może to skutek narkotyków, które brał, by uśmierzyć ból? Postanowiła obrócić to wszystko w żart.

- Nie mam zielonego pojęcia o prowadzeniu hotelu, a tym bardziej o eksporcie bananów czy batiku. I Jorge o tym wie.

Chrapliwy dźwięk, coś pomiędzy westchnieniem a niewesołym śmiechem, wydarł się z gardła Otta, a jego palce zacisnęły się na ręce Lili.

- Nie zrozumiałaś mnie, Lili. To nie chodzi o te interesy. A więc majaczył. Serce Lili nagle przestało bić.

- Ależ tak, tatusiu - powiedziała cicho. - O te i o twoje stare znaczki. Zajmowałeś się tym przez ponad dwadzieścia lat i po prostu zapomniałeś.

- Nie!

W zmęczonym głosie zadźwięczał nagle dawny ogień. Ten sam ogień płonął również w jego oczach. To nie jest człowiek leżący w malinie. Do jej duszy zakradł się niepokój.

- O czym ty mówisz, tatusiu?

- Batik, banany, znaczki to wszystko przykrywki dla prawdziwego interesu. Cała Madrepora to mistyfikacja, *Liebling*. Zorganizowałem to wszystko, wspólnie z dziadkiem Vicente i wujkiem Fernando, z zupełnie innego powodu.

W głowie zaczęło jej się mącić.

- Nie rozumiem. Z innego powodu? Jakiego innego powodu?

- Jest nim kokaina. - Powiedział to tak cicho, że w pierwszej chwili nie dosłyszała, powtórzył więc, tym razem głośniejszym głosem, patrząc jej w oczy, by nie było żadnej pomyłki. - Kokaina, Lili. To wokół niej wszystko się kręci na Madreporze.

Przez chwilę wpatrywała się w niego pustym wzrokiem i z otwartymi ustami.

310 Janet Tanner

- Kokaina? Ten narkotyk?

- Oczywiście. Madrepora jest punktem przerzutowym kartelu Cordoba-Sanchez. Leży blisko Ameryki Południowej, gdzie uprawia się kokę, i rynków zbytu w Miami. - Lekki uśmiech rozciągnął mu wargi. - Obawiam się, *Liebling*, że hotel i eksport miejscowych produktów nie pozwoliłyby nam żyć na poziomie, do którego przywykłaś. Kokaina to wielki interes. Zaangażowane są w nim wielkie pieniądze, większe niż możesz to sobie wyobrazić, i im głębiej wejdzie się w sprawy dystrybucji, tym osiąga się większe zyski. Zrozumieliśmy to znacznie wcześniej niż inni narkotykowi bonzowie. Nasze operacje były zdecydowanie bardziej skomplikowane niż ich, kiedy zaczynali. Podczas gdy oni eksportowali chlorowoderek czy nawet samą kokainę, my dostrzegliśmy korzyści płynące z dzielenia surowca na miejscu i czerpaliśmy zyski tam, gdzie inni ich nie dostrzegali. Madrepora służy właśnie do tego celu. Na wyspę przywozi się czystą kokainę w kilogramowych paczkach, następnie miesza z laktozą, by podwoić jej objętość, a potem wysyła do Miami, gdzie spółka handlowa kierowana przez Jorgego ponownie ją dzieli i przekazuje drobnym detalistom.

Lilii potrząsnęła głową, jak ktoś, kto budzi się z głębokiego snu.

- I to wszystko dzieje się tu, na Madreporze? Ale gdzie?

- Zbudowaliśmy podwodne laboratoria na północno-wschodnim krańcu wyspy. Ciągną się całymi milami. To doskonałe miejsce. Wiedzą o nich tylko nieliczni i zawsze pilnujemy, by wchodził tam jedynie upoważniony do tego personel.

- Dlatego zabraniałaś mi...

- Nie chciałem, byś się o tym dowiedziała, Lilii. Myślałem, że tak będzie bezpieczniej. Teraz jednak doszedłem do wniosku, że lepiej, byś poznała prawdę.

- Dlaczego?

- Przede wszystkim ze względu na Jorgego. Musisz wiedzieć, jaki to człowiek: całkowicie, absolutnie bezwzględny. To handel narkotykami czyni ludzi takimi. Gra idzie o wielką stawkę. Zresztą Jorge był już i tak wystarczająco zły. Pewnie dlatego osiąga takie sukcesy w interesie, który zainicjowali twój dziadek i jego ojciec.

- Tatusiu, już ci mówiłam, że skończyłam z Jorgem.

- Tylko tak mówisz, *Liebchen*. Nie byłbym tego taki pewny. Poza rym nie tylko z powodu Jorgego cały interes jest taki niebezpieczny. W handlu

RAJSKIE DZIEDZICTWO

297

narkotykowym zaczynają się dziać wyjątkowo ohydne rzeczy. Inni szefowie zdążyli się już zorientować, że naprawdę wielkie pieniądze robi się na dystrybucji. Podobnie jak my zaczęli organizować sieć handlu hurtowego w Stanach Zjednoczonych. Ale chciwość to bezlitosna władczyni. Nikt nie chce dzielić się z innymi strefami wpływów. Już zaczęli walczyć ze sobą a wkrótce rozpęta się totalna wojna.

- Nie rozumiem...

- 1 dzięki Bogu. Mam na myśli morderstwa, jatki, wojny gangów na skalę niespotykaną od czasów Al Capone.

- Ale tu, na Madreporce...

- I tu nie będzie bezpiecznie, jeśli rzucą wyzwanie naszemu kartelowi. Wówczas znalazłabyś się w niebezpieczeństwie. Jesteś moją córką dziedziczką moich udziałów w tym imperium. Gdybyś została także kobietą Jorgego, ryzyko by się podwoiło, potroiło i rosłoby podobnie jak wartość liści koki. - Pochylił się w przód i chwycił jej rękę w nadgarstku. - Twoja przyszłość jest zabezpieczona, Lili. Nie musisz się o nią martwić. Pieniądze, które przez lata zarobiłem, są bezpiecznie ulokowane na koncie bankowym w Szwajcarii. Wszystkie papiery znajdziesz w moim biurku. Pójdź do mojego plenipotenty w Bernie. Załatwi, by zostały przepisane na ciebie, i obiecuję, że nigdy ci ich nie zabraknie. Ale musisz opuścić Madrepore i nigdy tu nie wracać. Jeśli zostaniesz, może cię spotkać to samo, co twoją matkę. Nie zniósłbym tego.

Lilii czuła zamęt w głowie. Trudno jej było uwierzyć w to, co usłyszała - że żyła w otoczeniu brudnych interesów kartelu narkotykowego i nawet tego nie podejrzewała. Nic nie było takie, jakie jej się wydawało. Jednak pomimo straszliwego chaosu w głowie wciąż powracało pytanie, co Otto miał na myśli, mówiąc, że mogłaby umrzeć tak jak matka. Jedną rzecz w tym wszystkim była jasna i wyraźna. Ojciec umierał i musiała się z tym pogodzić. Otto przyjmował to z filozoficznym spokojem, starając się w miarę swoich sił uporządkować wszystkie sprawy najlepiej, jak potrafił. Lecz nawet u progu śmierci myślał tylko o jej szczęściu i dobrobycie. Dla tych dwóch spraw gotów był wyjawić, czym się zajmował przez te wszystkie lata, a co dawniej wolał trzymać w sekrecie.

- Och, tatusiu! - wyszeptwała. Ponownie zacisnął palce na jej nadgarstku.

- Przyrzeknij mi, Lili, że wyjedziesz stąd jak najszybciej.

- Nie wiem... - Pomimo jego usilnych próśb nie chciała składać obietnicy

Janet Tanner

o tak wielkiej wadze, bo nie była pewna, czy jej dotrzyma. - Długo mnie tu nie było, lecz wszystko, co ma dla mnie jakieś znaczenie, jest tu, na wyspie. Moje wspomnienia... wszystko. - Wspomnienia pójdą za tobą, gdziekolwiek będziesz. Możesz też zabrać ze sobą, co tylko zechcesz. Takie rzeczy ich nie interesują. Nie możemy też zapominać o twoich skarbach, o tryptyku Lili i innych przedmiotach.

W tym momencie przypomniała jej się rozmowa, nie tak ostateczna jak ta, lecz która bardzo ją przestraszyła, zwłaszcza że była wówczas dzieckiem. „Muszę wyjechać, Lili. Pamiętaj, że te skarby są warte fortunę. Pewnego dnia je pokochasz tak samo jak ja. A gdyby nadeszły ciężkie czasy...” Oczywiście te wszystkie przedmioty warte były zaledwie część tego, co mógł jej teraz zostawić, lecz wówczas stanowiły jej zabezpieczenie na przyszłość i nieodłączną część jej świata. Można je było przeliczyć na pieniądze, jak również cenić za ich piękno i za to, że on je kochał. Przypomniała sobie, jak bardzo ją wówczas przeraziła powaga brzmiąca w jego głosie i jak zapragnęła przytulić się do niego, bojąc się, że odejdzie jak matka. Lecz wkrótce słońce rozproszyło chmury i wszystko wróciło do dawnego porządku. Ojciec wyjechał - teraz wiedziała, że zapewne w interesach związanych z handlem narkotykami, A potem wrócił. Lecz rym razem nie będzie szczęśliwego zakończenia. Poczula łzy pod powiekami i odwróciła głowę, żeby ich nie dostrzegł.

- Może powinnaś je już teraz odesłać, Lili - powiedział. - Wyślij je do Nowego Jorku, dopóki możesz. Chciałbym mieć pewność, że są w bezpiecznym miejscu, by przynosić ci radość, tak jak mnie przez te wszystkie lata.

- Zobaczę, co się da zrobić - powiedziała, lecz w duchu pomyślała: Rozbierać dom, kiedy on jeszcze nie wydał ostatniego tchnienia? Nie mogłabym tego zrobić.

- To dobrze. - Jego palce straciły nagle siłę. Zbyt dużo wysiłku kosztowała go ta długa, wyczerpująca rozmowa. - Chciałbym teraz odpocząć. Poproś Basila, żeby do mnie przyszedł. Opadł na poduszki i przymknął oczy. Twarz miał wymizerowaną lecz spokojną. Najwidoczniej zapomniał o wymuszeniu na niej obietnicy, a może był zbyt zmęczony i uznał, że zrobił wszystko, co mógł. Przecież wyjawiał jej całą prawdę o Madreporze. Teraz pozostało tylko przekonać ją by stąd wyjechała.

Człowiek, który nie mrugnął nawet okiem skazywał na śmierć dzieci

RAJSKIE DZIEDZICTWO

299

innych ludzi, który działając w biznesie narkotykowym przyczynił się do śmierci kolejnych ofiar, miał obsesję na punkcie bezpieczeństwa własnej córki. Traktował **to** niemal jak religię. Tylko to mu teraz pozostało.

Telefon na biurku Jorgego rozdzwonił się przenikliwie. Jorge zaklął i sięgnął po słuchawkę ponad plikiem papierów leżących przed nim na biurku. Były to dokumenty Karaibskiej Spółki Handlowej, mieszczącej się w Miami. Zawsze wiele czasu i uwagi poświęcał właściwemu opracowaniu dokumentów, **mimo** że urzędnicy i policjanci, tacy jak Garcia byli na jego liście płac. Lepiej być przygotowanym **na** pojawienie się jakiegoś nowego zapaleńca, który zażąda ich okazania. Naturalnie z takim kłopotem zawsze można było sobie poradzić. Nadgorliwi celnicy zwykle zmieniali swoje upodobania, kiedy ich mniej lojalnych kolegów czy konkurencyjnych dealerów z Miami znajdowano związanych, podziurawionych kulami i wepchniętych do worków na śmieci lub kartonowych pudeł. Jednak tu, na Madreporce, nie stosowano tak drastycznych metod. Starannie przygotowane raporty i księgi rachunkowe oraz dobre układy z urzędnikami i policjantami w zupełności wystarczały i choć Jorge nie należał do aniołków, wołał, żeby wszystko przebiegało gładko.

Ton jego głosu brzmiał jak zwykle uprzejmie, mimo że w duchu wściekał się, że ktoś mu przeszkadza.

- Jorge Sanchez.

- To ją Pedro Somoza.

Somoza był brygadystą nadzorującym robotników przewożących czystą kokainę do laboratoriów **po** odpowiednim jej spreparowaniu i dogląającym wysyłki do Miami.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Somoza. Mam nadzieję, że nie było żadnych problemów z poranną wysyłką?

- Nie, wszystko poszło zgodnie z planem. Ale ktoś widział.

Głos mężczyzny był gardłowy i niepewny, toteż Jorge westchnął w duchu. Somoza był kokainistą i narkotyk powodował u niego zwidy. Jeśli zajdzie **to** zbyt daleko, trzeba będzie go zastąpić. Szkoda, bo to dobry pracownik.

- Ktoś widział, mówisz - powtórzył z lekką ironią w głosie. - Ale co?

- Jak rozładowywaliśmy ciężarówkę. Stał na skałach. Nie jestem pewny, ale to chyba był ten nowy pilot.

Jorge wyprostował się nagle i zagryzł tkwiące w ustach cygaro.

- Kto go zauważył? Ty?

Janet Tanner

- Nie, kierowca ciężarówki. Pomyślałem, że powinien pan o tym wiedzieć.

- Tak, dziękuję ci, Somoza. Dobrze zrobiłeś. Miej oczy otwarte i daj znać, jeśli wydarzy się coś podejrzanego. Dostaniesz za to specjalną premię przy wypłacie.

- Rozumiem, szefie.

Jorge odłożył słuchawkę i zmrużył oczy w zamyśleniu. Być może tym razem to nie były zwiady narkomana. Był już drugą osobą, która zwróciła uwagę na zainteresowanie nowego pilota sprawami, które nie powinny go obchodzić, i Jorgemu bardzo się to nie podobało. Czyżby Guy de Savigny pracował dla któregoś z nowych karteli, próbujących zawładnąć ich terytorium, czy też był pracownikiem agencji do zwalczania narkotyków? Jeśli tak, to trzeba się nim zająć, i to szybko. Jorge nie miał zamiaru pozwolić, aby coś lub ktoś zakłócał płynne funkcjonowanie jego organizacji.

Pochylił się, zgniótł niedopałek cygara w popielniczce i uśmiechnął się lekko, zastanawiając się nad skutecznym i bezwzględny sposobem unieszkodliwienia Guya de Savigny.

Ingrid była w salonie, kiedy Lili zeszła na dół. Podejrzewała, że Ingrid specjalnie się tu kręci i ciekawa była, czy macocha domyśla się, o czym Otto z nią rozmawiał.

- Dużo czasu spędziłaś w pokoju ojca - powiedziała enigmatycznie, lecz ostre i zarazem uważne spojrzenie potwierdziło przypuszczenia Lili, że Ingrid wie.

- Tatuś prosi, żeby Basil do niego przyszedł. Nie wiesz, gdzie on jest?

- Chyba w kuchni. Pójdę po niego.

Wyszła z pokoju i Lili słyszała, jak woła Basila. Dziewczyna stała przez chwilę niezdecydowanie, gryząc paznokcie i czując, jak jej ciało wiruje razem z pędzącymi myślami. Po chwili Ingrid wróciła i tym razem od razu przeszła do rzeczy.

- A więc ojciec odbył z tobą zapowiedzianą rozmowę?

- Tak. - Lili pomyślała, że nie będzie w stanie rozmawiać o tym, co przed chwilą usłyszała, lecz niespodziewanie dla samej siebie zapragnęła wyrzucić to z siebie. - Przypuszczam, że domyślasz się, czego dotyczyła ta rozmowa?

Ingrid kiwnęła głową.

- Tak, ale jak już mówiłam, nie do mnie należało wyjaśnienie ci tego. Jestem tu stosunkowo krótko i te sprawy mnie nie dotyczą.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

301

Lilii otworzyła usta, po czym je zamknęła. Gdyby Ingrid w ten zawołany sposób nie potwierdziła tych informacji, jeszcze teraz mogłaby je uznać za bajkę lub wymysł otumanionej narkotykami imagacji, Madrepora, rajska wyspa, centrum nielegalnych operacji. Madrepora, jej ukochana Madrepora tak ohydnie splugawiona, a ukochany ojciec okazuje się handlarzem narkotyków i międzynarodowym przestępcą. To bolało, czy też będzie boleć, kiedy minie szok. Ale najgorsze było to, że Ingrid o wszystkim wiedziała. Lilii miała wrażenie, jakby ktoś wbił jej nóż w żołądek. Otuliła się ramionami, jakby to mogło ulżyć bólowi.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała. - Mój ojciec zamieszany w coś takiego? To potworne! Twarz Ingrid pozostała niewzruszona.

- Nie sądzisz? - wybuchnęła Lilii. - Jak możesz tak spokojnie do tego podchodzić?

- Moja droga, to już trwa od bardzo dawna. - Ingrid zrobiła krok w jej stronę i wyciągnęła rękę, chcąc ją pocieszyć, lecz Lilii ominęła ją szybkim niecierpliwym gestem.

- To niczego nie zmienia. Widziałam, co narkotyki robią z ludźmi. Przecież przez cztery lata mieszkałam w Stanach.

- Mówimy o kokainie, Lilii, nie o heroinie. W twoich żyłach płynie południowoamerykańska krew i powinnaś wiedzieć lepiej niż ja, że koka od wieków była częścią twojej kultury.

Lilii mocniej otuliła się ramionami. To prawda, wiedziała, że tubylcy mieszkający w Andach od pradawnych czasów żuli suche liście krzewu kokainowego. Wiedziała też, że Inkowie uważali ten krzew za boski, ozdabiali świątynie złotymi liśćmi koki i zezwalali zbliżać się do ołtarzy tylko tym, którzy mieli w ustach te liście, tłumacząc wiernym, że jeżeli człowiek będzie je miał w ustach przed śmiercią to z pewnością znajdzie się w niebie. Nawet dziś liście tego krzewu traktowane są jak talizman i wkładane pod kamień węgielny pod budowę nowego domu. Indianie peruwiańscy dają je również w prezencie rodzicom panny młodej. Jednak nie zmieniało to faktu, że czuła instynktowny sprzeciw na myśl o tym, ile istnień ludzkich zrujnowały narkotyki. Myślała o tych wszystkich młodych mężczyznach i kobietach ogarniętych obsesyjnym wręcz głodem narkotykowym, pustych spojrzeniach, zniszczonych ciałach, samobójstwach popełnianych pod wpływem nocnych koszmarów, przerażających morderstwach, wszelkiego rodzaju przestępstwach związanych z narkotykami i nie mogła

Janet Tanner

opanować drżenia. Jej ojciec, jej ukochany ojciec miał w tym swój udział. Przecież musiał sobie zdawać sprawę, ile zła wyrządził. Zaczęła rozpaczliwie szukać jakiegoś wytłumaczenia.

- Przypuszczam, że to wszystko ich sprawka, Fernanda i Jorgego. Zmusili go do tego. Czym mu zagrozili, kiedy nie chciał z nimi współpracować? Pewnie, że pozbawią go domu. Dranie! Ale dlaczego się zgodził? Dlaczego nie wrócił do domu, do Niemiec?

- Jego dom został zniszczony - powiedziała Ingrid. Przemilczała jednak inne sprawy, o których wiedziała: że po wojnie Otto był poszukiwany za zbrodnie wojenne, że nie był takim sobie zwykłym oficerem niemieckiej armii, służącym ojczyźnie z poczucia patriotyzmu, ani też że bez oporów zgodził się przystąpić do interesu, który uczynił z niego bajecznie bogatego człowieka. Nie było sensu więcej denerwować Lili i niszczyć jej wyobrażenia o człowieku, którego obie uwielbiały, a którego Ingrid gotowa była zaakceptować bez zastrzeżeń, bo był jej największą miłością. Jednocześnie nie mogła się powstrzymać, żeby nie uderzyć w Magdaleny, która zabrała jej najlepsze lata życia Otta, a do której Lili była tak bardzo podobna.

- Trzeba też wziąć pod uwagę twoją matkę - powiedziała, siłąc się na obojętny ton. Jedynie zimne spojrzenie niebieskich oczu ujawniało złe zamiary. - Pamiętaj, że była córką Vicente Cordoby, a on ponosi za to taką samą winę jak pozostali.

Lili zamrużyła oczami. Dziadek Vicente umarł, kiedy była jeszcze dzieckiem, ale zapamiętała go jako dystygowanego starszego dżentelmena i szanowanego członka społeczeństwa.

- Dziadek Vicente był politykiem - przypomniała.

Pomimo wysiłków, by ukryć prawdziwe uczucia, Ingrid nie mogła opanować szyderczego uśmiechu.

- Tak, lecz był równie przekupny jak oni wszyscy. Myślisz, że inaczej pozwolono by twojemu ojcu nabyć Madrepore? Czy sądzisz, że handlarze narkotyków mogliby tak bezkarnie działać, gdyby nie mieli po swojej stronie przynajmniej kilku wpływowych osobistości? Vicente Córdoba maczał palce w najbardziej nieuczciwych sprawach, jakie tylko mogą przyjść do głowy, a Magdaleny, twoja matka, była jego córką. Twój ojciec wielbił ją jak naiwny młodzieniaszek. Ona nigdy nie zerwałaby z ojcem ani nie wyjechałaby z kraju, a on nigdy by jej nie zostawił.

Zaskoczenie i szok zaczęły ustępować miejsca oburzeniu i urazie, że ktoś może mówić tak o jej matce.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

317

- Nie możesz winić za to mojej matki. Umarła, kiedy miałam pięć lat. Ingrid zacisnęła usta.

- Tak, to prawda. Lecz czy kiedykolwiek zadałaś sobie pytanie, jak umarła?

- Wiem, jak umarła! - rzuciła Lili, nie mogąc już dłużej znieść tego protekcyjnego tonu. - Przynajmniej to wiem. Tatuś powiedział mi o tym dawno temu. Zabiła się z powodu Jorgego. Przez twarz Ingrid przemknęło coś na kształt satysfakcji.

- W takim razie, moja droga, musisz wiedzieć, dlaczego twój ojciec tak się boi, żeby ciebie nie spotkało coś podobnego.

- Nie musi się o to obawiać - odparowała Lili. - Może i byłam zaangażowana w związek z Jorgem, ale nie mam najmniejszego zamiaru zabijać się z jego powodu.

W spojrzeniu Ingrid pojawiła się niepewność, lecz Lili była zbyt zdenerwowana, by to zauważyć.

- Rozumiem - powiedziała Ingrid po chwili. - Być może twój ojciec nie powiedział ci wszystkiego. Mam jednak nadzieję, że tak. Rozumiesz więc, dlaczego pragnie, byś wyjechała z Madrepory i nigdy tu nie wracała. Och, nie patrz tak na mnie. Jestem pewna, że dobrze cię zabezpieczy bez względu na to, gdzie zdecydujesz się osiaść. Mam tylko nadzieję, że o mnie również pomyśli, bo jeżeli nie... No cóż, i tak będę miała więcej, niż mogłabym sobie wymarzyć: lata spędzone z twoim ojcem. Nie było ich wiele i nigdy nie będzie. W dodatku los tak okrutnie je skrócił, ale i tak powinnam być wdzięczna za te, które zostały mi dane.

Nagle jej błękitne oczy wypełniły się łzami. Uśmiechnęła się niepewnie i uniosła rękę powstrzymując Lili przed powiedzeniem czegoś więcej, po czym odwróciła się i wyszła z salonu.

Lili patrzyła przez chwilę w ślad za nią, czując, jak wzbiera w niej współczucie dla tej kobiety. Nie lubiła Ingrid, lecz jej rozpacz była rozbrajająco szczerą. Bez wątpienia poruszyłaby nawet najtwardszy głaz, toteż Lili, której serce krwawiło, nie mogło to nie wzruszyć.

Co Ingrid będzie robić po śmierci ojca? - zastanawiała się. Czy jej również kazał wyjechać z Madrepory, czy też uznał, że może tu pozostać? Lili jednak nie wyobrażała sobie, żeby się na to zdecydowała. Kiedy Otto odejdzie, nic jej tu nie będzie trzymać. Poza tym miała rodzinę w Niemczech. O co jej właściwie chodziło z tym zabezpieczeniem? Czyżby wiedziała o tej fortunie na szwajcarskim koncie? Czy nic z tego nie dostanie się żonie? Jeśli o nią chodzi, to Ingrid może sobie zabrać

Janet Tanner

wszystko. Skoro te pieniądze pochodzą z handlu narkotykami, nie weźmie z nich ani centa.

Raczej będzie głodować.

Zresztą nie musi się o to obawiać. Ma przecież pracę w Nowym Jorku, która zabezpiecza jej byt i... ma swoje skarby.

Lilii omiotła wzrokiem przedmioty stojące w salonie, które ojciec zawsze nazywał „skarbami Lilii” - srebrne świeczniki, mały zegar w stylu Ludwika XIV, statuetkę z brązu przedstawiającą boginię Ceres, tryptyk - i nagle powzięła postanowienie. Będą to jedyne rzeczy, które zabierze ze sobą opuszczając wyspę, bo tylko one pozostały nieskalane. Należały do ojca, jeszcze zanim rozpoczął ten brudny proceder, i był do nich bardzo przywiązany. Łzy trysnęły jej z oczu, kiedy przypomniała sobie, z jaką miłością dotykał tych przedmiotów, z jakim zachwytem na nie patrzył. Tylko one się dla niej liczyły. Będą formą zabezpieczenia, milczącą gwarancją, że kiedy znajdzie się w potrzebie, pomogą jej przetrwać.

Nie mogła jednak sobie wyobrazić, że rozstaje się z którymś z tych przedmiotów. Zbyt wiele dla niej znaczyły. Podeszła do tryptyku i przyglądała się żywej kolorystyce, dopóki łzy nie rozmazały pięknych scen. Myślała o tych beztroskich niewinnych latach i marzyła, by w jakiś sposób pomogły jej uwolnić się od dręczącego ją bólu.

Rozdział dwudziesty czwarty

Kiedy była dziewczynką i miała jakieś zmartwienia, biegła na plażę. Były to dziecinne zmartwienia, toteż mijały szybko jak letnia burza. Wiele razy Lili wyłakiwała swoje żale i niedole w miękki jedwabisty piasek, a bryza wiejąca od morza osuszała jej łzy. Nie można długo się smucić, myślała wówczas, kiedy wokół szumi ocean i dzieli się z nią swoją żywotną siłą, kiedy słońce grzeje skórę, a zapach wyspy przenika duszę z każdym oddechem. Przyszła tu, kiedy umarła mama, i zdawało jej się, że słyszy niski śpiewny głos, szepczący wśród palm: „Nie smuć się, maleńka. Jestem tu i zawsze będę.” Raz tylko nie przyszła szukać ukojenia na plaży po tym, jak ojciec odkrył jej związek z Jorgem. Zbyt świeżo miała jeszcze w pamięci ich spotkania. Teraz jednak przebrała się w kostium kąpielowy, włożyła na wierzch spódnicę i uciekła z willi, której ściany, ciężkie od strasznej prawdy i widma śmierci, wydawały się ją przytłaczać.

Idąc ścieżką ku plaży, poczuła nagle wyrzuty sumienia. Może powinna zostać w domu, na wypadek gdyby ojciec jej potrzebował. Lecz on w tej chwili spał. Powinna może odwiedzić Josie, bo bez jej listu nie byłoby jej tutaj. Josie na pewno wie, że przyjechała, i czeka na nią. Mogła ją sobie wyobrazić, jak siedzi przed chatą, z dzieckiem na kolanach, i patrzy na drogę, spodziewając się, że zobaczy nadchodzącą Lili. Lecz pomimo łączącej ich przyjaźni Lili nie czuła się na siłach, by z nią rozmawiać. Potrzeba samotności i ukojenia, jakie dawała jej plaża, była zbyt silna, by móc się jej oprzeć.

W miejscu, gdzie zaczynał się piasek, zdjęła sandały i ruszyła plażą ku cienistemu zakątkowi pod wysoką chwiejącą się palmą. Rzuciła buty i usiadła na piasku, kryjąc kolana pod jasną spódnicą, i powędrowała wzrokiem ponad

Janet Tanner

białymi falami ku odległemu horyzontowi, gdzie słońce stykało się z czystym lazurem nieba. Szok wywołany informacjami ojca zaczynał powoli ustępować. Jakże szybko ludzki umysł potrafi zaakceptować coś, co jest nie do przyjęcia. Wiele spraw, które ją zaskoczyły, nie wprawiając jednak w osłupienie, zaczynało teraz wracać na swoje miejsce jak części układanki. Dlaczego nigdy nie dziwiły jej częste wizyty Jorgego i wujka Fernanda na wyspie? Dlaczego nigdy nie przyszło jej do głowy, że eksport batiku, bananów i starych znaczków nie mógłby im zapewnić standardu życia, który przyjmowała jak coś naturalnego? I dlaczego zwykle nie poddająca się zakazom dziewczynka usłuchała ojca, kiedy zabronił jej zapuszczać się na północno-wschodni kraniec wyspy? Czyżby czuła instynktownie, że w ten sposób zniszczy złudzenie rajskiego ogrodu? Czy wizyta w zakazanym miejscu byłaby równa zerwaniu zakazanego owocu?

Kiedy spadło z jej oczu bielmo, ujrzała tych, których kochała, takimi, jakimi byli naprawdę. Nie tylko Jorgego i wujka Fernanda, lecz także ojca, dziadka Vicente, Ingrid, która gotowa była usprawiedliwić każde zło, byleby być z ukochanym człowiekiem. Nawet mama...

Zmarszczyła czoło na wspomnienie matki, lecz natychmiast jej ręka wygładziła zmarszczki. Co Ingrid miała na myśli, mówiąc, że ona nie wie wszystkiego na temat jej śmierci? Czyż nie widziała na własne oczy, jak leżała na podłodze salonu w kałuży krwi? Czyż ojciec nie powiedział jej, że matka odebrała sobie życie, bo Jorge źle się z nią obszedł?

Wspomnienie to, równie bolesne jak inne, miało jednak w sobie wystarczającą moc, by zadać dodatkową udrękę. Och mamusiu, dlaczego, dlaczego? Choć serce łkało, doskonale wiedziała dlaczego. Bo Jorge działał jak narkotyk. Można było nim gardzić, z drugiej jednak strony nie można się było od niego uwolnić. Czy się go nienawidziło, czy nienawidziło siebie za uleganie słabości, nie stanowiło to żadnej różnicy. Jorge kiwnął ręką, a ci, którzy byli jego niewolnikami, myśleli: Tylko ten raz, ten jeden raz skosztuję jego warg i poczuję siłę jego ramion i miłości, a potem odejdę. Matka nie miała w sobie tyle siły, a ona, choć powzięła decyzję, bała się, że jeśli tylko Jorge spróbuje ją przekonać, też może mu ulec.

Smutek spłynął na nią wielką falą i nagle poczuła się stara, tak stara jak te palmy, stara jak wyspa. Dlaczego? Przecież dotąd zawsze znajdowała na plaży ukojenie. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość zlały się w jedno, a ona znalazła się w pułapce, niezdolna uciec przeznaczeniu, ze skrwawionym sercem i przerażeniem w duszy.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

307

Odwróciła lekko głowę, omiatając wzrokiem plażę i skonstatowała z irytacją że nie jest już sama. Z gęstwiny drzew wyszła nagle jakaś postać. Był to mężczyzna w szortach i żółtej koszuli. Lili obserwowała go gniewnym wzrokiem, a kiedy podszedł bliżej, rozpoznała w nim pilota, który przywiózł ją wczoraj na wyspę. To było zaledwie wczoraj? Wówczas czuła do niego sympatię i myślała, że może znajdzie w nim przyjaciela i sprzymierzeńca. Teraz widziała w nim jedynie intruza wdzierającego się w jej prywatny świat bólu.

- Cześć - powiedział, zatrzymując się w odległości kilku jardów, z jedną ręką w kieszeni szortów, drugą podtrzymując zwinięty ręcznik kąpielowy. - Nie przypuszczałem, że cię tu zastanę.

Lilii popatrzyła na niego, po czym odwróciła wzrok.

- Przychodzę tu, kiedy chcę być sama - powiedziała z naciskiem,

- Och, przepraszam. Czy to prywatna plaża?

- Cała wyspa jest prywatna... oprócz hotelu.

- Nie wiedziałem o tym. - Skrzywił się lekko. - To nieco utrudnia życie tym, którzy muszą tu pracować. Myślę jednak, że skoro jest się właścicielem wyspy, ma się prawo decydować, gdzie kto chodzi.

Ku swemu zaskoczeniu Lili posłyszała w jego głosie wyniosłość, zupełnie odmienną od wczorajszej przyjacielskiej nuty, i przyznała w duchu, że jest to naturalna reakcja pewnego siebie mężczyzny na jej wrogość.

- Zostawiam cię więc w spokoju - powiedział, odwracając się z zamiarem odejścia.

- Nie! - zaprotestowała szybko. - Nie musisz odchodzić. Przepraszam, nie chciałam być nieuprzejma. To dlatego, że... chciałam być sama. Mam mnóstwo problemów na głowie.

Uniósł w górę brwi ponad ciemnymi okularami.

- Rozumiem, martwisz się o ojca.

Miała ochotę krzyknąć: „Nic nie rozumiesz!”, lecz tylko kiwnęła głową.

- Tak, martwię się o niego. On jest... bardzo chory.

- Słyszałem o tym. Przykro mi. A co mu właściwie jest?

Lilii wpatrywała się w palec od stopy, jak w kawałek obcego ciała.

- Ma raka. Nie wiedziałeś o tym? Sądziłam, że wszyscy robotnicy o rym wiedzą.

- Właściwie to nie jestem robotnikiem.

Powiedział to żartobliwym tonem, lecz Lili zdała sobie sprawę, jak protekcjonalnie musiało to zabrzmieć w jej ustach. Czy właśnie tak stres

322 Janet Tanner

oddziałuje na człowieka, każąc mu zachowywać się w sposób, którego dotąd nienawidził? A może ta gorsza strona jej osobowości wciąż tam była, czekając jedynie na okazję, by się ujawnić. Lilii Brandt, rozkapryszona, bogata dziewczyna, córka i wnuczka handlarzy narkotyków. Chryste!

Łzy ścisnęły ją za gardło. Z trudem je przełknęła, z jednej strony pragnąc, żeby sobie poszedł, by mogła się wypłakać, ale z drugiej, jakby na przekór wszystkiemu, chciała, żeby został. Jakoś udało się jej zmienić zduszony dźwięk w gardłowy śmiech.

- Mówię same niewłaściwe rzeczy, prawda? Zwykle nie jestem taka...

- Nie przejmuj się tym - powiedział po prostu. - Wiem, że taka nie jesteś. W każdym razie tak mi się wczoraj zdawało. Prawdę powiedziawszy, bardzo cię polubiłem. Zaprosiłaś mnie nawet na drinka, pamiętasz? - Starał się mówić lekkim tonem, nie dając po sobie poznać, jak ważne było dla niego to zaproszenie.

Lilii uśmiechnęła się blado.

- Rzeczywiście. Nie wiem jednak, czy to będzie możliwe. Mój ojciec jest bardziej chory, niż przypuszczałam. - Umilkła i zagryzła wargę, zastanawiając się, czy on nie potraktuje tego jako kolejnego afrontu. Choć była załamana i nie miała w tej chwili ochoty na jakąkolwiek rozmowę, to bardzo zależało jej, by go nie urazić i nie pozostawić po sobie złego wrażenia. - Słuchaj, może byś usiadł? - powiedziała i zaczerwieniła się, bo nawet ta prośba zabrzmiała raczej jak polecenie niż zaproszenie.

Popatrzył na nią z tą swoją trochę kpiarską bezpośredniością. Zauważyła to, choć oczy miał zasłonięte przeciwsłonecznymi okularami.

- Jesteś tego pewna?

- Tak. Stojąc tak psujesz widok - powiedziała, siląc się na żartobliwy ton.

- W porządku. Tylko musisz mi przyrzec, że powiesz, kiedy będziesz miała mnie dość.

- Na pewno powiem.

Rozłożył ręcznik, po czym usiadł na piasku obok niej.

- Domyślałam się, że to z powodu choroby ojca przyjechałaś do domu?

- Tak. Przyjechałabym już dawno, gdyby mnie zawiadomiono. Lecz tatuś nie chciał, żebym wiedziała, więc Ingrid nie napisała do mnie.

- To twoja siostra?

- Macocha.

- Zła macocha?

- Nie umiem w tej chwili odpowiedzieć na to pytanie - odparła.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

309

Uśmiechnął się. Po raz pierwszy posłyszał w jej głosie lżejszy ton. Musiał jednak dalej indagować. Taka okazja mogła się już nigdy nie powtórzyć.

- Są oboje Niemcami, prawda?

- Tak.

- Domyśliłem się tego po nazwisku, choć nigdy nie spotkałem twego ojca. Ale ty nie wyglądasz na Niemkę.

- Moja matka była Wenezuelką. Nie żyje... - Chmura przyćmiła jej rysy.

- To wszystko wyjaśnia. Jak twój ojciec ją poznał?

- Przyjechał tu po wojnie. Dla niego były to straszne czasy. Rodzinny dom został zbombardowany, a wszystko, co miał, przepadło.

- Więc przyjechał tu z pustymi rękami?

- Tak sądzę. - Zmarszczyła brwi, po czym jej twarz wypogodziła się. - Znał wcześniej mojego dziadka, Vicente Cordobę, bo jego rodzina sprowadzała przed wojną kawę. Dziadek Vicente pomógł mu rozpocząć nowe życie, a tatuś zakochał się w jego córce Magdalenę, to znaczy mojej matce.

- Rozumiem. Pewnie nie było mu łatwo.

- Tak. - Przez jej twarz przemknął kolejny cień. Nie miała ochoty rozmawiać o rodzinie. W każdym razie nie w tej chwili, kiedy poznała całą prawdę. - Pójdę popływać - oznajmiła nagle.

- I pewnie chcesz, żebym sobie poszedł.

- Niekoniecznie. Zostań, jeśli chcesz. Naprawdę nie chciałam być nieuprzejma.

Wstała, rozpięła bawełnianą spódnicę, czekając, że on też wyrazi chęć popływania. Ale on milczał. Rzuciła spódnicę na piasek i nie oglądając się za siebie, pobiegła w stronę morza - śniadoskóra dziewczyna w jasnym kostiumie kąpielowym, wolna i beztroska, która wbrew pozorom czuła się tak, jakby miała sto lat.

Woda była ciepła i nie wywołała gwałtownej reakcji rozgrzanej słońcem skóry. Nie zatrzymując się wbiegła w fale i rzuciła się w przód, pozwalając, aby zalała ją woda. Cóż za rozkosz! Jakże tęskniła do łagodnego ciepła oceanu, kiedy trzęsała się z zimna w Nowym Jorku. Oddaliła się od plaży, po czym przekręciła się na plecy, rozłożyła szeroko ramiona i pozwoliła unosić się falom. Nad głową miała bezmiar nieboskłonu, oddzielony od niedoskonałego świata leżącego w dole. Falowanie morza i błękitne niebo składające się z mikroskopijnych atomów, połyskujących teraz w popołudniowym słońcu tak, że wydawało się nieprzezroczyste, ukoiły Lili i wprawiły ją w rodzaj transu. Ciało nareszcie zaczęło

Janet Tanner

się rozluźnić, chyba po raz pierwszy od wielu dni, a myśli uspokoiły. Spojrzała w niebo i pomyślała, jak cudownie byłoby się tam znaleźć, iecz po chwili i ta myśl gdzieś znikła, jakby wysuszył ją popołudniowy upał. Lili miała wrażenie, że jest pusta w środku. Nie, nie pusta, bo tylko próżnia jest pusta. Wypełniał ją wielki spokój i zapragnęła tak trwać już do końca świata... Fale kołysały ją łagodnie, a ona czuła, że zostanie tu, dopóki morze i niebo nie zabiorą jej do swego królestwa.

Guy wyciągnął się na piasku, a końcem ręcznika przykrył sobie twarz, by osłonić ją przed palącymi promieniami słońca.

Mógł pójść popływać z Lili; myśl o wodzie, która na płycznach była ciepła jak woda w wannie, kusila swym urokiem. Poza tym figle w falach mogły zbliżyć ich do siebie. Lecz równie dobrze mogło być odwrotnie. Lili wydawała się taka... krucha i najwidoczniej porzebowała przestrzeni. Nie chciał niczego robić na siłę. Uciekaby w wyniosłość, tak jak zrobiła to wcześniej, kiedy dała mu do zrozumienia, żeby się wynosił. To był nieprzyjemny moment i po raz kolejny pomyślał, że musi być bardzo ostrożny. Dziewczyna znajdowała się w stanie wzburzenia emocjonalnego i nie wolno było jej popędzać. W innych okolicznościach nie przejmowałby się tym. Miał już do czynienia z trudnymi kobietami i pokonywał ich opór, często traktując to jak próbę sił, a nie z chęci zdobycia ich. Lecz teraz to co innego. Musiał zdobyć zaufanie Lili, a czas uciekał nieubłaganie.

Nie po raz pierwszy przeklinał los, który skazał von Rheinhardta na raka właśnie wtedy, kiedy wreszcie go dopadł. Jeśli oczywiście ten człowiek był von Rheinhardtem. Wciąż nie miał co do tego pewności. A jeśli nie posunie się naprzód z Lili, może nie mieć tej pewności nigdy. Tylko od niego zależało, jak to rozegra i czy nie straci nadarzającej się okazji, jednak wymuszanie czegokolwiek na Lili nie było dobrą metodą.

Nagle tuż nad głową posłyszał warkot samolotu. Uniósł ręcznik i zmrużył **oczy**, bardziej z przyzwyczajenia niż z ciekawości. Samolot wyglądał jak mały punkcik na niebie i nie leciał na Madrepore, lecz przypominał mu o porannym incydencie i o ciężarówce rozładowywanej w opuszczonej części wyspy. Bardzo dziwne. Jednak, tak czy inaczej, nie miała ona nic wspólnego z jego misją, toteż szybko odsunął tę sprawę od siebie.

Słońce grzało przyjemnie i kołysało do snu. Myśli zaczęły się mącić w głowie i nawet nie wiedział, kiedy usnął. Obudziło go wściekłe śwędzenie

RAJSKIE DZIEDZICTWO

325

wywołane ugryzieniem moskita, który siadł mu na ramieniu. Zabił moskita, odsunął ręcznik z twarzy i dopiero wówczas zdał sobie sprawę, że spał. Z zaskoczeniem skonstatował, że nadal jest sam. Czyżby Lili wyszła z morza i opuściła plażę nie budząc go? Jeśli tak, to pozwolił wspaniałej okazji wymknąć się z rąk. Ale jej spódnica i sandaalki nadal leżały na piasku. Wstał, przetarł oczy, które lekko łzawiły od upału i snu i spojrzał w morze. Zobaczył jedynie pas ciemnego błękitu, ciągnący się hen, aż po sam horyzont. Żadna łódź, żadna mewa nie unosiła się na falach. Nie dostrzegł również Lili. Poczł pierwsze ukłucie niepokoju. Gdzież, u diabła, ona jest? Nie mogła przecież nurkować, bo nie miała ze sobą sprzętu. Pewnie siedziała na płytkiej wodzie, z wyciągniętymi nogami, pozwalając, aby zalewały je fale, lecz i tam jej nie dostrzegł.

Na litość boską, przestań panikować! - zbeształ się w duchu, bo jego niepokój wzrastał. Przecież ta dziewczyna tu się wychowała i pływa w tym morzu od dziecka. Musi znać każdą zatoczkę, każdy pływ. Pewnie popłynęła na inną plażę, gdzie mogła być sama. Lecz to wytłumaczenie jakoś go nie przekonało. Przysłonił ręką oczy i zaczął uważnie przepatrywać morze. Ty idioto, ona po prostu od ciebie uciekła. Przecież nigdzie jej nie widać.

1 wtedy dostrzegł coś bardzo, bardzo daleko. W pierwszej chwili pomyślał, że to mewa unosi się na falach, a potem, że to jakaś część statku. Nagle, bez żadnego racjonalnego powodu, nabrał pewności, że to musi być Lili. Serce podeszło mu do gardła, a w ciele poczuł przyływ adrenaliny. Jeśli to rzeczywiście była Lili, to leżała nieruchomo, kołysana ruchem fal. Z tej odległości wydawała się, jakby... jakby bez życia. Zawahał się przez moment, wciąż nie dowierzając własnym oczom i instynktowi, po czym zrzucił z nóg buty, ściągnął szorty, pozostając jedynie w kąpielówkach i pognął w stronę morza. Wskoczył w fale, energicznie rozgarniając wodę ramionami i nie przestając się zastanawiać, cóż ona, u diabła, wyprawia, a także nad sensem swoich poczynań. W tej chwili jednak jego myśli skupiły się na jednej sprawie: dopłynąć jak najszybciej do dryfującego ciała. W pewnym momencie zatrzymał się, czując ból w ramionach i utrzymując się w pionie starał się ustalić pozycję Lili, wciąż znajdującą się bardzo daleko od niego. Kiedy jednak obejrzał się za siebie, zobaczył, że do brzegu jest również daleko. Po krótkim odpoczynku ruszył dalej energicznym kraulem. Wolno, straszliwie wolno, ale jednak posuwał się do przodu.

Nareszcie zobaczył ją wyraźnie. Dostrzegł różowy kostium kąpielowy kontrastujący z błękitem morza. Zawołał ją, lecz nie uzyskał żadnej

326 Janet Tanner

odpowiedzi, a do ust dostała mu się słona woda. Choć był coraz bliżej, Lili nadal się nie poruszyła. Przemknęło mu nagle przez głowę, że ona nie żyje i leży rozdęta przez wodę, z twarzą skierowaną ku słońcu i falującymi włosami, jak zaginiona syrena.

- Lili!

Żadnej odpowiedzi. Chwycił ją mocno za nadgarstek, jakże szczupły i delikatny.

- Lili!

Jej głowa drgnęła i spojrzały na niego szeroko otwarte oczy z wyrazem całkowitego zaskoczenia.

- Nie! - krzyknęła prawie z płaczem.

Straciła równowagę, a nadpływająca fala zalała jej twarz, nos i usta. Zaczęła kaszleć, gwałtownie chwycić powietrze, usiłując jednocześnie wyrwać mu rękę. Wciągnęła ich oboje pod wodę. Gdy ją puścił, natychmiast skierowała się głębiej w morze, lecz nagle zabrakło jej powietrza i zaczęła beładnie machać rękami.

Guy wiedział, że musi działać szybko. Nie znał jej zamiarów, lecz nie miał też czasu na zadawanie pytań. Czy w tych wodach były rekiny? Nie miał ochoty tego sprawdzać, zresztą i tak za bardzo oddalili się od brzegu. Jeśli czegoś nie zrobi, i to szybko, Lili utonie, a on wraz z nią. Przed laty, jeszcze jako młody chłopak, zdobył brązowy medal w zawodach ratowniczych, ale to było bardzo dawno. Od tamtego czasu nie wykorzystywał swoich umiejętności. Desperacja sprawiła, że nagle wszystko sobie przypomniał. Zanim zorientował się, co właściwie robi, opłynął Lili dokoła, zanurkował i chwycił ją od tyłu tak, by młóćące wodę ramiona nie mogły go dosięgnąć. Potem zaczął płynąć ku brzegowi, holując ją za sobą.

Jeśli droga do niej wydawała się długa, to teraz ciągnęła się w nieskończoność. Oglądając się ostrożnie przez ramię, zdał sobie sprawę, że nie robi to na nim żadnego wrażenia. Ale przynajmniej Lili przestała walczyć. Leżała na wodzie równie nieruchomo, jak wtedy, kiedy do niej dopłynął. Tylko teraz trzymał ją pod brodę, a jej nogi zostawiały za sobą nikły ślad. Kiedy pomyślał, że nigdy już nie dotrze do brzegu, poczuł grunt pod nogami. Wówczas wstał i brnąc z wysiłkiem przez fale, wyciągnął Lili z wody, po czym padł wyczerpany na piasek. Wciąż leżała nieruchomo. Podniósł się z wysiłkiem, zastanawiając się, czy nie powinien zrobić sztucznego oddychania, kiedy jednak pochylił się nad nią, odwróciła twarz w drugą stronę. Krople wody spływające jej po twarzy nie były morską wodą, tylko łzami.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

313

- Dobrze się czujesz? - zapytał ostro.

- Czemu mnie nie zostawiłeś? - Jej głos był cichy i musiał się pochylić, by usłyszeć, co mówi. - Dlaczego mnie nie zostawiłeś?

- O czym ty mówisz? - zachnął się gniewnie. - Odplynęłaś za daleko od brzegu i dryfowałaś na pełne morze. Cóż ci przyszło do głowy?

- Chciałam tam zostać - wyszeptala jakby sennie, marzycielsko. - Tam było tak pięknie.

- Tam było cholernie niebezpiecznie!

- Powinieneś mnie zostawić - powtórzyła i lzy popłynęły teraz wartkim strumieniem.

Włosy Lilii, ciężkie od morskiej wody, leżały rozrzucone wokół głowy jak morskie wodorosty, a policzki i nos przybrały kolor wściekłej czerwieni. Szyja i ramiona robiły wrażenie wątych i kruchych. Guy poczuł, że cała jego złość gdzieś się ulatnia. Zaskoczyła go i zaniepokoiła ta dziwna błogość, która go ogarnęła, a płomienne pulsujące uczucie pożądania przywróciło zmęczonemu ciału siły.

- Gdybym cię stamtąd nie wyciągnął, mogłabyś utonąć - rzucił szorstko. - Czy tego właśnie chciałaś?

Przez chwilę nie odpowiadała. Niemal czuł, jak myśli. W końcu powiedziała:

- Tak. Chyba tego właśnie chciałam. Pewnie to było głupie z mojej strony.

- Bardzo głupie - powiedział z mocą. - Chryste, wiedziałem, że coś cię trapi, ale nie myślałem, że jest aż tak źle.

Leżała nieruchomo, tylko lzy spływały jej strumieniami po twarzy.

- Myślę, że powinienem cię odprowadzić do domu - zdecydował. Usiadła i spojrzała mu w oczy.

- Przepraszam, że naraziłam cię na takie kłopoty. - W jej głosie brzmiała dziwna powaga, jak w głosie dziecka, przepraszającego za złe zachowanie.

- To żaden kłopot. Cieszę się, że tu byłem. Mam nadzieję, że ty również będziesz zadowolona, kiedy poczujesz się lepiej.

- Nic nie rozumiesz. - Objęła się ramionami, jakby nagle poczuła chłód, pomimo palącego słońca. - Właściwie to nie chciałam umrzeć. Po prostu nie chciałam dłużej żyć.

- Czy to nie to samo?

- Oczywiście że nie. Po prostu nie byłam w stanie dłużej tego znosić...

- Masz rację, nie rozumiem - powiedział. - Ja nie musiałem patrzeć, jak mój ojciec umiera. Nie było mi to dane. - Ponownie zapłonął w nim gniew. Miał ochotę powiedzieć: „Twój ojciec, nad którym tak rozpaczasz, skazał na

314 Janet Tanner

śmierć mojego ojca". Wiedział jednak, że ani czas na to, ani miejsce. - Mnóstwo ludzi musi przejść przez to co ty, ale większość z nich nie topi się z tego powodu. Wiem, że to trudne, lecz dasz sobie radę. Odrzuciła w tył głowę, zamknęła oczy i zaczęła się śmiać.

- Lili! - krzyknął ostro.

- Gdybyś tylko wiedział. Gdyby chodziło tylko o to... - Nagle przestała się śmiać i pokręciła głową. - Zapewniam cię, Guy, że chodzi tu o wiele więcej niż o przyglądanie się, jak mój ojciec umiera.

Skóra na karku zaczęła go podejrzanie swędzić.

- Na przykład o co? Ponownie pokręciła głową.

- O nie, nie musisz wysłuchiwać moich kłopotów, zresztą ja nie chcę o nich mówić.

Jej głos zabrzmiał szorstko, urywanie. Początkowo pomyślał, że to ze zdenerwowania, lecz potem zrozumiał, kiedy zaczęła szczełkać zębami.

- Sądzę, że najwyższy czas wracać do domu. - Poszedł tam, gdzie zostały ich ubrania, wciągnął szorty na prawie suche już kąpielówki, po czym wziął jej spódnicę i sandałki. Nada! siedziała w tym samym miejscu, z podciągniętymi pod brodę kolanami, a ciałem jej wstrząsały dreszcze.

- Ubieraj się - powiedział.

Wstała posłusznie, wzięła z jego rąk spódnicę i opasała się nią w talii. Palce tak jej się trzęsły, że nie była w stanie zapiąć guzików. Musiał to zrobić za nią. Nagle zdał sobie sprawę z piękna jej ciała i ich wzajemnej bliskości; starał się jednak tego nie okazywać. Wsunęła stopy w sandałki, a on objął ją ramieniem, przekonując się w duchu, że to tylko przyjacielski gest, i walcząc jednocześnie z reakcjami własnego ciała.

Kiedy znaleźli się na ścieżce, zatrzymała się i spojrzała na niego.

- Nie musisz dalej ze mną iść. Dam sobie radę.

Nagle jakaś niewidzialna siła przypomniała mu o prawdziwym powodzie jego tu obecności, wbijając stalowe ostrze w podbrzusze i tłumiąc uczucie pożądania.

- Wolę się upewnić - powiedział, mocniej obejmując ją w talii i zmuszając do marszu.

Nie zaprotestowała i ruszyli dalej w milczeniu. Guy zastanawiał się, jakby tu wejść do willi. Kiedy odprowadzi ją pod drzwi, nie będzie miał powodu, by iść dalej, lecz była to jego jedyna szansa - może i ostatnia - i musi ją wykorzystać. Kiedy jednak podeszli do willi, to Lili rozwiązała jego problem.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

329

- Byłeś bardzo uprzejmy. Może napiłbyś się czegoś, zanim pójdziesz? Powiedziała to tak sztywno i oficjalnie, że nie przyszło mu do głowy, jak bardzo może być zdenerwowana. Na myśl o powrocie do domu i stawieniu czoła sprawom, które wolałaby pogrzebać na dnie oceanu, czuła panikę. Przy nim ścigające ją upiory przeszłości nie były tak natarczywe. Kiedy odejdzie, pozbawi ją tarczy chromającej ją przed rzeczywistością, przed którą chciała uciec. Poza tym bała się, że Jorge może znowu przyjść. Nie należał do osób, które łatwo się poddają. Opór zwiększał tylko jego determinację. I jeśli ojciec się nie mylił, miał więcej powodów, niż początkowo sądziła, by częściej to przychodzić. Wzdragająca się na myśl o ponownym z nim spotkaniu, nie mając siły walczyć z uczuciami, jakie w niej wywoływał i obawiając się, że nawet nienawidząc go, nie zdoła mu się oprzeć. Guy spojrział na nią, dostrzegł burzę uczuć szalejącą w tych połyskliwych czarnych oczach; nie było to zgodne z jej chłodnym tonem, Guy nie miał jednak pojęcia, co ją wywołało.

- Dzięki - odpowiedział z równym chłodem, kryjąc z kolei uczucie pożądania. - Chętnie się czegoś napiję.

Willa drzemała w popołudniowym upale. Wszystko trwało w bezruchu, kiedy podeszli do obrośniętej hibiskusem werandy. Wyczuwał niemal namacalnie, jak rośnie w niej napięcie, ale przynajmniej przestała się trząść.

- Wejdz - powiedziała.

Fotel, który wyglądał, jakby zrobiono go dla inwalidy, stał akurat w miejscu, gdzie weranda łączyła się z pokojem. Nikt jednak w nim nie siedział i znajdujący się za nim salon również wyglądał na opuszczony,

- Nie wiem, gdzie się wszyscy podziali - powiedziała niepewnie Lili. - Pewnie odpoczywają. Czego się napijesz?

- A co masz?

- Prawie wszystko. Jest też świeża lemoniada, ale myślę, że wolałbyś coś mocniejszego.

- Prawdę powiedziawszy, tak. A masz może koniak?

- Tak, jestem pewna, że mamy...

Zniknęła w ciemnym salonie, a on został na werandzie. Teraz, kiedy nadszedł oczekiwany moment, czuł dziwną niechęć do tego, by nadużyć jej gościnności.

Pojawiła się ponownie, z butelką i kieliszkiem.

330 Janet Tanner

- Co powiesz o tym? Nie bardzo znam się na brandy.

Podawała mu butelkę, a on poczuł, że włosy na karku stają mu dęba. Butelka miała charakterystyczny zielony kolor i dziwnie znajomą nalepkę. Chateau de Savigny.

Wziął z jej rąk butelkę, obrócił ją w rękę, czując pod palcami nalot z kurzu na szyjce. Stary Chateau de Savigny. Bardzo stary. Dwudziesto-, trzydziesto-, czterdziestoletni. Był tego niemal pewny.

- Skąd on to ma? - zapytał, z trudem hamując podniecenie.

- Nie wiem. Od lat stoi w piwnicy. Kazał go przynieść niedawno. Czy... odpowiada ci?

- Tak, naturalnie. - Starał się, aby jego głos brzmiał obojętnie. Najwidoczniej nie zwróciła uwagi na zbieżność jego nazwiska z nazwiskiem na butelce i nie chciał, aby to zauważyła.

- Czy możesz sam sobie nalać? - zapytała. - Nadał trochę trzęsą mi się ręce. Pójdę po lemoniadę dla siebie. Zaraz wracam.

- Myślę, że powinnaś wypić coś mocniejszego od lemoniady - zasugerował.

- To może wleję sobie trochę wódki. Lód jest w kubku na kredensie. Uśmiechnął się lekko, wyobrażając sobie reakcję dziadka na propozycję

dodania lodu do jego cennego koniaku. Czy jest to tutejszy zwyczaj, czy też Lilii po prostu się nie zna? Jednak dzięki temu mógł wejść do salonu. Trzymając butelkę ze swoim nazwiskiem w rękę, wszedł do środka.

Początkowo oślepienie słońcem oczy dostrzegły jedynie niewyraźne kontury i cienie. Zaczął gwałtownie mrugać, by przyzwyczać się do półmroku panującego w pokoju. Miał zaledwie kilka minut na to, by sprawdzić, czy przedmioty, o których mówił Bill, przypominają skarby skradzione z zamku w Savigny. Był prawie pewny, że tak, lecz to jeszcze za mało.

Najpierw zobaczył lichtarze stojące na serwantce. Wziął jeden do ręki i przyjrzał mu się z uwagą. Był masywny, ciężki i bardzo podobny do tych, które opisał mu dziadek. Między lichtarzami stała mała statuetka z brązu. Poczucił ucisk w żołądku. Te przedmioty należały do jego rodziny, teraz był tego pewny. Ale udowodnienie tego to już zupełnie inna sprawa.

Rozejrzał się wokół gorączkowo. Wzrok zdążył się już przyzwyczać do półmroku i Guy stwierdził, że Bill się nie mylił. Salon był rzeczywiście pełen skarbów. Zegar w stylu Ludwika XIV, nożyczki do przycinania knotów, małe pudełko z drzewa różanego, inkrustowane kością słoniową - wszystkie piękne, wszystkie cenne, lecz nie aż tak unikalne, by można było stwierdzić

RAJSKIE DZIEDZICTWO

317

bezsprzecznie, że są własnością rodziny de Savigny. Chyba że za dowód uznać fakt specyficznego ich doboru.

I nagle jego oczom ukazał się tryptyk. Wisiał na ścianie w miejscu, gdzie wpadające do wnętrza światło ożywiało kolory i sprawiało, że płonęły niczym ogień. W kilku susach pokonał szerokość pokoju. Teraz już mógł stwierdzić z całą pewnością że jest to tryptyk, który niegdyś ozdobił ściany jego rodzinnego domu. Fotografie, które pokazał mu dziadek, nie pozostawiały co do tego żadnych wątpliwości. O ile wiedział, sceny z życia Dziewicy Orleańskiej nie występowały na żadnym innym tryptyku. Nie mógł oderwać od niego oczu, zahipnotyzowany zarówno jego pięknem, jak i historyczną wartością. Oto w tym obrazie zamknięta była historia jego rodziny - dziedzictwo przekazywane z pokolenia na pokolenie. Była to najdonioślejsza i najbardziej zaskakująca chwila w jego życiu. Często obcował z antykami, którymi zajmowała się matka, lecz żaden z nich nie zrobił na nim takiego wrażenia. Ale też nigdy nie stał przed czymś, co należało nie tylko do jego dziadka, lecz także do dziadka jego dziadka.

- Och, widzę, że oglądasz mój tryptyk?

Nie słyszał, jak weszła do pokoju. Odwrócił się i zobaczył, że stoi w drzwiach ze szklanką lemoniady w ręku. Miała na sobie obszerną bawełnianą koszulę, w której wyglądała jeszcze bardziej krucho.

- Twój tryptyk? Roześmiała się.

- Tatuś tak go nazywa. Zawsze go uwielbiałam, już jako mała dziewczynka.

- Jest piękny. Zresztą macie tutaj mnóstwo pięknych przedmiotów. Twój ojciec musi być nie lada kolekcjonerem.

- Nie nazwałabym go kolekcjonerem. W każdym razie nie przypominam sobie, żeby coś zbierał. Te przedmioty były tu od zawsze. Chyba musiał je przywieźć ze sobą.

- Z Niemiec? Mówiłaś, że jego dom został zniszczony.

- Tak. Ale te skarby prawdopodobnie oddano na przechowanie jeszcze przed bombardowaniem. Ja również będę o nie dbać. Wkrótce tylko one mi pozostaną.

Rzucił jej szybkie spojrzenie, a ona roześmiała się trochę nerwowo.

- No, ale skończmy z tym. Już dość się dziś wycierpiałem przez moje nerwy. Znalazłeś lód?

- Nie, dziękuję za lód,

Ale za to miał ochotę na koniak. I to jaką! Wypił go z wyraźną przyjem-

Janet Tanner

nością, wiedząc, że traktowanie starego koniaku de Savignych jako lekarstwa zakrawa na przestępstwo.

- A co z twoim ojcem? - zapytał.

- Odpoczywa. Przed chwilą do niego zaglądałam. Śpi.

- Aha. - A więc nie będzie mu dane zobaczyć dzisiaj Otta. - Dzięki za drinka.

- A ja dziękuję za uratowanie mi życia. Głupio się zachowałam. Przepraszam.

Wydawała się taka mała i rozkoszna w tej za dużej koszuli i ze szklanką lemoniady w dłoniach.

Poczuł, jak ściska go coś w żołądku, ale się opanował.

- Może dasz się zaprosić na drinka któregoś dnia? - zapytał, spodziewając się, że odmówi.

Lecz ona skinęła głową.

- Z przyjemnością.

- Może dziś wieczorem? - zaproponował.

- Nie, dziś nie. Prawdę powiedziawszy, to nie czuję się na siłach. Może jutro?

- Świetnie. Jest taki bar po drugiej stronie wyspy.

- U Johnny'ego Rekina.

- Tak. Może nie jest odpowiedni, ale...

- Nie, w porządku. Lubię go, choć tatuś nie byłby zadowolony, gdyby się dowiedział, że tam idę. Nie przychodź po mnie. To ja po ciebie wstąpię. Twój dom jest przecież niedaleko baru.

- Tak, ale...

- Za to możesz odprowadzić mnie do domu. Czy to satysfakcjonuje twoją męską dumę?

Pokręcił głową i wybuchnął śmiechem. Lili odzyskiwała wreszcie swój naturalny urok, który dostrzegł u niej pierwszego dnia. Trudno było uwierzyć, że ta dziewczyna i roztrzęsiona zapłakana nieszczęśnica, którą uratował od śmierci, to ta sama osoba.

- A więc do jutra. Chyba że wyskoczy nagle jakaś nieoczekiwana robota. Dam ci znać, gdyby tak się stało.

Dopił koniak, odstawił kieliszek i ruszył w stronę werandy. Kiedy obejrzał się za siebie, zobaczył dwie rzeczy: Lili, tak piękną, że aż serce ściskało się na jej widok, i tryptyk, robiący wrażenie, jakby ożył i jakby płomienie ponownie objęły postać przywiązaną do pala. Włosy kobiety na obrazie były jasne i krótko ścięte, jak u chłopca, lecz Guyowi wydało się przez chwilę, że twarz świętej podobna jest do Lili.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

319

Siedział na werandzie swego domku ze szklanką w ręku i wpatrywał się w ciemność, którą wypełniało ćwierkanie tysięcy owadów.

Sporo wypił po powrocie od Lili, lecz był kompletnie trzeźwy i alkohol nie pomógł rozproszyć dziwnego nastroju, który go ogarnął.

Powinien czuć satysfakcję, pomyślał. Zdobył wreszcie dowód, który pozwoli oddać von Rheinhardta w ręce sprawiedliwości - jeśli jeszcze będzie żył - i odzyskać rodzinne dziedzictwo. Lecz zamiast dumy czuł jedynie zamęt w głowie, jakiego nigdy przedtem nie doświadczył. I wiedział, że jego powodem jest Lili.

Pragnął zadośćuczynienia dla swojej rodziny i nadal uważał, że jest im to winien, że musi naprawić krzywdy, które zostały wyrządzone jego rodzime przed z górą trzydziestu laty. Lecz tym samym zniszczy Lili. Ta myśl łamała mu serce. Stała mu przed oczami jej piękna, zropaczona twarz i wśród nocnych szeptów i ćwierkania świerszczy posłyszał jej ochryply z bólu głos: „Tak naprawdę nie chciałam umrzeć... Po prostu nie chciałam dłużej żyć.”

Nie wolno mu zawracać sobie tym głowy, pomyślał gniewnie. Musi odsunąć te myśli na bok i skoncentrować się na tym, po co tu przyjechał. Lecz nie było to łatwe.

Westchnął ciężko, sięgnął po stojącą obok butelkę i ponownie napełnił szklankę.

Rozdział dwudziesty piaty

Następnego dnia rano Lili postanowiła odwiedzić Josie. Otto wziął poprzedniego wieczoru dużą dawkę narkotyku i wciąż jeszcze spał, nie musiała więc tłumaczyć się, dokąd idzie. Nie byłby zadowolony, gdyby wiedział, że poszła spotkać się ze starą przyjaciółką, ale Lili bardzo chciała się z nią zobaczyć, a po tym, co zdarzyło się wczoraj, wołała nie zostawać sama.

Wciąż nie mogła uwierzyć w to, co zrobiła. Nigdy dotąd nawet nie myślała o samobójstwie i wspomnienie o tym dziwnym letargicznym transie, który omal jej nie zabił, napawało lękiem.

Gdyby nie Guy, już by nie żyła. Czy po tym wszystkim będzie mogła ponownie sobie zaufać?

Chata, w której mieszkała Josie ze swym mężem Ablem, stała na peryferiach dzielnicy slumsów. Lili była z tego zadowolona, bo wizyta w tej dzielnicy nie należała do najprzyjemniejszych. Było to zbiorowisko blaszanych bud, nad którym unosiły się zapachy przypraw, potu i fetom z prymitywnie skonstruowanych ścieków. Kiedyś postanowiła, że pewnego dnia poprawi warunki życia tubylców, lecz teraz pomyślała ze smutkiem, że ten dzień nigdy nie nadejdzie.

Josie robiła pranie przed domem i rozwieszała je na słońcu, lecz na widok Lili cisnęła pościel do kosza, złapała Winstona i wybiegła jej na spotkanie. Promienny uśmiech rozjaśnił jej ładną okrągłą buzię.

- Lili! Lili! Wróciłaś do domu! Abel mówił, że wracasz, ale myślałam, że znowu powtarza plotki. Dziewczęta padły sobie w objęcia, a mały Winston znalazł się w mocnym uścisku dwóch młodych ciał.

- Oczywiście, że wróciłam - powiedziała Lili. - Natychmiast, jak dostałam twój list. Jestem ci bardzo wdzięczna, że do mnie napisałaś, Josie.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

321

- Uznałam, że powinnaś wiedzieć, choć Abel uważał, że niepotrzebnie się wtrącam.
 - To nie było żadne wtrącanie. Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdybym przyjechała za późno.
 - Jak on się czuje? - zapytała Josie poważnie.
 - Bardzo źle. Ale nie mówmy o nim. Porozmawiajmy o tobie. Opowiedz mi wszystkie nowiny.
 - Jak widzisz, będę miała drugie dziecko, i to niedługo. - Josie poklepała się po potężnym brzuchu opiętym kolorową sukienką i ponownie się uśmiechnęła. - Urodzi się za kilb tygodni. Miałam nadzieję, że porozmawiasz o mnie z twoim ojcem. Chcę, by moje dziecko urodziło się tutaj, ale znasz zasady.
- Lilii skrzywiła się w odpowiedzi. Wiedziała, że miejscowe kobiety muszą wyjeżdżać z Madrepory na czas porodu. Miało to zapobiec powstaniu nowej generacji, która mogłaby domagać się swoich praw jako tu urodzona. Uważała to za nieuczciwe i zbytuczne, ale obawiała się, że niczego nie będzie mogła zrobić.
- Nie wiem, czy tatuś będzie w stanie podjąć jakąś decyzję, Josie
 - powiedziała. - Spróbuję z nim porozmawiać, lecz niczego nie mogę obiecać. Mogę ci tylko poradzić, żebyś się pospieszyła i wzięła wszystkich przez zaskoczenie.
- Josie wybuchnęła śmiechem.
- Chętnie bym to zrobiła, Lilii. Kiepsko się czuję. To będzie duże dziecko. Dziewczęta siedziały przez chwilę gawędząc, lecz po raz pierwszy w życiu
- Lilii poczuła dystans między nimi, co ją zasmuciło. Kiedyś były sobie takie bliskie. Teraz ich drogi się rozeszły. Choć Josie miała tak mało, Lilii jej zazdrościła. Cóż znaczą pieniądze i posiadłości? Nie dały jej nic, tylko ból i rozczarowanie. Josie natomiast była szczęśliwa z mężem, którego kochała, miała cudowne dziecko i oczekiwała następnego. Lilii ogarnął smutek i zatęskniła za własną rodziną.
- Teraz ty - powiedziała Josie, kiedy zdała już relację ze wszystkich spraw. - Opowiedz mi o Nowym Jorku.
 - Nie mam wiele do opowiadania. - Jak mogła wyjaśnić tę ogromną różnicę dzielącą dwa światy dziewczynie, która nigdy nie opuszczała wysp?
 - Chodzę do pracy, potem wracam do domu do mojego mieszkania...
 - Masz własne mieszkanie?
 - Tak.

336

Janet Tanner

- Coś takiego! Całe mieszkanie dla siebie! - wykrzyknęła Josie z podziwem. - A co z chłopcami?

- Właściwie to nie ma nikogo ważnego.

Josie odpędziła muchę, naprzykrzającą się Winstonowi.

- Widziałaś się z Jorgem? - zapytała nie patrząc na Lili.

- Tak.

- 1?

- Josie, między nami wszystko skończone. Przecież wiesz.

- Naprawdę? Myślałam, że między wami nigdy się nie skończy - powiedziała szczerze.

Lilii milczała przez chwilę, po czym zapytała:

- Czy słyszałaś może coś na temat interesów Jorgego? Co robi na Madreporze i po co wyjeżdża na Florydę?

Josie pokręciła głową.

- Przecież ludzie muszą coś mówić na ten temat - Lilii nie dawała za wygraną.

Twarz Josie pozostała nieprzenikniona.

- Nie słucham plotek, Lilii. Bezpieczniej jest nic nie wiedzieć. Nie pozwoliła się wciągnąć w dalszą rozmowę.

- No cóż, powinnam już wracać do domu - powiedziała w końcu Lilii. - Tatuś mógł się obudzić i zastanawia się, gdzie jestem. Poza tym wychodzę dziś wieczorem. Idę do baru Johnny'ego Rekina.

Oczy Josie zrobiły się okrągłe.

- Z kim idziesz?

- Z nowym pilotem. Nazywa się Guy de Savigny.

- Uważaj, Lilii. Jorge nie będzie zadowolony, że chodzisz z kimś innym.

- To nie jego interes - odparła Lilii cierpko.

Kiedy jednak oddaliła się od zaduchu i smrodu blaszanej dzielnicy, ogarnął ją niepokój. Josie miała rację. Gdyby Jorge się dowiedział, że spotyka się z kimś innym, nie byłby z tego zadowolony. Jednak musi mu udowodnić, że nie ma już nad nią władzy. Poza tym Guy potrafi doskonale o siebie zadbać.

Bar Johnny'ego Rekina stał nad brzegiem oceanu, w miejscu łatwo dostępnym zarówno dla marynarzy, jak i gości hotelowych. Centralną jego część przykrywał dach osłaniający przed słońcem szeroką ladę z ustawionymi wokół niej wysokimi stołkami. Nieco dalej zaś stały stoliki z parasolami.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

323

Bar należał chyba do najbardziej uczęszczanych miejsc na wyspie. Czasami przygrywały w nim małe zespoły i wędrowni gitarzyści, a Johnny Rekin raczył swoich klientów barwnymi opowieściami o wyspie. Na tych, którzy mieli ochotę coś zjeść, czekała miejscowa specjalność - roti. Były to smażone w oleju kulki mielonego mięsa z kawałkami kurczaka i ziemniaków, owinięte w pergaminowy papier. W barze panowała zawsze wesola, swobodna atmosfera i odwiedzali go chętnie zarówno miejscowi, jak i goście hotelowi. W miarę upływu nocy muzyka stawała się głośniejsza, a głosy bardziej schrypnięte.

Bar wabił Lilię jak płomień ćmę, Czasami jako dziecko wymykała się nocą z domu i obserwowała siedzących w nim gości ukryta za palmami, które otaczały lokal od strony lądu. Nieco później ośmieliła się pójść tam z Josie i usiąść na wysokim stołku, mając nadzieję, że nikt nie odważy się donieść

O tym ojcu, narażając się na jego wściekłość. 1 oczywiście bywała tu z Jorgem... Tego wieczoru jednak ta oaza światła i muzyki nie kusila jej swym czarem i nie przynosiła ukojenia napiętym nerwom.

- Czy byłaś tu kiedyś? - zapytał Guy, kiedy usiedli przy jednym ze stolików. Zamówił dla nich chłodnego pimmsa w wysokiej szklance.

- Raz czy dwa - odpowiedziała.

- Sama czy z którymś z pilotów?

- Prócz Manuela nie ma tu innych pilotów, a on nie jest zbyt towarzyski.

- Nie, to raczej typ samotnika.

Nie powiedziała, że Manuel jest człowiekiem Jorgego. Nie miała ochoty ani myśleć, ani mówić o Jorgem, choć teraz, gdy już tyle wiedziała, ciekawa była, czy Manuel również uczestniczy w nielegalnych interesach Jorgego

1 czy właśnie to jest powodem jego rezerwy. Narkotyki należało przecież przywozić i ekspediować dalej, a Jorge nie mógł tego robić sam, jeżeli w ogóle to robił. On był tu raczej szefem. Transport nielegalnego towaru odbywał się drogą morską lub powietrzną i ktoś musiał się tym zajmować.

Popatrzyła na Guya. Czy to możliwe, żeby i jego opłacał kartel? Nie mogła sobie wyobrazić, by był zamieszany w coś takiego, ale któż to wie? Do głowy by jej nie przyszło, że ojciec i dziadek mogą być handlarzami narkotyków. Ciekawe, jak dalece można się mylić?

- Jak się dziś czuje twój ojciec? - zapytał Guy, odchylając się na oparcie plastikowego krzesła i wyciągając nogi. Lilię zauważyła, że ma na sobie bawełniane spodnie w szaroperłowym kolorze i żółtą koszulkę polo. Z zadowoleniem przyjęła, że nie jest zwolennikiem białego koloru. Za bardzo kojarzył jej się z Jorgem.

Janet Tanner

- Dziś po południu czuł się nieco lepiej - odparła. - Choć trudno powiedzieć coś na pewno. To wojownik. Stara się ukryć swój ból. Nienawidzi szumu wokół własnej osoby. Ale chyba zdażyłeś to zauważyć.

- Nigdy nie miałem okazji poznać twojego ojca. - Pociągnął łyk ze szlanki, po czym dodał swobodnie: - Musi być chyba twardym człowiekiem.

Lilii skinęła głową.

- To prawda. Zawsze wydawał mi się ucieleśnieniem potęgi i siły. Przykro widzieć go teraz w takim stanie.

- Czy nigdy nie tęsknił za powrotem do domu? Nie miał ochoty zobaczyć Niemiec przed śmiercią?

- Nigdy o tym nie wspominał. Mówiłam ci, że jego dom zbombardowano, a rodzina zginęła, w każdym razie tak mi się wydaje. Nikt nigdy nie przyjeżdżał do niego, a on nigdy nie wspominał, że ma kogoś w Niemczech.

- Zamilkła, zdając sobie nagle sprawę z tego, jak mało wie o rodzinie ojca.

- Musiał chyba brać udział w wojnie? - zapytał Guy.

- Tak, naturalnie. Był generałem. - Zauważyła lekkie napięcie mięśni twarzy Guya i poczuła zakłopotanie. - Służył w armii - dodała szybko. - Nie w SS czy gestapo.

- W takim razie gdzie walczył? Na froncie rosyjskim czy może w piaskach pustyni, z Rommlem?

- Chyba większą część wojny spędził we Francji. - Lekki rumieniec zabarwił jej policzki i pokrył wczorajszą opaleniznę. - Właściwie to nie walczył, raczej administrował.

- Jaki ten świat mały. Tak się składa, że moja rodzina pochodzi z Francji.

- Powiedział to lekkim tonem, lecz jednocześnie z uwagą wpatrywał się w jej twarz.

- No oczywiście, masz przecież francuskie nazwisko! Nie pomyślałam o tym! - powiedziała nieco zbyt pośpiesznie, lecz był to raczej wynik skrępowania, zupełnie naturalnego u dziewczyny, której niemiecka krew wywołuje nieodmiennie poczucie winy za to, co zrobili jej rodacy. Nie miała o niczym pojęcia, również o pochodzeniu skarbów swojego ojca.

- Mówiłaś, że jego rodzina importowała kawę, tak? - zapytał, zmieniając taktykę.

- Tak, i to na wielką skalę. - Z ulgą chwyciła się mniej drażliwego wątku.

- Tatuś zawsze powtarzał, że ich kawę pito w najlepszych wiedeńskich kawiarniach.

- Brandt. Nie słyszałem o importerach kawy o takim nazwisku.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

339

- Bo nie mogłeś słyszeć - powiedziała Lili na niewinnie. - Wszyscy zginęli, a interes się rozpadł, kiedy ciebie jeszcze nie było na świecie.

- Na pewno byłem. - Uśmiechnął się, widząc jej zdziwione spojrzenie.

- Jestem trochę starszy, niż na to wyglądam, Lili. Nie każdy jest tak młody jak ty.

Poczuła się jak idiotka. Nigdy nie zastanawiała się nad jego wiekiem. Po prostu stawiała go na równi z sobą. Tak zwykle się dzieje, kiedy czujemy się w jakimś towarzystwie bezpiecznie.

Teraz przyjrzała mu się uważniej i zauważyła kurze łapki w kąciakach oczu i lekką siwiznę na skroniach. Oczywiście, był od niej starszy. Musiał być. Lecz w porównaniu z Jorgem wyglądał bardzo młodo.

Guy dokończył swojego drinka.

- Masz ochotę na jeszcze jednego?

- Och, nie wiem. Zostało mi jeszcze trochę...

- Niewiele. Zamówię następnego. Nie obawiaj się, pimps ci nie zaszkodzi. Naturalnie jeśli masz ochotę na powtórkę.

- Dobrze, niech będzie, dziękuję.

Wziął szklanekę i poszedł w stronę baru. Przyglądała się, jak idzie

- swobodny ruch ramion, sprężysty, zdecydowany krok - spodobało jej się to, co zobaczyła.

Jakie to dziwne, że w towarzystwie kogoś, kogo się dopiero poznało, można czuć się tak swobodnie, podczas gdy inni wywołują jedynie skrępowanie, mimo że zna się ich całe życie. I tak było od początku, pomyślała, przypominając sobie ich rozmowę podczas lotu. Guy de Savigny. Zatrzymała uwagę na tym nazwisku i uznała, że również jej się podoba. Mocne, proste i oryginalne. Takie jak jego właściciel.

- Proszę, proszę, kogo ja widzę? Lili! Co ty tu robisz? Zaskoczona, szarpnęła gwałtownie głową, rozpoznając ten głęboki, zniewalający tembr głosu i czując, że zaczyna drżeć.

Jorge.

Stał na granicy kręgu światła. Biel jego ubrania kontrastowała z ciemną ścianą palm. Palił cygaro i choć w głosie brzmiało rozbawienie, brwi miał gniewnie ściągnięte.

- Nie przypuszczałem, że odwiedzasz jaskinię Johnny'ego - powiedział, podchodząc do niej i kładąc rękę na oparciu krzesła.

- Bo nie odwiedzam - odparła. - Ale mam absolutne prawo robić to, kiedy tylko zechcę.

Jego ręka spoczęła teraz na jej ramieniu.

Janet Tanner

- Dlaczego ze mną walczysz, maleńka? Jej oczy spojrzały na niego z gniewem.
- Doskonale wiesz, dlaczego! To koniec, Jorge. Zresztą to się już dawno skończyło.
- Jednak wróciłaś.
- Bo ojciec jest umierający. - Ruszyła ramieniem, starając się zrzucić jego rękę. - Zostaw mnie w spokoju, Jorge.

Jego palce nadal wpijały się w jej ciało.

- Czy tego właśnie chcesz, Lili? Nie sądzę.
- Właśnie tego chcę! Powinam cię uprzedzić, Jorge, że nie jestem tu sama. - Ku swej uldze zobaczyła wracającego do stolika Guya. - On tu idzie. Proszę, odejść.
- Po co ten pośpiech? Chciałbym poznać człowieka, który zajął moje miejsce... Chwileczkę... Czy to nie jest mój nowy pilot?

Guy zatrzymał się przy stoliku z drinkami w ręku i spojrzał jakoś groźnie na człowieka, który z taką swobodą opierał rękę na ramieniu Lili.

- To rzeczywiście mój nowy pilot - powiedział Jorge przeciągając sylaby. Wyciągnął wolną rękę w stronę Guya. - Powinienem się przedstawić. Jorge Sanchez.

Guy spokojnie postawił drinki na stole i uściśnął wyciągniętą rękę.

- Guy de Savigny. Tak, jestem nowym pilotem. Dziwi mnie tylko, że nie spotkaliśmy się dotąd.
 - Jestem bardzo zajęтым człowiekiem, de Savigny. Mam nadzieję, że pan również, skoro pracuje pan dla mnie. Lecz, jak widzę, znalazł pan czas na zabawianie Lili.
 - Muszę mieć trochę wolnego - odpowiedział gładko. - Poznałem Lili przed dwoma dniami, kiedy wiozłem ją na wyspę.
 - A więc słabo ją pan jeszcze zna. Przypuszczam, że podobał jej się lot. Lili uwielbia latać, prawda, kochanie? A także inne rzeczy. Musimy się kiedyś spotkać, to opowiem panu wszystko o jej upodobaniach. To oszczędzi panu czasu. Taka pomoc kogoś, kto zna sekrety damy.
 - To bardzo uprzejme z pańskiej strony, ale nie sądzę, by to było konieczne - wykręcił się Guy. - Czy przysiądzie się pan do nas? Jeśli tak, to może coś panu zamówić?
- Jego głos brzmiał uprzejmie, lecz chłodno i Lili skorzystała z nadarzającej się okazji.
- Jorge musi już iść, prawda? - Wstrząsnęła ramieniem i w końcu cofnął rękę.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

327

- Niestety, tak. Myślę jednak, że się jeszcze spotkamy, de Savigny. Kiedy obaj będziemy mieli czas na dłuższą rozmowę.

Odwrócił się i ruszył w stronę baru. Guy spojrział na Lili. Cała się trzęsła i kiedy podniosła do ust szklankę, jednym haustem wypijając to, co w niej zostało, zobaczył, że ręka jej drży.

- A więc to jest Jorge Sanchez - powiedział w zamyśleniu. - Nie powiem, żeby wzbudził we mnie sympatię.

Lilii wciąż milczała.

- Dobrze się czujesz? - zapytał. - Zdenerwował cię, prawda? Kiwnęła głową nie patrząc na niego.

- Jorge zawsze tak na mnie działa. Nie powinnam mu na to pozwalać.

- Chciałabyś wrócić do domu?

- Nic - powiedziała szybko. Ta instynktowna odpowiedź była wynikiem wrzących w niej emocji. Nie chciała wracać do domu, w którym leżał umierający człowiek, i prowadzić wymuszonej pogawędki z Ingrid. Nie chciała zostać sama i myśleć o tym, czego się dowiedziała, a co wyróciło do góry nogami cały jej świat. Nie chciała też opuszczać mężczyzny, który chronił ją przed Jorgem. Był odważny, uprzejmy i nie miał nic wspólnego z tym całym bałaganem. Czuli się przy nim wyjątkowo bezpiecznie. Ale nie chciała również zostawać w barze. Duszna atmosfera wesołości przytłaczała ją, odurzała umysł i przyprawiała o rozstrój nerwowy. W dodatku Jorge był tu gdzieś w pobliżu. Nie przypuszczała, żeby znowu ją zaczepił, ale wolała nie być tak blisko niego.

- Nie chcę wracać do domu, ale może... może moglibyśmy pójść do ciebie?

- Dobrze... jeśli chcesz.

W jednej chwili wstała od stolika, zapominając o stojącej przed nią pełnej szklance, czekając, aż Guy opróżni swoją. Sztywnym, pełnym napięcia gestem wsunęła torebkę pod pachę i objęła się ramionami, jakby chciała się w ten sposób obronić przed niewidzialnym złem. Instynktownie otoczył ją ramieniem i poczuł, jak drży. Zaraz jednak przytuliła się do niego, szukając w nim obrony.

Całą drogę do domu przeszli w milczeniu.

- Bóg jeden wie, co tam zastaniemy - powiedział, otwierając drzwi. - Nie należę do najporządniej szych.

W środku było schludnie i czysto, dzięki służącej, która zmyła naczynia po posiłku, który dla niego przygotowała, odkurzyła meble, książki i pozbierała porzucane ubrania. Guy pozapalał lampy, które oblały pokój łagodnym światłem, i otworzył drzwiczki staroświeckiego kredensu.

342 Janet Tanner

- Nie mogę zaproponować ci pimmsa, ale mam rum i koniak.
 - Nie masz dzinu?
 - Niestety nie. Ale zaraz, jest szampan. Był w lodówce, kiedy się tu sprowadziłem. Pewnie zostawił go poprzedni lokator. Nie przypuszczam jednak, by po niego wrócił.
 - Może być szampan.
- Otworzył butelkę i nalał do dwóch kieliszków.
- Co prawda nie przepadam za szampanem, ale szkoda, żeby się zmarnował. Lili wypita łyk i stwierdziła, że jest to jeden z lepszych gatunków. Ten, kto go zostawił, musiał mieć kosztowny gust. Po chwili poczuła, że napięcie zaczyna ustępować.
 - Przepraszam za moje zachowanie - powiedziała. - Pewnie myślisz, że jestem chora na nerwy.
 - Wcale tak nie myślę.
 - Daj spokój, na pewno tak myślisz. Najpierw ta wczorajsza historia, teraz znowu to... Zazwyczaj tak się nie zachowuję.
 - Jestem pewny, że nie. Musisz żyć w wielkim napięciu. Kiwnęła głową.
 - To prawda. Nawet nie przypuszczasz, w jak wielkim. Czuję się bardzo... samotna.
 - Wcale nie musisz. Rzuciła mu szybkie spojrzenie.
 - Nie muszę co?
 - Czuję się samotna. Wiem, że jestem dla ciebie obcy, ale jeśli mógłbym ci w czymś pomóc, to wiesz, gdzie mnie znaleźć.
 - Och, Guy, dziękuję!
- Czy sprawił to szampan wypity po pimmsie na pusty żołądek, jako że ostatnio nie mogła jeść, czy też łagodny ton jego głosu, nie była pewna, lecz nagle jej oczy wypełniły się łzami. Odwróciła głowę zawstydzona. Co, u diabła, się z nią dzieje? Rzadko płakała, a jeśli już to w samotności. Teraz zupełnie przestała panować nad swoimi nerwami. Pochyliła głowę, walcząc ze zdradziecką wilgocią tymczasem on podszedł do niej i objął ją od tyłu, tak że oparła się o niego plecami. Przez kilka chwil starała się opanować, a potem powoli zaczynała zdawać sobie sprawę z jego bliskości. Dotyk jego rąk był mocny, opiekuńczy. Nagle poczuła, że zaczyna drżeć leciutko, jakby reagowała na niewidzialne przyciąganie. Sukienka, w którą była ubrana, miała stójkę przy szyi i gołe plecy. Lili

RAJSKIE DZIEDZICTWO

329

wyczuwała przez skórę szorstki materiał koszulki polo. Stała bez ruchu, rozkoszując się cudownym wrażeniem, jaki ten dotyk w niej wywoływał, nie zdając sobie sprawy, że znikają wszystkie chaotyczne, przygnębiające myśli, od których, wydawało się, nie ma ucieczki. Jego bliskość niosła ze sobą spokój i zapowiedź czegoś rozkosznego. Pomyślała, że mogłaby tak stać do końca świata, zatracając się w tym płynnym, sennym transie, zupełnie odmiennym od tego, w którym się znalazła wczoraj, unosząc się na falach. Morze uśmierzyło wewnętrzny ból, lecz wyssało nie tylko wolę, ale i świadomość, tymczasem teraz czuła jak narasta w niej drżenie, uśpione dotychczas gdzieś bardzo głęboko w jej wnętrzu, jakaś niecierpliwość, która niosła zapowiedź pożądania. Nagle przestało jej to wystarczać. Zapragnęła, aby całe jej ciało doświadczyło takiej pieśczoły jak przedramiona i plecy.

Odwróciła się przodem, nadal trzymając w ręku kieliszek i ukryła twarz w zagłębieniu jego szyi. Pachniał delikatnie mydłem i solą którą niosła morską bryza. Poczwała, jak otaczają ją jego ramiona, a ciało zalewa fala gorąca, i wewnętrzne drżenie przybrało na sile, burząc krew w żyłach. Przywarła do niego, dając się ponieść emocjom, tłumacząc sobie, że szuka jedynie ukojenia, lecz odpowiadając na gorące pierwotne impulsy, które w niej wyzwała!. Przytulił ją mocniej, a ona poczuła, że pragnie wciąż więcej i więcej. Dopiero kiedy uniosła głowę, zdała sobie sprawę, że zanurzył usta w jej włosach i nagle zapragnęła poczuć te wargi na swoich. Jego twarz była tak blisko, wydatne kości policzkowe i mocno zarysowana szczęka prawie stykały się z jej policzkiem. Cofnęła głowę i spojrzała mu w oczy, w których odbijało się jej własne pożądanie. I nagle jego usta dotknęły jej warg, całując najpierw delikatnie, a potem coraz głębiej i z coraz większą namiętnością.

Po chwili uniół głowę, spojrzał na nią łagodnie, chwycił w palce pasmo jej włosów i odsunął za ucho. Lili pragnęła, żeby znowu ją pocałował, a jednocześnie rozkoszowała się cudownym uczuciem ciepła i podniecenia. Doświadczyła już pożądania z Jorgem, lecz nigdy nie doznała tego cudownego wrażenia, że wszystko jest tak, jak być powinno.

Uniosła do ust kieliszek szampana i dotknęła go wargami w miejscu, w którym przed chwilą spoczywały jego usta.

- Jeśli szampan tak potrafi działać na człowieka, może powinienem częściej go pić.

Powiedział to lekkim, żartobliwym tonem, lecz jego głos miał niezwykłą głębię. Roześmiała się nieco drżąc.

344 Janet Tanner

- I ja również.

Patrzyli na siebie, jakby zobaczyli się po raz pierwszy, zatracając się w spojrzeniach. Nagle wszystko stało się takie proste i łatwe. Liczyło się tylko to, że jest tu z Guyem.

Wtedy zadzwonił telefon.

Czar prysł. W pierwszej chwili pomyślała, że ojciec poczuł się gorzej i dzwoni Ingrid z prośbą, by wróciła do domu. Ale macocha przecież nie wiedziała, gdzie jej szukać. Nie była jednak w stanie opanować lęku i czekała w napięciu, aż Guy skończy rozmowę.

Po kilku minutach wrócił.

- Przepraszam, ale tak bywa w mojej pracy.

- Czy to... Czy to ma coś wspólnego ze mną? Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Nie, chodziło o mnie. Telefonował Manuel w sprawie lotu, który mnie jutro czeka.

- Och. - Poczwała ulgę, lecz nie wyzbyła się niepokoju. Nagle nie mogła się doczekać, kiedy wróci do domu i sprawdzi, czy z ojcem wszystko jest w porządku.

- Chyba powinnam już iść - powiedziała.

- Najpierw dokończ szampana, w przeciwnym razie ktoś, kto będzie chciał śledzić Lili, bez trudu dotrze do niej po nie dopitych drinkach.

Roześmiała się, lecz nawet w jej własnych uszach zabrzmiało to nieszczerze. Niecierpliwy dźwięk telefonu rozproszył cudowny nastrój.

- Odprowadzę cię - powiedział.

Objął ją ramieniem, a tuż przed willą pocałował, lecz tym razem jej myśli były gdzie indziej.

- Przepraszam, ale naprawdę muszę się upewnić, że z nim wszystko w porządku. W końcu po to tu jestem.

- Chcesz, żebym z tobą wszedł?

- Nie, nie. Nie trzeba. Dziękuję za miły wieczór.

Dotknęła pieszczotliwie jego ręki i pobiegła w stronę werandy.

Śledził ją wzrokiem i zobaczył, że ktoś siedzi na werandzie, podparty wysoko na leżance, wpatrując się w ogród. Mężczyzna. Czyżby Otto? Posłyszał głos Lili, mówiący coś do niego i gardłową odpowiedź. Wyteżył wzrok. W tej chwili na werandzie zapaliło się światło i teraz zobaczył go zupełnie wyraźnie: wymizerowana, niegdyś przystojna twarz, czupryna białych włosów i blizna biegnąca wzdłuż policzka.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

331

W tym momencie zniknęły ostatnie wątpliwości i Guy wiedział, że znalazł Otta von Rheinhardta. Pierwszą jego reakcją było zdziwienie, że taki człowiek może mieć taką córkę jak Lili. Potem pojawiło się pytanie, co, u licha, ma z tym teraz zrobić.

Tatusiu, co ty tu robisz?! - wykrzyknęła Lili. - Myślałam, że leżysz już w łóżku.

- Dlaczego? Czyżbyś chciała się mnie pozbyć, Lili?

- Wiesz dobrze, że nie. - Uklękła przy leżance, wzięła go za rękę, pragnąc oddać mu trochę tego ciepła i szczęścia, którego niedawno doświadczyła.

- Dobrze się bawiłaś? Miły ten nowy pilot? - zapytał.

- Tak, bardzo miły.

- To dobrze. To wszystko w porządku. Nie mogłem przestać się o ciebie martwić.

- Wiem, że się martwisz, ale nie musisz. Dam sobie radę.

- Na pewno tak, pod warunkiem, że nie zapomnisz, co ci mówiłem.

- Sza, nie chcę teraz o tym mówić.

- Dobrze, dobrze.

Siedzieli w ciemności wypełnionej odgłosami cykania świerszczy, bliscy sobie jak dawniej.

Przynajmniej tej nocy czające się w mroku niebezpieczeństwa zniknęły i Lili odzyskała spokój.

Rozdział dwudziesty szósty

Obudziła się z radością w sercu. Poranne słońce przeświecało przez na wpół przymknięte okiennice, oblewając pokój strumieniami złocistego światła i przez chwilę Lili nie mogła sobie przypomnieć, czemu czuje się taka szczęśliwa. Zaraz jednak pamięć wróciła, a wraz z nią uczucie bliskości, bezpieczeństwa i drżącego oczekiwania. Leżała obejmując się ramionami i wyobrażając sobie, że to ręce Guya spoczywają na jej biodrach.

To niemożliwe, pomyślała, żeby mogła czuć to samo do kogoś, kto nie był Jorgem. Ale tak było. I to było wspaniałe. Poczwała się beztroska i wesola. Z Guyem pokona wszystkie kłopoty. Jorge został wypędzony. Nie miał już nad nią władzy i Lili nareszcie była wolna.

Kiedy zobaczy znowu Guya? Nie umawiali się, ale na pewno go spotka. Może nie dzisiaj - miał zdaje się coś do zrobienia - i pewnie nie dziś wieczorem. Ale jutro czy pojutrze... Och, nie! Nie wytrzyma tak długo bez niego! Niestety, będzie musiała. Tymczasem każdą chwilę poświęci ojcu, dzieląc się z nim swoim szczęściem i zapewniając go, że nic z tego, co jej powiedział, nie zmieni ich wzajemnych stosunków.

Nie zaakceptowała i nigdy nie zaakceptuje tego, co zrobił, ale nie będzie go za to winić. Nie miał innego wyboru, była tego pewna. To wszystko robota wujka Fernanda i Jorgego. Zmusili go do tego. Zrobi wszystko, co w jej mocy, by nic nie zakłóciło jego ostatnich dni.

Odrzuciła prześcieradło, rozsunęła moskitierę i wstała, przeciągając się rozkosznie. Po raz pierwszy, odkąd otrzymała list od Josie, czuła się wypoczęta i wolna. Wciąż nie mogła się pogodzić z bliską utratą ojca, lecz tego ranka czuła w sobie dość siły, by stawić temu czoło. Nie wiedziała jednak, jak mało czasu jej pozostało.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

333

Właśnie wzięła prysznic i umyła włosy, kiedy posłyszała jakiś ruch na dole.

Zdażyła przedtem zjeść śniadanie i wypić kawę na balkonie, zanim zdecydowała się ubrać.

Właśnie kiedy zakręcała kran, doszedł ją gniewny głos Ingrid. Owinęła się ręcznikiem i otworzyła drzwi do łazienki.

- Nie jesteś tu mile widziany. Myślę, że daliśmy ci to jasno do zrozumienia. Rzadko się zdarzało, żeby Ingrid okazywała zdenerwowanie. Tylko do

jednej osoby mogła się zwracać w ten sposób - do Jorgego. Kiedy usłyszała męski głos charakterystycznie przeciągający zgłoski, wiedziała, że się nie myliła. To rzeczywiście był Jorge.

Zatrzęsa się z gniewu. Jak on śmie przychodzić tutaj i niepokoić ojca, i ją. Dlaczego nie zostawi ich w spokoju? Włożyła szlafrok wiszący na drzwiach łazienki i owiązała się paskiem w talii. Nie będzie ukrywać się przed nim, przecież już się go nie boi. Zejdzie na dół i dołączy swój głos do Ingrid, oświadczając Jorgemu, że nie pozwoli, aby niepokoił ojca.

Szybko zbiegła ze schodów. W hallu spotkała Ingrid, której zwykle pogodna twarz była blada z wściekłości.

- Ten drań Jorge tu jest.

- Wiem, słyszałam.

- Kazałam mu wyjść, ale uparł się, że chce porozmawiać z twoim ojcem na osobności. I Otto się na to zgodził. Kazał mi wyjść z pokoju. Nie pozwoli ci tam wejść - ostrzegła Lili, widząc, że zmierza w tamtym kierunku.

- Jeszcze zobaczymy! - warknęła Lili. - Niech tylko spróbują mnie powstrzymać!

Pomaszerowała w stronę pokoju, który służył ojcu za gabinet, i energicznie otworzyła drzwi.

Otto siedział w wielkim skórzanym fotelu za biurkiem. Wydawał się w nim wyjątkowo szczupły i wymizerowany. Jorge opierał się z gracją o jedną z półek na książki, które zajmowały całą ścianę od podłogi do sufitu. Ręce wsunął w kieszenie białych płóciennych bryczesów, a nogi skrzyżował niedbale przed sobą.

- A, Lili - powiedział. - Wejdz, proszę.

Ta uwaga rozgniewała ją jeszcze bardziej. Jak on śmie zapraszać ją do gabinetu ojca! Zanim jednak zdażyła odpowiedzieć, dodał leniwie:

- Właściwie to przyszedłem do ciebie.

- Czy nie rozumiesz, Jorge, że nie chcę ciebie widzieć?! - wybuchła. Wzruszył ramionami.

348 Janet Tanner

- To, czego ty chcesz lub nie chcesz, nie ma tu nic do rzeczy.
- Ma, i to bardzo dużo! Nasza znajomość skończyła się. A teraz...
- Lili. - Głos Otta był słaby, ale brzmiało w nim echo dawnego autorytetu. - *Liebchen*, proszę. Tym razem posłuchaj, co ma do powiedzenia.
- Nie będę niczego słuchać! Tatusiu, wiesz, że...
- Lili, proszę! Boże, kiedy tracisz panowanie nad sobą, zachowujesz się tak samo jak twoja matka. Uspokój się przez chwilę i posłuchaj Jorgego. Ma coś ważnego do powiedzenia. Dotyczy to tego nowego pilota, z którym się wczoraj spotkałaś.
- Guya? A co on ma z tym wspólnego? Nie podoba ci się, że spotykam się z kimś innym, Jorge? Ale to nie twój interes, z kim się spotykam.
- 1 tu się mylisz, Lili. - Jorge wyciągnął cygaro z kieszeni na piersi, włożył go do ust i sięgnął po zapalniczkę. - Obawiam się, że to jak najbardziej mój interes, kiedy ów mężczyzna z bardzo wątpliwych powodów zawiera z tobą znajomość.
- Jego powody są bardzo proste. Lubi moje towarzystwo. Czy tak trudno w to uwierzyć? Jorge zapalił cygaro i pokój wypełnił się słodko-ostrym dymem.
- Och, ta Lili, jak zwykle niewinna. Może gdybyś ty jej wytłumaczył, Otto, toby zrozumiała.
- Co niby miałabym zrozumieć?
- *Liebchen*, pamiętasz, jak mówiłem ci o pewnym interesie na wyspie? - W głosie Otta brzmiała łagodność i żal. - Naszym nielegalnym interesie?
- Masz na myśli handel narkotykami? Co to ma wspólnego z Guyem? Otto wyciągnął rękę w jej stronę. Westchnął, kiedy zignorowała ten gest.
- Lili... Jorge ma powody przypuszczać, że ten człowiek może być z agencji do zwalczania narkotyków i że przybył tu, by zbadać naszą działalność.
- Usta Lili otworzyły się ze zdziwienia.
- Guy? To śmieszne! Skąd wam to przyszło do głowy?
- Zachowywał się bardzo podejrzanie - włączył się do rozmowy Jorge. Wciąż się uśmiechał, lecz nie był to przyjemny uśmiech. - Zadawał zbyt wiele pytań na tematy, które nie powinny go interesować. Widziano go w pobliżu naszych laboratoriów. Podglądał ciężarówkę, z której wyładowywano towar. A sądząc z tego, co wczoraj widziałem, stara się zdobyć twoje zaufanie. Wszystkie te fakty, zebrane w jedną całość, tworzą niezły obrazek,
- Nie wierzę w to. Jesteś po prostu zazdrosny. Nie podoba ci się, że się

RAJSKIE DZIEDZICTWO

335

z kimś spotykam, i próbujesz mnie w ten sposób od niego odciągnąć. Ale to ci się nie uda.

- Lili, posłuchaj - powiedział niecierpliwie Otto, starając się przyjąć bardziej wyprostowaną pozycję. - To, co mówi Jorge, ma sens. Nic nie wiemy o tym człowieku. Został przyjęty przez Fabia na podstawie rekomendacji poprzedniego pilota, ale tak czy inaczej może pracować dla agencji. Ostatnio mocno zaczęli się interesować towarem, który dociera do USA. Jorge może ci opowiedzieć, jak węszą wokół takich spółek handlowych jak ta w Miami. Możliwe, że wysledzili jego powiązania z wyspą i wysłali agenta, by dostarczył im niezbitych dowodów.

Lili rzuciła im wyzywające spojrzenie,

- I sądzicie, że mnie to zdenerwuje, tak? Kiedy widziałam, ile złego wyrządzają narkotyki?

Wybacz, tatusiu, ale nie mogę zaakceptować tej działalności na wyspie. Nie chcę, byś się denerwował, lecz jeśli chodzi o innych... - Rzuciła Jorgemu pełne nienawiści spojrzenie. - Jeśli twoje ohydne imperium się rozpadnie, Jorge, to będziesz miał to, na co zasługujesz.

- To bardzo nierozsądna postawa, moja droga. - Uśmiech nie schodził z jego warg, ale mięśnie twarzy napięły się, a oczy, skryte za kłębami cygarowego dymu, spoglądały zimno. - Radzę ci zastanowić się nad swoją postawą, jeśli nie chcesz skończyć jak twoja matka.

Spojrzała na niego lekceważąco.

- A cóż moja matka ma z tym wspólnego? Jorge wzruszył ramionami.

- Nie wiesz? Może ojciec powinien cię oświecić. Lecz nie w tym rzecz. Mam nadzieję, że udzielisz mi pełnego poparcia w tej sprawie. Ach... i proszę, nie mów swojemu przyjacielowi, że mam na niego oko. Nie chcę, by został ostrzeżony. Byłoby bardzo nieroztropne z twojej strony, byś go o tym zawiadomiła. Nie leży to w interesie twoim ani twojego ojca. - Zdusił do połowy wypalone cygaro w kryształowej popielniczce stojącej na biurku. - Pójdę już, ale proszę, przemyśl to, co powiedziałem, i spróbuj wyciągnąć rozsądne wnioski.

Ruszył do drzwi. Kiedy zrównał się z Lili, chwycił ją za kark i pochylił się, by ją pocałować. Kiedy oblała się krwistym rumieńcem i próbowała się wyrwać, wybuchnął śmiechem.

- Och, Lili, Lili, jesteś taka młoda i piękna. Cóż to byłoby za strata, gdyby coś ci się przytrafiło. Po czym wyszedł, żegnając Ingrid nonszalanckim „do widzenia”, jakby właśnie skończył towarzyską wizytę.

350 Janet Tanner

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Lili spojrzała na ojca. Znowu wyglądał na chorego i załamane. Był to wynik nie tylko zmian, jakie poczyniła w nim choroba, lecz również upokorzenia, jakiego doznała jego władcza duma. Serce ścisnęło się jej z żalu. Mogłaby zabić Jorgego za to, co mu robił. Jednak pewne pytania domagały się odpowiedzi.

- Co Jorge miał na myśli, tatusiu? - zapytała.

Dotknął ust kościstymi palcami o wypielęgnowanych, lecz odrobinę za długich paznokciach.

- Ostrzegam cię, byś uważała na słowa, kiedy będziesz rozmawiać z tym pilotem i w zawołany sposób prosił cię, byś przekazała mu swoje ewentualne podejrzenia.

- Nie - powiedziała Lili. - Nie o tym mówię. Czemu wspomniał o mamie? Powiedziałeś mi, że to przez niego się zabiła. To potworne, ale odkąd wróciłam, wciąż słyszę jakieś aluzje, że niby nie wiem na ten temat wszystkiego. Czy nie sądzisz, że najwyższy czas, bym się dowiedziała? Otto westchnął głęboko.

- Miałem nadzieję, że nigdy nie dowiesz się prawdy. Sam jej nie znałem. Dowiedziałem się o tym niedawno, kiedy okazało się, co mi jest, i Jorge przyjechał z Miami, by przejąć interes. To straszna prawda, Lili, i chciałem ci jej oszczędzić, lecz teraz myślę, że masz rację. Czas na sekrety dobiegł końca. Twoja matka nie popełniła samobójstwa. Została zamordowana.

Lili zamarła. Stalowa obręcz ścisnęła nagle jej piersi, utrudniając oddychanie.

- Ale mówiłeś, że się zastrzeliła.

- Została zastrzelona, tak, ale to nie było samobójstwo, jak sądziliśmy. Zginęła, bo zaczęła zagrażać Jorgemu.

- Chcesz powiedzieć, że Jorge ją zabił?

- Nie osobiście. To nie w jego stylu. Wynajął kogoś. Jak wiesz, on i twoja matka mieli romans, lecz Jorge zaczynał mieć jej dość. Nie była już młoda i ładna jak kiedyś, a Jorge lubi tylko młode i ładne kobiety. Zaszła w ciążę i zaczęła nalegać, żeby z nią wyjechał. Odmówił, kazał pozbyć się dziecka. Wówczas wpadła w rozpacz i usiłowała go szantażować, że opowie władzom o kartelu. W ten sposób podpisała na siebie wyrok śmierci.

- O mój Boże! - wyszeptła Lili.

- Nie mógł ryzykować i musiał ją zabić. Wyjechał do Miami, a wówczas opłacony przez niego człowiek przyjechał na wyspę, zastrzelił twoją matkę i upozorował samobójstwo. Potem opuścił wyspę i wrócił tam, skąd przyjechał.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

337

- Umilkł. W zmęczonej twarzy płonęły oczy. - Czy rozumiesz teraz, dlaczego tak się o ciebie boję? Masz w sobie ten sam ogień, ten sam lekceważący stosunek do niebezpieczeństwa co ona. Nie chcę, byś umarła tak jak ona. Lili zaczęła kręcić głową.

- Nie... nie! Nie wierzę w to. To nieprawda.

- Musisz w to uwierzyć, kochanie. Słyszałaś, co mówił Jorge... Groził ci. To niebezpieczny człowiek, Lili. Zawsze o tym wiedziałem, ale dopiero kilka miesięcy temu dowiedziałem się, jak bardzo. Być może jest trochę szalony. Nie wiem. Wiem tylko, że nie cofnie się przed niczym, by ochronić swoje imperium. Jeśli staniesz mu na drodze, zniszczy cię, tak jak zniszczył moją ukochaną Magdalene.

Lili objęła się ramionami i zaczęła kołysać się na boki. Myśl o tym, że kochała się z mordercą własnej matki, była tak potworna, że nie wiedziała, jak to zniesie.

- Lili... proszę... - mruknął zrozpaczony jej reakcją. - Nie traktuj tego w ten sposób, *Liebchen*. To zdarzyło się dawno temu.

- Nie, nie... nieprawda - załkała Lili, - Kochałam go, tatusiu. Kochałam go, a on przez cały czas... - Urwała, ukrywając twarz w dłoniach. Kiedy uniosła głowę, policzki miała mokre od łez. - Dlaczego się z nim związałaś? Czy nie zdawałaś sobie sprawy, jaki jest zły?

- Mówiłem ci, Lili. Nie wiedziałem, że zabił twoją matkę.

- Ale wiedziałeś, że zmarła przez niego. I wiedziałeś o narkotykach. Dlaczego tu zostałeś? Dlaczego nie wróciłeś do domu?

- Nie mogłem.

- Dlaczego? Przecież wojna dawno się skończyła.

- Po prostu nie mogłem i niech ci to wystarczy. Poza tym musiałem myśleć o tobie. Chciałem, byś miała wszystko: wygodny dom, wykształcenie, pieniądze na piękne stroje... Byłaś i jesteś dla mnie najważniejsza na świecie.

- Och, tatusiu! Czy nie rozumiesz, że gdybym wiedziała, skąd pochodzą te pieniądze, nie wzięłabym ich? 1 gdybym wiedziała o Jorgem...

Poczuła, że mdłości podchodzą jej do gardła. Otto wyciągnął do niej rękę, ale nie mogła się zdobyć, by jej dotknąć. Przecież on również jest w to zamieszany. Dostrzegła ból w jego oczach, jednak nie zareagowała, nie chciała go zranić, lecz w tym momencie nie była w stanie ani zrozumieć, ani przebaczyć.

- Chciałabym pobyć przez chwilę sama, tatusiu.

Janet Tanner

- Lili, proszę...

- Powinienes przenieść się w wygodniejsze miejsce. Zawołam Basiia. Miała wrażenie, że jej głos dochodzi z bardzo daleka. Ignorując prośbę widoczną w udręczonych niebieskich oczach, wyszła z pokoju.

Lilii wydawało się, że stoi już całą wieczność przy oknie, wpatrując się w ogród skąpany w słońcu. Lecz w jej duszy panowała ciemność.

Gdyby mogła wyjechać i wrócić do Nowego Jorku. Czułaby się tam jak na wygnaniu, ale przynajmniej miałyby normalne życie i znalazłaby zapomnienie w pracy. Wszystko, co tam zdobyła, zawdzięczała tylko sobie, była panią własnego losu, a nie córką i wnuczką handlarzy narkotyków, której matkę zamordował jej kochanek. Wiedziała jednak, że nie może teraz wyjechać. Bez względu na wszystko Otto nadal był jej ojcem i wciąż go kochała. Mogła mu nie wybaczyć, tego co robił, ale nadal go kochała. Uwierzyła, kiedy jej powiedział, że tylko ona się dla niego liczy. Łączyła ich tak silna więź. Nie mogła go zostawić teraz, kiedy jego dni były policzone.

Zadrzała. Musi znaleźć w sobie siłę, by zejść na dół i powiedzieć mu, że rozumie. Nie była to prawda - nie rozumiała i wiedziała, że upłynie sporo czasu, nim to zrozumie, jeśli w ogóle to nastąpi. Niestety, czas był dla niej niedostępnym luksusem. Jeśli się nie pośpieszy, może być za późno. Ojciec może umrzeć w przeświadczeniu, że nim gardzi, a tego nigdy by sobie nie wybaczyła.

Posłyszała nad głową szum samolotu. Spojrzała w górę i dostrzegła srebrny punkcik, w którym odbijały się promienie słońca. Nagle przypomniał jej się Guy i to, co powiedział o nim Jorge. Zupełnie wyleciało jej to z głowy. Teraz ponownie zabrzmiały jej w uszach oskarżenia Jorgego i pomyślała, że nie może mu nie wierzyć. Dowody były zbyt obciążające i nie chodziło tu tylko o te przedstawione przez Jorgego. Przypomniała sobie, jak Guy wypytywał ją o ojca, matkę, o samą wyspę i jak dziwnie twardym wzrokiem wówczas na nią patrzył.

Tak, do diabła, musiała wierzyć Jorgemu. Nie chciała, ale musiała. Po raz kolejny poczuła się zdradzona. Bardzo lubiła Guya i ufała mu. Wydawał jej się skałą, której mogła się chwycić w usuwającym się jej spod nóg świecie. Lecz widocznie było to tylko złudzenie. To, co brała za siłę, było jedynie pragnieniem rzetelnego wypełnienia swoich obowiązków. Jego pozorna troska

RAJSKIE DZIEDZICTWO

339

i puste komplementy były jedynie środkami do osiągnięcia celu. Guy wykorzystał ją a ona dała się nabrać.

Jak on śmiał, pomyślała z gniewem, który rozproszył czarne myśli. Właściwie **to** nie bardzo ją to zaskoczyło. Ostatnie dni nauczyły ją że nic nie jest takie, jakie się wydawało, i nikt nie jest tym, za kogo go uważała. Dlaczego Guy miałby być inny?

Po wyjściu z willi Jorge Sanchez poszedł prosto do swojego biura i zatelefonował do brata do Wenezueli.

- Nie mam pewności, ale możemy mieć kłopoty. Pamiętasz tego pilota, którego przyjąłeś? Podejrzewam, że pracuje dla agencji.

- Jasna cholera!

- Właśnie. Jak mogłeś być taki lekkomyślny, Fabio? Ostrzegałem cię, że gliny węszą wokół mojego biura w Miami.

- Przecież powiedziałeś, że masz ich w kieszeni - odparował Fabio.

- Bo tak myślałem. To nic trudnego, te chciwe świny przymkną na wszystko oczy, jeśli im odpowiednio zapłacić. Ale zawsze można trafić na takiego, kto nie da się przekupić, albo kto działa na dwie strony. Powinieneś być na to przygotowany, Fabio. Zbyt długo pracujesz w branży, by o tym nie wiedzieć. Ale ty zachowujesz się jak kompletna ofierma. Czegokolwiek się dotkniesz, partacysz.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym Fabio zapytał zgryźliwie:

- To czemu i jego nie przekupisz?

- Po diabła miałbym to robić? Ktoś wreszcie musi tu dostać nauczkę. Poradzę sobie z nim.

Chciałem tylko, żebyś wiedział.

- Co planujesz, wynająć zawodowca?

- Jeszcze nie wiem. Przy jego pracy nie powinno być z tym kłopotów. Fabio zarżał radośnie.

- Zaczynam czytać nekrologi.

- Obowiązkowo.

Jorge odłożył słuchawkę, przesunął palcami po odrastającej brodzie i zaczął myśleć o pilocie.

Skurwysyn! Przyjechał tutaj na przespiegi i myśli, że to mu ujdzie na sucho. W dodatku wciągnął w to Lili. Gdyby tego nie zrobił, można by go przekupić. Jednak w takiej sytuacji...

Jorge uśmiechnął nieprzyjemnie. W takiej sytuacji drań dostanie więcej, niż oczekiwał. A on będzie patrzył, jak zdycha.

Janet Tanner

Guy posadził swego Twin Ottera na pasie startowym międzynarodowego lotniska w Hewanorra z mniejszą niż zwykle precyzją i doszedł do wniosku, że nie jest w stanie skupić się na pracy. Zaparkował na przedpolu hangaru, zamknął samolot i poszedł do głównego budynku dopełnić formalności. Irytowało go, że te czynności odciągają go od problemów, które z konieczności odpychał od siebie. Kiedy uporał się z papierkową robotą i zamówił filiżankę kawy, pozwolił wreszcie niepokornym myślom wypłynąć na powierzchnię i poczuł się jak niedoświadczony pilot, który nagle znalazł się w gęstej chmurze.

Co on ma robić, do diabła?

Przyjechał na Madrepore z prostym i jasnym planem. Miał sprawdzić, czy Otto Brandt to w rzeczywistości Otto von Rheinhardt, odzyskać rodzinne dobra i oddać zbrodniarza wojennego w ręce sprawiedliwości. Jednak w pewnym momencie skala wartości uległa zmianie. Powodem była Lili. Od samego początku przeczuwał, że może przysporzyć mu problemów, sądził jednak, że sobie z tym poradzi. Mimo że była piękna, miała łagodne usposobienie i dobrze się czuł w jej towarzystwie, była również córką Otta i nie mogła uciec od dziedzictwa przeszłości ojca ani wyzbyć się jego genów. Było to niefortunne, ale było. Nie mógł pozwolić, aby osobista sympatia stała na drodze do sprawiedliwości należnej jego rodzinie.

Wszystko się zmieniło, kiedy wczoraj wziął ją w objęcia. Pragnienie zemsty wyparły uczucia tak silne, że największa nawet determinacja nie mogła ich pokonać. Pragnął jej bardziej niż jakiegokolwiek kobiety w swoim życiu, lecz było w tym też coś więcej. Kiedy zobaczył Jorgego Sancheza stojącego obok niej i trzymającego rękę na jej ramieniu, miał ochotę uderzyć go w sam środek przystojnej, zblazowanej twarzy. Kiedy zauważył, jak bardzo Lili jest zdenerwowana, miał ochotę go zabić. A potem zdał sobie sprawę, że to, co sam zamierza zrobić, zrani Lili bardziej niż ten arogancki, śniady drań.

Nie mogę jej tego zrobić, myślał, siedząc późnym wieczorem nad szklaneczką ulubionej whisky i jednym okiem spoglądając na zegarek. „Pamiętaj, baranie, osiem godzin przed lataniem” - głosiła naczelną zasadą pilotów. Nie mogę pozbawić jej reszty złudzeń. Cóż to da? Otto może nie dożyć procesu, a rodzinne skarby to tylko martwe przedmioty. Bez względu na swą wartość, faktyczną i sentymentalną nie znaczą nic w porównaniu z uczuciami ludzkiej istoty, zwłaszcza tak dla niego ważnej jak Lili. Mimo to nie było łatwo zrezygnować z czegoś, co stało się jego obsesją. A jeśli

RAJSKIE DZIEDZICTWO

341

zrezygnuje, to co dalej? Czy powinien zostać na Madreporze, dalej robić to, czego się podjął, i czekać, jak rozwiną się sprawy z Lilią? Serce mu się do tego rwało, ale nie było to rozsądne wyjście. Ich związek nie miał przyszłości, bo dzieliło ich zbyt wiele sekretów, które zniszczyłyby ją gdyby je wyjawiał. Nie miał na to dość odwagi, ale jak w takiej sytuacji mógł się z nią wiązać? Problem wydawał niemożliwy do rozwiązania. Nie widział z niego wyjścia, co doprowadzało go do rozpacz.

Istniała też możliwość, że Lilią po śmierci ojca wróci do Nowego Jorku. Jeśli tak się stanie, ich znajomość się skończy, zanim naprawdę się zaczęła, i Guy będzie mógł o niej zapomnieć. To byłoby najlepsze wyjście dla nich obojga, pomyślał, lecz nie przyniosło mu to ulgi.

Gdy tylko wrócił na Madrepore, zatelefonował do Lilią. Serce nie słucha głosu rozsądku. Po prostu chciał usłyszeć jej głos.

Telefon odebrała służąca - zapewne starsza kobieta pełniąca rolę ochmistrzyni. Lecz jej głos, kiedy poprosił do telefonu Lilią, brzmiał odpychająco.

- Kto mówi? Guy de Savigny.

- Och. - Złagodniała nieco. - Zaraz jej powiem.

Czekał, bębniąc palcami po biurku. Po kilku minutach odezwała się znowu.

- Przepraszam, ale panią Lilią nie chce z panem rozmawiać.

Był tak zaskoczony, że zupełnie odebrało mu głos, i zanim zdążył coś powiedzieć, połączenie zostało przerwane. Stał ze słuchawką w ręką wciąż nie mogąc w to uwierzyć.

Dlaczego Lilią nie chciała z nim rozmawiać? Dlaczego służąca była taka nieuprzejma? Żadnych wymówek, żadnych wykrętów, że Lilią nie może teraz podejść do telefonu, jedynie odmowa. Po tym, co między nimi zaszło, było to zupełnie niezrozumiałe.

- No cóż - powiedział głośno. - To rozwiązuje sprawę.

Jutro wręczy rezygnację i po stosownym czasie opuści Madrepore, wróci do Anglii i poszuka sobie nowej pracy. To chyba najlepsze wyjście. Wiedział jednak, że nie będzie mu łatwo wyrzucić Lilią z myśli, tak jak ona wyrzuciła go ze swoich.

Rozdział dwudziesty siódmy

Tatusiu, wychodzę - powiedziała Lili.

Otto spojrział na nią podejrzliwie. Tak bardzo się o nią niepokoił. Bał się ją stracić z oczu, zwłaszcza po tej strasznej scenie, kiedy wyjawiał jej prawdę o śmierci matki i myślał, że na zawsze ją utracił. Potem przyszła do niego, objęła i przyrzekła, że zawsze będzie go kochać, ale jej zapewnienia nie uspokoiły go. Nadal istniał między nimi dystans, brak porozumienia, a nawet potępienie, choć bardzo starała się to ukryć. Wpadł w panikę. Tak bardzo ją kochał. Strach przed utratą jej miłości i szacunku powracał jak senny koszmar. Dochodziła do tego obawa, że coś może się jej przydarzyć. Ten niepokój stale mu towarzyszył, bo wiedział, jak bezlitosny i niebezpieczny może być Jorge.

- Dokąd się wybierasz, *Liebchen*? - zapytał.

- Och... na spacer. Zacisnął gniewnie usta.

- Idziesz spotkać się z tym pilotem, prawda? Jego samolot niedawno tędy przelatywał.

Widziałem, jak na niego patrzysz.

Lilii spłonęła rumieńcem. Nie przypuszczała, że tak łatwo ją rozszyfrować.

- To mógł być ktoś inny. Jest zbyt ciemno, by widzieć wyraźnie.

- Ale warkot przypominał Twin Ottera, a któż inny mógł o tej porze wracać na Madreporę?

Oczywiście pomijając Jorgego, ale on jest na miejscu.

- No tak, masz rację - przyznała Lili przyparta do muru. - Rzeczywiście pomyślałam, że to samolot Guya. Chciałabym pójść na lotnisko i porozmawiać z nim.

- A dlaczego chcesz z nim porozmawiać?

RAJSKIE DZIEDZICTWO

343

- Po prostu chcę i już.

Nie potrafiła wytłumaczyć mu tego, co czuła. Przez dwa dni błąkała się po willi, starając się ukryć rozpacz, i przekonywała siebie, że skoro Guy rzeczywiście jest agentem i wykorzystał ją do swoich celów, to nie warto o nim nawet myśleć. Nie bardzo jej to pomogło. Wciąż czuła się nieszczęśliwa. W końcu zaczęła wątpić w to, co jej powiedziano. Ta wątpliwość wynikała z wrodzonej życzliwości do ludzi. Trudno jej było uwierzyć, by to magiczne, cudowne uczucie komfortu i bezpieczeństwa, którego doświadczała przy Guyu, mogło być jedynie wytworem jej wyobraźni.

- Jorge to wcielenie zła - wypowiedziała na głos jeden z argumentów, które przyszły jej do głowy w czasie przemyśleń. - Powie to, co dla niego wygodne. Nie mogę potępiać Guya, nie wysłuchawszy najpierw, co ma do powiedzenia.

- Nie chcę, żebyś szła. Jorgemu by się to nie podobało.

- Jorge nie dowie się o tym. Na lotnisku będzie tylko Guy. - Cmoknęła go w czoło. - Obiecuję, że niedługo wrócę. Nie martw się.

Westchnął i pokręcił głową. Była uparta i samowolna jak jej matka.

- Bądź ostrożna, *Liebchen*.

- Będę.

Kiedy wyszła, miał wrażenie, że wraz z nią odeszła jasność i ciepło. Poczul się nagle zmęczony, stary i samotny. Ingrid wcześniej się położyła, skarżąc się na ból głowy, i został sam ze swymi myślami.

Ostatnio wiele rozmyślał. Oczywiście, kiedy ból mu na to pozwalał. Myślał o Lili i o tym, co się z nią stanie po jego śmierci. Myślał o Vicente, Fernandzie i Jorgem, i o interesie, który wspólnie założyli, a który dał mu bogactwo, o jakim nigdy nie marzył. Myślał o kobiecie, którą kochał, a która tak naprawdę nie należała do niego, choć była jego żoną i matką jego dziecka, oraz o Ingrid, której oddanie przetrwało próbę czasu. Głównie zaś myślał o dniach, kiedy był generałem w okupowanym kraju, pracując na chwałę *Fiihrera*. Właśnie ten okres ożył teraz nagle w jego pamięci.

Nie potrafił zrozumieć, dlaczego tak się stało. Zobaczył zamek, w którym spędził tyle czasu. Wystarczyło, by zamknął oczy, a miał go przed sobą - słońce oświetlało stare mury, smukłe cyprysy chwiały się łagodnie na wietrze, a na okolicznych wzgórzach pięła się w górę winorośl stojąca w równiutkich rzędach, jak żołnierze w wojsku. Zobaczył też ludzi: starego barona, gubernera, który okazał się kimś innym, synową barona i jej

344 Janet Tanner

dziecko,.. Jak ono miało na imię? Guy? Guy! Cóż za zbieg okoliczności. Przecież tak miał na imię ten pilot, w którym się Lili zakochała. Co się z nimi teraz dzieje? Nie wiedział, za to wiedział, co się stało z buntownikami, którzy próbowali mu się przeciwstawiać. Postarał się, by przyplacili to głową i ani przez chwilę nie żałował swoich decyzji. To jest wojna. Nigdy od nikogo nie doznał litości i tym samym odpłacał innym. Zresztą większość z nich nie zasługiwała na litość. Zdradzali nawet własnych rodaków. Tak właśnie zrobił syn starego barona, chociaż później za to zapłacił.

Przypomniał sobie, co się zdarzyło owej nocy przed trzydziestu laty, kiedy informacja, którą otrzymał od syna barona - chyba miał na imię Charles - pozwoliła przyłapać na gorącym uczynku bandę z ruchu oporu. Ta noc była największym sukcesem w jego karierze. Potem jednak zdarzył się ten niefortunny wypadek z jego starym przyjacielem Heydrichem, kiedy to próbowano go zabić. Otto był wściekły, że coś takiego mogło się zdarzyć tuż pod jego nosem. Wziął zakładników i rozstrzelał ich, by dać nauczkę mieszkańcom. Z jakichś powodów ten głupiec Charles uparł się, że odda swoje życie za życie jednego z zakładników. Otto usiłował go od tego odwieść, lecz na próżno. Ten człowiek postanowił umrzeć, bo nie mógł znieść, że zdradził własną żonę. W końcu Otto stracił cierpliwość i powiedział: „A więc dobrze, będzie tak, jak pan chce.” Przyglądał się egzekucji i czuł jedynie gniew i rozczarowanie, że ci ludzie nie mają za grosz poczucia dumy i godzą się na ich panowanie.

Od tego dnia wszystko się zmieniło. Przestano zapraszać go do zamku, co doprowadzało go do wściekłości. Sądził, że baron i jego młodszy syn rozumieją jego postawę i zgodzą się z nią. Tymczasem potraktowano go jak trędowatego. Znienawidził ich za to.

Nienawidził ich jeszcze bardziej, kiedy szala wojny zaczęła się przechylać na stronę aliantów. Ale w końcu się zemścił. Kiedy odkrył, że młodszy syn Christian działa w ruchu oporu, bez wahania podpisał na niego wyrok śmierci, wyrzucił rodzinę z zamku i umieścił w nim swoją kwaterę. Z satysfakcją zasiadał teraz przy stole, przy którym niegdyś bywał gościem, i spał w łóżku, które od pokoleń należało do głowy domu. Lecz nawet to nie trwało długo i kiedy w końcu musiał przyjąć do wiadomości, że zbliża się koniec ich panowania, zaczął przygotowywać się do wyjazdu. Wszystkie cenne rzeczy, nadające się do transportu, zapakował i wysłał na przechowanie do człowieka,

RAJSKIE DZIEDZICTWO

359

co do którego miał pewność, że pomoże mu w ucieczce. Był to jego stary przyjaciel Vicente Córdoba z Ameryki Południowej. Kiedy znalazł się na wygnaniu, skarby czekały tam na niego. Ozdabiały teraz pokój, w którym leżał: świeczniki, mała statuetka z brązu, tryptyk. Przez wszystkie te lata zachwycały go swym pięknem i dawały poczucie satysfakcji z wygranej batalii. Baron i jego rodzina odzyskali swój dom i ojczyznę, ale skarby były i pozostaną jego. Wkrótce nie będzie miał z nich pożytku. Ale Lilii je kocha. Ona je odziedziczy, a potem jej dzieci. Otto von Rheinhardt wreszcie triumfował.

Uśmiech satysfakcji rozjaśnił jego wymizerowaną twarz.

Rozdzwonił się telefon, napełniając dom wibrującym dźwiękiem, lecz nie zwrócił na niego uwagi. Odbiorą go Patsy albo Basil. Zbyt był pochłonięty wspomnieniami, by zastanawiać się, któż to może dzwonić o tej porze.

Otto , telefon do ciebie!

Powrócił do rzeczywistości i zobaczył, że w drzwiach stoi Ingrid. Miała na sobie kremowy atłasowy szlafrok i wyraz najwyższego niezadowolenia na twarzy.

- Ingrid... myślałem, że leżysz w łóżku - powiedział, unosząc się lekko.

- Bo leżałam. Nie wiem, gdzie się podziali Basil i Patsy. W końcu za co im płacimy?

- Pewnie są w ogrodzie. Kto dzwoni?

- Jorge. Powiedziałam, że nie pozwolę cię denerwować, ale upiera się, że chce z tobą porozmawiać. Dał do zrozumienia, że interes jest interesem.

- Ma rację. Czy nadal czeka przy telefonie?

- Chyba tak.

- Więc lepiej z nim porozmawiam.

Z wysiłkiem wstał z fotela i Ingrid podbiegła, by mu pomóc. Podtrzymała go za ramię i podała laskę, by łatwiej mógł utrzymać równowagę.

- Gdzie jest Basil? Powinien być tam, gdzie jest potrzebny.

- Och, przestań się awanturować, kobieto!

Poszli do gabinetu i Otto usiadł ciężko w fotelu, **po** czym wziął do ręki leżącą na biurku słuchawkę.

- Halo?

- Otto, to ja, Jorge.

- Tak, wiem. Czego chcesz?

360 Janet Tanner

- Nie będę cię długo zatrzymywał. Chciałem tylko powiedzieć, że zająłem się naszym agentem.

- Co przez to rozumiesz?

- Dokładnie to, co powiedziałem. Nie mogłem ryzykować, zadawał zbyt dużo pytań. Urządziłem wszystko tak, żeby się go pozbyć.

- Zastrzelisz go?

- Niezupełnie. Czuję się jak wynalazca - powiedział Jorge ze śmiechem. - Nasz przyjaciel wyleci w powietrze dzięki wybuchowej przesyłce, a dokładniej mówiąc dzięki bombie w pudełku na dokumenty. Tak zorganizowałem mu robotę, by wrócił na lotnisko, kiedy nikogo tam nie będzie, oczywiście prócz niego. W czasie jego nieobecności mój człowiek zastawił na niego pułapkę w pudełku z dokumentami, które będzie musiał otworzyć, by dokonać wpisu o locie. Oczywiście nasze małe biuro również wyleci w powietrze, lecz najwyższy czas zbudować lepszą kwaterę dla Perpetuy. Taka buda do nas nie pasuje, upieczemy więc dwie pieczenie na jednym ogniu, można powiedzieć. Nasz agent zrobi za nas rozbiórkę.

Otto nie był w stanie wykrztusić słowa.

- Pomyślałem, że powinieneś o tym wiedzieć, na wypadek gdybyś usłyszał eksplozję i zastanawiał się, co się dzieje. Nie musisz się już martwić tym człowiekiem. Nie będzie więcej niepokoił ani nas, ani Lili. - Nie mógł ukryć triumfu w głosie.

- I to zdarzy się dziś wieczorem? - zapytał Otto. Oczy płonęły mu dziko w wymizerowanej twarzy, a palce kurczowo ścisnęły słuchawkę.

- Tak jest - potwierdził Jorge. - Lada chwila. Chyba słyszałem Twin Ottera jakiś czas temu. Możesz iść do łóżka, Otto. Spij dobrze. - Połączenie zostało przerwane.

Otto siedział przez chwilę osłupiały z przerażenia. Kiedy pilot otworzy pudełko, bomba wybuchnie. Ale pilot nie będzie tam sam. Przecież Lili poszła do niego. Mogła już tam być, a więc i ona znajdzie się w centrum eksplozji. Oczywiście pilot mógł zdetonować bombę, zanim tam dotarła. Lecz dotąd nie słyszał wybuchu, a dotarcie na lotnisko zajmie Lili najwyżej dziesięć minut. Ile czasu minęło od jej wyjścia? Nie wiedział... nie miał pewności.

Na czole pojawiły mu się krople potu, kiedy pomyślał, co się wkrótce może zdarzyć. Lili umrze, tak jak umarła jej matka, przez narkotyki i Jorgego.

Poczuł, jak wstępują w niego nowe siły, których się nawet nie spodziewał.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

347

Cisnął słuchawkę na widełki i otworzył szufladę biurka. W głębi leżał jego służbowy rewolwer. Wyjął go i podniósł się z fotela.

- Gdzie mój samochód? - zapytał.

- Otto! - Ingrid spojrzała na niego skonsternowana. Odepchnął ją na bok.

- Gdzie są kluczyki?

- Tam gdzie zawsze... Otto, co ty robisz?

Nie zwraca! na nią uwagi. Ten człowiek, który nie był w stanie sam chodzić, przeszedł teraz obok niej, zdejmując po drodze kluczyki z haczyka.

Samochód stał na podjeździe. Choć minęło już sporo czasu, odkąd zasiada! za kierownicą, poleciał Basilowi, by uruchamia! regularnie samochód i przejeżdża! nim parę mil. Usiadł na miejscu kierowcy i włączył silnik i reflektory.

- Otto! - krzyknę! Ingrid w panice. - Dokąd ty jedziesz?

- Zejdź mi z drogi! - Włączył bieg i mocno wcisnął peda! gazu. Samochód wystrzelił jak z procy, zanim Ingrid zdąży! go zatrzymać, i pognął w stronę lotniska. Reflektory szerokim pasem wbija! się w ciemność, a ćmy i moskity w samobójczym locie uderza! w przednią szybę. Nie czuł bólu, jedynie wszechogarniającą gwałtowną potrzebę pośpiechu. Dotrzeć do Lillii i uratować ją. Tylko to się liczy!o. Zanosił teraz błagalne modły do Boga, w którego dawno przestał wierzyć, by pomógł mu dojechać na czas.

Guy wylądował na wąskim pasie startowym i wolno podjechał ku biurowym barakom. Jednak zamiast szybko uporać się z czynnościami końcowymi, przeciągał je, jak mógł. Potem, zamiast wysiąść z samolotu, siedział trzymając ręce na sterach i wpatrywał się w ciemność, zastanawiając się, co się z nim dziś, u diab!a, dzieje.

Czuł w głowie straszliwy zamęt, którego powodem były nie tyle wydarzenia ostatnich dni i przesunięcie się skali wartości w inną stronę, ile zmiany w nim samym. Dotąd uważał się za człowieka zdecydowanego, potrafiącego szybko podejmować decyzje, dzięki czemu uchodził za doskonałego pilota. Wałkowanie, jak to nazywał, denerwowało go i było niepotrzebną stratą czasu. Tymczasem teraz sam się tak zachowywał. Dlaczego? Postanowił wrócić do Anglii, za czym przemawia!o wiele powodów, i w głębi serca czuł, że to jedyne rozsądne wyjście. Mimo to wciąż odsuwał podjęcie decyzji i łudził się, że znajdzie inne rozwiązanie. To głupota bez przerwy to wałkować,

362 Janet Tanner

przekonywaj siebie w duchu. Nie ma innego wyjścia i powinien się z tym pogodzić. Niestety, nie mógł. Myśl, że nigdy już nie zobaczy Lili, była trudna do zniesienia. Już samo to było czymś niepojętym. Nigdy nie czuł czegoś takiego w stosunku do żadnej kobiety, nigdy też nie pozwalał, by uczucia wzięły nad nim górę. To jeszcze jeden powód, by stąd wyjechać, i to szybko, zwłaszcza że nie chciała z nim rozmawiać, czego nie mógł zrozumieć. Mimo to wciąż odwlekał moment podjęcia ostatecznej decyzji i nienawidził siebie za tę słabość.

Westchnął i zaczął pakować skórzaną torbę lotniczą. Uporządkował kabinę, zamknął samolot, zabezpieczył przed ruszeniem z miejsca i poszedł w stronę biura.

Panowały w nim ciemności. Zapalił światło, rzucił torbę na biurko i podszedł do półki, gdzie stało pudełko, w którym trzymano dziennik nawigacyjny. To dziwne - nie było go na miejscu. Ktoś musiał je przestawić. Guy stłumił uczucie irytacji. Lubił w pracy porządek i systematyczność i tego samego oczekiwał od kolegów. Rozejrzał się po biurze i zauważył na niższej półce, między fachowymi czasopismami, ciemnoszare pudełko, leżące na płask, zamiast jak zwykle w pozycji pionowej.

Postawił je na biurku, otworzył torbę lotniczą i wyjął z niej notatnik zawierający informacje potrzebne do dokonania wpisu w dzienniku. Przejrzał je, dokonał szybkich obliczeń, po czym sięgnął po pudełko. W tym momencie posłyszał za plecami jakiś ruch. Odwrócił się i zobaczył stojącą w drzwiach smukłą postać ubraną w zwiewny kremowy muślin.

- Lili! - Radość zmieszała się w jego głosie ze zdziwieniem. - Co tutaj robisz?

Lekki rumieniec zabarwił jej policzki, a ręka powędrowała ku włosom. Ten nieświadomy gest był u niej oznaką zdenerwowania.

- Usłyszałam samolot i domyśliłam się, że cię tu zastanę.

- Trafne przypuszczenie - zauważył z nutą sarkazmu w głosie, starając się ukryć własne zdenerwowanie. Ostatnio często o niej myślał i bał się, że mogła to wyczytać z jego twarzy. - Myślałem, że nie chcesz ze mną rozmawiać. Tak mi w każdym razie powiedziano.

Rumieniec na jej twarzy stał się jeszcze ciemniejszy.

- Wiem. Przepraszam... nie powinnam się tak się zachowywać. Dlatego przyszedłam cię przeprosić.

- W porządku. Przeprosiny przyjęte. Miałaś jakieś problemy z ojcem, tak?

- Niezupełnie. Po prostu znowu nie zachowałam odpowiedniego dystansu

RAJSKIE DZIEDZICTWO

349

do pewnych spraw. Czy... myślisz, że moglibyśmy o tym zapomnieć i... i zacząć od miejsca, w którym przerwaliśmy?

Zrozumiał, ile to wyznanie ją kosztowało, i serce mu stopniało. Nadal jednak nie mógł pojąć, dlaczego tak się zachowała. Mogła się denerwować złym stanem zdrowia ojca, ale nie musiała przecież reagować tak histerycznie. Poza tym jej przeprosiny w niczym nie zmieniały jego decyzji o wyjeździe z Madrepory. Główny problem pozostał, Oznaczało to, że sam będzie musiał powiedzieć jej o swojej decyzji, zamiast pozwolić, by dowiedziała się o tym od kogoś innego.

- Obawiam się, że to nie będzie możliwe - powiedział. - Wkrótce może mnie tu nie być.

Mina jej zrzędała.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Najprawdopodobniej wracam do Anglii.

- Kiedy? Dlaczego?

- Nie wiem jeszcze kiedy. Najpierw muszę porozmawiać z Manuelem. Jeśli zaś chodzi o drugie pytanie, to przyjechałem tu w określonym celu. Zrealizowałem go, więc nie ma powodu, bym zostawał dłużej.

Cała krew odpłynęła jej z policzków. A więc Jorge nie mylił się co do niego. On sam to teraz potwierdził.

- A więc to prawda - powiedziała. - Przyjechałeś tu, by szpiegować mojego ojca.

Tym razem to Guy doznał szoku. Skąd ona mogła o tym wiedzieć?

- Nikogo nie szpiegowałem - odparł zgodnie z prawdą. - Musiałem sprawdzić pewne fakty, to wszystko.

- A więc do tego byłem ci potrzebna? - W oczach Lili zabłyśły gniew i łzy, - Jak mogłeś tak mnie wykorzystać?

- Lili, to nieprawda... - W tym momencie przyszło mu do głowy, że skoro ona wie o ojcu i skarbach, to on nie musi wyjeżdżać. Może uda się jeszcze coś ocalić z tego całego zamieszania. - Lili, przysięgam, że cię nie wykorzystałem - oświadczył.

- Ufałam ci, Guy. Naprawdę ci ufałam. Jak mogłeś to zrobić?

- Miałem swoje powody i chciałbym je wyjawić. Pozwól mi tylko uporać się z robotą, a potem pójdziemy się czegoś napić i porozmawiamy.

- A jest o czym rozmawiać?

- Tak - powiedział z mocą, sięgając po pudełko. - Muszę tylko dokonać wpisu do dziennika.

Janet Tanner

Położył rękę na pudełku i w tym momencie posłyszał ryk silnika samochodu pędzącego z wielką szybkością. Wyprostował się zaskoczony. - Co, u diabła...

Samochód zatrzymał się z piskiem opon, drzwi otwały się z hukiem i Guy stanął twarzą w twarz z człowiekiem, którego ścigał przez pół świata, lecz nigdy nie miał okazji poznać.

Wychudzona, blada twarz i charakterystyczna blizna na mokrym od potu policzku. Choć trzymał się drzwi, by nie upaść, wciąż miał w sobie coś władczego.

Otto von Rheinhardt. Potwór, który sterroryzował jego rodzinę i ukradł jego dziedzictwo. Otto von Rheinhardt. Ojciec Lili.

Otto z siłą zrodzoną z desperacji pchnął drzwi, jego rozgorączkowany umysł zarejestrował dwie rzeczy. Pierwszą było pudełko zawierające wybuchową przesyłkę Jorgego, stojące w odległości mniejszej niż dwie stopy od jego ukochanej Lili. Drugą był mężczyzna trzymający rękę na owym pudełku. Jego widok był dla Otta jeszcze większym szokiem niż samo pudełko. Przez chwilę wydało mu się, że czas się cofnął. Znowu odbywał wyprawę w przeszłość. Znowu był we Francji. Jednak tym razem spoglądał w twarz człowieka, którego skazał na śmierć. Charles de Savigny.

Krzyk ugrzązł mu w gardle i przez sekundę myślał, że umarł i stoi przed nim duch, który przyszedł go przywitać. Natychmiast jednak odzyskał jasność umysłu. To nie był duch. To był pilot, z którym Lili poszła się spotkać. Nie był to jednak jakiś tam pilot, lecz Guy, Guy de Savigny, dziecko z zamku, syn Charlesa. Wszystko to przemknęło przez rozgorączkowany umysł jak błyskawica.

Guy de Savigny. Czy skojarzyłby sobie to nazwisko, gdyby je posłyszał? Nie potrafił na to odpowiedzieć i nie miało to teraz żadnego znaczenia. Tego człowieka Jorge uznał za policyjnego agenta. Lecz on nie był agentem. Powód, dla którego się tu znalazł, nie miał nic wspólnego z handlem narkotykami. Przyjechał tu w poszukiwaniu Otta von Rheinhardta. I znalazł go.

Otto gwałtownie wciągnął powietrze. Szok chwilowo pozbawił go możliwości ruchu. W tym momencie Lili zrobiła krok w jego stronę, patrząc na niego szeroko otwartymi oczyma i wtedy ta część mózgu, która wiedziała

RAJSKIE DZIEDZICTWO

365

O bombie ukrytej w pudełku, dała impuls do działania. Ręka pilota spoczywała na pudełku, jeden ruch i wszyscy wylecą w powietrze.

- Nie ruszaj się, Lili! - rozkazał Otto.

Zbierając resztki sił, chwycił pudełko, zanim zaskoczony pilot zdążył zareagować. Potykając się wybiegł na zewnątrz, trzymając pudełko przed sobą jak najdroższy skarb i zmuszając trzęsące się nogi do biegu. Pchnął pudełko na miejsce obok kierowcy, po czym wskoczył do samochodu 1 uruchomił silnik. Pojazd gwałtownie ruszył, a na czole Otta pojawiły się kropelki potu.

Zrobił to. Uratował Lili.

Nie mógł jednak zapobiec odkryciu przez nią prawdy. Guy de Savigny na pewno jej powie.

Poczuł wewnątrz straszliwą pustkę i rozpacz, kiedy przypomniał sobie dystans, jaki się między nimi wytworzył. Zatem co się stanie, kiedy dowie się prawdy o nim, zwłaszcza jeśli wyjawia ją mężczyzna, w którym była zakochana, syn człowieka skazanego przez niego na śmierć? Nigdy mu tego nie wybaczy, w każdym razie nie w czasie, który mu pozostał. Gardziłaby nim, a on by tego nie zniósł. Nie zniósłby oskarżenia w jej oczach i uczucia przerażenia na myśl, kim był i czego się dopuścił. Wolałby raczej umrzeć...

Zahamował, sięgnął ręką po pudełko stojące na siedzeniu obok i otworzył przykrywkę.

Huk eksplozji wstrząsnął nocnym powietrzem i zamienił samochód w płonącą kulę.

Zginął, by ocalić mi życie - powiedziała Lili. Twarz miała bladą i czerwone obwódki wokół oczu, lecz Guy pomyślał, że i tak wygląda prześlicznie. - Wiedziałam, że nigdy by się nie związał z wujkiem Fernandem, Jorgem i innymi. Handel narkotykami to straszna rzecz, ale musiał mieć swoje powody. I na koniec zachował się jak bohater.

Przycisnęła rękę do ust, dławiąc się łzami.

- Przeklęty Jorge - odezwała się Ingrid. - Mam nadzieję, że zgnije w piekle!

- Z pewnością zgnije w więzieniu - powiedział Guy.

Kiedy huk eksplozji rozproszył ciszę nocną, zabijając Otta i całkowicie niszcząc samochód, wszystko wyszło na jaw. Zrozpaczona i zszokowana Lili nie byłaby w stanie niczego zrobić, ale Ingrid została ulepiona z twardszej gliny. Wiedziała, że Jorge jest odpowiedzialny za podłożenie bomby,

Janet Tanner

i postanowiła, że nie ujdzie mu to na sucho. Zadenuncjowanie go władzom mogło spowodować, że zostanie aresztowana za współudział w handlu narkotykami, którego Madrepora od lat była bazą, ale Ingrid nie dbała o to. Jej życie skończyło się wraz ze śmiercią Otta.

Poza tym wiedziała, że jeśli Jorge będzie na wolności, znowu poleje się krew. Ponownie spróbuje zabić człowieka, którego uważał za policyjnego agenta, a ona nie miała zamiaru na to pozwolić. Jej telefon postawił na nogi całą policję. Przybyli na wyspę w wielkiej liczbie. Jorge poleciał do Ameryki Południowej, ale jego ludzi aresztowano. Ingrid miała głęboką nadzieję, że złapanie go to tylko kwestia czasu. Nie będzie to łatwe. Imperium w Wenezueli było potężną fortecą i zbyt wielu wpływowych ludzi było zaangażowanych w to przedsięwzięcie. W końcu jednak go dostaną była tego pewna, a tak czy inaczej łańcuch został rozerwany. Już nigdy więcej podmorskie korytarze u wybrzeży Madrepory nie będą wykorzystywane do nikczemnego procederu.

- Przepraszam, Guy, że w ciebie wątpiłam - powiedziała Lili. - Naprawdę bardzo żałuję. Czy musisz wyjeżdżać?

Guy spojrział na nią i poczuł, jak serce mu się kraje. Wiedziała, że nie pracował dla agencji do zwalczania narkotyków, lecz nie знаła prawdy o jego misji, a on nie mógł jej tego wyjawić. Dość już się wycierpiała. Poznała niemiłe fakty dotyczące działalności jej ojca na Madreporze i jakoś znalazła dla nich wytłumaczenie. Pogodziła się z jego nieuniknioną lecz przedwczesną śmiercią choć bardzo ją przeżyła. Nie mógł pozbawiać jej złudzeń, jakie jej jeszcze pozostały. Miłość do niej była jednocześnie nagrodą i pokutą. Płacił za nią milczeniem.

- Tak, Lili, muszę wyjechać - powiedział z mocą

- Czy nie mógłbyś zostać z... mojego powodu?

Właśnie z twojego powodu wyjeżdżam, chciał powiedzieć, lecz wiedział, że nie może.

- Co teraz zrobisz? - zapytał, zmieniając temat.

- Nie wiem... chyba wrócę do Nowego Jorku. Życie musi toczyć się dalej, prawda? - Jej spojrzenie było pełne smutku.

- Ja wracam do Niemiec - odezwała się Ingrid.

Jednak żadne z nich nie patrzyło na nią. Guy chłonał ostatnie chwile z Lili, chowając je w sercu na samotne dni, które go czekały. Ona patrzyła na niego z miłością obwiniając siebie za wszystko, co się stało, i modląc się, by się rozmyślił i został.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

353

Właściwie dlaczego miałby zostawać? Był pilotem, miał swoją pracę, a Air Perpetua nie mogła już go zatrudniać. Poza tym ktoś zostałby z dziewczyną której ojciec był handlarzem narkotyków i która w niego zwątpiła, ktoś zostałby na wyspie, na której o mały włos nie zginął z rąk tych, którzy razem z nią go podejrzewali?

- Przynajmniej się nie męczył - powiedziała, wracając myślami do ojca.
- Chyba lepiej, że tak zginął, niż miałby się męczyć dzień po dniu. Zawsze mówił, że chciałby umrzeć w marszu. Nie wiem, skąd znalazł w sobie siłę, by zrobić to, co zrobił.
- Rozpacz wyzwala w ludziach niewiarygodne moce - powiedziała Ingrid.
- Był bohaterem, Lili. Powinnaś być z niego dumna.
- Ależ jestem, jestem!

I to tylko się liczy, pomyślał Guy. Nic więcej nie pozostało do dodania.

Rozdział dwudziesty ósmy

Kathryn de Savigny wniosła tacę z herbatą i biskwitami do małego salonu i spojrzała na Guya siedzącego przed buzującym ogniem na kominku. Wyczuwała w nim jakąś zmianę, której nie potrafiła sprecyzować. Zastanawiając się, co to może być, czuła jednocześnie ogromną ulgę, że znowu go widzi.

- A więc ten Niemiec nie był von Rheinhardtem? - zapytała cicho, stawiając tacę na niskim stoliku i przysuwając go bliżej fotela.

Guy nie odpowiedział od razu. Wpatrywał się w fontannę iskier, którą wywołała pękająca kłoda. Znowu ogarnęły ją złe przeczucia. Czego on się dowiedział na tych Karaibach, co wywołało w nim taką zmianę? Czyżby odkrył prawdę o tym, co się zdarzyło w okupowanej przez Niemców Francji? W końcu spojrzał na nią wzrokiem, który krył w sobie wiele sekretów.

- To był von Rheinhardt. Bez wątpienia to ten człowiek był sprawcą wszystkich naszych cierpień. Widziałem nawet rodzinne skarby. Stoją w jego willi, Na czole Kathryn pojawiły się zmarszczki.

- Tak? Dlaczego więc... Co wpłynęło na zmianę twojej decyzji, by nie oddawać go w ręce władz?

- On nie żyje. - Głos Guya był dziwnie bezbarwny. - Był umierający, kiedy tam przyjechałem. Miał raka.

- Och! - Jej oczy zapatrzyły się w dal. Pomimo nienawiści, jaką czuła do von Rheinhardta, ta wiadomość była dla niej szokiem. Nie mogła sobie wyobrazić człowieka, którego zapamiętała jako silnego i bezlitosnego, spoczywającego na łożu śmierci. To on niósł zniszczenie. Świadomość, że i jego dosięgło, była czymś absolutnie zaskakującym.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

355

- A co ze skradzionymi przedmiotami? - zapytała. - Nie starałeś się ich odzyskać?

- Nie.

- Dlaczego? Przecież między innymi po to tam pojechałeś. Westchnął, wypił łyk herbaty, wziął biskwita, lecz trzymał go w palcach, zamiast włożyć do ust.

- To długa historia.

- A więc zamieniam się w słuch. - Odchyliła się na oparcie fotela i skrzyżowała stopy przed sobą.

- Zamknęłam dziś sklep na cały dzień. Nie musimy się spieszyć.

- Dobrze.

I rozpoczął swoją opowieść.

Lilii pomagała Ingrid pakować rzeczy po ojcu, szykując się do opuszczenia na zawsze Madreporę.

Czyniła to z rozdartym sercem. Każdy przedmiot niósł ze sobą wspomnienia i wyciskał z oczu łzy nie tylko z żalu za ojcem, lecz również za utraconym szczęśliwym dzieciństwem. Trzeba jednak było to zrobić. Ingrid jechała do Niemiec i Lilii wiedziała, że nigdy już tu nie wróci. Nic jej tu nie trzymało. Madrepora miała zostać sprzedana, tym razem uczciwemu nabywcy, który zmieni wyspę w luksusowy raj dla turystów.

Ostatnie tygodnie były bardzo przygnębiające, z wyjątkiem jednego jasnego promyka, jakim były narodziny dziecka Josie - dziewczynki. Ze względu na śmierć Otta i kłopoty Sanchezów nikt już nie zmuszał jej do wyjeżdżania z wyspy na czas porodu. Zresztą Lilii nalegała, by tego nie robiła. Tak więc było to pierwsze dziecko urodzone na Madreporze od ponad dwudziestu lat.

Josie ponownie poprosiła Lilii, by została matką chrzestną dziewczynki, na co z niechęcią przystała ze względu na smutek w duszy.

Teraz porządkując rzeczy ojca, które nagromadził w ciągu dwudziestu pięciu lat spędzonych na Madreporze, poczuła, że znowu ogarnia ją przygnębienie. Czy do tego w końcu sprowadzało się całe życie - do domu, mebli, ubrań i antyków? Choć niektóre z nich miały wielką wartość, były jedynie namiastką zdrowia, bliskich rodzinnych związków i miłości drogich sercu osób, które o nic nie prosiły, jedynie o to, żeby być sobą i odpłacać miłością za miłość.

Lilii uniosła głowę znad skrzyni, do której pakowała książki ojca. Zostaną

Janet Tanner

odesłane do antykwariusza, który oddzieli białe kruki od całej reszty tomów i wszystko sprzeda. Uporządkowały już wspólnie z Ingrid ubrania Otta. Zostaną oddane służbie. Umówiła się też z pośrednikiem, który zajmie się sprzedażą kolekcji rzadkich znaczków. Teraz nadszedł czas, by ustalić między sobą podział reszty dobytku, Otto miał zrobić zapis na rzecz Ingrid, lecz większość majątku przypadła córce. Lili jednak uznała, że Ingrid nie powinna być poszkodowana. W końcu była jego żoną i trwała przy nim, kiedy jej potrzebował. Poza tym Lili nie chciała zabierać żadnych mebli. Nie miałyby na nie miejsca w swym małym nowojorskim mieszkanku. Lepiej, żeby Ingrid przewiozła je do Niemiec, gdzie dadzą początek jej nowemu domowi.

Z wyjątkiem kilku osobistych pamiątek i oczywiście skarbów Lili gotowa była oddać resztę Ingrid, pod warunkiem że nie będzie rościć sobie do nich pretensji.

Wyprostowała się i podeszła do małej statuetki z brązu i przesunęła po niej palcami, tak jak to czynił ojciec. Trzeba będzie je dobrze zapakować, pomyślała. Nie mogła pozwolić, by uległy zniszczeniu w transporcie. Zatrzymała się przed tryptykiem i wydało jej się, że słyszy głos ojca mówiący, że to jest „tryptyk Lili”. Łzy napłynęły jej do oczu. Odwróciła wzrok i wzięła do ręki jeden ze świeczników, obracając go nieświadomie w dłoni. Był zimny, masywny i ciężki. Piękny kawałek srebra zamknięty w wymyślnym wzorze. Odwróciła go spodem do góry z zamiarem odszukania próby. Ku swemu zaskoczeniu dostrzegła tam jakiś napis.

Podeszła do okna, by wyraźniej widzieć i kiedy przeczytała, co tam wygrawerowano, gruba zmarszczka pojawiła się na jej czole.

De Savigny.

Chyba mam zwidy, pomyślała. To niemożliwe, by nazwisko Guya widniało na świeczniku. Lecz tak było. Napis był nieco zamazany, mimo to wyraźny. *De Savigny.*

Drzwi salonu otworzy się i weszła Ingrid, niosąc pudełko ze zdjęciami.

- Co chcesz z tym zrobić, Lili? To są przeważnie twoje fotografie z dzieciństwa... - Urwała, widząc, że Lili nie zwraca na nią uwagi. - Co się stało? Dobrze się czujesz?

- Ingrid, skąd tatuś miał te świeczniki? - zapytała Lili. Lekki rumieniec zabarwił bladą twarz Ingrid.

- Nie wiem. Miał je, zanim się ze mną ożenił. Dlaczego pytasz?

- Czy nigdy nie mówił, skąd one pochodzą? - drażniła dalej Lili, ignorując

RAJSKIE DZIEDZICTWO

357

pytanie Ingrid. - Były tu, odkąd sięgam pamięcią, ale chyba nie mogą pochodzić z jego domu w Niemczech? Został przecież zbombardowany w czasie wojny. Nie wyglądają też na przedmioty, które mógł nabyć w Ameryce Południowej. Nie widzę w nich żadnych hiszpańskich wpływów. Prawdę powiedziawszy nie wyglądają ani na niemieckie, ani na hiszpańskie. Są chyba... Na tryptyku jest Joanna d'Arc, prawda?

- Pochodzą z Francji - odparła Ingrid. - Myślałam, że o tym wiesz.

- Jakoś nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

To prawda, niewiele poświęcała im uwagi. Lecz w tej chwili myślała o nich bardzo intensywnie i nie były to przyjemne myśli. Te francuskie antyki przyjechały z ojcem na wyspę, kiedy rozpoczynał tu nowe życie. A gdzie odbywał służbę? We Francji.

- Przywiózł je ze sobą, kiedy tu przyjechał, prawda? - powiedziała.

- Zabrał je z Francji.

Rumieniec na policzkach Ingrid pogłębił się i wyglądała na bardzo poruszoną.

- Nie można go za to winić, Lili - powiedziała. Słowa pędziły teraz jedno za drugim. - Musiał mieć coś, co pomogłoby mu rozpocząć nowe życie. Nie miał przecież nic... nic! Dom był zniszczony, rodzina zginęła, kariera, której się poświęcił, legła w gruzach. Czy to tak trudno zrozumieć, że potrzebował jakiegoś zabezpieczenia na przyszłość? Tak czy inaczej kochał je. Zapragnął mieć te przedmioty, gdy tylko je zobaczył. Rodzina, w której domu mieszkał, miała wszystko... wszystko. - Jej głos stał się ochrypliwy i brzmiała w nim gorzka porażka. - Oni nie musieli uciekać z kraju i do końca życia pozostać na wygnaniu. Ich zamek wciąż stoi, odzyskali też swój majątek...

- Chcesz powiedzieć, że ukradł te przedmioty z francuskiego zamku?

- zapytała Lili zimnym beznamiętnym głosem.

- Pochodzą z zamku, tak. Nie powiedziałabym jednak, że je ukradł.

- A więc ja to mówię! - W głosie Lili pojawiło się drżenie. - Skoro należały do właścicieli tego zamku, to nie ma na to innego określenia. Chyba że mu je dali.

- Nie bądź śmieszna, Lili.

- A może sprzedali? Czy właśnie to zrobili? Sprzedali je w zamian za pewne przywileje w okupowanym kraju?

Chwyciła się tego pytania jak tonący brzytwy i zdawała sobie z tego sprawę. Bardziej niż czegokolwiek pragnęła, by Ingrid powiedziała „tak”, że trafiły one do jego rąk jako rezultat pewnego rodzaju umowy. Lecz Ingrid

Janet Tanner

milczała. Zamiast się tłumaczyć, chciała, żeby Lili po prostu pogodziła się z faktami. Może sama miała wyrzuty sumienia i potwierdzając przypuszczenia Lili, dzieliła się z nią brzemieniem winy.

- Tej rodziny nie było w zamku, kiedy twój ojciec tam mieszkał
 - powiedziała. - Mieszkała w małym domku na terenie posiadłości.
 - Dlaczego?
 - Twemu ojcu potrzebna była przyzwoita kwatera. Nie byli jakimiś tam zwykłymi ludźmi.
 - A więc wyrzucili tę rodzinę z ich domu i ukradli ich własność
 - powiedziała Lili. Głos miała lodowato zimny.
 - Trwała wówczas wojna. Takie rzeczy zdarzają się na wojnie.
 - Potem jednak powinny zostać naprawione - oświadczyła Lili z mocą. Serce zmieniło się w lodową bryłę. Szok za szokiem, czy to się nigdy nie skończy? Najpierw choroba ojca, potem straszna prawda o śmierci matki i brudnym procederze na wyspie, którą kochała. Teraz jeszcze okazuje się, że cenne przedmioty, które ofiarował jej ojciec, nie należą do niej, i on nie miał prawa ich dawać.
 - Te przedmioty muszą zostać zwrócone prawowitym właścicielom
 - oświadczyła zdecydowanie.
 - Jesteś zdenerwowana, Lili. Zastanów się, co mówisz.
 - Sądzisz, że mogłabym je zatrzymać, wiedząc, że zostały skradzione? Dopilnuję, by zostały zwrócone tam, gdzie ich miejsce.
 - A jak to zrobisz? - zapytała Ingrid pogardliwie. - Co innego przyznać, że twój ojciec wziął je i splamił swoje dobre imię, a co innego je zwrócić. Nie pamiętam, gdzie on stacjonował w czasie wojny, wiem jedynie, że gdzieś w środku Francji. Poza tym nie mam ochoty się nad tym zastanawiać. Przecież nie zaczniesz teraz śledztwa.
 - Nie muszę zaczynać żadnego śledztwa - powiedziała Lili. - Wiem, skąd pochodzą i do kogo należą.
 - A skąd możesz to wiedzieć?
- Lili odwróciła świecznik spodem do góry i spojrzała na inskrypcję.
- Pamiętasz tego pilota, który tu był? Tego, którego uważaliśmy za agenta zbierającego dowody przeciw kartelowi narkotykowemu? A więc on nie zbierał dowodów przeciw nim. Przyjechał śledzić ojca z zupełnie innego powodu.
- Ingrid patrzyła na nią oniemiała.
- Chyba straciłaś rozum. Nie wiesz, co mówisz.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

359

- Doskonale wiem - powiedziała Lili. - Nazywał się Guy de Savigny. Spójrz na to, Ingrid. Podsunęła jej świecznik pod oczy. Przez chwilę kobieta się wzbraniała, jakby bojąc się tego, co zobaczy, po czym niechętnie wzięła go z rąk Lili, spojrzała na podstawę i odstawiła świecznik na miejsce.

- Może masz rację.

- Jestem tego pewna. Byłby to zbyt duży zbieg okoliczności. To rzadko spotykane nazwisko.

- Rzeczywiście. Dlaczego więc Otto go nie rozpoznał?

Urwała. No tak, przecież nigdy go nie słyszał. Był już wtedy zbyt chory, by zajmować się takimi rzeczami. Poza tym pamiętała, że kiedy zamawiała taksówkę powietrzną dla Lili, powiedziała mu tylko, że pilot ma francuskie nazwisko. Zareagował wówczas dość dziwnie. Sądziła, że jest to wynik działania narkotyków, lecz teraz przypomniało jej się, że nie patrzył przed siebie, tylko przesunął wzrokiem po swych skarbach, marszcząc w zamyśleniu czoło. Czy to możliwe, by jakimś szóstym zmysłem wyczuwał, że ten człowiek z francuskim nazwiskiem jest związany z przeszłością?

- Nie rozumiem tylko jednego - powiedziała Ingrid wolno. - Jeśli ten człowiek pochodził z tych samych Savignych i przyjechał tutaj, by odnaleźć twego ojca, dlaczego nic nie powiedział?

Dlaczego tak bez słowa wyjechał? Naturalnie skoro twój ojciec zginął, nie mógł go oddać w ręce sprawiedliwości, jeśli taki miał zamiar. Dziwi mnie jednak, że nie starał się odnaleźć rodzinnych skarbów. Gdyby tu przyszedł i zobaczył je, z pewnością by je zidentyfikował. Dlaczego tego nie zrobił?

Lili przykryła usta dłonią. Jasne promyczki światła zaczynały rozpraszać szok i chaos w głowie. Guy był tutaj. Widział te przedmioty, nawet o nich rozmawiali tego popołudnia, kiedy omal nie utonęła. Nic jednak nie powiedział. To mogło oznaczać, że albo ich nie rozpoznał, albo rozpoznał i postanowił milczeć. Czemu nic nie powiedział? Chyba że... chyba że...

- Naprawdę uważam, że powinnaś o wszystkim zapomnieć, Lili - mówiła Ingrid. - Nie wywołuj wilka z lasu. Te rzeczy należą teraz do ciebie.

- Nie - powiedziała Lili. - Nie należą do mnie i nigdy nie należały. Skontaktuję się z Guyem de Savigny i wyjaśnię tę sprawę raz na zawsze. Proszę, nie powstrzymuj mnie, Ingrid.

Patrząc na jej drobną twarzyczkę, na której malowała się determinacja, Ingrid zrozumiała, że dalsze przekonywanie jej byłoby stratą czasu.

Janet Tanner

Postanowiłeś więc nie domagać się zwrotu rodzinnych pamiątek, bo zrobiło ci się żal córki von Rheinhardta - stwierdziła Kathryn, kiedy skończył opowieść.

- Można to i tak ująć. - **Jego** głos zabrzmiał twardo. Świadomość, że nigdy już nie zobaczy Lilii, ciążyła mu na sercu jak olów i nawet przekonanie, że postąpił słusznie, w niczym tu nie pomagało. Mógł sobie wmawiać, że nie byłby w stanie zbudować prawdziwego związku na kłamstwie i sekretach, nie pomagało mu to jednak wyrzucić **jej** z myśli. Wciąż miał ją przed oczyma i próba pozbycia się jej z pamięci była najtrudniejszym zadaniem jego życia. - Nie miałem sumienia jej ranić - powiedział. - Nie sądzę, by była w stanie to znieść.

- Cóż za nikczemny człowiek - powiedziała Kathryn. - Nie wystarczyło mu, że wysłał na śmierć Bóg wie ilu ludzi, to jeszcze handlował śmiercią i nieszczęściem, rozprowadzając narkotyki. Przynajmniej na koniec dostał to, na co zasłużył. Szkoda tylko, że stało się to tak szybko. Powinien cierpieć tak, jak inni przez niego cierpieli.

- Wierz mi, że cierpiał - zapewnił ją Guy. - I na koniec ocalił mi życie. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę? Ta bomba w pudełku z dokumentami była przeznaczona dla mnie.

Kathryn zadrżała na myśl, co się mogło stać. Jednak nie mogła się zdobyć na wielkoduszność w stosunku do tego człowieka.

- Przecież nie zrobił tego ze względu na ciebie. Zrobił to dla tej dziewczyny. Gdyby nie było jej tam z tobą, wyleciałbyś w powietrze, a on nie kiwnąłby nawet palcem. Przepraszam, Guy, ale nie spodziewaj się, że mu przebaczę, bo przy okazji udało mu się ocalić ci życie. Gdyby nie związał się z tymi złymi i niebezpiecznymi ludźmi, nic takiego by się nie zdarzyło.

- Ale to nie była wina Lilii - wybuchnął Guy. - Nie można mieć do niej pretensji o to, co robił jej ojciec, i nie chcę, by znowu cierpiała. Ona go uwielbiała. Złamałoby jej serce, gdyby się dowiedziała, że był nie tylko handlarzem narkotyków, lecz także katem. Chciałem zostawić jej trochę złudzeń. Chyba to rozumiesz?

Kathryn milczała przez chwilę zaskoczona gwałtownością reakcji syna. Zakochał się w tej dziewczynie - to właśnie było powodem tej zmiany, którą w nim wyczuła. Od tak dawna tego pragnęła. Ale dlaczego ze wszystkich dziewczyn na świecie musiał zakochać się właśnie w córce Otta von Rheinhardta?

Ogarnęła ją nagle gwałtowna fala wrogości, nie mająca nic wspólnego

RAJSKIE DZIEDZICTWO

361

z logiką. Opanowała się z wysiłkiem. Jak mogła kogokolwiek potępiać - a zwłaszcza Guya - za to, że zakochał się w niewłaściwej osobie? Czyż nie postąpiła podobnie i jakie konsekwencje to za sobą pociągnęło? Guy miał przynajmniej tyle rozsądku, by zdawać sobie sprawę, że to nie ma przyszłości.

Nie wyjawiając Lili prawdy o ojcu postąpił podobnie jak ona w stosunku do niego. Zrobiła wszystko, by ukryć przed nim prawdziwe oblicze ojca. I chociaż to się jej udało.

- No cóż, przynajmniej nie będzie publicznego procesu - powiedziała cicho. - Przynajmniej będziemy mogli pozostawić przeszłość w spokoju.

Kiwnął głową. Siedzieli przez chwilę w milczeniu, każde zagubione w swoich własnych myślach.

- Co teraz zrobisz? - zapytała na koniec. Wzruszył ramionami.

- Chyba zacznę szukać pracy. Najpierw jednak muszę pojechać do Francji i zdać dziadkowi relację ze wszystkiego.

- Chyba nie powiesz mu, że odnalazłeś rodzinne skarby?

- Nie, nie powiem. - Twarz mu się zachmurzyła, a Kathryn ponownie pomyślała o subtelnej zmianie, jaka w nim zaszła. - Powinienem już wracać, mam. Wkrótce znowu do ciebie przyjadę.

- Przyjeżdż koniecznie - powiedziała. Ta zmiana zlikwidowała rysy w ich wzajemnym stosunku, które pojawiły się, kiedy opowiedziała mu o swoim wojennym romansie. Nigdy więcej o nim nie wspomniał i ona też nie będzie.

- Cieszę się, że tak się wszystko skończyło - powiedziała. Uniósł w górę brew. Wygląda na bardzo smutnego, pomyślała.

- Cieszę się, że jesteś zadowolona. - To było wszystko, co powiedział.

W Charente czuło się już pierwsze tchnienia wiosny. Drzewa były jeszcze nagie, ale powietrze stało się łagodniejsze, a z ziemi wysuwały główki zielone pędy, które wkrótce rozwiną się we wczesne kwiaty. Jednak w wysokich obszernych zamkowych pokojach wciąż panowała zimowa wilgoć, która zniknęła wraz bladymi promieniami słońca na jasnoniebieskim niebie. Guillaume nie zdejmował grubego tweedowego garnituru i grzał się, kiedy tylko miał czas, przy ogniu buzującym na wielkim kominku.

- Gdybym był na twoim miejscu, Guy, pozostałbym na Karaibach, póki się w tej części świata nie ociepli - powiedział, wyciągając długie wąskie

376 Janet Tanner

palce w stronę ognia i zacierając dłonie dla uzyskania większego efektu.

- Ale w twoim wieku nie czuje się chłodu, który przenika moje stare kości.

- Nie, dziadku, chyba nie. Choć jest to spory szok dla organizmu, kiedy jednego dnia pływa się w ciepłym morzu, a następnego marznie w ogarniętej zimą Europie.

- Przypuszczam, że przyjechałeś, by opowiedzieć mi, jak sobie poradziłeś

- zawyrokował Guillaume, zmieniając temat. - Czy znalazłeś człowieka, o którym mówił ci twój przyjaciel? Czy to był von Rheinhardt?

- Tak, dziadku. Już nie żyje. - Guy powtórzył swoją relację, którą przekazał Kathryn, pomijając osobę Lili i sprawę skarbów.

Guillaume jednak nie dał się tak łatwo zwieść.

- Czy miał nasze rodzinne przedmioty, bo to chciałbym przede wszystkim wiedzieć? Prawdę powiedziawszy, miałem nadzieję, że przywieziesz je do domu. Tak chciałbym je zobaczyć i mieć je znowu tu, gdzie ich miejsce. Oczywiście nie tylko von Rheinhardt mógł je ukraść. Byli przecież inni. Zawsze jednak sądziłem, że to on.

- Bardzo trudno było dostać się do willi, bo on był przecież chory

- powiedział wymijająco Guy. Tęsknota dziadka za rodzinnymi skarbami wywołała w nim poczucie winy, ale klamka zapadła. Nie będzie więcej do tego wracać.

- No tak, rzeczywiście. Wielka szkoda. Mógł już nie mieć tych przedmiotów, nawet jeśli to on je ukraść. Pewnie je sprzedał, zanim zbił fortunę na handlu narkotykami. Wyobrażam sobie, że potrzebował mnóstwa pieniędzy, by żyć na takim poziomie, do jakiego przywykł.

Guy nie odpowiedział, Guillaume ciągnął więc dalej:

- Wracając do identyfikacji, to przypomniałem sobie o czymś, zanim się tu zjawiłeś. Niektóre z tych przedmiotów miały wygrawerowane nasze nazwisko. Na innych zaś nie dało się tego zrobić. Ale na przykład srebrne świeczniki miały nasz znak. Teraz to już nie ma znaczenia.

Chyba że skontaktowalibyśmy się z władzami, które prowadzą śledztwo na wyspie - powiedział, rozjaśniając się. - Może mogliby wejść do willi i sprawdzić, co tam jest.

- Nie sądzę, by ich to obchodziło - powiedział szybko Guy. - To są agenci od narkotyków, a nie zwykli policjanci.

- No cóż... - Guillaume westchnął głęboko. - Widocznie tak musi być. Nie chciałem, aby von Rheinhardt stanął przed sądem po tylu latach. Wskrzeszanie przeszłości wyrządziłoby więcej szkody niż dobrego. Przypuszczam, że uważasz podobnie, skoro poznałeś całą prawdę?

RAJSKIE DZIEDZICTWO

363

- Prawdę powiedziawszy, to sędzę, że robicie wokół tego zbyt wiele szumu. Kolaboracja w tamtych czasach była przecież zrozumiałą sprawą. Nie sędzę, by ktoś cię za to winił, zwłaszcza po tym, co się później stało - powiedział Guy.

Guillaume lekko uniósł brew ze zdziwienia. Przesunął delikatnie palcami po bladych wargach.

- A co z tym brytyjskim agentem? Jak ludzie by na to zareagowali? Naturalnie wiesz o brytyjskim agencie?

Twarz Guya przybrała zacięty wyraz.

- O tym, z którym matka miała romans? Tak. No cóż, mogę zrozumieć, dlaczego ty i matka nie chcecie, by to wyszło na jaw. Muszę przyznać, że byłem zszokowany, kiedy się o tym dowiedziałem. Jak ona mogła zdradzić ojca? Nie przypuszczam jednak, by ta sprawa znalazła się na pierwszych stronach gazet.

- Guy. - Guillaume zawahał się. - Nie jestem pewny, czy mówimy o tej samej sprawie.

Podejrzewam, że matka nie powiedziała ci całej prawdy.

Guy przypomniał sobie swoje podejrzenia związane z nieobecnością matki, kiedy był jeszcze dzieckiem.

- Chcesz powiedzieć, że było coś więcej? Że on nie został zabity i ona z nim uciekła? Chryste, nic dziwnego, że mi nie powiedziała. Wiedziała, jak bym się czuł.

- To nie było tak - powiedział Guillaume wolno. - Myślę, że powinienem wyjaśnić ci parę spraw. Naturalnie cieszę się, że jesteś taki lojalny wobec ojca, lecz nie może to się odbywać kosztem matki. Nie, nie będę stać z boku i przyglądać się temu. Nie zawsze zgadzaliśmy się z Kathryn, ale podziwiałem ją z wielu powodów. Dobrze cię wychowała i bez względu na wszystko uczyniła z twego ojca ideał.

- Bez względu na to, że kochała innego mężczyznę?

- Bez względu na to, co mu zrobił twój ojciec. - Guillaume spojrzał wnukowi prosto w oczy. - Twoja matka miała romans, to prawda. Czy postąpiła źle czy dobrze, może oceniać ktoś, kto znał ówczesną sytuację, lecz nie będę w to wnikał. Powiem jedynie, że nie mogę jej za to winić. Twój ojciec był przeciwnego zdania. Potępiał ją tak bardzo, że wydał brytyjskiego agenta Niemcom i o mały włos nie spowodował śmierci twojej, twojej matki i ciotki Celestine. Oczywiście nie wiedział, że tam będziesz. Jednak tego, co zrobił, nie można wybaczyć. Chciał, aby Paula Curtisa złapano i zabito, dlatego wydał go von Rheinhardtowi. Ten człowiek przyjechał tu narażać za nas życie, a twój ojciec pozwolił, aby zawaładnęła nim osobista zazdrość.

Janet Tanner

Guy zbladł jak kreda.

- Dziadku... on nie mógł tego zrobić!

- Jednak zrobił. Sam mi to wyznał. Brzemień winy strasznie go przytłaczało i w końcu zabiło.

Kiedy nie mógł już tego znieść, oddał się w ręce von Rheinhardta i oświadczył, że zajmie miejsce jednego z zakładników. To był heroiczny czyn, lecz zrobił to, bo nie mógł dłużej żyć ze świadomością winy.

Guy milczał, starając się oswoić z tym, co przed chwilą usłyszał. Na koniec pokręcił głową.

- Ale dlaczego mama nic mi nie powiedziała? Dlaczego pozwalała, abym myślał...

- Chciała, żebyś go szanował, Guy. I tak się stało. Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi. Nikt z nas nie jest doskonały. Dlaczego więc twój ojciec miałby być inny? Ale nie jest dobrze, kiedy go idealizujesz, a nie doceniasz własnej matki. To wspaniała kobieta. - Milczał przez chwilę, a potem zapytał: - Wiesz oczywiście, że pracowała dla ruchu oporu?

- Podczas pobytu we Francji?

- Nie, później. Pracowała dla specjalnego oddziału SOE. Zbierała informacje, nawiązywała kontakty, eskortowała tych, którzy chcieli przedostać się za granicę. Musiała być świetna w tej robocie. Angielka, która mogła uchodzić za rdzenną Francuzkę. Oczywiście nigdy tu nie wróciła, ale przypuszczam, że musiała przekroczyć francuską granicę co najmniej sześć razy ze specjalnymi zadaniami. Nie wiedziałeś o tym?

- Nie.

Dlatego więc tak często jej nie było. Historyjka, jakoby pracowała dla ministerstwa w Szkocji, była jedynie przykrywką. Czy babcia, która się nim opiekowała, знаła prawdę? Chyba nie.

Dlaczego matka trzymała to w tajemnicy przez te wszystkie lata? Pokręcił głową, wciąż zaskoczony, jednak poczuł, jak rośnie w nim szacunek dla niej. Zrobiła to dla ojca. Przez cały czas przedstawiała ojca jako bohaterskiego działacza ruchu oporu, podczas gdy w rzeczywistości nie był lepszy od von Rheinhardta. Nie, nieprawda, lecz jednak...

„Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi”, powiedział Guillaume. Ileż w tym stwierdzeniu było prawdy. Tym razem on, podobnie jak Lili, musiał przyzwyczaić się do nowego wizerunku tych, których kochał. Cóż za ironia.

- Tak, twoja matka to wspaniała kobieta - powtórzył Guillaume. - Strzeż jej jak skarbu, Guy.

- Będę.

RAJSKIE DZIEDZICTWO

379

Wiedząc to, co teraz wiedział, zdał sobie sprawę, że ostatnio zachowywał się w stosunku do niej nie fair. Będzie musiał to jak najszybciej naprawie.

- Och, byłbym zapomniał - powiedział nagle Guillaume. - Przyszedł list do ciebie, Guy. .

- Do mnie? Tutaj? - Zdziwiło go to, lecz nie okazał większego zainteresowania. ,

- Tak. Z karaibskim znaczkiem. Kiedy go zobaczyliśmy, myśleliśmy, że to od ciebie, ale to ty jesteś adresatem.

- Dziwne, Któż, na Boga, mógłby do mnie tu pisać? Air Perpetua ma moj adres domowy.

Guillaume podszedł do biurka, poszperał wśród rozłożonych na nim papierów i wyciągnął kopertę. Guy wziął ją do ręki i obejrzał ciekawie. Nie rozpoznał pisma i nie miał pojęcia, kto mógł go napisać.

Wziął z biurka nóż do papieru, rozciął kopertę i wyjął z niej dwie kartki, szukając napierw podpisu. Zamarł, a w skroniach poczuł gwałtowne pulsowanie.

Lilii.

- Przepraszam, dziadku, ale chciałbym ten list przeczytać w samotności - powiedział.

- Naturalnie. , .

Guy nie dostłyszał już odpowiedzi Guillaume'a, bo właśnie wychodził z gabinetu.

Lilii stała na werandzie, spoglądając w ciemność i chłonąc zapachy i odgłosy karaibskiej nocy. Za dwa dni opuści Madrepore na zawsze, pragnęła więc przynajmniej to zachować w pamięci do końca życia. Dziwne, pomyślała, że po tych wszystkich wstrząsających wydarzeniach nastąpi teraz spokojne, szczęśliwe dni. Willa została opróżniona ze wszystkich dobrze znanych jej sprzętów które czyniły z niej ukochany dom, wciąż jednak w powietrzu unosiły się duchy przeszłości, każdy pokój wibrował jej dziecięcym śmiechem, każdy zakamarek przynosił wspomnienia. W salonie i w gabinecie wyczuwało się obecność ojca, nie zniszczonego chorobą człowieka, lecz władczego mężczyzny, którym niegdyś był. Tu, na werandzie, perfumy matki mieszały się z zapachami nocy. Stała jej nagle przed oczami jak żywa. Wydawało się że kiedy się odwróci, ujrzy ją siedzącą w wiklinowym fotelu, z dźwięczącymi bransoletami na smukłej ręce, trzymającą w palcach kieliszek szampana.

Janet Tanner

Spędziłam tu najszcześniejsze lata, pomyślała Lili. Na zawsze pozostaną mi w pamięci.

Poczuła ból w sercu i wiedziała, że wyjazd będzie najtrudniejszą rzeczą w jej życiu.

Oczywiście już raz wyjechała, obiecując sobie nigdy tu nie wracać. Jednak nie było w tym wyjeździe nieodwołalności. Czowała w głębi serca, że gdyby zmieniła zdanie, ojciec i dom wciąż będą na nią czekać. Tym razem nie będzie takiego pocieszenia. Ktoś inny będzie już właścicielem wyspy. Obcy wprowadzą się do willi, a wraz z nimi zmieni się charakter pokoi, meble i dodatki. To, co było, zniknie za zawsze.

Dobry Boże, nie zniosę tego, pomyślała. To miejsce jest częścią mnie, a ja jego,

Nagle gdzieś w głębi rozległ się dźwięk telefonu, przerywając spokój wieczoru. Lili zmarszczyła czoło, zastanawiając się, kto to może być. Może Ingrid? Wyjechała do Niemiec wczoraj rano.

Może dzwoni, by powiedzieć, że dotarła do domu, ale Lili jakoś nie mogła w to uwierzyć. Nie były sobie tak bliskie i pożegnały się przecież. Poza tym w Niemczech była teraz noc.

Podniosła słuchawkę, odrzucając włosy za ucho.

- Halo?

Posłyszała jakieś trzaski, lecz głos z drugiej strony brzmiał nadzwyczaj swojsko.

- Czy to ty, Lili? Tu Guy.

Krew uderzyła jej do głowy i nagle poczuła, że drży.

- Guy! Ja... Dostałeś mój list?

- Tak. Bałem się, że już wyjechałaś. Próbowałem dzwonić wcześniej, ale nikt nie podnosił słuchawki.

- Nie było mnie w domu. - Nie wyjaśniła, że spacerowała po wyspie, odwiedzając po raz ostami stare miejsca. - Gdzie jesteś?

- We Francji.

- We Francji? Ale tam musi być teraz środek nocy!

- Rzeczywiście jest bardzo późno. Staralem się do ciebie dodzwonić, bo chciałem z tobą porozmawiać.

Zaśmiała się nerwowo.

- Po tym, co ci napisałam, nie sądziłam, że będziesz chciał ze mną rozmawiać.

- Nie była to dla mnie niespodzianka. Wiedziałem o tym. Prawdę powiedziawszy... słuchaj, to długa historia. Kiedy masz zamiar wyjechać?

RAJSKIE DZIEDZICTWO

367

- Pojutrze. Czemu pytasz?

- Nie wyjeżdżaj - powiedział. - Wracam na wyspę.

- Co takiego?

Połączenie zostało przerwane. Lili wciąż trzymała słuchawkę w ręku, patrząc na nią z niedowierzaniem. Guy wraca! Dlaczego?

Jednak w głębi serca wiedziała. Poczula, że ogarniają szczęście; pierwsze nieśmiałe bąbelki przedarły się przez ciemność i eksplodowały fontanną radości.

Guy przyjeżdża. W tej chwili tylko to się liczyło.

Chcesz powiedzieć, że przez cały czas wiedziałeś o ojcu i nic mi nie powiedziałeś? - Lili nie mogła w to uwierzyć.

- Nie chciałem przysparzać ci dalszych cierpień. Już i tak miałaś ich dość.

- Och, Guy! - wyszeptła.

Stali w salonie, pustym teraz, bo wszystkie cenne przedmioty zostały już spakowane i czekały na wysłanie.

Guy przyleciał jakiś czas temu wynajętym na międzynarodowym lotnisku Islanderem i wkrótce zapomnieli o skrępowaniu, choć nie było między nimi tak jak dawniej.

- Chciałem ci coś zostawić - ciągnął. - Tego dnia, kiedy tu z tobą przyszedłem, zrozumiałem, ile te skarby dla ciebie znaczą.

- Ale to jest twoje dziedzictwo - zaprotestowała. - Kiedy tylko zdałam sobie z tego sprawę, wiedziałam, że muszę je zwrócić. Były w twojej rodzinie od pokoleń i tam jest ich miejsce. Po tobie przejmą je twoje dzieci i dzieci twoich dzieci.

Nie wypowiedział na głos myśli, która przemknęła mu przez głowę: że może te skarby niezupełnie będą dla Lili stracone, bo jego dzieci i wnuki mogą być również jej rodziną. Było na to zbyt wcześnie. Lecz ona jakby odczytała te myśli, bo na jej policzkach pojawił się lekki rumieniec.

- Wiem wszystko na temat dziedzictwa - powiedziała. - Próbuję właśnie uporać się z opuszczeniem na zawsze mojego. To bardzo trudne, nawet nie wiesz jakie trudne. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo kocham Madrepore, dopóki nie stanęłam przed perspektywą opuszczenia jej na zawsze. Teraz obcy będą mieszkać w naszym domu i zajmą wszystkie miejsca, które uważałam za swoje.

Sączył drinka, którego mu zrobiła, przyglądając się jej znad krawędzi

Janet Tanner

szklanki, czując, że kocha tę twarz i ciało tak mocno jak nikogo dotąd na świecie.

- Może nie obcy - powiedział w końcu. Rzuciła mu zdziwione spojrzenie.

- Ale Madrepora ma być sprzedana.

- Tak, wiem. - Zawahał się, nie bardzo wiedząc, jak jej to powiedzieć. - Myślę, że może złożymy ofertę jej kupna.

- Wy... Madrepore?

- Tak. Mój dziadek jest bardzo bogaty i spodobał mu się pomysł z karaibskim zakątkiem. Bardzo cierpi z powodu europejskich zim i myśli, że tutejsze słońce ogrzeje jego stare kości. Osobiście wątpię, czy w ogóle zechce opuścić Charente. Znaczy ono dla niego tyle, co Madrepora dla ciebie, a nawet więcej. Tym jednak motywuje swój pomysł.

- Nie wiem, co powiedzieć,

- Madrepora mogłaby być wspaniałym ekskluzywnym miejscem wypoczynku. Można by otworzyć hotel dla prawdziwych gości i zbudować kilka luksusowych apartamentów. Co więcej, nie ma tu teraz usług transportowych, odkąd rozpadła się Air Perpetua, a ja zawsze marzyłem o własnym interesie.

- Chcesz powiedzieć, że masz zamiar tu przyjechać i kierować firmą lotniczą?

- Właśnie. Będzie to oczywiście niewielki zespół. Nie chciałbym zagrzebać się w papierach i nie mieć czasu na latanie. Mógłbym zatrudnić kogoś, kto robiłby to za mnie. Musielibyśmy też przyjąć kogoś do prowadzenia hotelu i poszerzyć nabrzeże. Nie mam pojęcia o prowadzeniu interesu, a dziadek jest za stary, by się tym zajmować, choć gdyby był młodszy, jestem pewny, że sam poradziłby sobie ze wszystkim.

- Guy, to wspaniały pomysł! - W jej oczach zajaśniało słońce. - Nawet nie wiesz, ile dla mnie znaczy fakt, że Madrepora znajdzie się w dobrych rękach. To cudowne, że tutaj będziesz. Uniósł szklankę do ust i popatrzył na Lili w zamyśleniu.

- Prawdę powiedziawszy, Lili, miałem nadzieję na coś więcej. Pomyślałem, że może namówię cię, byś została i pomogła mi to zorganizować.

Zaparło jej dech w piersiach. Wyglądała na kompletnie zaskoczoną.

- To znaczy pracować dla ciebie?

- Nie dla mnie. Ze mną. Tworzylibyśmy wspaniały zespół. - Nie dodał, że myśli nie tylko o interesie.

- Och, Guy, nie wiem. Mam pracę w Nowym Jorku..., mieszkanie...

RAJSKIE DZIEDZICTWO

369

Serce w nim zamarło.

- No cóż, jeśli nie chcesz...

- Nie powiedziałam, że nie chcę. Powiedziałam, że nie wiem, Czy naprawdę chcesz kupić wyspę?

- Naprawdę.

- Czy mogłabym się zastanowić?

- Oczywiście.

Dotknęła warg palcami. Wypowiadali słowa, które nie miały nic wspólnego z tym, co czuli. Nie potrzebowała się zastanawiać, bo już wiedziała, co zrobi. Móc zostać na Madreporze, uczestniczyć w pracach, które zmienią ją w rajska wyspę, za jaką ją zawsze uważała, i pracować wspólnie z Guyem? Nad czym tu się zastanawiać!

Rozejrzała się po pokoju. Jej wzrok padł na gotowe do transportu skrzynie.

- A co z tymi skarbami? - zapytała. - Co z nimi zrobisz?

- No cóż - powiedział wolno. - Myślę, że powinny wrócić do Francji. Dziadkowi bardzo na nich zależy. Lecz pewnego dnia będą moje. Wówczas się zastanowię, czy zostawić je w rodzinnym domu, czy przywieźć je na wyspę... To będzie zależało od okoliczności.

Spojrzał jej w oczy, a ona bez dalszych słów wiedziała, co miał na myśli. Podała mu rękę.

- Decyzja należy do ciebie, Guy. Są to jednak tylko przedmioty, chociaż piękne i wartościowe. Istnieją inne rzeczy daleko od nich cenniejsze.

Pochwyił jej rękę.

- Tak, to prawda. Wiedziała, że ją zrozumiał.

Przeszła przez piekło, lecz jakimś cudownym sposobem wszystko dobrze się skończyło. Nie mogła jeszcze w to uwierzyć, nie śmiała w to wierzyć, choć serce nie mogło się mylić.

Łagodnie światło księżyca wpadło przez okiennice i oświetliło pusty pokój i dwoje ludzi, którzy mieli oczy tylko dla siebie.

Lilii nie miała wątpliwości, że to jest prawdziwe rajske dziedzictwo.